EMMA MARS
HOTEL
POKÓJ NR 1
JEDNA Z NAJBARDZIEJ PIKANTNYCH KSIĄŻEK OSTATNICH LAT

Emma Mars

Hotel
Pokój nr 1

Przełożyła Joanna Józefowicz-Paculła

Tytuł oryginału: *Hotelles. Chambre un*
Copyright © Emma Mars
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI
Copyright © for the Polish translation by Joanna Józefowicz-Paculła, MMXVI
Wydanie I
Warszawa

Spis treści

Motto

***

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

Podziękowania

Przykładowa bibliografia

Przypisy

Jeśli uda ci się żyć bez mistrza, jakiegokolwiek mistrza w jakiejkolwiek dziedzinie, koniecznie daj mi znać, dobrze? Albowiem będziesz pierwszym w całej historii ludzkości.

Lancaster Dodd w *Mistrzu* (*The Master*), Paul Thomas Anderson, Annapurna Pictures i Ghoulardi Film Company, Metropolitain Films Export, 2012

***

Paryż, pierwsze dni czerwca 2010, popołudnie w pokoju hotelowym

Nigdy nie należałam do tej kategorii kobiet, według których pokoje hotelowe nie różnią się między sobą. Kobiet twierdzących, że wszystkie pokoje hotelowe nie są niczym więcej jak jedną i tą samą anonimową przestrzenią, bez właściwości i osobowości. Rodzajem zimnego tunelu o standardowym wystroju i standardowym komforcie, w sam raz na przeżycie do następnego dnia. Takie kobiety z pewnością zatrzymują się w hotelach tylko na noc, między jednym a drugim pociągiem lub samolotem, i szybko zasypiają zmęczone trudami podróży. A trzeba pobyć w pokoju hotelowym w dzień, kiedy cały przybytek mniej lub bardziej świeci pustkami, żeby zasmakować w tym, co jest w nim szczególnego, wyjątkowego. Trzeba się rozluźnić, dopuścić do głosu własne zmysły, jeden po drugim, aby odczuć ślady poprzednich mieszkańców tego pokoju, którzy tu właśnie, przed nami, mogli się śmiać lub płakać, kochać i zaznawać rozkoszy. W hotelu, jak nauczyłam się przez ostatnie miesiące, dostajesz tyle, ile sama wnosisz. Jeśli wkraczasz w hotelowy świat tylko po to, by pogrążyć się we śnie, nudzie czy melancholii, nie zauważysz niczego poza odbiciem twego własnego smutku lub bezczynności. I wyjdziesz z hotelu w tym samym stanie, niestety nijak niezmienionym.

Jeśli jednak zadasz sobie trud wysłuchania pokoju hotelowego, zarzuci cię tysiącem opowieści, tysiącem anegdot, tysiącem westchnień... i natychmiast zapragniesz dorzucić do nich własne. Najciekawsi słuchacze i słuchaczki czują się nieraz wręcz opętani przeszłymi motywami. Zapachem przetrwałym w firance czy kapie. Jakąś minimalną plamką, która oparła się pralni. Rysą na lustrze rzucającą cień, bez mała kształt sylwetki. Chłoniesz wszystkie te detale, napawasz się nimi i z tym większym podnieceniem czekasz na swoją kolej, na przeżycie swojej własnej historii.

Dokładnie tak jak ja w tej chwili, naga, przywiązana za nadgarstki do wezgłowia łóżka. Drżę z niecierpliwości, żeby zapisać nowe karty

opowieści rozpoczętej dawno, dawno temu, na długo przed dzisiejszym dniem, na długo przede mną. Jak większość pokoi w Hôtel des Charmes, również ten, nazywany Józefiną na cześć cesarzowej Bonaparte, ma wielkie lustro zawieszone u sufitu. W oczekiwaniu na coś ważnego, co zaraz nastąpi, mogę kontemplować do woli siebie samą, Annabelle Barlet z domu Lorand, lat 23, mężatkę od niedawna, gotową oddać się duszą i ciałem mężczyźnie, który szykuje się w łazience obok. Kto to będzie? Na razie nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że to na pewno nie mój mąż. Gdyby chodziło o niego, czy bylibyśmy tutaj? Szczerze, co robilibyśmy w tym miejscu?

Wszyscy nazywają mnie Elle, od zawsze i w dowolnych okolicznościach. Niewątpliwie dlatego, że „Belle" byłoby imieniem zbyt trudnym do noszenia. Tyle że Elle, daję słowo, jest jeszcze gorsze. Niby też skrót od Annabelle, ale jaki! Elle czyli Ona, tak jakbym miała sama jedna streszczać w sobie wszystkie kobiety! Skupiać w sobie wszelkie ich wdzięki. Krystalizować wszelkie ich pragnienia. Zaspokajać wszelkie fantazje, te surowe kruszce, z których zrobieni są mężczyźni.

Gdy wreszcie skrzypią drzwi łazienki, nie mogę się powstrzymać od okrzyków, krótkich, chociaż kto wie, czy nie nazbyt piskliwych. Tak jakbym już niemal uwierzyła, że jego obecność jest tylko snem. Ów ktoś nieruchomieje, waha się przed dołączeniem do mnie. Wyobrażam sobie jego rękę zaciśniętą na klamce i wstrzymywany oddech.

– Madame? Madame Barlet, czy wszystko przebiega po pani myśli?

Głos, który słyszę, nie należy do niego. Dociera z korytarza, nie z łazienki. Gdzieś za kulisami niepokoją się o mnie. Zależy im na moim zadowoleniu. Madame jest tu bywalczynią. Madame cieszy się przywilejami. Mój mężczyzna wydał im stosowne polecenia. To ktoś z gatunku budzących tutaj posłuch. Ktoś, kogo się słucha i czyje rozkazy się spełnia.

– Tak, monsieur Jacques... Proszę się nie martwić, wszystko w porządku.

Nie rozpieszczano mnie tak za pierwszym razem, gdy znalazłam się w tym pokoju, dokładnie rok temu. Nie byłam również tak pewna siebie. Wielkie lustra odsyłały mi zupełnie inny obraz. Miałam te same kształty w charakterze ciężaru, te same krągłości w charakterze obietnicy. Wtedy jednak nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z ich mocy, a tym bardziej nie umiałam robić z nich użytku. Nie czerpałam przyjemności z drugiego człowieka ani – zwłaszcza – z bycia sobą.

Z czego czerpiesz przyjemność, Elle? No właśnie, z czego? Czy ja wiem? Co to takiego, co przyprawia mnie o motylki w brzuchu? Od czego robi mi się mokro, bez najmniejszego dotyku, na samą myśl? Nagie ciało mężczyzny? Jego zapach? Wizja anonimowego penisa wyprężonego dla mnie? Przede mną? We mnie...
(Odręczna notatka z 5.06.2010, mojego autorstwa).

Nie, jeszcze rok temu nawet nie podejrzewałam, że każdy pokój hotelowy kipi miłością i że każda kobieta inkubowana w takim wrzątku uczy się być wreszcie sobą. Nic mnie nie krępowało tak jak teraz, a jednak byłam bardziej zniewolona niż obecnie. Dzisiaj, wbrew wszelkim pozorom, to ja jestem panią, nie tylko ciałem do wzięcia przez tego kogoś, kto drży za drzwiami. Oddaję się totalnie, ale nigdy wcześniej nie byłam w stanie tak dalece kontrolować biegu rzeczy.

Rok temu byłam jeszcze tylko sobą, Elle. Wszystkimi kobietami minus ja sama. Każdą kobietą, która jeszcze musiała się we mnie narodzić...

1

Rok wcześniej, 3 czerwca 2009, w tym samym pokoju hotelowym

Tamtego dnia miałam swobodę ruchów i skorzystałam z niej, by wślizgnąć się w pościel wielkiego łoża apartamentu Józefina. Byłam niby wolna, a jednak tak bardzo wynajęta. Zaledwie od trzech, najwyżej czterech godzin znałam mężczyznę, który miał się położyć obok mnie. Nie wiedziałam o nim prawie nic. Znałam tylko jego stan cywilny i wielkość portfela, no i wkrótce miałam poznać wielkość czego innego. Przez cały wieczór poprzedzający ten moment nie usłyszałam ani jednego słowa z rozmowy toczonej z naszymi sąsiadami przy stole. Mój udział ograniczał się do uśmiechów i wdzięcznych skinień głowy – nie wyszłam z roli ozdobnego dodatku, skądinąd zgodnie z ustalonym z góry scenariuszem. Czym właściwie zajmował się mój towarzysz? Bankowością? Handlem zagranicznym? A może był przedstawicielem jakiegoś obieralnego gremium albo honorowym przewodniczącym czegoś tam? Tak czy inaczej, musiał znaczyć dostatecznie dużo, by wymuszać respekt – a czasem nawet ciszę – na pozostałych uczestnikach przyjęcia.

– Masz jakieś preferencje co do pozycji? – zapytał, pomagając mi rozpiąć suwak na plecach mojej zwiewnej białej sukienki.

Zabawne: nie dalej jak kilka minut temu, zajęci konsumpcją *foie gras* z borówkami, byliśmy na „pan, pani". Teraz, ledwie znaleźliśmy się w osobnym pokoju, on autorytarnie przeszedł na „ty", narzucając nam obojgu złudną bliskość ciał rozbieranych zbyt szybko.

– Przepraszam? – wykrztusiłam między dwoma łykami gazowanej wody mineralnej.

Prawdziwa namiętność nie potrzebuje takich technicznych ustaleń. Gdyby pragnął mnie gorąco, znalazłby odpowiedź w moim ciele, w sposobie, w jaki by mu się oddało. Wszelkie słowa byłyby zbędne, jak w muzyce. Wystarczyłaby harmonia naszych zmysłów...

– Chcę powiedzieć... Czy są pozycje, które sprawiają ci problem? Coś, co cię blokuje?

Odwróciłam się i po raz pierwszy przyjrzałam mu się uważniej. Był nawet dość przystojny, na oko czterdziestolatek, lekko siwiejący, atletycznej budowy, z pewnością bardzo wysportowany, co prawdopodobnie tłumaczyło moją obecność w tym pokoju. Gdyby nie miał żadnych atutów, nawet nie przyszłoby mi do głowy kontynuować w taki sposób naszą znajomość ze śmiertelnie nudnego bankietu. Ograniczyłabym się do „formuły podstawowej", tym bardziej że był to zaledwie trzeci raz, kiedy zgodziłam się na „ciąg dalszy", pozostając przy naszej branżowej terminologii. W sumie niewiele, jak na osiem miesięcy praktykowania tego fachu.

Po jego niezręczności, po tych beznadziejnych, gaszących wszelką spontaniczność pytaniach o moje preferencje, odgadłam, że nie był bardziej doświadczony ode mnie. Kto wie, może nawet po raz pierwszy zaliczał „hostessę"... Właściwie mogłam go o to zapytać, tylko po co? Nie interesował mnie na tyle, by odzierać nasze przypadkowe spotkanie z resztek uroku, jaki kryje się w tajemnicy.

– Nie... Niespecjalnie – skłamałam z uśmiechem, w założeniu zachęcającym.

– Okej... – Przyjął to do wiadomości skinieniem brody, najwyraźniej z ulgą. – Po prostu lepiej, żebym wiedział wcześniej.

Myślami byłam zupełnie gdzie indziej...

~~Pozycja od tyłu krępuje mnie, bo jest zwierzęca, prymitywna. Dlatego mogę się kochać w ten sposób tylko z mężczyzną, którego dobrze znam.~~
Pozycja od tyłu podnieca mnie bardziej niż jakiekolwiek inne... bo jest zwierzęca, prymitywna!
Dlatego marzę, żeby kochać się w ten sposób z nieznajomym, a najlepiej z nieznajomym w masce.
(Anonimowa odręczna notatka z 3.06.2009, wrzucona do mojej skrzynki na listy)

Myślałam właśnie o skandalicznych karteczkach, jakie otrzymywałam od kilku tygodni, od czasu, gdy znalazłam w torebce mały kołonotatnik ze spiralą i srebrną okładką, który czyjaś ręka musiała

tam wsunąć, korzystając zapewne z tłoku w metrze. Niby zupełnie czysty, ale w środku wklejono bilecik, którego treść, jak i nieznany mi charakter pisma powinny były zaalarmować mnie od razu. Przeczytałam bowiem, co następuje:

Jak wykazują badania naukowe, mężczyźni myślą o seksie około dziewiętnastu razy dziennie, natomiast kobiety nie więcej niż dziesięć. A pani, ile razy w ciągu dnia dopuszcza do siebie takie myśli?

Zlekceważyłam to znalezisko... dopóki po kilku dniach nie odkryłam w skrzynce pocztowej luźnej kartki, bez znaczka i stempla, za to z perforacjami dokładnie pasującymi do spirali tajemniczego notesika. Anonimowy autor ewidentnie czerpał przyjemność z wyobrażania sobie moich rzekomych fantazji. Tym razem pisał w pierwszej osobie, niczym moje alter ego.

W pierwszym odruchu chciałam bez czytania wyrzucić te bzdury do śmieci. Przyszło mi nawet do głowy, żeby pójść do komisariatu i złożyć skargę o molestowanie. W końcu górę wzięła moja ciekawość przyszłej dziennikarki... Starannie zarchiwizowałam kartkę nie w koszu, tylko w tym notesiku, wtedy jeszcze nie podejrzewając, że to dopiero początek długiej serii. Albowiem niewidzialna ręka nie zamierzała przestać... O nie, bynajmniej.

– Nic mnie nie blokuje – zapewniłam wreszcie mojego klienta, jakbym przypomniała sobie o jego istnieniu.

Koniec końców, nie wydawał się gorszy od tej garstki mężczyzn, którym jak dotąd pozwoliłam się posiąść po kilku nazbyt zakrapianych wieczorach w niezbyt wyszukanych lokalach. A i myśląc o pierwszym razie w ramionach Freda, najpoważniejszej z moich dotychczasowych historii, musiałam uznać z przykrością, że jej również brakowało poloru i polotu. Prawdę mówiąc, tego wieczoru, kiedy wylądowaliśmy w łóżku, uległam bardziej z powodów zewnętrznych – nadarzającej się okazji, naturalnej, jak mi się zdawało, kolei rzeczy... – niż autentycznego pragnienia. Cóż zatem mogło być złego w dzisiejszym razie, fakt, że podobnym do

transakcji? Czy nie zasługiwałam na więcej niż kawałek pizzy i dwa kieliszki czerwonego wina w byle jakiej restauracji?

Ten tutaj był przynajmniej bogaty, wypielęgnowany, przystojny i nade wszystko elegancki w swoim dwurzędowym garniturze na miarę, którego jakość biła po oczach jedwabiem podszewki w kolorze fuksji, szwami dobranymi do butonierek... No i rzecz zasadnicza, dzięki niemu miałam zarobić w ciągu tego wieczoru więcej niż przez tydzień dorywczych prac w gastronomii, w kasie fast foodu albo na zapleczu.

Krótko mówiąc, motywowałam się, jak umiałam. Gdy szampan wypity do kolacji powoli przestawał działać, potrzebowałam innego bodźca niż bąbelki ulatniające się z mojego kieliszka i głowy.

Korzystając z przyzwolenia, którego właśnie mu udzieliłam, pan-na-miarę, starannie obciągnięty lateksem, natarł na mnie bez większych ceregieli, a zwłaszcza bez jednego słowa, w klasycznej, misjonarskiej pozycji. Brak miłosnego kunsztu u ludzi, zdawać by się mogło, obytych i dobrze wychowanych nigdy chyba nie przestanie mnie zdumiewać. To przypuszczalnie jedyna sfera edukacji traktowana tak po macoszemu, dla której nie przewidziano prywatnych lekcji ani zastępu korepetytorów.

– Dobrze jest, nie sprawiam ci bólu?

Nie, ani bólu, ani czegokolwiek innego. Przedziwne zero doznań. Cała dolna połowa mojego ciała wydawała się znieczulona. Wiedziałam, że chodzi o mnie, o seks ze mną, penetrację, na wskroś realny stosunek płciowy, a mimo to nie mogłam wykrzesać z siebie najmniejszego zaangażowania. Z rękami na jego pośladkach dostrajałam się jednak do monotonnych ruchów w tę i z powrotem, w tę i z powrotem... wewnątrz mnie, a jakby poza mną.

– Dobrze, dobrze – mruknęłam w charakterze zachęty.

Moje własne niedoświadczenie uniemożliwiało mi śmielszą inicjatywę, której on skądinąd miał prawo oczekiwać. Czy powinnam była dyszeć, jęczeć, szeptać mu do ucha sprośne zaklęcia? Jak dalece należało się posunąć w symulacji? Czy to też wchodziło w zakres „usługi”?

– A ty... a tobie jest dobrze?

To wszystko, co naprędce przyszło mi do głowy – i nie mam złudzeń, zabrzmiało aż nadto banalnie. Ograniczył się do wykrztuszenia „tak” w sposób zapowiadający rychły finał. Musiał sam zdać sobie z tego sprawę i pomyśleć o lepszej kapitalizacji cennego momentu – jak przystało na zdolnego biznesmena, którym z pewnością był – dość, że znieruchomiał na kilkanaście sekund, aby po chwili wrócić do dzieła z regularnością szwajcarskiego metronomu.

A mnie nadal jakby nie było... Nie czułam zażenowania, odrazy, a już w najmniejszym stopniu buntu. Z mojej ręki głaszczącej jego plecy na całej powierzchni, od karku aż do lędźwi, emanowała dobra wola, pragnienie, by sprawić mu przyjemność. Cel zdawał się osiągnięty, sądząc po coraz intensywniejszym sapaniu. Doprawdy, wszystko to razem nie było gorsze od innych znanych mi już seansów łóżkowej gimnastyki. Powiem więcej, akt miłosny bez miłości czy namiętności ma swoje zalety – chociażby taką, że pozwala bez przeszkód podziwiać scenerię. A sceneria pokojów w Hôtel des Charmes naprawdę zasługiwała na kontemplację. Poza ogromnym lustrem u sufitu, jednym z rzadkich ustępstw wobec wymagań naszych czasów, cała reszta wyglądała na wierną replikę sypialni zajmowanej przez panią de Beauharnais, po mężu Bonaparte, w jej pałacyku w Malmaison. Zaokrąglone pomieszczenie mogło kojarzyć się z luksusowym namiotem z czerwonej tkaniny rozpiętej na złotym rusztowaniu; udrapowana na sposób antyczny powiększała wnętrze, wprawiając je przy tym w pełne wdzięku drgania. Wielkie łoże z baldachimem zwieńczonym orłem z rozpostartymi skrzydłami, jakby zrywał się do lotu, miało u wezgłowia dwa złocone łabędzie, a w nogach dwa rogi obfitości. Reszta umeblowania, włącznie z fotelami i długą rekamierą na przeciwległym końcu, powielała dominujące barwy złota i krwi, a także kwiecisty deseń kapy i boków materaca.

Złudzenie było tak doskonałe, że nie musiałam nawet wysilać wyobraźni, aby przenieść się dwa wieki wstecz. Czy Napoleon oblegał swoją Józefinę z taką samą mechaniczną precyzją, czy przeciwnie, i na tym polu bitwy zaskakiwał wyrafinowaną strategią?

Z przyjemnością pogrążyłam się w dywagacjach natury estetycznej – albo historyczno-seksualnej – gdy tymczasem pan-na-miarę zadał mi ostatnie pchnięcie miednicą, połączone z kulminacyjnym jękiem. Nie wytrzymał dłużej niż trzy, może cztery minuty, niewrażliwy na majestat miejsca, a może po prostu ociężały i osłabiony suto zakrapianą kolacją.

Wyskoczył ze mnie natychmiast, opadł na bok i odsunięty na muśnięcie uznał za stosowne powiedzieć mi komplemencik w charakterze gratyfikacji za właśnie przeżyty orgazm:

– Jesteś... bardzo ładna, wiesz?

– Dziękuję.

Jak inaczej mogłam odpowiedzieć, zwłaszcza myśląc o sobie coś wręcz przeciwnego? Postać widziana w lustrze na suficie wcale mi się nie podobała. Prawdę rzekłszy, nigdy jej nie lubiłam. Wiedziałam też, że seanse podobne do tego na pewno nie poprawią naszych relacji. Za gruba, za taka, za owaka. Cóż, we własnych oczach byłam raczej niezgrabnym, kluchowatym podlotkiem niż *femme fatale*. Jednym słowem, daleka od doskonałości... o lata świetlne.

– Mam kłopot z chudymi kobietami – zwierzył się. – Wolę ich nie dotykać z obawy, że zrobię im krzywdę... no i sam się poranię o ich kości.

Ewidentny komunikat, że nie zdegustowały go moje pełne kształty. Co za subtelność! Przynajmniej jedno z nas wyglądało na zadowolone z menu, jakie byłam w stanie zaoferować. Obfitość na każdym poziomie, zaokrąglenia, brak ostrych kantów. Na razie zdawało się to zaspokajać jego apetyt.

Sięgnęłam po plik banknotów złożony w mojej intencji na orzechowym stoliczku, przeliczyłam je jednym spojrzeniem i korzystając z chwili, gdy ofiarodawca znikł w łazience, sama znikłam z pokoju, równie cicha i niema, jak mieszkające tu widma przeszłości. Wolałam ucieczkę, bo co mogłam powiedzieć mu na pożegnanie, co nie zalatywałoby z daleka kłamstwem lub zdawkową, fałszywą obietnicą? „Było naprawdę super”? „Jeszcze raz dziękuję”? „Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję”?

Buty zakładałam już na korytarzu, rozkoszując się miękkością grubej wykładziny pod stopami. Gotowa do wyjścia, niezwłocznie ruszyłam w stronę hallu i recepcji. Zza przeszklonego kontuaru monsieur Jacques skinął na mnie dyskretnie, a mimo to wyraźnie: zapraszał, żebym podeszła bliżej.

– Wszystko w porządku, mademoiselle?

– Tak, tak – zapewniłam półgłosem. – Najzupełniej.

Konsjerż z Hôtel des Charmes wyglądał imponująco w liberii godnej królewskiego lokaja, lamowanej złotem i srebrem. Ale nie jego strój, tylko wygląd fizyczny robił na mnie największe wrażenie: dostojny starszy pan nie miał otóż ani jednego włoska na całej powierzchni głowy ani na twarzy. Żadnych włosów, wąsów, brwi ani nawet rzęs – nic a nic nie okalało jego wielkich, niebieskich, lekko wyłupiastych oczu. Nie sposób było być bardziej łysym niż on. Ani bardziej białym, pod względem odcienia skóry.

O dziwo, siwe włosy mamy nie przerzedziły się wcale, mimo kolejnych kursów chemioterapii. Sześć ostatnich miesięcy leczenia odcisnęło wyraźne piętno na jej mięśniach, ścieniałych i zwiotczałych, ale nie na głowie, nadal bujnie owłosionej. Moja mama, Maude Lorand, trzymała się dobrze. Trzymała się jak zawsze, z dzielnością i pokorą jednocześnie, bez jednego zbędnego słowa, bez najmniejszej skargi. Traciła płuca, mięśnie i siły, ale nie godność. Jej godność nawet nie drgnęła, trwała jak posąg z brązu wśród popiołów.

– Jak pani myśli, będzie pani potrzebować pokoju w najbliższych dniach? Może nawet jutro?

– Jeszcze nie wiem. Tak czy inaczej, nawet jeśli... to z pewnością po raz ostatni.

Nie wydawał się zdziwiony moją deklaracją. Przeciwnie, wyglądał na niemal uszczęśliwionego tymi słowami, o czym dobitnie świadczył jego szeroki uśmiech. Monsieur Jacques życzył mi tylko dobrze. Albo inaczej: przy każdym z naszych rzadkich spotkań miałam wrażenie, że widział to dobro we mnie. Wbrew pozorom i powodom mojej obecności w jego hotelu dostrzegał to wszystko, co mogłam zrobić dobrego lub lepszego. Kilka sekund pod jego błękitnym spojrzeniem wystarczyło, żeby napełnić mnie otuchą.

Tego wieczoru oparłam się jednak pokusie przedłużania tej zbawiennej terapii. Monsieur Jacques uśmiechał się nadal, gdy ja byłam już na zewnątrz, zanurzona w mroku ciepłej, wczesnej nocy.

2

Nieco później, tego samego dnia

– A więc formuła podstawowa czy łóżkowa?

Autorką tego obcesowego pytania, wiecznie flirtującą z wulgarnością i w pełni świadomą, że dodaje jej to łobuzerskiego uroku, była Sophia, moja przyjaciółka. Najlepsza, by nie rzec jedyna, co bardziej odpowiadałoby prawdzie. Sophia Petrilli, starsza ode mnie o dwa lata metrykalnie, a co najmniej o pięć, gdyby mierzyć nas życiowym i seksualnym doświadczeniem. Burza ciemnych loków przyciągająca wszystkie spojrzenia. Piersi wprost stworzone do tego, by czyjeś dłonie objęły ich doskonałe krągłości. Oczy, w których każdy mężczyzna utonąłby z zachwytem. Jeden z jej pierwszych kochanków nazwał ją Esmeraldą na cześć dzikiej wolności emanującej z tej młodej tancerki i namiętnego żaru, jaki powszechnie rozpalała. Na co dzień była jednak tylko Sophią, ciągle w tarapatach, bez poważnego partnera ani stałej pracy – ale i to wystarczyło, by uczynić z niej najżywszą i najbardziej niezależną istotę, jaką znałam, a także wierną przyjaciółkę na dobre i złe. Chłopcy zjawiali się i znikali, jedna Sophia trwała przy mnie niewzruszenie.

– Uhm... – odpowiedziałam zdawkowo, zasłaniając się przed jej wścibstwem lekkim wzruszeniem ramion. – Formuła numer dwa.

– Tego się spodziewałam, patrząc na zegarek.

Zgodnie z umową, na koniec naszych wspólnych „dni roboczych” spotykałyśmy się w Café des Antiquaires przy rue de la Grange-Batelière, dwa kroki od sali aukcyjnej Drouot, w samym sercu IX dzielnicy. Zasada była prosta: ta z nas, która pierwsza uwolniła się od klienta, do oporu czekała tam na drugą. Opcja numer jeden rzadko przeciągała się poza godzinę dwudziestą trzecią; opcja numer dwa zahaczała zwykle o północ.

– A ty miałaś udany wieczór?

– Można tak powiedzieć. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Nadziany gość?

– Obrzydliwie nadziany, jeśli chcesz wiedzieć. Nigdy nie widziałam tak ostentacyjnego roleksa... Do tego apartament Pompadour i wszelkie splendory.

Tym też wyróżniał się Hôtel des Charmes: każdy z jego pokojów, niezmiennie wynajmowanych na godziny, miał przypisaną sobie patronkę z panteonu największych uwodzicielek i kurtyzan w historii Francji. Mieszały się tam faworyty i metresy, królowe i zwykłe dziewki, których imiona jakimś cudem przetrwały dla potomności, barwny korowód tancerek, szpiegów w spódnicy, artystek, dam z półświatka, wszystkich bez wyjątku znanych z magicznego wpływu na mężczyzn i sposobów manipulowania nimi w toku burzliwego zwykle żywota. Pokoje w Hôtel des Charmes obywały się bez numerów; skądinąd nazwy również nie figurowały nad ich drzwiami. Za to, jak przekonałam się już wcześniej, dekoracja każdego idealnie przystawała i do charakteru awanturniczej patronki, i do jej epoki, tworząc z pomieszczenia jedyną w swoim rodzaju oprawę. Każdy pokój był wcieleniem konkretnej kobiety, każda fantazja urzeczywistniała się w odpowiednim dla niej wnętrzu.

– Nieźle – zgodziłam się z nieco wymuszonym entuzjazmem. – Mnie się trafiła Józefina.

– Wielka klasa! Byłaś tam już kiedyś?

– Nie, dopiero dzisiaj.

Sophia zachodziła do Charmes znacznie regularniej niż ja. Czasami dwa lub trzy razy w miesiącu, z zasady nie częściej niż raz w tygodniu, aczkolwiek właśnie te wizyty stanowiły główne źródło jej dochodów.

– No, a później? – zapytała, obdarzając mnie wielce dwuznacznym uśmiechem. – Jak było? Dobrze się spisał?

– Sophio! – oburzyłam się natychmiast. – Przecież wiesz... Nie mogę.

Oczywiście znała regulamin równie dobrze jak ja: agencja kontaktująca nas z bogatymi klientami formalnie zakazywała wymiany jakichkolwiek plotek na ich temat. Wszystko, co działo się w zaciszu tych wykwintnych i rozkosznie staroświeckich alków, musiało obowiązkowo tam pozostać i nigdy nie wypłynąć na zewnątrz. Wielu z przydzielanych nam mężczyzn było ważnymi

osobistościami, nierzadko wręcz potentatami w różnych dziedzinach, tak więc każda informacja o ich zachowaniu, a tym bardziej preferencjach seksualnych, mogła stać się groźną bronią w rękach wrogów – z pewnością licznych i równie potężnych. Dyskrecja była dla nas imperatywem, absolutnie pierwszym przykazaniem w naszym fachu.

Jeśli mam być zupełnie szczera, osobiście chwaliłam sobie tę zasadę, która z jednej strony chroniła mnie przed zwierzeniami Sophii, z drugiej otaczała zbawienną barierą moje własne przeżycia. Dla niej rozmowa o seksie wydawała się nie mniejszą przyjemnością niż sam akt. Po prostu była jego naturalnym przedłużeniem; musiała uważać swój język za organ równie podatny na erekcję jak łechtaczka, oba najwyraźniej połączone sekretną więzią. Temat seksu, jej zdaniem uniwersalny, poruszała przy każdej okazji, w każdym miejscu i z każdym rozmówcą, zarówno bliskim, jak i widzianym po raz pierwszy w życiu. „Ojej, sama powiedz, czy znasz coś bardziej godnego zainteresowania? – pytała mnie nieraz prowokacyjnie. – Nie będziemy chyba rozmawiać o giełdzie albo o dzieciach, co? Nie mamy złamanego centa, no i – popraw mnie, jeśli się mylę – żadnej z nas nie w głowie macierzyństwo. Zresztą, wiesz, w jakim wieku kobieta z regionu paryskiego rodzi swoje pierwsze dziecko? Średnia to trzydzieści jeden lat!”.

Po powrocie do ulubionego tematu wałkowała go niestrudzenie, z rozkoszą ujawniając własne sekrety i bezwstydnie delektując się wszystkim, co wyciągała z interlokutorów.

– Mój klient, ten dzisiejszy, miał taki ekwipunek, że... żałuj, że nie widziałaś! Monstrualny! Niesamowity! Jeszcze większy niż jego konto w banku, mówię ci.

– So’! – oburzyłam się znowu, próbując zatamować falę wesołości.

– Powinien się pokazywać w cyrku, daję słowo.

– Przestań!

– A niby dlaczego? Nie podaję ci jego nazwiska! Mówię tylko, jakiego miał fiuta.

– Super! – Skrzywiłam się ironicznie. – No dobrze, niech ci będzie, seks z anonimowym penisem.

– Nie, naprawdę, był taki wielki, że o mało się nie udusiłam, gdy...

– A to dopiero – przerwałam jej, żeby więcej nie słuchać dalszego ciągu. – Seks oralny, pięknie. Przecież wiesz, że nie należy go przedłużać, bo oni się uzależniają i później nie chcą już niczego innego.

To był mój klasyczny parawan przeciwko tsunami jej zwierzeń, jedyny, jakim umiałam się posługiwać: kilka frazesów i rewelacji wyczytanych w najnowszych magazynach kobiecych.

– Tak czy inaczej – ciągnęła Sophia, niezrażona moimi oporami – nic nie dorówna takiemu jednemu, co to mnie nawet nie dotknął, ale chciał, żebym masturbowała się przed nim przez dwie godziny... To dopiero było wyczerpujące!

– No tak, ale jeśli to robisz przy facecie, uczysz go, jak sprawiać ci rozkosz. To niekoniecznie strata czasu.

…w „Cosmo", numer specjalny „Seks", lipiec–sierpień 2007? Chyba tak, tam musiałam wyczytać tę mądrość.

Ale co wiedziałam o tym wszystkim sama, ja, Annabelle Lorand? Zdecydowanie niewiele.

Prawdę mówiąc, klauzula agencji była dla mnie najlepszym sposobem na zakończenie takich rozmów. Zazwyczaj wystarczała do poskromienia ciekawości Sophii albo przerwania jej bezwstydnego słowotoku. Własne doświadczenia chętnie powierzyłabym tylko sekretnemu pamiętnikowi... gdyby nie fakt, że wyręczała mnie w tym czyjaś inna, niewidzialna ręka, pisząc na przykład, znów w pierwszej osobie:

Może to głupie, ale wydaje mi się, że narządy płciowe też mają swoje bratnie dusze. Tak jakby do każdej pochwy pasował tylko jeden penis, stworzony specjalnie dla niej i na jej miarę...
I odwrotnie. Dopóki się nie spotkają, żadne z nich nie może w pełni rozkwitnąć. To mój przypadek, jestem o tym głęboko przekonana: moje genitalia jeszcze nie natrafiły na swoją męską drugą połowę.
(Anonimowa odręczna notatka z 2.06.2009, wsunięta do mojej skrzynki pocztowej. Skądinąd święta prawda).

To, że ktoś obcy pisał w moim imieniu, podniecało mnie i oburzało w jednakowym stopniu, a oba te uczucia nijak nie chciały się rozdzielić. W pewnym sensie porażką był już fakt, że zachowałam notes i pieczołowicie zapełniałam go kolejnymi, niby-moimi fantazjami podrzucanymi na karteczkach przez anonimowego prześladowcę, czasem nawet kilka razy dziennie. Nie powiem, niejednokrotnie próbowałam go przyłapać, godzinami czatując przy judaszu, ze wzrokiem utkwionym w skrzynce. Ale na próżno – nigdy nikogo nie zauważyłam.

Początkowo udawało mi się ukryć przed Sophią istnienie karnecika na spirali, mimo jej wyjątkowego nosa do tego rodzaju sekretów. Aż do momentu, gdy kilka dni później pechowo strąciłam torebkę z kawiarnianego stolika, wysypując na ziemię jej zawartość. Sophia, jak to ona, odruchowo rzuciła mi się na pomoc i...

– Ej, a co to takiego?

– Nic, dawaj!

– Jaki śliczny notesik! Może repetytorium z wychowania seksualnego? – Parsknęła śmiechem.

– Ależ skąd... Przestań...

– Tak, tak... czerwienisz się!

Nie pytając mnie o zgodę, otworzyła karnecik na pierwszych stronach i zaczęła czytać półgłosem...

– Nie czerwienię się! Oddaj mi to natychmiast!

Później coraz głośniej:

– „...i zastanawiam się też, jaki zapach i smak czuje mężczyzna, który liże mnie od dołu...”. Ooo! Miss Lorand! Kto by się spodziewał!

– Sophia, oddawaj mi to, do diabła!

W końcu ustąpiła, ale zło już się stało.

– Chcesz nas uraczyć jakimś *Życiem seksualnym Annabelle L.* czy co?

– To nie ja pisałam...

– Żartujesz!

– Nie, przysięgam. Ktoś wrzuca mi te kartki do skrzynki, dzień w dzień. Nie wiem, co to za jeden ani czego ode mnie chce.

– Naprawdę? A ty tylko wkładasz je do notesika?

– Daję ci słowo, że to prawda.

Schwytana w pułapkę wyśpiewałam jej wszystko: tajemnicze okoliczności, w jakich notatnik trafił w moje ręce, a później treść kartek pełnych intymnych zwierzeń, które mogły wydawać się moimi, ale w rzeczywistości pisał je ktoś inny.

Historia bardziej ubawiła, niż zszokowała Sophię. Przemknęło mi przez myśl, że Rebecca, szefowa naszej agencji, mogłaby mieć coś wspólnego z tym zatrutym darem. Gdyby jednak tak było, dlaczego otrzymywałabym go tylko ja jedna spośród wszystkich piękności nocy, czyli jej podopiecznych? Przecież Sophia natychmiast pochwaliłaby mi się podobnymi liścikami.

– No tak, mnie też nie mieści się to w głowie: że też ten zboczeniec z tysięcy paryżanek musiał wybrać akurat ciebie!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No wiesz, Elle... Przyznaj, że to bardziej moja działka niż twoja. Bo ja byłabym zachwycona, gdyby ktoś robił mi takie prezenty! I powiem ci nawet, że nie czekałabym, aż napisze coś za mnie.

Wyciągnęłam w jej stronę srebrzysty karnecik, jakbym chciała się go pozbyć.

– Jeśli to ci sprawi przyjemność, proszę... weź go sobie.

– Skądże, nie! Jest twój – zaprotestowała kategorycznie, z nagłą powagą.

– Eee tam... Mógł się znaleźć w torebce każdej innej dziewczyny w metrze.

– Nie – powtórzyła Sophia. – I wiesz co? Gdyby dobrze się nad tym zastanowić, to nie wygląda na przypadek. Ten ktoś musiał wyczuć, że jest potrzebny właśnie tobie. Bardziej niż innym laskom wokół niego.

„Żeby cię odblokować" – chciała zapewne dodać, ale ugryzła się w język. Odpowiedziałam jej miną pełną powątpiewania.

Od czasu tego incydentu, a zwłaszcza odkąd w moim życiu pojawił się David, obrona przed wścibstwem Sophii przychodziła mi z coraz większym trudem. Fakt, człowiek, z którym spotykałam się od trzech miesięcy, nie był klientem agencji ani tym bardziej moim – a to oznaczało, że nie obowiązywał wobec niego narzucony nam wymóg

dyskrecji. Z logicznego punktu widzenia Sophia mogła więc liczyć na zaspokojenie swojej nienasyconej ciekawości.

– No właśnie, *à propos* Davida, nigdy mi nie powiedziałaś...

– O czym?

– No, wiadomo, co tam nosi w spodniach? Standard? *King size*? *Mini size*, ale zdolny do wielkich rzeczy?

– Nie, ty naprawdę wierzysz, że odpowiem ci na takie pytania?!

„Co szkodzi spróbować" – wyczytałam w jej roześmianych oczach.

– Spotykasz się z nim dzisiaj, zaraz?

Na szczęście jej ciekawość zeszła na przyzwoitsze tory.

– Tak. A właściwie nie, ma wrócić bardzo późno. Zobaczymy się dopiero jutro rano. W najlepszym razie...

Skądinąd osobowość i status Davida, pod każdym względem wyjątkowe, robiły wielkie wrażenie na Sophii, mojej biednej midynetce i nimfomance, marzycielce i pożeraczce męskich serc. Fakt, że to ja poderwałam takiego faceta, nie przestawał jej zdumiewać i w imię solidarności, przyjaźni, naszych wspólnych lat, pod każdym względem chudych, uważała za naturalne, że przynajmniej pośrednio będzie odkrywać wraz ze mną egzotykę i atrakcje obcowania z kimś tego formatu. Ja z kolei lawirowałam między poczuciem, że faktycznie jestem jej to winna, a potrzebą ochrony mojego prywatnego terytorium.

– Nie czujesz się dziwnie, gdy wracasz do niego po randce z klientem? – zarzuciła haczyk.

– Przecież ci mówiłam, pewnie nie zobaczę go wcześniej niż jutro wieczorem.

– Ale tak w ogóle... – nalegała. – Nie boisz się, że zacznie coś podejrzewać?

– A ty? – odpowiedziałam kontratakiem. – Nie czujesz się dziwnie, nie śpiąc nigdy dwa razy z rzędu z tym samym facetem?

Trafione. Chyba nawet zbyt celnie. Uśmiech od razu znikł z jej twarzy.

Sophia bez wysiłku umiała budzić pożądanie, ale ta łatwość w połączeniu z aż nadto wybujałym temperamentem z reguły uniemożliwiały jej zatrzymanie przy sobie mężczyzny na dłużej niż kilka nocy. Jeśli nie zdradzała chwilowego kochanka z kimś nowym,

ni stąd, ni zowąd odnawiała jakąś dawną i czułą znajomość, a wszystko to razem skutkowało perypetiami, których cenę ostatecznie płaciła ona i nikt więcej. W efekcie raz po raz przyłapywana na podwójnej grze, albo po prostu znudzona jednym czy drugim bokiem kolejnego trójkąta spędzała większość czasu samotnie, wśród swoich gadżetów seksualnych – kolekcji rozrośniętej przez lata naszej przyjaźni do naprawdę imponujących rozmiarów.

– Przepraszam...

– Nie musisz, drobiazg. Właściwie masz rację, poniekąd... Przejdziemy się?

Lubiłyśmy Paryż nocą, puste ulice omiatane światłami taksówek i nasze wędrówki bez celu, po prostu przed siebie.

Największą przyjemność sprawiało nam oglądanie wystaw antykwariuszy i jubilerów, tak licznych wokół Drouot, usadowionych po kilku przy każdej uliczce. Wiedząc z góry, że choćby najmniejszy z oferowanych przez nich skarbów jest poza naszym zasięgiem, mogłyśmy swobodnie puszczać wodze fantazji. Marzyłyśmy na głos o pewnym dniu, kiedy to jak w bajce spadnie na nas z nieba meteoryt materialnego szczęścia.

– Wow, widzisz ten zegarek? – szepnęłam w ekstazie, wskazując model ułożony na pierwszym planie, tuż przy witrynie.

– Ten męski?

Butik pod szyldem Antiquités Nativelle miał miły zwyczaj dołączania do każdego eksponatu krótkiej informacji, tak jak w niektórych księgarniach rekomenduje się warte lektury książki.

– Tak, popatrz... Całkowicie mechaniczny, wyprodukowany w 1969 roku!

– No to co? Szukasz zegarka erotycznego? – zażartowała bez złośliwości.

Rzeczywiście, *69, année érotique* śpiewali w duecie Jane Birkin i Serge Gainsbourg, najgorętsza para tamtych czasów.

– ’69 to rok urodzenia Davida. Dokładnie 5 stycznia 1969.

– Nie powiesz mi, że masz zamiar sprawić mu taki prezent?

– O, gdybym tylko mogła... Jest niesamowity, nie uważasz?

Równie skromny, jak wytworny zegarek puszczał do mnie oko ze swojej aksamitnej podstawki, mienił się w półmroku refleksami granatowego cyferblatu. Fascynująca była zwłaszcza wypukłość jego szkiełka, namacalne świadectwo szacownego wieku i autentyczności.

– Tania błyskotka w porównaniu z roleksem mojego klienta... – Sophia udała lekceważenie. – Ale nie pogniewałabym się, gdyby ktoś chciał mi go dać, co to, to nie.

– Pff... Widzisz cenę?

– 3200 euro! Będziesz musiała brać nadgodziny, moja droga, jeśli chcesz tak rozpieszczać swojego krezusa!

Rzeczywiście, ten jeden luksusowy gadżecik przewyższał mój budżet na przeżycie dwóch miesięcy. Nie licząc...

– Przy chorobie mamy nigdy nie będzie mnie stać na coś takiego – westchnęłam.

Ubezpieczenie, nawet dodatkowe, tyle że z tych tańszych, pokrywało zaledwie część kosztów skomplikowanego leczenia onkologicznego, a ja, w miarę moich skromnych możliwości, starałam się płacić resztę i zapewniać jej minimum komfortu, zarówno w domu, jak i podczas niezliczonych pobytów w szpitalu. Tydzień chemii, później tydzień, żeby dojść do siebie, wreszcie tydzień względnie dobrego stanu i od nowa – tak wyglądał narzucony jej piekielny cykl. Mama tyle dla mnie zrobiła, tyle dała mi przez całe dzieciństwo, że niezależnie od szczupłości moich dochodów czułam się moralnie i emocjonalnie zobowiązana odpłacać jej tym samym teraz, gdy ja byłam już dorosła, a ona ciężko chora.

Za zegarkiem, który nadal kontemplowałam w milczeniu, inny przedmiot przykuł moją uwagę: srebrna szpilka do włosów, „ongiś własność Mademoiselle Mars, słynnej aktorki", jak głosił odręczny napis na plakietce. Splendor pierwszej połowy XIX wieku do nabycia za drobne 1700 euro. Jeszcze jedno cudeńko, o jakim mogłam tylko pomarzyć.

Sophia bez uprzedzenia pociągnęła mnie za ramię, byle dalej od kusicielskiej witryny.

– No chodź już, Elle! Twój książę z bajki nie rozpłynie się we mgle tylko dlatego, że na każdej waszej randce nie obsypujesz go zabawkami w cenie trzech minimalnych pensji!

– Racja...

– Zresztą, jeśli mogę być szczera, to raczej on, z jego zasobami, powinien sprawiać ci takie prezenty.

– I na tym właśnie polega problem – przyznałam. – To jego zasoby, nie moje...

Ale w duchu musiałam zgodzić się z Sophią. W grze na wymierne dowody naszej rodzącej się miłości byłam całkowicie bez szans wobec zawodnika rangi Davida. Ile minimalnych pensji mógł zarabiać miesiąc w miesiąc? Czy zadowalał się względnie przyzwoitym mnożnikiem z przedziału 15–20, jaki niektórzy politycy chcieli swego czasu narzucić szefom francuskich firm? Prawdę mówiąc, wolałam nie wiedzieć. Moje skromne pochodzenie i jeszcze skromniejsze warunki, w jakich dorastałam, wyostrzyły we mnie świadomość, co wypada, a czego nie wypada w kwestiach pieniężnych. Kupno takiego zegarka, pomijając leczenie mamy, zawsze musiałabym uznać za ekstrawagancję w złym guście. Nie mogłam jednak powstrzymać się od marzeń.

– A tak między nami, czy ten pan na pewno na to zasługuje? – podjęła Sophia lżejszym tonem. – Rozklejasz się na samą myśl o nim, ale gdzie byś go ustawiła w hierarchii twoich kochanków? W pierwszej piątce? Pierwszej trójce?

No tak, to cała ona. Gładko weszła w rolę mojego sekretnego notesika – któremu nadała nazwę *Dziesięć razy dziennie*, jak liczba erotycznych myśli w głowie statystycznej kobiety, czyli również mnie – i „otwierała się” przy każdej okazji, aby wyciągnąć ze mnie intymne zwierzenia.

– David to co innego...

– Co ty pleciesz? Na czym miałaby polegać ta inność? Nie jest zbudowany jak każdy facet? Proponuje ci dziwne rzeczy?

– Kocham go.

Próbowałam powiedzieć to od niechcenia, żeby nie wyjść na sentymentalną gęś – jak mnie się wydawało – ale po minie Sophii od razu poznałam, że myśli o mnie jeszcze gorzej. Tym razem w jej szyderstwach nie było zwykłej dobroduszności. Rozgniewała się naprawdę, jakby chodziło o sprawę wielkiej wagi.

– O, przepraszam, nie pomyślałam o tym detalu, co ze mnie za idiotka! Kooochasz go! A więc może leżeć w łóżku jak kołek, a ty i tak będziesz zachwycona, prawda? Że też na to nie wpadłam!

– Przestań... Wiesz, że nie to chciałam powiedzieć.

– Czy chociaż raz zrobił ci naprawdę dobrze, ten twój milioner?

Nie byłaby sobą, gdyby o to nie zapytała. Nie miałam ochoty rozwijać tematu. Albo inaczej: nie miałam ochoty zadać tego pytania sobie samej. Być może dlatego, że za dobrze znałam odpowiedź.

Ograniczyłam się do wzruszenia ramion i uśmiechu, w założeniu enigmatycznego. Ale Sophia nie dała się nabrać na takie sztuczki. Za dobrze mnie znała.

Musiałam szybko skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. Szyldy mijanych właśnie kabaretów w samą porę przyszły mi z pomocą.

– Co z twoim tańcem? Masz na widoku jakieś nowe występy?

– Niespecjalnie. Wszędzie słyszę tylko o kryzysie. Mówię ci, nieraz mi się wydaje, że pomyliłam drzwi i weszłam do banku, zamiast do choreografa czy reżysera!

– A ten twój zespół z Neuilly?

– Zwinął się. Naprawdę jest taki zastój, że nawet mocno nadziane dziewczyny szukają szczęścia gdzie indziej.

– Ale masz z czego żyć, mimo wszystko?

– No, jakoś sobie radzę... – przytaknęła bez przekonania.

Niestety, dobrze wiedziałam, co w jej przypadku oznacza „jakoś”.

– Musisz brać więcej zleceń, o to chodzi?

– Mhm... – Uciekła mi wzrokiem między kolorowe neony.

– Dużo?

– No... ze dwa na tydzień.

Czyli znacznie powyżej górnej granicy, nieprzekraczalnej, jak przyrzekała sobie na początku. Czym jej to groziło? Co mogło zrobić z niej takie zajęcie, z założenia dorywcze, a teraz bez mała pełnoetatowe?

Mimo woli zmarszczyłam czoło. Martwiłam się o Sophię, czując, że nieprędko porzuci agencję. Tak jak wiele niebezpiecznych sytuacji, akceptowanych w przekonaniu, że będą tylko epizodem w naszym

życiu, ta tutaj trwała już dla Sophii zdecydowanie za długo. Epizod powoli stawał się samym życiem, jego treścią i sensem.

3

Paryż, grudzień 2008, osiem miesięcy wcześniej

Naprawdę nie potrafię sobie dzisiaj przypomnieć, w jakich okolicznościach po raz pierwszy usłyszałam od Sophii o przybytku pod nazwą Piękności Nocy, i nie jest to bynajmniej efekt mojej wrodzonej dyskrecji. Wydaje mi się, że ona sama w tamtej chwili jeszcze nie była jedną z nich. Wahała się, gubiła w domysłach, na czym dokładnie miałyby polegać usługi świadczone klientom przez agencję, wytrącona z równowagi i plotkami, i własnymi fantazjami. A te ostatnie przynajmniej częściowo brały się ze znanych nam obu książek i filmów o wymownych tytułach i nie mniej bulwersującej treści. Myślę tu oczywiście o klasyce, jak *Piękność dnia* Buñuela czy *Zbrodnie namiętności* Kena Russella, ale i o znacznie nowszych *Mes chères études* (Studentkach), mrocznej historii opartej na faktach.

Swoją drogą, skąd Sophia dowiedziała się o istnieniu agencji? Czy została tam wprowadzona jak do elitarnego klubu? Jeśli tak, to przez kogo? Zagadka. Dziwne, ale jakoś nigdy jej o to nie zapytałam. A jeszcze dziwniejsze, że nie pochwaliła się sama.

– Piękności Nocy, *Piękność dnia*... Zgoda, nie wysilili się za bardzo z tą nazwą – przyznała z właściwym sobie zmysłem krytycyzmu. – Ale czy ktoś oczekuje od nich ekstrakreatywności?

Dotarłyśmy pod bramę kamienicy, na oko dość zamożnej, w samym sercu Marais, przy jednej z uliczek odgraniczających gejowski sektor Paryża. Firmowa tabliczka przy domofonie nie precyzowała rodzaju działalności – równie dobrze mogłoby chodzić o sprzedaż poduszek, co o rekrutację tancerek do nocnych lokali. „Piękności Nocy, V piętro, na wprost" – ot i wszystko.

– A mnie się nawet podoba – próbowałam robić dobrą minę do złej gry. – Brzmi poetycko.

– Jesteś pewna, że chcesz tam wejść?

– So', przecież to tylko rekonesans. Przychodzę zasięgnąć informacji, nic więcej.

– Jak uważasz... Ale później nie będziesz mieć mi za złe, że wciągnęłam cię w coś wbrew twojej woli. Żeby wszystko było jasne.

Wymownie podniosłam oczy do nieba, dobywając z siebie gardłowy, nieco zbyt piskliwy głos, z którym walczyłam ze zmiennym szczęściem podczas ćwiczeń z dykcji, obowiązkowych na ostatnim roku moich dziennikarskich studiów. Brakowało mi już niewiele – za cztery–pięć miesięcy, z dyplomem w kieszeni, miałam ruszyć na podbój najbardziej prestiżowych mediów w kraju. Niczym uwspółcześniona (i damska) wersja Rastignaca, gotowa na wszystko, byleby ujrzeć własne nazwisko pod artykułem w gazecie albo w czołówce telewizyjnego programu.

– So', mam dwadzieścia dwa lata – powiedziałam dobitnie. – Naprawdę jestem dużą dziewczynką.

Mimo naszych niewielkich gabarytów z trudem zmieściłyśmy się razem do staroświeckiej windy. Jechałyśmy nią przytulone do siebie, bez mała wstrzymując oddechy.

– Proszę, proszę!

Drzwi otworzyła nam kobieta około pięćdziesiątki, wysoka, szczupła blondynka. Uderzyła mnie roztaczana przez nią aura wyrafinowanej elegancji – wbrew moim obawom nikt nie domyśliłby się w niej szefowej agencji towarzyskiej, albo mówiąc wprost, burdelmamy.

Wyciągnęła do mnie rękę w pierścionkach i bransoletkach, rozłożonych tak, jakby miały zakryć starcze plamy na skórze, co zresztą nie do końca się im udawało.

– Witam, Rebecca Sibony – przedstawiła się ochrypłym głosem nałogowej palaczki. – Jestem dyrektorką Piękności Nocy. Proszę za mną.

Szlak wytyczała smuga jej perfum, subtelna, a mimo to kusząca. Weszłyśmy do dużego gabinetu, umeblowanego z wyszukaną prostotą.

– Annabelle jest trochę... zdenerwowana –wypaliła ni stąd, ni zowąd Sophia, nie przejmując się moim zabójczym spojrzeniem. – Musi jej pani wytłumaczyć, czego naprawdę oczekuje się od dziewczyn rekrutowanych przez agencję.

Wyprężona na krześle, broniłam się z dziecięcą niezręcznością.

– Ależ skąd! Wszystko rozumiem!

W starych dżinsach, tu i ówdzie pracowicie pozszywanych, w znoszonych balerinach i z włosami od dawna tęskniącymi za fryzjerem musiałam wyglądać beznadziejnie w oczach tej światowej damy. Tego jeszcze brakowało, żeby Sophia dodatkowo robiła ze mnie pośmiewisko! Rebecca badawczym wzrokiem taksowała każdy centymetr kwadratowy mojej anatomii, po czym rozpoczęła monolog, z pewnością znany jej na pamięć.

– Moje dziecko, nie wiem, co pani o nas słyszała, ale idę o zakład, że niestworzone rzeczy. Naszą działalność, dla niektórych nazbyt kontrowersyjną, otacza niestety wiele przesądów i kontrowersji, z reguły zupełnie bezpodstawnych. Chodzi tymczasem o usługi bardzo proste, a przede wszystkim – chcę to podkreślić z całą mocą – absolutnie legalne: naszymi klientami są zamożni, samotni mężczyźni, zmuszeni z racji zajmowanych stanowisk do udziału w licznych imprezach, na których nie wypada im pokazywać się bez partnerki. Pani rola, jeśli dojdziemy do porozumienia, będzie się więc sprowadzać do ładnego stroju, uśmiechów przez cały wieczór – ale tak, żeby nie zwichnąć sobie żuchwy – i umiejętności podtrzymania towarzyskiej rozmowy, jeśli ktoś zapyta na przykład, co pani sądzi o najnowszym Woodym Allenie. Przyzna pani, że nie jest to specjalna filozofia.

„Dokładnie tak, jak mówiłam!" – zasygnalizowała mi Sophia wymownym gestem ręki.

Wszystko pięknie, ale przecież nie kto inny jak ona, moja przyjaciółka, opowiedziała mi też niedawno o pewnym spotkaniu zorganizowanym dla niej przez agencję, bynajmniej nie w kontekście elitarnej imprezy towarzyskiej. Epizod ten dostarczył mi zresztą mocnych argumentów przeciwko współpracy z Rebeccą Sibony, gdy Sophia napomknęła o niej po raz pierwszy.

– Normalna randka w ciemno, i to jaka! Czyste szaleństwo! – relacjonowała mi z ogniem w oczach.

– Co ty powiesz? Ale jak ty...

– Jak w filmach, Elle! Miałam się stawić w hotelu Raphaël o piętnastej, z naciskiem na punktualność co do minuty. Żaluzje i firanki w pokoju były już zaciągnięte, wyobrażam sobie, że personel

dostał dokładne instrukcje. Następnie musiałam rozebrać się do naga, położyć na łóżku i zgasić światło.

– A potem?

– Potem przyszedł mój klient, gdzieś po dziesięciu minutach.

– Nie zauważyłaś go, jak wchodził?

– Nie, to był apartament z przedsionkiem. Zobaczyłam tylko zarys sylwetki, już w drzwiach pokoju.

– Nie wydało ci się to nieco... straszne?

– Wręcz przeciwnie! To znaczy, na początku trochę zmarzłam, leżąc tak nago, bez ruchu. Ale on szybko się rozebrał i rozgrzał mnie w swoich ramionach.

– I kochaliście się od razu?

– Niezupełnie. Przeleżeliśmy obok siebie kilka minut, zanim zaczął mnie dotykać.

– I nic do ciebie nie mówił?

– Ani słowa. Ale za to jakie miał czułe ręce! Nikt mnie tak jeszcze nie pieścił, daję ci słowo. Natychmiast zrobiłam się mokra.

– Nie próbowałaś zobaczyć jego twarzy? Może facet wyglądał jak Quasimodo!

– Sądząc po tym, co udało mi się wymacać, raczej nie. Zresztą tak mnie dotykał, że mógłby to być E.T. we własnej osobie, a nie miałabym nic przeciwko.

– Do tego stopnia?

– Posłuchaj, przez dobry kwadrans masował mi pochwę. Palcami, nosem, językiem... Myślałam, że oszaleję! Lało się ze mnie ciurkiem! Miałam ze dwa albo trzy orgazmy, ot tak, jeszcze zanim we mnie wszedł. A to była tylko przystawka! Spędziliśmy w łóżku ponad trzy godziny.

– Dwa albo trzy orgazmy... – powtórzyłam w zamyśleniu.

– A do tego drań cudownie pachniał!

– Cudownie... czyli jak?

– Och, nie wiem, czymś bardzo słodkim. A jego penis, przysięgam, miał smak truskawek albo malin... Mogłabym go jeść przez cały dzień!

– So’!

– Co? Nawet sobie nie wyobrażasz... To tak jakby próbować kawioru z zawiązanymi oczami. Wszystko, co tracisz z braku wzroku, zyskujesz na innych zmysłach. Zwłaszcza powonienia i smaku.

– No dobrze, chyba rozumiem.

Ochrypły głos Rebekki przerwał nić moich wspomnień:

– Oczywiście, nasza firma cieszy się pewną renomą. Angażujemy i proponujemy klientom tylko dziewczyny ładne, młode, schludne, mówiące nienaganną francuszczyzną i nade wszystko kulturalne. Nie dostarczam przysłowiowych wieszaków ani paprotek... Ale sądząc po tym, co widzę i słyszę, nie mam wątpliwości co do pani kwalifikacji.

– I to naprawdę wszystko? – ośmieliłam się ją przycisnąć.

– Tak. To wszystko, do czego zobowiązuje panią umowa z nami, i wszystko, co fakturujemy klientom.

– Aha – przytaknęłam lakonicznie.

– Wydaje się pani rozczarowana. Czego pani oczekiwała?

Pytanie zabrzmiało wyniośle, jakby zadała je sama Uma Thurman w reklamie pewnego gazowanego napoju o dwuznacznej nazwie. Rebecca Sibony też umiała na swój sposób wymusić respekt na otoczeniu. Ale po chwili na jej twarzy dostrzegłam uśmiech, najpierw leciutki, ledwie dostrzegalny, tajemniczy jak u Giocondy. Gdy wreszcie wykluł się na dobre, dodała przyciszonym głosem, kręcąc palcami szybkiego młynka:

– Później... jeśli ten pan przypadnie pani do gustu, to już inna historia. Pani historia. Jest pani dorosła, tak samo jak on. A mnie tam nie będzie, żeby pilnować, jak się prowadzicie. To zresztą nie moja rola ani moja sprawa.

– Dokładnie tak, jak mówiłam – znów dodała Sophia, z pełną powagą.

Próbowałam zatrzeć w pamięci obraz mojej przyjaciółki w hotelowym apartamencie, nagiej, pogrążonej w ciemności i wydanej na pastwę tajemniczego casanowy smakującego owocami – ale wizja uparcie powracała.

– Nie zamierzam również zatrudniać wyłącznie pań w moim wieku, żeby z góry wykluczyć taki obrót rzeczy!

Deklaracji tej towarzyszyło lekkie westchnienie, tak jakby sama Rebecca nie dowierzała dramatycznej wymowie własnych słów. Po czym zaśmiała się gardłowo, na pograniczu kaszlu.

Komunikat był oczywisty: zostawiała nam pełną swobodę w zaciąganiu bogatych dżentelmenów do Hôtel des Charmes czy gdzie indziej po usłudze wykonanej w ramach umowy, ale nie chciała nic o tym wiedzieć ani słyszeć. Ta partia w całości należała do nas, włącznie z czasem, miejscem i honorarium, jak również wszelkim potencjalnym ryzykiem. Ostatni punkt wydał jej się godny rozwinięcia, więc sprecyzowała wyraźnie pod moim adresem:

– Nie odpowiadam za nic, co może się wydarzyć podczas takiego sam na sam. Od momentu, gdy zdecyduje się pani wejść z klientem do hotelowego pokoju, nie ma pani żadnej ochrony ani gwarancji z mojej strony. Żebyśmy się dobrze zrozumiały.

– A jeśli klient okaże się brutalny?

– Nie rób cyrku! – przerwała mi Sophia. – To są deputowani, adwokaci, prezesi... Żaden z takich typków nie zaryzykuje, że narobisz krzyku, nawet dla zabawy.

Czy na pewno dobrze usłyszałam: dla zabawy?

– Mniejsza o to – ucięła Rebecca. – Powtarzam: od chwili wejścia z klientem do pokoju jest pani sama, to znaczy zdana tylko na siebie. Cokolwiek zdarzy się za zamkniętymi drzwiami, ja nigdy nie przyjdę pani z pomocą. Rozumie pani? Nigdy.

– Tak – kiwnęłam głową.

– A gdyby jednak nieopatrznie przyszło pani do głowy wzywać mnie na ratunek albo wspomnieć o agencji komuś postronnemu, na przykład policji, uprzedzam: wyprę się, że kiedykolwiek widziałam panią na oczy. I oczywiście natychmiast zniknie pani z mojej kartoteki.

Ledwie przebrzmiały te słowa, jej twarz wypogodziła się i zmiękła, jakby po zdjęciu groźnej maski.

– No ale o czym my tu mówimy! Gratulacje, moje dziecko! I witaj wśród Piękności Nocy!

Następny kwadrans zajęło nam wypełnianie różnych papierów potwierdzających mój oficjalny i bezzwłoczny akces do agencji, jak również powtórka z wewnętrznego regulaminu, w który już wcześniej wtajemniczyła mnie Sophia. Składał się on głównie z zakazów i obfitował w określenia „nigdy", „nic" i „nikt" odmienianych przez wszystkie przypadki: nikomu nie opowiadać o swoich misjach, nawet rodzinie, przyjaciołom ani innym dziewczynom z agencji; nigdy nie wygadać jakiejkolwiek poufnej informacji pozyskanej od klienta; nigdy nie zdradzać tożsamości klientów; nigdy nie próbować ponownych spotkań z klientem poza zleceniami za pośrednictwem agencji i tak dalej.

– Sophia mówiła mi, że jest pani dziennikarką? – zapytała w końcu moja nowa szefowa, lekko podejrzliwym tonem.

– Tak... to znaczy, jeszcze nie. Kończę studia.

– Doskonale. Zatem, nigdy nie zobaczę w prasie najmniejszej wzmianki o naszym spotkaniu ani pani misjach... Nieprawdaż?

Jej hipoteza brzmiała jak groźba. Zaczynałam mieć dosyć tych podejrzeń.

– Proszę pani – odpowiedziałam nieco zniecierpliwionym tonem – potrzebuję pieniędzy, nie kłopotów.

– Doskonale! – ucieszyła się, podnosząc ręce do góry. – A więc, pojutrze przed południem, będzie pani wolna?

Zamurowało mnie na kilka sekund. Czy to możliwe, że już miała dla mnie klienta? Opierając się wyłącznie na słowach Sophii – tu wyobraziłam sobie, nie bez rozczulenia, jak Sophia gorliwie zachwala jej moją „arystokratyczną zmysłowość" i „seksapil panienki z dobrego domu" – pozwoliła sobie zakontraktować mnie któremuś ze swoich bywalców?

Gdy już marszczyłam brwi, niemile zaskoczona tak przyspieszonym biegiem rzeczy, Rebecca Sibony przeciwnie, rozchmurzyła się do reszty, wstała zza biurka i niemal matczynym gestem położyła mi na ramieniu swą długą, upierścienioną rękę.

– Załatwimy to wszystko, moje dziecko – rzekła poufale, lekko skubiąc palcami mój tani sweterek. – Pomogę pani. Pochodzimy razem po sklepach. Uwielbiam to!

– Po sklepach? – wyjąkałam.

Sophia nie spuszczała z nas oka i aż podskakiwała z radości na krześle, jak mała dziewczynka.

– Tak, zobaczy pani. Dwa–trzy zakupy i będzie pani olśniewająca!

Olśniewająca.

To określenie wydawało się pasować do mnie jak kostium za duży o trzy rozmiary. A jednak miałam za zadanie przyzwyczaić się do niego, i to szybko.

4

3 czerwca 2009

Odjazd z Paryża na przedmieście zawsze wywoływał we mnie rozdarcie, napełniał poczuciem pewnej degradacji. Atrakcyjność stolicy działała z potężną siłą na podlotka z Nanterre, jakim nadal byłam, tak że kolejka RER w kierunku zachodnim, łapana wieczorami na stacjach Les Halles, Opéra albo Étoile, nieodparcie kojarzyła mi się z wózkiem skazańca – z tą tylko różnicą, że zamiast jednorazowo kończyć drogę hańby na szafocie, odbywałam ją dzień po dniu.

Moja męka miała trwać aż do czasu, gdy będę mogła pozwolić sobie na wynajęcie samodzielnego mieszkania. Miałam w tej kwestii dawno podjęte i niewzruszone postanowienie: prędzej służbówka na szóstym piętrze bez windy w samym Paryżu niż komfortowe dwa–trzy pokoje poza nim. Chciałam być w sercu wielkiego miasta. W centrum wydarzeń. W centrum świata.

Tamtego wieczoru, ze świeżo podpisaną umową w kieszeni, jak zwykle wsiadłam do niebiesko-biało-czerwonego wagonu, którego wnętrze, włącznie z obiciem siedzeń, nosiło smętne ślady kolejnego aktu wandalizmu. Ledwie zajęłam miejsce, poczułam na sobie kilka spojrzeń, oczywiście męskich. Chociaż spotykało mnie to od dawna, upływ czasu wcale nie zmniejszał mojego zażenowania. „Nie rozumiem, na co się skarżysz! – dziwiła się nieraz Sophia. – Poczekaj, aż będziesz miała pięćdziesiątkę na karku i piersi obwisłe do kolan. Zobaczymy, czy wtedy nie zatęsknisz za podrywami w metrze”.

W oczekiwaniu na tę nieskończenie daleką i hipotetyczną zmianę podejścia każdy rzut oka w moją stronę nadal przyprawiał mnie o katusze. Obserwowana przez współpasażerów, żonglowałam ich zaciekawieniem, albo i pożądaniem ze zręcznością jednorękiego kaleki zmagającego się ze śliską rybą na talerzu. Nie wiedziałam, jak się zachować, nikt nie nauczył mnie reguł tej gry. Nie miałam więc innego wyjścia, jak wcisnąć się w siedzenie i udawać całkowitą

obojętność. Ignorowanie przypadkowych towarzyszy podróży, kontemplacja pejzażu za oknem – skądinąd tylko na końcowym odcinku, między stacją Nanterre Université a moją, kiedy to pociąg wynurzał się z podziemi – nie wystarczały, aby zniechęcić natrętów ani wybawić mnie z zakłopotania.

Tym razem mój błędny wzrok przypadkiem padł na pierwszą stronę dziennika „Le Monde", trzymanego w ręku przez pasażera obok, trzydziestolatka w korporacyjnym garniturze, ze skórzaną aktówką na kolanach. Wśród wielu tytułów wabiących dużymi literami zwłaszcza jeden przykuł moją uwagę.

– David... David Barlet – wymamrotałam półgłosem, odruchowo sięgając po cudzą gazetę.

Jej posiadacz natychmiast skorzystał z okazji.

– No, niezupełnie, mademoiselle... Nazywam się Bertrand Passadier. A pani?

Wyciągnął do mnie rękę, której nie dotknęłam, już zaciskając palce na dzienniku. Bez odpowiedzi na jego pytanie, tak jakby zdematerializował się zupełnie, zaczęłam czytać pierwsze linijki artykułu poświęconego szefowi prywatnej grupy audiowizualnej, grupy Barlet, od nazwiska właściciela, do której należał między innymi kanał informacyjny BTV, numer jeden pod względem oglądalności.

Mój sąsiad, tak źle potraktowany, za wszelką cenę próbował przypomnieć mi o swoim istnieniu. Chrząkał, wiercił się, przysuwał – wszystko na nic.

– Interesuje panią telewizja? – spytał wreszcie.

– Uhm... – mruknęłam, nie podnosząc wzroku.

– Jeśli pani chce, mogę doradzić bardzo dobre inwestycje w tej dziedzinie. Barlet może być, to solidna marka, ale na krótki termin znam znacznie lepsze.

Nie słyszałam nawet jednego słowa z jego gadaniny. Przeczytawszy pobieżnie artykuł omawiający strategię BTV w celu pozyskiwania widzów, nie zajmowałam się teraz niczym innym, jak kontemplacją portretowego zdjęcia Davida Barleta. Widziałam go już w telewizji i na medialnych stronach dodatków ekonomicznych, ale dopiero teraz uderzyło mnie jego zdumiewające podobieństwo do

dawno zmarłego Gérarda Philipe'a. Miałam wręcz wrażenie, że słyszę głos aktora, tak piękny, tak słodki, tak dobrze znany, który ze starego gramofonu mamy czytał mi w dzieciństwie *Małego księcia* czy *Piotrusia i wilka*.

O ile jednak wieczny młodzieniec francuskiego teatru i kina zawsze wydawał mi się delikatny i kruchy, o tyle David Barlet wręcz przeciwnie – z jego wizerunku emanowała siła, determinacja, przebojowość i niezłomna pewność sukcesu. Różnica kryła się przypuszczalnie w nieco bardziej kwadratowym zarysie twarzy i posturze godnej rugbysty. No i w spojrzeniu, które jakby wychodziło poza gazetowy papier i wzywało do podobnego przekraczania granic.

– ...nie więcej niż trzy–cztery procent rocznie, czyli tyle co nic... – ciągnął mój podrywacz, niezrażony brakiem jakiejkolwiek reakcji.

BTV. Oto gdzie powinnam uderzyć, gdy tylko zrobię wreszcie dyplom! Zachęcający gest Barleta z jego zdjęcia na pierwszej stronie dziennika kierował się wyraźnie do mnie, a przynajmniej tak mi się zdawało w tej chwili rozmarzenia.

Zgrzyt hamulców brutalnie sprowadził mnie na ziemię. Dokładnie przed sobą, za oknem wagonu, zobaczyłam niebiesko-białą tabliczkę z nazwą stacji: Nanterre Ville, Nanterre Miasto.

Moja stacja docelowa.

Bez namysłu poderwałam się z ławki, potrącając po drodze nogi Bertranda Passadiera, aby wyskoczyć na peron w momencie, gdy automatyczne drzwi pociągu już zamykały się z suchym trzaskiem. W środku mój chwilowy supirant odpływał w nicość, z zaskoczoną miną i czołem przyklejonym do szyby. Pomachałam mu gazetą, której nie omieszkałam porwać, obdarzając go tytułem rekompensaty bezradnym uśmiechem. W głębi duszy byłam jednak zadowolona i z siebie, i ze zdobyczy. Przenikliwy wzrok Davida Barleta ze zdjęcia na trzy gazetowe szpalty zdawał się gratulować mi tej bezczelności.

Do domu miałam z dworca dwa kroki, nie więcej niż trzysta, może czterysta metrów. Właściwie domku, segmenciku z cegieł, bez

ogródka – nie licząc kilku metrów kwadratowych tarasu nad ulicą – zdecydowanie wyższego niż szerszego ze swymi trzema kondygnacjami o mikroskopijnej powierzchni. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze mieszkałyśmy tu z mamą tylko my dwie i nikt inny, kto zakłóciłby spokojny rytm naszego życia.

Gdy mama zachorowała, starałam się więcej bywać w domu, na ile tylko pozwalały mi studia i dorywcze prace zarobkowe, żeby pomagać jej w drobnych codziennych czynnościach, które nagle stały się wyzwaniem: w sprzątaniu, zakupach, kuchni, toalecie...

– O, cześć, córeczko, jak tam? Byłaś na uczelni?

Mama zachowała włosy, ale jej cera wyraźnie poszarzała. Woskowy odcień bardziej uwidoczniał zmarszczki, a do tego zubażał mimikę, dawniej tak żywą i młodzieńczą. Była sobą, niemniej czasami z trudem rozpoznawałam w niej tę samą mamę, dla mnie zawsze najpiękniejszą na świecie, która mimo wszelkich niedostatków, włącznie z brakiem ojca, wypełniła moje dzieciństwo miłością i poczuciem bezpieczeństwa.

Teraz zdarzały się dni, że w ogóle nie zdejmowała starego atłasowego szlafroka i sam ten pozornie drobny fakt potrafił wycisnąć mi łzy z oczu. Nie, nigdy w jej obecności – później, gdy zamykałam się w moim pokoiku.

– Nie... Sophia chciała ze mną porozmawiać. Mówiła, że jedna z jej znajomych miałaby dla mnie pracę.

– Coś ciekawego?

– Tak... Nie... Jeszcze nie wiem.

Mama ciągle mi dziękowała, głośno winszowała sobie takiej dobrej córki, wychwalała mnie pod niebiosa przed każdym możliwym słuchaczem. „Tyle jest niewdzięcznych dzieci w naszych czasach” – powtarzała jakby zdumiona własnym szczęściem. Ja tymczasem pamiętałam po prostu wszystkie te dni, kiedy wychodziła do pracy bladym świtem, na palcach, żeby mnie nie obudzić, wszystkie te Gwiazdki, kiedy bez grosza w kieszeni udawało jej się zrobić ze mnie małą księżniczkę... aż do tych prestiżowych studiów za cenę jej najwyższych wyrzeczeń, i to w wieku uprawniającym już do większej troski o siebie niż o innych. Dlatego też, na miarę moich skromnych

środków, starałam się wspierać ją, jak tylko mogłam, a czasem nawet trochę rozpieszczać.

– Zobacz, mamuś, co ci przywiozłam.

Podałam jej białe pudełko z cukierni, przewiązane turkusową wstążeczką.

– A cóż to takiego? – W oczach mamy zalśniły ciekawość i łakomstwo.

– Wybór makaroników z czerwonymi owocami: truskawką, maliną, czereśnią...

Dodatkowego, wyjątkowego smaku dodawało wszelkim łakociom pochodzenie prosto z Paryża. Przyznaję, nieraz oszukiwałam, kupując ciastka już po wyjściu z kolejki i przekładając je dla niepoznaki do paryskiego pudełka, które specjalnie w tym celu woziłam ze sobą. Liczyła się jednak nie tyle marka, ile ten mały rytuał zacieśniający naszą organiczną więź.

Natarczywy dzwonek do drzwi przerwał nam bezcenną chwilę. Félicité, stara domowa kotka, wtulona w moje nogi, odpowiedziała intruzowi leniwym pomrukiem.

– A niech to, na śmierć zapomniałam... Dzwonił Fred, zapowiedział, że wpadnie po ciebie dziś wieczorem. To na pewno on.

Tłumiąc niechęć, podeszłam do drzwi, za którymi rysowała się sylwetka w kasku, usadzona okrakiem na tysiącu jeszcze ciepłych centymetrów sześciennych czarnego motocykla. Fred, nic dodać, nic ująć. Mój chłopak od trzech lat, jedyny oficjalnie przedstawiony mamie. Fred Morino, technik dźwięku na bezrobociu, amator sztuk walki i dużych silników, chudy blondas odziany w skórę, którego główną zaletą było cierpliwe wysłuchiwanie moich skarg przez cały okres studiów. Fred, ukochany na miarę scenerii i okoliczności, naburmuszony, zbuntowany, w stanie permanentnej wojny z sobą samym i resztą świata.

– Cześć, ślicznotko! Nie jesteś gotowa?

– Gotowa na co?

– No... na kino! Seans za niecałe dwadzieścia minut, na Défense. Mama ci nie mówiła?

– Nie.

– No trudno. Tak czy owak, pospieszysz się?

– Fred... Nie mam dzisiaj nastroju. Zostanę z nią w domu.

Bez odwracania się czułam wzrok mamy na nas obojgu, przez witrażowe szybki drzwi wejściowych.

– Ma wznowę? – zapytał rzeczowo, nawet nie udając empatii.

– Nie... To ze względu na mnie. Naprawdę nie mam ochoty.

Motocyklista przypatrywał mi się przez chwilę, później szerszym spojrzeniem omiótł nasz segmencik.

– Nie zostawiłabyś mnie tak pół roku temu, co?

W tym pytaniu nie było zjadliwości, raczej prośba o wyjaśnienia, o choćby najgorszą prawdę.

– Pół roku temu moja mama nie była umierająca, Fred – wycedziłam przez zęby, z obawy, żeby nie usłyszała.

– Ale pamiętasz, że już-już mieliśmy razem wynająć mieszkanie?

Nie rozpaczał, po prostu wyliczał swoje żale. A ja, co tu kryć, w miarę upływu czasu, w miarę, jak zmieniało się moje życie, wynajdywałam coraz to nowe powody do kłótni.

Mieszkanie dla nas dwojga, oczywiście. Szczyt marzeń, dwa pokoje z wygodami, których kilka faktycznie zdążyliśmy obejrzeć tu, w Nanterre. Dokładnie to, czego już nie chciałam.

– Dobrze wiesz, że mnie na to nie stać – wykręciłam się. – Żeby opłacić mamie leczenie w Ameryce, muszę zebrać...

– ...dwadzieścia pięć tysięcy euro, wiem – przerwał mi znudzonym tonem. – Mówiłaś mi sto razy.

Dwadzieścia pięć tysięcy euro. Tyle kosztowała terapia genowa, innowacja ostatniej szansy, praktykowana w jednej jedynej klinice na świecie, w Los Angeles. Oferta dla milionerów i gwiazd z pobliskiego Hollywood. Życie miało swą wymierną cenę – ale życie mojej mamy było bezcenne, przynajmniej dla mnie. Zrobiłabym wszystko, żeby ją ratować.

Na przykład podjęłabym pracę w Pięknościach Nocy, oczywiście bez jej wiedzy – co właśnie uczyniłam.

– Więc powtórzę po raz sto pierwszy: dopóki nie zbiorę tej sumy, każdy jeden cent moich zarobków będzie przeznaczony tylko na to.

Pokiwał głową, nagle nastawiony bardziej pojednawczo.

I pomyśleć, że tak szaleńczo pragnęłam tego ciała. I pomyśleć, że jako jeden z pierwszych został dopuszczony do mojej intymności. Że

to on przyprawiał mnie o motylki w brzuchu, trącając tajemnicze struny pożądania. Nie byłam w stanie wykrzesać z siebie tamtych uniesień. Teraz widziałam tylko żałosnego motocyklistę, żebrzącego błagalnym wzrokiem o resztki czegoś, co bezpowrotnie minęło.

– W porządku, ale to ci chyba nie zabrania dać się zaprosić do kina przez twojego mężczyznę, co?

– Nie dzisiaj... Proszę cię, nie nalegaj.

Dołączyłam do tej prośby nieco zdawkowy gest pogłaskania go po przedramieniu. Stanowczo, acz nie brutalnie odepchnął moją rękę.

– Ale ja wiem, co się z tobą porobiło, Elle – podjął znów, zaczepniej.

– Ach, tak?

Dyskretny szmer za plecami dał mi do zrozumienia, że mama stoi już w przedsionku, zaledwie kilka stopni od nas.

– To nie choroba Maude. To twoje pieprzone dziennikarstwo.

– Co za bzdury...

– Tak, tak, te wszystkie burżuazyjne maminsynki, twoi ulizani koledzy, co czytają „Le Monde diplomatique", a wkrótce będą nam tłumaczyć w telewizorze, jak trzeba aktywnie szukać pracy! To oni przewracają ci w głowie!

– Do diabła, Fred... nie mam przewrócone w głowie, jestem wykończona!

Sophia nie ujęłaby tego lepiej. Odkąd nasze drogi rozeszły się pod koniec edukacji w Nanterre, czułam przy niej tę samą klasową przepaść, to samo pęknięcie społeczne – *fracture sociale* – używając ulubionego określenia Jacques'a Chiraca. Dla nich obojga byłam renegatką, która niepomna własnych korzeni przez ambicję pcha się w szeregi możnych tego świata. Nie żyło mi się lżej niż Sophii i Fredowi, ale na swój sposób już przeszłam do wrogiego obozu.

– I o co chodzi?!

Zmieniony głos mamy dobiegł mnie zza pleców. Uczepiona poręczy drżącą ręką, chwiała się na schodach, mimo wszystko gotowa rzucić się na Freda.

– To grzech, dążyć do sukcesu? Co? A ty, czego chcesz? Żeby moja córka spędziła życie na tylnym siodełku twojego motoru? To dla niej planujesz?

– Maude, ja...

– A dalej co? Zrobisz jej dwójkę dzieci i w końcu puścisz ją kantem, z nienawiści do siebie i własnych porażek?

– Mamo...

Objęłam ją za barki i próbowałam odprowadzić do środka. Oczywiście, wzruszyła mnie jej odsiecz: nawet w obecnym stanie myślała tylko o mnie, jak zawsze. Czułam jednak, że to ponad jej siły. Nie chciałam przykładać ręki do jej wyczerpania, ani też chować się za nią. Zerwanie z Fredem Morino było moją sprawą. Tylko moją.

Przez uchylone drzwi dosłyszałam warkot uruchamianego motocykla. Fred odjechał bez dalszych pytań, w ogłuszającym ryku koni mechanicznych. Może zastępczo wyrażały jego ból – a może ryczał razem z nimi.

Podróż kolejką w przeciwną stronę nazajutrz rano była zdecydowanie radośniejsza. Rebecca Sibony dotrzymała słowa i SMS-em wysłanym jeszcze poprzedniego wieczoru zapraszała mnie na zakupy – czyli jak sama to ujęła, na seans „oprawiania" mojej urody.

Ledwie ruchome schody wytoczyły się na bulwar Haussmanna, od razu rzuciła mi się w oczy jej długa, żurawia sylwetka. Z papierosem w ustach i komórką przy uchu, krążyła tam i z powrotem przed wejściem do domu towarowego Printemps. Powitała mnie porozumiewawczym mrugnięciem i nieco drapieżnym uśmiechem, który mógł mówić tylko jedno: „Ach, moja śliczna, zrobimy z ciebie prawdziwą kobietę!".

Według Rebekki chodziło tego dnia wyłącznie o zakup podstawowego ekwipunku, niezbędnego do moich misji. Obejmował on trzy pełne zestawy: jeden na dzień tudzież oficjalne okoliczności w rodzaju wręczania odznaczeń czy nominacji (garnitur Zadig et Voltaire w kolorze antracytu, czarna bielizna Aubade widoczna spod marynarki, naszyjnik z syntetycznych pereł Agatha); drugi na koktajle i kolacje w ściślejszym gronie (obcisła czarna suknia od Armaniego, głęboko wycięta na plecach, purpurowa bielizna Lejaby, kolczyki Fred z gamy kamieni półszlachetnych); ostatni na wielkie gale i bale (suknia z połyskliwym odcinanym stanem Jean-Paul

Gaultier, perłowo-szara bielizna La Perla, bransoletka i diadem Bulgari). Dodajmy do tego trzy pary czółenek na obcasach rosnących skokowo w kolejnych przedziałach godzinowych: od sześciu centymetrów w dzień przez dziewięć wieczorem do dwunastu w nocy.

Jeszcze zanim dotarłyśmy z tym wszystkim do kasy, przełknęłam ślinę i zebrałam się na odwagę:

– Rebecca, jestem zachwycona, ale...

Jej uniesiony w górę palec dał mi do zrozumienia, że czekała na ten moment.

– O nic się nie martw, moje dziecko. To zaliczka ze strony agencji.

Wyraźnie mówiła o zaliczce, nie o prezencie.

– Przecież ja nigdy nie będę w stanie spłacić takiej sumy!

– Spokojnie, nie wyjmiesz z kieszeni nawet centa.

W jednej chwili spłynęło na mnie olśnienie. Niczym dilerzy narkotyków czy przemytnicy nielegalnych imigrantów Rebecca udzielała swoim rekrutkom hojnych zaliczek na poczet ich przyszłych zysków – i tym samym wciągała je w pułapkę.

– Potrąci pani tę zaliczkę z moich pierwszych zarobków, czy tak?

– Zgadza się.

– I dopóki nie spłacę całości, będę pracować dla pani za darmo?

Przyjrzała mi się uważnie, po czym wydała z siebie ten sam drapieżny śmiech:

– No proszę, z przyjemnością stwierdzam, że jesteś nie tylko ładniejsza, ale i bystrzejsza z was dwóch!

Być może, co nie zmieniało faktu, że odtąd należałam do niej.

Wystarczyło jednak, że nieznoszącym sprzeciwu gestem wcisnęła mi w ręce eleganckie pakunki, abym zobaczyła wszystko w innym świetle. Moje pierwsze w życiu markowe kreacje z zatrutego daru zmieniły się w obietnicę, wręcz zapowiedź świetnej przyszłości. Życia, w którym takie szaleństwa będą dla mnie chlebem powszednim, i to nie za cenę niewoli u Rebekki Sibony czy kogokolwiek.

Fred miał rację. Naprawdę przeszłam już na drugą stronę. Co więcej, nie miałam najmniejszej ochoty wracać do punktu wyjścia.

5

Kwiecień 2009

– Może pani otworzyć oczy, Elle.

Jak udało mu się dokonać tego cudu? W ciągu zaledwie dwudziestu sekund duża sala bankietowa, z dobrą pięćdziesiątką gości i liczną obsługą, opustoszała całkowicie. Byliśmy teraz zupełnie sami, tylko my dwoje, wśród złoconych talerzy i niedopitych kieliszków szampana, oświetlani jedynie chwiejnymi płomykami świec. Ich długi korowód obiegał wszystkie stoły, chociaż chwilę wcześniej nie zauważyłam żadnej, a paliły się elektryczne kinkiety. Z saloniku obok doszły mnie nagle krystaliczne dźwięki klawesynu, sączące jakąś dawną muzykę, być może Rameau.

– Jak... Jak pan to zrobił?

On i jego pieszczotliwy głos, zachwycający mnie od zawsze u odtwórcy Cyda i Fanfana Tulipana. Według mojej własnej teorii typ fizyczny determinuje tembr głosu, który w efekcie brzmi mniej więcej tak samo u różnych, choć podobnie zbudowanych ludzi. Ale tylko do pewnego stopnia: głos Davida Barleta nie zadowalał się imitowaniem Gérarda Philipe'a. Zawierał dodatkowe, głębsze i niższe tony, wiszące w powietrzu jeszcze przez jakiś czas po wypowiedzeniu ostatniego słowa. Był równie młodzieńczy, jak niezapomniany pierwowzór, nie mniej zdolny wywołać w słuchaczu dreszcze godne basu czy barytonu. Jednoczył w sobie lekkość i gęstość, dźwięczność i powagę.

Teraz już wiem: głos mężczyzny, nic, tylko głos, może wzbudzić we mnie nieodparte pożądanie. Jego głos jest rodzajem wibratora, drażniącego moją łechtaczkę przy każdym zdaniu.
~~Właśnie, ciekawe, czy istnieje w wersji Rabbit...~~
(Anonimowa odręczna notatka z 15.04.2009. Jeśli chodzi o głos Davida, nie mogę zaprzeczyć...).

Minutę wcześniej – a znaliśmy się wtedy nie dłużej niż pół godziny – poprosił, żebym zamknęła oczy. Zdążyłam tylko dostrzec, że szeptał coś do ucha majordomusowi we fraku, a naszym najbliższym sąsiadom przy stole podał wizytówkę z kilkoma pośpiesznie skreślonymi słowami. I oto po chwili stał się cud. David posiadał tę magiczną zdolność. Moc czarodzieja. Wszechwładzę, co do której nie miałam tamtego wieczoru najmniejszych wątpliwości.

Po seansie zakupów sponsorowanych przez Rebeccę zaczęłam regularną współpracę z agencją, w rytmie od jednego do dwóch zleceń na tydzień. Zgodnie z jej zapowiedzią podczas naszego pierwszego spotkania rzeczywiście polegały one głównie na tym, że wystrojona w któryś z moich „służbowych" uniformów na kolejnych imprezach tyleż świetnych, co bezsensownych dotrzymywałam towarzystwa panu dwa lub trzy razy starszemu ode mnie. Obnosiłam „nogi do samego pasa", wydłużone niebotyczną wysokością obcasów, trzymałam się prosto, wypinałam pierś – słowem, starałam się, jak mogłam. Chociaż z większości takich wieczorów wiało śmiertelną nudą, miałam przynajmniej okazję zobaczyć kilka pięknych wnętrz – prywatnych rezydencji, ministerstw, muzeów, innych elitarnych adresów – a czasem wyłapać z towarzyskiej paplaniny jakąś niedyskrecję i skrzętnie zanotować ją w pamięci, jak przystało na świeżo upieczoną dziennikarkę.

Niewielu współbiesiadników wypytywało o mnie samą. Najczęściej zadowalali się komplementowaniem mojego stroju, elegancji, rzekomego wdzięku – doskonale świadomi charakteru, w jakim towarzyszyłam ich rozmówcy. Nie przejmowałam się redukcją do roli ozdobnego trofeum; nie zagrażała ona mojemu poczuciu własnej wartości. Cierpliwie grałam komedię, inkasowałam czeki i dbałam tylko o to, żeby nie wciągnąć się w tę grę bardziej, niż na to zasługiwała.

– Chodzisz na te swoje castingi, i co? – zapytała Sophia kilka godzin wcześniej.

Albowiem wreszcie zrobiłam dyplom i odtąd niestrudzenie biegałam po wszystkich paryskich stacjach telewizyjnych w poszukiwaniu pracy animatorki. Branża audiowizualna była moim priorytetem – zdecydowałam, że dopiero w drugiej kolejności będę rozważać zaczepienie się w radiu albo prasie drukowanej. Na razie nie pomijałam żadnej anteny, żadnego programu, nawet najmniej oglądanego – metodycznie obchodziłam jedne po drugich. Moje próbne prezentacje nie wydawały mi się gorsze od konkurencyjnych, ale za każdym razem odrzucano mnie z tym samym werdyktem: brak doświadczenia.

– Ciekawe, jak zdobyć doświadczenie, nie mając po temu żadnej okazji... Przecież to absurd! – piekliłam się przed przyjaciółką.

– Co zrobić, tak jest wszędzie... Ode mnie też wymagają pierwszej młodości i jednocześnie CV na miarę gwiazdy wycierającej parkiety od piętnastu lat.

– „Brak doświadczenia”... już ja wiem, co to znaczy naprawdę.

– Tak? A co?

– Brak pleców.

Sieć koneksji, jedno przyjacielskie słówko zdolne zrobić wielką różnicę, „podsyłanie sobie windy na górę”, jak mówił nie pamiętam który komik... Specyficzna francuska choroba, za której sprawą elity mnożyły się nam szybciej niż szczury w metrze, ale zawsze we własnym kręgu, wsobnie, za drzwiami zamkniętymi przed całą resztą. Przed dziewczynami takimi jak Sophia i ja, bez nazwiska, bez środków, bez poparcia.

Powoli docierało do mnie, że pozbawiona tych atutów nie mam najmniejszych szans na wymarzoną karierę.

– Jest pani zachwycająca!

Usłyszałam ten komplement przy wejściu do rezydencji X, w bardzo szykownej VII dzielnicy, z ust partnera na najbliższy wieczór, któremu miałam towarzyszyć w spotkaniu absolwentów HEF, paryskiej Wyższej Szkoły Finansów. W korowodzie moich ostatnich klientów ten tutaj następował po dentyście na kongresie, dyplomacie na oficjalnym przyjęciu, kilku szefach spółek giełdowych i najliczniejszej grupie menedżerów wyższego szczebla, chcących

zrobić wrażenie na dyrekcji i kolegach podczas dorocznego firmowego bankietu.

– Dziękuję, to miłe z pana strony – odpowiedziałam zdawkowo, zajęta poprawianiem stroju numer dwa: sukni od Armaniego, niebezpiecznie zsuwającej mi się z dekoltu.

– To szczere.

François Marchadeau, renomowany dziennikarz prasy ekonomicznej, wyglądał zdecydowanie powyżej średniej z moich najświeższych misji: mniej łysy, mniej brzuchaty, postawny brunet około czterdziestki, w garniturze dobrze podkreślającym muskulaturę. Musiał o siebie dbać i najwyraźniej dobrze mu to wychodziło.

– Wie pani, gdzie jesteśmy? – zapytał, biorąc mnie pod rękę w drodze do sali bankietowej.

– Na zlocie absolwentów.

– Tak, ale chodzi mi o okazję. Czy wie pani, co dziś celebrujemy?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo...

– HEF jest z pewnością mniej znana niż HEC i inne wielkie szkoły, ale większość baronów z indeksu CAC 40 wyszła właśnie z niej. Zobaczy tu pani elitę francuskiego biznesu. A co najciekawsze, prawie wszyscy pochodzą z tych samych dwóch lub trzech roczników naszej uczelni.

Gdy wtajemniczał mnie w te szczegóły, prezeska stowarzyszenia przedsiębiorców, znana mi z telewizora, pozdrowiła go przyjacielskim gestem, już z kieliszkiem szampana w ręku.

– A pan, kim pan jest w tym towarzystwie?

– Cóż, oni wszyscy uważają mnie za nieudacznika... Poniekąd słusznie, bo chyba tylko ja jeden z tu obecnych nie mam konta na Kajmanach ani willi w Gstaad.

– W takim razie po co pan tu przyszedł? Żeby dać się upokarzać?

Moja bezpośredniość wywołała uśmiech na jego twarzy, lekki i pozbawiony goryczy.

– Po to, moja piękna damo, że potrzebuję informacji, które wyciągnę od nich po kilku głębszych, i będę miał o czym pisać. Z kolei oni potrzebują mnie, żebym pochwalił ich strategie antykryzysowe, dla uspokojenia władz i akcjonariuszy.

– Czyli pełna symbioza?

– Otóż to.

I faktycznie, już podczas aperitifu miałam okazję usłyszeć o nowym programie socjalnym wdrażanym przez koncern samochodowy, o bliskim rzuceniu na rynek rewolucyjnego tabletu przez koncern z branży IT i o kilku innych pomysłach jeszcze nieznanych szerszej publiczności. Udawałam rzecz jasna, że puszczam te rewelacje mimo uszu, nie wychodząc z roli naiwnego dziewczęcia – ale usilnie starałam się je zapamiętać, tak na wszelki wypadek, z dziennikarskiego odruchu ćwiczonego przez całe studia.

Niestety, ekscytacja z pierwszej godziny w drugiej ustąpiła miejsca znużeniu. A gdy w końcu przeszliśmy do stołu, myślałam już tylko o tym, żeby urwać się stąd jak najszybciej, zaraz po przełknięciu ostatniego kęsa *vacherin à la rose*.

W jednym z moich nawracających erotycznych snów jestem zaproszona na bardzo oficjalne przyjęcie. Dla zabawy, ale i prowokacji, nie zakładam bielizny pod sukienkę, na tyle obcisłą, że zdradza ów brak. Zwłaszcza brak majtek. Każdy przeciąg wnika przez cienki jedwab w moją odsłoniętą szparkę, muskając łechtaczkę leciutką pieszczotą.

Coraz bardziej natarczywym wzrokiem wbitym w sterczące części mego ciała mężczyźni sygnalizują mi, że widzą, co się święci... Podnieca ich to tak bardzo, że mimo obecności żon i partnerek zaczynają dotykać mnie w przejściu, niby przypadkiem ocierać się o moje piersi, uda, pośladki... Ich zmasowane pragnienia mają moc czarodziejskiej różdżki. We własnych oczach jestem nieskończenie piękniejsza niż w rzeczywistości.

W końcu przestaję krążyć między nimi, nieruchomieję na chwilę i nagle czuję czyjąś rękę między nogami, pod suknią. Dwa palce rozchylają mi wargi sromowe i obwodzą wlot do pochwy, natychmiast lepkiej i mokrej z podniecenia... Budzę się w momencie, gdy te palce stanowczo wdzierają się w głąb mnie i jest to przebudzenie tak brutalne, że aż bolesne. Rozpaczliwie pragnę być wzięta... i w tym śnie, i na jawie.

(Anonimowa odręczna notatka z 18.04.2009).

– Idę o zakład, że to wszystko pasjonuje panią znacznie bardziej, niż pozwala sobie pani okazać. Nie mam racji?

Usłyszałam ten niepowtarzalny głos, jeszcze zanim go zobaczyłam... Bezszelestnie zaszedł mnie od tyłu; pochylał się nad moim barkiem. Drugie wrażenie wywołane jego bliskością dotarło do mnie przez nos: był to zapach równie subtelny, co silny, zadziwiający bukiet nut kwiatowych i jakby skórzanych, z tuberozą w sercu, być może też irysem. Nigdy nie wąchałam podobnych perfum, musiało chodzić o kompozycję na indywidualne zamówienie. Tak jak głos, tak i ten zapach idealnie łączył w sobie świeżość i siłę.

Wyciągnął do mnie dużą, mocną rękę i dopiero wtedy po raz pierwszy spojrzałam mu w twarz.

– David Barlet.

– Ann... Elle.

– Annelle? – powtórzył z uwagą. – Czy Ana-ëlle?

Zapytał o to życzliwie, może z leciutką domieszką ironii – ale nawet jeśli, jego zniewalający uśmiech z góry wykluczał choćby cień urazy z mojej strony.

Rebecca radziła mi, żebym używała pseudonimu podczas moich misji. Wszystkie dziewczyny tak robiły – Sophia na przykład z przyjemnością zmieniała imiona, niemal za każdym razem przedstawiając się inaczej, jako Brenda, Zoé czy Kleopatra. Ja jednak wolałam pozostać przy moim zwykłym zdrobnieniu, na tyle enigmatycznym, by pobudzać wyobraźnię tych panów, i na tyle oswojonym przeze mnie samą, żeby nie pomylić się ani nie zdradzić.

– Nie, Elle... jak magazyn. Anne to moje drugie imię – zmyśliłam na poczekaniu.

Fakt, że na tym nudnym wieczorze akurat on nagle wynurzył się przede mną, jakby zszedł z własnego zdjęcia w „Le Monde" sprzed kilku tygodni, zakrawał na cud. Miałam ochotę upewnić się dotykiem, że jego obecność przy mnie jest rzeczywistością, a nie snem... Okazja nadarzyła się na szczęście sama – przecież wyciągał do mnie rękę, więc uścisnęłam ją tym gorliwiej.

– Powinienem częściej przeglądać prasę kobiecą – mruknął półżartem.

– Powiedziałam to ot tak – speszyłam się. – Ja właściwie też nie czytam takich pism.

– Tak? A co pani czyta?

Jak na zawołanie, brodacz po mojej lewej stronie gdzieś się ulotnił, zostawiając wolne krzesło. David opadł na nie miękko, nie spuszczając ze mnie lazurowego wzroku ani nie przerywając rozmowy – z pewnością świadomy, jaki efekt wywiera każde jego słowo.

– Czy ja wiem... Dzienniki, tygodniki opinii...

Żeby tylko nie wyjść na fankę, nie wspomnieć o artykule w „Le Monde”!

– Ale nie uwierzę, że czyta pani szmatławca naszego przyjaciela François? – zapytał na tyle głośno, że zainteresowany musiał usłyszeć.

Niby pogrążony w rozmowie z sąsiadką z prawej, mój kawaler odwrócił się od razu, z uśmiechem światowca na twarzy.

– Niech pani nie słucha tego starego lisa! To niespełniony dziennikarz! Już wtedy, za studenckich czasów, wyróżniał się najgorszym piórem z nas wszystkich.

– To prawda – zgodził się Barlet, ze złośliwym błyskiem w oku. – Nie musiałem podrywać koleżanek na moje, pożal się Boże, wierszydła. Miałem za to inne atuty.

– No tak – dodał po chwili – na polu liryki miłosnej, owszem, bardzo prestiżowym, ale jednym jedynym, oddaję ci palmę pierwszeństwa, mój drogi François.

Wspólny śmiech zakończył ten krótki pojedynek na słowa i David znów zwrócił się do mnie:

– Proszę mi zaraz wszystko opowiedzieć, Elle: jak się poznaliście z tym chudym literatem Marchadeau?

– Ja...

Nie byłam przygotowana na takie śledztwo. Najbardziej bałam się rzecz jasna, że mój klient zdradzi łączący nas sekret – ale Marchadeau, chociaż czułam za plecami jego obecność, niechybnie skupioną na naszych słowach, na szczęście milczał jak zaklęty.

Zostawiał mi swobodę w zmyśleniu względnie wiarygodnej historii i musiałam zaimprowizować ją sama. Natychmiast. A jak wiadomo, najlepsze kłamstwa, takie, w które można brnąć dość długo bez obaw o demaskację, zawsze powinny zawierać przynajmniej część prawdy – powiedzmy, mniejszą połowę. Wzięłam oddech.

– Jestem studentką dziennikarstwa.

– CELSA?

– Nie, CFJ. To znaczy, właśnie skończyłam studia. Odrabiałam staż w redakcji pana Marchadeau.

– I zaczęliście sympatyzować – zasugerował.

– Można tak to nazwać.

Wzrok Davida, dotąd czuły i pieszczotliwy, nagle oderwał się ode mnie, aby przeszyć dawnego kolegę. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, biedny François padłby trupem na miejscu... Nie padł, ale salwował się ucieczką – a i ja poczułam się nieswojo wobec człowieka o tak dwoistej naturze, jednocześnie delikatnej i pełnej agresji. David w jednej sekundzie był kojący jak balsam, aby w drugiej zmienić się w zjadliwe żądło. Dopiero w tym momencie moje zauroczenie zelżało na tyle, że mogłam dostrzec innych uczestników bankietu – a wszyscy oni, kobiety i mężczyźni, krążyli wokół nas niczym ćmy przyciągane przez światło. Chociaż z pewnością byli na tej sali ludzie dorównujący Davidowi pozycją czy fortuną, każdy ze zgromadzonych zdawał się łaknąć kontaktu tylko z nim, szukał jego zainteresowania, jego czasu wyłącznie dla siebie. Towarzystwo garnęło się więc ku nam – a ja, dopuszczona tak blisko, wyraźnie czułam falę zazdrosnej niechęci, wzbierającą z minuty na minutę, w miarę jak przedłużało się moje niesłychane wyróżnienie.

„Co to za jedna? Znasz ją?”.

„Pierwszy raz widzę ją na oczy. Ale nic szczególnego, nie sądzisz?”.

Dolatywały mnie te szmery. Za kulisami, a może i tuż obok, padały złośliwości pod moim adresem, oczywiście w kontekście Davida Barleta. Bo kim byłam, żeby tak bezczelnie zawłaszczyć sobie gwiazdę wieczoru? Jak śmiałam? Czy nie powinnam była sama z siebie skrócić pogawędki z medialnym księciem i ustąpić miejsca innym chętnym?

– A teraz gdzie pani pracuje?

David tymczasem nie przestawał poświęcać mi całej swej bezcennej uwagi, jakby nic sobie nie robił z gęstniejącej wokół nas atmosfery.

Byłam tak oszołomiona, że nadal nie chwytałam szansy podsuwanej mi przez życie. Może przytłaczał mnie jej ogrom, a może fascynacja mężczyzną siedzącym obok mnie brała jednak górę nad wszystkim.

– Hm... na razie się rozglądam. Daję sobie czas.

– Ach, tak. Czyli reasumując... nie ma pani nic.

W normalnych warunkach natychmiast chciałoby się spoliczkować autora tak bezapelacyjnego werdyktu. Dlaczegóż zatem nie zareagowałam, nadal głupawo uśmiechnięta, niezdolna do najmniejszego odruchu urażonej dumy?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, David powoli uniósł rękę w stronę mojej twarzy i przykazał zniżonym głosem:

– Proszę zamknąć oczy.

– Przepraszam?

– Powtarzam: niech pani zamknie oczy. Tylko na chwilę.

– Co pan...?

– Nie ma się czego bać – uspokoił mnie z tą samą charyzmą urodzonego czarnoksiężnika.

Seans magii nie trwał jednak długo. Marchadeau w końcu zjawił się w półmroku jadalni, najwyraźniej pragnąc odzyskać swoją własność, za jaką miał prawo mnie uważać, przynajmniej tego wieczoru. Być może uznał to za okazję, żeby odegrać się na potentacie albo zaznaczyć, że niezależność prasy nie umarła jeszcze całkowicie.

Tym razem David okazał mu łaskawość.

– Popatrz, François, zawsze oburzał mnie wyzysk stażystek, a przez ciebie przyjdzie mi kiedyś zmienić zdanie. Zwłaszcza jeśli będziesz wybierać je tak dobrze.

– Czyżbyś podzielał mój gust, co? – mruknął Marchadeau, nie bez irytacji.

Wyobrażałam sobie, jak chętnie ujawniłby prawdę – ale znów okazał się dżentelmenem, zachowując ją dla siebie.

– Do zobaczenia, Elle.

David wyciągnął do mnie rękę, w której już trzymał wizytówkę. Gest ten podciągnął do góry rękawy marynarki i koszuli, na chwilę odkrywając przedramię. Moim oczom ukazała się jedwabną opaska w kolorze perłowym, umocowana dyskretną, ale mocno zaciśniętą sznurówką. Wpatrywałam się w ten dziwny ornament o sekundę za długo i David nagle zaczął mnie pospieszać.

– Jeśli nie weźmie jej pani teraz... Bóg raczy wiedzieć, kiedy się zobaczymy.

– Tak... oczywiście – wyjąkałam. – Przepraszam.

I już odchodził w czymś na kształt świetlistej aureoli, jakby chciał przekonać mnie ostatecznie, że wszystko, co właśnie przeżyłam, było tylko snem.

– Elle? Zechce pani poświęcić mi jeszcze trochę czasu?

Mój partner z rozdzielnika na próżno starał się o kurtuazję – jego zaproszenie zabrzmiało w moich uszach tak niestosownie, że wręcz obraźliwie. Natrętnie i wulgarnie, jakby bez żenady położył mi rękę na pupie. Był tylko jeden człowiek na świecie, który w tamtym momencie mógłby zrobić mi taką propozycję i sprawić, że stracę kontrolę. Ale ten jeden jedyny właśnie znikł mi z oczu, bezpowrotnie rozpłynął się w nocnym mroku.

– Dlaczego nie ... – zawahałam się.

– Rebecca Sibony mówiła mi o pewnym hotelu, podobno uroczym... Zna pani Hôtel des Charmes?

No tak, w ciągu ostatnich miesięcy byłam tam z raz czy dwa, zwabiona perspektywą zysku, lekko oszołomiona szampanem, na tyle beztroska, by widzieć w tych schadzkach tylko nic nieznaczące epizody, może i niezbyt chwalebne, ale pozbawione jakichkolwiek następstw. A już na pewno nie rutynę ani działalność jako taką.

Mama, Fred, Sophia, Rebecca... David. Ich twarze błyskawicznie przesunęły mi się przed oczami. Co pomyślałoby każde z nich? Co by mi podpowiedzieli? Żebym chwytała każdą okazję do zarobku i nie pytała pieniędzy, skąd pochodzą? Czy odwrotnie, kazaliby mi natychmiast wracać do domu taksówką przywołaną w międzyczasie przez mojego kawalera?

Ale w marzeniach już zaczynałam przeliczać cztery banknoty po sto euro, które pod koniec wieczoru zasiliłyby mój portfel... Z rozterki

wyrwał mnie nagle dźwięk telefonu obwieszczający nową wiadomość.

SMS wysłany z nieznanego mi numeru w jednej chwili przypieczętował moją decyzję:

Nie rozstawajmy się w ten sposób. To znaczy, chcę powiedzieć: nie rozstawajmy się więcej.

6

4 czerwca 2009

Jak zmierzyć ciężar naszych najwstydliwszych sekretów? Być może siłą wypierania ich z pamięci, skrzętnego spychania w podświadomość, otaczania milczeniem i maskującymi kłamstewkami, by w końcu przestały nas dręczyć? Schodzą nam z myśli i z sumienia, jakby nigdy nie wydarzyły się naprawdę...

Czy David Barlet wydarzył się naprawdę? Czy stawał mi się coraz bliższy w ciągu tygodni następujących po naszym nieoczekiwanym, bajkowym spotkaniu? Bóg jeden wie... Faktem jest, że tak jak zapowiadał w swoim pierwszym SMS-ie, nie rozstaliśmy się więcej. Od czasu do czasu wracałam na noc do mamy, do naszego domku przy rue Rigault w Nanterre, ale nie było dnia, żebyśmy nie widzieli się wcale. Jeśli nie wieczorami, to przynajmniej w porze lunchu, na krótko, w restauracji nieopodal wieży Barlet – ultranowoczesnego gmachu ze stali i szkła, jaki David wzniósł dziesięć lat wcześniej przy południowej obwodnicy Paryża, aby skupić w jednym miejscu całą działalność swojej grupy.

– To gdzie się dziś spotykamy?

– W Le Divellec – oznajmił mi nieco wcześniej, dzwoniąc z samochodu. – Wiesz, gdzie to jest?

Wiedzieć wiedziałam, ale nigdy dotąd nie miałam okazji wejść do środka tej restauracji, słynnej z bodajże najlepszych ryb i owoców morza w Paryżu. Był to również jeden z ulubionych adresów zmarłego prezydenta Mitterranda, który często zachodził tam po sąsiedzku, czasami w towarzystwie Mazarine, swojej córki skrywanej przed opinią publiczną.

– Rue de l'Université, tak?

– Tak. Zarezerwowałem stolik na wpół do dziewiątej. Pasuje ci?

Dobrze wiedział, że byłam sto razy mniej zajęta od niego, a mimo to z niezmienną kurtuazją upewniał się, czy mam czas. Mimo że

każda sekunda nie mojego, tylko jego czasu dawała się zmierzyć wahaniami indeksu CAC 40 o kilka setnych punktu w górę czy w dół! Tydzień za tygodniem upływał mi pod znakiem tej niesłychanej atencji, galanterii, delikatności, olśniewających niespodzianek, wyrafinowania, oczarowania... David najwyraźniej chciał mnie rozpieszczać, pamiętał, co sprawia mi przyjemność, cieszył się z mojej radości. Wiedział na przykład, jak przepadam za małżami świętego Jakuba albo homarem duszonym na maśle – i dlatego nie przypadkiem wybrał właśnie tę restaurację. Miałam uraczyć się ulubionymi owocami i morza, i jego miłości, wzbierającej jak morski przypływ.

Owszem, niezwykłość powoli stawała się dla mnie normą, ale nie do tego stopnia, żebym czuła się zblazowana luksusem tych prestiżowych, obsypanych gwiazdkami lokali. Za dobrze poznałam ich przeciwieństwo, myślałam sobie, idąc wzdłuż intensywnie błękitnej fasady, z daleka rzucającej się w oczy niczym ocean w środku miasta.

– Dobry wieczór, mademoiselle. Monsieur Barlet czeka na panią przy stoliku.

Maître d'hôtel gorliwie wypełniał swą misję, do której należało również rozpoznawanie co znamienitszych gości już przy wejściu. Zaskoczona, że i mnie do nich zaliczył, posłusznie poszłam za nim w głąb sali, mijając po drodze nobliwe starsze pary oraz kilku celebrytów ze świata sztuki, mediów i polityki, o twarzach znanych mi z widzenia i nazwiskach chwilowo zapomnianych, w zaaferowaniu moją własną randką.

David siedział przed wiaderkiem z białym winem, zapatrzony niewidzącym wzrokiem w wiwarium, w którym morskie istoty, bezbronne mimo szczypiec i pancerzy, ze stoickim spokojem czekały, aż dopełni się ich los. Widząc mnie, szybko otrząsnął się z nietypowego dla siebie zamyślenia i oblókł twarz w najbardziej spontaniczny z uśmiechów.

– Kochanie!

Czułe słówka również nie leżały w zwyczajach Davida, co sugerowało, że traktował ten wieczór jak coś więcej niż kolejną biesiadę w moim towarzystwie. Jego zapach na zamówienie, rozgrzany całym dniem pracy, wyznaczał przeznaczony dla nas rewir, witając mnie znajomym akcentem.

– Co za niesamowite miejsce – zachwyciłam się.

– Tak, może być – mruknął obojętnie, natychmiast ocieplając ton pocałunkiem ponad naszymi kieliszkami.

– Nie udawaj niewiniątka, dobrze wiesz, dlaczego tu jesteśmy – powiedziałam, wskazując mu głową homary stłoczone w niebieskawej zalewie.

Młodzieńczy uśmiech na jego twarzy ni stąd, ni zowąd ustąpił miejsca minie poważnej, niemal zbolałej, tak jakby nagle zląkł się, że zdradzi przede mną jakiś mroczny sekret. Nie, Sophio, może i David Barlet nie dał mi jeszcze kosmicznego orgazmu, tej erotycznej katapulty, z której ty wystrzeliwałaś co noc lub prawie w pierwszych lepszych przygodnych objęciach. A jednak sama jego twarz, tak otwarta, tak szczera, tak wdzięczna, wystarczyłaby każdej dziewczynie, żeby pójść za nim choćby na koniec świata.

– Pierwsze danie z menu. *Tout-homard bleu* – zaanonsował głośno kelner, stawiając przed nami dwa wykwintnie przybrane talerze.

Po chwili leżały już na nich nasze skorupiaki, zgrabnie wyłowione z własnego sosu. Nie mogłam pohamować dziecięcej ekscytacji, śledząc to misterium oczami błyszczącymi z łakomstwa. Czysto homarowe menu, czyli wariacje na temat mojego największego przysmaku, było jeszcze jednym hołdem złożonym mi przez Davida. Rozpieszczał mnie nieustannie, ale to danie przebijało wszelkie inne osiągnięcia paryskiej gastronomii, jakie dzięki niemu zdążyłam już poznać.

– Ooo... Widziałeś kiedyś coś podobnego?

– Homar na ciepło, chipsy z topinambura i buraczków – sprecyzował mistrz ceremonii w czarnej kamizelce, z nieskazitelnie białą serwetą przewieszoną przez rękę. – Smacznego, madame, smacznego, monsieur.

– Dziękuję.

Nie, nie jestem aż tak nieobyta. Wiem doskonale, że nie dziękuje się personelowi podobnych przybytków. Chodzi o to, żeby zachować dystans, nie stwarzać wrażenia fałszywej równości. Ale w tamtym momencie miałam gdzieś etykietę. Czułam się lekko w mojej wełnianej „małej czarnej" – sukience, jak doradzała Rebecca, w sam raz „aby zakończyć wieczór w męskich ramionach" – być może zbyt obcisłej, a zwłaszcza zbyt krótkiej jak na restaurację tej klasy. Temu zresztą przypisywałam wymowne spojrzenia, ukradkiem rzucane w naszą stronę przez innych gości, między jednym a drugim kęsem rarytasów na ich talerzach. A może był to efekt zdumienia, że kawaler uchodzący za jedną z najświetniejszych partii stolicy, obiekt nieskrywanych westchnień wszystkich paryskich singielek pokazuje się publicznie z kimś tak zwyczajnym jak ja? Wzrok taksujących mnie ludzi wyrażał tę samą dezaprobatę, jaka mimo zaprzeczeń Davida otaczała mnie przy każdym naszym wspólnym wyjściu.

Tym razem nie obchodziło mnie to jednak ani trochę. Czułam się wspaniale, zwłaszcza że znakomite wino wybrane przez mojego mężczyznę już zaczynało szumieć mi w głowie.

– Ach, co za rozkosz! – wymamrotałam pełnymi ustami, od razu urzeczona bogactwem smaku i delikatnością konsystencji potrawy.

– Twoja mama nie miała mi za złe, że porywam cię na dzisiejszy wieczór?

Wyciągnął rękę ponad stołem, żeby położyć ją na mojej. Z przyjemnością poczułam ten ciężar, zapowiedź innego zbliżenia, innego ciężaru, całego jego ciała na moim, zmiażdżonym i poddanym... Na tę myśl przebiegł mnie lekki dreszcz – ale nie na tyle silny, żebym przejęła inicjatywę i oderwała nas od ledwie rozpoczętej uczty.

Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zaciągnął mnie do toalety i posiadł tam natychmiast, na stojąco. Moje majtki ściągnięte do kostek, jego niecierpliwy penis napierający mi na pośladki, bez żadnych ceregieli, żadnej gry wstępnej, nic prócz żywiołu naszych żądz...

Nigdy nie kochałam się w publicznej toalecie. Wzbudzam w mężczyznach miłość, czułość, mnóstwo szlachetnych uczuć, do których sama aspiruję, oczywiście. Ale chciałabym, żeby przynajmniej jeden raz któryś z nich wziął mnie bezceremonialnie, pośpiesznie, ukradkiem, żeby potraktował mnie jak przedmiot stworzony dla jego przyjemności, dla nasycenia jego seksualnego głodu. Być może znalazłabym się na kolanach na brudnej, zimnej terakocie, z jego nabrzmiałą męskością przed oczami, torującą sobie drogę do mych ust. Trzymałby mnie za włosy jak niewolnicę, wpychałby mi wyprężony członek aż do gardła, przyspieszając rytm, pragnąc zdążyć, zanim inni klienci nie zaczną dobijać się do kabiny. Szczytowałby szybko, w kilku ostrych rzutach, ze zduszonym jękiem. A później miałabym tylko chwilę na przepłukanie ust, żeby zmyć świeże ślady spermy. Pomimo to już po powrocie do stolika, czułabym jeszcze na wargach jej odurzający smak, jedyną w swoim rodzaju przyprawę do każdego kęsa jedzenia.
(Anonimowa odręczna notatka z 5.06.2009.
Czy rzeczywiście byłoby to dla mnie aż tak podniecające?
Niewykluczone...)

Zauważyłam to od początku, ale z czasem zjawisko jeszcze zyskało na precyzji: skandaliczne liściki od nieznanego prześladowcy za każdym razem coraz lepiej przystawały do wydarzeń z mojego życia. Tak jakby chciały stać się jego częścią, a już na pewno częścią – czy treścią? – moich myśli i odczuć wywołanych różnymi okolicznościami. Tajemnicze notatki zawierały drobiazgowe i realistyczne (nie powiem) podsumowanie tego, co mogłabym pomyśleć w danej sytuacji. Czy uzurpator pretendujący do roli mojego alter ego był wtedy tam, wśród gości Le Divellec? Czy mnie obserwował?

Tak jak nie mogłam przyznać się Davidowi do zleceń z Piękności Nocy, tak też nie miałam dość odwagi, by opowiedzieć mu o chorej relacji łączącej mnie z szalonym poetą, który z nieznanych mi powodów uparł się zgłębiać moje najskrytsze myśli. Co gorsza, w pewnym sensie już wygrał tę partię, skoro pozwoliłam mu

zaistnieć w moim życiu i tolerowałam jego twórczość na własny temat.

– Twoja mama... – powtórzył David. – Pewnie wolałaby, żebyś z nią została?

– Nie... Nie, skądże – skłamałam, ale nie do końca, znów z pełną buzią.

Zdecydowanie byłam mistrzynią kamuflażu… Prawdę mówiąc, ledwie nadmieniłam mamie o cudownym desancie Davida w moje życie. Pilnowałam się zwłaszcza, żeby nie zdradzić jego nazwiska, z obawy, że mogłaby skojarzyć moją nową znajomość z błyskotliwym biznesmenem widywanym czasami o dwudziestej na ekranie jej wysłużonego telewizora. Dotychczasowa wiedza mamy sprowadzała się więc do absolutnego minimum, niezbędnego dla spokoju jej ducha: ot, jakiś David, według moich zapewnień bardzo elegancki i dobrze ustawiony w życiu, zajął miejsce tego Freda, którego niespecjalnie lubiła, a jeszcze mniej poważała. Z punktu widzenia mamy zamiana była więc ze wszech miar korzystna i to na razie jej wystarczało. Ja z kolei skąpiłam informacji głównie po to, by odwlec szok zderzenia między moimi dwoma światami. Wiedziałam oczywiście, że prędzej czy później to nastąpi, biorąc pod uwagę rozwój mojej relacji z tym mężczyzną, towarzyszem homarowej orgii – ale wolałam później niż prędzej, gdyż ta perspektywa wpędzała mnie w panikę.

– Masz rację, są doskonałe – potwierdził, chrupiąc chipsy z topinambura i mrużąc oczy z przyjemności.

…Albo jak zrehabilitować niesłusznie pogardzane, bulwiaste warzywo.

Pieniądze nie załatwiały wszystkiego. David nie był tylko żywym kontem w banku, dostatecznie zasobnym, żeby zabierać mnie na takie uczty choćby co wieczór, gdybyśmy chcieli. Nie, David miał coś jeszcze, czego nie dałaby największa wygrana na loterii ani najowocniejsza operacja finansowa: klasę, maniery, dobre wychowanie. Właśnie tych składników zawsze brakowało mi w pizzach Freda, oferowanych przecież z nie mniejszym uczuciem i znacznie większym poświęceniem.

Ciąg dalszy dorównywał boskiej preambule: zapiekanka z homara w ziarenkach pieprzu, później homar z patelni w sosie własnym doprawiony szampanem. Przy tym ostatnim daniu aż mlaskałam z zachwytu – bąbelki łaskoczące mi podniebienie po prostu zmuszały do niekontrolowanych dźwięków.

– Nie mogę! – wykrztusiłam tytułem usprawiedliwienia, podczas gdy David z uśmiechem łapał palcem kropelkę sosu zawieszoną nad moją górną wargą, na pograniczu smużki piegów.

Moje szczęście było jego szczęściem, bez dwóch zdań. Bardziej cieszył się z tego, że widzi mnie w kulinarnym siódmym niebie niż z własnego wniebowzięcia. Przeżywał rozkosz zastępczo – ale ja też czułam radość, że działam mu przynajmniej na wyobraźnię (skoro nie na zmysły) magią moich kubków smakowych, tak wrażliwych, świeżych, dziewiczych. On, bywalec najlepszych lokali, nieco zblazowany ciągłym wykwintem i luksusem, wprowadzając w ten świat mnie, nowicjuszkę, mimo woli zarażał się moim entuzjazmem, w pewnym sensie sam odzyskiwał młodzieńczą intensywność doznań. Przyjemność była więc obopólna, korzyści wzajemne.

– Wiesz co... Ależ byłabym szczęśliwa, gdybym potrafiła sama przyrządzić coś takiego.

– Naprawdę?

– A ty nie?

– Tak, tak, ja też, na pewno – westchnął.

Ale po chwili znów się uśmiechał, jakby do własnych myśli.

Od początku naszego związku miałam bardzo niewiele okazji, żeby zaprezentować mu moje skromne umiejętności kulinarne, nędzną namiastkę talentów mamy. W kwestii jedzenia, tak jak całej reszty, po prostu zdawałam się na ów rozkoszny wir, jaki David wytwarzał wokół siebie bez widocznego wysiłku, tak że mnie pozostawało tylko dać się porwać. Skądinąd z mojej dzisiejszej perspektywy „wir” nie jest chyba najlepszym określeniem – a dobór słów, wywołanie właściwego obrazu ma kapitalne znaczenie, zwłaszcza dla mnie, adeptki publicystyki. Właściwsze byłoby „tornado”, jeśli uwzględnić, że ten ruch ewidentnie unosił mnie w górę, z impetem przyprawiającym o zawrót głowy.

Ledwie dostrzegalnym gestem David przywołał kelnera i szepnął mu coś do ucha.

– Nie mów mi, że zamawiasz więcej wina... Już jestem nieźle wstawiona.

– Wstawiona?!

Rozśmiał się głośno, a rozbawione iskierki w jego oczach ostrzegały: uważaj, jeśli będziesz nadal używać słownictwa twojej matki, na przyszły raz mogę zaprosić ją zamiast ciebie.

Kelner, który znikł w trakcie tej krótkiej wymiany zdań, teraz pojawił się przy nas znowu, ze złożoną kartką w ręku. Ku mojemu zdumieniu wyciągnął ją do mnie, zachęcając skinieniem głowy, żebym wreszcie po nią sięgnęła:

– Mademoiselle... Z komplementami od szefa.

– Dziękuję – wyjąkałam.

Przez salę przeszedł szmer: żaden mistrz kuchni nie zdradza klientom tajników swej sztuki. A cóż dopiero w takim gastronomicznym sanktuarium jak Le Divellec! Wystarczyła jednak prośba Davida, żeby dyrekcja zgodziła się złamać wszelkie niepisane zasady. Tylko dla zaspokojenia kaprysu, w dodatku mojego. Poczerwieniałam z radości mocno doprawionej zażenowaniem.

– Teraz już się nie wykręcisz: powiem Armandowi, że od jutra kuchnia ma być do twojej dyspozycji – orzekł David.

Armand, jego człowiek do wszystkiego, a zarazem jakby głowa domu, sprawiał, że codzienność monsieur Barleta charakteryzowała się niezmienną perfekcją w każdym momencie i każdym szczególe. Zrobiłam bezradną minę, licząc na rozczulenie mojego księcia z bajki.

– Obawiam się, że będziesz zawiedziony...

– Bez obaw. Idziemy?

To właśnie był cały David, mistrz rozwiewania miraży, które dopiero co sam stworzył. W jednej osobie czarodziejska lampa i powiew wiatru zdolny zgasić jej płomyk.

Sądząc po zadowoleniu całego personelu i gorliwości, z jaką umożliwiono nam szybką i dyskretną ewakuację – wśród spojrzeń jeszcze wymowniejszych niż wcześniej – domyśliłam się, że banknot niedbale pozostawiony na naszym stoliku musiał mieć więcej niż jedno zero... Mimo to portier odpowiedzialny za samochody gości,

stukający lakierkami o bruk, zareagował na nasz widok inaczej, niż można było oczekiwać. Zamiast kluczyków czy magnetycznej karty trzymał w ręku granatowy wełniany szal, którym David władczym gestem otulił moje ramiona.

– Nie wracamy samochodem? – zdziwiłam się, nie widząc w pobliżu jego czarnego jaguara.

– Nie. Przejdziemy się trochę, jeśli nie masz nic przeciwko.

Podczas naszej uczty zdążył zapaść zmierzch, ale mimo lekkiego ochłodzenia wieczór był na tyle ciepły, by zachęcać do spaceru. David objął mnie w pasie, kładąc swą piękną męską rękę tuż nad moim biodrem, i poprowadził w głąb rue Fabert ku Sekwanie, w kierunku przeciwnym do Les Invalides, których kopuła lśniła w ostatnich blaskach dnia. I oto ja, zawsze tak czuła na punkcie swojej niezależności, przy nim poznawałam przyjemność poddawania się czyjejś woli. We własnej ocenie nie ryzykowałam wiele – każde z działań Davida było tak naznaczone zdecydowaniem i swobodą właściwą jego kaście, tak chronione gigantyczną poduszką powietrzną pieniędzy, koneksji i pewności siebie, że wszelkie przeszkody zdawały się same przed nim ustępować, nie zmuszając go nawet do wysiłku.

Podobało mi się być zawłaszczoną i prowadzoną w taki sposób. Po raz kolejny żałowałam tylko, że po tym, co mogło być zaledwie wstępem, nie zanosiło się na inną ofensywę i inną kapitulację. Nic z tych rzeczy – nawet jednego pocałunku.

Gdy dotarliśmy na Quai d'Orsay, nadal bez słowa, David skierował nas w prawo, na Pont Alexandre III, jeden z najpiękniejszych paryskich mostów. Jak zawsze zachwyciłam się Ronde des Amours – grupą trzech cherubinków u podstawy okazałej latarni, kamiennych, a mimo to lekkich i wirujących w radosnej sarabandzie. Pysznie zdobiony most, zbudowany specjalnie na Wystawę Światową w roku 1900, zaprowadził nas na drugi brzeg rzeki – północny, chociaż zwany prawym, *rive droite*. Po pokonaniu kilku schodków w dół znaleźliśmy się przed pomostem przystani.

– Wiesz – powiedziałam z ironią – może jestem biedną dziewczyną z przedmieścia, ale zaliczyłam już wycieczkę statkiem po Sekwanie!

Za całą odpowiedź David wskazał mi barkę zacumowaną nieco dalej, świeżo odmalowaną na butelkowy kolor, lśniącą ze wszystkich stron nieskazitelnym, nowym lakierem. Na jej pokładzie dostrzegłam nieduży podest pod baldachimem, cały zasłonięty płótnem i rozświetlony od środka migotliwymi na wietrze płomykami świec. Ta barka faktycznie w niczym nie przypominała banalnej pułapki na turystów – a steward w eleganckim uniformie i białych rękawiczkach czekał przy trapie wyłącznie na nas. Gdy podeszliśmy bliżej, złożył nam głęboki ukłon.

– Mademoiselle, monsieur Barlet…

– Dobry wieczór – wymamrotałam, bardziej oszołomiona, niż chciałam to okazać.

Ledwie stanęliśmy na lakierowanych deskach, za mlecznobiałym namiotem usytuowanym nieco z boku zabrzmiały pierwsze akordy Vivaldiego w wykonaniu kwartetu smyczkowego. Nie wiedziałam, czy mam wybuchnąć śmiechem, czy otworzyć usta z wrażenia, czego najwyraźniej po mnie oczekiwano. Nawet autorzy harlequinów zawahaliby się przed taką dawką kiczu, jaką właśnie miałam przełknąć.

David odczytał na głos moje myśli.

– Tylko biały rumak nie dopisał, złapał biedak katar. Prosił, żebym usprawiedliwił go przed tobą.

– Hm… – udałam rozczarowanie. – Powiedz mu, że naślę na niego inspektora Sécu, bo coś mi to pachnie symulacją.

– Nie omieszkam, o pani, przekazać mu wyrazów twej dezaprobaty – zaśmiał się. – Ale jeśli zechcesz zrobić kilka kroków…

Lokaj odchylił płótno wokół podestu i moim oczom ukazał się mały okrągły stół przygotowany z prostotą: biały obrus, dwa ogrodowe krzesła w kolorze burt, dwie świece, dwa kieliszki i jedna butelka szampana. Dopiero w tym momencie zauważyłam, że baldachim nie miał dachu i otwierał się nad naszymi głowami na rozgwieżdżone, wiosenne niebo.

– Uprzedzam od razu, jestem w stanie przełknąć najwyżej kilka łyków.

– To świetnie, bo chciałem tylko cię upić.

– Ach, i nic innego? – podchwyciłam nie bez kokieterii.

Na te słowa wziął mnie za rękę i pogłaskał ją z roztargnieniem, jakby polerował kamyk.

A tymczasem barka już odbiła od brzegu, z lekkim warkotem silnika, od którego drżały kieliszki, dorzucając swoją kryształową nutę do zawodzenia smyczków. Zanim David jednym ruchem kciuka odkorkował wykwintnego moëta, minęliśmy Concorde i Assemblée Nationale, już przystrojone w nocne oświetlenie, i płynęliśmy wzdłuż szklanych łuków Musée d'Orsay, również wyeksponowanego przez jupitery na dziedzińcu.

Cóż, banał banałem, ale chętnie doświadczałabym go codziennie. Mogłam udawać dystans, grać intelektualistkę niewrażliwą na cały ten cukierkowy kicz... David i tak wiedział swoje, ja zresztą też. Kto oparłby się czarowi takiego spektaklu, oglądanego z prywatnej barki? Kim w końcu byłam, żeby lekceważyć coś, co miliony kobiet z zachwytem przeżyłyby na moim miejscu?

Przypieczętowałam kapitulację westchnieniem, a później uśmiechem. Niesłychany gest Davida zasługiwał przynajmniej na to.

– Więc za co wypijemy? – zapytałam, unosząc szampankę w jego stronę.

– Poczekaj…

On, zawsze tak pewny siebie, zdawał się zakłopotany propozycją, żebyśmy trącili się kieliszkami. Jego wzrok niespokojnie obiegał pocztówkowe widoki z obu stron barki, jakby szukał nie wiadomo czego.

– Czyżby toast wymagał określonej godziny? – przekomarzałam się, niezadowolona z tej nagłej rezerwy.

– Nie, oczywiście… Powiedzmy, że chciałbym dekoracji bardziej…

Myślał nad właściwym słowem.

– …lepiej dostosowanej.

A dla mnie, wprost przeciwnie, miejsce było absolutnie idealne. Barka zmierzała właśnie pod Pont des Arts, nie tyle most, ile elegancką kładkę dla pieszych, a zwłaszcza dla zakochanych, zgodnie z niedługą, ale już utrwaloną tradycją. Nawet z dołu, z poziomu rzeki widać było tysiące kłódeczek, którymi pary z całego świata obwieszały balustrady mostku – na znak dozgonnej miłości i wierności, jak święcie wierzyli w amoku wczesnego romansu. To

zaklinanie ulotnej chwili w trwały, materialny kształt musiało bawić do łez innych Nieśmiertelnych z pobliskiego Quai Conti, zmumifikowanych pod kopułą Akademii Francuskiej.

– Mam wrażenie, że nikt nie podziela twojego zdania!

Dokładnie w momencie, gdy przepływaliśmy pod łukiem mostu, nad naszymi głowami rozległy się entuzjastyczne brawa. Sama klaskałabym na miejscu widzów z góry, bo przecież takie sceny, zbyt lukrowane jak na życie, widywało się tylko w filmach – ale tym razem byłam aktorką jednej z nich.

Czy któraś z tych par już kochała się tutaj, ukradkiem,
mając za całą osłonę tylko pień drzewa lub latarnię?
Jedna z koleżanek zdradziła mi kiedyś, że przed kilkoma laty brała udział w nieformalnych zawodach kochanków, rozgrywanych w internecie. Chodziło o to, by uprawiać seks w najbardziej zaludnionym lub zaskakującym miejscu publicznym i by zdjęciem potwierdzić swoje wyczyny. I tak ona ze swoim ówczesnym partnerem, w ramach rywalizacji, albo i nie tylko, robili to kolejno na podziemnym parkingu pod Centre Pompidou, w kępce krzaków przy Champs-Elysées i wreszcie, ich majstersztyk, na zewnętrznej platformie autokaru pełnego turystów – tak zafascynowanych widokiem Paryża nocą, że nie zauważyli niczego, co działo się z tyłu pojazdu.
(Anonimowa odręczna notatka z 5.06.2009. Sophia?)

Cypel Vert Galant, język zieleni na krańcu wyspy Cité, już znikał po naszej lewej stronie, a David nadal trwał w swym dziwnym napięciu.

– Annabelle, ja… – wyjąkał wreszcie., a jego twarz, zwykle tak promienna, nagle pociemniała, przybierając zupełnie nieznany mi wyraz.

Ach, trzeba być naprawdę w sercu wydarzeń, żeby pozostać ślepym i głuchym na to, co każdy postronny obserwator odkryłby już dawno...

– Tak?

– Wiesz, mówi się, że propozycje tego rodzaju nie spadają z nieba…

– O czym ty mówisz?

Musiałam przypominać jedną z teatralnych masek zdobiących od zewnątrz Pont Neuf, tych kamiennych twarzy uwiecznionych w wahaniu między niepewnością a przyjemnością, radością a lękiem. Silnie odczułam efekt sklepienia, pod którym właśnie sunął nasz statek – i wyczekiwanej rewelacji z ust Davida. Miałam wrażenie, że płyniemy teraz znacznie szybciej niż przed chwilą.

Co miał mi oznajmić? Nowy dreszcz, tym razem niespokojny, przeszedł mnie od stóp do głów i nie mogłam nad nim zapanować. David podniósł się natychmiast, aby poprawić szal na moich ramionach i przy okazji musnąć ciepłymi wargami mój kark spragniony pieszczot.

– Zaziębisz mi się na śmierć...

– O, śmierci wolałabym teraz uniknąć – odpowiedziałam bez namysłu, z właściwą mi żartobliwą ironią.

Odnoga Sekwany, którą właśnie pokonywaliśmy, traci na tym poziomie niemal cały urok, zamieniając się w wąski przesmyk między łysymi brzegami, bez jednego drzewa. Aby dopełnić nagle ponurych dekoracji, cień gmachu przy Quai des Orfèvres numer 36, siedziby osławionej Policji Sądowej, dodatkowo przyciemniał taflę wody, mętnej i spienionej od wirów. Czy mój prześladowca skończy kiedyś za tymi murami? – przemknęło mi przez myśl.

Z pewnością nie, jeśli nadal będę kryć jego kryminalne praktyki...

Na wysokości katedry Notre-Dame, której dwie wieże zamajaczyły po mojej lewej stronie, pejzaż wreszcie wypiękniał i znów poweselał – ale nagle usłyszeliśmy donośne buczenie, jakby jakiś wielki owad krążył tuż nad nami. Ku mojemu zdziwieniu dźwięk, normalnie wywołujący odruch obronny, rozjaśnił twarz Davida szerokim uśmiechem, wyraźnie pełnym ulgi.

– Co to...

Podniosłam głowę i osłupiałam na widok kulistego, czarnego obiektu, wielkości tacki śniadaniowej na czterech nóżkach-

wypustkach. To coś wisiało kilka metrów powyżej otworu w baldachimie... dokładnie nad naszymi głowami. UFO? Raczej dron!

Wydawał z siebie taki podmuch, że zmusił do ucieczki mewy, przybyłe tu aż znad morza i ciągnące za nami z krzykiem. Kto mógł sterować tym urządzeniem, które już zniżało się prosto na nas, z niezwykłą precyzją? Gdy zeszło na mniej niż metr nad nami, metalowe szczypce umocowane w centrum korpusu otworzyły się z suchym trzaskiem i wyrzuciły z siebie paczuszkę przewiązaną wstążką, która lekko opadła na obrus.

– Mówi się, że takie rzeczy nie spadają z nieba – powtórzył David. – Ale ja chciałem, żeby w twoim przypadku tak właśnie było. Dosłownie: z nieba.

Przez chwilę jak skamieniała wpatrywałam się w pakiecik. Później, na polecenie jego oczu, wzięłam go do ręki, nadal niezdolna wykrztusić słowa. A więc cały ten rejs barką po Sekwanie dowiózł nas aż poza granice banału, poza rojenia o księciu z bajki, które z wysokości moich ambicji od zawsze traktowałam tak pobłażliwie...

– No, Elle... – zachęcał mnie tym niepowtarzalnym głosem, jakby prosto z filmu Christian-Jaque'a czy Marcela Carné. – Rozpakuj to.

Więc to była ta niespodzianka, szykowana w tajemnicy przede mną, zapewne od wielu tygodni.

Czym zważyć spiżowy ciężar naszych najgłębszych sekretów? Zaskoczeniem tego, komu się je w końcu ujawni. Z całą pewnością. Moje zaskoczenie było tak wielkie, że musiało ocierać się o groteskę.

Szybko zdarłam złocony papier i otworzyłam ukryte pod nim etui z czarnego aksamitu. Moim oczom ukazał się pierścionek – różowe złoto i diamenty, oceniłam instynktownie – najwspanialszy klejnot, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć choćby z daleka, subtelna równowaga między kunsztem wykonania a rozmiarem i przepychem tworzyw. Ale to nie wszystko: od pierwszego wejrzenia czuło się historię zaklętą w każdym odblasku, każdej płaszczyźnie mistrzowskiego cięcia. Nie, ten pierścionek nie pochodził z witryny jubilera. Miał duszę, przeszłość, pamięć.

– Należał do Hortense, mojej matki – oznajmił poważnie David, znów jakby czytając mi w myślach. – A jeszcze wcześniej do babci.

Jeśli zechcesz, będziesz trzecim pokoleniem kobiet w naszej rodzinie noszących tę obrączkę. Każę ją dopasować na twój palec.

Rodzina. Obrączka. Małżeństwo? Psychicznie rozbita na drobne kawałki, wyławiałam już tylko słowa klucze, boleśnie zderzające się ze sobą w mojej pustej głowie. Czułam gwałtowne pulsowanie w skroniach i ogień na twarzy, jakby wszystkie moje piegi zapaliły się nagle niczym czerwone światełka alarmowe.

– Obrączkę?

Udałam, że nie śmiem rozumieć.

– Tak, pierścionek zaręczynowy i obrączkę w jednym. W dniu ślubu zdejmuje się go i znów wkłada jako obrączkę na palec panny młodej. To nasza rodzinna tradycja.

Aby lepiej zilustrować te słowa, David wyjął pierścionek z aksamitnej szczeliny i próbował wsunąć go na serdeczny palec mojej lewej ręki.

– Zaczekaj... Nie!

Cofnęłam rękę gestem, który mnie samej natychmiast wydał się brutalny, wręcz obraźliwy. Ale to David zaczął mnie przepraszać.

– Wybacz mi... Przyspieszam bieg rzeczy, jak zwykle.

Turyści na nabrzeżu przed katedrą musieli przeoczyć cały dramatyzm i niepewność, jakie niosła dla nas ta sekunda – bo zaklaskali jak na komendę. Obserwowana idylla na Sekwanie była dla nich dodatkową atrakcją, nieprzewidzianym punktem programu „Paryż romantyczny".

Ku mojemu własnemu zdumieniu niezwykłość sytuacji nagle rozśmieszyła mnie tak, że nie mogłam się pohamować.

– Uważasz to za śmieszne?

– Nie! Nie, skądże!

Z najwyższym trudem opanowałam atak śmiechu, nie chcąc bezsensownie pognębiać Davida.

– To po prostu jest takie...

Nieoczekiwane. Oszałamiające. Fantastyczne. I mimo wszystko odrobinę kiczowate. Nie wiedziałam, które z tych uczuć powinno było dominować, ale wszystkie już ustępowały miejsca bezbrzeżnej wdzięczności. To ona wzbierała we mnie kojącym ciepłem. Przekonaniem, że przy Davidzie moje życie będzie odtąd szeroką

rzeką, spokojną, piękną i romantyczną jak ta, którą właśnie płynęliśmy.

Madame Annabelle Barlet. Ja, dziewczyna z Nanterre, pasażerka podmiejskiej kolejki.

– Nie musisz odpowiadać od razu. Daj sobie czas do namysłu.

– Tak... To znaczy: dziękuję, że mi go dajesz – powiedziałam równie sucho.

A jednak coś mi tu nie pasowało, chociaż nie umiałam tego nazwać. Jakaś nuta brzmiała fałszywie w tej symfonii, zdawać by się mogło, perfekcyjnej pod każdym względem. Steward, pozostający dotąd na uboczu, teraz zbliżył się, żeby napełnić nasze kieliszki, skądinąd prawie nietknięte.

Ponownie ożywione bąbelki nasunęły mi na myśl inne. Z poprzedniego dnia. Degustowane z kimś, kto miał być – jak sama sobie przysięgałam – moim ostatnim klientem. A to wspomnienie pociągnęło za sobą jeszcze wcześniejsze... i nagle okoliczności naszego spotkania z Davidem wynurzyły się w mojej pamięci zza ochronnych mgieł, jakie roztaczałam wokół nich od tygodni, z uporem i premedytacją. I z sukcesem, bo mnie samej prawie udało się o nich zapomnieć. Prawie...

A jeśli François Marchadeau, stary znajomy mojego przyszłego męża, jego długoletni partner do tenisa od lat (grywał z nim dwa razy w tygodniu), człowiek, z którym poszłam do łóżka tego samego wieczoru, kiedy David pojawił się w moim życiu... Gdyby François zechciał mówić? O Pięknościach Nocy, zamówieniach na telefon... o pokoju w Hôtel de Charmes?

– Żebyś mnie dobrze zrozumiała – doszedł mnie głos Davida, nieświadomego zamętu w moich myślach. – Nie chcę wywierać na ciebie presji, ale jeśli będziesz zwlekać za długo... Planowałem ustalić datę w bardzo niedługim czasie.

Czego należało się spodziewać po tym promiennym uśmiechu, radosnym, tak dalekim od moich ciemnych sprawek? Jaki podtekst umykał mojej uwadze?

– Co rozumiesz przez „bardzo niedługi czas”? – zapytałam lodowatym tonem, który taktownie puścił mimo uszu.

– Osiemnasty czerwca.

Dzień moich urodzin. Dwudziestych trzecich urodzin.

Annabelle Lorand, czy chcesz pojąć tu obecnego Davida Barleta za małżonka? I złożyć zobowiązania na całe życie, w wieku, w którym powinnaś jeszcze cieszyć się swobodą i beztroską?

– To przecież jakby jutro! – wykrzyknęłam z celową przesadą.

– Wiem, ale nie masz się czym martwić: jeśli się zgodzisz, urządzimy wesele u nas.

– W rezydencji Duchesnois?

– Tak. Armand zajmie się wszystkim. Tobie pozostanie tylko dać mu listę gości. No i podpisać kilka papierów, rzecz jasna.

Nie mogłam dłużej trzymać go w niepewności. To skojarzenie moich urodzin ze ślubem, owianym legendą najpiękniejszego dnia w życiu, było koronnym argumentem ze strony tak wytrawnego negocjatora jak David. Prawdziwy szach-mat. Cóż innego odpowiedzieć poza...

– Tak.

Gdzieś na antypodach mojego radosnego uśmiechu, wewnątrz, w głębi trzewi otwierała się właśnie przepaść, ssąca w dołku próżnia. Poczułam, jak wzbiera w niej bolesna fala i rozlewa się na całą resztę mego ciała, zagarniając część po części, narząd po narządzie.

Fala przerażenia? Czy może szczęścia?

David zerwał się z krzesła, obszedł stół i pochylił się nade mną, żeby złożyć na moich wargach najczulszy pocałunek, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Nieskończenie bardziej czuły niż namiętny, co poznałam po braku pulsowania między nogami. Ale do takich reakcji dochodzi się nieraz długą i krętą drogą, próbowałam przekonać siebie samą. Na pewno dotrzemy się i pod tym względem, z czasem.

Drżącym głosem, tak nietypowym dla niego, wielkiego szefa, uwodziela, urodzonego przywódcy, którego zdjęcie w gazecie podziwiałam zaledwie kilka tygodni wcześniej, David prosił mnie o potwierdzenie, z błagalnym błyskiem w oku:

– Tak... Tak?

7

Tak.

Jak niewiele potrzeba do oddania się; właściwie wystarczy to jedno krótkie słówko. Tylko czasami kobieta wie, antycypuje – najczęściej jednak nie ma pojęcia o następstwach tych trzech literek przyzwolenia. Czy angażuje się na kilka minut, czy na długie, jakże długie lata życia. Czy poświęci zaledwie odrobinę swego czasu i swego ciała, czy też całą duszę. Słuchamy naszych chwilowych pragnień, popędów – ale któż zna te przyszłe? Czy z góry wiemy, ile „być może", albo i „nie" pojawi się po tym jednym jedynym „tak", choćby najszczerszym w danym momencie?

Nie miałam w życiu zbyt wielu orgazmów. Kilka dziesiątek, najwyżej. Ale jedno frapuje mnie za każdym razem, gdy szczytuję: należę do tych kobiet, które w kulminacyjnym momencie krzyczą „nie" zamiast „tak". Wiem, że możliwe są i inne okrzyki: „Mój Boże!", „Jeszcze!" albo po prostu imię kochanka. Czy o czymś to świadczy? Dlaczego akurat ja powtarzam jak katarynka „nie, nie, nie, nie, nie, nie"? Nie mam pojęcia. Ani nawet pewności, czy chciałabym zrozumieć, co się za tym kryje.

(Anonimowa odręczna notatka z 6.06.2009. Skąd on może wiedzieć takie rzeczy???).

A więc powiedziałam „tak", trzy razy, jakbym chciała wyraźniej nakreślić parabolę mojego losu. I tejże nocy znów znalazłam się w sypialni Davida, w samym sercu jego rezydencji przy rue de la Tour-des-Dames. Pod numerem trzy.

– Chodź!

Pociągnął mnie do buduaru w swojej prywatnej części. Renomowany dekorator tej komnaty zachował ducha romantycznych wnętrz w doborze tkanin i kolorów, unikając przy tym charakterystycznego dla stylu przeładowania, częściowo dzięki ultranowoczesnym meblom o czystych i prostych liniach.

Ledwie przekroczyliśmy próg, David przywarł do moich pleców i karku, a jego krocze wzbierało z sekundy na sekundę, w miarę ocierania się o moje pośladki. Podobał mi się ten impet, ta nieubłagana sztywność erekcji. Pragnęłam, żeby wziął mnie od razu, bez wstępów, bez długich przemów, a zwłaszcza bez pytania o zgodę.

– Zdejmij to.

Majtki, oczywiście, których kontury przebijały przez cienką wełnę mojej czarnej sukienki. Próbowałam zsunąć je ruchami bioder, ale chyba za wolno jak na jego gust – bo oto nagle wsunął mi rękę pod pośladki, chwycił pasek koronki w kroku, wzmocniony bawełnianą wstawką, i szarpnął gwałtownie, z ewidentnie niszczycielskim zamiarem.

– Aj! – syknęłam z bólu, czując na biodrach świeżą pręgę, jak od pejcza.

Majtki nie ustąpiły. Symbolicznie to ja stawiałam opór, jemu, człowiekowi nawykłemu zdobywać wszystko, czego pragnie. I właśnie zostałam za to ukarana.

– Przepraszam, przepraszam... – wydyszał mi do ucha, bardziej napalony i rozczarowany niż naprawdę skruszony.

– Nie szkodzi...

Przy tych słowach oparłam się jedną ręką o komodę z posrebrzanym, metalicznym wierzchem, a drugą sama wymacałam nieszczęsny skrawek majtek i odciągnęłam go jak najdalej, usuwając tę ostatnią przeszkodę z nabrzmiałych niecierpliwością warg sromowych.

Przesunął po nich drżącym palcem. Nie byłam tak mokra, jak sobie wyobrażałam, ani jak on mógł oczekiwać. Tak już ze mną jest: nie należę do dziewczyn puszczających soki przy pierwszym pocałunku. Moje wzbierają powoli, dopiero po dłuższych zabiegach. Moje ciało to diesel, nie od razu osiąga wysokie obroty. Trzeba o tym wiedzieć. David wie.

A jednak tamtego wieczoru miał przypuszczalnie nadzieję, że połączone siły szampana i jego oficjalnych oświadczyn błyskawicznie otworzą we mnie wszystkie śluzy. Pragnął, żebym była gotowa przyjąć go natychmiast. Niestety, zamiast wodospadu musiał

zadowolić się leciutką rosą, nieśmiało zwilżającą moją ledwie rozchyloną szparę.

– Elle... – wymamrotał mi w kark.

Jego palec przedarł się mimo wszystko przez płatki śluzówek, torując sobie drogę w głąb. Już wewnątrz podjął okrężny ruch, nieco za szeroki, jak na prawdziwą przyjemność, i nieco za płytki, by dotknąć tych wrażliwych punktów, które przynajmniej część kobiet ukrywa w sobie niczym skarb.

Nie, w ten sposób z nim nie odlecisz!

Bo i nic nie zapowiadało odlotu – ale żaden wewnętrzny głos, intruz zabłąkany nie wiadomo skąd, nie musiał tego podkreślać.

A David jakby też dosłyszał ów głos, gdyż jednym ruchem rozpiął rozporek i wydobył swą męskość, której skądinąd nie mogłam odmówić ani słusznych rozmiarów, ani delikatnego puszku, tak podniecającego przy seksie oralnym. Nabrzmiały penis wszedł we mnie od razu, a moja oporna pochwa mimo wszystko powitała go skurczem wdzięczności. Bardzo pragnęła zaspokojenia, i to zwłaszcza przez człowieka, którego kochałam. Jego ruchy w tę i z powrotem były jednak nieco wymuszone, skrępowane ustawieniem pod złym kątem – dopóki nie zgiął kolan i nie dopasował nas do siebie w bardziej satysfakcjonujący sposób. Sophia co prawda nie dałaby mi żyć, słysząc, jak sprowadzam akt tak święty w jej oczach do ćwiczeń z geometrii przestrzennej... ale jeśli mam być szczera, od chwili wyrównania naszych ciał zrobiło mi się całkiem przyjemnie. Już prawie dawałam się unieść tej fali, która, choć nie elektryczna, wywoływała miłe uczucie rozlanego ciepła, gdy David nagle znieruchomiał.

– Co jest? – westchnęłam.

– Nic... Jeśli będę robić tak dalej, skończę za szybko.

Zdusiłam w sobie „już?!”, jęk zawodu palący mi gardło, siłą woli zastąpiony kojącym szeptem:

– Dobrze... Dobrze, najdroższy, poczekaj.

Zdarzało mi się słyszeć od przyjaciółek skargi na niektórych kochanków – fakt, stanowiących na pewno mniejszość niż większość

– że są zbyt wytrwali: „Dwa dni minęły, a mnie ciągle jeszcze piecze!”. Istnieją tacy mężczyźni. Ja ze swej strony miałam raczej do czynienia z modelem standardowym, raz-dwa-trzy i już, albo, na szczęście częściej, z takimi, którym udaje się wytrzymać przepisowe dziesięć minut. I chciałabym poznać, choćby jeden raz, jak to jest, być wypełnioną długo, tak długo, żeby stracić czucie w pochwie i zapomnieć o jej lokatorze. Czy to naprawdę aż tak bolesne? Czy może przeciwnie, miałabym wrażenie pełni albo i satysfakcji, że budzę tak trwałe pożądanie? Czy jakiś mężczyzna byłby w stanie tkwić we mnie, we wzwodzie, może nawet bez ruchów, ale godzinami?

(Anonimowa odręczna notatka z 6.06.2009. Nie, jak on śmie!!!)

Niezupełnie trzeźwa, maksymalnie wypięta, trzymana za pośladki w pozycji karykaturalnej słabości – chociaż to ja byłam teraz panią jego rozkoszy – właśnie po raz pierwszy nazwałam go „najdroższym”. Niemal odruchowo, poza świadomością. Nie wiem, czy i do niego dotarło to nagłe wyznanie. Chyba jednak tak, skoro wznowił swą akcję ze świeżym zapałem. A właściwie nie tyle świeżym, co zupełnie nowym, bo nigdy przedtem nie doświadczyłam z jego strony takiego tempa, naporu, szaleńczego pragnienia przebicia mnie na wylot.

Trafiając raz po raz w jeden określony punkt moich grząskich i gorących czeluści, wywołał u mnie wreszcie coś w rodzaju mrowienia w podbrzuszu, jakby zapowiedź skurczu. Byłam jeszcze daleko od orgazmu, ale już w tej fazie, w której ciało bulgocze i mruczy z rozkoszy, ciągle bardziej wyczekiwanej niż odczuwanej naprawdę.

– Lubisz tak jak teraz?

– Tak... – jęknęłam, celowo wyolbrzymiając ten jedyny w swoim rodzaju, ekstatyczno-żałosny ton. – Jeszcze!

Wszystkie kobiety o tym wiedzą, nawet ja: symulacja, o ile nie polega na udawaniu samego orgazmu, a tylko ogranicza się do pobudzania odpowiedzi naszych stref erogennych na pieszczoty kochanka, nie jest niczym złym. Jest właściwie stymulacją, a nie symulacją, zachętą kierowaną do partnera w nadziei – często

spełnianej – że postara się jeszcze lepiej i zaprowadzi nas tam, dokąd oboje chcemy dojść. To takie turbodoładowanie naszej rozkoszy, czasami jakże leniwej i opornej.

Gdy wysuwał się ze mnie, przytrzymałam jego biodra jedną ręką, podpowiadając mu w ten sposób, że chcę teraz powolnej, stopniowej penetracji, aż do skutku. Jak można się było spodziewać, nie zrozumiał przekazu, przypisując mi swoje własne doznania:

– Ty też... Ty też, już?

Nie. Może nie posiadałam erotycznej wiedzy Sophii, ale nade wszystko lubiłam ten moment niepewności, kiedy czubek penisa muska moje mokre wargi, łaskocze je nerwowym drżeniem, później rozchyla je powolutku, jakby z wahaniem, po omacku szukał drogi, i dopiero na koniec śmielej zapuszcza się w to nieznane, tak fascynujące dla nich wszystkich.

Aby wynagrodzić wysiłki Davida, uraczyłam go obfitym strumieniem, nieoczekiwanym i dla mnie samej, i dla niego. Efekt tego nagłego przypływu mógł być tylko jeden: przyspieszył rytm, wydając z siebie zdyszane, nieco śmieszne rżenie, zapowiadające nieuchronny finał.

Byliśmy już kochankami od prawie trzech miesięcy i zakończenie tego okresu, jak również wyniki badań serologicznych przeprowadzonych w luksusowym laboratorium przy rue Saint-Lazare, pozwalały zrezygnować z kondomów. To, co partnerzy przyjmują zwykle jak dobrą nowinę, by nie rzec kamień milowy w ewolucji ich związku, dla mnie oznaczało zapowiedź...

– Och, nie!!! Nie!

...jeszcze krótszych stosunków, niestety.

Wiadomo wszak, że bezpośredni kontakt błon śluzowych potęguje doznania i przyspiesza orgazm (gdzie ja to wyczytałam? Amnezja).

Ejakulował we mnie w długich rzutach, gorących i regularnych, z jedną ręką wplątaną w moje włosy, jak marynarz kurczowo uczepiony liny podczas sztormu. Na koniec opadł na mój wygięty grzbiet, objął mi piersi obiema rękami i pozostał przez chwilę w tej pozycji. Wreszcie wyprostował nas oboje i zaniósł mnie do swojego ogromnego łoża, które ledwie drgnęło pod naszym ciężarem, gdy jednocześnie rzuciliśmy się w jedwabną pościel.

Z zamkniętymi oczami, czując na twarzy regularny oddech Davida, zapadłam w letarg tak jak on, chociaż pozbawiona powodu, który doprowadził go do tego stanu. Próbowałam zidentyfikować inne reakcje mojego organizmu, ale na próżno. Poza układem pokarmowym, zajętym trawieniem niedawnej uczty, reszta mojego ciała milczała.

Ocknąwszy się po pewnym czasie, zobaczyłam mojego mężczyznę pod kołdrą, w piżamie dobranej do pościeli, pogrążonego w głębokim śnie. Aż trudno było uwierzyć, że dopiero co się kochaliśmy. Czyżbym usnęła na tak długo?

Moje zdziwienie wzrosło po odkryciu, że sama miałam na sobie nieznaną mi nocną koszulę, zapewne kupioną specjalnie dla mnie. O ile jednak od biedy mogłam uznać, że zostałam przebrana we śnie, o tyle zupełnie nie mieściło mi się w głowie, aby David, nie pytając o pozwolenie, zajął się moją toaletą intymną. A tymczasem, jak sprawdziłam własną ręką, moje łono było czyste i suche jak u świeżo wypudrowanego niemowlęcia.

Podniosłam się, oparłam plecami o białą skórę wezgłowia i z nie mniejszą fascynacją badałam wzrokiem scenerię naszych uniesień: dwie starannie złożone kupki ubrań, komodę, przy której mnie posiadł... Tylko czy naprawdę? W tej ogromnej sypialni nie było nawet śladu dzikich żądz sprzed chwili, żadnych oznak przymusu i pośpiechu, najlżejszej woni dopiero co uprawianego seksu.

– Coś nie tak?

Lekko syczący głos Davida przyprawił mnie o spłoszony podskok. Ale to ja uspokoiłam go szeptem:

– Nie, wszystko dobrze, śpij.

Nie dał się prosić, co potwierdzało, że tylko na chwilę ocknął się z głębokiego snu. Za to ja wiedziałam, że już nie uda mi się zasnąć. Wstałam, wsunęłam stopy w miękkie marokańskie klapki równiutko ustawione (przez kogo?) po mojej stronie łóżka i na palcach zeszłam na parter wielkiego domostwa.

W głównym hallu, porażającym nie tyle powierzchnią, ile niewiarygodną wysokością, otoczonym z obu stron przez wspaniałe

schody, poruszał się szarawy cień. Któżby jak nie Armand, odwieczny i oddany majordomus Davida Barleta, a wcześniej André i Hortense, jego rodziców.

– Nie śpi pani, mademoiselle?

– Pan też, jak widać.

Stary sługa właśnie przecierał ściereczką szkło mahoniowej klepsydry rozmiarów dorosłego mężczyzny. Był to jeden z ostatnich nabytków Davida, miłośnika staroci, bywalca skupionych po sąsiedzku sal aukcyjnych.

– Och, wie pani, w moim wieku... Sen staje się kapryśny. A poza tym w takim domu zawsze jest coś do roboty.

Powiedział to bez cienia goryczy czy wyrzutu, do których zresztą nie wydawał się zdolny. Jak dla mnie, Armand był uosobieniem kurtuazji i życzliwości dla całego świata. Na swój sposób, tak jak jego pracodawca – czy nie lepiej pasowałoby „jego pan”? – bardzo przypominał mi aktora, tym razem brytyjskiego, wielce dystyngowanego Michaela Caine’a. Podobieństwo to uderzyło mnie już za pierwszym razem, gdy otworzył przede mną przeszklone wrota rezydencji Duchesnois. Od razu oczarowana wytwornością tego pałacyku o dziwnej, łukowato-wklęsłej fasadzie, dosłownie oniemiałam na widok odźwiernego, idealnie łączącego w sobie elegancję i flegmę. Przeżywałam wtedy początki mojej bajki i Armand pasował do niej jak ulał.

– A może przeszkadza panu hałas obok?

To on sam poinformował mnie kilka dni wcześniej o remoncie sąsiedniej rezydencji Mademoiselle Mars. Jej właściciel uparł się dokładnie odtworzyć stan wyjściowy sprzed blisko dwóch wieków, ale rzeczywistość najwyraźniej zweryfikowała te ambitne plany. Prace postępowały w żółwim tempie i nic nie zapowiadało ich końca.

– No nie, nie o tej porze, mimo wszystko – obruszył się łagodnie.

– Armand, proszę mi przypomnieć... Ten dom należał do matki Davida czy do jego ojca?

Prawdę rzekłszy, nigdy o tym nie słyszałam. Mój narzeczony ostentacyjnie ignorował wszelkie pytania na temat swoich rodziców, zmarłych jedno po drugim około piętnastu lat temu.

– Do madame Hortense – odpowiedział ściszonym głosem, jakby bał się, że ktoś nas podsłucha. – A ona pochodziła w prostej linii od mademoiselle Duchesnois.

– Mademoiselle Duchesnois? – podchwyciłam. – Kim była, żeby aż nadać nazwisko takiej rezydencji? Chyba niewiele kobiet w tamtych czasach posiadało domy na własność...

– Ma pani rację. Ale Catherine-Joséphine Duchesnois nie była pierwszą lepszą. Była jedną z największych tragiczek okresu Pierwszego Cesarstwa. I główną rywalką mademoiselle George na francuskich scenach.

Nie omieszkałam zauważyć, jak wielką przyjemność sprawia mu ta lekcja historii.

Udając ignorancję, ciągnęłam go więc za język:

– Mademoiselle George?

– Georginy! – aż podniósł głos, jakby chodziło o rzecz oczywistą. – Jednej z najgorętszych kochanek Napoleona.

Proszę, dom pełen kobiet i namiętności, pomyślałam. I oto ja, mała Annabelle z Nanterre, miałam wejść w jego progi jako kontynuatorka tych świetnych tradycji. Zamajaczyły mi się bale jak z filmów kostiumowych, wydawane ongiś właśnie tutaj, na tych posadzkach w czarno-białą szachownicę, i w sali przyjęć obok, odrestaurowanej z religijnym pietyzmem. Z rozmarzenia wyrwało mnie nagłe szczekanie.

Dwa mopsiki najpierw obwąchały moje stopy, po czym skierowały w górę dość oskarżycielski wzrok. „Jeszcze ciebie tu brakowało!" – zdawały się mówić ich oczy, okrągłe jak kulki.

– Sinus! Cosinus! – skarcił je majordomus. – Cicho, wasz pan śpi.

– A właśnie, Armand, czy David uprzedził pana... o Félicité?

– Chodzi o pani kota, tak?

W pytaniu nie było animozji, ale wyczułam leciutką pogardę. Cóż, Armand będzie musiał przyzwyczaić się do mojej kotki, po prostu. Jeszcze kilka bezsennych nocy i obie zamieszkamy tu na stałe. Dom wypełni się moimi rzeczami, w większej ilości niż podróżna torba, od czasu do czasu zostawiana w hallu. A co do Félicité, to mama nalegała, żebym zabrała ją ze sobą: „Weź ją, weź, to twój kot...

Zresztą sama wiesz, nie bardzo mam siły się nią zajmować. W końcu zapomnę dać biedactwu jeść".

– Tak, wszystko przygotowane: karma, żwirek...

– Nie, myślałam o czym innym… Co one na to powiedzą?

Wskazałam głową dwie kulki jedwabistej sierści kręcące się wokół nas, już gotowe na poranny spacer.

– Ach, one... Proszę się nie martwić. To grzeczni chłopcy. Prawda?

Z czułością poklepał grzbiety obu piesków.

– Jeszcze jedna kobieca obecność nie zaszkodzi wśród tych wszystkich samców – dodał z porozumiewawczym uśmiechem.

– Na pewno – przytaknęłam, zbierając się do powrotu na górę. – Dziękuję za wszystko, Armand.

– Do usług, mademoiselle.

Byłam już na schodach, gdy zatrzymał mnie w pół drogi:

– Och, mademoiselle...

– Słucham?

– David jeszcze mi nie sprecyzował...

Mówił o nim per David, a nie monsieur David, albo po prostu monsieur zwyczajem służby – ale poufałość ta w niczym nie zmniejszała ewidentnego respektu, jakim musiał darzyć swego pryncypała.

– ...Czy szanowna mama pani zmieniła może swoją wcześniejszą decyzję i postanowiła jednak przenieść tutaj po waszym ślubie?

Oferta Davida, złożona po tym, jak ustaliliśmy, że zamieszkamy razem, jakkolwiek była wspaniałomyślna, nie przyprawiła mamy o zawrót głowy. Nie miała zamiaru porzucać Nanterre, pani Chappuis, swojej sąsiadki i jedynej przyjaciółki, ani wszystkich zwyczajów związanych z naszą dworcową dzielnicą. Mimo choroby, a może zwłaszcza w chorobie. Dopóki pozwolą jej na to siły, powtarzała, będzie nadal sama chodzić do piekarni czy apteki i wsiadać w autobus 167, żeby dotrzeć do szpitala Max Fourestier.

– Nie, na razie nie. Ale dziękuję za to pytanie.

Kurtuazyjnie skinął głową.

Na próżno podsycałam w sobie skrupuły na myśl, że zostawię mamę samą, pozbawioną nawet towarzystwa Félicité – w istocie rzeczy jej grzeczna, acz stanowcza odmowa była mi bardzo na rękę.

Nie wyobrażałam sobie udanego przeszczepu między tak odległymi światami jak świat mamy i świat mojego przyszłego męża. Wzajemne odrzucenie wydawało mi się z góry przesądzone, biorąc pod uwagę dzielącą ich przepaść. Mimo całej miłości do mnie David nigdy nie zaakceptowałby mojej mamy takiej, jaką była, i odwrotnie: mimo naszej organicznej więzi mama również nie zniosłaby życia w klimacie bogactwa, władzy i pozorów.

– Jej podróż ma się odbyć wkrótce?

Przynajmniej jedno z dobrodziejstw, jakich nie szczędził mi David, zaakceptowałam bez zmrużenia oka: sfinansowanie w całości leczniczego wyjazdu mamy do Los Angeles. Dwadzieścia pięć tysięcy euro, astronomiczną dla mnie sumę, wyjął niemalże z kieszeni, natychmiast, nie czekając nawet na pierwsze spotkanie z beneficjentką swej niesłychanej hojności.

– W ciągu miesiąca, zgodnie z planem. Ale nie mamy jeszcze potwierdzenia z kliniki.

– To dobrze, że tak szybko – zauważył współczującym tonem.

– A właśnie, jeszcze jedno: muszę dać panu listę moich gości.

– Proszę się tym nie martwić, nie ma pośpiechu. Zresztą, David zawsze każe mi planować na wyrost.

– Rozumiem...

– Dobranoc, mademoiselle.

– Dobranoc, Armand.

W końcu zmógł mnie sen, który szczęśliwie zdjął mi z głowy ciężar wszystkich tych zgryzot. Gdy obudziłam się po kilku godzinach, David oczywiście dawno zdążył wyjść, od świtu wtłoczony w swój napięty plan zajęć. Nierzeczywisty spokój – Armand był zapewne na spacerze z psami – wypełniał cały stary dom, rozjaśniony porannym słońcem. Obejście jego pomieszczeń w szlafroku, boso po chłodnych posadzkach, za każdym razem sprawiało mi tę samą, stale odnawianą przyjemność. Ogromna klepsydra w hallu roztaczała blask, owoc nocnej pracy Armanda.

Szybko zauważyłam, że stary majordomus, przypuszczalnie na prośbę Davida, zadał sobie trud odwrócenia jej o 180 stopni. Inaczej

niż kilka godzin temu, górny zbiornik był pełny, a dolny prawie pusty, chociaż powoli rósł w nim wzgórek piasku. Od pierwszego przesypanego ziarenka trwało już jakieś nowe odliczanie, tylko czego? Ilu minutom, a może godzinom, mogła odpowiadać taka kupka? Ile potrzeba czasu, żeby cały piasek spłynął siłą grawitacji przez wąski lejek?

W tym momencie odbity promień słońca ujawnił przede mną szereg znaków wyrytych na szkle obu części tajemniczego przyrządu: były niczym szczeble drabinki, co któryś oznaczone liczbami, od jeden do piętnastu. Czego dotyczyła ta skala: minut, godzin... dni? Obserwując, jak wolno wypełniają się przestrzenie między kolejnymi kreskami, wybrałam ostatnią opcję. A więc piętnaście dni... co do ziarenka, dwa tygodnie dzielące nas od ślubu. Pomysłowość i subtelność tego memento wywołały na mojej twarzy błogi uśmiech. Nie byłam aż tak czuła na punkcie romantycznych gestów... ale ten zachwycił mnie naprawdę. Czysta poezja!

Dopiero po dłuższej chwili oderwałam wzrok od klepsydry, aby dostrzec na hebanowej konsoli, tam, gdzie Armand kładł zwykle osobistą pocztę Davida, małą tłoczoną kopertę w kolorze skorupki jajka, w sam raz na zaproszenia ślubne. Czyżby majordomus tak bardzo wczuł się w swoją rolę, żeby nawet nie zapytać mnie o zdanie w tak doniosłej kwestii? Koperta nie była zaadresowana i na moment zawahałam się przed jej otwarciem. Przy okazji uświadomiłam sobie, że przez trzy miesiące prawie wspólnego życia z Davidem ani razu nie widziałam jego odręcznego pisma. Fakt, w czasach SMS-ów i e-maili nie należało to zapewne do rzadkości, niemniej... brak tej wiedzy przeszył mnie nagłym dreszczem. Nie mogłam przecież ze stuprocentową pewnością wykluczyć go z kręgu podejrzanych w sprawie karnecika! Ależ skąd, co za absurd, próbowałam przywołać się do porządku. To niemożliwe: nie on!

Rozdygotana, ze ściśniętym sercem, już bez walki uległam pokusie. Otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej kartkę złożoną na pół. Perforowaną tak samo, jak te otrzymywane od tygodni... ale pierwszą na ten adres. A więc mój szaleniec namierzył mnie i tutaj!

Słowa również wyglądały znajomo, chociaż z innego powodu. Tak znajomo, że wielki hall nagle zawirował mi przed oczami:

Nie, w ten sposób pani z nim nie odleci!

8

5 czerwca 2009

„Pani” nie odleci. Dlaczego David miałby zwracać się do mnie per pani? A o sobie pisać „on”, i do tego tak niepochlebnie? Fakt, nie wszystko trzymało się kupy, a jednak w tamtym momencie nie widziałam innej możliwości oprócz tej, najbardziej przerażającej: to David był moim prześladowcą.

Czy byłby aż tak szalony?

Kolejne pytanie, też bez odpowiedzi: jakim cudem czytał w moich myślach? Czy wypowiadałam je na głos? Być może, w stanie zawieszenia między snem a jawą... Mama nieraz wspominała, że w dzieciństwie miałam napady somnambulizmu, nie budząc się, wstawałam z łóżka, czasami nawet coś mówiłam. Może coś podobnego przytrafiło mi się i teraz...

Pospiesznie, byle jak ubrana, resztę ranka spędziłam na gorączkowym przetrząsaniu domu – o ile można było tak nazwać to miejsce, ze względu na wielkość i luksus bardziej zasługujące na miano pałacu – w poszukiwaniu choćby skrawka papieru zapisanego ręką Davida. Bez skutku: nic w sypialni – wkrótce naszej sypialni – nic w salonie, nic w innych ogólnie dostępnych częściach rezydencji Duchesnois, włącznie z hallem i sławetną konsolą. Z kolei gabinet, gdzie z największym prawdopodobieństwem znalazłabym poszukiwaną próbkę, był zamknięty na klucz i nie bardzo wiedziałam, jak bez wzbudzania podejrzeń poprosić Armanda o otwarcie drzwi.

– Czy mogę pani pomóc, mademoiselle?

Zaskoczył mnie w kuchni, na czworakach, z nosem w koszu na śmieci.

– Nie... – wymamrotałam spłoszona. – Nie, musiałam przez pomyłkę wyrzucić gotową listę zakupów.

– O, to kłopot... Pozwoli pani, że ja poszukam? Chyba znam pani pismo.

Hm... Gdyby treść perforowanej kartki nie była aż tak osobista i dwuznaczna, Armand faktycznie mógłby mi pomóc, rozpoznając –

lub nie – rękę Davida. Ale pokazać mu coś takiego? „Nie, w ten sposób pani z nim nie odleci!”. Wykluczone.

– Dziękuję, Armand poszukam sama. Skoro już zaczęłam, nie ma sensu, żeby i pan się brudził.

Uśmiechnęłam się do niego niepewnie, co słusznie uznał za odprawę. Wyszedł z kuchni równie bezszelestnie, jak wszedł, zostawiając mnie przy dziwnym zajęciu.

I wtedy wreszcie...

Tenis z François przełożony, piątek 21.00

Pomyłka nie wchodziła w grę: ta notatka na żółtej samoprzylepnej karteczce, poplamionej mlekiem i ketchupem, musiała być autorstwa Davida. Pismo znacznie bardziej okrągłe i regularne niż w przesyłanych mi listach, mniej nerwowe, niemal kobiece. Porównanie nie budziło wątpliwości. Zalała mnie potężna ulga, którą szybko zastąpiło równie wielkie poczucie winy, niemal przygwożdżające do zimnej posadzki. Jak mogłam podejrzewać Davida? Zwątpić w niego?

W końcu wróciłam do sypialni, wpięłam ostatnią korespondencję do srebrnego karnecika i przez chwilę, na podstawie charakteru pisma, próbowałam wyobrazić sobie autora, anonimowego jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Na czym polegał jego lub jej problem? Skąd brało się dziwne wrażenie dyskomfortu emanującego z tych liter, niespokojnych, kanciastych, nerwowych? Dlaczego wpatrując się w to jedno zdanie, byłam niemal pewna, że mój prześladowca cierpiał podczas pisania?

Przez całe popołudnie nie rozstawałam się z telefonem – mama, Sophia, kilka bezowocnych rozmów w sprawie pracy jako ciąg dalszy ostatnich castingów – i wreszcie SMS od Davida:

Powinienem dzisiaj wrócić wcześnie.
Masz ochotę na jakieś wyjście?

„Wcześnie” w języku Davida Barleta oznaczało w najlepszym razie godzinę dwudziestą pierwszą.

Niestety, obiecałam mamie, że pojadę z nią do szpitala na ostatnie badania przed L.A.

Macie wizytę tak późno?

Ryzykownie jest kłamać w żywe oczy komuś, kto uprawia żonglerkę półprawdami przez cały dzień pracy. Musiałam wymyślić coś bardziej przekonującego.

O 18.30, ale wiesz, jak to jest w szpitalach, zawsze każą czekać. Nie wierzę, żebyśmy wyszły przed 20.30, albo i później, a potem muszę jeszcze odwieźć ją do domu.

Jasne, nie ma sprawy. Wyślij mi SMS, gdy będziesz już wracać.

OK, ale nie czekaj na mnie z kolacją, na pewno zjem u mamy. Ona już taka jest, jak raz ma mnie dla siebie, ciężko jej się ze mną rozstać.

Rozumiem ją doskonale. Powodzenia Wam obu. Całuję.

Ja Ciebie też. I jeszcze raz dzięki za wszystko, co dla niej robisz.

Moja ostatnia wiadomość pozostała bez odpowiedzi; David z pewnością był już zajęty nowym spotkaniem albo inną sprawą niecierpiącą zwłoki. SMS, jaki otrzymałam godzinę później, nie pochodził z jego telefonu:

Od PN: rendez-vous w galerii Alban Sauvage, 15, rue de Sévigné, 75003, punktualnie o 20.30. Klient panią rozpozna.

Wirtualne zaproszenie w załączniku.
Miłego wieczoru.

PN, czyli Piękności Nocy. Rebecca, skrupulatna menedżerka, zawsze wysyłała nam takie monity na krótko przed ustaloną godziną. A jeśli nie było odzewu, powtarzała je aż do skutku, do stuprocentowej pewności, że zlecenie zostanie wykonane. Od tego zależała reputacja jej firmy.

W początkach naszej współpracy jej SMS-y zawierały również wskazówki co do mojego stroju – ale od pewnego czasu, z pewnością opierając się na opiniach klientów, miała już do mnie zaufanie pod tym względem.

Irytujące było co innego: ostatnim razem napisałam jej wyraźnie, że nie przyjmę więcej żadnych zleceń aż do odwołania. „Z przyczyn osobistych" – dodałam tytułem wyjaśnienia. Jej obecny SMS wskazywał jednak, że zignorowała to zupełnie. Cóż, z jej punktu widzenia nadal figurowałam w katalogu agencji – a teraz mogłam już tylko potwierdzić lakonicznym „Przyjęłam do wiadomości, dziękuję".

Skądinąd, potrzebowałam pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek. W dodatku na szczytny cel: dzięki tej ostatniej misji – zakładając, że zakończy się w Hôtel des Charmes – staroświecki zegarek z witryny Antiquités Nativelle mógł już należeć do mnie. A ściślej do Davida. Jako mój prezent ślubny. Mój sposób, żeby go zaskoczyć, żeby zaniemówił z wrażenia.

Nie zdradzałam Davida, decydując się na to ostatnie poświęcenie właśnie dla niego. „Nie zdradzam Davida" – powtarzałam sobie w duchu kilkakrotnie, jak mantrę.

A poza tym to naprawdę ostatni raz. Nieodwołanie.

– Ostatni raz, co?

– Ostatni.

Próbowałam odpowiedzieć jej z pełnym przekonaniem, ale chyba mi nie wyszło. Co gorsza, sama nie byłam tak bardzo pewna jak jeszcze chwilę wcześniej. Ostatni raz, naprawdę? I co, potem to wszystko zostanie już za mną? Cały ten rozdział mojego życia

zamknie się definitywnie, trafi w jakiś najdalszy zakamarek pamięci i obrośnie kurzem jak książka na półce pod sufitem, po którą nikt nigdy nie sięgnie?

– Pozwolę sobie zauważyć, że już to mówiłaś... ostatnim razem – usłyszałam przez telefon od Sophii.

Zadzwoniła akurat wtedy, gdy rozmyślałam nad wyborem perfum.

– I przedostatnim też – dodała złośliwie.

Znalazła się moralizatorka!

Aby nie ulec poczuciu winy, wolałam skupić się na niecierpiących zwłoki potrzebach chwili. Przede wszystkim strój: czarna sukienka Repetto, rozkloszowana i zwiewna u dołu jak u tancerki, baleriny tej samej marki, czarna skórzana torebka La Rue Niny Ricci – słowem szczyt wiosennej mody, według mojej nieoficjalnej mentorki. Później moment bodajże kluczowy: uzupełnienie całości odpowiednim zapachem.

Nawet teraz, w sekrecie pamiętnika, nie bez wstydu zdobywam się na to wyznanie: uwielbiam woń męskich genitaliów. A ściślej, genitaliów mężczyzny, którego kocham. Już za pierwszym razem, w wieku szesnastu lat, zapach penisa, który właśnie miał pozbawić mnie dziewictwa, zakręcił mi w głowie z upojenia. Do dzisiaj, jeśli się skupię, umiem odtworzyć w pamięci ten nieco ciężki bukiet złożony z wanilii, alkoholu i przywiędłych kwiatów.

I stąd też pytania, jakie stale sobie zadaję: jak ja sama pachnę? Czy mój intymny zapach potrafi budzić pożądanie w moich partnerach, tak jak ich zapach budzi pożądanie we mnie?

Oczywiście, żaden z nich o tym nie wie, ale ilekroć spotykam mężczyznę, który choć trochę mi się podoba, jedna z pierwszych frywolnych myśli przebiegających mi przez głowę dotyczy właśnie zapachu: jak on będzie pachnieć? Czy ten zapach oszołomi mój nos, rozpali mi w głowie, przygotuje mnie całą na przyjęcie mężczyzny, który go wydziela?

(Anonimowa odręczna notatka z 6.06.2009. Brednie!)

Ale rzeczywiście, bez wody toaletowej czuję się naga, niedokończona, niezdolna do wyjścia. Mając szesnaście lat i przez kilka następnych, niemalże w każdy weekend pracowałam na promocjach w perfumerii Quatre Temps, w centrum handlowym La Défense. Oprócz mikroskopijnych zarobków zajęcie to dawało mi znacznie cenniejszy bonus w postaci dziesiątków darmowych próbek. Wyniosłam z niego również chroniczną niewierność wobec zapachów, od tamtej pory wybieranych zawsze pod wpływem impulsu, w zależności od nastroju chwili.

– Jesteś tam... czy już się rozłączyłaś?

Głos Sophii przywołał mnie na ziemię.

– Jestem...

– Nie powiesz mi, że naprawdę ciułasz na ten pieprzony zegarek dla twojego milorda?

Sophia pokpiwała sobie ze mnie jak zwykle i znów jak zwykle trafiła w dziesiątkę.

– Nie! – krzyknęłam zbyt piskliwie.

– Do diabła, to niesłychane... ona to robi po to! Jesteś naprawdę idiotką! O, już wiem: jesteś w sam raz taka, żeby wyjść za mąż za pierwszego lepszego dupka!

O, już wiedziałam: Miss Dior Chéri, lekko odświeżona klasyka, zapach ciut starszy ode mnie, upajający, ale bez przesady. Psiknęłam się dwukrotnie po obu stronach szyi.

– Co za kurtuazja wobec Davida! – udałam oburzenie.

– A właśnie... jak tam wczorajszy wieczór? Co to było, ta jego wielka niespodzianka?

Z powodów nie do końca jasnych dla mnie samej postanowiłam zataić przed nią decydujące wydarzenia z ostatnich godzin, włącznie z oświadczynami i kolejnym anonimem.

– Och, nic takiego. David, znając moją miłość do homara, zabrał mnie do Le Divellec.

– Tylko nie mów mi: „najlepszej restauracji z owocami morza w Paryżu", bla, bla, bla...

– No niestety, właśnie coś w tym stylu – parsknęłam śmiechem.

– A ciąg dalszy... też trzy gwiazdki? – podjęła weselszym tonem.

– Hm... powiedzmy, dobre osiemnaście punktów na dwadzieścia.

– Aha, rozumiem... Czyli małe dziewięć na dziesięć, a i tak naciągane.

Nie sposób oszukać Sophii w tej materii. Ale zawsze można skrócić rozmowę, zwłaszcza przez telefon.

– So', muszę przygotować się do wyjścia...

– Leć, moja droga, leć!

Co też zrobiłam w pół godziny później, taksówką, aby uniknąć ewentualnego spóźnienia.

Galeria Alban Sauvage mieściła się w dolnej części rue de Sévigné, nieopodal metra Saint-Paul, w samym sercu Marais. Z zewnątrz ograniczona do wąskiej fasady, zapowiadała wszakże znaczny rozrost w głąb, amfiladę wielu sal rozdzielonych ruchomymi białymi ściankami. Witrynę, pozbawioną jakiejkolwiek wzmianki o prezentowanym wewnątrz artyście, wypełniał gigantyczny fallus z różowego plastiku w stroju jak dla lalki: obciągnięty białą sukienką, z czarnymi lakierkami u podstawy i naszyjnikiem z perełek u góry.

Szybki rzut oka do środka pozwolił mi skonstatować, że reszta instalacji była w tym samym duchu: wśród eksponatów dojrzałam worek mosznowy przebrany za misia, kobiecy srom w ubranku małego majsterkowicza i tak dalej. Krótko mówiąc, wystawa składała się z narządów płciowych ucharakteryzowanych na zabawki dla dzieci.

– Podoba się pani?

Młody człowiek z pokaźną łysiną, rzadkim zarostem, niezbyt mądrym uśmiechem i iskierkami w oczach znienacka wynurzył się przede mną. Przez uchylone drzwi doszły mnie echa ożywionych rozmów, śmiechów, brzęku kieliszków stukających się na zdrowie i wymienianych przy okazji złośliwości. Jednym słowem, paryski wernisaż. Aplauz lub brak aplauzu dla dzieła artysty wydawał się absolutnie drugorzędny w zestawieniu z samą obecnością tutaj, darmowym bufetem, a przede wszystkim perspektywą zaproszenia na kolejną podobną imprezę.

– Nie wiem... Po prostu czekam na kogoś.

– Proszę wejść, ten ktoś może już tam jest.

Ton głosu mojego rozmówcy nie pozostawiał wątpliwości co do jego orientacji seksualnej, ale nadal wahałam się, czy skorzystać z zaproszenia.

– Chodźmy – powtórzył, biorąc mnie pod ramię z przesadnym westchnieniem. – Przecież nie będzie pani tu sterczeć!

Nie miałam innego wyboru, jak pójść za nim przez gęsty, różnobarwny tłum, w którym mieszali się dziennikarze w czarnych garniturach, ekstrawaganccy artyści w tatuażach lub piercingach i kobiety w luksusowych kreacjach, więcej obnażających niż zasłaniających.

Zastanawiałam się właśnie, kto mógł potrzebować towarzystwa hostessy w tym wąskim i snobistycznym gronie złożonym z samych znajomych – gdy łysy młody człowiek podał mi naraz kieliszek i swoją rękę do uściśnięcia.

– Alban Sauvage.

– Ach...! – wyjąkałam zdumiona. – Więc jesteśmy u pana?

– To „u mnie" jest niestety na kredyt, który pożera mnie w całości... Ale można to tak nazwać: u mnie.

Czy miał tu jakąś mamę, przed którą chciał grać komedię? Albo inwestorów do przekonania, że wreszcie się ustatkował? Gorzej: może ja sama, nieświadomie, byłam częścią konceptualnego happeningu, dzieła któregoś z tych narwańców? *Call girl* w krainie sztuki współczesnej...

Nie wiedziałam, jak poruszyć drażliwy temat.

– Czy pan...?

– Nie. To nie ja. Proszę za mną, przedstawię panią.

Przeciskając się za nim przez tłum, naprawdę pełna obaw o udział w jakiejś wyreżyserowanej farsie, zobaczyłam wreszcie mojego klienta: wysokiego mężczyznę około czterdziestki, nieodparcie eleganckiego w dopasowanym, trzyczęściowym garniturze. Miał w prawej ręce laskę ze srebrną gałką i ciemne okulary, skrywające twarz. Alban doprowadził mnie do niego, po czym, bez obiecanej prezentacji, odwrócił się na pięcie, rzucając tylko na odchodnym:

– Zostawiam was, muszę się zająć skubaniem moich Chińczyków. Biz is biz, kochani!

Gdy tak stałam jak wmurowana dwa kroki od niego, nieznajomy zdjął przydymione szkła i otaksował mnie od stóp do głów, początkowo bez jednego słowa. Ale czy słowa były mu potrzebne? Uwolniony od nieco groteskowej maski, magnetyzował samymi oczami. Nieważne, że w kolorze piwnym, czyli dość pospolitym, aczkolwiek momentami oscylującym w kierunku złota – ich głębokie osadzenie nadawało spojrzeniu wyjątkową intensywność. Wzrok zabójcy, przyszło mi do głowy, chociaż chciałam natychmiast przegonić tę myśl. Na próżno, gdyż właściciel magnetycznych oczu postanowił właśnie zatopić je w moich, od razu zniewolonych i poddanych. Skanował mnie, szukał wejścia w głąb. Musiał mieć taki właśnie zwyczaj: jeszcze zanim zagaił rozmowę, już mościł się w rozmówcy jak u siebie.

– Dobry wieczór, Elle.

Reszta jego powierzchowności była na miarę pierwszego wrażenia: długa pociągła twarz, wydatne kości policzkowe, sylwetka prosta jak struna, pańska wyniosłość i ręce na tyle smukłe i delikatne, że mogłyby należeć do chirurga albo pianisty...

Od razu sklasyfikowałam go w pierwszej trójce moich najatrakcyjniejszych klientów. Nie żeby był posągowo piękny, jak modele na pokazach męskiej *haute couture* – nie, porównałabym go raczej do tych bohaterów literackich, którzy na scenie lub ekranie, ucieleśnieni przez wybitnych aktorów, roztaczają wokół siebie magiczną aurę, zachwycając nas, zwykłych śmiertelników, samym faktem, że raczyli do nas zstąpić.

Nie musiałam rozglądać się po sali, żeby wyczuć, jak bardzo przyciąga uwagę zgromadzonych. Zwłaszcza kobiet, drżących wokół nas jak liście na wietrze. Nie robił nic specjalnego – w ogóle nic nie robił, skoro stał nieruchomo tak jak ja – a mimo to miażdżył męską konkurencję samą tą hieratyczną postawą. Doskonale zakotwiczony tam, gdzie był, a jednocześnie jakby ponad, jakby kilka obłoków powyżej próżnego zgiełku świata.

– Dobry wieczór – wymamrotałam przez ściśnięte gardło.

Krok, jaki chwiejnie zrobił w moją stronę, opierając się całym ciężarem na cennym drewnie swej laski, przekonał mnie, że jego ułomność nie była pozorowana. Ale co najdziwniejsze, zamiast stanowić skazę na świetnym wizerunku, jeszcze dodawała mu uroku. Zdecydowanie, ten człowiek nie składał się tylko z zewnętrznej powłoki, a historia ukryta za kalectwem, z pewnością dramatyczna i bolesna, czyniła go tym bardziej fascynującym.

– No, chociaż raz nie jestem zawiedziony ekstrawaganckimi obietnicami naszej przyjaciółki Rebekki – przemówił wreszcie.

Jego komplement, a zwłaszcza ten podtekst, że już nieraz korzystał z usług Piękności Nocy, wydał mi się jednak niesmaczny, wręcz grubiański. Z reguły, za obopólną milczącą zgodą i dla obopólnej poprawy samopoczucia, nasi klienci uparcie odgrywali komedię normalności, jakby chodziło o spontaniczne spotkanie, bez żadnej aranżacji i pośrednictwa. Ale nie on, i ta nietypowa szczerość była irytująca. Podejrzewałam, że musiał zauważyć wrażenie, jakie na mnie wywarł, i teraz celowo chciał je zniszczyć.

– A jednak za każdym razem staramy się właśnie o dotrzymanie obietnic – zareplikowałam, może zbyt żywym tonem.

– Ma pani cały wieczór, żeby mnie o tym przekonać... Elle.

Nie cierpiałam sposobu, w jaki wymawiał moje imię, odrywając je od reszty zdania, jakby bawił się nim niczym kot z myszą.

Oczywiście, wolałabym podczas tej ostatniej misji spotkać dobrodusznego miśka, któremu za powód do satysfakcji i dumy wystarczyłoby paradowanie ze mną pod rękę. Ale cóż, dziewczynom do towarzystwa nie jest dane komponować menu według własnego uznania.

– A pan nadal mi się nie przedstawił – zaatakowałam go wprost. – Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

– Cierpliwości... Na to odkrycie mamy również cały wieczór.

Moje początkowe oczarowanie ulatniało się z każdą sekundą, podobnie pewność siebie. Szczerze mówiąc, miałam nieodpartą ochotę uciec stąd jak najszybciej. Powstrzymywał mnie jeszcze tylko obraz zegarka rocznik ’69 na witrynie Antiquités Nativelle... Bez tej motywacji – a Rebecca, aby przełamać moje ostatnie opory, zaznaczyła, że klient oferował podwójną stawkę, życząc sobie

specjalnie mnie – już by mnie tu nie było. Postanowiłam zacisnąć zęby, aczkolwiek bez pewności, na jak długo starczy mi determinacji.

Jakby czując wzbierający we mnie bunt, mój kulawy dandys nagle zmienił ton i zaczął rozmawiać ze mną przyjaźniej, bardziej po ludzku. Rzucił kilka kurtuazyjnych pytań: studentka czy pracująca? Paryżanka czy prowincjuszka? Amatorka sztuki współczesnej czy raczej konserwatystka?

No, przynajmniej raczył wreszcie zejść ze swego piedestału.

– Galerie to niespecjalnie pani hobby, prawda...? – zainteresował się w pewnym momencie, z ciepłym, niemal czarującym uśmiechem.

– Nie... niespecjalnie – przyznałam.

– W takim razie, czy mogę zaoferować się na przewodnika?

– Przewodnika?

– Tak, tutaj, na dzisiejszy wieczór. Wie pani, David Garchey jest wschodzącą gwiazdą, już docenianą w Nowym Jorku i Londynie.

David. A więc tak nazywał się autor wystawy. W duchu skwitowałam uśmiechem tę ironię losu. David Barlet. David Garchey. Zbieżność imion wytrąciła mnie z równowagi.

– Chętnie, proszę mnie oprowadzić – zgodziłam się, żeby tylko nie okazać zmieszania.

Ceremonialnie podał mi ramię – raczej suche, bez przesadnej muskulatury, za to emanujące gorączkową energią, jakimś permanentnym napięciem. Pociągając mnie ku jednemu czy drugiemu dziełu, wykorzystywał naszą nową bliskość, aby pozwalać sobie na poufałe gesty, zazwyczaj dopuszczalne tylko między przyjaciółmi. I tak na przykład mimochodem uniósł niesforny kosmyk włosów z mojego karku, lekko muskając przy tym meszek na skórze, a dotyk jego palców natychmiast przeszył mnie prądem przez całą długość kręgosłupa.

– Widzi pani – ciągnął cichszym i niższym głosem – David nie jest zepsutym dzieckiem z kręgu uprzywilejowanych, które bawi się odsądzaniem od czci i wiary własnej sfery.

– Skoro pan tak twierdzi...

Chcąc jakoś przeżyć ten katorżniczy wieczór, należało słuchać i przytakiwać. Im mniej oporu czują tacy erudyci, tym szybciej sami nużą się swoimi wykładami. Pod tym względem mój obecny klient

nie mógł różnić się zbytnio od niektórych profesorów próbujących uwieść naiwne studentki. Wiem, co mówię, bo sama zetknęłam się w czasie studiów z podobnymi zakusami, skądinąd bezowocnymi.

Z bliskiej odległości mogłam wyczuć dwie nuty jego perfum, wanilię i lawendę, rozgrzane wewnętrznym żarem, który zdawał się tlić w nim bez przerwy.

– Twierdzę z pełnym przekonaniem. Zasięg społeczny jego sztuki daleko wykracza poza sferę, z której on sam pochodzi.

To mówiąc, szerokim gestem wskazał mi olbrzymią Sophie la Girafe, kultową zabawkę wszystkich francuskich niemowląt, tyle że uzupełnioną o piersi godne gwiazdy porno i srebrne stringi, głęboko wciskające się w bruzdę między pośladkami.

Na odsłoniętym przez chwilę lewym przedramieniu mojego cicerone dostrzegłam kątem oka tatuaż złożony z małej literki „a" i stalówki wiecznego pióra. Ciąg dalszy ginął niestety pod rękawami koszuli i marynarki.

– Przykro mi, ale chyba nie nadążam za tokiem pana myśli. Proszę mi wytłumaczyć, w czym fakt zohydzania zabawek z dzieciństwa, ich zamiany w tak groteskowe obiekty seksualne... miałby odbiegać od archetypu burżuazyjnego syna-skandalisty?

To było silniejsze ode mnie. Mój zmysł krytyczny został podrażniony i nie mógł powstrzymać się od reakcji.

Spodziewałam się, że entuzjasta obrazoburczej sztuki odprawi mnie natychmiast – i bez honorarium – albo przynajmniej zabije rozżarzonym wzrokiem, a tymczasem jego oczy płonęły, ale ciekawością, a uśmiech wyrażał tyleż zdziwienia, co ekscytacji.

– Niech pani zwróci uwagę na wybór tych obiektów, Elle: David mógł przecież poddać obróbce zabawki już znane z prowokacyjnych atrybutów, jak lalki Barbie. Ale on, wręcz przeciwnie, wybrał te najbardziej niewinne, synonimy dzieciństwa, czystości...

– Tu mogę się z panem zgodzić. I co z tego?

– To, że próbuje w ten sposób podkreślić, jak szybko i jak brutalnie następuje dzisiaj seksualizacja dzieci. Do tego stopnia, że dziecko i seksualny prześladowca mogą zlewać się w jedną osobę. Ścigany i ścigający, ofiara i sprawca w jednym.

Ogólny i etyczny wydźwięk tych rozważań wprawiał mnie w lekkie zakłopotanie. I jeszcze większe zdziwienie, że wypowiada je człowiek, o którym rzecz jasna nic nie wiedziałam, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, by kierował się w życiu bardzo surowymi zasadami.

– Czy wie pani, w jakim wieku współczesne dzieci po raz pierwszy oglądają film pornograficzny? – podjął poważnym tonem.

– Nie mam pojęcia... Czternastu lat?

– Jedenastu. Dla większości jedenastolatków, zarówno chłopców, jak i dziewczynek, seks oralny, analny, podwójna penetracja i jeszcze bardziej ekstremalne praktyki nie mają już żadnych tajemnic.

– No tak, to z pewnością może być prob...

– Ależ nie! – przerwał mi w pół słowa, nakręcając się własną przemową. – Wprost przeciwnie, one nic nie wiedzą! Nic a nic! I to dopiero jest problem! Banalizacja seksu w otoczeniu podtrzymuje powszechną iluzję, że dzieci są właściwie poinformowane i wprowadzone w temat. Wszystkie te jawnie pornograficzne reklamy, ta wyuzdana moda, te seriale pochłaniane przez dzieci, kręcące się wokół seksu... nic z tych rzeczy nie budzi ich do seksualności. To wyłącznie gigantyczny rynek, co gorsza niewiarygodnie lukratywny, ale w żadnym razie edukacja seksualna z prawdziwego zdarzenia. Wszystko zafałszowane, zdeformowane, ośmieszone, nierzadko wręcz kryminalne... Wszystko z wyjątkiem erotyki. Wszystko z wyjątkiem prawdy!

– Zatem, jeśli pana dobrze rozumiem, problem polega nie tyle na tym, że dzieci na każdym kroku stykają się z seksualnym przekazem, ile że następuje to, zanim naturalnie dojrzeją do seksualności?

– Właśnie! – potwierdził z pasją. – I dokładnie o tym mówią dzieła Davida: nadmiar seksu w otoczeniu wpycha dzieci w seksualność pozorowaną, na skróty, odbierając im czas niezbędny do nauki. Najzwyczajniej kradnąc im ten czas. Żadne z dzieci konsumujących seks od najmłodszych lat nie potrafi filtrować tych obrazów i tworzyć sobie własnych, bliższych prawdy. Są bezbronne, biorą całe to gówno za dobrą monetę. Oto prawdziwy dramat! Oto skandal!

– A według pana – ośmieliłam się zapytać – jaki byłby właściwy wiek na inicjację? I przede wszystkim, kto powinien się tym zająć?

Obraz mojego karnecika i ukrytych w nim tajemniczych notatek przez chwilę nie dawał mi spokoju. Czy to możliwe, by ich anonimowy autor i nadawca na swój sposób, fakt, że brutalny, nachalny, ocierający się o gwałt, miał na uwadze ten sam cel: moją edukację seksualną?...

– Jest różny dla każdego z nas – doszła mnie odpowiedź. – Nie ma jednego właściwego wieku, aby pozwolić rozkwitnąć własnej seksualności, wbrew temu, o czym usiłują nas przekonać ustawodawcy i statystycy. To indywidualnie zmienne, niektórzy są gotowi wcześniej, inni później. Tak czy inaczej, to nie powód, by dopasowywać wychowanie seksualne do jakiegoś standardowego modelu.

Umożliwić każdemu rozwój naturalnej seksualności, chroniąc go w międzyczasie przed zgubnym wpływem społeczeństwa konsumpcyjnego – do tego mniej więcej sprowadzała się filozofia tego Rousseau w nowym wcieleniu. Zauważyłam jednak, że pozostawił bez odpowiedzi moje drugie pytanie: komu należałoby powierzyć wychowanie seksualne młodzieży? Pytanie tym ważniejsze, że przecież odrzucał – nie bez racji – dominujący model proponowany przez rynek?

Szczerze mówiąc, całe to exposé zrobiło na mnie pewne wrażenie. Byłam nawet skłonna zgodzić się z wykładowcą, że chodziło o sprawy istotne... Tylko czy potrzebna była tak specyficzna forma, żeby wyartykułować ów przekaz? A co powiedzieć o uczniach z pobliskiego liceum po kilka razy dziennie mijających witrynę galerii i jej kuriozalne eksponaty? Czy naprawdę musieli oglądać ten wyjątkowo bezwstydny spektakl, w dodatku bez jednego słowa przygotowania? Czy na pewno było to dla nich mniej szkodliwe niż pornografia w internecie? A sam artysta, czy aby nie przykładał (mimowolnie) ręki do zła, które jakoby denuncjował?

Zachowałam jednak dla siebie wątpliwości natury etycznej. Z prostego powodu: biorąc pod uwagę pasję mojego towarzysza, byłam już prawie pewna, że to David Garchey we własnej osobie, czyli twórca tych obrzydliwości. Gdy tymczasem...

– O proszę, o wilku mowa... Albo o diable, skoro czujemy zapach siarki!

Ruchem rozgorączkowanej głowy przywołał kogoś za moimi plecami, kto ruszył ku nam wolnym krokiem, lawirując między gośćmi i ich talerzykami.

– Dobry wieczór – przywitał się nieśmiało młodzieniec, na oko niemal nastolatek, w białej koszuli, z długą czarną grzywką zasłaniającą mu pół twarzy.

– Davidzie, przedstawiam ci Elle. Elle, oto młody artysta, którego dzieła tak gorliwie broniłem, jak mogła pani zauważyć.

Ach, co za eufemizm...

Zmusiłam się do okolicznościowego uśmiechu pod adresem artysty, równie swobodnego i rozmownego jak postawiony w rogu wieszak.

– Dobry wieczór i... gratulacje.

– Dziękuję – wymamrotał jeszcze ciszej.

– Wyobrażam sobie, że pana twórczość została zauważona przez prasę?

– Owszem – odpowiedział zamiast niego mój kawaler. – Mieliśmy kilka doskonałych recenzji... Ale mniejsza o to. Najważniejsze, że przynajmniej niektórzy z pani kolegów po fachu wyszli poza sam prowokacyjny aspekt prac Davida, trafnie widząc w nim tylko sposób na zwabienie publiczności. Część dziennikarzy dobrze zrozumiała społeczny i edukacyjny wymiar jego sztuki.

Skąd wiedział, że jestem dziennikarką *in spe*? Czy Rebecca nie powinna była zachować dla siebie tak poufnych informacji?

Miałam właśnie go o to zapytać, gdy nieoczekiwanie wyrosła przed nami olśniewająca Metyska w połyskliwej sukni, skąpo okryta, jak gdyby wyszła z basenu. Z ostentacyjną poufałością przywarła do mojego towarzysza, dosłownie owinęła go swym długim, idealnie zbudowanym ciałem. Mimo całego zaskoczenia zdążyłam jeszcze zauważyć, że w przeciwieństwie do Davida, mojego Davida, człowiek o nadal nieznanym mi nazwisku nie był podobny do żadnego konkretnego aktora. A jednak to wewnętrzne wrzenie, ta gorączka, jaka zdawała się go trawić, pasowały do pewnego typu ludzi o mrocznej i niepokojącej powierzchowności, jak Willem Dafoe, Christian Bale czy Anthony Perkins. Nie tyle posągowo pięknych, ile intrygujących, niezapomnianych.

– Idziemy, Loulou? – odezwała się piękna liana.

– Tak, chodźmy. Elle, zostawiam panią z przyszłością współczesnej sztuki.

Rzeczona przyszłość wpatrywała się w nieco zdarte czubki własnych butów. A mnie po prostu zatkało.

– Jak to... Pan wychodzi?

Nigdy jeszcze żaden mężczyzna, a cóż dopiero klient, nie wyrządził mi takiego afrontu, żeby bez najmniejszej żenady odejść z inną, w dodatku sto razy piękniejszą i atrakcyjniejszą ode mnie. Klosz mojej baletowej sukienki drżał z oburzenia i wściekłości. Porzucenie dotknęło mnie tak bardzo, że aż zapomniałam o spodziewanym bonusie finansowym, ulatniającym się wraz z tym łajdakiem. Byłam najzwyczajniej wściekła. Odprawiona. Upokorzona.

– Proszę się nie martwić. Jeszcze się zobaczymy – obiecał, obejmując talię karmelowej liany, która nie omieszkała spiorunować mnie przepastnymi, czarnymi oczami. – Och, i byłbym zapomniał...

O czym? O elementarnej kurtuazji? A może o moim honorarium? Zależnie od ustaleń klienci albo płacili nam sami, osobno przelewając prowizję agencji, albo, jak w przypadku stałych bywalców, regulowali całość Rebecce, która później rozliczała się z dziewczynami. Nie śmiałam o to zapytać, ale byłam wręcz pewna, że on należał do tej drugiej, uprzywilejowanej kategorii.

Wytatuowaną ręką dotknął mojego koka, który w trakcie wieczoru obsuwał się coraz niżej na szyję. Natychmiast zesztywniałam, gdy uniósł go do góry.

– Co...?

– Powinna pani używać raczej szpilek do włosów niż klamerek – zasugerował, jakby czytając w moich pragnieniach. – To lepiej odsłoniłoby pani kark. A szkoda byłoby go ukrywać.

– Tak, nie wiem... – wyjąkałam.

– Dobranoc, Elle.

Para już miała zejść mi z oczu; odchodzili ze stukotem jego laski o woskowany beton, dublującym każdy krok.... gdy nagle zrobił woltę i wrócił do mnie sam. Czego jeszcze mógł chcieć?

– Właśnie do mnie dotarło, że nawet się pani nie przedstawiłem.

– Rzeczywiście...

Czas najwyższy, dodałam w duchu.

– Nazywam się Louis...

Tu zawiesił głos, jakby wahał się przed dalszym ciągiem. Louis i co dalej? Niecierpliwym gestem zasygnalizowałam mu moją uzasadnioną ciekawość.

– Louis...?

– Barlet. Jestem mecenasem Davida Garcheya...

Louis Barlet, powtórzyłam w myślach kilka razy, jakby nie dowierzając realności tego zestawienia, ogłuszającego niczym niespodziewana detonacja.

– ...i bratem Davida Barleta.

I już oddalał się ponownie, cały w uśmiechach... Przystanął jednak na sekundę, na tyle, ile potrzeba, by przez ramię cisnąć w moją stronę ostatni granat, owiewający mi twarz śmiertelnym podmuchem:

– Ale pani już to odgadła, nieprawdaż?

Ten brat, o którym David mówił tak niewiele, którego zdjęcia nie chciał mi pokazać, którego prezentację stale odwlekał... Niepotrzebnie, bo właśnie się dokonała. I to w okolicznościach jak z najkoszmarniejszych snów.

On i jego partnerka na dobre opuścili lokal, pozostawiając mnie w środku, startą na proch.

– Elle?

Tym razem to Alban, gospodarz wieczoru, znów zaszedł mnie niepostrzeżenie. Wyciągnął w moją stronę dość wypchaną kopertę.

– Proszę. Louis zobowiązał mnie, żebym to pani wręczył.

– Dziękuję, ale co to...?

– Pst, pst, niech pani idzie! Taksówka już czeka. Zobaczy pani po drodze.

Bez pożegnania z artystą w jednej chwili byłam na zewnątrz, gdzie wielka ciemna limuzyna rzeczywiście pomrukiwała na luzie, zahaczając lewymi kołami o krawężnik. Przez sekundę wahałam się, jaki adres podać kierowcy, ale szybko podjęłam decyzję:

– Poproszę rue de la Tour-des-Dames, numer trzy. W dziewiątce.

Taksówkarz ruszył w milczeniu, a ja, wygodnie rozparta z tyłu, miałam faktycznie dość czasu na otwarcie koperty od Louisa, przekazanej mi przez właściciela galerii. W środku było osiem banknotów po sto euro, nowiutkich, jakby wyszły prosto z sejfów Banku Francji. Osiemset euro dla mnie, dokładna dwukrotność sumy, jaką zainkasowałabym, gdybyśmy jednak zakończyli wieczór w Hôtel des Charmes. Sumy zgodnej z jego obietnicą. Louis Barlet zrezygnował z posiadania mnie, zasłaniając się anonimowością... A mimo to kupił sobie moje usługi jak pierwszej lepszej kurtyzany.

Jego hojność czyniła ze mnie wulgarną kurwę i nie mógł ignorować tego faktu. Tak jak nie mógł ignorować rodzinnych więzów, które wkrótce miały nas połączyć.

Zamierzałam wysłać SMS do Davida, że wracam do domu, gdy na ekranie mojego smartfona pojawił się inny, przychodzący, chociaż nawet nie poprzedzony typowym sygnałem. Nie było też śladu po numerze nadawcy, a mimo to jego tożsamość była dla mnie aż nadto oczywista:

Do jutra.

Powinnam była wyrzucić telefon przez okno taksówki. Albo przynajmniej wykasować te dwa słowa z jego i mojej pamięci. Rozdygotana, obolała, z dziwnymi wyładowaniami w skroniach i pożarem w głowie nie zrobiłam jednak nic. Walczyłam tylko, aby powstrzymać łzy wzbierające we mnie niepohamowanym strumieniem, którego źródło biło gdzieś w głębi, w jakimś zadawnionym bólu, znajomym, choć bezimiennym.

I tak oto Louis Barlet wkroczył w moje życie.

9

6 czerwca 2009

Tego ranka David nie życzył mi miłego dnia. To znaczy, nie osobiście. Posłużył się kartą kredytową i odręcznym liścikiem – kolejnym dowodem jego niewinności w sprawie karnecika – które czekały na szafce nocnej, aż otworzę oczy, uśmiechnę się na ich widok i z radością wyskoczę z łóżka.

Masz dzisiaj casting, prawda?
Więc zrób się na bóstwo, tak jak to widzisz
i zwłaszcza jak masz ochotę.
Kocham Cię.
D.

Gest oczywiście ujmujący, jak wszystko, czym obsypywał mnie od trzech miesięcy. Pomimo to nie byłam w stanie docenić wspaniałości tego daru. Czułam w sobie dziwną blokadę; moje emocje nie krążyły tak, jak powinny. Nie tak, jak w początkach naszej historii. A przecież miłość trwa podobno trzy lata – dziwiłam się sama sobie. Trzy lata, nie trzy miesiące!

Gdy wróciłam poprzedniej nocy, David spał już głęboko i zapewne od dawna. Wsunęłam się w pościel obok niego najciszej jak umiałam, ale nie udało mi się ani zasnąć, ani uleżeć bez ruchu – uporczywie nawracające sceny z tego tragicznego wieczoru wykluczały i sen, i spokój.

Jakkolwiek długo bym rozmyślała, sytuacja za każdym razem sprowadzała się do tego samego: mój przyszły szwagier, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdeterminowany, żeby zastawić na mnie pułapkę – z jeszcze nieznanych mi powodów – w tajemnicy przed bratem zamówił sobie moje usługi luksusowej *call girl*. Jedno słowo Louisa do Davida, a wszystkie moje plany na przyszłość

rozwieją się w okamgnieniu, szybciej niż pył na wietrze. Koniec z marzeniami o życiu jak w bajce, koniec z cudownym leczeniem mamy... Podła – i niewytłumaczalna – intryga tego człowieka zniszczyła wszystko, co my dwoje, David i ja, budowaliśmy od trzech miesięcy. Nawet jego pieniądze, przeliczane na tylnym siedzeniu taksówki – tak brudne, że nie raczył wręczyć mi ich osobiście, aby nie skalać sobie wypielęgnowanych rąk – miały niszczycielską moc: ów wymarzony zegarek, symbol mojej miłości do Davida, teraz napełniał mnie odrazą, stając się raczej symbolem wstydu i upadku. I haniebnego sekretu, który odtąd nierozerwalnie łączył mnie z Louisem.

Nie mogłam pogodzić się z tak jawną wrogością ze strony człowieka, którego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy. Co mu zrobiłam? Dlaczego mnie nienawidził? Czy widział we mnie tylko jedną z tych cynicznych arywistek, pozbawionych jakichkolwiek przymiotów ducha i umysłu, które krążą wokół majętnych mężczyzn, gotowe na wszystko, aby dorwać się do rodowych fortun? Przemknęło mi nawet przez myśl, że może to sam David polecił Louisowi sprawdzić szczerość moich uczuć i intencji – tak jak musiał stale testować swoich podwładnych. Ale nie, przecież nie mnie – szybko odrzuciłam tę podłą hipotezę. Nie po oświadczynach, jakie urządził mi na barce. Człowiek zdolny do takich rzeczy mógł być manipulatorem w życiu zawodowym, ale nie prywatnym – co różniło go od Louisa, intryganta w każdym calu, o czym niestety przekonałam się na własnej skórze.

– Śpisz? –zamruczał nagle David.

Byłam tak nieprzygotowana na jego głos w ciemności sypialni, że ledwie stłumiłam okrzyk przerażenia.

Chyba wyczuł, że potrzebuję otuchy, bo przytulił się do mnie całym sobą, idealnie wpasowując swój atletyczny tors w moje plecy, biodra w biodra, uda w uda. Jego ciepły i regularny oddech kojąco muskał moją szyję. „To lepiej odsłoniłoby pani kark – mówił Louis niespełna godzinę wcześniej. – A szkoda byłoby go ukrywać".

Wspomnienie jego słów, a jeszcze bardziej jego palców w kontakcie z wrażliwym zagłębieniem szyi odsłoniętym przez kok, wzbudziło we mnie nieoczekiwaną falę ciepła. Jakby kula wypełniona

energią toczyła się samoistnie wzdłuż mojego ciała, najpierw od szyi do lędźwi, później po pośladkach, aby dotrzeć do łona i wdzierać się w głąb, między wargi sromowe natychmiast obrzmiałe niepohamowaną żądzą. Odruchowo docisnęłam biodra do genitaliów Davida, które nie omieszkały obudzić się z uśpienia.

– To wizyta w szpitalu wprawia cię w taki stan? – wymamrotał mi prosto do ucha.

Wyjęczałam odpowiedź z nietypową dla siebie namiętnością.

– Pragnę cię... Weź mnie teraz, zaraz.

– Chyba nie chcesz, żebym...

– Weź mnie! – rozkazałam.

Nie dał się dłużej prosić. Uwolnił swą erekcję z okowów piżamy i wszedł we mnie od razu, bez żadnych wstępnych pieszczot, tak jak leżeliśmy. Pozycja „łyżeczek" pozwalała na niezbyt głęboką penetrację i ruchy o słabej amplitudzie – ale poza wygodą miała jeszcze jedną niezaprzeczalną zaletę: dawała nam swobodę rąk. Moje od razu podążyły w wiadomym kierunku. Dwoma palcami rozłożonymi w literę V otoczyłam z obu stron wrażliwe ziarenko, już kiełkujące mi między nogami. Oddychałam coraz szybciej i głośniej, w miarę jak pęczniało pod wpływem moich działań. Nie był to jeszcze wybuch wulkanu, zawsze tak wyczekiwany, niemniej moje ciało odczuło pierwsze wstrząsy sejsmiczne, głuche, stłumione, z głębi trzewi. Pragnęłam ich więcej, coraz silniejszych i przede wszystkim coraz dłuższych. Nie chciałam zwłaszcza, żeby wygasły bez erupcji, ale na szczęście teraz zależało to tylko ode mnie, od mojej własnej sztuki obdarzania się właściwymi pieszczotami. Wolną ręką skierowałam dłoń Davida na mój naprężony sutek – i ta jednoczesna stymulacja dwóch czułych punktów wywołała wreszcie coś na kształt łuku elektrycznego. Mięśnie moich pleców i ud zwarły się w skurczu, rozkosznym niemal do bólu. Oczywiście, wyładowanie mogło było potrwać dłużej niż te ułamki sekund, jak na mój gust zdecydowanie za krótkie.

Nie pamiętam już dokładnie okoliczności, w których odkryłam właściwą technikę doprowadzania się do orgazmu. Wyobrażam

sobie, że stało się to w moim panieńskim łóżku, między dwoma pluszakami i pod plakatem Depeche Mode.
Od tamtego momentu zawsze postępuję niemal identycznie: zaczynam od delikatnego głaskania piersi. Nie wiem, czy tak jest naprawdę, ale mam wrażenie, że wszystkie moje strefy erogenne są powiązane ze sobą. Muśnięcie sutków otwartą dłonią działa jak natychmiastowa i niezawodna pobudka na mały różowy guziczek między nogami, ukryty pod swym kapeluszem. Co jednak najważniejsze, wcale nie spieszę się, by go dotknąć. Kontynuuję eksplorację górnych partii ciała: piersi, szyi, karku... Czasami zatapiam jedną rękę we włosy, powoli spływające mi na twarz jak dodatkowa pieszczota. Czekam, aż moje łono rozgrzeje się samoistnie i dopiero wtedy pozwalam jednej z rąk zsunąć się niżej, od pępka przez podbrzusze aż do owłosionego wzgórka. Przez chwilę bawię się tym runem, owijam jego dzikie sploty wokół palców, podczas gdy moja druga ręka muska wargi sromowe. Od czasu do czasu któryś z palców wraca do góry i wsuwa się w usta, gdzie ciepły, mokry język dodaje mu sił do dalszej pracy.
Na dole tymczasem dzieją się wielkie rzeczy: dwa rozsunięte palce, wskazujący i środkowy, schodzą jeszcze niżej, obejmując łechtaczkę widełkami. Przy każdym ruchu złącze tego naturalnego narzędzia trąca jej wierzchołek, teraz już mocno podekscytowany. Mam wrażenie, że rośnie w oczach, zaczyna żyć własnym życiem, wyzierać z moich czeluści jak magiczne ziarno. Kontynuuję ruch w tę i z powrotem, bez jednego przestoju. Na pewnych etapach wędrówki co najwyżej zsuwam oba palce, zaciskając je na łechtaczce i wyobrażając sobie, jak oblewa się krwistym rumieńcem pod wpływem uszczypnięcia. Później znów uruchamiam wahadło, jeszcze i jeszcze. Gdy orgazm wydaje się już kwestią sekund, do akcji wkracza moja druga ręka. W zależności od nastroju chwili, albo przesuwam opuszkę palca wskazującego bezpośrednio po szczycie łechtaczki, bliskim wulkanicznej erupcji, albo wprowadzam tenże palec do pochwy i penetruję jej mokre głębie. Pod wpływem tych synchronicznych bodźców zrywa się pierwsza fala, ostra, potężna, rozlewająca się z łechtaczki na całą okolicę. Druga, a czasem nie ostatnia, narasta we mnie jak tsunami, gdzieś w głębi trzewi,

po czym wolniej sunie w dwóch kierunkach: ku dołowi, docierając aż do palców stóp, i ku górze, gdzie unosi moją pierś i odrzuca głowę do tyłu. „Och, nie, nie...", jęczę najczęściej, po czym opadam na bok i nieruchomieję. Wyczerpana i zaspokojona. Przynajmniej usatysfakcjonowana, skoro nie naprawdę szczęśliwa.
(Anonimowa odręczna notatka z 6.06.2009.
Poza plakatem Depeche Mode wszystko się zgadza lub prawie... jak on to robi?).

Zachęcony tym, co musiał wziąć za efekt własnych starań, David przyspieszył rytm i niemal natychmiast wytrysnął z niekontrolowanym krzykiem, pełnym dziwnie bolesnej skargi. Odczucie jego skurczów wewnątrz mnie odebrałam niczym nagrodę i zarazem zachętę.

Albowiem o ile z jednej strony było po wszystkim, o tyle z drugiej wcale nie. Już opuszczona przez Davida, wznowiłam wędrówkę palców, teraz po całej powierzchni sromu, co rusz zagłębiając któryś z nich w moją wreszcie mokrą szparę. Wkrótce poczułam wyładowanie, a po nim falę, wezbraną gdzieś pod pępkiem, zalewającą pustą plażę mojego podbrzusza i spływającą wzdłuż ud. Tym razem tylko jedną falę.

– Nieee...

Nie był to orgazm stulecia, ale był – jeden z tych, które umiałam zidentyfikować i co najważniejsze, sprawić sobie sama. Szybka, ukradkowa przyjemność, doraźne zaspokojenie głodu między dwiema poduszkami, ot, seksualny bar samoobsługowy. Jeśli o to chodzi, David niczego nie zmienił w moim życiu od czasów Freda czy kilku miesięcy celibatu. Moja seksualność pozostała na tym samym etapie, złożona z przyjemności zależnych tylko i wyłącznie ode mnie.

Łudziłam się co prawda, że kochanek przejmie teraz pałeczkę i wyręczy mnie w tym zadaniu – ale lekkie pochrapywanie obok szybko rozwiało nadzieje. David spał już w najlepsze, a i ja wkrótce poszłam w jego ślady, wyczerpana lawiną sprzecznych emocji. Śniło mi się, że David Garchey, obiecujący podopieczny Louisa, w takim samym stroju lalki jak jego olbrzymi penis, szepcze do mnie

z nieśmiałym uśmiechem: „Dlaczego nie nauczysz go, jak powinien cię kochać? No powiedz, na co czekasz?”.

To niesamowite, ile może zdziałać nielimitowana karta kredytowa, powleczona platynowym, złotym, czarnym czy nie wiem jakim innym prestiżowym lakierem! Ta od Davida, wydobywana dobrych kilka razy w ciągu poranka, umiała na przykład skutecznie zatrzeć w mojej pamięci zgryzoty i obawy z poprzedniego wieczoru. Ilekroć wprowadzałam jego poufny kod – skądinąd, co za wzruszający dowód zaufania! – wspomnienie Louisa, wynaturzonych dzieł Davida Garcheya i całej tej perory na temat wychowania seksualnego bladło o kolejny ton. Zapomniałam nawet o zagrożeniu, jakie niosło dla mnie spotkanie z moim przyszłym szwagrem. Słuchałam już tylko szczebiotu sprzedawczyń, upajając się nim jak marynarze syrenim śpiewem.

– Poproszę czterysta pięćdziesiąt osiem euro, mademoiselle.

– Sweterek, spódnica, czółenka, torebka... razem osiemset dwadzieścia trzy euro, jeśli pani pozwoli.

– Wychodzi dwieście sześćdziesiąt siedem euro. Czy ma pani naszą kartę stałego klienta?

– Och, będzie pani ciężko z tym wszystkim. Może zadzwonić po taksówkę?

– Pięćset dwadzieścia jeden euro, po uwzględnieniu piętnastoprocentowego rabatu od sumy powyżej pięciuset euro.

– Czy rzuciła pani okiem na nową kolekcję? Idealnie w pani stylu!

Cokolwiek do mnie mówiono, potakiwałam bez namysłu, unosząc się na czarodziejskim dywanie luzu i beztroski. W ciągu kilku godzin obeszłam wszystkie butiki kreatorów będących mniej lub bardziej na topie, którzy obrali sobie siedzibę w dzielnicy Abbesses, eleganckim trójkącie między rue Lepic, rue des Martyrs i rue des Trois-Frères. Promienne słońce i ciepły, pieszczotliwy wietrzyk przeganiały resztki niespokojnych myśli, jeszcze zalegających po stronie braci Barletów.

Zaliczenie do grona klientek wolnych od przyziemnych problemów finansowych, nieważne, że na rachunek mężczyzny, miało jeszcze jedną zaletę: radykalną zmianę percepcji mojej skromnej osoby. Jak

za dotknięciem różdżki ekspedientki z modnych butików przestały omiatać mnie wzrokiem pełnym politowania, nie dowierzając, że wbiję się w rozmiar 40. Teraz żadna nie użyłaby już pogardliwego określenia „przy kości", które wcześniej zdarzało mi się słyszeć – przeciwnie, nagle stałam się kobieca, piękna i ponętna, jak modelka w dawnym typie, wreszcie wracającym do łask po dziesięcioleciach banicji.

Tak komplementowana i zachęcana, bez skrupułów wybierałam obcisłe góry i rozkloszowane spódnice, zgodnie podkreślające moje pełne kształty. „Sylwetka jak z Bouchera albo Poussina" – mówił czasami David, miłośnik i znawca klasycznego malarstwa.

Od Abbesses do placu Pigalle było zaledwie kilka kroków w dół rue Houdon. Pokonałam je powoli, objuczona nie tylko pakunkami, ale i wielkim sandwiczem pełnym kulek falafeli, rozkosznie tłustym i ociekającym. Szyld na bulwarze Clichy, przed którym wreszcie stanęłam, wabił znacznie natarczywiej niż witryny dopiero co zwiedzonych markowych butików. Migotliwe czerwone i różowe lampki układały się w nagą postać kobiecą, namawiając do grzesznych uciech. Przechodzący mężczyźni podnosili oczy, niektórzy przystawali, a jeszcze mniej liczni znikali w obwieszonym lustrami przedsionku.

– Proszę do środka, mademoiselle, to superspektakl również dla dziewczyn! – Bramkarz z ogoloną czaszką i silnie arabskim akcentem zrobił zapraszający gest. – No chodź, ślicznotko!

– Nie... Chciałam tylko zobaczyć się z przyjaciółką, która tutaj tańczy. So...

W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Bóg jeden wiedział, pod jakim pseudonimem Sophia produkowała się w tym szemranym lokalu. Ujawnienie jej tożsamości mogło być niedźwiedzią przysługą.

– A jak wygląda ta twoja przyjaciółka?

– Ma długie, czarne włosy... i...

Czerwona ze wstydu zatoczyłam w powietrzu rękami, żeby zilustrować, jak hojnie obdarzyła ją natura.

– Ach, ach! – parsknął śmiechem, odsłaniając zniszczone uzębienie. – Ale co ty sobie myślisz, piękna gazelo? Mam tu same brunetki z dużymi cyckami!

– No to jak w takim razie ją znajdę? – zapytałam z całą słodyczą, na jaką było mnie stać.

Bramkarz dotknął moich pleców przyjacielską, ale zdecydowaną ręką, popychając mnie do środka.

– Śmiało, wejdź... Za lustrami skręcisz w mały korytarzyk w prawo. Otworzysz drzwi z napisem „prywatne" i tam zobaczysz je wszystkie. Twoja przyjaciółka musi być w którejś kabinie.

Posłuchałam go, w duchu pomstując na Sophię, że koniecznie chciała umówić się ze mną w swoim miejscu pracy. „Wiesz, taki tam rodzaj tańca, żeby facet popatrzył sobie w drodze do domu, a potem chętniej przeleciał żonę" – bagatelizowała przez telefon, jakby chodziło o spektakl chippendalesów w damskim wydaniu.

Wiedziałam, że w tych trudnych czasach musiała znacznie obniżyć pułap swych artystycznych ambicji. Ale co innego wiedzieć, a co innego być naocznym świadkiem jej upadku. Zupełnie co innego.

Zagłębiłam się w słabo oświetlony tunel, za wąski dla moich pokaźnych toreb. Przez jeden z wizjerów w równym szeregu drzwi zobaczyłam wreszcie Sophię od tyłu, ubraną tylko w stringi, tak skąpe, że dojrzałam je dopiero wtedy, gdy na chwilę odwróciła się przodem do mnie. Zdążyłam jeszcze zauważyć, że wyjęła dwa piercingi, jakie nosiła zwykle w pępku. Zmysłowe ruchy jej bioder nie wymagały właściwie żadnej choreografii, a ewolucje tułowia do wtóru zmysłowej muzyki służyły tylko jednemu celowi: lepszemu wyeksponowaniu piersi, ud i pośladków w matowej szybie, widocznej na przeciwległej ścianie mikroskopijnej pakamery. Co jakiś czas Sophia dociskała któryś ze swych atrybutów do tej szyby, za którą niechybnie masturbował się jakiś widz.

Pięć minut! – pokazała ukradkiem, wyciągniętą do mnie lewą ręką, sygnalizując mi tym samym, że odkryła moją obecność.

W jednym z moich erotycznych snów leżę na łóżku, pochłonięta solowymi pieszczotami. Musi być lato, bo czuję upał i mgiełkę potu

na nagiej skórze. Nie mam na sobie nic a nic, a skoro zachowuję się tak swobodnie, z pewnością wiem, że jestem zupełnie sama w tym letniskowym domku.
Z rozchylonymi udami i szeroko otwartym łonem, stosuję moją niezawodną technikę: odwróconym V z dwóch palców jednej ręki obejmuję nabrzmiałą łechtaczkę, a palec wskazujący drugiej wsuwam w pochwę, już mokrą, śliską i gorącą. Cała płonę i drżę od wewnątrz. Mimo odległości chwytam nosem lekką woń moich soków, co podnieca mnie jeszcze bardziej.
Ale oto gdy już nadciąga kulminacyjny moment, wyraźnie słyszę kroki za drzwiami. Stary parkiet trzeszczy pod ciężarem kogoś, kto nagle przystaje i nieruchomieje. Mogę niemal poczuć wstrzymywany oddech nieznajomego, który nie śmie objawić się przede mną. Czy zaskoczył mnie przez przypadek? A może celowo śledził i podglądał? W innych okolicznościach ubrałabym się pośpiesznie albo ukryła pod jedynym białym prześcieradłem. Ale nie tym razem, to silniejsze ode mnie. Kontynuuję mój proceder, wręcz poszerzam kręgi zataczane dwoma palcami w głębi mnie, w poszukiwaniu najczulszych punktów. Zagryzam wargi – jeszcze chwila i nie będę w stanie powstrzymać się od krzyku. Świadomość, że ten ktoś jest tuż obok, poruszony, z pewnością sam rozpalony żądzą, potęguje moje doznania. Dyszę ciężko... i on też. Musiał wydobyć penisa na wierzch i masturbuje się teraz w tym samym rytmie co ja, z najwyższym trudem tłumiąc jęki. Budzę się dokładnie wtedy, gdy jak przypuszczam, oboje szczytujemy razem, choć osobno. W półśnie, jaki później następuje, wyobrażam sobie, że nieznajomy odchodzi, nie prosząc o więcej ani nie zdradzając mi swej tożsamości.
(Anonimowa odręczna notatka z 6.06.2009. Nigdy mi się to nie śniło, ale, o Boże... przeżyłam taką scenę!).

Przez kilkadziesiąt sekund kontemplowałam popisy Sophii, dopóki nagle zapalone czerwone światło na suficie nie rozmigotało się w sposób zapowiadający końcowe odliczanie.

Dziesięć, dziewięć, osiem...

I wtedy, z pupą wypiętą w stronę anonimowego klienta i twarzą zwróconą do mnie, Sophia przymknęła oczy i wprowadziła sobie do pochwy środkowy palec, odsuwając cienką nitkę stringów. Zaczęła penetrować się powoli, później coraz szybciej i gwałtowniej, naśladując ruchy frykcyjne zupełnie innego narządu.

...siedem, sześć, pięć...

Czy to też wchodziło w zakres jej zawodowych obowiązków? Jej palec poruszał się w zadziwiającym tempie, tak jakby chciała zaspokoić bardziej samą siebie niż klienta.

...cztery, trzy, dwa...

Zdawała się czerpać intensywną przyjemność z tej ofiary – za to ja cierpiałam, widząc ją w tak poniżającej pozycji i tak opłakanej sytuacji, żeby anonimowo wystawiać się na sprzedaż za marne grosze. Jej usta rozchyliły się, a powieki mimowolnie trzepotały. Czyżby miała przeżyć orgazm, tu, dwa kroki ode mnie, na użytek jakiegoś nędznego podglądacza?

...jeden, zero.

Pomieszczenie nagle pogrążyło się w ciemnościach. Instynktownie uciekłam do wyjścia, słysząc przez obskurne czerwone drzwi, jak Sophia zbiera części garderoby porzucone w trakcie show.

Ledwie minęło obiecane pięć minut, już była przy mnie, na chodniku, odprowadzana wymownym spojrzeniem bramkarza.

– Jeśli powiesz, że ci się podobało, będę zaniepokojona... a jeśli powiesz, że nie podobało, uduszę cię! – rzuciła ze śmiechem, obejmując mnie serdecznie.

Nigdy nie ośmieliłam się zapytać ją wprost, ale byłam niemal pewna, że w korowodzie jej amantów znalazłoby się i kilka amantek. Kim mogły być? Jak mogły wyglądać?

– Nic nie powiem! – roześmiałam się w odpowiedzi.

Promienne, wczesne popołudnie aż prosiło się o spacer, mimo ciążących mi pakunków. Miałam jeszcze dobre dwie godziny do castingu, w tym najwyżej pół na przejazd metrem w kierunku Levallois-Perret, gdzie mieściło się studio. Mocne perfumy Sophii, mieszanka nut kwiatowych i paczuli, walczyły o lepsze z ogromnym

kebabem, jaki zafundowała sobie po drodze. Nieważne, że pochłaniała go z gracją kierowcy ciężarówki w przydrożnym barze – i tak ogniskowała na sobie wszystkie męskie spojrzenia. Jak dla mnie, nic nowego, zdążyłam się już przyzwyczaić, że mężczyźni byli wrażliwi na ów sygnał seksualnej dostępności, wysyłany przez moją przyjaciółkę w sposób naturalny i niemalże bezwiedny.

Gdy uporała się z przekąską, zasiadłyśmy w kawiarni przy placu Abbesses, w słońcu, nad szklankami zimnego Monaco, jej ulubionego drinka. Czyżby uderzył mi do głowy? Nie omieszkałam wtajemniczyć Sophii w wydarzenia feralnego poprzedniego wieczoru.

– Ależ to chory człowiek! – zareagowała z przejęciem. – Musisz koniecznie porozmawiać o tym z Davidem!

– Tak? I co mam mu powiedzieć? Że jego brat przez dziesięć minut traktował mnie jak księżniczkę, a przez resztę czasu jak dziwkę? I dlaczego? Ach, chwileczkę, to akurat wiem: bo jestem dziwką!

Dwaj piwosze przy sąsiednim stoliku, leniwie rozglądający się za przygodami, rzucili w naszą stronę natarczywe spojrzenia.

– Elle, przecież on zastawił na ciebie pułapkę za plecami własnego brata. Nie możesz przejść nad tym do porządku dziennego!

– David mógłby dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy, So'... Fakt, akceptuje mnie taką, jaką jestem, mimo dzielących nas dziesięciu szczebli drabiny społecznej. Ale nigdy nie zaakceptowałby tej części mojego życiorysu. Wyobrażasz sobie tytuły w plotkarskiej prasie? „David Barlet, prezes grupy Barlet, poślubia *call girl*!".

– Nie jesteś *call girl*, do cholery... Jesteś hostessą, to zupełnie co innego.

Nowe zabójcze spojrzenia znad stolika obok.

– Naprawdę? Idź, wytłumacz to paparazzim!

Sophia zgromiła wzrokiem dwóch natrętów i szybko odwróciła się do mnie, jakby coś ją olśniło:

– Zaraz, zaraz, chyba się przesłyszałam... Powiedziałaś „poślubia"?

– Hm, no tak – westchnęłam. – To znaczy, tak miało być, do wczoraj.

– No, no, no! Zakaz lamentów! Posłuchaj, Elle – dodała poważniejąc – jeden z najbogatszych i najprzystojniejszych facetów

we Francji chce wsunąć ci na palec obrączkę, właśnie tobie. Bądź więc łaskawa nie spieprzyć tego wszystkiego w ostatniej chwili.

Mój telefon zawibrował w torebce, przerywając jej wywody:

Od PN, pilne: Annabelle, czy przyjmie pani zlecenie na dzisiejszy wieczór, teatr Champs-Élysées, godzina 20.30? Potrójna stawka od klienta, w ramach rekompensaty za last minute.
Proszę o jak najszybszą odpowiedź.

Niestety nie, inne plany.

Wystukałam odmowę bez chwili wahania. O ile bowiem David nie miał oczywiście pojęcia o mojej działalności w Pięknościach Nocy, o tyle też starannie ukrywałam nasz związek przed Rebeccą, ze względu na pozycję przyszłego małżonka.

Zleceniodawcą tej niespodziewanej misji mógł być tylko Louis Barlet. Któż inny, jak nie on? Przecież sam mi zapowiedział: „Do jutra".

– Ale nie wszystko jest jasne w twojej historii – ciągnęła tymczasem Sophia. – Skąd jego brat dowiedział się o tobie?

– Nie wiem. Podejrzewam, że jest stałym klientem agencji. Gdybyś widziała dziewczynę, z którą wyszedł z galerii...

– Elle, Rebecca ma w ofercie setki dziewczyn. To jednak niesamowite, że trafił akurat na ciebie.

– Może David pokazał mu moje zdjęcie... – zastanawiałam się głośno. – Może rozpoznał mnie, przeglądając katalog.

Sygnał SMS-a znów przerwał nam wątek.

To już trzecia odmowa w tym miesiącu. Zna pani zasady: jeszcze raz i jest pani skreślona. Proszę się dobrze zastanowić.

Już to zrobiłam.

Dobrze. Ale czy muszę przypominać o nadal nierozliczonej zaliczce na pani koncie? I o tym, że rozłożyłam w czasie spłatę długu na PANI prośbę? Nasz kontrakt nie zostanie rozwiązany, dopóki nie zwróci mi pani całej sumy, co do centa. Jestem wyrozumiała, ale nie prowadzę instytucji dobroczynnej!

Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Jeszcze tysiąc siedemset pięćdziesiąt pięć euro, kwota, jaką na dzień dzisiejszy bez problemów mogłabym spłacić. Tyle że po raz kolejny oznaczałoby to rezygnację z prezentu dla Davida.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Sophia.

– Tak... Tylko Rebecca ciągle mnie molestuje.

– Nie przejmuj się starą zdzirą! – wybuchła moja przyjaciółka. – Wystarczy, że poprosisz swojego miliardera o małe kieszonkowe, a będziesz mogła rzucić jej tę forsę w twarz. O tak!

Z pogardą cisnęła wyimaginowanym plikiem banknotów w stronę kelnera. Mój bunt zdawał się zdejmować ciężar niewolnictwa również z niej, a przynajmniej pozwalał odreagować go śmiechem.

– Milionera, nie miliardera – sprostowałam.

– Jak zwał, tak zwał, wystarczy na twoje długi. Zaraz wykasuj mi to babsko.

Na jej rozkaz usunęłam złowieszczy SMS Rebekki – ale niemal natychmiast zastąpił go inny, zaanonsowany typowym sygnałem.

– Patrz, nie chce się odczepić! – wykrzyknęła Sophia.

– Nie, to nie ona... O, cholera.

To, co właśnie wyczytałam, w kilku grzecznych, okrągłych słowach, zabolało mnie znacznie bardziej niż zjadliwe komentarze Rebekki Sibony. Wiedziałam, że pieniędzy nie zabraknie mi już nigdy, to był fakt niezaprzeczalny, a jednocześnie moje osobiste zwycięstwo nad złą gwiazdą, pod którą musiałam się urodzić.

I oto proszę, jeszcze nie zdążyłam nacieszyć się dostatkiem, a już odkrywałam, że pieniądze to jednak nie wszystko. Nie mogłam kupić za nie zawodowego sukcesu, uznania, satysfakcji z własnych osiągnięć.

– Co się stało?

– Mój casting... Odwołany, już wybrali kogoś innego. Wiesz kogo? Ich własną pogodynkę.

– Przecież to skończona idiotka!

– Wiem... Ale ciągle pokazuje się na wizji, ma już znaną twarz... Jak widać, to wystarczy.

– Hm... Naprawdę nie rozumiem, dlaczego koniecznie chcesz pracować dla tych obleśnych telewizyjnych bonzów. Jestem pewna, że zrobiłabyś karierę w prasie.

– Przypominam ci, że mój narzeczony też jest, jak mówisz, obleśnym telewizyjnym bonzą, i to jednym z najważniejszych – zauważyłam sucho.

– ...A ja jeszcze pięć minut temu nie wiedziałam, że jest narzeczonym – odgryzła się.

Sophia na próżno szukała słów pociechy, ale doceniałam jej starania. Mimo własnej opłakanej sytuacji, mimo godzin spędzonych na wygibasach przed anonimową szybą, miała jeszcze dość energii, by mi współczuć i dodawać otuchy.

– Przynajmniej nie będziesz już *hotelle* – powiedziała nagle.

– Hot co?

– Nie słyszałaś? Rebecca nigdy ci o tym nie mówiła?

– Nie...

– To jej określenie na dziewczyny, które częściej niż rzadziej kończą swoje misje w łóżku. *Hot* plus ona, *elle*, równa się *hotelle*. Inaczej dama hotelowa. Nawet niegłupie, co?

Dziewczyny jak ona, Sophia. Gorąca *hotelle*, rozpalająca męskie żądze w dzień, w kabinie przy Clichy, aby gasić je wieczorem w hotelu za ciut większe pieniądze.

– Nie wiedziałam, że nasza Rebecca układa kalambury – wzruszyłam ramionami.

– Nieważne, już nie musisz się tym przejmować. Dla ciebie to skończone.

Chętnie podzielałabym jej pewność. Tak bardzo chciałam, żeby ten casting pozwolił mi raz na zawsze zamknąć za sobą drzwi Józefiny i wszelkich innych pokoi w Hôtel des Charmes! I dalej być już po prostu sobą, Annabelle, ani *elle*, ani *hot*.

– Nie pogniewasz się, jeśli zadzwonię teraz do Davida?

– Skądże znowu, coś ty. Mam sobie pójść?

– Nie, zostań.

Przytrzymałam ręką jej opalone przedramię. Letnie słońce kochało skórę Sophii, nadając jej piękny brązowo-złoty odcień.

– Chyba nie jest zbyt rozmowny, twój władca mediów – zauważyła, gdy rozłączyłam się niemal natychmiast.

– Fakt, w ciągu dnia nigdy nie ma czasu. Ale właśnie, to najdziwniejsze... Chce, żebym zaszła do niego do biura.

– Teraz?

– Nawet zaraz. Powiedział, że na mnie czeka.

– Uważaj, wejdziesz, a tam konferencja prasowa: „Annabelle Lorand, wychodzi pani za mąż za Davida Barleta, pracując jednocześnie jako *escort girl*... jak udaje się pani zasypać przepaść między tymi dwoma światami, tak bardzo różnymi?”.

– Świnia!

Pożegnałam się z nią w pośpiechu i objuczona zakupami wskoczyłam do taksówki, każąc wieźć się na Porte de Sèvres. Nigdy wcześniej nie byłam w siedzibie grupy Barlet, podziwiałam ją tylko z zewnątrz. Połyskliwy wieżowiec, dominujący nad obwodnicą i całą południową częścią Paryża, kontrastował z prywatnymi gustami Davida, amatora dawnej architektury i wszelkich staroci. Z bliska gmach wydał mi się jeszcze bardziej lodowaty, co stwierdziłam, wchodząc do hallu zawrotnej wysokości.

– Mademoiselle Lorand?

Mała blondyneczka o nieco końskiej twarzy – które to wrażenie podkreślały włosy splecione w ciasny koczek – podeszła do mnie natychmiast, najwyraźniej wypatrując mojego przybycia.

– Nazywam się Chloé. Monsieur Barlet polecił mi zaprowadzić panią do jego gabinetu. Zechce pani pójść za mną?

– Oczywiście, z przyjemnością.

– A właściwie – poprawiła się, jakby od tej precyzji zależało jej życie – Monsieur Barlet przyjdzie do sali przyjęć. Na razie ma spotkanie u siebie w gabinecie.

– Rozumiem.

Czułam się mimowolnie wciągnięta w tryby jakiejś niepojętej dla mnie maszynerii, w której biedna Chloé była zapewne tylko małym trybikiem, nic nie znaczącym, za to poddawanym ciągłej presji. W drodze między windą a docelowym pomieszczeniem za przeszklonymi drzwiami zdążyła co najmniej dziesięć razy spojrzeć na zegarek.

– Mogę zaproponować pani kawę? Herbatę? Wodę? Coś zimnego?

– Nic, dziękuję bardzo.

– Ach, tak. Monsieur Barlet będzie tu za...

Kolejny rzut oka na zegarek.

– ...trzy minuty. Góra cztery.

– Dobrze – odpowiedziałam, z trudem tłumiąc śmiech.

Ale moja wesołość ulotniła się na myśl, że ów harmonogram, rozplanowany niemal co do sekundy, był codziennością nie tylko nieszczęsnej asystentki, ale i jej szefa, człowieka, z którym dzieliłam życie.

Przysiadłszy w pachnącym nowością skórzanym fotelu, machinalnie kartkowałam prasę ekonomiczną ułożoną na stoliku obok, gdy za matową szybą zamajaczył długi cień. A zapach, charakterystyczna mieszanka lawendy i wanilii, dotarł do mnie, jeszcze zanim mogłam zidentyfikować jego źródło. Następny pojawił się głos... niestety, ten, którego wolałabym już nigdy nie usłyszeć:

– Elle! U nas, we własnej osobie! Co za honor!

Oparty dwiema rękami na rękojeści laski Louis Barlet, w równie dopasowanym – i równie eleganckim – garniturze co poprzedniego wieczoru, prześwietlał mnie na wylot swoim magnetycznym wzrokiem. Na chwilę zabrakło mi tchu. Musiałam wyglądać na tak przerażoną, że uśmiech Louisa jakby nabrał ciepła, a z jego twarzy znikł nienawistny dla mnie wyraz pogardy. Teraz wydawał się wręcz ujmujący, jak w pierwszych minutach naszego wczorajszego spotkania.

Czy jednak mogłam zaufać tej przyjaznej minie? Czy przypadkiem nie śledził mnie aż tutaj, nie doczekawszy się pozytywnej odpowiedzi od Rebekki?

Opanowałam się na tyle, by zrobić kilka zdecydowanych kroków i stanąć z nim twarzą w twarz, gotowa do konfrontacji. Niech się

dzieje, co chce, pomyślałam, nie wykręci się od wyjaśnień.

– Co pan tu robi? – zaatakowałam.

– Co ja tu robię?

Zdawał się bawić naszym *qui pro quo*. Jego bliskość, jeszcze bardziej niestosowna niż wczoraj w galerii, znów wywierała na mnie potężne wrażenie, choćbym broniła się przed nim z całych sił. Ten człowiek był irytujący do granic możliwości, a jednocześnie tak intensywny, tak prawdziwy, jakby każda z jego komórek żyła pełnią życia właśnie w tym miejscu i w tym momencie.

– Myślę, że moja odmowa była dostatecznie jasna – atakowałam dalej. – Nie mam dla pana czasu dziś wieczorem. Podobnie zresztą jak żadnego innego wieczoru.

– Ależ zrozumiałem to bardzo dobrze, już za pierwszym razem.

No, przynajmniej nie wypierał się swojej skandalicznej propozycji. Miałam nieodpartą ochotę chwycić go za gardło albo z całej siły kopnąć w niewładne kolano.

– Tak? To skąd pan się tu wziął? Dlaczego pan za mną szedł?

– Nie szedłem za panią, daję słowo.

– Kłamie pan! – syknęłam, z trudem tłumiąc wściekłość.

– Proszę się uspokoić. Po prostu Chloé powiedziała mi o pani wi...

– Ach! Więc mam was tu razem!

Wesoły głos Davida cudem przebił się przez opary mojego gniewu. Złowroga bańka natychmiast pękła, ustępując miejsca najpierw zaskoczeniu, później jego ramionom, które objęły mnie ze stonowaną czułością.

– No proszę, już się znacie, to wspaniale.

Dla Davida wszystko było „wspaniałe” albo „znakomite”. Rzadki brak superlatywów w jego ustach mógł wręcz nasuwać podejrzenie, że jest znudzony lub zły. W tym momencie wydawał się szczerze cieszyć widokiem dwojga bliskich mu osób, które właśnie zawarły znajomość.

Louis próbował ukryć rozbawienie, ale szukał mojego wzroku, niewątpliwie po to, żeby dalej pastwić się nade mną.

– Tak, można tak powiedzieć.

– Więc to jest mój okropny starszy brat! – żartował David, klepiąc Louisa po ramieniu. – I jednocześnie dyrektor do spraw PR Grupy

Barlet.

– Dyrektor do spraw... – wyjąkałam zmieszana.

– Jedyny, jakiego kiedykolwiek mieliśmy... ale nie tylko dlatego zdecydowanie najlepszy.

Dobroduszny humor Davida ewidentnie drażnił Louisa, byłam tego pewna. Pomimo to w obecności brata zachowywał się niezwykle powściągliwie, co tym bardziej kontrastowało z jego wczorajszym wyuzdaniem. Czułam w tej postawie szacunek podwładnego dla zwierzchnika, a może i syna marnotrawnego zazdrosnego o brata, który nigdy nie zawiódł ojca.

Czas prezesa był jednak zbyt cenny, by przedłużać towarzyską pogawędkę. David zwrócił się do Louisa już służbowym tonem:

– A teraz, jeśli pozwolisz... chciałbym zamienić dwa słowa z Annabelle. Na osobności.

– Oczywiście.

Louis skłonił się grzecznie, rzucił mi nieprzeniknione spojrzenie i wreszcie zamknął za sobą drzwi. Za szklanymi panelami jeszcze przez chwilę rysowała się jego długa, chwiejna sylwetka.

Louis Barlet ma muskularne, sterczące pośladki, z pewnością boskich kształtów, jak sugerują jego obcisłe spodnie. Pośladki, które chciałoby się chwycić w ręce, gnieść, szczypać, może nawet gryźć…
(Anonimowa odręczna, niedokończona notatka z 6.06.2009. *No comment!*).

– Kochanie?

– Tak?

– Usiądź, proszę.

Wykonałam polecenie i po raz pierwszy znalazłam się wobec Davida w pozycji osoby podporządkowanej, która ma słuchać i ulegać, jak przystało na wzorową żonę.

– Przemyślałem twoją historię z castingiem...

– Nie mówmy o tym.

– Przeciwnie, właśnie mówmy... Dzisiaj po popołudniu rozmawiałem z Lukiem Doré, szefem stacji BTV. Od dawna chodziło

mu po głowie, żeby uzupełnić wieczorną ramówkę o coś z kultury. Nasz czwartkowy *prime time* nie jest w pełni wykorzystany. Dotychczas to raczej ja hamowałem... ale właśnie dałem mu zielone światło.

Hamowałem. Zielone światło. Określana w ten sposób praca Davida wydawała się równie łatwa i przyjemna jak partyjka Mille Bornes. Wygrywana zawsze przez niego, rzecz jasna.

– A więc? – udałam, że nie zaglądam mu w karty.

Wziął mnie za rękę.

– A więc, mademoiselle Lorand... Chciałem powiedzieć madame Barlet... Mam zaszczyt poinformować panią, że za kilka tygodni poprowadzi pani nowy program ogólnokulturalny na antenie BTV, *Cultur'Mix*.

– Żartujesz?

– Bynajmniej. Wydobyłem twoje studenckie nagrania z CFJ, Luc obejrzał je i zareagował entuzjastycznie.

– Ale Davidzie... ja nigdy w życiu nie prowadziłam programu!

– No więc zrobisz tak, jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent animatorów telewizyjnych: nauczysz się pływać, skacząc na głęboką wodę.

Puścił moją rękę i wstał, najwidoczniej za podszeptem swojej wewnętrznej małej Chloé, skrupulatnie odmierzającej sekundy.

– To oczywiście tytuł roboczy... Możesz go zmienić, jeśli ci się nie podoba. A na razie muszę cię pożegnać. Mam już dwie minuty spóźnienia. Wrócimy do tematu wieczorem w domu.

Mój mąż właśnie odmienił mi życie, i to tak, jak nie wyśniłabym w najśmielszych snach. A mój szef właśnie mnie zostawił, bez „do widzenia" czy pocałunku.

Na moje nieszczęście, chodziło o tego samego człowieka.

10

Kolejka RER do Nanterre jeszcze nigdy nie wydała mi się tak piękna, a podróż z serca Paryża tak krótka i przyjemna. Zapomniałam o wszystkim, włącznie z manewrami Louisa i nie mniej niepokojącymi anonimowego prześladowcy. Chyba nawet raz czy dwa uśmiechnęłam się do pasażerów z naprzeciwka. Chciałam zarażać ich moją radością, aby umilić im dalszą podróż. Zapewne oczekiwałam zbyt wiele...

Za oknem wagonu zachodzące słońce zdobiło kolorami szare fasady domów, które dla mnie nagle nabrały uroku.

Byłam tak rozradowana, że wbrew składanym sobie obietnicom zrezygnowałam z wizyty w komisariacie w centrum miasta. Z rozpędu minęłam również piekarnię na wprost dworca, co oznaczało pojawienie się w domu bez słodyczy. Ale propozycja Davida naprawdę przyćmiła wszystko i po prostu mnie uskrzydliła.

– Nie szkodzi, że zapomniałaś – powitała mnie mama w swoim nieśmiertelnym szlafroku. – Zrobiłam pieczeń na sposób babci.

Chociaż mamie daleko było do starości, choroba już nadała jej to piętno: jednolicie szarawą cerę, zmarszczki jakby codziennie głębsze, wysiłek wkładany w każdy krok...

Początkowo miałam nawet skrupuły, czy powinnam chwalić się przed nią swoim szczęściem, ale i o nich szybko zapomniałam. Cielęcy udziec pod beszamelem rozkosznie pachniał laurem i gałką muszkatołową, a Félicité błogo mruczała, ocierając mi się o nogi.

Próbowałam jakoś zminimalizować wyjątkową szansę podsuwaną mi przez Davida, jednak mama wiedziała dostatecznie dużo, by docenić jej wartość:

– Ależ to cudownie, kochanie! To cudownie...

Przywarła do moich pleców i objęła mnie od tyłu słabymi ramionami. Miałam wrażenie, że szukała oparcia, aby utrzymać równowagę. Wolną ręką pogłaskałam ją za sobą, z oczami utkwionymi w piekarnik.

– Tak, oczywiście, ale...

– Ale…?

– Czuję się nieswojo, że robi to wszystko dla mnie.

– Dlaczego?

– No, tylko pomyśl: mam dwadzieścia trzy lata, dopiero co skończyłam studia... I będę mieć własny program, w porze wielkiej oglądalności, na jednym z głównych kanałów we Francji. Czy wyobrażasz sobie, co ludzie na to powiedzą?

– Że masz farta? – zaryzykowała ze śmiechem, jak zawsze, gdy próbowała używać młodzieżowego języka.

– Nie.... szerokie plecy. Jeśli wypadnę inaczej niż doskonale, nie zostawią na mnie suchej nitki!

Przytuliła się do mnie policzkiem jak dziecko. Jej głos, już zmieniony, zabrzmiał teraz jeszcze słabiej.

– Ale wypadniesz doskonale, Elle. Koniec, kropka.

– Mamuś... – westchnęłam, rozczulona jej niezachwianą pewnością. – To naprawdę nie tak, uwierz mi. Przepustka tego rodzaju, zwłaszcza w tym środowisku, zawsze ma swoją cenę. Przyjaciółka szefa afiszująca się na antenie drażni wszystkich: i widzów, i komentatorów... nie wspominając o innych animatorach, odsuniętych z mojego powodu na bok. Sama poznałam to aż za dobrze.

Pomyślałam o odmownym SMS-ie sprzed kilku godzin i natychmiast wyparłam go z pamięci.

Z tej odległości prosty różany zapach, niezmiennie używany przez mamę, ongiś tak kojący, mieszał się z aromatem prawie gotowego dania.

–A ja nie wierzę ani w szansę, ani w przypadek – orzekła z całą stanowczością, na jaką jeszcze mogła się zdobyć. – Jeśli cię to spotkało, to dlatego, że na to zasługujesz, po prostu.

– Hm...

– Powiedziałaś, że ten Luc jakiś tam dobrze ocenił twoje próby?

– Tak... To znaczy, tak mówił David. Niewykluczone, że Luc po prostu chciał mu się podlizać. Po tym, co dzisiaj zobaczyłam, mój ukochany nie wygląda na łatwego szefa.

– A ja myślę, że nie jesteś dla niego zbyt miła – zareplikowała łagodnym, acz zdecydowanym tonem.

Odwróciłam się do niej, zdziwiona tym nagłym zarzutem.

– Ja niezbyt miła? Dla Davida?

– Mogłabyś mieć do niego ciut więcej zaufania. W końcu, jak sama mówisz, jest szefem wielkiej telewizji. Jeśli uważa, że nadajesz się na to stanowisko, nie widzę powodu, żeby mu nie wierzyć.

Przyglądałam się jej przez chwilę oczami okrągłymi ze zdumienia. Później skierowałam wzrok do salonu, gdzie przez na wpół otwarte drzwi widać było kolekcję moich zdjęć, pieczołowicie rozstawionych na komodzie. Dokumentowały kolejne etapy mojego młodego żywota, aż do ogłoszenia wyników matury czy później ukończenia studiów, kiedy to obie z Sophią, roześmiane, fotografowałyśmy się z dyplomami uniwersyteckimi w rękach. Mama pielęgnowała zwłaszcza pamiątki po moich skromniutkich sukcesach, którymi żyła.

– To naturalne, że masz wątpliwości, moja droga – podjęła, biorąc moje dłonie w swoje, tak lekkie i przezroczyste. – Ale David, na swoim stanowisku, nie może sobie na nie pozwolić. I to on wybrał właśnie ciebie.

Jak zawsze znajdowała odpowiednie słowa, aby rozjaśnić mi w głowie albo dodać otuchy. Jak w dzieciństwie, gdy tęskniłam za widmowym ojcem, mając za całą pociechę tylko starą, wyblakłą fotografię z nim i sobą jako pyzatym niemowlęciem. Zrobiono ją w 1987 roku, na krótko przed tym, jak ojciec raz na zawsze ulotnił się z naszego życia.

Richard Rodriguez, budowlaniec pochodzenia hiszpańskiego, którego mama poślubiła ze względu na mnie „w drodze", przypuszczalnie wbrew sobie samej. Wyjechał koordynować jakiś projekt w Quebecu, ponoć na kilka tygodni – i nigdy więcej nie wrócił. Ot, fantom.

– Dzięki, mamuś...

Przycisnęłam ją do siebie, na tyle mocno, by udzieliło się jej moje ciepło.

– Och, ależ ze mnie gapa... zapomniałabym o najważniejszym!

Klasnęłam w ręce jak nastolatka, odzyskując radosne podniecenie.

– O czym?

– Zaczekaj...

Pobiegłam do przedpokoju, pogrzebałam w torebce i wróciłam z długą kopertą w ręku, ozdobioną na odwrocie rysunkiem globusa.

Mama podniosła na mnie pytający wzrok.

– Co to jest?

– Tra-la-la! – zanuciłam wesoło. – Jak myślisz, twój roczny abonament do Disneylandu?

– Słucham?

Wahała się między śmiechem a zniecierpliwieniem. Wymierzyłam w nią kopertą jak szpadą.

– Ależ skąd! Nasze bilety do L.A.! Dostałam je dzisiaj od asystentki Davida.

– Elej?

– Los Angeles, mamuś... musisz się trochę podciągnąć. Naprawdę, czas najwyższy.

O ile tylko nie przekraczałam pewnych granic, mama przepadała za takim strofowaniem, zarezerwowanym zwykle dla przyjaciółek w tym samym wieku. To też był jeden z naszych rytuałów, świadczących o głębokiej więzi.

– Żebyś widziała minę pani Chappuis, gdy powiedziałam jej, że jeszcze tego lata lecę do Stanów!

– Założę się, że nie uwierzyła.

– Zgadłaś! A potem kręciła głową: „No wie pani, Ameryka, teraz...”.

– Wyślesz jej pocztówkę.

– A ty podpiszesz się razem ze mną. Jeszcze bardziej zzielenieje z zazdrości, stara zołza!

Mama wyjęła z koperty dwa prostokąty sztywnego papieru, pełne danych i kodów. Przez chwilę wczytywała się w nie uważnie.

– Wylot dwudziestego czerwca?

Dwa dni po moim ślubie, pomyślałam, zatrzymując tę zasadniczą informację dla siebie. Nie byłam w stanie podzielić się z nią i tym szczęściem w sytuacji, gdy ona miała walczyć o życie.

Mój ślub... Nawet mnie samej wydawał się w tym momencie nierzeczywisty, tak mało się o nim mówiło. David podczas naszych rzadkich sam na sam w ogóle nie poruszał tematu, jakby po uzyskaniu mojej zgody wszystko było już załatwione, a ciąg dalszy sprowadzał się tylko do błahych formalności. Zgodnie z obietnicą Armand działał w cieniu, aby zapewnić idealny przebieg wielkiego

dnia, a jego pełna samodzielność praktycznie wykluczała mój udział w jakiejkolwiek sprawie – zaproszeń, kwiatów, menu czy czegokolwiek innego. Docierały do mnie najwyżej echa tych przygotowań, i to wtedy, gdy decyzje były już podjęte. Nawet Sophia, zazwyczaj tak wścibska i dociekliwa, zdawała się unikać aluzji do tej daty, choć zbliżała się wielkimi krokami. Może była zazdrosna? Urażona, że nie od razu poprosiłam ją na druhnę?

– Tak, dlaczego pytasz? Masz inne plany? – odpowiedziałam lekkim tonem.

– A kiedy ty zaczynasz swoją nową pracę?

– Zgodnie z umową za trzy dni. We wtorek dziewiątego czerwca.

Mama włożyła bilety z powrotem do koperty i wzięła mnie za ręce. W jej wzroku była powaga i determinacja.

– Pojadę sama.

– Jak to? – wykrztusiłam.

– Nie możesz ze mną lecieć. Dopiero co obejmiesz tę posadę.

– Ależ mamuś, dwudziesty jest w sobotę! Żaden problem!

– Bądź rozsądna: weekend to za mało, żeby zaliczyć podróż na koniec świata i z powrotem. Nie, to zbyt ważne dla ciebie. Nie możesz wziąć urlopu natychmiast po angażu.

– To David zarezerwował bilety. A David jest również moim szefem, mamo. Gdyby coś mu nie pasowało, powiedziałby mi o tym albo wybrał inną datę.

Mimo osłabienia chorobą mama pozostała moją mamą, zdolną w razie potrzeby wymusić na mnie posłuch jednym spojrzeniem albo słowem.

– Nie, nie... Zostaniesz, moje dziecko. Polecę sama, nic mi się nie stanie.

Powiedziała to takim tonem, jakby chodziło o wielotygodniowy rejs transatlantykiem, a mimo to bez cienia dramatyzmu w głosie.

– Przecież martwię się nie tylko podróżą...

– Jeśli się nie mylę, to właśnie ty tłumaczyłaś mi, jaka wspaniała jest ta klinika i że już od lotniska będę mieć pielęgniarkę do swojej dyspozycji?

– Tak, ja... – westchnęłam bezradnie. – I klinika naprawdę jest wspaniała. Na najwyższym światowym poziomie. Leczyli samą

śmietankę z Hollywood i co najmniej dwóch amerykańskich prezydentów.

– Więc jak myślisz, co złego może mnie tam spotkać?

Nic, rzeczywiście. Jedyną stawką tej przygody było wyzdrowienie, które mimo chwalebnych wysiłków szpitala Max Fourestier w Nanterre z każdym dniem wydawało się coraz mniej prawdopodobne.

– Zresztą, co tu dużo mówić – podjęła mama. – Wiesz, jak to działa: ty jesteś szczęśliwa, ja jestem szczęśliwa. A skoro jestem szczęśliwa tak jak teraz...

Nie dokończyła zdania, prawdopodobnie z obawy, żeby nie zapeszyć. Nie chciała wyobrażać sobie własnej przyszłości – wolała skupić się na mojej, teraz tak świetlanej. Ja z kolei wybrałam zakończenie sporu, odkładając dyskusję na inny raz.

Pieczeń dotrzymała swych zapachowych obietnic. Z ulgą zauważyłam u mamy lepszy apetyt niż zwykle – kawałki pysznego mięsa na talerzu wyraźnie sprawiały jej przyjemność.

– Nie zajrzałaś jeszcze do swojej korespondencji?

Nadal nie zgłosiłam na poczcie zmiany adresu.

– Nie, a co? Jest tam coś szczególnego?

– Chyba nie, zwykłe papierzyska: faktury, prospekty... Ach, i coś jeszcze, poczekaj.

Energicznie jak za dawnych lat wstała od stołu, żeby przynieść mi list z komody w przedpokoju.

– Dostałaś dziwne zaproszenie.

– Dlaczego dziwne?

Zawiesiłam głos i mój widelec również znieruchomiał w powietrzu.

– Bo na kopercie nie ma adresu. Tylko twoje imię.

Innymi słowy: ta przesyłka trafiła prosto do naszej skrzynki, bez pośrednictwa poczty. Ktoś, kto zadał sobie ów trud, wiedział nie tylko, że moje listy nadal przychodzą na adres mamy, ale również, że odbieram je dość regularnie. Jak autor anonimowych notatek, przemknęło mi przez myśl.

Nie spodziewałam się żadnego listu. Gdyby David chciał zrobić mi niespodziankę, nigdy nie wybrałby tego adresu.

Mama zbliżyła się lekko szurającymi kroczkami i podała mi rzeczoną kopertę. Chyba musiałam odwrócić wzrok, z ręką zaciśniętą na papierze, a może i zblednąć.

– Coś nie tak? – zdziwiła się.

– Nie, nie...

Kolor koperty, srebro upstrzone tu i ówdzie połyskliwymi drobinkami, faktycznie kojarzył się z zaproszeniem na ślub albo jakąś towarzyską imprezę w rodzaju wernisażu czy zamkniętego seansu filmowego.

Ale mnie poraziło w niej co innego: dokładnie ten sam deseń, skądinąd rzadki i charakterystyczny, co na okładce notesu, nazwanego przez Sophię *Dziesięć razy dziennie*. Nie mogłam łudzić się, że to zbieg okoliczności.

– Nie otworzysz?

Koperta nie była zaklejona, jej tył jedynie założono do wewnątrz. Tym samym każdy, włącznie z mamą, mógł był odczytać jej zawartość. Chociaż nie umiałabym powiedzieć dlaczego, perspektywa ta przejęła mnie zgrozą.

Najbardziej rzucającą się w oczy część przesyłki stanowiła karta ze sztywnego plastiku. Krew znów odpłynęła mi z twarzy na widok wytłoczonego na niej logo:

Hôtel des Charmes

A więc wiedział i o tym...

Ponieważ pokoje w tym hotelu obywały się bez numerów, nie sposób było odgadnąć, do którego z nich pasował magnetyczny klucz. Co ciekawe, gdy minął pierwszy szok, uczepiłam się właśnie tej myśli: bez informacji o pokoju karta była bezużyteczna.

Już kilka razy uprawiałam seks w tym hotelu, ale nigdy nie miałam tam orgazmu. Można rzec, że nie wniosłam własnego wkładu do rozkoszy zalegającej w jego murach. Czy to o czymś świadczy?

(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009. Niekompletna: co ON może o tym wiedzieć? Przecież nie siedzi we mnie, do diabła!)

Na odwrocie karty odkryłam różową samoprzylepną karteczkę. Ku mojemu zdumieniu, by nie rzec rozczarowaniu, odręczne pismo notatki w niczym nie przypominało tego z innych anonimów, włącznie z ostatnim, tak intymnie odwołującym się do moich cielesnych doznań. Komunikat głosił:

Droga Zelle,
dziś wieczorem o 22.00.
Niech pani będzie punktualnie.
I nie zabiera ze sobą komórki.

Litery były mniej kanciaste, spokojniejsze i staranniejsze. Skreśliła je ręka kogoś wolnego od burzliwych uczuć, podczas gdy z kartek do karnecika emanował niepokój i ból istnienia.

– Jakieś złe wieści? – dopytywała się mama, zaalarmowana moją bladością.

Rzuciwszy okiem na kawałek brystolu towarzyszący karcie, mogłam odpowiedzieć jej zgodnie z prawdą, albo prawie:

– Nie... Miałaś rację, to zaproszenie.

Kartonik zawierał tylko jedno zdanie, tym razem drukiem, wyśrodkowane na nieskazitelnie białym tle:

1. Ciało swoje miłować będziesz.

Archaiczne słownictwo i składnia tego zdania jednoznacznie nawiązywały do przykazań dekalogu. W czasie studiów miałam wielogodzinne seminarium z form literackich Biblii: kazań, paraboli, psalmów itp. Treść kamiennych tablic wchodziła w ich skład.

– Ach, tak, a na co?

Mama, niezmiernie szanująca moją prywatność – dzięki czemu udało mi się jak dotąd pomijać milczeniem jej prośby o poznanie

Davida – teraz nie mogła opanować ciekawości.

– Na... na bal kostiumowy.

– Naprawdę? Super! Organizowany przez twoją szkołę?

Zmuszała mnie do improwizacji.

– Tak. Szef Biura Absolwentów mieszka niedaleko stąd. Pewnie uznał za sympatyczne zaprosić mnie osobiście.

– Ale nie wyglądasz na zachwyconą? – zauważyła, dolewając sobie pół kieliszka czerwonego wina.

– Wiesz, bale, wielkie imprezy... nigdy mnie to specjalnie nie kręciło.

– Ależ idź! Będziesz się dobrze bawić.

Cóż, jeśli moja własna matka tak uważała...

Tym razem tożsamość nadawcy nie była dla mnie żadną zagadką. Kto inny jak nie Louis Barlet mógł domagać się usługi, za którą już wcześniej zapłacił? Ale jeszcze bardziej niż ta pewność zbulwersowało mnie wielce prawdopodobne podejrzenie, że to on był moim prześladowcą, autorem wszystkich tych bezeceństw. Człowiekiem od karnecika, dewiantem, który uroił sobie prawo do kierowania moją edukacją seksualną. Komu należałoby powierzyć inicjację, zastanawiałam się przy nim na głos, podczas tamtego wernisażu. I proszę, oto odpowiedź...

Na chwilę stanęła mi przed oczami scena sprzed kilku godzin: moje spotkanie z Davidem i Louisem w sali recepcyjnej na szczycie wieżowca. Ich wieżowca. Fakt, że znalazłam się w obecności obu braci Barletów, pozostawił mi dziwne wrażenie, nie tylko nieprzyjemne, ale wręcz nienaturalne. O jednego z nich było tam za dużo, chociaż nie umiałabym wskazać intruza. Zestawiłam w myślach ich lewe ręce, jakby skupiały w sobie całokształt różnic między nimi: przedramię Davida, przewiązane jedwabną opaską, i drugie, należące do Louisa, szczuplejsze i pokryte tatuażem, którego jeszcze nie odkryłam do końca...

Dzwonek do drzwi brutalnie wyrwał mnie z tych rozmyślań. Nawet nie zauważyłam ruchu mamy, a już stała w oknie, z pewnością zaniepokojona znajomym i nieznośnym dla niej warkotem.

– To Fred – oznajmiła lakonicznie.

– Czego chce?

– Zabrać swoje rzeczy z twojego pokoju.

– Uprzedzał cię, że przyjdzie?

– Nnno... niezupełnie. Miał po prostu wpaść, bez konkretnej daty.

Mój były nic nie robił całymi dniami i dziwnym trafem zjawiał się tutaj akurat wtedy, gdy spodziewał się mnie zastać. Dzwonek przybrał na sile, gość musiał się niecierpliwić.

– Idź do piwnicy – poleciła mama.

– Co?

– Zejdź do piwnicy, mówię ci. Nie będzie cię tam szukać.

– A niby dlaczego miałabym się przed nim chować? Już go nie kocham, to wszystko...

– Nie jest ci to teraz potrzebne – zawyrokowała, jakby walcząc ze znużeniem.

Ale Fred nie czekał na jej zgodę, aby przekroczyć furtkę. Jego cień już majaczył za szybą drzwi wejściowych, dwa kroki od nas.

– Annabelle?

– Złaź! – szepnęła mama.

– Annabelle? Wiem, że tam jesteś. Otwórz!

– Mamo, przestań, to śmieszne!

Fred rytmicznie walił pięścią w drzwi.

– Otwieraj, kurwa mać! To ja!

Po naszej stronie drzwi mama zdawała się wahać między gniewem a paniką.

– Pamiętasz? Facet, którego rzuciłaś jak śmiecia!

Mama suchym klapsem zatrzymała moją rękę, już sięgającą do klamki.

– Annabelle, zabraniam ci otwierać. On jest kompletnie pijany!

Ochrypły, złowrogi głos motocyklisty przyznawał jej rację: Fred nie był w normalnym stanie.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać...

Głos zza drzwi jakby złagodniał:

– Daj mi pięć minut, co? Później zostawię ci całe życie i będziesz robić, co chcesz. Pięć minut, Elle... Tylko pięć minut.

– Elle nie chce z tobą rozmawiać, Frédéric.

Interwencja chorej musiała go speszyć, sądząc po jeszcze grzeczniejszym tonie.

– Przepraszam, Maude... Nie miałem zamiaru was straszyć. Tylko niech Annabelle powie mi to wprost.

– Co ci powie, na litość boską?

– Że między nami skończone...

– Więc ja ci mówię: skoń-czo-ne! – wyskandowała dobitnie, choć z pewnością resztkami sił. – I to raz na zawsze!

Odpowiedziała jej najpierw cisza, a dopiero później Fred, najwyraźniej wytrącony z równowagi tym bohaterskim pośrednictwem.

– Dlaczego pani mi to mówi?

– Bo to prawda. Elle ma kogoś innego. Kogoś, na kogo zasługuje.

„Nie!" – błagałam ją wzrokiem. „Nie mów mu!".

– Kto to?

A gdy mama, nie zwracając na mnie uwagi, dobijała znieruchomiałą już sylwetkę za matową szybą opowieściami o Davidzie, o mojej zapewnionej karierze, bajkowym domu, sukcesach, szczęściu, jakiego zaznam, tyle że z innym... po raz kolejny straciłam wątek. Albowiem moje myśli poszybowały...

…w stronę koperty.

Przez niespodziewane najście Freda nie zdążyłam uświadomić sobie jej nietypowego ciężaru. Dopiero teraz dotarło do mnie, że na dnie, pod papierami, krył się duży staroświecki klucz, ząbkowany i wytarty ze zużycia. Brakowało za to najmniejszej wskazówki, do jakiego zamka mógł pasować. Podobnie jak nie miałam pojęcia, czego ode mnie oczekiwano ani co znaczyło dziwne zniekształcenie mojego imienia: Zelle.

A jednak byłam pewna, bez mała odurzona tą pewnością, że nie pozostaje mi nic innego, jak stawić się na wezwanie.

Teraz nie było już innego wyjścia.

11

Profesor metodologii z moich dziennikarskich studiów często powtarzał nam, że za każdym przysłowiem czy utrwalonym w języku zwrotem kryje się jakaś prawda. Zwykle jednak, twierdził, jej odkrycie wymaga osobistego przeżycia, doświadczenia danej sytuacji niejako na własnej skórze. Dopiero wtedy zyskujemy dostęp do znaczenia, głęboko ukrytego w banalnych, nierzadko wyświechtanych słowach.

– Gdy żyje się nieco bardziej, niż się o tym pisze, a intelektualizuje nieco mniej... – głosił z katedry, podkręcając wąsa – widać, jak niesamowitej siły nabierają słowa. Są tym, co przeżywamy. Stapiają się z nami w jedno.

Mając w pamięci jego mądre nauki, szukałam właściwego określenia na gorączkę, jaka opanowała mnie tego wczesnego wieczoru. Motylki w brzuchu? Mrówki pod skórą? Gęsia skórka? Chyba cała ta fauna naraz i znacznie więcej. Odczucie znacznie głębsze, bardziej głuche. Potężniejsze.

Ze srebrzystą kopertą pospiesznie wsuniętą do torebki obok jej siostrzanego karnecika, pobiegłam na dworzec zaraz po tym, jak Fred zaniechał oblężenia. W końcu skapitulował, odgrażając się jednak, że nie daruje mi ostatniej konfrontacji twarzą w twarz.

W niemal pustym wagonie, jadąc pod prąd głównej, odśrodkowej o tej porze fali mieszkańców przedmieść, przeklinałam zawodność telekomunikacji, bez skutku próbując dodzwonić się do Rebekki. To przecież wszystko przez nią, myślałam, to za jej sprawą trafiłam na starszego z braci Barletów. Po kilku odrzuconych połączeniach wystukałam jeszcze numer służbowego telefonu Louisa, drugiego i głównego winowajcy. Ogarnęło mnie prawdziwe szaleństwo; powtarzałam na zmianę oba numery mimo pełnych dezaprobaty pisków Félicité, unieruchomionej w transportowym pojemniku.

Pod pierwszym odezwała się wreszcie automatyczna sekretarka, a pod drugim żywa, choć niechętna asystentka, od której usłyszałam, że jej szef wyszedł już do domu.

– Czy może pani podać mi jego komórkę? – nie dawałam za wygraną.

– Przykro mi, nie jestem upoważniona – wyrecytowała.

– Proszę pani – perswadowałam – doskonale rozumiem, że musi pani dbać o spokój szefa poza godzinami pracy. Ale proszę zrobić dla mnie wyjątek. Zostałam właśnie zaangażowana osobiście przez Davida Barleta. Może pani to sprawdzić u Chloé.

– Nie podaję w wątpliwość pani słów, ale naprawdę nie jestem upo...

– Jasne! – przerwałam jej niecierpliwie. – To już wiem! Próbuję tylko wytłumaczyć pani, że jestem...

No, kim? Przyjaciółką prezesa? Przyszłą prezesową? Jak coś takiego powiedzieć, żeby nie potraktować z góry dziewczyny pochodzącej zapewne z mojej sfery, z równie peryferyjnej dzielnicy?

W końcu jednak nie wytrzymałam:

– ...animatorką nowego programu w BTV. *Prime time*.

Niewykluczone, że był to wybór jeszcze gorszy niż poprzednie.

– Nie mogę nic dla pani zrobić – tłumaczyła spłoszona asystentka, niechybnie rozdarta między obawami o narażenie się albo bezpośredniemu szefowi, albo zwierzchnikowi szefa. – Naprawdę bardzo mi przykro.

Wjazd kolejki w tunel pod La Défense, już na granicy Paryża, miłosiernie uciął tę żenującą dyskusję. Brak zasięgu uniemożliwił mi również kontakt z Sophią, której chciałam zwierzyć się z ostatnich rozterek.

Z każdą stacją RER moje myśli odbiegały od chwili obecnej, kierując się w szybkim tempie pociągu ku najbliższej przyszłości. Wiedziałam, że dzisiejsza wizyta w Charmes będzie równoznaczna z akceptacją perwersyjnej gry Louisa, zainicjowanej przy naszym pierwszym spotkaniu. Nie, nie wtedy, wcześniej, myślałam gorączkowo, uświadamiając sobie nagle, że anonimowe przesyłki zaczęły dochodzić do mnie, jeszcze zanim poznałam Davida. Gdybym z kolei zignorowała wezwanie, narażałabym się rzecz jasna na demaskację – Louis nie omieszkałby przecież wyjawić bratu wszystkiego, co już o mnie wiedział. Skądinąd jego pokrewieństwo z moim przyszłym mężem praktycznie wykluczało podjęcie

formalnych kroków prawnych, planowanych aż do teraz. Nie mogłam tak po prostu złożyć donosu na policji – a i ten karnecik, mój nieodłączny towarzysz, pisany w pierwszej osobie, pełen jakże intymnych detali, nie nadawał się na dowód oskarżenia. Skoro nie odrzuciłam go od razu, skoro stał się częścią mego życia, obciążał mnie samą w równym stopniu, jak właściwego autora.

Ale do tych prostych argumentów obracających się wokół szantażu dochodziło teraz coś nowego, o co nie podejrzewałabym się jeszcze kilka dni wcześniej: ciekawość. Nie umiałam – albo nie chciałam – inaczej nazwać dziwnego zmieszania, podbarwionego gniewem i goryczą, jakie odczuwałam na samą myśl o Louisie.

– Dobry wieczór, mademoiselle. David polecił mi usprawiedliwić się przed panią, że nie będzie go dzisiaj na kolacji.

Rezydencja Duchesnois, oświetlona tylko na parterze, emanowała tą charakterystyczną ciszą starych domostw, świadczącą o nieobecności gospodarza. Armand stał w drzwiach, ze ścierką w ręku i zaaferowaną miną kogoś, kogo zaskakuje się przy pracy w kuchni.

– No cóż... Trudno.

Byłam nieco zdziwiona, że mój towarzysz życia nie uprzedził mnie o tym osobiście… dopóki nie skonstatowałam trzech nieodebranych połączeń na wyświetlaczu komórki. Odpowiedzialność za to zaniechanie spadała wyłącznie na RER.

Wreszcie uwolniłam Félicité z klatki, pod nieco sceptycznym okiem starego kamerdynera. Kotka zrobiła pierwsze ostrożne kroki po marmurowej szachownicy, z nosem przy samej posadzce. Z pewnością już wyczuła zapach Sinusa i Cosinusa, ukrytych nie wiadomo gdzie.

– Jego spotkanie z koreańskimi partnerami może się przeciągnąć do późna – dodał Armand. – Odradza pani czekać z kolacją.

– Nie ma sprawy. Zrobimy sobie ucztę? – zaproponowałam poufale, jakby Armand był koleżanką, która nieoczekiwanie wpadła do mnie z wizytą.

– Wszystko gotowe, mademoiselle, jeśli już pani zgłodniała.

– Zgłodniała to za mało powiedziane, ja po prostu u m i e r a m z głodu.

Nie było to prawdą, przeciwnie – pieczeń mamy jeszcze ciążyła mi na żołądku i nie miałam najmniejszej ochoty na drugą kolację. Uznałam jednak, że nie znajdę lepszego parawanu dla huraganu moich sprzecznych uczuć niż radosny nastrój biesiady. Nie musiałam za to udawać entuzjazmu, gdy odkryłam zawartość naszych talerzy, parujących pod metalowymi kopułkami.

– Krewetki z patelni w sosie własnym doprawionym szampanem – oznajmił Armand uroczystym tonem.

Przepis szefa kuchni z Le Divellec! Nie posiadałam się z radości, jak dziecko w oczekiwaniu na gwiazdkowe prezenty. Co za piękny gest, tak na miejscu, tak w sam raz na rozwianie moich lęków...

– David uznał, że to sprawi pani przyjemność.

– Jakże by inaczej... Cudownie! Dziękuję, Armand.

Z rozpędu cmoknęłam go w pomarszczony policzek. Odpowiedział nieśmiałym gestem w stronę idealnie przyrumienionych darów morza:

– To co, do stołu?

– Do stołu!

Efekt kulinarnych talentów Armanda niemal dorównał wspomnieniu tej samej potrawy, zapisanemu w moich kubkach smakowych. Właściwie, przyszło mi do głowy, mimo całej swej skromności Armand mógłby otworzyć własną restaurację, zamiast zadowalać się życiem w takim zamknięciu. Jego błogi uśmiech, wyraźna satysfakcja z mojej satysfakcji, powstrzymały mnie jednak przed poruszeniem tego tematu. W jednej chwili zdecydowałam się na inny, nieskończenie drażliwszy.

– Nie wiem, czy pan zauważył, że od pewnego czasu dostaję dużo listów. Anonimowych listów.

– Anonimowych?

– Małe perforowane karteczki, podpisane moim imieniem, złożone na cztery części... Pan sam kładzie je na konsoli w hallu, razem z resztą korespondencji.

– No tak...

Skrzywił się z lekkim niesmakiem:

– Owszem, zauważyłem, ale że nie zwykłem mieszać się w takie...

– Nie ma obaw, Armand – przerwałam mu szybko. – Przecież znam i doceniam pańską dyskrecję. Zastanawiam się tylko, czy nie dostrzegł pan w tym czegoś nietypowego... albo może rozmawiał kiedyś z naszym listonoszem?

– Tak, zadałem mu to pytanie. Ale poczta nie dostarcza przesyłek bez znaczka ani adresu. Nadawca pani listów musi wrzucać je prosto do naszej skrzynki. Jeśli pani sobie życzy, w miarę moich możliwości czasowych postaram się obserwować ruchy pod bramą.

– Naprawdę? Oddałby mi pan wielką przysługę.

– Myśli pani, że należy zawiadomić policję?

– Nie... Chyba nie, nie sądzę, żeby doszło aż do tego.

Do Louisa, dodałam w myślach.

A skoro już powierzyłam majordomusowi najważniejszy mój sekret, postanowiłam skorzystać z okazji i wyciągnąć z niego coś w zamian.

– Armand... – zagadnęłam konfidencjonalnie. – Zna pan dobrze Louisa?

Wzmianka o bracie pracodawcy wywołała u niego przelotne zmarszczenie brwi, pogłębiając bruzdę nad nosem i nadając twarzy wyraz nagłej powagi.

Odgłosy gonitwy na piętrze uświadomiły mi, że dwa mopsiki Davida i moja kotka właśnie zawarły znajomość. Brak wrzasków i miauków wskazywał jednak na jej pokojowy charakter: musiały się po prostu bawić.

– Nie mniej niż Davida. Jak pani wie, byłem w tym domu już za życia ich rodziców. Nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że obaj chłopcy rośli na moich oczach.

– Czy...

Celowo zawiesiłam głos, żeby wyczytać dyskomfort, albo i niepokój wypisany na twarzy mojego rozmówcy. Pytanie, które chciałam zadać, z pewnością nie rozwieje tych uczuć, pomyślałam.

– Tak, mademoiselle?

– Czy Louis mógłby mieć powody do... urazy wobec brata?

– Wie pani... Moja świętej pamięci matka zawsze powtarzała: „Pokażcie mi rodzeństwo, w którym choćby jedno dziecko nie

miałoby mnóstwa uzasadnionych powodów, żeby nienawidzić swoich braci czy sióstr, a oprawię je w ramki".

– To prawda – przyznałam, niezbyt usatysfakcjonowana tą filozoficzną odpowiedzią. – Ale czy w ich przypadku nie było czegoś... bardziej konkretnego?

Moja dociekliwość nie wydawała się dziwić Armanda, za to ewidentnie wprawiała go w zakłopotanie. Zanim zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy, nalał sobie kolejny kieliszek białego wina, później upił z niego kilka łyków... Jego nos, miejscami rozrośnięty i naznaczony poszerzonymi naczyńkami, podobnie jak nietypowo liczne butelki po Pouilly czy Montrachet, jakie czasami przyuważałam w pojemniku na śmieci, zdradzały skłonność do trunków. Wyraźną, by nie rzec nadmierną.

– Mówić o Davidzie i Louisie z pominięciem ich ojca André Barleta to tak, jakby nic nie mówić... – zaczął wreszcie.

– Bardzo proszę – uśmiechnęłam się do niego zachęcająco.

Jeszcze jeden długi łyk boskiego nektaru wreszcie rozwiązał mu język. Nadstawiając ucha, mogłam dosłyszeć leciutki szmer ziarenek piasku, które nieprzerwanie osuwały się w klepsydrze... aż do dnia, kiedy to ja sama osunę się w ramiona Davida, mojego męża.

– Aby zrozumieć braci Barletów – Armand nabrał tchu – trzeba najpierw wiedzieć, od czego wyszedł ich ojciec: to znaczy, prawie od zera. Zaraz po wojnie 1940 roku odziedziczył tylko mały, bliski bankructwa zakład meblarski w pobliżu Nantes. Żeby przeżyć w tych ciężkich czasach, zaczął wyrabiać trumny sosnowe, tanie i byle jak wykończone. Faktem jest, że i klienci nie mieli wtedy zbyt wielkich wymagań.

Wyobraziłam sobie rzędy trumien z jasnych desek i obraz ten przejął mnie dreszczem – do tego stopnia, że przeoczyłam w opowieści Armanda nietypową dla niego nutkę czarnego humoru.

– Trumny?

– Mało kto mógł pozwolić sobie na meble, za to trumny były potrzebne bardziej niż kiedykolwiek, proszę mi wierzyć.

Ile lat miał Armand w czasie wojny? Nie wydawał się aż tak stary, by osobiście doświadczyć grozy okupacji...

– Ale nie wzbogacili się na branży pogrzebowej? – jęknęłam w nadziei, że konfabuluje.

– Nie! Już Pierre, ojciec André, zdążył zdywersyfikować swoją działalność. Z drewna stopniowo przechodził na papier, a z papieru na druk i edytorstwo. Zainwestował w kilka tytułów lokalnej prasy. Zwłaszcza w jeden dziennik, po wojnie podejrzewany o zbytnią sympatię do okupanta: „Le Salut".

– A później? Co się stało po wyzwoleniu?

– Ojciec i syn musieli dobrze zapłacić komu trzeba, bo oto jak za dotknięciem różdżki skompromitowany „Le Salut" zamienił się w „L'Océan libéré", jedną z głównych trybun Ruchu Oporu w zachodniej Francji. To zresztą wtedy Pierre wysunął André na szefa dziennika.

Ten portret drobnego właściciela prowincjonalnej gazety nijak nie pasował mi do medialnego imperium, będącego dzisiaj pod władzą Davida. Co musiało się stać, żeby przenieść Barletów z dorzecza Loary nad Sekwanę? Z małomiasteczkowego rynku na indeks CAC 40?

– A on bardzo szybko wykazał się znacznie większą ambicją niż ojciec – ciągnął Armand.

– Jak to?

– Zaczął od wykorzystania świeżych znajomości swojej rodziny w kręgach CNR....

CNR, kartkowałam w myślach szkolne podręczniki: Conseil National de la Résistance, Krajowa Rada Ruchu Oporu, prowizoryczny organ zarządzający Francją po upadku rządu Vichy.

– ...aby wykupić jeden po drugim wszystkie miejscowe gazety splamione jawną kolaboracją. Oczywiście za bezcen.

– I w ten sposób napompować sobie poczytność – dokończyłam.

– Właśnie, i to na skalę, o jakiej Pierre nawet nie śmiałby marzyć. Już w początkach lat 50. „L'Océan libéré", przemianowany na „L'Océan", stał się najbardziej opiniotwórczym dziennikiem w całej zachodniej Francji. A mówimy przecież o czasach praktycznie bez telewizji i z zaledwie dwiema rozgłośniami radiowymi. Prasa była wtedy głównym źródłem informacji dla milionów ludzi. Jeden artykuł

w poczytnej gazecie mógł wylansować albo pogrążyć każdego polityka. Fortuna Barletów zaczęła rosnąć w zawrotnym tempie.

Ciąg dalszy był już łatwy do przewidzenia.

– Przypuszczam, że i później kontynuowali przejęcia?

– Oczywiście. Pierre zmarł w 1956 roku, ale André nadal skupował wszystko, co było w jego zasięgu: dzienniki, magazyny, później, po eksplozji FM w latach 80., również stacje radiowe, wreszcie kanały telewizji w następnej dekadzie... W połowie lat 70. grupa porzuciła Nantes dla Paryża. Jeszcze zanim David wzniósł swój wieżowiec, ich główną siedzibą był budynek w stylu Art Nouveau przy rue Miromesnil. Dziennikarze związani z grupą ochrzcili go mianem „Cargo", z powodu okien jak na statku.

Oto i francuska saga, jakich wiele napisano w tamtych czasach. Hersant, Arnault, Pinault, Lagardère – wszyscy ci dzisiejsi magnaci zaczynali w podobny sposób i w podobnym okresie... Historia dynastii Barletów była sama w sobie pasjonująca, ale nie mogłam się doczekać przejścia do następnego pokolenia.

– A synowie Barleta w tym wszystkim?

– Właśnie do tego zmierzam, Annabelle. André wychował ich, mając na względzie tylko jedno: sukcesję koncernu. Przez całe ich dzieciństwo nigdy nie zachowywał się jak ojciec, raczej jak sędzia.

– Sędzia? Chce pan powiedzieć, że...?

– Zaraz po narodzinach młodszego Davida ogłosił, że obaj chłopcy będą rywalizować ze sobą. Ten, który okaże się lepszy, przejmie pałeczkę po ojcu. Walka toczyła się na wszystkich frontach: wyników w nauce, oczywiście, ale również osiągnięć sportowych, liczby przyjaciół, popularności, ba, nawet sukcesów u dziewcząt. Wyglądało to tak, jakby prowadził skrupulatną punktację obu synów w jakimś niekończącym się wieloboju. Może zresztą prowadził, kto tam wie. Ich młode lata upłynęły więc na ciągłych testach i próbach, aby wyłonić zwycięzcę godnego rodowego berła...

Ciekawe, czy David i Louis w ramach rywalizacji o wszystko, kiedykolwiek próbowali pojedynkować się w łóżku? Czy uprawiali seks w trójkącie albo w większej grupie?

~~Wizja dwóch braci kochających się z jedną kobietą, zanurzonych naraz w jej pochwie i w ustach, zmieniających otwory i układy, zdolnych razem doprowadzić tę dziewczynę do orgazmu, jakiego nigdy jeszcze nie przeżyła, fascynuje mnie nie mniej, niż odstręcza.~~
(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009)

Przy tych ostatnich słowach Armandowi załamał się głos. Musiał być sam zgnębiony tym, co opisywał mi z tak brutalną szczerością.

– Co za koszmar... – nie powstrzymałam się od wyrażenia własnych uczuć.

– Hortense zawsze starała się łagodzić skutki tej permanentnej wojny. Kilka razy dochodziły mnie echa jej burzliwych kłótni z mężem. Ale gdy tylko był w domu, niewiele mogła zrobić. André napuszczał ich na siebie jak wściekłe szczenięta.

– Chyba jednak z czasem musieli się uspokoić? Ojciec w końcu dokonał wyboru, nieprawdaż?

Skinął głową, ale w jego smutnym uśmiechu wyczytałam, że to, co mogło być epilogiem bratobójczego pojedynku, nie przyniosło oczekiwanych rozstrzygnięć.

– Tak, skądinąd na krótko przed śmiercią. To był najprawdopodobniej wypadek, ale niechybnie musiał coś przeczuwać.

Chociaż nutka powątpiewania w głosie Armanda co do okoliczności śmierci André Barleta nie uszła mojej uwagi, tym razem zaniechałam komentarza.

– I co, bracia kontynuowali walkę?

– Nawet jeszcze zacieklej! Obejmując władzę nad grupą, David odniósł poważne zwycięstwo, ale rywalizacja trwała w najlepsze: o ładniejszą dziewczynę, droższy zegarek, korzystniejszą inwestycję na giełdzie i tak dalej.

Przypadkowa czy nie, śmierć André tak bardzo ich zaskoczyła, że nie mogło być inaczej. Sędzia zszedł z boiska bez odgwizdania końca meczu, który przedłużał się z roku na rok, aż do dzisiaj. Już osieroceni i dojrzali, obaj bracia spalali się w permanentnych dogrywkach.

– Żaden z nich nigdy nie poczuje się w pełni zwycięzcą... czy tak?

– Tego się właśnie obawiam – głos Armanda zabrzmiał głucho.

A jednak, dzięki swemu rychłemu małżeństwu, David był już bliski wymierzenia Louisowi nokautującego ciosu. Wystarczyło, żebyśmy spłodzili dziecko, a odniósłby definitywny triumf, niezależnie od odczuć brata. To jego potomek stałby się przyszłością Barletów. Przypieczętowałby jego władzę nad rodem.

W tym kontekście tym bardziej dziwiło mnie, że Louis przyjął posadę zaproponowaną mu przez bliższego zwycięstwa rywala. Dyrektor odpowiedzialny za *public relations*! Czy naprawdę mogło go to satysfakcjonować? A może satysfakcjonowało znacznie mniej, niż starał się okazywać? Może osaczając mnie tak perfidnie, już rozkoszował się smakiem zemsty za wszystkie upokorzenia?

Wraz z tą myślą wróciło mi wspomnienie niezwykłej energii krążącej w jego długim ciele, odczuwalnej przy każdym bezpośrednim kontakcie, choćby najbardziej powierzchownym.

– Ot i cała historia...

Z wyczekująco uniesionymi brwiami Armand sprawiał wrażenie, jakby liczył na coś jeszcze z mojej strony. Ale co mogłam dodać do jego opowieści? Że poczułam się w jednej chwili wulgarnym trofeum? Ogonem Myszki Miki, który zręczniejszy z rywali już-już miał uchwycić? Piłką ustawianą do rzutu karnego?

Próbowałam strząsnąć z siebie te upokarzające obrazy, z całych sił przywołując inne: wszelkie dowody miłości Davida, aż do dzisiejszego wieczoru. Do tej kolacji, wyprawionej na moją cześć zza kulis, jakby był tu obecny przynajmniej duchem, skoro nie ciałem. Na każdym kroku spotykałam się z oznakami szczerości jego uczuć i zamiarów.

– David kocha mnie naprawdę – powiedziałam wreszcie, dziwiąc się, że brzmi to jak przyznanie się do słabości. – I ja też go kocham.

Mój głos leciutko drżał.

– Szczerze tego życzę wam obojgu.

I pomyśleć, że właśnie wyznałam miłość do Davida prawie nieznajomemu człowiekowi, a dotąd nie znalazłam odwagi, by zaanonsować nasz bliski ślub własnej matce... Przekonywałam samą siebie, że to przez najście Freda, że gdyby nie on, właśnie dzisiaj

wtajemniczyłabym mamę we wszystko – ale bez większego skutku. W istocie czułam dziwny dystans do owego „najpiękniejszego dnia w życiu”, jakby wcale nie dotyczył mnie. Może wynikało to z braku udziału w przygotowaniach, a może nie tylko.

Mój telefon nagle zawibrował, wytrącając mnie z refleksyjnego nastroju. Wyjęłam komórkę i drżącym palcem otworzyłam wiadomość. Nie był to SMS, lecz MMS złożony z dwóch zdjęć: pierwsze przedstawiało mnie w chwili wejścia do Hôtel des Charmes; drugie, późniejsze o kilka godzin, na co wskazywało nocne oświetlenie, w chwili wyjścia. Oba zrobiono z tej samej perspektywy – ktoś, kto nacisnął guzik aparatu, tkwił nieruchomo w jednym miejscu, czatując na moje ruchy. Jak zorientowałam się po ubraniu, musiał to być wieczór, kiedy poznałam Davida. I który kontynuowałam w Charmes z jego starym znajomym Marchadeau. Zimny dreszcz przeszedł mnie od stóp do głów.

Wiadomość nie zawierała żadnego słownego komentarza, a mimo to była aż nadto czytelna. Czekano na mnie w tym samym miejscu. I to nie za dwie godziny.

Natychmiast.

12

Dyskretny, wytworny, romantyczny – taki wydał mi się tamtego wieczoru Hôtel des Charmes.

Jeszcze inne ćwiczenie stylistyczne z repertuaru mojego profesora polegało na tym, żeby opisać dowolną rzecz, osobę, miejsce, sytuację czy doznanie przy użyciu tylko trzech przymiotników. „To absolutnie wystarczy – twierdził nasz mentor, gładząc jedną ręką łysą czaszkę. – Unikajcie przeładowania waszych tekstów obrazami. Trzy trafnie dobrane określenia są więcej warte niż rozwlekłe, zawiłe metafory".

Od mojego nowego miejsca zamieszkania do hotelu było nie więcej niż trzysta, może czterysta metrów. Mimo dość znacznego nachylenia rue de La Rochefoucauld w kierunku północnym potrzebowałam zaledwie kilkunastu minut, żeby dotrzeć do celu, bez jednego rzutu oka na kuszące wystawy sklepów muzycznych, tak licznych w tym rejonie.

Skrzyżowanie stromej rue de La Rochefoucauld z rue Pigalle układało się w wydłużony szpic, tworząc niewielki trójkątny placyk przed południową fasadą Charmes. Budynek był uderzająco wąski: tylko po dwa niewielkie okna na każdym z pięciu poziomów, przystrojone od zewnątrz jednakowymi roślinami o krwistoczerwonych płatkach.

Zdyszana, ubrana w pośpiechu – Armandowi wytłumaczyłam się pilnym spotkaniem z wzywającą mnie przyjaciółką – dotarłam pod drzwi wejściowe dokładnie w chwili, gdy telefon w staroświeckiej budce tuż obok rozdzwonił się w wieczornej ciszy.

Podniosłam słuchawkę z jej niebieskiej podpórki, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu hipotetycznego obserwatora. Wciągnięta wbrew sobie w tę kiepską powieść sensacyjną, naprawdę zaczynałam bać się własnego cienia.

– Halo? – warknęłam ze złością.

Trzy rachityczne drzewka nieopodal nie były w stanie nikogo zasłonić, podobnie jak rządek zaparkowanych na noc skuterów. Po

drugiej stronie linii usłyszałam tylko czyjś regularny oddech, a w chwilę później połączenie zostało przerwane.

Wejście do hotelu od strony rue Pigalle również przestrzegało nadrzędnego wymogu dyskrecji. Żadnego krzykliwego szyldu, żadnej okazałej markizy czy innych przyciągających wzrok detali. Nic prócz prostej chromowanej tablicy z nazwą.

Hôtel des Charmes
Spersonalizowane pokoje
wynajmowane na godziny

Rozgorączkowana. Przejęta. Podniecona? – to trzy przymiotniki o mnie.

Wchodząc do hallu – choć przecież nie po raz pierwszy – czułam się jak nastolatka przed debiutanckim balem. Albo i przed pierwszą randką. Walczyłam z tym niestosownym wrażeniem, oddychałam głęboko, aby pozbyć się emocji wzbierających gdzieś w podbrzuszu... a mimo to nie mogłam ich stłumić. Uśmiechnęłam się na wpół porozumiewawczo, na wpół przepraszająco do bezwłosego portiera w liberii.

– Dobry wieczór, monsieur Jacques.

Jego wiecznie wytrzeszczone niebieskie oczy rozpoznały mnie przebłyskiem życzliwości.

– Dobry wieczór, mademoiselle. Życzy pani sobie pokój?

– Właściwie... Mam już kartę.

Podałam mu wyjętą z kieszeni magnetyczną plakietkę. Nie okazał ani zaskoczenia, ani aprobaty – po prostu wziął ją do ręki.

– Ach, tak. Rozumiem, że dostała ją pani od kogoś?

– A więc to nie pan mi to wysłał... – powiedziałam półgłosem, bardziej do siebie niż do niego.

– Nie, nie ja. Nasi klienci, jeśli tylko na koniec zwracają karty do recepcji, w międzyczasie mogą dysponować nimi według uznania.

– Rozumiem. Ale czy może pan sprawdzić, o który pokój chodzi?

– Tak, oczywiście.

To mówiąc, Monsieur Jacques wsunął kartę w szczelinę czytnika i utkwił wyłupiaste oczy w ekran zintegrowany z jego kontuarem.

– Ooo... dziwne – westchnął.

– Co pan tam widzi?

– Nic, właśnie w tym rzecz... Karta nie zawiera żadnej informacji, a mimo to...

– A mimo to?

– Pasek magnetyczny jest nadal aktywny. Karta nie wygląda na zresetowaną.

– I co mam z tym fantem zrobić? – zapytałam.

Spóźniona. Zdenerwowana. Niecierpliwa?

– Niestety, widzę tylko jedno rozwiązanie: wypróbować wszystkie wynajęte pokoje. Aktualnie mamy ich... jedenaście. Rozłożone na czterech z pięciu pięter.

Z każdą sekundą zwłoki coraz bardziej ciążyło mi poczucie zdrady, uwierające już od wyjścia z rezydencji Duchesnois. Nie mogłam tego zrobić Davidowi... i musiałam to zrobić dla niego. Dla nas obojga. Skoro wszelkie inne drogi, włącznie z prawną, były przede mną zamknięte, pozostało mi zakończyć tę zabawę o własnych siłach, tutaj, dzisiaj. Jak najszybciej. Choćbym miała znaleźć się w którymś z tych pokoi sam na sam z Louisem.

– Chwileczkę...

Wyciągnęłam ze srebrnej koperty duży, ząbkowany klucz...

– A czy to kojarzy się panu z czymkolwiek?

Przedmiot wywołał uśmiech rozbawienia na twarzy hotelarza.

– Nie... Przykro mi. Nie używamy takich staroci od co najmniej dwudziestu lat.

– Co za pech.

Później, z braku lepszego pomysłu, pokazałam mu różową karteczkę samoprzylepną.

– A to?

Droga Zelle,
Dziś wieczorem o 22.00.
Niech pani będzie punktualnie.

I nie zabiera ze sobą komórki.

I nagle Monsieur Jacques uśmiechnął się szeroko, ze szczerą, niekłamaną ulgą.

– Ktoś, kto napisał to do pani, doskonale zna nasz hotel, Elle.

Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałam z jego ust to zdrobnienie, z którym pewnie wygadał się jakiś klient.

– Co pan ma na myśli? – naciskałam.

– Zelle nie jest błędem w pani imieniu. To panieńskie nazwisko jednej z naszych najsławniejszych egerii.

...Czyli patronek poszczególnych pokoi.

– Ach, tak? Której?

– O, nie byle kogo: Margarethy Geertruidy Zelle.

– Przepraszam?

Na próżno wytężałam szare komórki...

– Maty Hari, jeśli pani woli.

Wolałam, bez dwóch zdań.

– Piąte piętro – uprzedził moje pytanie. Po wyjściu z windy ostatnie drzwi na prawo. Zresztą Ysiam będzie tam na panią czekać.

Ysiam? Nigdy wcześniej nie słyszałam o takim pracowniku.

Jeszcze jedną specyfiką Hôtel des Charmes była obecność boya hotelowego na każdym piętrze.

Ten, który powitał mnie na piątym, musiał pochodzić z Pakistanu albo Sri Lanki, sądząc po jego orientalnej urodzie. Miał bardzo ciemną karnację i szczery, nieskazitelnie biały uśmiech. Kruczoczarne rzęsy, tak gęste i długie, że można było uznać je za sztuczne, łagodnie ocieniały jego spojrzenie w sposób budzący instynktowne zaufanie.

Ledwie wysiadłam z windy, młodzieniec z najwyższą kurtuazją zapytał o nazwę mojego pokoju, po czym zaprowadził mnie pod same drzwi, intensywnie czerwone, bez jakiekolwiek plakietki.

Tam, nie czekając na napiwek, Ysiam zadowolił się końcowym pytaniem:

– Nie będzie pani potrzebować nic więcej, mademoiselle?

– Hm, nie... nie sądzę.

Żadnej pomocy, pomyślałam, no, chyba że przy duszeniu tego kogoś, kto czekał na mnie za drzwiami. Dużo bym dała za taki dystans wobec tej przygody albo potraktowanie jej z wisielczym humorem. W rzeczywistości byłam jednak kłębkiem nerwów, wprawianym w dygot przez najlżejszy szmer, najmniejszą grę cieni na karminie drzwi. Te drzwi przerażały mnie, a jednocześnie nieodparcie kusiły, mimo że po ich drugiej stronie spodziewałam się przestrzeni utkanej z najczarniejszych snów.

Ysiam zostawił mnie samą. Jeszcze przez kilka sekund wstrzymywałam oddech, aby wreszcie zebrać się na odwagę i wsunąć kartę w szczelinę zamka. Po elektronicznym piknięciu rozległ się mechaniczny trzask... Nie pozostało mi już nic innego, jak nacisnąć klamkę i wyjść na spotkanie przeznaczeniu.

Osłupiała.
Zmieszana.
Olśniona.

W środku nie było nikogo, ale sam pokój mógł zachwycić największego estetę. Wystrój w stylu *belle époque* przypominał fotografie z początków ubiegłego wieku, z ówczesną modą na orientalizm i bogactwem cennych, różnobarwnych bibelotów, jakby prosto z kolekcjonerskich stoisk pchlego targu w Saint-Ouen. Ściany pokrywały wzorzyste tkaniny, harmonijnie łączące motywy roślinne z mnogością owadów rozbieganych we wszystkich kierunkach. Szafę, konsolę i komodę wykonano z trzech różnych, nierozpoznawalnych dla mnie gatunków egzotycznego drewna. Ducha epoki, w jaką zostałam przeniesiona, najlepiej oddawały jednak dekoracyjne akcesoria: kilka lamp Gallégo z wielowarstwowego ozdobnego szkła, brązowe posążki o tematyce erotycznej, w większości przedstawiające nagich satyrów i nimfy w różnych konfiguracjach... Koronnym arcydziełem był olbrzymi parawan z drewnianych ażurowych paneli, misterny niczym arabskie *moucharabieh*, ozdobne kratownice w oknach.

Przez dłuższą chwilę kontemplowałam to niezwykłe wnętrze. W końcu jednak, nie doczekawszy się spotkania z kimkolwiek, zaczęłam myśleć o wyjściu. Miałam już naprawdę dość tej zabawy w kotka i myszkę. Czyżby właśnie manipulowanie mną, jakbym była marionetką albo postacią z kreskówek, najbardziej podniecało Louisa Barleta? Najpierw w galerii Sauvage, dokąd ściągnął mnie tylko po to, żeby demonstracyjnie porzucić, teraz tutaj... Tym razem było nawet gorzej: potulnie stawiłam się na wezwanie, ale on nie raczył poświęcić mi choćby kilku minut.

Przeżuwałam to drugie upokorzenie bliska płaczu z bezsilności i gniewu, gdy pod drzwiami pojawiła się złożona na pół kartka, wsunięta przez kogoś z zewnątrz.

Proszę się rozebrać.

Pomyłka nie wchodziła w grę: to lakoniczne polecenie napisała ta sama ręka, co zaproszenie adresowane do Zelle, które kilka minut wcześniej pokazywałam konsjerżowi.

Niewiele myśląc, chwyciłam torebkę i przekręciłam rzeźbioną gałkę drzwi... aby skonstatować, że były zamknięte na klucz. Od zewnątrz. Słodki Ysiam albo ktoś inny odciął mi jedyną drogę ucieczki. Nie, nie od razu uległam panice – miałam w końcu niejedną okazję, aby oswoić się z tym miejscem. Może nie zachodziłam tu tak często jak Sophia, ale zawsze. Monsieur Jacques znał mnie i z widzenia, i nawet z imienia. Zresztą sama nasza rozmowa sprzed kilku minut gwarantowała, że odnotował w pamięci moje przybycie.

Pomimo to lęk powoli brał nade mną górę. Ręce drżały mi lekko, kark sztywniał. Czułam już efekty stresu w całym ciele, od stóp aż do piegów na twarzy, piekących jak mikroskopijne oparzenia.

Dojrzałam w kącie telefon, staroświecki model z okrągłą tarczą. Raz i drugi wykręciłam 00, numer recepcji. Bez skutku – nikt nie odbierał.

Przypuszczając, że monsieur Jacques mógł ruszyć na obchód po piętrach, zaczęłam wołać go przez drzwi, dość dyskretnie, gdyż

poczucie śmieszności sytuacji mimo wszystko wstrzymywało mnie przed donośnym wzywaniem pomocy.

– Monsieur Jacques? Monsieur? Czy jest tam kto?

Odpowiedziała mi głucha cisza, jak zresztą należało się spodziewać: nawet gdyby ktoś chodził po korytarzu, wyjątkowo gruba wykładzina i tak stłumiłaby odgłos kroków. Bez wielkich nadziei próbowałam wsunąć mój staroświecki klucz w szczelinę pod gałką, ale zupełnie do siebie nie pasowały, a i cały zamek był z pewnością tylko dekoracyjną atrapą. Tak przecież mówił monsieur Jacques i nie miałam powodu mu nie wierzyć.

Nie było więc nikogo poza mną. Mną i tą komnatą przeładowaną meblami i ozdobami, zamkniętą szczelnie jak kufer z biżuterią. Nawet jedyne okno wyglądało na zespawane – rączka w ramie nie dała się przekręcić. Za zmatowiałą szybą majaczyła z daleka elegancka, podświetlona sylwetka bazyliki Sacré Cœur.

„I nie zabiera ze sobą komórki". Bezsensownie usłuchałam i tego polecenia, skazując się na odcięcie od świata. Co mi pozostawało? Nic, poza wybiciem szyby i desperackim, ewidentnie samobójczym skokiem z piątego piętra. Z dwojga złego wolałam już więzienie, w oczekiwaniu, aż tajemniczy strażnik zechce mnie z niego uwolnić. Pytanie tylko kiedy? Na jak długo zapowiadała się ta maskarada?

Nie mając nic do stracenia, zaczęłam walić w drzwi bezsilnymi pięściami, dopóki mojej uwagi nie przykuło niezwykłe zjawisko: za mną, na całym obwodzie pokoju drewniane panele ścian zamaskowane różnobarwną tkaniną, jak na komendę obróciły się wokół własnej osi za sprawą jakiegoś elektrycznego mechanizmu. Zamiast tapiserii komnatę pokrywały teraz tafle wielkich luster, od podłogi aż po sufit.

I tym sposobem nie byłam już sama, o nie. Gdzie nie spojrzałam, towarzyszył mi mój własny obraz, zwielokrotniony, odbijany ze wszystkich stron i pod różnymi kątami. Miałam teraz jak na dłoni całe moje ciało, twarz, sylwetkę, wszelkie ich wdzięki i mankamenty, wreszcie scalone w jedno. W przebłysku intuicji pojęłam sens tego spektaklu: nie był on niczym innym jak monitem, nawiązaniem do wcześniejszego rozkazu spod drzwi: „Proszę się rozebrać".

– Ach, więc to pana kręci, co? Podglądanie? To pana specjalność? – rzuciłam głośno w przestrzeń pod adresem ukrytego obserwatora.

Odpowiedziało mi rzecz jasna tylko echo mojego głosu, zmienionego przez furię, przytłumionego mięsistymi tkaninami.

Wyciągnęłam z torebki karnecik w srebrnej okładce pełen wpiętych kartek i zamachałam nim oskarżycielsko:

– Podnieca pana wyobrażanie sobie, co mam w głowie? I między nogami też, prawda?

Cisza tylko potęgowała moją wściekłość.

– Naprawdę wierzy pan, że można kogoś wychować, gwałcąc jego prywatność? Myśli pan, że ma mnie w garści z powodu tych kilku świństw powypisywanych na mój temat? Ale ja nie jestem pana własnością! Nigdy nie będę! Należę do Davida! Do Davida, rozumie pan?

Mimo upływu dobrych kilku minut nie zaszło nic nowego, ani w pokoju, ani na zewnątrz. Wyczerpana wybuchem, roztrzęsiona, ze łzami w oczach, w końcu zdecydowałam się spełnić polecenie. Nie było innej opcji, jeśli chciałam kiedykolwiek wydostać się z tej pułapki. Bóg jeden wiedział, jak długo Louis zamierzał mnie więzić, żeby skruszyć mój opór. Całą noc? Jak w takim razie wytłumaczyłabym się Davidowi ze zniknięcia na tyle godzin? Musiałabym opowiedzieć mu wszystko, a wtedy...

Na początek rozpięłam buty, parę szpilek Louboutin ofiarowanych przez Davida. Ich sprzączki w kształcie kwiatów okazały się pokusą nie do odparcia dla fashionistki, którą zrobiła ze mnie Rebecca. Reszta mojego stroju przedstawiała się znacznie skromniej: miałam na sobie tylko obcisłe dżinsy i jedwabną bluzkę w kolorze écru, z łódkowatym, niezbyt przepastnym dekoltem. Ściągnęłam obie części garderoby, zostając w samej bieliźnie, majtkach i staniku z delikatnej koronki, przez którą przebijały u góry brązowe otoczki sutków, u dołu bujnie owłosiony trójkąt.

Co mogło być satysfakcjonującego w takim widoku dla tego, kto bez najmniejszej wątpliwości obserwował mnie zza kulis przez jakieś jednostronne szyby albo inną ukrytą kamerę? Sama nie widziałam w nim nic nadzwyczajnego. Nic poza sobą, Annabelle, taką, jaka codziennie spoglądała na mnie z lustra w łazience. Te same biodra,

za szerokie. Te same uda i pośladki, zbyt masywne. Ten sam brzuch z fatalnym wałkiem tłuszczu. „Ciało swoje miłować będziesz”? Chętnie, tylko żeby jeszcze było za co!

Jakby w odpowiedzi na ten krytyczny osąd, oświetlenie pokoju zmieniło się nagle, bez najmniejszego udziału z mojej strony. Wszystkie żarówki miały teraz inną intensywność, pogrążając pomieszczenie w półmroku przeszywanym promieniami światła, które w niesłychany sposób modelowały moje ciało. Każda jego część, każda okrągłość i wypukłość nabierała nowego, wdzięczniejszego kształtu, jednocześnie pełnego i harmonijnego. Byłam dokładnie taka jak zawsze, a mimo to piękniejsza niż kiedykolwiek, zgrabniejsza niż kiedykolwiek przy tej samej wadze i tym samym wzroście.

Zauważyłam ponadto, że zmieniła się temperatura: musiała wzrosnąć, skoro mimo nagości nie czułam najlżejszego chłodu. Moje dreszcze nie miały nic wspólnego z zimnem, a tylko z tą wewnętrzną gorączką, oscylującą między wzburzeniem a zmieszaniem.

I could feel at the time
There was no way of knowing.

Śpiew, wyraźny, choć lekko przytłumiony, rozległ się znienacka z niewidzialnych głośników ukrytych w narożnikach pokoju, poprzedzony kilkoma taktami gitary. Piosenka nie była mi obca, na pewno już ją słyszałam, dawno temu. Kiedy? Gdzie? Nie umiałabym powiedzieć. Taki słodki soul-rock z dźwięczną, wyraźnie niedzisiejszą elektroniką na pewno nie należał do ulubionej muzyki Freda. Olśniło mnie wreszcie, gdy wsłuchałam się w słowa refrenu i ich treść, adresowaną specjalnie do mnie:

More than this
Tell me one thing...
More than this.

Więcej niż to. Trudno o bardziej jednoznaczny przekaz od tej sugestii, jaką podsuwał mi w swej piosence Bryan Ferry: reżyser i widz spektaklu chciał zobaczyć więcej.

Czy i mnie ponaglał rozsądek, pragnienie, żeby skończyć z tym jak najszybciej? Czy może chodziło o coś innego? Pokusę, wewnętrzną potrzebę? Nie. Ogarnęło mnie prawdziwe uniesienie, niepohamowany popęd, jakiś zdumiewająco potężny efekt moich sprzecznych, pomieszanych uczuć.

Rozpięłam stanik gestem mniej cierpliwym niż kiedykolwiek. Opadł na ziemię, uwalniając moje ciężkie piersi, które okazały radość ze swobody najpierw lekkim dygotem, później nagłym wyprężeniem sutków. Musnęłam je otwartą dłonią, konstatując, że nie stanęły na baczność pod wpływem zimna. Były gorące, niemal rozpalone. Wahadłowy ruch mojej ręki rozbudzał je z każdą chwilą, powiększał, usztywniał, przyciemniał ich purpurową barwę.

More than this
You know there's nothing...

Owszem. Zostało coś jeszcze.

Majtki z bawełnianej koronki, ażurowane na poziomie wzgórka Wenery, lekko zsunęły mi się wzdłuż nóg, dołączając do reszty ubrań na podłodze. Teraz nie było już nic między jego wzrokiem a moją intymnością. Chyba nawet przed Davidem nigdy nie obnażyłam się tak wyzywająco i bezwstydnie. Nie miałam odruchu, by położyć rękę na podbrzuszu, tam, gdzie wargi sromowe schodzą się na szczycie szpary ukrytej pod ciemnym runem.

Musiałam mieć z piętnaście lat, gdy po raz pierwszy odważyłam się zapuścić w tę okolicę własnego ciała, dostępną tylko spojrzeniu z zewnątrz. Myślę zresztą, że właśnie wtedy zaczęłam się masturbować ze znajomością rzeczy – wcześniej polegało to tylko na nieskoordynowanym ocieraniu się całym kroczem o pluszową zabawkę lub poduszkę.

Zamknięta w łazience, z jedną stopą na brzegu wanny, ustawiłam na wprost mojej szpary podebrane mamie kieszonkowe lusterko. Z braku odpowiedniego światła inspekcja nie była zbyt udana; właściwie więcej się domyślałam, niż widziałam. Pamiętam, że powtórzyłam eksperyment trzy lub cztery razy, zanim udało mi się znaleźć właściwe instrumentarium: latarkę ustawioną bezpośrednio na podłodze, wycelowaną w moje krocze, i obrotowe lusterko z podstawką. Zyskałam dzięki temu swobodę obu rąk, aby rozchylić nimi zewnętrzne fałdy i wreszcie odkryć wlot do tajemniczej, fascynującej czeluści. Spędziłam długie minuty na dotykaniu opuszką palca wszystkich zakamarków, zwłaszcza tych połyskliwych i wilgotnych. Badałam się ostrożnie, z obawy przed bólem, gdy jednak w końcu przesunęłam palec po guziczku ukrytym w ruchomym fałdzie u szczytu szpary, zrozumiałam, że powinnam bać się zupełnie innych, choć nie mniej przejmujących doznań. Masowałam to miejsce niezręcznie, ale na tyle uporczywie, by mój oddech przeszedł w westchnienia... Później zakręciło mi się w głowie, tak że o mało nie upadłam. Zdobyłam wiedzę, jakiej pragnęłam. A co najdziwniejsze, nigdy więcej nie kontynuowałam eksploracji poza osiągnięty wtedy etap.
(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009.
To było w moim pokoju, nie w łazience. Co do reszty...).

Patrząc na moje ciało, odbijane przez liczne lustra z różnych stron, w całej jego rzeźbie, miałam przedziwne wrażenie, że odkrywam je po raz pierwszy. Więc to tego obrazu łaknęli mężczyźni, gdy rozbierałam się przed nimi. Więc to byłam ja, jakże niepodobna do kobiety, którą mój własny krytyczny wzrok, zniekształcony latami kompleksów i wychowania, kroił na tyle niedoskonałych części. Co najbardziej zdumiewające, moje mankamenty bynajmniej nie znikły – ale wreszcie scalone w jeden unikalny pejzaż nabierały niezwykłego powabu, o jaki nie podejrzewałabym się nigdy wcześniej.

W mojej bezlitosnej samoocenie nie odmawiałam sobie właściwie tylko jednego fizycznego atutu: jedwabistej gładkości skóry.

Uważałam ją wręcz za kwintesencję mojego uroku – o ile w ogóle miałam jakiś urok – i pielęgnowałam starannie, z wydatną pomocą olejków monoi i migdałowego, a także masła shea, przedkładając zabiegi naturalne nad kosztowne produkty przemysłu kosmetycznego.

Instynktownie zamknęłam oczy. Muśnięcia brzucha, szyi, dekoltu, krzywizny piersi, upewniły mnie, że wszystkie te wysiłki nie poszły na marne. Moje ręce przesuwały się z przyjemnością, lekko rozgrzewając każdą zwiedzaną okolicę i naturalnie podążając ku następnej, aż do bioder, pośladków i wreszcie aksamitnego wnętrza ud.

Bryan Ferry przestał już śpiewać, jeszcze tylko akompaniament rozciągał melodię i jej gitarowe motywy w tęskne *pizzicato*. Piosenka dobiegała końca, ale nagle zagłuszył ją szmer zupełnie innej natury, tak nieoczekiwany, że aż podskoczyłam.

Dźwięk dobiegał z ukrytej za parawanem, dwupoziomowej konsoli, której wcześniej nie zauważyłam. Ze zdumieniem odkryłam na niej małą drukarkę, samoczynnie uaktywnioną, wypluwającą prostokąty sztywnego papieru. Schwyciłam pierwszy z nich, odwróciłam zadrukowaną stroną...

Zdumiona. Pochwalona. Wdzięczna?

Z drukarki spływały kolorowe fotografie. Każda z nich przedstawiała mnie w innym ujęciu, pod innym kątem, w większym lub mniejszym zbliżeniu. Były to puzzle moich wdzięków, którymi inicjator tej zabawy w chowanego właśnie zdążył się nasycić. Co ciekawe, nie czułam już do niego urazy. Widzieć siebie samą tak piękną w tych tysiącach lustrzanych odbić okazało się źródłem przyjemności i ukojenia. Nie zostałam dzisiaj wynajęta tylko dla mych powabów, jeszcze nie w pełni rozpoznawanych jako własne. Chodziło o znacznie więcej: poczułam się pogodzona ze sobą. Z moim autoportretem, skomponowanym na nowo i wreszcie oswojonym.

Trzask elektronicznego zamka, sygnalizujący koniec niewoli, bynajmniej nie rozwiał tego szczególnego wrażenia. Ubierałam się długo, bez pośpiechu, smakując każdą chwilę, każdy centymetr mojej wdzięcznej skóry. Z plikiem zdjęć w torebce, pozostało mi

wreszcie opuścić hotel, nieco chwiejnym krokiem. Nie spotkałam nikogo po drodze, aż do wyjścia na zewnątrz, co zresztą niespecjalnie mnie zdziwiło. Nawet monsieur Jacques gdzieś się ulotnił zza swego kontuaru.

Schodziłam łagodnym nachyleniem rue Pigalle jak automat, pogrążona w dziwnym, półsennym odrętwieniu. O tej późnej porze wszystko było już zamknięte, poza kilkoma nocnymi barami. Grupka pijaczków w ogródku jednego z nich zareagowała na mnie natrętnymi gwizdami, co zresztą ledwie zauważyłam.

Czasami dociera do mnie, że oddaję się mężczyznom za pieniądze. Ja, Annabelle. Elle. Na próżno mówię sobie, że nie staję się przez to kobietą inną od rzeszy utrzymanek rozsuwających nogi po to, żeby żyć na poziomie, do jakiego aspirują – mimo wszystko trochę się sobą brzydzę. Ale paradoksalnie, gdy kilka razy z rzędu powtarzam w myślach to degradujące „jestem kurwą", ogarnia mnie głuche, niepojęte podniecenie.
(Anonimowa odręczna notatka z 8.06.2009. Po raz kolejny: bez komentarza).

Wibrujące, mokre, dostępne.

Moje łono czuje bawełniany pasek majtek, bliskich zsunięcia się przy każdym kroku. Kontakt z nimi tak bardzo drażni moje obrzmiałe wargi sromowe, moją pobudzoną łechtaczkę, moją pochwę wpółotwartą i rozdygotaną z pragnienia, że gdyby nie odruch wstydu, mogłabym wsunąć rękę w spodnie i tutaj, na ulicy, na oczach przechodniów rozładować napięcie w znany mi, niezawodny sposób.

Moje łono, rwące, gotowe na wszystko lub prawie... Wygłodniałe.

13

7 czerwca 2009

Gdybym miała złożyć skargę na wydarzenia ostatniej nocy, co mogłabym powiedzieć: że rozebrałam się do naga, sama i w końcu w pełni dobrowolnie, w pokoju hotelu oddalonego o kilkaset metrów od mojego nowego miejsca zamieszkania, a znanego mi już z przeszłości? O jaką niegodziwość można by oskarżyć kogoś, kto mnie tam ściągnął? Czy dałoby się uznać ów czyn za coś innego niż prowokację, której zresztą uległam z co najmniej niestosowną skwapliwością?

Fakt, że nieobecność Louisa w Charmes wytrąciła mnie z równowagi, nijak nie przemawiał przeciwko niemu. Nie bardziej niż wilgoć między nogami, którą czułam przez cały czas, aż do rana, gdy obudziłam się sama w wielkim łożu. David swoim zwyczajem zdążył dawno wyjść, zostawiając mnie jak co dzień, jak po każdej niespokojnej nocy.

Tym, co mogłoby obciążać starszego z braci Barletów, była nowa korespondencja następującej treści:

Czuje mnie pani wewnątrz siebie, nieprawdaż?

Tak jak wszystkie poprzednie, i ten liścik czekał na mnie na konsoli w hallu. Do dolnego zbiornika klepsydry spłynęła już imponująca góra piasku. Czas do naszego ślubu znów skrócił się o kilka ziarenek...

– Dzień dobry, Elle.

Lekki, wręcz radosny ton przeciął nagle tok moich posępnych myśli. Zmieszałam się do tego stopnia, że dopiero po kilku sekundach rozpoznałam głos:

– Louis!

...czyli domniemany sprawca moich problemów, jak zwykle poprzedzony charakterystycznym zapachem, z którym chyba się nie rozstawał.

– We własnej osobie, z polecenia pani przyszłego małżonka.

Słowom tym towarzyszyło skinienie głową w nieco przesadnym geście uszanowania.

O czym on mówił? Jak śmiał tu przyjść? Żeby dręczyć mnie dalej, od samego rana, jakby mało mu było mojego wczorajszego upokorzenia?

Powstrzymałam jednak cisnące się na usta protesty.

– Davida?

– A co, myślała pani o kimś innym? – zapytał z żartobliwą ironią.

Czy to możliwe, żeby spędzić cały wieczór na perfidnych manipulacjach, a następnego dnia zachowywać się tak beztrosko? Jak widać, możliwe... Uśmiechał się promiennie, obracając w rękach swoją laskę ze zręcznością akrobaty. Nic w jego postawie nie zdradzało naszej „schadzki" z poprzedniego wieczoru.

– Nie, oczywiście – odpowiedziałam wyniośle. – Ale czy...

– David zobowiązał mnie, żebym zrobił z pani „prawdziwą atenkę".

To mówiąc, wziął mnie za rękę i schylił się w ceremonialnym pocałunku. Wyrwałam mu się brutalnie, walcząc z nieodpartą chęcią spoliczkowania go w zamian.

– Atenkę... – powtórzyłam mechanicznie, zmrożona oburzeniem.

– To jego określenie. Więc oto jestem!

Majordomus, wynurzywszy się skądś bezszelestnie, przytaknął mu dobrodusznym uśmiechem. Z wielkim trudem uśmiechnęłam się i ja, blado i bez przekonania.

– To prawda, mademoiselle. Davidowi bardzo zależy, żeby czuła się pani u siebie nie tylko w tym domu, ale i w tej dzielnicy. A jest głową rodziny, z powodów, które już pani zna.

– Mamy taką piękną pogodę! – powiedział Louis entuzjastycznie, bez cienia arogancji z naszego pierwszego spotkania. – Czy to nie wymarzony dzień na małą przechadzkę?

Skoro głowa rodu – i mój przyszły mąż – zaaprobował ten pomysł, nie bardzo wiedziałam, jak się wykręcić. Zwłaszcza w obecności świadka. Musiałam szybko znaleźć pretekst do odrzucenia propozycji.

Przelotnym spojrzeniem z ukosa Louis objął Félicité, usadowioną w bezpiecznej odległości kilku kroków. Na piętrze słychać było

dreptanie Sinusa i Cosinusa, szukających swojej nowej towarzyszki zabaw.

– Tak, z pewnością... Ale ja... nie czuję się najlepiej – zmyśliłam na poczekaniu.

– Tym bardziej warto wyjść, mademoiselle, świeże powietrze dobrze pani zrobi! – zachęcał Armand.

– Ależ droga Elle, co ma pani dzisiaj lepszego do roboty? Niech pani skorzysta z tych ostatnich wolnych dni przed wielkim debiutem na antenie. Sama pani zobaczy, że po wprzęgnięciu w telewizyjne tryby rekreacje tego rodzaju nie będą zbyt częste.

Zagryzłam wargi, po raz kolejny bliska wybuchu. Rekreacje? Co za słowo! Jak w takim razie nazwałby seans z poprzedniego wieczoru? Niewinną rozrywką?

– Nie, naprawdę... To bardzo miłe z pana strony, ale nie skorzystam... Jeśli mam dobrze wypaść w poniedziałek, czuję, że powinnam odpocząć.

Dlaczego David wydawał swoją narzeczoną na pastwę kogoś, kto od dobrych kilku dni manipulował nią tak makiawelicznie? Uczepiłam się odpowiedzi na to pytanie: po prostu nie miał pojęcia o intrygach własnego brata. Później przegoniłam z myśli inną ewentualność: nie, w żadnym razie nie mógł być wspólnikiem. Nie on. Nie David.

– No, niechże pani da się skusić. Chodźmy!

Znów schwycił mnie za rękę, ale tym razem zatrzymał ją siłą, tak że nie mogłam uwolnić się bez szarpaniny.

– Proszę mnie puścić! To boli!

Pod pełnym dezaprobaty okiem Armanda Louis natychmiast zwolnił ucisk wokół mojego nadgarstka, niczym urwis przyłapany na gorącym uczynku.

– Jak pani chce – wymamrotał, spuszczając wzrok. – Myślałem tylko...

Przerwałam mu twardo.

– Co pan sobie myślał?

– Że taki spacer byłby dla pani okazją, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Czegoś więcej? A niby o czym?

– O nas... O Davidzie i o mnie. Znam go, jest taki skryty. Założę się, że nic albo prawie nic nie opowiedział pani o naszym dzieciństwie. Ani o tym domu.

Trafione.

Gdyby tylko dotrzymał słowa, oferta przedstawiałaby się nawet interesująco... Ponadto był to idealny moment, teraz albo nigdy, żebym i ja spróbowała go wysondować. A może nawet zrzucić z niego tę maskę, za którą krył się podczas każdego z naszych spotkań. Innymi słowy, zdemaskować go raz na zawsze.

Dodałam sobie również otuchy myślą, że nie odważy się przecież na nic niestosownego w biały dzień, na ulicy. Zachęcający wzrok Armanda ostatecznie stłumił moją furię, tlącą się od wczorajszego wieczoru.

– No dobrze... niech tak będzie – zgodziłam się sucho. – Ale da mi pan czas na prysznic?

– Na tyle pryszniców, ile pani zapragnie. Mamy przed sobą cały dzień.

W jego ustach i moich uszach słowa te zabrzmiały znajomo i bynajmniej nie jak obietnica niewinnego spaceru w wiosennym słońcu. Raczej zapowiedź długich godzin męki, skądinąd zgodnie z moim przeczuciem.

Zgniotłam w dłoni odręczną notatkę – proszę, oto jedna, której przeznaczeniem nie był srebrny karnecik – i z dziwnym kłębem w brzuchu pobiegłam do łazienki. Niespełna kwadrans później znów stałam przed moim katem, ubrana w sukienkę w kwiatki, bardzo prostą, chociaż tu i ówdzie własnoręcznie ozdobiłam ją skrawkami filcu. Poza tym miałam cieliste baleriny i małą torebkę z zawartością ograniczoną do niezbędnego minimum. Wyglądałam dostatecznie elegancko, żeby nikt nie zarzucił mi niedbalstwa, i dostatecznie skromnie, by nie budzić żadnych dwuznacznych skojarzeń. Na wszelki wypadek założyłam też najgrubsze i najmniej frywolne majtki z mojej bieliźnianej kolekcji, wypierając z pamięci te, które zdjęłam po powrocie do domu poprzedniego wieczoru, mokre od lubieżnych wydzielin.

Gdy tylko przekroczyliśmy półksiężycowaty dziedziniec i bramę zabytkowej rezydencji Duchesnois, na rue de la Tour-des-Dames numer 3 powitało nas promienne słońce. Przynajmniej pod tym względem nie mogłam odmówić racji Louisowi: dzień był naprawdę piękny, nie do spędzenia w czterech ścianach.

Louis też promieniał dobrym humorem, do tego stopnia, że z trudem broniłam się przed falą jego zaraźliwej radości. Pomimo to każde z jego spojrzeń natychmiast przypominało mi o tym pokoju, gdzie poprzedniego wieczoru obnażyłam się dla niego bardziej niż kiedykolwiek i dla kogokolwiek.

– Elle... Czy domyśla się pani choć trochę, o co chodziło Davidowi, gdy mówił mi, żebym zrobił z pani atenkę?

Pytanie nie wyglądało na podchwytliwe. Nie było w nim ani zgryźliwości, ani żadnych podtekstów – nic poza chęcią sprawdzenia, jaki poziom reprezentuje sobą uczennica. Czekał na odpowiedź, sondując moje oczy swoim drapieżnym wzrokiem.

– Nie – przyznałam. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

– A zatem proszę przyjąć do wiadomości, że jesteśmy w dzielnicy zwanej Nowymi Atenami. Dokładnie między rue des Martyrs od wschodu, rue Pigalle od zachodu i rue Saint-Lazare od południa ma pani kilka rzędów kamienic, które widziały ni mniej, ni więcej tylko narodziny francuskiego romantyzmu.

Otworzyłam szeroko oczy, mimowolnie zaintrygowana. Spodziewałam się kąśliwych uwag, może nawet jakichś niestosownych aluzji, ale nie lekcji historii. On tymczasem sprawiał wrażenie zdecydowanego, żeby zachowywać się tak, jakby scena z pokoju Maty Hari nigdy nie miała miejsca.

– Jak to?

– Gdzieś od połowy lat 20. XIX wieku ten rejon upodobali sobie przedstawiciele nowego prądu artystycznego. Same znakomite nazwiska, oczywiście poeci i pisarze: George Sand, Eugène Scribe, Marceline Desbordes-Valmore, Aleksander Dumas, a nawet, nieco później, wielki Wiktor Hugo; poza tym muzycy: Liszt, Berlioz, Auber, Chopin, Wagner; również malarze, jak Delacroix, Vernet, Gavarni czy Ary Scheffer. O czym jednak mało kto pamięta, pierwszymi artystami w tej okolicy byli...

Zawiesił wyliczankę i podniósł oczy, pełne niemalże dziecięcego zachwytu, na budynek, który właśnie opuściliśmy, unikatowy z powodu wklęsłej fasady.

Zauważyłam, że od naszego ostatniego spotkania zapuścił świeży zarost, który nie dość, że nie dodawał objętości, to wręcz jeszcze wyostrzał rysy jego pociągłej twarzy. Ciemne smugi na skórze zdawały się uzewnętrzniać permanentną wewnętrzną gorączkę trawiącą tego człowieka.

– Tak?

– ...byli aktorzy, Elle. Prości komedianci.

– Mademoiselle Duchesnois? – zasugerowałam.

– Jak najbardziej. Ale i jeszcze przed nią inne ówczesne sławy, rozlokowane wszędzie dookoła: Mademoiselle Mars tuż obok, pod numerem jeden...

Przypomniałam sobie szpilkę do włosów z wystawy butiku Antiquités Nativelle, kontemplowaną kilka dni wcześniej z błyskiem pożądania w oczach. Ale Louis, sam już zapalony, kontynuował opowieść, z długą ręką na moim przedramieniu, domagającą się niepodzielnej uwagi.

– Wielki Talma, ulubiony aktor Bonapartego, pod numerem dziewięć. A także Marie Dorval, kochanka Alfreda de Vigny, nieco niżej, przy rue Saint-Lazare. W początkach lat 30. ulica, przy której pani dzisiaj mieszka, była jak Champs-Élysées nowej sceny artystycznej.

Zasłuchana, pełna podziwu dla jego erudycji, niemalże zapomniałam o perwersyjnym manipulatorze i nielojalnym szwagrze, wymuszającym na mnie dziwaczne usługi w zamian za milczenie. I o szaleńcu detalicznie opisującym moją seksualność niczym w piekielnej książce, strona po stronie.

Tak intensywnie przeżywał swój wykład, że w pewnej chwili wydał mi się całym sobą zanurzony w epoce, którą starał się dla mnie ożywić.

– Ale dlaczego Nowe Ateny? – dopytywałam się, nie kryjąc ciekawości. – I dlaczego oni wszyscy ściągali właśnie tutaj?

– Zgodnie z oficjalną wersją, określenie wyszło spod pióra redaktora „Journal des débats”, niejakiego Dureau de la Malle’a,

w roku 1823. Ale moim zdaniem przyczyny były bardziej złożone: po powstaniu Greków przeciwko tureckiemu jarzmu w roku 1821 Grecja stała się bardzo modna w całej Europie. Neoklasycyzm i neorafaelizm budowli Constantina musiały też odegrać swoją rolę.

– Neorafaelizm? – powtórzyłam, mimowolnie zdradzając moją ignorancję.

Nie przerywając wykładu, wziął mnie pod rękę w sposób, zdawać by się mogło, najbardziej naturalny i niewinny pod słońcem, aby skierować nas ku rue de La Rochefoucauld, dokładnie po moich śladach z poprzedniego wieczoru. Zrobił to tak przemyślnie, że moja czujność osłabła, ustępując miejsca łagodnemu, kojącemu ciepłu.

„Im więcej pozwalasz mu się dotykać, tym bardziej przygotowujesz się na przyjęcie go gdzie indziej w sobie".
To wnętrze mojego ramienia, nieduży obszar delikatnej i wrażliwej skóry w zagłębieniu łokcia, musiało podpowiedzieć mi to zdanie, nie inaczej. Zastanawiam się, czy rozkosz może wyjść ze strefy pozornie tak mało erogennej?
(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009)

Poczułam jednak nowy dreszcz na myśl o tym, dokąd mnie prowadził. Do jakiej wersji mnie samej, bezwstydnej, łatwej, uległej? I dlaczego szłam za nim tak posłusznie?

– No tak, niech pani przyjrzy się choćby temu budynkowi: widzi pani te zaokrąglone wnęki między pierwszym a drugim piętrem? A wyżej, to trzyczęściowe okno? Nazywa się serlianą albo oknem palladiańskim. Proszę zwrócić uwagę na okazałą część środkową zwieńczoną łukiem i dwie boczne, znacznie węższe, zakończone tylko prostą listwą.

Ogrom jego wiedzy nie tyle mnie porażał, ile otwierał mi oczy na zupełnie nowy pejzaż. Mój ukochany Paryż, który we własnym mniemaniu dobrze znałam, krył w sobie jeszcze tyle tajemnic! Poczułam na ramieniu mocniejszy ucisk ręki Louisa, od czego zakręciło mi się w głowie.

– To wszystko – ciągnął – należy do cech manieryzmu w architekturze włoskiego renesansu.

– Rafael? – podsunęłam nieśmiało.

– Tak, a także Palladio, Serlio, Sangallo... Percier i Fontaine, oficjalni architekci Pierwszego Cesarstwa, czerpali z nich pełnymi garściami. A z kolei ich dokonania miały później znaczący wpływ na wielkie programy prywatnego budownictwa mieszkaniowego w latach 30. Szczególnie na Nowe Ateny.

Tym razem to ja uczepiłam się jego ramienia, nieopatrznie zahaczając lewą piersią o twardy, skrajnie napięty biceps. Odsunęłam się niemal natychmiast, jak gdyby nigdy nic. Nie mogłam dać mu poczuć, jak od tego kontaktu staje mi niesforny sutek, zdradzając mój wewnętrzny zamęt.

– Z czasem, skupiając w sobie tyle piękna i natchnienia, dzielnica stała się pierwszorzędnym ośrodkiem kulturalnym, którego sława daleko wykraczała poza nasze granice. Zjeżdżano tu z całej Europy! Niech pani tylko pomyśli: w połowie wieku na tych kilku ulicach mieszkała ponad setka artystów! Nie wszyscy przeszli do potomności, ale wszyscy tworzyli klimat tego miejsca.

Powiedział to z ewidentną nostalgią, jakby czuł się dzieckiem tamtych czasów, osobiście mu nieznanych, nad czym zapewne ubolewał, chociaż tak bliskich duchem.

Rozgrzany własnym zapałem zdjął marynarkę i podwinął rękawy białej koszuli, wkrótce zrolowane aż do łokci. Tajemniczy tatuaż na jego lewym przedramieniu po raz pierwszy ukazał mi się w całości... To, że teraz on, przynajmniej symbolicznie, obnażył się przede mną, wprawiło mnie w dziwne zmieszanie. Aby je z siebie strząsnąć, próbowałam skupić się na odsłoniętym motywie. Dlaczego te rozłożone skrzydła i dwa węże splecione wokół czegoś na kształt berła wydawały mi się tak znajome?

Przyłapując namysł w moim wzroku, oświecił mnie z nieco zdawkowym uśmiechem:

– To kaduceusz Hermesa.

A więc tak wyglądał kaduceusz, jakże podobny do emblematu znanego z szyldów wielu aptek czy gabinetów lekarskich. Dlatego nie był mi obcy.

Niżej, na wysokości nadgarstka, widniała jeszcze litera, maleńkie, samotne „a”, wytatuowane czcionką kojarzącą się z dawnymi maszynami do pisania.

– A ta litera? – nie mogłam powstrzymać ciekawości. – Dlaczego właśnie „a”? A jak artysta? Jak anarchia?

Nie zareagował rozbawieniem na moje lekko prowokacyjne hipotezy – wręcz przeciwnie, nagle spochmurniał, a z jego twarzy znikł wyraz dotychczasowej frywolności.

– Nie, po prostu pierwsza litera alfabetu – mruknął wreszcie.

Ta nagła rezerwa powinna była powstrzymać mnie przed dalszymi pytaniami, ale ciekawość wzięła górę:

– Pierwsza i nic więcej?

– Och, będą następne, zapewniam panią.

W pół słowa zrozumiałam jego plan: wygrawerować sobie na ciele wszystkie litery. Zrobić z siebie żywy alfabet, mieć go stale pod ręką jak nieodłączną skrzynkę z narzędziami. Wydało mi się to piękne i jednocześnie szalone. Wzruszające i śmieszne zarazem. Również młodzieńcze, niedojrzałe. Eksperyment z gatunku tych, do których skłonne są nastolatki, znacznie rzadziej ludzie dorośli.

– A pióro w tym wszystkim?

Albowiem jak dojrzałam już podczas naszego pierwszego spotkania w galerii Sauvage, kaduceusz nie kończył się zwykłym spiczastym ścięciem, tylko stalówką wiecznego pióra.

– Nazwijmy to instrumentem działającym na każdą z nich. W końcu uzdrawia nas właśnie moc pióra, zdolność składania liter w słowa.

Lektura Biblii oswoiła mnie już z koncepcją słowa jako siły sprawczej – a teraz Louis dopowiadał swoje, nadając mu siłę uzdrowicielską. A więc „Na początku było...” – no właśnie, co? Czy przypadkiem nie seks? Jak to możliwe, że przez tyle wieków karmiono nas Księgą Rodzaju pozbawioną najmniejszego aktu cielesnego?

Chciałam jeszcze drążyć temat – jego reakcja potwierdzała, że dotykałam bardzo czułego punktu – gdy zatrzymał się nagle, gdzieś w połowie rue Chaptal. Jednym ruchem ukrył tatuaż pod rękawem, dając mi do zrozumienia, że ten rozdział był już zamknięty.

Znajdowaliśmy się na wysokości numeru 16. Spośród fasad domów wynurzało się tu drzewo, ocieniając chodnik swym listowiem. Wąski przesmyk obramowany zielenią odchodził w tym miejscu prostopadle od ulicy i wiódł na słoneczne podwórko, z całą pewnością urocze. Zobaczyłam z daleka starsze panie na ławce, w cieniu wielkiego różanego krzewu.

Mój wzrok przykuła na chwilę tabliczka zawieszona od strony ulicy:

MVR
Musée de la vie romantique

Muzeum Życia Romantycznego! Nawet nie wiedziałam, że istnieje coś takiego...

– Wracając do alfabetu – podjął Louis, znów z uśmiechem – ma pani przed sobą właśnie ABC paryskiego romantyzmu. Bez wizyty tutaj nie sposób zrozumieć tej dzielnicy ani jej historii.

Czy chodziło mu o piękno tego ponadczasowego zakątka, oddzielonego od zgiełku nowoczesności tylko kilkudziesięcioma metrami brukowanego zaułka? Budynek w głębi dziedzińca, na wpół ukryty w wysokich pękach herbacianych róż, urzekał od pierwszego wejrzenia pastelową zielenią balkonów i okiennic.

Louis przytrzymał mnie silnie za ramię, gdy potknęłam się na nierównych kamieniach. Doszło do jeszcze jednej kolizji, tym razem moich piersi z jego twardym, muskularnym bokiem.

Zadałam pierwsze lepsze pytanie, aby tylko nie okazać zmieszania z powodu incydentu.

– Do kogo należał ten dom?

– Jego właścicielem był wtedy malarz Ary Scheffer. W pewnym sensie oficjalny portrecista romantycznych elit – Liszta, Sand, Chopina, Renana... Unieśmiertelnił ich wszystkich w tych murach.

Wziął mnie za rękę, ale zamiast od razu do wejścia skierowaliśmy się w prawo, gdzie za klombem różowych kwiatów otoczonym kilkoma ławkami otwierał się wspaniały ogród zimowy: duża, łukowata oranżeria przedłużająca główny budynek. I w środku, i na

zewnątrz turyści obwieszeni aparatami popijali herbatę przy małych kawiarnianych stolikach, z błogim uśmiechem na ustach.

– Ładnie tu, prawda?

Nie wypuszczał mojej ręki, a ja, zupełnie zawojowana, mogłam tylko kręcić głową z zachwytu. Sam fakt, że takie miejsce uchowało się w niezmienionym stanie w sercu ruchliwego Paryża, zakrawał na cud. A to, że nikt inny jak on – właśnie on – odkrywał je przede mną, wydało mi się nagle okrutną ironią losu.

Odsunął mi krzesło i sam usiadł, najwyraźniej czując się jak u siebie w tych staroświeckich dekoracjach. Z małej sztucznej kaskady, czy raczej z ukrytych między skałkami głośników, spływały melancholijne dźwięki fortepianu. Przez kilka sekund wsłuchiwał się w nie z nabożnym skupieniem, po czym, błądząc wzrokiem gdzieś daleko, zaanonsował mi tytuł:

– Fryderyk Chopin, nokturn cis-moll numer 20. Opus pośmiertne.

Kto inny byłby w stanie tak precyzyjnie rozpoznać utwór Chopina, i to po zaledwie kilku taktach? Milczałam, pełna czci dla jego głębokiej wiedzy, aczkolwiek szybko otrzeźwił mnie wewnętrzny głos rozsądku. Przecież to nie sztuka, pomyślałam, odgrywać erudytę przed kimś tak niedouczonym jak ja. Równie dobrze mógł to być Schubert czy Beethoven – dla mnie niestety wszystko jedno.

– Widzi pani – przerwał milczenie – w tym miejscu zrodziła się miłość George Sand i Chopina. Często mówi się o ich spotkaniu w Hôtel de France, u Liszta, albo o gniazdku przy square d'Orléans. A tymczasem to właśnie tutaj, w domu Scheffera, obojgu przyszło pokonać wzajemną odrazę. Dzięki gospodarzowi i jego manii mieszania się w sprawy przyjaciół.

Przy tych słowach wolno zatoczył ręką wokół budynku, którego wyjście na ogród ginęło za gęstą szarą kotarą, jakby chroniąc sekrety minionych namiętności.

– Odrazę? – zdziwiłam się. – Myślałam, że szaleli za sobą?

– To później. Ale na początku była właśnie odraza. Czy wie pani, co Chopin napisał o Sand, po tym, jak zobaczył ją po raz pierwszy?

– Nie...

W międzyczasie przyniesiono nam zamówioną herbatę i ciasteczka. Louis obsłużył mnie szarmancko, a gdy z mojej filiżanki

rozszedł się rozkoszny jaśminowy aromat, zacytował z pamięci, patrząc mi prosto w oczy:

– „Co za antypatyczna kobieta, ta Sand! I czy naprawdę kobieta? Jestem skłonny w to wątpić”.

– Urocze! – prychnęłam. – Prawdziwy dżentelmen!

– Tak czy inaczej, to piękna lekcja miłosnej pokory, nie sądzi pani? Nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzi nas pierwsze wrażenie, choćby na wskroś negatywne...

Teraz ja zlękłam się niebezpiecznego obrotu, jaki przybierała ta rozmowa. Widziałam już wyraźnie, że wybór i miejsc, i poruszanych przez niego tematów niezmiennie sprowadzał nas do naszej historii. Albo raczej do jego niezdrowej obsesji na moim punkcie.

Nie przytoczę w całości tego libertyńskiego wiersza George Sand zaadresowanego do jej ówczesnego kochanka Alfreda de Musseta, ale pamiętam, że zaczynał się tak:

Je suis très émue de vous dire que j’ai
bien compris l’autre soir que vous aviez
toujours une envie folle de me faire
danser. Je garde le souvenir de votre
baiser et je voudrais bien que ce soit
là une preuve que je puisse être aimée
par vous.

Treść właściwie błaha, w stylu niewinnego flirtu. Cały dowcip polega jednak na tym, że jest to szyfr, wymagający czytania co drugą linijkę. Po takim zabiegu wierszyk wygląda następująco:

Je suis très émue de vous dire que j’ai
toujours une envie folle de me faire
baiser et je voudrais bien que ce soit
par vous.

Czyli zawiera w sobie aż nadto konkretny komunikat: „Z wielkim wzruszeniem wyznać panu muszę/ że kochać się ochotę szaloną mam stale/ i bardzo bym chciała, by to było/ z panem”[1].
(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009. No, jeśli myślał, że nauczy mnie czegoś nowego, przynajmniej tym razem spudłował. Sophia już pokazała mi ten wierszyk, podczas naszych wspólnych studiów).

Zdecydowałam się na kontratak: nie pozostało mi nic innego, jak samej pokierować tą rozmową.

– Czy on też ma tam tatuaż?

Wzięłam go z zaskoczenia, to już było coś.

– Słucham?

– David, pod jedwabną opaską – tłumaczyłam niecierpliwie, jakby chodziło o rzecz oczywistą. – Czy ukrywa tatuaż podobny do pańskiego?

Zbladł i zaniemówił, mimo całej swej elokwencji!

Ale musiałam przyznać, że przynajmniej nie zareagował gniewem. Gdy tymczasem kilka dni wcześniej, w łóżku, próbowałam zagadnąć o to mojego narzeczonego, odpowiedział mi kategorycznie i z nieskrywaną złością:

– To był wypadek i nikomu nic do tego.

– Nawet twojej żonie?

– To… Tak czy inaczej, to przeszłość.

I koniec, ani słowa więcej.

Louis znów naciągnął rękaw na swój kaduceusz, tak jakby chciał tym gestem uchronić sekret brata.

– Nie... David nie bawi się w takie rzeczy.

– Więc co?

Jeszcze nigdy nie zetknął się z moim uporem. Z pewnością widział we mnie tylko to, co chciał widzieć: łatwą ofiarę, wydaną na jego łaskę i niełaskę z powodu paru niewygodnych dla mnie informacji. Zabawkę, zwykłą marionetkę... no i ciało, które znał już w każdym szczególe.

A mimo to przez chwilę widziałam panikę w jego pociemniałych oczach.

– David nic pani nie powiedział?

– O czym?

– O swojej ręce...

– Nie. A co powinnam wiedzieć?

Głośno przełknął kilka łyków jeszcze palącego napoju, a gdy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał mniej pewnie niż zwykle.

– To nie jest opowieść o ręce... – zaczął poważnie, biorąc głęboki wdech.

Po tym wstępie domyśliłam się, że nie chodziło o miłą anegdotę.

Zachęcałam go najżyczliwszym z moich spojrzeń, żeby tylko nie urwał w pół słowa.

– Gdy miałem dwadzieścia lat, a David dziewiętnaście, w czasie letnich wakacji razem spotkaliśmy pewną młodą kobietę. I zakochaliśmy się w niej. Obaj. Jednocześnie.

Przypomniałam sobie słowa Armanda o ich rywalizacji. Zwycięstwo miało przypaść temu, kto zaliczył więcej miłosnych podbojów...

– Jak się nazywała?

– Aurora. Aurora Delbard.

Wymówił to z grymasem, jakby pił nie herbatę, ale gorzkie lekarstwo. Zauważyłam, że mimowolnie drgają mu policzki. Kim ona mogła być dla niego, dla nich obu, żeby nadal budzić takie emocje?

– W jakich okolicznościach ją pozna...

– Mniejsza o okoliczności – uciął szorstko. – Mimo swego młodego wieku Aurora wybrała Davida. Zaręczyli się, później pobrali bardzo szybko, już po kilku tygodniach.

Pobrali? Więc nie miałam być pierwszą madame Davidową Barlet? Wyparłam z siebie tę myśl, nieubłaganą jak kartka papieru, dokuczliwą jak świąd... Całą siłą woli skupiłam się na jego opowieści.

A zatem Louis przegrał z bratem tak ważną partię. Ślady tej porażki mogłam łatwo wyczytać w jego zmienionej twarzy. Czy był to pierwszy z decydujących sukcesów, jakie otworzyły Davidowi drogę na rodzinny tron? A ja, kim byłam w takim razie: nagrodą pocieszenia dla pokonanego, zabawką, którą gotów był zgnieść nawet w rękach brata, skoro nie mógł mu jej wyrwać?

Po raz pierwszy to ja spontanicznie poszukałam jego dłoni, ale cofnął ją w tym samym momencie.

– Tworzyli idealną parę. Wszyscy nazywali ich Delbarletami. Nawet ich nazwiska pasowały do siebie jak ulał.

Pominęłam milczeniem oczywisty szczegół, że on też nosił nazwisko Barlet – wolałam nie przerywać mu wątku, dopóki tylko chciał kontynuować. Proszę, manipulował mną od tygodni, a oto po raz pierwszy miałam wrażenie, że to ja brałam górę w naszej grze. W pewnej chwili znów nerwowo podciągnął rękaw, odkrywając lewe przedramię z literką „a". A jak Aurora, nasunęło mi się natychmiast.

– Ani David, ani ja nie wiedzieliśmy tylko jednego: że Aurora była chora psychicznie.

– Tak? A po czym to poznaliście?

Odpowiedział mi spojrzeniem, które mogło obudzić wątpliwości również co do jego zdrowia psychicznego.

– Po destrukcji. I manipulacji. Wtedy, dwadzieścia lat temu, ta choroba nie miała jeszcze osobnej nazwy, zwykle brano ją za depresję.

– A dzisiaj?

– Nazywa się zespołem borderline. Dotyka niemal wyłącznie kobiety, zawsze z traumatycznym dzieciństwem w tle. Porzucone albo wykorzystywane. Proszę mi wierzyć, zebrałem sporą dokumentację na ten temat.

Zwalczyłam pokusę, aby dowiedzieć się więcej o straszliwej przeszłości pierwszej żony mojego przyszłego męża. Sam fakt, że istniała, był dla mnie wystarczającym gromem z jasnego nieba. I to, że David zataił przede mną jej istnienie. Nie chciałam jednak poddać się złym emocjom, zbyt łatwo zwątpić w jego prawdomówność i lojalność. Wypierałam skazy na wizerunku Davida, próbując raczej wyobrazić sobie, jaką męką musiało być dla niego życie z chorą psychicznie kobietą. Owszem, ból mógł usprawiedliwiać jego milczenie, przynajmniej częściowo, jeśli nie całkowicie.

Zresztą kim byłam, żeby go osądzać? Czy i ja nie miałam przed nim tajemnic? Czy nie wzbraniałam się przedstawić mu własnej matki?

– I co było dalej? To znaczy, po ich ślubie?

– Początkowo jakoś szło, raz lepiej, raz gorzej. David nauczył się kontrolować zmienne nastroje i wymagania Aurory, przynajmniej do pewnego stopnia. A Bóg jeden wie, ile ich było. Bo to właśnie istota tej patologii: poddawać partnera niezliczonym próbom, w perwersyjnej nadziei, że prędzej czy później nie wytrzyma. Tak jakby chciało się doświadczyć kolejnego odrzucenia... Aurora potrafiła na przykład wyjeść całą zawartość lodówki, później sprowokować wymioty jak typowa bulimiczka, a jeszcze później żądać od mojego brata, żeby znów napełnił lodówkę, najlepiej w środku nocy, gdy wszystkie sklepy były zamknięte. Stawała się straszliwie despotyczna w takich momentach.

Nie umiałam wyobrazić sobie Davida, szefa koncernu, Davida, człowieka sukcesu, charyzmatycznego i skłonnego do autorytaryzmu, jak pozwala traktować się w ten sposób. Oba obrazy nijak nie składały się w całość – a był to przecież ten sam człowiek.

– I w końcu osiągnęła swój cel?

– Że David ją odrzucił?! – wykrzyknął, zaskoczony moim pytaniem. – Gdzie tam! Walczył do końca... Nie ukrywam, że czasami o tym myślał, po wyjątkowo gwałtownych atakach. Ale trwał. A ja... wspierałem go jak mogłem.

– Nie był pan trochę zazdrosny?

Louis, z jego dumą i pychą, miałby stać się powiernikiem brata, który wygrał rywalizację o tę samą kobietę? Tu też coś mi nie pasowało. Fakt, że przypisywał sobie tak szlachetną, rycerską rolę, budził we mnie podejrzliwość i tym większe współczucie dla tego, w kim widziałam teraz jedyną prawdziwą ofiarę dramatu: Davida.

A może Louis nie był aż tak zakochany, jak próbował mi wmówić?

– Czy byłem zazdrosny o to piekło? – odpowiedział mi pytaniem. – Chyba nie, nie sądzę... W pewnym sensie codziennie dziękowałem losowi, że Aurora wybrała Davida zamiast mnie. Z drugiej strony nadal nie była mi obojętna, mimo wszystko. Już nie wyobrażałem sobie życia z nią, ale szczerze jej życzyłem, żeby znalazła ukojenie przy nim. Żeby była choć trochę szczęśliwa, na swój sposób.

Nie musiałam dłużej sondować jego zwilgotniałych oczu, by zrozumieć, że tak się nie stało. Po chwili milczenia Louis sam z siebie przeszedł do epilogu opowieści.

– W rok po ich ślubie znów spędzaliśmy lato nad morzem. Wszyscy razem, nasi rodzice jeszcze wtedy żyli... Pogoda była piękna, atmosfera lepsza niż zwykle... Nawet Aurora wydawała się zdrowsza.

– I co się stało?

– Pewnego wieczoru wymyśliła sobie morską kąpiel o północy. Morze było akurat wzburzone i David próbował wyperswadować jej ten pomysł. Nie miała na sobie kostiumu kąpielowego, ale orzekła, że wykąpie się nago.

– Postawiła na swoim?

Jego oczy uciekły w niebo, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi, albo może ulgi, po czym znów spoczęły na mnie, jeszcze ciemniejsze.

– Tak. Rytuał był zawsze jednakowy: rzucała Davidowi wyzwanie, a w razie jego oporu podejmowała ryzyko sama. I wtedy on, chcąc nie chcąc, musiał biec jej na ratunek. Ale tamtej nocy morze naprawdę szalało... Nie mógł nic zrobić. Aurora znikła między dwiema falami wysokimi jak ściany, w czymś na kształt naturalnego leja, który musiał ją wciągnąć... i nigdy nie wypłynęła na powierzchnię.

– Czy to wtedy zranił się w rękę?

– Nie... Nie wtedy, chociaż tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Po tej uwadze zapadła posępna cisza.

Przynajmniej, pomyślałam, nie próbuje zgrywać bohatera. Ta tragedia, jakkkolwiek straszna, z pewnością nie przynosiła mu chluby. Odprawiony przez Aurorę, nie zrobił nic więcej niż brat, żeby ją uratować. Zadowolił się patrzeniem, jak oboje pogrążają się w jej szaleństwie, a w końcu ona sama w morskich odmętach.

– Dlaczego pan to mówi?

Chór ptaków wmieszał się w nasze słowa, jakby próbowały nieco rozładować napięcie między nami. Na próżno. Każda sekunda milczenia Louisa dłużyła się jak tortura.

Grupa zwiedzających akurat opuszczała muzeum przez szarą portierę. Lekki przeciąg uniósł ją jeszcze bardziej, dając mi chwilowy wgląd do środka, kuszącego bogactwem dziewiętnastowiecznych dekoracji. Z obrazu dokładnie na wprost mnie George Sand

z czerwoną różą we włosach, sportretowana przez Ary'ego Scheffera, przez sekundę przyglądała mi się poważnie i surowo.

– Ubolewam, że jego rana nie pochodzi z tamtej nocy – podjął wreszcie Louis. – Byłoby to przynajmniej zrozumiałe, do pewnego stopnia naturalne. A tymczasem David bardzo długo nie mógł się otrząsnąć. Trzy lata po śmierci Aurory sam próbował pójść w jej ślady.

– Co...?

Zdusiłam w sobie krzyk, gdy Louis stanowczym gestem narzucił mi spokój.

– Na szczęście nieskutecznie. Ten idiota źle się do tego zabrał i tylko straszliwie rozharatał sobie żyły w lewej ręce. Jego blizny są... dość spektakularne.

Stąd jedwabna opaska.

Znów uderzył mnie jaskrawy kontrast między depresyjnym młodym człowiekiem po próbie samobójczej a drapieżnym rekinem biznesu, w którego zmienił się w międzyczasie. Opaska była mu potrzebna, by ukryć mało chlubną przeszłość i zachować obecny wizerunek w oczach wszystkich.

Włącznie ze mną.

Jakże wyrzucałam sobie teraz moje wścibstwo, moje nachalne dopraszanie się zwierzeń! To, że chciałam rozdrapać ranę, z pewnością niezagojoną do końca, zamiast pozwolić jej spoczywać w spokoju pod jedwabnym całunem. David potrzebował ode mnie czułości, miłości, obecności przy jego boku. W żadnym razie nie inkwizycji.

14

Chciałam wziąć go w ramiona i szeptać do ucha kojące banały. Że nie jestem Aurorą. Że nigdy nie będę tak szalona, aby kąpać się nocą we wzburzonym morzu. Że nie zamienię mu życia w piekło, a własnej śmierci w wieczną mękę, bo nie mam najmniejszego zamiaru umierać, tylko żyć, z nim i przy nim. Długo i szczęśliwie. Może bez wielkich uniesień, ale z całą miłością, na jaką zasługuje.

Ale to nie David patrzył na mnie teraz z uśmiechem znad imbryka, jeszcze parującego subtelnym aromatem jaśminu. I co najstraszniejsze, był to uśmiech zły, zimny, wykrzywiający usta grymasem pogardy.

– Uwierzyła mi pani?

W jego oczach lśnił okrutny triumf, tak jakby właśnie rozgniótł butem jakiegoś nędznego insekta. I o zgrozo, to ja byłam tym insektem!

– Uwierzyła pani w moją bajeczkę dla dzieci, nieprawdaż, Elle?

Wściekłość odjęła mi mowę. A może jeszcze bardziej niż wściekłość zakneblowało mnie osłupienie z powodu tak skrajnej perfidii. Czy naprawdę ktokolwiek byłby w stanie wymyślić równie czarną historię tylko po to, żeby słowo po słowie wciągać słuchacza w pułapkę i z sadystyczną rozkoszą patrzeć, jak się w niej miota? Jak mucha w pajęczynie utkanej specjalnie dla niej? Nie mieściło mi się to w głowie.

A Louis po prostu promieniał. Wyraźnie napawał się łatwością, z jaką mnie omotał. Niemy śmiech pająka tuż przed pożarciem ofiary.

– Niesamowite, jak pobudliwa jest wyobraźnia młodych kobiet takich jak pani! Ogród, trochę muzyki, szczypta dramatu... i już zapalacie się jak zapałki. To zbyt łatwe. Ale i naprawdę wzruszające.

Chociaż nie byłam pewna, czy utrzymam równowagę, udało mi się wstać od stolika, a następnie, bez jednego słowa, względnie majestatycznym krokiem ruszyć w stronę ulicy. Bezceremonialnie przecisnęłam się przez grupę azjatyckich turystów tarasujących wąski zaułek.

– Annabelle! Proszę zostać!

Mimo niesprawności ruszył w pogoń za mną, próbując złapać mnie za rękę. Wywinęłam się i przyspieszyłam kroku, na ile tylko pozwalał nierówny bruk.

– Niech pan da mi spokój!

Jak dla mnie, wszystko było skończone. Mógł opowiedzieć bratu, co tylko zechciał. Byłam gotowa podjąć ryzyko. Poddać Davida i jego miłość do mnie próbie prawdy. Wiedziałam za to jedno: że nie zniosę dłużej manipulacji Louisa. Nie pozwolę mu dręczyć się więcej. Ten okrutny człowiek, zraniony, złamany, mszczący się za swoje porażki, nie dostanie już ode mnie niczego. Choćby dzień w dzień bombardował mnie swoją chorą twórczością, odtąd wszystkie jego dzieła wylądują w koszu, bez czytania – a ja odzyskam niepodzielną władzę nad własnymi myślami.

Wystarczył mi lekki trucht, żeby zostawić go z tyłu. Ze swoją sztywną nogą mógł kuśtykać nawet dość szybko, ale nie biec.

– Tak mi przykro... – dosłyszałam jeszcze za plecami, już daleko. – Annabelle!

Użycie oficjalnej formy mojego imienia nie poprawiło jego szans, podobnie jak zaciekawione spojrzenia przechodniów, widzów tego żenującego spektaklu. Osiągnąwszy rue Chaptal, skręciłam w prawo, w rue Blanche, pewna, że już mnie nie dogoni.

Ale po kolejnych kilkudziesięciu metrach dzwonek telefonu zmusił mnie do zwolnienia kroku.

– David?

– Hello, moja śliczna. Jak tam twoja turystyczna wyprawa z Louisem?

– Eee, ja... w porządku... – plątałam się zdyszanym głosem.

– Dobry miałem pomysł, co? Widzisz, jaka piękna pogoda!

– Tak...

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Louis jest fantastycznym przewodnikiem.

Im dłużej trwała rozmowa, tym mniejszy dystans dzielił mnie od pościgu...

– Możesz mi go dać do telefonu?

– Nie... nie, jest w toalecie – zaimprowizowałam w panice.

– Ach... no tak, jak zwykle. Pod tym względem to prawdziwa panienka.

– Może powiem mu, żeby oddzwonił?

Modliłam się w duchu, żeby zaakceptował to rozwiązanie, skądinąd logiczne, skoro nigdy nie miał nawet sekundy do stracenia. Na próżno.

– Nie, nie szkodzi, poczekam. Tak miło słyszeć cię w ciągu dnia! Nieczęsto mi się to zdarza.

Teraz Louis był już tuż obok, dwa–trzy kroki ode mnie. Pokonał ten ostatni dystans i złapał mój wolny nadgarstek. Twarz wykrzywiał mu grymas niewróżący nic dobrego. A że zdumiała mnie jego siła i brutalność, sama skrzywiłam się mimo woli.

Nie mogłam też powstrzymać zduszonego krzyku.

– Elle? Elle, co ci jest? – zaniepokoił się David na drugim końcu linii.

„Niech mu pani odpowie" – nakazał mi nieubłagany wzrok Louisa.

– Nic... Po prostu, uderzyłam się o...

– O…?

Louis wyciągnął drugą rękę po telefon, bynajmniej nie zwalniając uścisku pierwszej wokół mojego nadgarstka. Nie mogłam mu już uciec, a tym bardziej krzyczeć – David usłyszałby wszystko.

– No cześć, bratku! – rzucił do słuchawki, z szokującą jak dla mnie beztroską. – Tak, nie, w porządku. Annabelle jest uczennicą, powiedzmy... nieco roztargnioną, ale bardzo dociekliwą. Pod koniec dnia będzie wiedziała wszystko, co powinna wiedzieć o dzielnicy.

Podkreślił te słowa, wyraźnie pod moim adresem. Ciekawe, jaki komunikat chciał mi w ten sposób przekazać?

Wymienili jeszcze kilka zwyczajowych banałów na temat BTV – jakiejś letniej kampanii promocyjnej – po czym Louis rozłączył się, ale nie oddał mi telefonu. Trzymał go w jednej ręce, a drugą, jak obrożą, nadal ściskał moją.

Nie pozostało mi nic innego, jak dać upust wezbranym emocjom:

– Przykro panu? To wszystko, co ma pan do powiedzenia? Dobre sobie!

– Jeśli nie zmieni pani tonu – odpowiedział zimno – zaraz zadzwonię do naszego drogiego Davida. Założę się, że nie omieszka

odebrać, jak wyświetli mu się pani numer.

Oczywiście jego konfabulacje na temat brata były i tak niczym w porównaniu z perfidną grą, w jaką wciągnął mnie poprzedniego wieczoru. I to właśnie wstyd, że dałam się wciągnąć, palił mnie teraz żywym ogniem. Musiałam wreszcie rzucić mu ten mój wstyd prosto w twarz.

– No to już! Na co pan czeka? Niech pan dzwoni! – krzyczałam. – I przy okazji niech mu pan opowie, po co pan zwabia jego przyszłą żonę nocami do hotelu!

– Nie sądzę, żeby go to zainte...

– Owszem, zainteresuje, i to bardzo! I jeszcze niech pan nie zapomni opowiedzieć o listach. Będzie z pewnością zachwycony na wieść, że jego własny brat podnieca się zmyślaniem rzekomych fantazji seksualnych jego narzeczonej!

Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że piersi wezbrały mi samoistnie, bliskie eksplozji. Moje sutki sterczały przez cienkie warstwy ubrania, wyprężone, twarde i lodowate jak gałki z porcelany. Przerwanie narzuconej przez niego zmowy milczenia powinno było przynieść mi ulgę, a tymczasem miałam wrażenie, że pogrążam się w ruchomych piaskach. Sama myśl o tym mąciła mi w głowie; czułam, że próby wyparcia z pamięci Louisa i jego listów nie zdadzą się na nic; wręcz przeciwnie, będą zasysać mnie tym większą siłą, ściągać w głębie, z których – tego byłam pewna – już nie uda mi się wydostać.

Zwłaszcza nie myśleć o jego ręce na nich, ugniatającej je jak owoc, z którego chce się wydobyć pestkę, rolującej je między palcami, aby wyczuć moment, kiedy moja przyjemność zamienia się w ból, a potem znów w rozkosz, tak intensywną, precyzyjną, punktową, ale bliską rozlania się na całe ciało...

(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009. Jak można się było spodziewać, bynajmniej nie zaniechał przesyłek...).

Musiał zauważyć nagłą zmianę mojego stanu, gdyż błyskawicznie odzyskał maniery światowca. W jego nowej postawie było więcej

powściągliwości, ale i determinacji, a także urażonej dumy. Puścił mój nadgarstek, naznaczony czerwoną pręgą.

– Daję pani słowo, że nie ja pisałem listy, o których pani mówi.

Powiedział to tak wyniośle, że moja furia musiała ustąpić miejsca osłupieniu.

Dopiero po chwili odzyskałam mowę. Wyciągnęłam z torebki srebrny karnecik i otworzyłam go na pierwszej lepszej stronie, niespokojnej i w treści, i w formie.

– Twierdzi pan, że to... to nie pana pismo? Może pan to powtórzyć, Louis, patrząc mi prosto w oczy?

Pozwolił sobie na sekundę milczenia, zanim odpowiedział z pełną powagą:

– Powtarzam to pani prosto w oczy. Albo i lepiej: jestem gotów to udowodnić.

Teraz on wyjął z kieszeni notesik w czarnej skórze i równie czarne wieczne pióro. Po zdjęciu oprawki w geście oczekiwania zawiesił stalówkę nad czystą, białą kartką.

– Proszę mi coś podyktować.

Jego inicjatywa zbiła mnie z tropu.

– Nie wiem... – zawahałam się.

– Cokolwiek, pierwsze, co przychodzi pani do głowy.

– „Aurora Delbard utonęła w morzu” – wycedziłam wreszcie, sama zaskoczona, że zdobyłam się na tę prowokację.

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby rozdarty między głuchą złością a czymś na kształt podziwu – chyba jednak nie mógł odmówić mi tupetu – po czym zajął się pisaniem, nie odrywając oczu znad swojego notesu. Na koniec podsunął mi go pod nos.

– Proszę. Pozostawiam ocenę pani.

Aurora Delbard utonęła w morzu.

Zamurowało mnie. Owszem, pismo było równie kanciaste jak to z listów, chociaż ściślejsze, bardziej męskie. Pomyłka nie wchodziła jednak w grę. Pismo Louisa spływało na papier jeszcze szybciej,

jedną ciągłą linią, jakby jednym tchem, podczas gdy mój anonimowy prześladowca stawiał litery większe i bardziej czytelne.

Aby lepiej się o tym przekonać, niemalże nałożyłam na siebie obie kartki. Przypomniałam sobie również, jak pisał te słowa kilka sekund wcześniej, nie odrywając złotej stalówki od papieru, swobodnie, automatycznie. Choćbym chciała, nie mogłam się doszukać w tej czynności żadnego przymusu ani udawania. Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy: kartki mojego *Dziesięć razy dziennie* nie wyszły spod ręki Louisa.

Moje szalone hipotezy, cała gorycz, pretensje i podejrzenia, nagle straciły rację bytu. Wszystko, czym żyłam w ostatnich dniach, legło w gruzach jak zamek z piasku pod stopą dziecka, znudzonego długim popołudniem na plaży.

– Nie wiem, co powiedzieć, ja...

Okazał powściągliwy triumf, jakby chodziło o rzecz oczywistą.

A gdy nadal patrzyłam mu w oczy w skonfundowanym milczeniu, zaserwował mi uśmiech, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Na wpół błagalny, jak u kogoś, kto prosi o przebaczenie, na wpół porozumiewawczy, jakbyśmy byli teraz kwita i mogli się już pogodzić. Uśmiech „à la George", uznałaby zapewne Sophia, amatorka odniesień do celebrytów.

– Skoro wyjaśniliśmy pewne kłopotliwe dla pani kwestie, proponuję kontynuować nasz spacer, tym razem w lepszym nastroju. Co pani na to?

Ciężar gniotący mi brzuch radził mieć się na baczności, nie brać za dobrą monetę tej nagłej przemiany, podczas gdy nieznośne pobudzenie moich piersi domagało się czegoś wręcz przeciwnego.

– Obiecuję: koniec z głupimi żartami.

Jakie głupie żarty miał na myśli?

– Ani jednego kłamstwa więcej, do końca dnia – dodał z nagłą powagą.

– Naprawdę, nic a nic?

W pełni świadomie marzyłam tylko o jednym: żeby wrócić samej do domu i już nigdy w życiu nie zobaczyć tego strasznego człowieka. Nieważne, czy był, czy nie był odpowiedzialny za moje rozterki.

Wiedziałam jednak, że to niemożliwe: za kilka dni, ledwie przekroczę progi BTV, będzie tam, w tym samym gmachu, gdzieś po sąsiedzku, w odległości kilkorga drzwi. Później na naszym ślubie, już za niespełna dwa tygodnie. A później, rok po roku, przy każdej rodzinnej okazji, przy wspólnym stole, nieodwołalnie. Był bratem Davida i nie mogłam wymazać go z naszego życia pod wpływem chwilowego gniewu. Co powiedziałby mój przyszły mąż na wieść, że zostawiłam jego starszego brata na środku ulicy, obrażona za jakiś głupi żart, jak nazwał to sam sprawca?

– Ograniczę się do roli przewodnika. I nie ma obaw, że usłyszy pani ode mnie co innego niż szczerą prawdę o historii tej dzielnicy: znam ją lepiej niż ktokolwiek.

Mogłabym uznać tę chełpliwość za nowy przejaw arogancji, ale wiedziałam, że nie przesadzał. Erudycja była bezsprzecznie jego mocną stroną.

Pełna rezerwy, ale niemal uspokojona, dałam się bez dalszych obiekcji poprowadzić ulicami Nowych Aten. Początkowo milczałam uparcie, za to Louis, wierny swemu zobowiązaniu, zasypywał mnie ciekawostkami.

– Widzi pani numer nad tymi drzwiami, większy niż na innych domach?

Szliśmy wzdłuż rue Blanche, gdzie faktycznie cyfry emaliowanych tabliczek z numerami nie były jednakowe: niektóre wyróżniały się wielkością.

– Tak, to dziwne...

– To jedyny widoczny do dzisiaj ślad po dawnych domach publicznych.

– Ach, tak?

Moja ciekawość wywołała na jego twarzy przelotny uśmiech, szybko stłumiony, zapewne z obawy, żeby znów mnie nie zrazić.

– Zanim ustawa Marthe Richard z 1946 roku nie wyrugowała ich na dobre do podziemia, burdele i tym podobne przybytki tolerowano pod warunkiem, że nie będą rzucać się w oczy. Nie mogły mieć szyldów ani witryn jak w Amsterdamie, za to dozwolone były pewne elementy elewacji, łatwo rozpoznawalne dla wtajemniczonych.

– Na przykład jakie?

– Osławione czerwone latarnie, ale i subtelniejsze szczegóły w rodzaju matowego szkła w oknach, kratki na judaszu albo stale zaciągniętych rolet. Duży numer – który w końcu dał nazwę całej kategorii tych lokali – wchodził w skład zakamuflowanych oznaczeń.

Powstrzymałam się od komentarza, czułam jednak, że mój przewodnik już nie zmieni tematu. I rzeczywiście, ciąg dalszy wycieczki upłynął w podobnym duchu, w nieustannym nawiązywaniu do cielesnych uciech i rozwiązłych obyczajów naszych przodków. Przez ten jedyny pryzmat poznawałam historię mijanych miejsc: na square d'Orléans Louis wrócił do niszczącej namiętności George Sand i Chopina; pod numerem 8 rue La Bruyère wtajemniczył mnie ze szczegółami w cudzołożny związek, jaki na trzydzieści lat połączył poetkę Marceline Desbordes-Valmore i jej kochanka Henriego de Latouche'a... Ale gwoździem tego edukacyjnego programu okazał się bezapelacyjnie neoklasycystyczny kościół przy rue de Châteaudun – pretekst do wzmianki o dziewczynach podejrzanej konduity, które upodobały sobie jego okolice.

– Jako że najpierw kusiły robotników z placu budowy, a później parfian już ukończonej świątyni, nazwano je od tego miejsca loretkami – oznajmił Louis.

Przed nami wznosiły się cztery korynckie kolumny i wzorowany na antycznym portyk kościoła Matki Bożej Loretańskiej, Notre-Dame de Lorette.

– A mnie się zawsze wydawało, że dzielnica była dość szykowna? – zaoponowałam nieśmiało.

– Ależ loretki też były szykowne! – wykrzyknął, broniąc ich gorąco. – Nie miały nic wspólnego z gryzetkami z Bastylii i Belleville, czyli rzeszą prostych szwaczek czy modystek dorabiających sobie po cichu, żeby związać koniec z końcem.

– Z loretkami było inaczej?

– Zupełnie! Do tej kategorii należały w większości kobiety z klasą, wykształcone, piśmienne, do tego częściowo utrzymywane przez stałych partnerów. Prostytucja była dla nich bardziej sztuką życia niż koniecznością ekonomiczną.

– Słowem, nie tyle prostytutki, ile kurtyzany – wyrwało mi się nieopatrznie.

Czy często odwiedza dziewczyny takie jak my, loretki albo hotelles, jak ta wspaniała Metyska na wernisażu? A może i prawdziwe prostytutki, z tych, które zgarnia się z alejek Lasku Bulońskiego czy Vincennes i przelatuje pośpiesznie na tylnym siedzeniu zaparkowanej nieopodal kamionetki, tu i ówdzie nadżartej rdzą? Jak to jest, posiąść taką dziewczynę bez imienia, niemalże bez twarzy? Czy facet czuje się wtedy silniejszy, bardziej męski, bardziej pożądany przez inne kobiety? Czy naprawdę uważa się za kogoś innego po takim seksie w gumie, za pieniądze, bez cienia czułości czy najmniejszej więzi? Gdy wychodzi z anonimowej, wynajętej na chwilę pochwy po raz pierwszy i ostatni w życiu?

(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009. No nie, takie pytania mogą zadawać sobie tylko mężczyźni... Ten, który uzurpuje sobie prawo pobytu w mojej głowie, tym razem chybił zupełnie).

Moja konstatacja pobudziła go do śmiechu. Szczerego, beztroskiego i jak mi się wydało, chociaż raz pozbawionego cynizmu czy wyrachowania. Z jego strony napięcie po naszej ostatniej scysji musiało już zelżeć całkowicie, czego jednak nie mogłam powiedzieć o sobie. Starałam się tylko odgrywać moją rolę najlepiej, jak umiałam, w nadziei, że wreszcie dobiegnie końca.

– Tak, można to tak nazwać.

Godziny mijały w słońcu, wypełnione większą dawką historii i szczegółów architektonicznych, niż byłam w stanie spamiętać. Choćbym nie chciała się do tego przyznać, z prawdziwą przyjemnością słuchałam o stylu weneckim, widocznym w medalionach, fryzach i kandelabrach kamienic przy placu Saint-George, jakże innym od oszczędnego neoklasycyzmu rue de la Tour-des-Dames.

W porze lunchu naprędce zjedliśmy omlet w barze Le Central w pobliżu Druot, dwa kroki od butików tyle razy podziwianych od zewnątrz podczas naszych spacerów z Sophią. Dziwnym zbiegiem okoliczności Louis zatrzymał się właśnie przy moim ulubionym,

Antiquités Nativelle. Po krótkim rzucie oka na witrynę zdecydował się wejść do środka.

– Da mi pani chwilkę?

Nie czekając na moją odpowiedź, znikł za drzwiami. Ze ściśniętym sercem i bezsilnym żalem patrzyłam, jak wskazuje marszandowi, łysemu staruszkowi w okularach, jeden z eksponatów z wystawy... właśnie tę szpilkę do włosów, o której marzyłam od tygodni. Srebrną szpilkę Mademoiselle Mars, mojej nowej sąsiadki poprzez wieki.

Wyszedł już po kilku minutach, z pośpiesznie zapakowanym pakiecikiem w ręku.

– Proszę.

Odsunęłam od siebie prezent z całą stanowczością, na jaką było mnie stać.

– Louis... Nie mogę tego przyjąć. Gdyby David dowiedział się, byłby...

Przerwał mi łagodnym tonem.

– Nie ma w tym nic złego ani dwuznacznego, Elle. Ja tylko wypełniam punkt po punkcie jego własne wytyczne: zabrać panią na spacer... i rozpieszczać. Na jego koszt, rzecz jasna.

No tak, to był cały David, z jego ujmującą troską o mnie, chwilowo i zupełnie niewinnie scedowaną na brata.

– W takim razie... Chyba mogę...

Błysk w jego oczach nabrał intensywności. Nie, on nie działał tylko według wskazań Davida, widziałam to wyraźnie. Niby słuchał brata, ale przyjemność, jaką z tego czerpał, należała wyłącznie do niego. Jako zastępczy ofiarodawca odbierał też w zamian moją wdzięczność, radość, zażenowanie – wszystko to, czym zdawał się delektować.

– Muszę zrobić jeszcze jeden zakup, dość, hm.. specyficzny. Zajmie mi to z pół godziny. Jeśli pani nie ma nic przeciwko, proszę poczekać na mnie tu, w tej kawiarni.

Przy tym samym co zawsze stoliku w Café des Antiquaires poczułam się tak, jakbym dotarła do bezpiecznego portu po całych dniach na wzburzonym morzu. Brakowało tylko Sophii, niestety nieosiągalnej

pod komórką, aby wysłuchać moich ostatnich rewelacji. Z braku jej życzliwego ucha koiłam nerwy klimatem tego znajomego miejsca, pogrążona w dziwnym rozmarzeniu. Myślałam na wpół sennie o Louisie, o jego opowieściach i o skazach ujawnianych przez niego na idealnym wizerunku brata.

No i o postawie wobec mnie. O co mu chodziło? Dlaczego prowadził ze mną tę grę, jaką satysfakcję mógł z niej czerpać? Przemożny wpływ, jaki na mnie wywierał, nie był dostatecznym wytłumaczeniem tej dziwacznej potrzeby, żeby wystawiać na próbę moje nerwy, ilekroć przyszło nam się spotykać.

Jego nagłe wejście do bistra smagnęło mnie po twarzy powiewem świeżego powietrza.

– Już! Załatwione. Idziemy?

Trzymał w ręku czerwono-białą reklamówkę z dużą literą D, zdradzającą jej pochodzenie: z Drouot, świątyni publicznych aukcji. Co mógł tam kupić i dlaczego było to tak pilne? Nic w wydłużonym kształcie pakunku nie zdradzało jego zawartości.

Powstrzymując się od niedyskretnych pytań, ruszyłam za Louisem na ostatnią przechadzkę eleganckim krytym pasażem Jouffroy, jeszcze jednym architektonicznym symbolem Paryża z czasów romantyzmu. 1846, wskazywał zegar na poziomie uskoku dzielącego galerię na dwie części. Jak ten zegar, jak woskowe figury z Musée Grévin po naszej lewej stronie, Louis wydawał mi się reliktem innej epoki, dandysem przypadkiem przeniesionym w XXI wiek. Chyba zresztą nie byłam odosobniona w tym wrażeniu: niektórzy przechodnie przyglądali mu się ciekawie, jakby wyszedł prosto z saloniku swoich zaprzyjaźnionych romantycznych artystów.

– Odprowadzi mnie pan? Jestem już zmęczona...

Maszerowaliśmy od rana i musiał uznać moją prośbę za uzasadnioną, skoro zgodził się od razu. Po wyjściu z pasażu na bulwar Montmartre zatrzymał nawet taksówkę, aby szybciej ulżyć moim nogom.

Dziesięć minut później skręciliśmy już w rue de La Rochefoucauld, gdy przy następnym skrzyżowaniu moim oczom ukazał się bardzo niepokojący widok: znajomy czarny motocykl.

– Stop! – krzyknęłam do szofera.

– Mamy jeszcze kawałek do rue de la Tour-des-Dames, mademoiselle.

– Tak, wiem... Ale proszę wysadzić nas tutaj.

– Jak pani sobie życzy – zgodził się, parkując białego mercedesa wzdłuż chodnika.

Pogrążony w myślach Louis dopiero teraz zauważył manewr.

– Coś się stało, Elle?

– Nie, nie, wszystko w porządku ... – kłamałam niezręcznie.

Teraz i on go zobaczył, opartego o swoje dwukołowe monstrum, w skórzanej kurtce, z kaskiem w ręku: Freda.

– Ależ pani zbladła, Elle. Czy to przez tego chłopaka?

– Tak... – jęknęłam, wysiadając z taksówki. Dalsze kłamstwa nie miały już sensu.

– Kto to jest?

– Mój były... I nie ma tu nic do roboty, musiał przyjechać specjalnie.

– Boi się go pani?

Zesztywniałam. Nie umiałabym powiedzieć, co zdenerwowało mnie najbardziej: nagłe, niezapowiedziane pojawienie się Freda czy może fakt, że Louis był świadkiem mojej paniki.

– Nie... nie. Ale mimo wszystko wolę ominąć go od tyłu.

Na wysokości numeru 56 od rue Saint-Lazare odchodził ku północy ślepy zaułek, oferując ukryty dostęp do ogrodów posesji przy rue de la Tour-des-Dames. Tylko mieszkańcy okolicy znali to przejście.

Louis był jednak innego zdania. Wziął mnie pod rękę i z wyrazem determinacji na twarzy pociągnął w stronę czatującego na nas motocyklisty.

– Wie pani, nawet go rozumiem. Nie należy pani do dziewczyn, z których tak łatwo zrezygnować. Ale chodźmy do niego. Skoro już się tu pofatygował, odpłacimy mu tą samą monetą.

Niefortunny pomysł!

Fred w końcu nas zauważył i ruszył w naszą stronę szybkim, wojowniczym krokiem. Znałam na pamięć jego postawę gotowości do awantury: uciekające do tyłu barki i oczy, spojrzenie spode łba, zaciśnięte pięści.

– Więc to ty? – zagadnął Louisa z grubiańską poufałością.

– To ja.

Louis stał na wprost niego z wyzywająco-pogardliwą miną arystokraty, bynajmniej nie zalękniony, w przeciwieństwie do mnie. Fred, podniecony tym oporem, pchnął go otwartą dłonią w pierś.

– Ty burżujski skurwysynu! Jak śmiesz podrywać cudzą dziewczynę, co? Nie wystarczy ci wyrzucać ludzi na bruk przez cały rok? Za mało frajdy? Musisz jeszcze kraść im żony?

Nieporozumienie było oczywiste. Fred święcie wierzył, że ma do czynienia z Davidem, a Louis rycersko zgodził się odegrać tę rolę, skądinąd tak źle do niego pasującą, żeby bronić mnie przed atakami byłego chłopaka.

Rozpaczliwym gestem uczepiłam się twardego jak kamień ramienia agresora.

– Fred! Uspokój się!

– Co, kurwa, to jest ta twoja wielka miłość? Kuternoga!

– No, tym razem pan przeholował, młody człowieku.

I oto dla odmiany Louis nacierał na Freda, wymachując laską. Niewiele myśląc, zaczęłam krzyczeć w nadziei, że Armand czy ktoś inny z sąsiedztwa rozdzieli ich albo wezwie policję.

– Przestańcie!

– No tak, forsa pomaga zamknąć oczy i rozłożyć nogi, co? – lżył mnie blondas, zasłaniając się kaskiem jak tarczą. – Czego to się nie zrobi, żeby dorwać się do tej ich przeklętej forsy!

Pierwszy cios laski spadł na wizjer kasku, drugi trafił w rękę właściciela, wywołując ryk bólu.

– Świr!

Rozwścieczony, zraniony na ciele i ambicji Fred szykował się do kontrataku, gdy Louis sięgnął do torby z logo Drouot. Błyskawicznym ruchem wyciągnął spod warstw papieru długi, giętki przedmiot i machnął nim w powietrzu. Szpicruta!

Mówił powoli, akcentując słowa kolejnymi świstami skóry:

– Nigdy więcej... nie zbliżysz się... do Elle! Jasne?

– Wariat! – wykrztusił Fred, znacznie mniej zadziornie.

Zamarłam z przerażenia, widząc, jak szykują się do nieuchronnej konfrontacji. Ale muszę też przyznać, że obudził się we mnie ów instynkt samicy, zaciekawionej, który z rywali udowodni swoje prawa do niej i zaraz po skończonej walce wypełni ją swoim zwycięskim nasieniem. Miałam nawet przelotne pragnienie, żeby zobaczyć ich walczących o mnie zupełnie nago.
(Anonimowa odręczna notatka z 7.06.2009. Samicy? No nie, co on sobie wyobraża? Że jest Supermanem?).

Zanim Fred zdążył odskoczyć, cienki koniec pejcza smagnął go przez twarz, natychmiast naznaczoną krwistą pręgą. Imponującą, choć raczej niegroźną, w każdym razie bez rozcięcia skóry. Wystarczyło to jednak, by zmusić go do definitywnego odwrotu. Z ręką przy twarzy i szaleństwem w oczach upokorzony junak cofnął się i jednym skokiem dosiadł motoru, szykując się do ucieczki.

Ale Louis nie wydawał się nasycony wiktorią. Szpicruta nadal była w ruchu, gotowa dopaść Freda, gdyby przypadkiem zmienił zdanie. Dopiero gdy motocykl z rykiem ruszył w drogę, zwycięzca jakby przypomniał sobie, dla kogo stoczył tę walkę. Podniósł swoją laskę z ziemi i podszedł do mnie, z miną bardziej winowajcy niż triumfatora.

– Tak mi przykro...

– To nie pana wina – pocieszyłam go zgodnie z prawdą.

Na co wziął moją rękę, odwrócił ją dłonią do góry i ceremonialnie położył na niej swój groźny skórzany oręż.

– Co to...?

– To miał być drugi prezent dla pani. Nie wiedziałem tylko, że wcześniej będę zmuszony sam się nim posłużyć.

– Jest piękna.

Tylko po co mi coś takiego? – dopowiedziałam sobie w duchu.

– Ta szpicruta należała do pewnej wytwornej Angielki, około roku 1850 – pospieszył z wyjaśnieniami. – Akcesoria tego rodzaju były wtedy bardzo w modzie. Również wśród kobiet niejeżdżących konno.

– Dziękuję...

Dwa prezenty, jedna obrona... Mimo jego zachowania, tak nieprzewidywalnego i zmiennego, mimo dzisiejszych kłamstw, a nawet szantażu, w jaki mnie uwikłał, mój chwilowy rycerz zasłużył na podziękowanie. A gdy całowałam go niewinnie w oba policzki, jego delikatna, pieszczotliwa ręka znalazła się na moim karku. Po raz drugi mogłam z bliska poczuć jego zapach, z którego w ferworze walki uleciała lawenda, za to wzmocniła się nuta waniliowa. Chociaż głos rozsądku ostrzegał, zmysły nie dały się oszukać: doznanie było upajające, a cóż dopiero razem z dotykiem jego palców... Poczułam fale dreszczy, najpierw lekkie, później wzbierające na sile w miarę spływania wzdłuż kręgosłupa, aż do lędźwi. Czy to możliwe, zaznać rozkoszy pod wpływem stymulacji strefy tak pozornie niewinnej jak kark?...

Wolałam jednak nie czekać na rozstrzygnięcie tej kwestii i odsunęłam się od niego, z rozpalonym czołem i zmąconym wzrokiem.

– Źle się pani czuje? – zatroszczył się.

– Nie... Po prostu, jestem trochę wytrącona z równowagi tym wszystkim.

Wskazałam ręką koniec ulicy, gdzie powoli cichł ryk tysiąca centymetrów sześciennych motorowego silnika.

Zaalarmowany wrzawą, Armand wreszcie zjawił się za bramą i szedł nam na spotkanie.

– Zostawiam panią w najlepszych rękach w Paryżu.

– Tak, wiem – skinęłam głową. – Armand jest...

– Co tu się dzieje? – przerwał ten ostatni, siny z niepokoju.

– Do widzenia, Elle.

Louis już odchodził, kuśtykając i podpierając się laską, której zdawał się potrzebować bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy i gdzie mógł uszkodzić sobie to kolano? A może był tylko symulantem, aktorem próbującym nadać swojej postaci rys tajemniczości i dziwności?

Armand poprowadził mnie pod rękę aż do podestu, jakbym to ja ucierpiała w walce. Na próżno protestowałam, udając – niezupełnie zgodnie z prawdą – doskonałą formę; nalegał tak bardzo, że w końcu zdałam się na jego ramię, jeszcze całkiem krzepkie.

I dobrze, gdyż naprawdę o mało nie zemdlałam na widok korespondencji na konsoli w hallu: od razu rzuciła mi się w oczy srebrzysta koperta, pod każdym względem identyczna ze swoją poprzedniczką.

– Kto to przyniósł? – zapytałam drżącym głosem.

– Nie wiem. Musiała być w rannej poczcie. Jakiś problem?

– Ta koperta nie ma znaczka.

– Ach... Nie zwróciłem uwagi.

– Nie widział pan, kto wrzucił ją do skrzynki?

W każdym razie nie Louis, skonstatowałam w myślach, skoro spędził ze mną cały dzień.

– Nie, niestety, przykro mi... Wszystko w porządku, mademoiselle?

– Tak, tak...

Zmusiłam się do uśmiechu wdzięczności.

– Dziękuję, Armand.

Odczekałam, aż wreszcie zostawi mnie samą, i dopiero wtedy otworzyłam kopertę. Tak jak poprzednio, zawierała magnetyczną kartę wstępu do jednego z pokojów w Charmes, a także odręczną notatkę i zadrukowany kawałek brystolu. Powoli stawało się to rytuałem.

Dzisiaj wieczorem o 22.00,
w tym samym miejscu.
Niech pani zabierze swój ekwipunek.

Mój ekwipunek? Co mógł mieć na myśli tajemniczy nadawca?

Odwróciłam właśnie brystol na drugą stronę...

2. Nie zostawisz swoich zmysłów w uśpieniu.

...gdy Armand znów pojawił się w hallu.

– Przez te wszystkie emocje zapomniałem pani powiedzieć...

– Tak?

Szybko schowałam ręce za plecy, aby niczym uczeń przyłapany ze ściągawką ukryć to, co w nich trzymałam.

– David zaprosił dziś gości na kolację. O dwudziestej pierwszej.

– Gości?

Oto i rozstrzygnięcie mojego dylematu, jak przebudzenie kładące kres koszmarnym snom.

– Chce przedstawić pani kilka osób, które liczą się w BTV. Innymi słowy, pani przyszłych kolegów.

Ale nie Louisa – dopowiedziałam sobie w duchu. Wieść i tak wydała mi się dość hiobowa.

– Rozumiem – potwierdziłam nikłym głosikiem.

– Nic formalnego – pośpieszył z zapewnieniami Armand. – Ot, spotkanie przyjaciół. Będą sami bliscy współpracownicy Davida, można rzec, jego ścisłe grono.

Bez trudu – aczkolwiek z nagłą suchością w ustach – dostrzegłam w tej nieoczekiwanej imprezie prawdziwy test kwalifikacyjny. Ostatni, kto wie, czy nie decydujący, skoro od jego powodzenia miała zależeć moja integracja na szczycie służbowej hierarchii. Musiałam okazać się błyskotliwa, ale bez nadmiernych popisów. Elegancka, ale nie tak, by przyćmiewać inne kobiety uczestniczące w przyjęciu. Roześmiana, ale za nic w świecie histeryczna. I pod żadnym pozorem nieobleczona w szaty udzielnej księżnej, do czego mogłyby skłaniać mnie i miejsce, i status narzeczonej pana na włościach. Miałam wyjść na profesjonalistkę, nie na gęś.

– Zajmę się wszystkim – dodał Armand. – Pani pozostaje tylko zająć się sobą.

Odruchowo wsunęłam rękę do kieszonki w fałdach sukienki. Nie pamiętałam o nim przez cały dzień, a mimo to był stale ze mną, rozciągając swoim ciężarem cienki materiał: duży, ząbkowany klucz, symboliczna przepustka do nowego, zupełnie nieznanego mi świata.

15

8 czerwca 2009

– No nie, on jest... naprawdę szurnięty!

Taka była pierwsza reakcja Sophii, gdy wreszcie udało mi się zrelacjonować jej przez telefon wydarzenia minionego dnia. Chwilowo nie potrafiłabym tylko określić, którego z nich miała na myśli: Louisa czy Freda. Makiawelizm pierwszego czy krwawą wojowniczość drugiego. Czułam jednak, że nie śmiąc wypowiedzieć się z właściwą sobie szczerością, już dokonała wyboru. Moja najlepsza przyjaciółka nigdy nie pałała sympatią do motocyklisty, skądinąd nie ona jedna. „Ten typek jest nie tylko nieudacznikiem, ale nieudacznikiem szukającym guza" – powtarzała mi nieraz. A Fred przez ostatnie lata robił niestety, co mógł, by zasłużyć na tę opinię: bezrobocie, chroniczny brak pieniędzy, regularne awantury, albo i rękoczyny były na porządku dziennym. Chybione próby odzyskania mojego serca, jak najście na rue Rigault albo wczorajsza bójka, doskonale ilustrowały jego wewnętrzny zamęt i trudną, gniewną osobowość.

Louis z kolei, przynajmniej według mojej relacji, którą starałam się tonować, musiał wydać się Sophii bardzo *glamour*. I chociaż nie miałam jeszcze formalnych dowodów, że brat Davida był również na tyle zboczony, by wsunąć mi do torebki *Dziesięć razy dziennie*, sama ta ewentualność wyraźnie podniecała moją Esmeraldę.

– Może byś mi go przedstawiła?

– Kogo? Louisa?

– Tak! Przepadam za takimi pokręconymi facetami!

– So'... On jest więcej niż pokręcony! Pod pretekstem zwiedzania dzielnicy przez cały dzień mówił mi tylko o seksie.

– W tym akurat nie widzę problemu – roześmiała się.

– Łgał jak z nut, bez zająknięcia. Chciał mi wmówić, że David ukrywa przede mną swoją przeszłość, żeby mnie do niego zrazić. Jeśli to nie czysta perwersja, to co?

Tylko czy sama byłam tego aż tak pewna? Owszem, wycofał się ze swoich rewelacji, obracając wszystko w farsę. Kto jednak mógł mi zaręczyć, że Aurora Delbard nigdy nie istniała? Albo że jedwabna opaska Davida nie ukrywała właśnie blizn po tamtej historii?

– E tam... – bagatelizowała Sophia. – To ty masz obsesję na punkcie tego notesu, ale wiesz już jedno: to nie on.

– Nie, ale do ciebie w ogóle nie dociera, że za dziesięć dni ten człowiek będzie moim szwagrem!

– Jeszcze jeden argument za oddaniem go mnie, moja droga. Czy nie byłoby super? Pomyśl, zostałybyśmy szwagierkami!

– Jeśli pozwolisz, nie bardzo mam ochotę zobaczyć cię na oddziale zamkniętym. Ani wpadać tam do ciebie na kawę w porze podwieczorku.

Sophia, pominąwszy milczeniem moje oficjalne zaproszenie na świadka, już snuła na głos swoje fantazje...

– Świr z obsesją na punkcie seksu i z takim rodowodem... Słowo daję, czuję, że wybaczyłabym mu drobne szaleństwa.

Ach, ten wyjątkowy talent Sophii do pakowania się w tarapaty! Mogła sobie krytykować Freda, sama nie była wiele lepsza. Jeden z jej ostatnich agencyjnych klientów, z którym dwa lub trzy razy gościła w Charmes, tak się w niej zakochał, że nalegał, aby porzuciła swoje zajęcie i należała odtąd całkowicie do niego, bazując wyłącznie na jego dozgonnej miłości. „Wyobrażasz sobie cwaniaczka? Jeśli chce mnie na pełen etat, musi wypluć z siebie coś więcej »moja najdroższa i ukochana!«”.

Przemilczałam rzecz jasna to wszystko, co mogło niepokoić mnie w ciągu dnia spędzonego z Louisem Barletem. Aż do tego zwierzęcego podniecenia podczas ich walki, którego domyślił się mój prześladowca. „Prawdziwa samica w okresie rui...”.

Pochłonięta rozmową z Sophią, dosłyszałam jednak szum wody w łazience obok. Czyżby David wyjątkowo był w domu? Jak to możliwe, że mimo poniedziałku nie znikł swoim zwyczajem, kiedy jeszcze spałam?

– Ach, właśnie, wyleciało mi z głowy... Miałam telefon od Rebekki. Była dość wkurzona twoją odmową wtedy.

– Czy to nie ty namawiałaś mnie, żebym posłała ją do diabła?

– Tak, tak... Chciałam cię tylko uprzedzić, że nie ma zamiaru darować ci zaliczki.

– Poradzę sobie – stwierdziłam krótko, nieco znużonym tonem.

Już wkrótce będę mieć na to środki.

Kolacja wyprawiona przez Davida przypieczętowała moje wejście w czarodziejski świat mediów: dziesiątka gości przez cały wieczór obgadywała zupełnie nieznanych mi ludzi. Trzymając się z daleka od tych plotek, dałam dowód, jak sądziłam, mojej duchowej i intelektualnej niezależności. Innymi słowy, nie wyszłam tylko na ozdobną lalkę, świeżą zdobycz głównego bossa. Alice, wysoka, posągowa blondynka, która przedstawiła mi się jako „dyrektor do spraw marketingu międzynarodowego BTV", akcentując każdy człon tego pompatycznego tytułu, ewidentnie widziała we mnie potencjalną rywalkę. Wskazywały na to jej mordercze spojrzenia, uwagi pełne zjadliwej słodyczy, a także najbardziej perfidne zabiegi, by konwersacja obracała się wokół spraw zupełnie mi obcych, z nadużywaniem skrótów i nazwisk znanych tylko wtajemniczonym.

Czy David z nią spał? Prawdopodobnie... Jak mógłby nie zauważyć tych pięknie wykrojonych ust, tych lazurowych oczu, tych piersi tak kształtnych, jakby wyszły prosto spod skalpela, tej pupy rozkosznie opiętej obcisłą suknią, z przepaścistym dekoltem na plecach sięgającym bruzdy między pośladkami? Każdy mężczyzna miałby chrapkę na tak zjawiskową istotę...

Alice i David. David i Alice. Dobrze brzmi, może nawet za dobrze, żeby funkcjonować. A gdybym tak zaproponowała mu, jeszcze zanim się mną znudzi, żebyśmy wylądowali w łóżku we troje? Czy mogłabym wyobrazić sobie lepszą partnerkę do takiej zabawy? Sama bym na tym skorzystała, odkrywając na przykład, jakich doznań dostarczają usta tak pięknej kobiety. A jej runo, czy jest równe bujne jak fryzura? Na pewno nie ma też łona młodej dziewczyny, delikatnego i różowego, tylko przeciwnie, szeroką szparę, mięsiste wargi sromowe większe i długie, wystające mniejsze. ~~Łono amazonki, wojowniczki, o intensywnej, piżmowej woni~~. Jak zareagowałby mój mężczyzna, widząc, że ją liżę albo zagłębiam

w nią palce? Czy umiałabym doprowadzić ją do orgazmu tylko moimi pieszczotami?
(Anonimowa odręczna notatka z 8.06.2009).

Spotkanie przeciągnęło się do późna i David, jak odpowiedzialny kapitan, w końcu sam odprawił na spoczynek swoją załogę, oczekiwaną nazajutrz rano na pokładzie jego flagowego okrętu. Na odchodnym nie szczędził im przestróg, jako że wyrafinowane dania Armanda były obficie zakropione. Oboje wprost padaliśmy ze zmęczenia, tak że ledwie zapytał mnie o dzień z Louisem, słuchając moich zdawkowych odpowiedzi już w półśnie.

– A podobała ci się broszka? – przypomniał sobie na koniec.

– Broszka... Ach, szpilka do włosów, chcesz powiedzieć?

– O właśnie, szpilka.

– Jest przepiękna. Dziękuję.

Przyjął mój pocałunek z nieobecnym uśmiechem.

Na szczęście tuż przed zejściem do gości starannie ukryłam angielską szpicrutę w głębi szafy, za kilkoma stertami ubrań. Miałam jednak świadomość, że kryjówka nie była pewna i że będę musiała jak najszybciej pozbyć się tego kompromitującego przedmiotu.

David pojawił się w sypialni, przepasany wokół bioder białym ręcznikiem. Płaski brzuch, pięknie wyrzeźbione mięśnie piersiowe, cała jego sylwetka zdradzała zapalonego sportsmena. Poza tenisem dwa razy w tygodniu z François Marchadeau – drżałam na myśl o każdej takiej partii, wyobrażając sobie, o czym mogliby rozmawiać między jednym a drugim setem – codziennie spędzał pół godziny na własnej siłowni urządzonej w piwnicy rezydencji. „Krótko, ale intensywnie i regularnie" – podkreślał z satysfakcją.

Teraz, jaśniejący jak młody bóg, bez najmniejszych śladów wczorajszych ekscesów na twarzy, co samo w sobie graniczyło z cudem, przekomarzał się ze mną żartobliwym tonem:

– No rusz się, leniuszku, już pora! Nie możemy się spóźnić.

– O?... Czy nie zaczynam dopiero jutro?

„Wtorek 9 czerwca, 8.30” – potwierdziła Chloé dwa dni wcześniej, nagrywając mi się na komórkę.

– Owszem, mademoiselle... Ale przecież nie powiedziałem, że zabieram cię do pracy.

Jego promienny uśmiech mówił sam za siebie. Miał ten rzadki dar odprężania, dodawania otuchy, zjednywania sobie duszy rozmówcy. W porównaniu z nim Louis był jak z kamienia, twardy i nieprzenikniony.

– A więc dokąd?

– Hola, hola... Ubierz się, a zobaczysz światło!

Światło paradoksalnie spłynęło na mnie dopiero wtedy, gdy pogrążyliśmy się w ciemnościach, niecałe dwie godziny później. No dobrze, jeszcze przed tunelem wyłapałam pewne znaki sugerujące kierunek naszej podróży: Gare du Nord, wjazd do specjalnej hali peronowej, posterunek graniczny, stewardessy w uniformach widywanych raczej na lotniskach niż dworcach, TGV w żółto-biało-niebieskie pasy...

Moje zielone oczy lśniły dziecięcą radością.

– Jedziemy do Londynu?

– *Yes, madam*. Czy nie wspaniale? Nie będziesz mogła narzekać, że zaniedbuję cię przez cały tydzień.

– Spędzimy ten dzień razem?

Aż podskakiwałam na miejscu, zachwycona niespodzianką.

– Nie... – przyznał z zakłopotaną miną. – Prawdę mówiąc, mam spotkania non stop, począwszy od południa. Ale pomyślałem sobie, że ucieszysz się z podróży. To zawsze atrakcja... Będziesz miała cały dzień na buszowanie po Londynie... i po sklepach.

– Atrakcja to mało powiedziane! Genialny pomysł! A kiedy wracamy? Dziś wieczorem?

– Ty wracasz dziś wieczorem, tak. Mnie czeka jeszcze śmiertelnie nudna kolacja i ostatnia konferencja jutro rano. Nie mam serca skazywać cię na coś takiego. No, chyba że fuzje i przejęcia w obrębie TNT pasjonują cię tak samo jak mnie.

– Niekoniecznie – skrzywiłam się zupełnie szczerze.

Moja obecność u jego boku była tym bardziej zbędna, że idealnie dobrany harmonogram podróży stwarzał szanse na spędzenie wieczoru w Nanterre. I już głowiłam się nad niespodziankami *made in Britain*, jakimi mogłabym obdarować mamę.

Rozparta w fotelu pierwszej klasy, z eleganckim szarawym obiciem i skórzanym zagłówkiem, szybko dałam się ukołysać do snu. David pracował nad jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą na laptopie, a ja, wtulona w jego ciepły i jędrny bok, pogrążyłam się w na wpół sennych marzeniach, ignorując nawet obfite śniadanie zaoferowane w cenie biletu.

Po pewnym czasie, pod wpływem monotonii pejzażu ograniczonego do długich, szarych, zielonych i niebieskich linii, moje myśli wróciły na ziemię. Bawiąc się zaręczynowym pierścionkiem, który – nadal za ciasny, mimo poszerzenia zleconego przez Davida – wrzynał mi się w serdeczny palec, utkwiłam wreszcie wzrok w jedwabnej opasce, minimalnie wystającej spod rękawa jego koszuli.

– Kim jest Aurora Delbard, Davidzie? Kim jest czy była dla ciebie?

Nie, to pytanie nie przekroczyło granicy moich ust. Chociaż lekki turkot pociągu dużej prędkości znów kołysał mnie do snu, rozmyślałam o okrutnej scenie, jaką odegrał przede mną Louis Barlet. Jeśli ta dziewczyna nigdy nie istniała, albo jeśli nie wybrała Davida z nich dwóch, dlaczego uraczył mnie taką bajką? A gdyby było inaczej, dlaczego miałby wycofać się z niej tak nieoczekiwanie, przy okazji wchodząc dobrowolnie w złą rolę kłamcy i intryganta?

Wbrew radom Sophii raz na zawsze odrzuciłam myśl o wtajemniczeniu Davida w moją przeszłość. Na dziesięć dni przed ślubem zakrawałoby to na samobójstwo. Nigdy by tego nie pojął. Nigdy by mi nie wybaczył. I żaden zegarek, choćby tak piękny jak tamten, choćby zdobyty kosztem moich wyrzeczeń i upokorzeń, nie wystarczyłby w charakterze zadośćuczynienia. W jego oczach z pewnością byłam – i musiałam pozostać – równie czysta i nieskazitelna jak wtedy, w dzień naszego spotkania w tej sali bankietowej, którą opróżnił z gości w hołdzie dla mnie.

Ale od dwóch dni, od ostatniej bytności w Charmes, wiedziałam, że złożyłam mój los w ręce jego brata. Teraz obciążał mnie już nie

tylko katalog Piękności Nocy, ale i te zdjęcia, moje bezwstydne akty oglądane i utrwalone przez Louisa. Przynajmniej jedno z nich musiałam zresztą mieć przy sobie, tutaj, gdzieś na dnie torebki.

W największy popłoch wprawiała mnie jednak myśl o tym, co chociaż niewidzialne i niesłyszalne dla nikogo poza mną, wzbierało w moim brzuchu, co nawet teraz pobudzało moje łono do mimowolnych skurczów. Moje własne fizjologiczne reakcje były znacznie gorsze niż wszelkie dowody materialne.

– Elle, co ci jest?

Musiałam bezwiednie rzucać się na siedzeniu.

– Nic... Chyba trochę przysnęłam.

– Śpij, kochanie, śpij... Chcę, żebyś spała!

I aby wzmocnić czarodziejską moc rozkazu, David wiernie odtworzył tembr głosu innego czarodzieja, tego, który zaklinał pokolenia dzieci, opowiadając im do snu najpiękniejsze bajki. Gérarda Philipe'a, z jego magicznych nagrań.

– Przestań! – roześmiałam się ze szczerego serca. – Gdy tak mówisz, wydaje mi się, że naprawdę mam go przed sobą.

Dla zabicia czasu – tudzież pewnych posępnych myśli – wyjęłam tablet i spróbowałam odtworzyć na planie Paryża drogę, jaką przebyliśmy poprzedniego dnia z Louisem: rue de la Tour-des-Dames, rue de La Rochefoucauld, rue Chaptal w lewo, później rue Blanche niemal do Trinité...

O, zabawne... to się układa w literkę „e".

Rozbudzona odkryciem, kontynuowałam w myślach naszą trasę: rue Saint-Lazare w kierunku wschodnim, dalej rue Taitbout ku północy, następnie mała pętelka przy square d'Orléans i wreszcie powrót tą samą drogą do rue Saint-Lazare...

Niesamowite... teraz wychodzi „l"!

Równie wyraźne jak zawołanie, chociaż napisane liniami ulic na mapie, moje zdrobniałe imię pojawiło się w całej czteroliterowej okazałości. Jeszcze jedno „l", gdy zawróciliśmy przez rue La Bruyère, wreszcie końcowe „e", które poprowadziło nas przez elegancki plac Saint-Georges do kościoła Notre-Dame-de-Lorette, gdzie wsiedliśmy do metra w kierunku rue Drouot. Aby przekonać się ostatecznie,

skorzystałam z funkcji podkreślania i czubkiem palca odbyłam całą trasę jeszcze raz, wytyczając ją wirtualnym atramentem.

Jako żywo, „elle”... Nie był to efekt mojej wyobraźni ani obsesji. Louis doskonale wiedział, jakie arabeski zataczamy na planie Nowych Aten, krok po kroku. Nie zadowolił się złożeniem miasta u mych stóp – nie, dodatkowo wpisał mnie w jego historię, w jego bruki, tak jakbym sama zajęła miejsce wśród heroin, o których tyle mi opowiadał.

Powiew wjazdu pod kanał La Manche, nagła kompresja odczuwalna w wagonie tylko na chwilę przerwały moje dywagacje. Tego wszystkiego było już za wiele jak na moją biedną głowę. Aż nadto dobrze rozumiałam jego grę: wzorem romantycznych autorów, tak bliskich mu duchem, otaczał mnie prawdziwym lasem symboli, wskazówek i zbiegów okoliczności, a wszystko po to, żeby zrobić ze mnie swoją zakładniczkę. Żebym odtąd, gdziekolwiek skieruję wzrok czy uwagę, chcąc nie chcąc, musiała myśleć o nim.

Lista dwuznacznych symboli, niby niewinnych i potocznych, a jednak jak dla mnie nieodparcie kojarzących się z seksem: tunele, lizaki, lody z dwóch kulek, bombki na choinkę, szparagi, trójkąty skierowane szczytem w dół, banany, ogórki, pieczarki, morele podzielone na pół, węże ogrodowe, pręciki kwiatów...
To samo ze słowami używanymi wszakże w ich właściwym znaczeniu: szpara, dziura, członek, wzgórek, runo, lizać, ssać, moczyć, spuszczać, wchodzić, dochodzić, penetrować, odlatywać, zaspokajać...
(Ciąg dalszy nastąpi)
(Anonimowa odręczna notatka z 8.06.2009)

Chociaż przeszła mi ochota na drzemkę, resztę podróży spędziłam z zamkniętymi oczami, z obawy, że David, podniósłszy nos znad ekranu, wyczyta w nich mój wewnętrzny zamęt. Aby usiedzieć nieruchomo, a do tego spróbować połączyć nas nową niewidzialną nicią, zaczęłam powtarzać w myślach formułkę, jakiej nauczyła mnie Sophia, swego czasu adeptka medytacji ho’oponopono: „Kocham cię.

Przepraszam. Wybacz mi, proszę. Dziękuję". Wypowiadana wielokrotnie, głośno lub bezgłośnie, miała ona, według hawajskich mistyków, moc oczyszczania ciała z niepożądanych emocji i przywracania nam wewnętrznej zgody z nami samymi.

Powitałam brytyjską stolicę na wpół przytomnie, w stanie zbliżonym do transu. David, z telefonem przy uchu, prowadzący rozmowę po rozmowie doskonale płynną angielszczyzną, na szczęście niczego nie zauważył. Zaraz po odstawieniu mnie do prestiżowego hotelu Savoy, którego hall z posadzką w szachownicę przypominał rezydencję Duchesnois, wyruszył na swoje spotkania, nie szczędząc mi ostatnich dobrych rad i ojcowskiego pocałunku w czoło.

– Baw się dobrze, *darling*. Gdybyś czegoś potrzebowała, proś Clive'a. To niezrównany *British pure Oxbridge*, mistrz świata w kurtuazji.

– Znasz go?

– Odkąd skończyłem piętnaście lat, kochanie. Zawsze zatrzymywaliśmy się tutaj za czasów moich rodziców. Będzie zachwycony, mogąc złożyć się na czworo przed tobą.

– OK.

– Na mnie już czas, zobaczymy się jutro.

Clive i jego nienaganne maniery faktycznie okazali się na miarę swojej reputacji. Zachęciwszy mnie najpierw do skorzystania z dobrodziejstw spa i salonu piękności, dostojny konsjerż z wąsem i krzaczastymi faworytami udostępnił mi hotelową limuzynę, którą przez całe popołudnie jeździłam od butiku do butiku.

Wypielęgnowana, dopieszczona, nie miałam nic innego na głowie, jak wydawać jeszcze nie swoje pieniądze. Postanowiłam uzupełnić garderobę ponad jej podstawowy skład zapewniony – i to za jaką cenę! – przez Rebeccę. Piękna Alice dała mi pewne pojęcie o dress codzie obowiązującym w BTV, tak więc poczuwałam się do uhonorowania wymagań mojego mężczyzny i szefa. Przyszło mi zresztą do głowy, że nie powodowała nim wyłącznie chęć rozpieszczania mnie z królewską hojnością: niewątpliwie traktował te

wydatki również jak rodzaj inwestycji. Tym bardziej nie mogłam zawieść jego oczekiwań.

Około czwartej po południu szofer Will wysadził mnie na moją prośbę w odległości kilku przecznic od Savoya, podejmując się odstawić zakupy do pokoju hotelowego, skąd miały być wyekspediowane prosto do Paryża. Ot, jeden z małych przywilejów zarezerwowanych dla bywalców tego typu przybytków. Skorzystałam z niego tym chętniej, że potrzebna mi była odrobina świeżego powietrza i wolności.

Wędrowałam tak przez długie minuty, wystawiając nos do wiatru i napawając się wielkomiejską wonią Londynu, jakże inną od paryskiej, bardziej męską i metaliczną. Nie mogłam powtrzymać się od wyobrażania sobie pikantnych anegdot, jakimi Louis z pewnością ubarwiłby taki spacer. Czy to w tym hotelu Diana i Dodi kochali się po raz pierwszy, w tajemnicy przed całym światem? Które bruki najchętniej wycierały prostytutki z epoki wiktoriańskiej?

Nie wiedzieć czemu w moich myślach pojawił się Fred, wczorajszy przegrany, wychłostany, upokorzony. Faktycznie byłam mu winna parę wyjaśnień, a nade wszystko przeprosiny. Miał rację: zasługiwał, żebym porozmawiała z nim twarzą w twarz. Ale jego komórka milczała, może zresztą celowo nie odbierał połączeń ode mnie, nadal zapiekły w złości i urazie.

Pogrążona w tych rozmyślaniach niemal dochodziłam już do hotelu, mijając po drodze staroświecką czerwoną budkę telefoniczną, jeden z nielicznych reliktów przedkomórkowej przeszłości. I oto nagle, podobnie jak jej paryska siostra sprzed Hôtel des Charmes, budka rozdzwoniła się dokładnie wtedy, gdy znalazłam się na jej wysokości. Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu miejsca, z którego ktoś mógłby mnie śledzić, ale nie zauważyłam nic podejrzanego. Nic poza naglącym brzęczeniem. Jak zaczarowana weszłam do środka i podniosłam czarną słuchawkę.

– Halo? Halo... *Is there anybody here?* – wyjąkałam z moim szkolnym akcentem.

Nie, cisza po drugiej stronie, jak zresztą należało się spodziewać.

Ale natychmiast mój wzrok przykuło co innego, być może miejscowa specjalność: na srebrzystym pulpicie pod aparatem zalegały dziesiątki ulotek reklamujących szczególnego rodzaju usługi: striptizerek, masażystek, *call girls* i innych pięknych a sprzedajnych kobiet. Od Indianki w ludowym stroju do pulchnej matrony jak z burleski, do wyboru, do koloru, na każdy gust i zapotrzebowanie. Kabiny telefoniczne najwyraźniej umykały uwadze służb miejskich, gdyż prospekty piętrzyły się jedne na drugich, od najświeższych do pożółkłych ze starości. Na samym wierzchu leżał za to ten, na którego widok krew ścięła mi się w żyłach:

French Love with Elle

Najgorsze nie było jednak użycie mojego zdrobnienia, tylko zdjęcie przedstawiające mnie w całej krasie, obnażoną w pokoju Maty Hari, w dekoracjach z początków XX wieku, do których nawiązywała czcionka napisu. Już miałam zgnieść ulotkę w kulkę, gdy na jej odwrocie rzucił mi się w oczy inny napis:

2. Nie zostawisz swoich zmysłów w uśpieniu.

Słowo w słowo przykazanie dostarczone mi poprzedniego dnia – wraz z zaproszeniem, które zdecydowałam się zignorować.

Oparłam się plecami o chłodną szybę kabiny, chcąc przeczekać dudnienie w głowie, rozsadzanej od środka przez dziesiątki młotów. Zmięta ulotka wypadła mi z ręki; nie miałam nawet siły, żeby się po nią schylić. Zresztą po co? Komunikat był aż nadto czytelny: w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku czy gdziekolwiek indziej nigdy nie zaznam spokoju. On nie zrezygnuje z gry i choćbym uciekła na koniec świata, znajdzie sposób, żeby mnie dopaść i zmusić do uległości w zamian za milczenie. Pajęczyna wokół mnie nie była utkana wyłącznie z symboli, ale i z jego rzeczywistej, choć niewidzialnej obecności, z namacalnej opresji, jakiej doświadczają bohaterowie opowieści szpiegowskich, albo jeszcze lepiej horrorów.

Na chwiejnych nogach wytoczyłam się z czerwonej budki i zatrzymałam taksówkę. Nie było sensu wracać do hotelu: miałam ze sobą wszystko, co potrzeba, włącznie z biletem powrotnym, który bez żadnego problemu przebukowałam na najbliższy Eurostar.

Przez całą drogę do Paryża, w nastroju skrajnie odmiennym od radosnego podniecenia z podróży w przeciwnym kierunku, wierciłam się bezsennie w fotelu niczym na łożu tortur. Drżałam na myśl, że takie same ulotki z moją podobizną mogły się znaleźć w innych kabinach wokół hotelu Savoy, a może wręcz w recepcji... albo nawet, biorąc pod uwagę skuteczność niewidzialnej ręki po drugiej stronie kanału La Manche, bezpośrednio w apartamencie numer 24, wynajętym przez Davida.

Żadne mantry Sophii nie były w stanie mnie uspokoić. Pod wpływem mojego bezsilnego gniewu formuła zmieniła zresztą treść i powtarzałam teraz co innego: „Nie kocham cię, nienawidzę cię... Nie jest mi ani trochę przykro. I proszę tylko o jedno: czy ci się to podoba, czy nie, wynoś się z mojego życia! Dziękuję".

Przez chwilę walczyłam z pokusą telefonicznego ataku na asystentkę Louisa – nie miałam wątpliwości, że nic u niej nie wskóram, tak jak poprzednio – a później z drugą, jeszcze gwałtowniejszą, żeby prosto z dworca wtargnąć do wieży Barlet.

Gdybym jednak miała wywołać skandal w BTV w przeddzień debiutu na antenie, moja zawodowa przyszłość zawisłaby na bardzo cienkim włosku. David byłby może w stanie przebaczyć, ale inni, wszystkie te Luki, Chloé czy Alice? Co więcej, musiałabym wytłumaczyć mojemu przyszłemu mężowi powody tak histerycznego zachowania. I niby dlaczego miałabym nagle zapałać nienawiścią do jego rodzonego brata, który jeszcze dzień wcześniej szarmancko służył mi za przewodnika?

Z Gare du Nord wsiadłam w RER linii B, następnie przesiadłam się na linię A, zmieniając tylko peron na stacji Les Halles. W niespełna czterdzieści minut później, odmierzanych mruganiem sennych powiek, dotarłam wreszcie do Nanterre.

– Jadłaś? – zapytała mama od progu.

Minęła godzina 21.00, a ja, prawdę mówiąc, nie miałam nic w ustach przez cały dzień, poza sandwiczem przegryzionym naprędce między butikami Covent Garden.

– Nie...

– Zostało trochę pieczeni z wczoraj, jeśli chcesz. Albo mogę zrobić ci sałatkę ziemniaczaną.

– Niech będzie sałatka.

Dopiero przy stole, łapiąc widelcem kartoflane kostki pokryte musztardą i żółtkiem, zauważyłam większe niż zwykle znużenie w głosie mamy i jej płytki, przyspieszony oddech. Ewidentnie nie było z nią najlepiej, a mimo to wyglądała na rozradowaną.

– Tylko popatrz, co dzisiaj dostałam!

Wyszła na chwilę do salonu, aby przynieść do jadalni wazon ze wspaniałym bukietem polnych kwiatów.

– Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko...

Pokazała mi imponujących rozmiarów pudełko na ciastka, w dobrze mi znanym seledynowym kolorze, z wytworną serwetką w środku.

– Makaroniki? – domyśliłam się.

– Pięćdziesiąt makaroników z różą!

– Twoje ulubione...

– Tak!

Cieszyła się jak dziecko, obdarowane łakociami przy wyjściu ze szkoły.

– Wiesz, kto cię tak uraczył? Był jakiś bilecik?

– Nic a nic. Ale mam pewne podejrzenia...

Identyczne z moimi, sądząc po jej rozanielonym uśmiechu: David. Jak można być tak doskonałym? Albo i więcej niż doskonałym... Zupełnie tego nie pamiętałam, ale pewnie napomknęłam mu kiedyś o maminych gustach, bez żadnych podtekstów – i oto proszę, już zaczął rozpieszczać ją tak jak mnie.

To, że nawiązał z mamą bezpośredni kontakt, nie było całkowicie po mojej myśli; przeciwnie, przyjęłam to do wiadomości z pewnym zażenowaniem. W geście Davida, skądinąd dość uzasadnionym na dziesięć dni przed naszym ślubem, mogło jednak chodzić o coś

innego: o wymuszenie na mnie oficjalnej prezentacji, stale odkładanej na później.

Tak czy inaczej, należał mu się SMS z wyrazami wdzięczności:

Dzięki za kwiaty i makaroniki. Mama jest w siódmym niebie.
Kocham cię.

Odpowiedź przyszła po niespełna minucie:

> Ja ciebie też. Ale niestety, kwiaty to nie ja. Twoja mama ma innego wielbiciela!

Louis! Któż inny? Przecież nie Fred. Ani z pewnością nie nasz sąsiad, ten obleśny dziad, który swego czasu nie spuszczał oka z naszego domku.

Louis, tak skłonny wślizgiwać się w moje życie, na swój sposób wypełniać każdą lukę... Radość mamy, choćby przelotna, była jednak bezcenna – akurat tego nie mogłam mieć mu za złe. Tyle że jak sam doskonale wiedział, przez mamę wiodła najkrótsza droga do mojego serca, które trzymał teraz w garści.

– Ale nie musisz mi zazdrościć, kochanie – dodała mama. – Ty też dostałaś dzisiaj prezent.

– Prezent...?

Wskazała mi pudełeczko opakowane w znajomy srebrzysty papier. Leżało sobie na komodzie w salonie, przed moimi zdjęciami – dlatego nie zauważyłam go z kuchni.

– Wiesz co, ten twój kolega z biura absolwentów musi mieć jakieś zamiary wobec ciebie – zażartowała, puszczając do mnie porozumiewawcze oko.

Nie chciałam psuć jej dobrego humoru, więc stłumiłam westchnienie. Paczuszka parzyła mnie w ręce, jakbym spodziewała się w środku ukrytej bomby, którą przypadło mi rozbroić.

– Myślisz?.. Niewykluczone.

Z ostrożności wolałam wycofać się do swojego pokoju, żeby rozpakować prezent. Tylko moje stare pluszaki obserwowały zatem

wzrokiem pełnym dezaprobaty, jak wyjmuję z pudełka coś w rodzaju wydłużonego jajka z błyszczącego metalu. Ciekawe, czy Sophia posiadała ten model w swojej kolekcji erotycznych zabawek? Nie miałam złudzeń co do przeznaczenia gadżetu, ale ze wszystkich sił odpychałam od siebie wywoływane przez niego wizje.

W kopercie dołączonej do przesyłki znalazłam kolejny magnetyczny klucz do pokoju w Charmes, jak zwykle z różową karteczką samoprzylepną. Zapisała ją ewidentnie ta sama ręka, co dwie poprzednie:

Godzina 22.00.
Proszę zabrać swój prezent.
Jestem pewien, że tym razem nie omieszka pani
stawić się na nasze spotkanie.

16

I miał rację: nie omieszkałam, zwłaszcza że nie było już pretekstu w postaci przyjęcia wydanego przez Davida ani nawet nie było jego samego. Zmierzałam więc do Charmes, ale z dziwnie lekką duszą, tak jakbym miała zostawić tam jakąś zbędną już, niechcianą część siebie. Coś w rodzaju martwej skóry po wylince. O właśnie, dobre porównanie: zamierzałam udawać przed Louisem, że spełniam jego oczekiwania, faktycznie będąc już gdzie indziej. Nie z nim. Ani nie dla niego. Zostanie mu tylko nieaktualna wersja tej, którą od tak dawna osaczał swoimi obscenicznymi liścikami, pewien, że wreszcie ją złowi i unicestwi raz na zawsze. Tymczasem złowi tylko widmo, pożre tylko mój cień. A ja w końcu porzucę w tych murach wszystko, co jeszcze oddalało mnie od Davida, włącznie z ostanimi rewelacjami, o których dowiedziałam się okrężną drogą, a nie powinnam była nigdy się dowiedzieć. I wtedy, dopiero wtedy, będę mogła należeć do niego i wyłącznie do niego. Ja, Annabelle Barlet, małżonka Davida.

Nie wiem tylko, kogo chciałam oszukać, snując tak naiwne rozważania. Trzeba chyba przyjąć, że bardzo tego potrzebowałam...

Byłam już spóźniona w stosunku do wyznaczonej godziny, tak więc przyspieszyłam kroku od metra Saint-Georges, gdzie kręcono akurat scenę jakiegoś historycznego filmu. Zapewne z okresu okupacji, sądząc po akcesoriach na planie: kiosku retro i zaparkowanym nieopodal muzealnym citroënie. Ja z kolei, przez chwilę oślepiona potężnymi reflektorami, wędrowałam przez jeszcze wcześniejszy wiek, po śladach, jakie zostawiliśmy tutaj z Louisem poprzedniego dnia.

Rozpoznawałam domy z przeszłości opowiedzianej przez niego z tyloma detalami. Miałam nawet ochotę skręcić w rue La Bruyère, w irracjonalnej nadziei, że minę po drodze poetkę Marceline, spacerującą pod rękę z kochankiem. Na rogu ulic Notre-Dame-de-Lorette i La Rochefoucauld utrwalony w medalionie Bacchus pokazywał mi język spod wspartego na kolumnach balkonu. Miałam wrażenie, że maszkaron delektuje się ironią mojej sytuacji – ale po

chwili ujrzałam zamiast niego twarz Louisa, puszczającego do mnie oko z diabelskim uśmiechem. Wszechobecnego.

I znów musiałam o nim myśleć. Dlaczego tak uparcie trzymał się nikczemnej roli perwersyjnego markiza manipulatora? To pytanie nurtowało mnie coraz bardziej. Po co mu to było? Jaką krzywdę musiał wyrządzić mu David – i jaką on sam wyrządziłby Davidowi, gdyby zamienili się miejscami, tego akurat byłam pewna – żeby aż tak uwziąć się na mnie, przedmiocie jakiejś nieustającej transakcji między nimi? A przecież, gdyby tylko zechciał być zawsze takim Louisem, jak w pewnych momentach naszej wycieczki, zrównoważonym, uroczym, zabawnym towarzyszem, szczodrze obdarzającym mnie swoją wielką wiedzą, moglibyśmy kiedyś zostać... czy ja wiem, przyjaciółmi? Zamiast dzielić braci dodatkowo, wolałabym zasypywać przepaść między nimi. Stać się aniołem ich zgody i pojednania.

– Dobry wieczór, Elle. Nie spodziewałem się tak szybko zobaczyć panią znowu... ale bardzo mi miło, oczywiście.

Kurtuazyjny jak zawsze, monsieur Jacques powitał mnie zza kontuaru, zginając swą długą sylwetkę w typowym dla siebie ukłonie, szybkim pochyleniu tułowia do przodu, jakie przy każdej okazji praktykują Japończycy. Kwaskowaty zapach wody toaletowej z bergamotką przelotnie połechtał mój nos.

– Dziękuję – skróciłam uprzejmości. – Proszę mi powiedzieć...

Wyciągnęłam z torebki wydłużone metalowe jajo.

– Ach, ach! – wykrzyknął z błyskiem w oku. – Nowa zagadka?

Często myślałam o roli, jaką monsieur Jacques mógł odgrywać w inscenizacjach Louisa. Jakkolwiek by patrzeć, był to przecież jego hotel. Karty do pokojów nie przechodziły z rąk do rąk bez jego wiedzy i przyzwolenia. Czy zadowalał się przekazywaniem ich starszemu z braci Barletów i zamykał oczy na całą resztę, czy może był kimś więcej, zausznikiem, wspólnikiem? Niczym jego łysa czaszka, konsjerż w Charmes był jednak równie gładki co nieprzenikniony.

– Na to wygląda, tak...

– I żadnych wskazówek tym razem?

– Nic. Tylko to.

Złożyłam gadżet w jego wyciągniętej ręce, długiej, pajęczej, tak delikatnej, że wręcz niepokojącej. Zacisnął palce na połyskliwej stali i podniósł ją do swych wyłupiastych oczu.

– Maria... – uśmiechnął się wreszcie, po dłuższej chwili namysłu.

– Maria?

– Maria Bonaparte.

– Córka... Napoleona III? – zaryzykowałam.

Poprawił mnie bardzo grzecznie, niemniej poczułam w jego wzroku cień jakby przygany lub zażenowania, w każdym razie coś nowego, co przebijało przez zwykłą maskę kurtuazji.

– Stryjeczna prawnuczka Napoleona I.

– Niech będzie. Wierzę panu na słowo. Ale dlaczego jajko?

Uniósł nieistniejące brwi nad bezkresnie błękitnymi oczami.

– Hm... Nic pani nie wie o jej związkach z rodziną Freuda?

– Nie – przyznałam ze wstydem.

– Maria Bonaparte była bywalczynią salonów i innych intelektualnych kręgów z końca XIX wieku. Stale obracając się wśród ówczesnych znakomitości, zaprzyjaźniła się z niektórymi z nich. Do bliskich jej ludzi należał między innymi francuski psycholog Gustave Le Bon.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko...

– A jednak w tamtych czasach wiele o nim mówiono. Jego praca na temat psychologii tłumu była wręcz rodzajem bestsellera... To on polecił Marii lekturę *Wstępu do psychoanalizy* Freuda.

Powoli zaczynałam rozumieć, dokąd zaprowadzi mnie ten wykład.

– I w końcu poznała go osobiście, prawda?

– O, znacznie więcej: została jego pacjentką, i to na prawie piętnaście lat.

– Niesłychane. Ale skąd jajko?

– Cóż, nasza droga Maria Bonaparte miała pewne obsesje... Chcę powiedzieć: seksualne.

– Ach, tak?

– Nie była w stanie zaznać prawdziwej rozkoszy. I z jakiegoś powodu, do dziś niewyjaśnionego, nabrała przekonania, że jej oziębłość nie była skutkiem podświadomych urazów czy zahamowań... tylko ogólnego problemu natury anatomicznej.

Powstrzymał się przed naciskiem na ostatnie słowo, jakby bojąc się, że wywoła nim jakiś efekt niepożądany.

– Anatomicznej? To znaczy?

– Twierdziła z pełną powagą, że łechtaczka jest zbyt oddalona od pochwy, aby skutecznie wypełniać swoją jedyną znaną funkcję: wywoływania orgazmu. Napisała nawet kilka artykułów na ten temat.

– I co? Próbowała rozwiązać problem dzięki temu?

Wskazałam na podłużny przedmiot, którego monsieur Jacques nie wypuszczał z rąk. Obracał go między palcami jak kamyk, porzucając nawet dla tej zabawy swoje nieśmiertelne wieczne pióro z czarnej laki ze złotymi obwódkami.

– Niezupełnie. Początkowo wierzyła, że chirurgia potrafi naprawić błędy natury. Poddała się nie mniej niż trzem operacjom po to, by przybliżyć otwór kopulacyjny do tego małego organu, położonego jej zdaniem zupełnie nie tam, gdzie trzeba.

Nie mogłam powstrzymać się od krzyku.

– Co? Przecież to czyste szaleństwo!

– Trochę tak, trudno zaprzeczyć. Dopiero później zwróciła swe nadzieje ku psychoanalizie, wówczas jeszcze raczkującej. Niestety, mimo lat spędzonych na jego kozetce, sam wielki Freud nie umiał jej pomóc. A jeśli chodzi o ten drobiazg...

Podniósł przed sobą jajko jak trofeum, z egzaltacją w oczach.

– ...Należał do licznych zabawek intymnych księżniczki Bonaparte. Używała ich i nadużywała pasjami, próbując osiągnąć przez stymulację od wewnątrz to, czego nie mogły jej dostarczyć zewnętrzne bodźce. Była tak przekonana, że w końcu ją odblokują – wybaczy mi pani to określenie – że entuzjastycznie promowała pierwsze elektryczne wibratory, jakie pojawiły się wtedy na rynku. Ot tak, bezinteresownie... Można rzec, męczennica na ołtarzu erotyki.

– Nie do wiary.

– Ale proszę mnie źle nie zrozumieć. Mimo całej ekscentryczności w pewnych dziedzinach Maria była przyzwoitą kobietą. W czasie drugiej wojny światowej, już jako niemłoda dama, osobiście angażowała się w pomoc prześladowanym Żydom. Wielu

intelektualistów zdążyło uciec z Austrii i Niemiec właśnie dzięki niej. Freud z rodziną należał do tych szczęśliwców.

Pochylił ku mnie swój długi tułów, aby zwrócić mi moją własność, jakby z odrobiną melancholii:

– Teraz wie pani wszystko. Maria Bonaparte jest na trzecim piętrze, pierwsze drzwi na lewo po wyjściu z windy. Życzę pani miłego wieczoru, Elle.

Bez żadnego podtekstu w głosie. Zero dwuznaczności, nic poza zwykłą kurtuazją.

Ledwie się odwróciłam, zaskoczył mnie nieskazitelnie biały uśmiech Ysiama. Tego samego, który zaprowadził mnie do mojej pierwszej celi. Który nie odpowiadał na moje wołania o pomoc. Którego ręka wsuwała pod drzwi rozkazy Louisa. Mimo swej niewinnej miny Ysiam nie był nikim innym jak strażnikiem więziennym.

– Pozwoli pani ze mną, mademoiselle?

Z drugiej strony, cóż bardziej żałosnego niż mścić się na posłańcu złych wieści? Pierwsza weszłam do windy, wkrótce sunącej w górę ze stłumionym szumem. Przez całą drogę, fakt, że krótką, nie zamieniliśmy jednego słowa, a przy wyjściu boy tylko odsunął się na prawo, żeby mnie przepuścić, i wskazał ciemnogranatowe drzwi. Odkryłam przy okazji, że kolor ten dominował w całym korytarzu, tak jak czerwień na piątym piętrze czy złoto na pierwszym, tam gdzie mieściła się Józefina.

Podchodząc do drzwi z kartą w ręku, zamierzałam właśnie wypytać Ysiama o jego zleceniodawcę, gdy on pierwszy przerwał milczenie:

– Tym razem nie będzie poleceń. Zrozumie pani, co należy zrobić. Sama.

– Nie będzie poleceń? – zdziwiłam się, udając naiwność. – A kto tak zarządził?

– Tego nie mogę pani powiedzieć.

– To polecenie dla pana, nieprawdaż?

– Tak – potwierdził.

Dałabym głowę, że jego ciemna skóra pokryła się rumieńcem.

– Ależ przecież strasznie pana korci zdradzić mi ten sekret! – prowokowałam.

Miałam nieodpartą ochotę poigrać z nim jak kot z myszą, podniecona jego rezerwą.

Biedny chłopiec stracił swój pogodny spokój. Wyglądał wręcz rozczulająco, z oczami pełnymi lęku, rozbieganymi w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia.

– Wcale nie!

Jego wzrok spoczął wreszcie na trzymanej przeze mnie karcie. To była jego ostatnia deska ratunku i takim też gestem ją chwycił, nie pytając mnie o zgodę. Wsunął kartę w czytnik, co niezwłocznie odblokowało drzwi. Moje więzienie oznaczało wolność dla Ysiama.

Bez jednego słowa więcej w okamgnieniu znalazł się na drugim końcu korytarza. Louis mógł być z niego dumny: Ysiam nie uległ pokusie. Skądinąd musiał być hojnie wynagradzany za tę niezłomność.

Wiedziałam jednak, że wróci pod moje drzwi, żeby zaryglować je od zewnątrz, co też wkrótce uczynił.

Pokój nie przypominał sypialni, raczej gabinet, powściągliwie urządzony w stylu fin de siècle'u. Nie potrafiłabym powiedzieć, z jakiego dokładnie okresu pochodziło umeblowanie: wiśniowe politurowane biurko pokryte zielonym suknem, kulista metalowa lampa, nieduży podniszczony fotel klubowy, a przede wszystkim, pod jedynym i zamurowanym oknem, kanapa obita welurem w kolorze krwistej czerwieni, z kilkoma rozrzuconymi po wierzchu haftowanymi poduszkami.

Cały ten wystrój wydał mi się dość spójny, biorąc pod uwagę osobę patronki. To, czego ode mnie oczekiwano, było również w miarę oczywiste, tak więc bez zbędnej zwłoki wyciągnęłam się na kanapie.

Podobnie jak za pierwszym razem upłynęło sporo czasu, zanim ktokolwiek raczył mi się objawić. Docierały do mnie tylko dalekie echa ruchów przy windzie, stłumione odgłosy zamykanych i otwieranych drzwi, coś jakby turkot wózka serwisowego pchanego korytarzem przez kogoś z obsługi.

Płaski ekran zawieszony na ścianie, jedyny przejaw nowoczesności w wystroju pomieszczenia, zauważyłam dopiero wtedy, gdy uaktywnił się samoistnie. Sprawdziłam, czy przypadkiem nie usiadłam na pilocie, ale nie – aparaturą ewidentnie sterowano z zewnątrz. Po pierwszym śnieżeniu na ekranie pojawił się obraz, wnętrze innego pokoju.

Biegunowo odmienne od wszystkiego, co dotąd tu widziałam i z czego słynął Hôtel des Charmes. Żadnych dekoracji retro, żadnych nawiązań do tej czy innej postaci historycznej. Ściany były pomalowane na czarno z lekkim odcieniem granatu, a całe umeblowanie sprowadzało się do łóżka z grubym materacem i narzutą oraz dwóch foteli w stylu Ludwika XV obitych ciemnym płótnem. W słabym oświetleniu robiło to dość upiorne wrażenie i musiałam doczekać się wejścia dwóch osób, kobiety i mężczyzny, zupełnie nagich i zamaskowanych, aby zrozumieć zamysł scenografa: otóż ciała tych dwojga lśniły w półmroku jak olbrzymie robaczki świętojańskie, wydobyte z ciemności dzięki magii czarnego tła. Słowem, było to oświetlenie godne spektaklu z nocnego klubu i nie wątpiłam, że taki właśnie spektakl zostanie mi zaserwowany. Na razie podziwiałam skórę aktorów, połyskliwą i zarazem nierzeczywistą w swej doskonałości, bez jednej skazy, przepuszczoną przez podwójny filtr rozproszonego światła i elektronicznej obróbki.

Czy wiedzieli, że ich obserwuję? A jeśli tak, kim byli, żeby podjąć się takiego zadania? Szybkość, z jaką zabrali się do dzieła, pomijając wszelkie preludia, zapewne zbędne w ich mniemaniu, pozwalała domyślać się w nich zwykłych najemników, opłaconych i przysłanych tu przez Louisa specjalnie dla mnie. Dziewczyna, niższa, ale i drobniejsza ode mnie, z piersiami wielkości małych, ledwie wypukłych jabłuszek, uklękła przed partnerem, aby własnymi ustami obudzić jego męskość, jeszcze niepozorną, bezsilną, śmiesznie dyndającą mu między nogami. Ssała starannie, by nie rzec pedantycznie, preferując raczej małe ruchy języka wokół żołędzi i wędzidełka niż wchłanianie całości. Od czasu do czasu następował jednak i taki atak, przyjmowany przez mężczyznę głośniejszym rzężeniem, nasilającym się w miarę jak jego członek pęczniał w gardle kobiety.

Fakt, że było to przedstawienie odgrywane dla mnie jednej przez zawodowców z jakiegoś *live-show* przy Pigalle, i cała ta sztuczność oraz umowność powinny były ułatwić mi zachowanie dystansu. Pomimo to w miejsce obojętności podszytej lekkim niesmakiem pojawiła się wkrótce ciekawość, że tak powiem, czysto techniczna. Fascynowało mnie, co robi ta kobieta, w jaki sposób potrafi dostarczyć partnerowi aż tyle rozkoszy, i to jeszcze na długo przed finałem. To, co odrzuciłoby mnie w każdym innym filmie X, tym razem okazało się potężnym środkiem stymulującym. Może za sprawą efektu realizmu. Jak urzeczona wpatrywałam się w usta aktorki, teraz zatrzymane na już wyprężonym penisie, ciemnym i lśniącym od przemieszanych żądz obojga. Wstyd było mi przyznać to samej przed sobą, ale owszem... ich numer podniecał mnie do szaleństwa!

– Jeszcze, jeszcze... Tak!

Miałam dziwne wrażenie, że głos mężczyzny słyszę podwójnie, jakby zdublowany głuchym echem. Wstałam z kanapy, podeszłam do ściany z ekranem, aby odkryć, że do głośnika wmontowanego w telewizor faktycznie dochodziło inne źródło dźwięku, bardziej bezpośrednie, niejako bardziej rzeczywiste i tym samym bardziej poruszające: po prostu tych dwoje uprawiało seks w pokoju obok, za cienką ścianą, przepuszczalną dla wszystkich wydawanych przez nich odgłosów!

Świadomość, że są tak blisko, niemalże na wyciągnięcie ręki, wzbudziła we mnie szaloną i frywolną chęć, żeby do nich dołączyć. Żeby uczestniczyć w ich akcie, przynajmniej do pewnego stopnia. Rozdarta między obrazem a dźwiękiem, na zmianę to przykładałam ucho do ściany, to oddalałam się o kilka kroków, aby nasycić się widokiem na ekranie, za każdym razem oferującym inną kombinację, inną stronicę Kamasutry, inną przyjemność dla któregoś z aktorów. Ysiam miał rację, podobnie jak niewidzialny człowiek sterujący nami obojgiem: wiedziałam, co mam robić. Tym razem nie potrzebowałam żadnych dodatkowych poleceń ani wskazówek.

Wystarczyło mi tylko podążać za rękami mężczyzny, które już zaczęły wędrówkę po ciele partnerki, ugniatając fałdkę za fałdką, obchodząc tę czy inną zatokę, po drodze zapuszczając się jednym

palcem w bruzdę między pośladkami albo między ciemne, mięsiste, nabrzmiałe pragnieniem wargi sromowe. A ja, po mojej stronie elektronicznego lustra, rozbierałam się powoli, ściągając jedną sztukę garderoby po drugiej, przy czym dotyk każdej rozpalał osobną część mojego ciała: pośladki, brzuch, uda, ramiona, sutki... Nie mogłam oderwać oczu od rąk mężczyzny na ekranie... Na stojąco, jeszcze w majtkach, starałam się dokładnie naśladować jego gesty. Stawałam się moim własnym amantem, odkrywając pod palcami niewymowną słodycz.

W chwili muśnięcia łechtaczki, teraz pobudzonej, dociśniętej do koronki majtek i dumnej ze swych nowych rozmiarów, zobaczyłam, jak mężczyzna nurkuje twarzą między uda małej brunetki. Każdy ruch jego języka wprawiał jej ciało w konwulsyjne falowanie, odrywał pośladki od łóżka, naprężał piersi. Chociaż początkowo tak drobne, teraz zdawały się rosnąć i wzbierać wraz z kolejnymi falami, które niosły kobietę daleko, coraz dalej, ku jej pierwszej rozkoszy. Mimo niewielkich gabarytów kochanki głowa mężczyzny znikła jeszcze głębiej w jej nogach, wtopiła w jej łono, przywarła nosem do jej ciemnego wzgórka. Kochanek ssał, gryzł, kąsał, sycił się jak wygłodniały zwierz każdym skrawkiem pożeranego mięsa. Później, po jej jękach, coraz przenikliwszych i szybszych, poznałam, że wprowadził w nią język, najlepszy z seks gadżetów, naturalny i ewidentnie bardzo zręczny.

Orgazm dopadł ją znienacka, wyginając jej grzbiet w nieprawdopodobny łuk, łamiąc kark, ściągając w skurczu każdy mięsień. Po chwili lewitacji opadła bezwładnie na łóżko, jak rażona prądem.

Wysuwając twarz z tego rozkosznego piekła, mężczyzna kontemplował ją przez kilka sekund, okiem malarza zapatrzonego we własne arcydzieło. To on doprowadził ją do tego stanu, on sam i nikt inny. Jego język był pędzlem mistrza, narzędziem w rękach geniusza. Ale ów triumf najwyraźniej nie dał mu pełnej satysfakcji, skoro zdecydowanym gestem znów rozsunął jej uda i wsunął między nie swój członek – jak mi się wydało, teraz jeszcze potężniejszy niż wtedy, gdy wychodził z ust dziewczyny.

Mężczyzna zarżał donośnie, penetrując ją od przodu, z torsem pionowo nad jej ciałem wyciągniętym z rozkoszą w poprzek ogromnego łoża. Ona z kolei zareagowała wdzięcznością, gdy przekręcił ją na drugą stronę i sam położył się na jej plecach. Przez chwilę dźgał penisem jej pośladki w poszukiwaniu mokrej szpary, później, już we właściwym miejscu, podjął regularny ruch w tę i z powrotem, jednocześnie drażniąc nabrzmiałą łechtaczkę ręką podłożoną pod brzuch kobiety.

– Tak... Tak, rób tak, rób – jęczała błagalnie.

Jej głos zniżył się do szeptu. Kąt kamery nie pozwalał mi zobaczyć w całości jej twarzy, ale wyobrażałam sobie, jak wygląda: z półotwartymi ustami – zapewne równie wilgotnymi jak łono, twarzą pręgowaną przez kosmyki potarganych włosów, wzdychającą coraz częściej, głębiej i donośniej.

Jednoczesna stymulacja jej najwrażliwszych stref zdawała się znów brać nad nią górę. Przy każdym wtargnięciu członka w głąb niej wypinała drżące ciało do tyłu, na spotkanie z agresorem. Westchnienia zastąpił teraz inny dźwięk: chrapliwy, prymitywny, prawdziwie zwierzęcy pomruk z głębi trzewi, nasilający się w miarę jak rozkosz nacierała na nią ze wszystkich stron, jeśli sądzić po niekontrolowanym drżeniu jej szyi i kończyn.

Drugi orgazm uderzył w nią piorunem. Jej głowa zatańczyła na boki, długi spazm przebiegł jej grzbiet, po czym cała zastygła bez ruchu.

Byłam nie mniej porażona. Wilgoć między nogami, a później ich chwiejność przywróciły mi nagle cały mój ciężar. Już nie unosiłam się we mgle. Miałam rok, miałam tysiąc lat, uginałam się pod brzemieniem pragnień zbyt długo tłumionych i niezaspokojonych. Przywarłam plecami do ściany, po czym osunęłam się na czworaki i w tej groteskowej pozycji udało mi się dobrnąć do kanapy. Z nosem wtulonym w czerwony welur, dojrzałam nagle metaliczne jajko leżące sobie niewinnie wśród fałdów tkaniny. Patrzyło na mnie. Prowokowało mnie. Oczekiwało ode mnie reakcji.

Za moimi plecami, na ekranie, zapasy trwały w najlepsze. Usatysfakcjonowany powtórnym szczytowaniem partnerki, mężczyzna klepał ją teraz po pupie i mruczał czułe sprośności,

nazywając ją „swoją słodką, małą cipką” i podobnymi określeniami, które chociaż obiektywnie dość poniżające, w tym miejscu i kontekście brzmiały raczej jak komplementy. Po tej chwili oddechu wszedł w nią znowu i zerwał się do szaleńczej kawalkady przez jej mokre łono, już połyskujące pierwszymi skurczami. To, co było przedtem, wydało mi się teraz zwykłą rozgrzewką, gdyż mężczyzna dźgał dziewczynę jak w transie, z pasją bliską brutalności czy wręcz gwałtu. Rozgniatał jej ciało umęczone rozkoszą, a ona jęczała głośno, przy czym nie sposób było odróżnić w tych jękach słowa zachęty od błagania o litość, bólu od ekstazy.

Zdzierając cienki pasek haftowanej bawełny wypełniony moim obrzmiałym sromem i czując, jak po udach spływa mi strumień ejakulatu, pomyślałam, że jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie postawił mnie wobec takiego dylematu: chcieć więcej czy marzyć, żeby się skończyło, w tej samej chwili uniesienia. Wszystko i nic, zamknięte w jedynej w swoim rodzaju rozkoszy, która zachwyca i obezwładnia, przeraża i uszczęśliwia.

Chyba że... Być może czekałam na ten moment, na to jajko, na tę kapitulację mojego ciała przed triumfującym Louisem, z pewnością śledzącym mnie zza kulis... być może właśnie teraz byłam bliska zaznania po raz pierwszy takiego najwyższego rozdarcia.

Gdy wreszcie wsuwałam w siebie podłużny kształt, dziewczyna na ekranie wykrzykiwała swój nowy orgazm. Bez najmniejszego oporu wepchnęłam jajko w głąb, jak najgłębiej, gestem tak niecierpliwym, jakbym nie mogła się doczekać pójścia w jej ślady i zjednoczenia się z nią w krzyku. Moja pochwa obkurczyła się najpierw na chłodnym metalu, zdziwiona nieoczekiwanym intruzem, ale później objęła go przyjaźnie, a nawet zaczęła się z nim bawić, w czym pomogłam jej kilkoma skrętami bioder i skurczami krocza. Połykała jajko w całości, zasysała głęboko, tak że nie mogłam dosięgnąć go palcami, potem wypuszczała samoistnie, znów wchłaniała... Moje królestwo wziął w posiadanie nowy, chociaż sztuczny król.

W końcu znalazłam siłę, żeby wczołgać się na kanapę, która ugięła się pode mną z miękką podatnością starych sprężynowych mebli, wyrobionych pod ciężarem ciał zalegających tu wcześniej. Z szeroko rozsuniętymi nogami i łonem otwartym na ekran, czułam

się penetrowana sarabandą obojga protagonistów. Tak jakby ich rozkosz przenikała ścianę i wchodziła we mnie, żebym i ja mogła zakosztować tego, czym obdarzali się tak hojnie.

Twarz mężczyzny, widzialna tylko momentami, zależnie od zmian ich pozycji i oświetlenia, przybierała różne rysy, raz miększe, raz ostrzejsze. Jako pierwszy objawił mi się David, radosny i młodzieńczy, z uśmiechem podnoszący głowę znad moich ud.

I dokładnie w tym momencie odczułam pierwsze wibracje jajka wewnątrz mnie, niezwykłe, rozchodzące się po całym obwodzie mojego łona, wzdłuż warg sromowych, aż do szczytu łechtaczki. Nie mogłam jej nawet dotknąć, tak bardzo była pobudzona, nadwrażliwa, przeszywana z każdej strony dobroczynnymi falami, sterowanymi z odległości niewidzialną ręką.

Ale oto natychmiast, w następnym przebłysku, zobaczyłam nad sobą mroczną twarz Louisa... To on wynurzał się spomiędzy moich ud razem z elektrycznym amantem, to jego oczy wpatrywały się we mnie, paliły, pożerały. Wyglądał jak drapieżnik, jak wilk gotów zatopić zęby w moim rozwartym ciele. Spazmy, jakie chwyciły mnie od środka, miały efekt tych straszliwych kłów. Czułam się darta na strzępy, zagryzana, miażdżona potężnymi szczękami z siłą, jakiej nie doświadczyłam nigdy w życiu. Coś w rodzaju eksplozji rozsadziło moje trzewia. Nieme wyładowanie w przedziwnie zwolnionym tempie, jakby depolaryzacja wszystkich moich tkanek. Przerażenie, jakie ogarnęło mnie w ułamku sekundy, stopniowo zanikało przy każdej kolejnej głuchej fali. Teraz ja byłam unicestwiona, jak tamta dziewczyna na ekranie. Moja głowa nagle odchyliła się w tył, a usta same złożyły się w wielkie O. Wydałam z siebie długi, bezgłośny krzyk, chłonąc każdą sekundę rozkoszy, marząc, żeby trwała wiecznie, choćbym miała przypłacić ją życiem.

Kiedy wreszcie opadłam na kanapę, ciężko i wiotko, jak puzzle rozczłonkowanego ciała, dostrzegłam kątem oka, że ekran zgasł. Również jajko przestało wibrować i samoistnie wyślizgnęło się z mojej ziejącej szpary.

Nie dotknął mnie nawet przez chwilę. Nawet nie wszedł do tego pokoju. A jednak szlochając i śmiejąc się jednocześnie, na zmianę ze

szczęścia i goryczy, musiałam to przyznać: Louis dał mi kosmiczny orgazm. Louis Barlet właśnie mnie posiadł.

I cóż, jednak od tego nie umarłam.

17

9 czerwca 2009

Nic na konsoli w hallu. Nic w skrzynce pocztowej w bramie rezydencji Duchesnois. Poranek następnego dnia nie przyniósł mi żadnego anonimowego listu. Miałam na końcu języka zapytać o to Armanda; ale na szczęście powstrzymała mnie myśl, że gdyby była jakaś koperta, sam by mi ją przekazał, z właściwą sobie usłużnością.

Ta epistolarna cisza mogła być dobrą nowiną. Mogła nawet oznaczać zawieszenie broni, gdyby mój prześladowca, kimkolwiek był, nasycony wczorajszymi widokami zechciał przynajmniej na chwilę poluzować sieć wokół mnie.

Ale nie robiłam sobie złudzeń. Gorzej, ta nieobecność wydała mi się jeszcze bardziej złowróżbna niż wcześniejsze osaczanie.

Na wybór toalety poświęciłam dobre pół godziny. Nie chciałam niczego przeoczyć w dniu debiutu w BTV. Wiedziałam, że od początku będę pod ostrzałem, że każda firmowa Alice rozbierze mnie na czynniki pierwsze swoim perfidnym okiem. Czułam się więc w obowiązku – wobec siebie, ale również wobec Davida – wyglądać nienagannie, mimo moich okrągłości i kształtów zbyt obfitych, by przystroić je tak, jak bym sobie wymarzyła. Dokończyłam dzieła, wsuwając buty Louboutin. Przypomniało mi się, jak mierzyłam je pod rozweselonym wzrokiem Davida w butiku galerii Vivienne, rozdarta między pożądliwym zachwytem nastolatki a jakże ostrą świadomością moralnej pustki, w jaką wciągały mnie takie luksusy. Moja matka umierała na raka, a ja śliniłam się przed parą szpilek za tysiąc euro...

– Dzień dobry, Annabelle.

– Dzień dobry, Chloé...

– Jest 8.28 – przerwała mi blondyneczka wbita w swój służbowy kostium. – David będzie czekał na panią w sali zebrań o 8.35 z całym zespołem. Jeśli pani chce, zdążę zrobić małą kawę.

Stała na czatach w hallu wieży Barlet, zapewne od wielu minut, obładowana notatnikiem, pokaźną stertą dokumentów w koszulkach, kilkoma magazynami i nie mniejszą liczbą ostemplowanych kopert. Wszystko to było zapewne przeznaczone dla jej szefa, a mojego i szefa, i mężczyzny.

– Nie trzeba, dziękuję.

Moja odmowa sprawiła jej wyraźną ulgę.

– Super. W takim razie możemy iść.

Ruszyła w stronę wind niespokojnym truchtem, ze stukotem za wysokich jak na nią obcasów, a ja poszłam w jej ślady. W kabinie z matowej stali przedstawiła mi mój rozkład dnia – opracowany zapewne przez Davida – wyrzucając z siebie nerwowy potok słów:

– Po oficjalnej prezentacji ma pani spotkanie z Albane Leclerc o 9.30, przewidziane na co najmniej dwie godziny. Później pomogę pani zaistalować się w gabinecie. Zobaczy pani, jest bardzo ładnie położony, od południa, dokładnie między gabinetami Davida i Louisa.

Ciekawe, dlaczego mnie to nie zdziwiło?

Przeskoczyłam jej litanię o dwa zdania wstecz.

– Albane Leclerc?

– David nic pani o niej nie mówił?

– Nie...

– To redaktor naczelna pani programu. Pomoże pani zaplanować pierwsze odcinki *Cultur'Mix*. Doradzi, jak zmieścić w nich różne tematy.

Uprzedzając moje pytania, ciągnęła dalej:

– Młoda, ale bardzo profesjonalna. Jej ojciec przez dwadzieścia lat prowadził „L'Océan" w ramach grupy. Ona i Luc pracują ręka w rękę.

Aha, Luc Doré, dyrektor anteny. Jego akurat już znałam, gdyż uczestniczył w kolacji wydanej na moją cześć.

– Czyli Albane kontynuuje dzieło ojca.

– Poniekąd.

Tak wyglądały zatem granice zaufania ze strony Davida. Mógł udawać, że narzuca mnie swojej armii niczym tajną broń, ale były to tylko pozory. W rzeczywistości każdy moj krok w tym jeszcze

nieznanym świecie miał odbywać się pod kontrolą przewodnika, odpowiedzialnego za natychmiastową korektę moich gaf i zatarcie czy przynajmniej minimalizację ich ewentualnych skutków.

Dyskretny dzwonek zaanonsował osiemnaste, ostatnie piętro. Chloé wyskoczyła z kabiny ze wzrokiem utkwionym w nieczytelne gryzmoły swojego notatnika.

– Po południu – podjęła w trybie karabinu maszynowego – ma pani pierwsze zebranie produkcyjne, o 14.30. Będzie oczywiście Luc Doré, ale również Philippe Di Tomaso, szef produkcji, i Christopher Haynes, nasz dyrektor artystyczny. Zadanie na dziś to ustalenie scenografii. Chris przygotował już kilka makiet. W zasadzie pozostanie pani tylko wybrać, oczywiście w porozumieniu z Lukiem.

Boże, jak to wszystko szybko szło! I nie było żadnego alarmowego guzika „stop" pod ręką... Co powinnam była odpowiedzieć? Że to jakieś piramidalne nieporozumienie? Że nie mam tu nic do roboty, a tłum bardziej kompetentnych kandydatek już kłębi się u wejścia do budynku?

Rozpoznałam przeszkloną salę, w której oficjalnie przedstawiono mi Louisa. Instyktownie poszukałam wzrokiem jego sylwetki drapieżnego ptaka w grupie już zgromadzonych osób, na oko około dwudziestu, wszystkich z kubkami kawy w rękach. Ku mojemu zdziwieniu, nie było go w środku. Dyrektor do spraw PR nie uznał widać za stosowne powitać nową animatorkę...

David wynurzył się przed nami w tym samym momencie, promienny i olśniewający w perłowoszarym, nieznanym mi garniturze (jeszcze nie spenetrowałam jego garderoby, prawdziwej jaskini Ali Baby w zakresie męskiej elegancji).

– Wszyscy już są, znakomicie!

– Ósma trzydzieści trzy – zaterkotała Chloé. – Czekamy jeszcze dwie minuty?

– Nie, zaczynajmy. Za piętnaście minut mam telekonferencję z Seulem.

W czasie kwadransa poświęconego mojej inicjacji swobodnie mieszał lekki humor z poważniejszymi wywodami na temat „wielkiej stawki prime time'u w czwartkowy wieczór, który ma przyciągać do nas widzów i sprawić, że zostaną z nami przez cały weekend".

Słuchałam go jednym uchem, w oczekiwaniu, że lada moment zjawi się Louis. Ale nikt nowy nie wszedł do sali, a po przeszklonych korytarzach snuli się tylko dziennikarze w białych koszulach i zaaferowane asystentki, kopie małej Chloé.

Na rogu stołu, częściowo zasłonięta rzędem głów taksujących mnie krytycznie acz dyskretnie, piękna Alice okazywała brak zainteresowania przemową, jej autorem, a zwłaszcza jej obiektem w sposób tak jaskrawy, że bliski ostentacji. Programowo głucha na wszystko, przez cały czas bawiła się swoim smarfonem. Gdy zaś na koniec David wyraził pokładane we mnie nadzieje na ożywienie ramówki tak strategicznego czwartkowego wieczoru, moja rywalka skwitowała jego słowa uśmieszkiem pełnym nieskrywanej pogardy.

Zaraz potem prezes ogłosił zakończenie odprawy, inicjując oklaski na moją cześć, z ociąganiem podjęte przez resztę zgromadzonych. Ledwie przebrzmiały, Chloé podskoczyła do Alice i coś powiedziała jej do ucha – zapewne coś niemiłego, skoro piękność wyprężyła swój sztuczny biust podkreślony bardzo obcisłą suknią i wykrzyknęła retorycznie, najwyraźnie dotknięta do żywego:

– Teraz? Ale czego on ode mnie chce?

Chyba naprawdę zanosiło się na reprymendę, skądinąd w pełni zasłużoną. Nie mogłam jednak powstrzymać się od myśli, że żaden szef romansujący z podwładną nie wymyśliłby nic lepszego, aby nie budząc podejrzeń, przelecieć ją za zamkniętymi drzwiami swego gabinetu.

Asystentka wzięła Alice pod rękę i pociągnęła za sobą na korytarz. Wyglądały zabawnie, jak mały stateczek eskortujący do portu majestatyczny okręt. Alice kręciła biodrami w sposób niemożliwy do zignorowania przez ród męski, przyciągając niejedno ożywione, zezujące spojrzenie. Ciekawe, pomyślałam, przecież ci panowie pracowali z nią od lat i powinni byli już dawno uodpornić się na jej agresywny seksapil.

– Cześć, jestem Albane. A ty jesteś Elle, prawda?

W tej napiętej atmosferze, przepełnionej pozornie dobroduszną wszechwładzą Davida, miły uśmiech i bezpośredniość tej ładnej,

młodej brunetki, niedużej i chłopięcej, natychmiast wzbudziły we mnie sympatię. Koszulowa bluzka, płócienne spodnie, sportowe buty przeznaczone bardziej na leśne ścieżki niż korporacyjne wykładziny, jedyna ozdoba w postaci prostego srebrnego łańcuszka... Na tle wyfiokowanych korposuk z BTV Albane Leclerc wyglądała jak przybysz z innej planety.

Wyciągnęła do mnie rękę, drobną i energiczną.

– Tak. To znaczy, Annabelle... Ale wszyscy nazywają mnie Elle.

– Wielki Manitou postanowił, że na antenie i w firmie będziesz Elle... Niech więc tak zostanie, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Skądże, bardzo mi to odpowiada.

Albane okazała się nie tylko zdecydowana, ale także otwarta i znacznie bardziej dydaktyczna, niż można było sądzić po jej szczerym języku. Spędziła resztę poranka na wprowadzaniu mnie w tajniki zawodu, dokładnie wyjaśniając pojęcia i żargonowe terminy, którymi sama żonglowała od lat. Chciała być cierpliwa, ale nie wahała się rugać mnie, gdy w jej ocenie nie nadążałam za tokiem wykładu. Mój status narzeczonej naczelnego wodza nie wydawał się jej onieśmielać. Wywnioskowałam stąd, że z racji przyjacielskich więzi z rodziną Barletów sama miała szczególną pozycję i nie musiała obawiać się żadnych szykan... a może była po prostu pewna swojego profesjonalizmu, łatwego do sprzedania gdzie indziej w razie ewentualnej niełaski.

– Lecę – oznajmiła mi z wybiciem południa. – Tak czy inaczej, zobaczymy się bardzo szybko. Uważaj, będziesz mnie miała na głowie!

Ale zabrzmiało mi to bardziej jak obietnica niż groźba. Po tych kilku godzinach nie miałam wątpliwości, że Albane będzie moją sojuszniczką, co dodało mi otuchy.

Dwunasta dziewięć, mówiąc językiem nieocenionej Chloé, która szybko uporała się z wprowadzeniem mnie do gabinetu. Nie kłamała: pomieszczenie było słoneczne i ekstrawagancko wielkie, zwłaszcza jak na mój wiek i brak doświadczenia. Za kolejny, wręcz nieprzyzwoity przywilej musiałam uznać jego lokalizację w samym

centrum dyrektorskiego piętra. Z wielkich okien o orientacji północno-zachodniej roztaczał się wspaniały widok na *périphérique*, ruchliwą obwodnicę Paryża.

Dwunasta dwanaście: nie zapomniawszy o identyfikatorze z moim zdjęciem, którego zupełnie nie kojarzyłam – skąd David je wytrzasnął? – Chloé zostawiła mnie w gabinecie, wołana z korytarza przez grupkę młodych kobiet, z pewnością asystentek tak jak ona, w drodze do firmowej restauracji na pierwszym piętrze.

Dwunasta dwadzieścia dwa. Od kilku dobrych minut bawiłam się nowiutkim stacjonarnym telefonem królującym na moim biurku, jedynym widocznym elementem dekoracyjnym, irracjonalnie wyczekując zaproszenia na lunch. Kusiło mnie, żeby zadzwonić do Davida, z pewnością pochłoniętego swoimi sprawami, ale zwalczyłam pokusę, nie chcąc narazić się na przykrość odmowy. Louis, skądinąd nadal niewidzialny, nie wchodził oczywiście w grę.

Dwunasta czterdzieści pięć... Nie wytrzymując dłużej, wystukałam numer Sophii. Na szczęście odpowiedziała od razu.

W dwadzieścia minut później sączyłyśmy zbyt słodkie, niemal mdlące monaco na tarasie pobliskiej piwiarni Le Saint-Malo. Nad talerzami sałatek podjęłyśmy zwykły wątek naszych zwierzeń, jak dla mnie coś bezcennie kojącego w całym tym nowym, dziwnym, prawie wrogim kontekście.

– Ależ cię ciśnie ten pierścionek! – wykrzyknęła Sophia, odkrywając mój zmaltretowany serdeczny palec. – Myślisz, że dasz radę go zdjąć i włożyć z powrotem, gdy nadejdzie wielki dzień?

– Tak, zobacz...

Nie bez trudu uwolniłam palec z ciasnej obrączki. Moja przyjaciółka odruchowo wyciągnęła rękę, aby ją potrzymać i obejrzeć z bliska.

Jej oczy błyszczały nieskrywanym pożądaniem.

– No, moja droga, masz powód, żeby nie przytyć...

– Każę go powiększyć.

– Ale uważaj, takiego cuda nie można rozciągać w nieskończoność. Jest piękne, ale delikatne.

Czy mówiła tylko o pierścionku?

Przez dobrą minutę oglądała klejnocik ze wszystkich stron, oniemiała z zachwytu, pochłonięta swoją przyjemnością i swoimi marzeniami. Później podniosła go do oczu i znów obserwowała pod każdym kątem:

– Mówisz, że kto wcześniej nosił ten pierścionek?

– Hortense, matka Davida. A przedtem jej matka, ale nie wiem, jak się nazywała. W każdym razie, dobrze, że go zdjęłam. Jutro Armand musi dać go do jubilera, żeby wygrawerował nasze imiona i datę.

Sophia pokręciła głową, nie odrywając oczu od pierścionka.

– Hm, hm... A w którym roku rodzice Davida wzięli ślub?

– Nie mam pojęcia. Biorąc pod uwagę wiek ich synów, pewnie gdzieś w połowie lat 60. Dlaczego pytasz?

– Dlatego że skoro tak, to... twój uroczy przyszły małżonek musi być dzieckiem pary duchów!

– Co ty wygadujesz?

Z nietypową dla siebie powagą wyciągnęła do mnie pierścionek, aby pokazać mi jego wewnętrzną powierzchnię, wypolerowaną dla zatarcia wcześniejszych grawerunków.

– Przyjrzyj się sama.

– Nic nie widzę...

– A jednak. Jeśli przechylisz pierścionek o tak, pod światło, zobaczysz, że stara grawiura gdzieniegdzie przebija. Nie można odczytać dnia, ale rok widać dość wyraźnie: 1988.

Miała rację. Sophia, niepoprawna trzpiotka, tancerka w podejrzanych spelunkach, kolekcjonerka mężczyzn i seks gadżetów, potrafiła odkryć tajemnicę tego pierścionka, który ja w pełnej nieświadomości nosiłam od kilku dni.

– Rzeczywiście... – szepnęłam. – Jak to możliwe, że niczego nie zauważyłam?

Relief był, owszem, bardzo płytki, ale wystarczający, żeby pod ściśle określonym kątem uwidocznić cztery cyfry, odsyłane w niebyt przy najmniejszej zmianie nachylenia. Oglądany na wprost, tak jak przez znakomitą większość obserwatorów ze mną włącznie, pierścionek zazdrośnie strzegł swego sekretu.

Wrażenie było piorunujące.

– A ile lat miał twój książę z bajki w roku 1988?

– Dziewiętnaście... – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

„Zaręczyli się, później pobrali bardzo szybko, już po kilku tygodniach”– zabrzmiały mi w uszach słowa Louisa. 1988, rok pierwszego małżeństwa Davida, dopowiadał szyfr z pierścionka. Straszliwa prawda biła mnie teraz po oczach.

Tylko dlaczego Louis czuł potrzebę ucharakteryzowania tej prawdy, być może jedynej w jego konfabulacjach, na zmyśloną bajkę? Dlaczego wycofał się w ten sposób? Ze strachu? Ale przed czym, przed kim?

– No widzisz. Więc przynajmniej powiesz swojemu kochasiowi, że to niezbyt ładnie wręczać ci pierścionek kupiony na pchlim targu w charakterze rodowego klejnotu.

– Powiem mu...

Szybko: znaleźć inny temat, nie drżeć, nie załamać się tu, na jej oczach. Zmusiłam się do uśmiechu, zupełnie bez związku z pierwszym pytaniem, jakie przyszło mi do głowy:

– A co z Rebeccą? Masz od niej jakieś wieści?

– Nie. Ciągle cisza w eterze. Wiesz, jak mnie to dołuje? Mam same długi i dwa zaległe czynsze. Jeśli baba nic mi nie znajdzie, za miesiąc mogę mieszkać pod mostem.

– W najgorszym razie jest jeszcze mój pokój u mamy – zasugerowałam na poczekaniu.

– To miłe z twojej strony, Elle... Ale sama przyznasz, że w tym momencie są przyjemniejsze miejsca niż u twojej mamy.

Przeprosiła mnie za tę niedelikatną uwagę rozbrajającym uśmiechem.

– Byłaś w agencji? – dopytywałam.

– Tam też ani śladu Rebekki. Nie wiem, jak ona prowadzi swój biznes, ale w ten sposób żadna z nas nie zbije fortuny. No, poza tobą, ciebie to już nie dotyczy...

Nie dosłyszałam w tym wyrzutu, bardziej nostalgię za tamtym okresem, w jej oczach z pewnością zbyt krótkim, kiedy łączyło nas to samo wstydliwe zajęcie i dziwna wspólnota losów. Sophia zawsze

chciała, żebyśmy były jak siostry. Pojawienie się Davida przerwało tę więź, utkaną z nadziei i młodzieńczych marzeń.

Wiedziałam, że Sophia zawsze będzie częścią mojego życia. Pomimo to nasze uściski pod wieżą Barlet, gdzie wkrótce rozdzielił nas tłum powracających z lunchu pracowników, miały w sobie coś z pożegnania.

W windzie przywitała mnie cisza i skrępowanie na kilku twarzach widzianych tego samego ranka na ceremonii mojej intronizacji. Nikt nie odważył się zagadać, zapytać, jak się czuję albo jak smakował mi samotny posiłek. Ot, syndrom pierwszego dnia w całej krasie. Tylko co mogłam o tym wiedzieć, skoro dla mnie był to naprawdę pierwszy dzień, bez żadnych punktów odniesienia?

Ze zdenerwowania, a pewnie i pod wpływem rewelacji Sophii, wysiadłam z windy owczym pędem razem ze wszystkimi. Dopiero gdzieś w połowie korytarza dotarło do mnie, że pomyliłam piętra. Na tym tutaj nie było dyrektorskich gabinetów, tylko studia i pomieszczenia techniczne BTV. Zapewne nie miały okien, skoro mimo przeszklonych ścian na korytarz nie docierało światło dzienne, tak olśniewające na górnej kondygnacji budynku. Za drzwiami po mojej prawej stronie zamajaczyły nagle dwa cienie, znajome i rozpoznawalne nawet w półmroku. Chociaż nie mogli mnie zobaczyć, znieruchomiałam, żeby nie zdradzić swojej obecności najmniejszym szmerem. Obserwowałam ich, wstrzymując oddech na samą myśl, że nagle otworzą drzwi i staniemy przed sobą oko w oko.

David wydawał się bardzo spokojny, doskonale opanowany w gestach i emocjach. Wszystko w zarysie jego rozmówczyni zdradzało za to wielkie wzburzenie. Bezustannie poprawiała włosy drżącą ręką, wyginała się nie tyle wdzięcznie, ile boleśnie i mimo sporej odległości mogłabym przysiąc, że jej piersi unosiły się szybciej i wyżej niż przy zwykłym oddychaniu. Czyżby szlochała?

W każdym razie na pewno nic nie mówiła, słuchała tylko słów swego szefa – jak przypuszczałam, wyważonych albo nawet kojących, sądząc po jego ręce położonej na ramieniu, a później barku kobiety.

Znienacka Alice porzuciła swą rezerwę i dosłownie osunęła się w objęcia Davida. On trzymał ją przy sobie przez ułamek sekundy,

jak dla mnie wieczność wypełnioną paniką i tłumioną wściekłością, po czym powoli odsunął na wyciągnięcie ręki, tym pańskim, stanowczym i zarazem łagodnym gestem właściwym tylko dla niego.

„Naprawdę, jesteś tego pewien? To ją wybierasz?".

Tak jak w dzieciństwie, gdy zdarzało mi się oglądać zakazany film przez uchylone drzwi salonu, próbowałam podłożyć głos pod ruchy ust obserwowanych postaci.

„Tak, ją. Przykro mi" – mógł odpowiedzieć David.

Jego słowa, jakiekolwiek by były, albo najwyraźniej uspokoiły piękną blondynkę, albo pozbawiły ją resztki złudzeń. Spuściła głowę, zrobiła krok wstecz i wreszcie jej cień rozpłynął się w głębi studia, zapewne znikając za jakimiś wewnętrznymi drzwiami.

Byłam dumna z Davida. Potrafił rozwiać jej nadzieje, a jednocześnie nie wyjść na człowieka brutalnego czy małodusznego. Zachował się jak prawdziwy szef, zdecydowanie, ale sprawiedliwie, kierując się nie tylko interesem firmy jako całości, lecz także troską, by niepotrzebnie nie ranić żadnego z jej ważnych ogniw. Wiedziałam oczywiście, że poskromienie jednej złośnicy nie uchroni mnie przed zakusami następnych – wcześniej czy później, przy niezliczonych okazjach pojawią się inne rywalki i nie zawsze zobaczę Davida w takiej akcji jak teraz. Ale jego dzisiejsza lojalność, być może będąca z jego strony zamknięciem jakiejś starej historii, dla mnie przeciwnie, oznaczała nowe otwarcie, moje nowe zaangażowanie.

Pomyślałam, że to nie przypadek, lecz prawdziwa ręka opatrzności skierowała mnie na złe piętro. Potrzebowałam uwierzyć w Davida, doświadczyć jego miłości inaczej niż przez królewskie prezenty, poczuć ją bardziej w czynach niż słowach. Niemy spektakl, jaki właśnie obejrzałam, był dla mnie wart więcej niż wszelkie luksusy razem wzięte. Już nie miało większego znaczenia, czy poślubił przede mną jakąś Aurorę, albo nawet jakąś Alice. Wybrał mnie, tu i teraz, wbrew im wszystkim.

Ponad nimi wszystkimi.

18

Izolacja - stan lub położenie osoby odizolowanej (patrz: izolować) albo którą się izoluje.
Izolować - trzymać w odosobnieniu, nie dopuszczać kogoś do grupy innych ludzi.

Larousse dawał mi definicję, ale moja melancholia nie chciała przyjąć jej do wiadomości. Zamknięta w tym ministerialnym gabinecie, przechodziłam od kontemplacji nieba za oknem do lektury słownika, który jakaś anonimowa ręka położyła na moje biurko w czasie przerwy obiadowej. Przeglądałam również notatki zrobione w trakcie lekcji z Albane, boleśnie uświadamiające mi moją totalną niekompetencję i groteskowość tego zawrotnego awansu. Otrzymałam od Davida najwspanialszy z możliwych prezentów, ale działał on jak bezlitosne lustro powiększające wszystko to, czego mi brakowało – czego jeszcze mi brakowało, jak szybko poprawiłaby mnie mama.

Musiałam chyba zapaść w jakiś chwilowy letarg z nadmiaru wrażeń – w każdym razie, nie od razu dotarło do mnie, że w progu stoi Chloé i przygląda mi się oczami zaokrąglonymi z oburzenia.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się.

– Tak...

– Bo czekają na panią... Sala posiedzeń numer trzy. Godzina 14.30...

Musiała być zbulwersowana faktem, że już pierwszego dnia burzę jej precyzyjny harmonogram, ale rzecz jasna nie pozwoliła sobie na żadne uwagi. Przeciwnie, okazała nawet pewną wielkoduszność, nie precyzując, o ile minut byłam już spóźniona. Zadowoliła się odprowadzeniem mnie pod drzwi, tak jakbym sama mogła nie trafić. „Prędzej, prędzej” – zdawał się mówić pospieszny stukot jej obcasów w labiryncie korytarzy, więc chcąc nie chcąc, podążyłam za nią równie szybkim krokiem.

Nie pamiętam, co uderzyło mnie w pierwszej kolejności. Jego sylwetka? Jego śmiech? Czy może lawendowe nuty jego perfum, unoszące się daleko poza salą, niczym wezwania pod moim adresem?

Otoczony przez trzech innych mężczyzn – po siwej grzywie i twarzy starego nababa rozpoznałam wśród nich Luca Doré – perorował głośno, ze swadą i swobodą. Pomimo to coś mi nie pasowało w tym obrazie, tak jakby sam Louis odstawał od firmowego kontekstu. I to nawet nie dlatego, że znałam go z innej strony czy innych okoliczności naszych spotkań. Mogłam to poznać po nadmiarze pewności siebie emanującej z jego osoby: Louis nie zachowywał się naturalnie. Odgrywał tu jakąś komedię, która, jakkolwiek przykładałby się do swej roli, oddalała go od niego samego. I niewątpliwie pogardzał rozmówcami.

– Elle! – wykrzyknął z przesadną emfazą, gdy wreszcie znalazłam się w jego polu widzenia. – Już straciliśmy nadzieję panią zobaczyć. A tymczasem widzę, że pani po prostu i z godną podziwu szybkością przyswoiła sobie nadrzędną zasadę naszej firmy: władza należy do tego, kto najdłużej każe na siebie czekać.

Poczerwieniałam. Wszyscy odwrócili się do mnie; dwóch nieznanych mi panów dokonało prezentacji, natomiast Luc pozwolił sobie na przyjacielski uścisk.

– Witaj, Elle. Nie miałem okazji powiedzieć ci tego dziś rano, ale bardzo się wszyscy cieszymy, że do nas dołączyłaś. Naprawdę!

Przy tych miłych słowach położył mi obie ręce na barkach, gestem pozbawionym jakichkolwiek podtekstów, poza czystą serdecznością. Luc ewidentnie należał do ludzi „dotykowych” i Louis, znając go od dawna, musiał o tym wiedzieć, a jednak mogłabym przysiąc, że skrzywił się na te objęcia. Tak jakby nie w smak było mu widzieć mnie w ramionach innego mężczyzny, choćby przez chwilę i w tak niewinnej sytuacji.

– Louis, zostaniesz z nami? – zapytał Luc.

– Hm... Czemu nie. W końcu obraz nowego, sztandarowego programu to również wizerunek całej naszej stacji, nieprawdaż?

Pozostali zgodzili się z nim pobłażliwym pomrukiem.

Nie widziałam Louisa od dwóch dni, od czasu bójki z Fredem. Wydał mi się zmęczony i wymizerowany na twarzy jeszcze bardziej niż w moich wspomnieniach. Tamta gwałtowna konfrontacja, niezasłużona i jakże wzniosła, wydobyła z niego to wszystko, co było w nim najbardziej zwierzęce, a jednocześnie najczystsze i najbardziej zmysłowe. Mimo ułomności robił na mnie wrażenie dzikiego drapieżnika, zdradzającego w każdym ruchu niezwykłą siłę, energię i żywotność, gotową ujawnić się w donośnym ryku. Wieża Barlet była dla niego szklaną klatką. Godził się na swój los, ale jak tygrys w zoo nie ustawał w poszukiwaniu wyjścia, drogi do dżungli, naturalnego środowiska jego walk i zwycięstw. Wyglądał tak, jakby przy pierwszej sposobności miał pożreć swoich strażników i raz na zawsze skończyć z niewolą.

– Chris, pokażesz nam swoje dzieła?

Rzeczony Chris, wysoki, chudy, brodaty blondas o wyglądzie niedorozwiniętego fizycznie młodzieńca, tak częstym wśród grafików i innych twórców wizualnych, otworzył trzymany pod pachą laptop. Po kilku wirtuozowskich naciśnięciach klawiszy na ekranie ukazała się pierwsza z jego propozycji.

– No więc, to robi klimat dość wielkomiejski, co? – mówił przeciągle, z afektacją i silnym brytyjskim akcentem. – Beton, szarość, post-hip-hop...

W praktyce: duże litery w kolorach tęczy i stylu graffiti na murze z ciemnych cegieł.

– ...i jednocześnie bardzo *laid back* – ciągnął pompatycznie. – Raczej *Berlin-baba-cool* niż *New-York-speed*. Łapiecie, w czym rzecz?

Nie podobało mi się to zupełnie, i to nawet abstrahując od nieznośnego żargonu. Nic oczywiście nie powiedziałam, ale moja rezerwa musiała dać się odczuć, skoro Luc spojrzał na mnie pytająco:

– Elle? Co ty na to?

– Hm... Trudno wyrobić sobie zdanie na podstawie jedynej propozycji. Możemy zobaczyć inne?

Dyrektor artystyczny w milczeniu spiorunował mnie wzrokiem. Od razu musiałam trafić do obozu jego przeciwników, wszystkich tych ignorantów bez krzty kultury wizualnej, którzy opiniowali jego dzieła

tak, jakby chodziło o kolor tapety. Już mnie nienawidził, bez cienia wątpliwości.

– Taak – wysyczał zjadliwie. – Są i inne możliwości, na pewno...

W podtekście: o niebo gorsze.

Podczas gdy zmieniał obrazy na ekranie, w których mieszały się różne układy czcionek, napisów, a nawet wystroju studia, w jakim wkrótce miałam zasiąść, tuż za plecami poczułam obecność Louisa. Po zapachu wanilii, powoli biorącym górę nad nutą lawendową, ale i po tej fali gorąca, emanującej prosto z jego ciała, poznałam, że dzieli nas nie więcej niż pół kroku. Gdy pochylił się nad moim ramieniem – pod pretekstem lepszej widoczności – jego oddech muskał mój kark, odsłonięty za pomocą sławetnej szpilki do włosów oprócz jednego niesfornego kosmyka.

Każdy jego wydech przyprawiał mnie o męki. Skóra szyi drżała mi coraz silniej przy kolejnych powiewach ciepłego, lekko słodkawego powietrza. Nie mogłam powstrzymać dreszczu, który przeszedł mnie wzdłuż kręgosłupa i miał w sobie coś z wyznania.

– Wolałabym trop bardziej wiejski – wyartykułowałam nagle niepewnym głosem. – Nastrój naiwności, nie bez analogii do egzotycznych płócien Celnika Rousseau, bliższy tropikalnym lasom niż zagajnikom Wandei.

To mówiąc, zrobiłam obrót tułowiem w stronę Luca, który zmusił Louisa do odruchowego kroku w tył, aby nie zderzyć się z moim biustem. Automatyzmy społeczne, wyrabiane od najmłodszych lat tak, że w końcu wchodzą nam w krew, bywają czasem bardzo przydatne.

Przyjął ten afront ze złością w oczach. Dobrze wiedziałam, że tu czy gdzie indziej nie wymknę mu się tak łatwo. Fale palpitacji w brzuchu i coś w rodzaju żelaznych szponów szarpiących mój wzgórek Wenery potwierdzały to aż nadto wyraźnie.

– O! – zainteresował się siwawy Luc. – Dlaczego nie, ale skąd akurat wieś?

– Bo… – zaczerpnęłam tchu. – Po pierwsze, wydaje mi się to bardziej zaskakujące niż dekoracje miejskie, gdy mówimy o kulturze i społeczeństwie.

Przytyczek w nos estety Chrisa. I punkt dla mnie, jak mogłam poznać po aprobującym kiwnięciu głową Philippe'a Di Tomasy, małego człowieczka o kolorycie i rysach suszonej śliwki, który dotąd jeszcze nie odezwał się słowem.

– Po drugie, możemy w ten sposób zaznaczyć, że nie ograniczymy się do paryskich aktualności. Że zależy nam na decentralizacji, a nie tylko programie dla wyższych sfer, oderwanych od prawdziwego życia.

– Niegłupie – pochwalił mnie Luc Doré, z zarysem uśmiechu na ustach.

Ucieszyłam się oczywiście, ale bez przesady. Wyrecytowałam właśnie pierwsze slogany, jakie przyszły mi do głowy, w stylu pokrętnych marketingowych strategii, przed którymi wszyscy profesorowie tak bardzo przestrzegali nas przez całe studia. Wyglądało jednak na to, że wystarczyły, by usatysfakcjonować zgromadzonych. Odkrywałam właśnie kolejną zasadę rządzącą korporacyjnym światem, taką mianowicie, że odrobina tupetu potrafi zrobić większe wrażenie niż dojrzałe i przemyślane wywody, że lepiej, a do tego ileż łatwiej epatować niż naprawdę przekonywać.

– Louis? Twoje zdanie?

– Na temat propozycji Chrisa... czy pięknego manifestu, jaki wyrecytowała nam mademoiselle Lorand?

Jego oczy wbiły się w moje niczym gwoździe w miękkie drewno. Zamarłam pod tym spojrzeniem, niezdolna do najmniejszego ruchu. Pomimo to czułam w skamieniałym ciele frenetyczną aktywność pewnych narządów: oczywiście serca kołaczącego jak oszalałe, ale również zdradzieckiego łona, przebudzonego wbrew mojej woli.

Czy Louis mógł to dostrzec, zdemaskować mnie? Albowiem jego wzrok porzucił moją twarz na rzecz innych partii i penetrował je teraz zakamarek po zakamarku tak lubieżnie, jakby zamiast stonowanej czarnej sukienki okrywał mnie najwyżej przezroczysty woal.

Co mu się najbardziej podobało wczorajszego wieczoru? Jaki moment spektaklu wprawił go w największy zachwyt? Zobaczyłam w myślach jajko wysuwające się z mojej szpary, lepkie od rozkoszy,

przez chwilę ociągające się u wlotu pochwy jak nieproporcjonalnie wielki fallus, zakleszczony we mnie na dobre. Jego fallus...

– A mnie przeciwnie, to, co powiedziała Elle wydaje się bardzo rozsądne.

Producent spieszył mi w sukurs.

– Ach, tak?

Louis wyprostował się, na ile tylko pozwalała mu laska i ułomność. Urósł jak paw, okazując językiem ciała lepiej niż słowami, czym byliśmy w jego oczach: stadem biednych zwierząt domowych, wulgarnym inwentarzem.

– Tak – podchwycił Luc. – Jeśli w porze największej oglądalności mamy poruszyć widzów programem kulturalnym, nie możemy zamykać się w getcie dla elit spędzających wieczory w Châtelet, a weekendy w Bayreuth. Trzeba to wszystko przewietrzyć!

Kłopotliwa cisza, jaka zapadła po tych słowach, uświadomiła mi, że Louis mógłby jednym gestem usadzić dyrektora anteny albo wręcz zwolnić go z posady. Opanował się jednak i nawet chwilowo zostawił w spokoju moje ciało, wstrząsane bolesnymi i zarazem przyjemnymi spazmami, aby skupić całą uwagę na adwersarzu.

– Chcemy zrobić ambitny program kulturalny – powiedział z naciskiem. – Nie kopię *L'Amour est dans le pré*!

– Co proponujesz? – Mały Philippe wspomógł Luca bez widocznego lęku. – Nieustające peany na cześć twoich ulubieńców z Marais?

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Louis nie chwycił pana-suszona-śliwka za kołnierz – co przyszłoby mu zresztą z łatwością – i zachował olimpijski spokój.

– Bynajmniej. Widzisz, potrafię oddzielić moje osobiste gusty od naszej misji wobec widzów. I nie chcę cię urazić, ale użyłeś przykładu równie karykaturalnego jak Luc.

– No więc zdradź nam wreszcie swoją koncepcję – wtrącił ten ostatni.

– Nie twierdzę, że należy zrobić program dla *happy few*, biegających z koktajlu na koktajl. Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem dostęp do przyjemności, o jakich tu mówimy, jest fundamentalnym

prawem człowieka. Uważam, że rozkosz dla ducha dorównuje znaczeniem rozkoszom cielesnym.

Szybki rzut oka w moją stronę, palący jak rozżarzony węgiel. Rozpoznawałam w jego słowach ten sam ton progresywizmu, bez mała libertynizmu, jaki uderzył mnie w galerii Sauvage.

Tylko czy mówił jeszcze o sztuce i kulturze? Nie, zaprzeczało moje łono, dostatecznie mokre, by samoistnie przywrzeć do delikatnej bawełnianej wstawki majtek. Lekki ruch bioder, wykonany przeze mnie, aby je odkleić, tylko pogorszył sprawę, jako że materiał wsunął mi się dokładnie w szparę i usadowił na łechtaczce, spragnionej takiego kontaktu.

– W takim razie o czym chcesz mówić? O sztuce wędzenia ryb u Eskimosów?

– Niekoniecznie – odpowiedział poważnie Louis, w kontraście do ironii zawartej w pytaniu Luca. – Chyba że nagle zrobi furorę nad brzegami naszych rzek. W takim przypadku dlaczego nie.

– Chcesz robić przegląd trendów społecznych, coś w rodzaju magazynu mód? – skrzywił się Luc.

– Tak... i nie. Według mnie największą atrakcją dla naszych widzów byłaby perspektywa, że jako pierwsi dostają coś, co ich sąsiedzi będą jutro wyrywać sobie z rąk. Możesz to nazwać trendami, jeśli chcesz, ja wolę nazwę samorodki. Rzeczy jeszcze rzadkie dzisiaj, które jednak wkrótce każdy zapragnie mieć u siebie, na sobie, w sobie...

W tym miejscu zawiesił głos, oczywiście celowo. U tak wytrawnego mówcy żadna pauza nie wynikała z przypadku czy chwilowego braku słów.

– To może być książka czy płyta, ale również modny gadżet, przepis kulinarny albo nowy sposób zachowywania się w towarzystwie. W tym tkwi kultura naszej epoki. W zjawiskach równie potężnych, co ulotnych, które wpływają na nas silniej niż polityka czy religia. Tylko pomyślcie, kto lub co porusza dzisiaj tłumy? Papież? Manifestacja przeciwko tej czy innej reformie? Nie... Ale wypuszczenie na rynek nowego tableta, artystyczny *flashmob*, przedpremierowy pokaz głośnego filmu... oto, co nas podnieca. Oto, co budzi w nas pożądanie.

Jakby chcąc wyraźniej zaadresować swą przemowę do mnie i tylko do mnie, podniósł się i znów stanął za moimi plecami. Skorzystał z tej bliskości, aby pochylić się i niby przypadkiem położyć rękę na oparciu mojego krzesła, dokładnie na poziomie majtek, teraz w stanie wrzenia. Dałabym w tym momencie nie wiem co, żeby zanurzyć w nie dłoń... A także strząsnąć jego rękę z moich lędźwi, nie wywołując jednak scysji.

On tymczasem kontynuował spokojnie, jak gdyby nigdy nic, udając, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy z uruchomionych przez siebie zjawisk. Niczym motyl poruszający skrzydłami, nieświadomy ich niszczycielskich mocy.

– To świat idei, z którego każdy może i powinien czerpać, aby nadać sens swoim dniom powszednim. Czy nie widzicie, jak bardzo brakuje wzniosłości w naszym życiu?

Jego egzaltacja zrobiła wrażenie na słuchaczach. Byli niewątpliwie na tyle inteligentni, by zrozumieć sens przekazu, ale i na tyle przytomni, by z góry uznać go za ryzykowny, wręcz wywrotowy, słowem, nie do wdrożenia w programie telewizyjnym. Nie takich rewolucji oczekiwali widzowie, a zwłaszcza reklamodawcy, spragnieni konceptów prostych i najlepiej już wypróbowanych.

Luc rozejrzał się po swoich akolitach w poszukiwaniu wsparcia, a nie znalazłszy go – Philippe dał już za wygraną, a Chris musiał tylko złościć się w duchu, że rozmowa tak daleko odbiegła od jego dzieł – zabrał głos we własnym imieniu:

– OK, nie twierdzę, że nie masz racji. Ale czy podasz jakiś konkretny przykład, żeby nas oświecić? Jakiś temat, który widziałbyś w naszym programie...

– Nie sądzisz, że należałoby zaprosić do dyskusji Albane, skoro poruszamy takie kwestie?

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby się z nim zetrzeć. Z człowiekiem, który był źródłem moich rozterek i którego władza nade mną rosła nieustająco, z dnia na dzień i z godziny na godzinę, o czym najlepiej świadczyło moje rozpalone łono. Być może próbowałam zrzucić z siebie ten urok, póki jeszcze był na to czas, póki znajdowaliśmy się w obecności innych osób, a nie sam na sam.

Wyprostował się gwałtownie i znów miałam go na wprost.

– Już z nią rozmawiałem.

– Co takiego? Kiedy? – zdumiał się Luc.

– Ponad miesiąc temu. I nawet coś ode mnie wzięła, taką pietnastominutową etiudę, przed niespełna dwoma tygodniami.

Nie była to tylko inicjatywa wolnego strzelca. Znając hierarchiczną strukturę telewizji, nawet ja, zielona debiutantka, musiałam wyczytać w postępku Louisa prawdziwą obrazę majestatu. Dyrektor do spraw PR nigdy, pod żadnym pozorem, nie powinien był uzurpować sobie takiej władzy. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że świadomie depcze prerogatywy dyrektora anteny i producenta.

Obaj jednak, akurat tu obecni, starali się w miarę gładko przełknąć nowinę.

– I o czym to jest?

– No, biorąc pod uwagę wasze napięte terminy, chyba nie będziesz miał mi za złe, że trochę napełniłem ci lodówkę?

Zachodziłam w głowę, jaką presję mógł wywrzeć Louis na Albane, w moim odczuciu tak niezależną i profesjonalną, żeby skłonić ją do popełnienia podobnej gafy. Czyżby z nią sypiał? Czyżby jej pewność siebie wynikała z tego rodzaju sekretnego wsparcia?

Postukując laską o podłogę, Louis już zmierzał w stronę przezroczystych drzwi.

– Nie, oczywiście, oszczędzimy czas – cedził Luc, tłumiąc wściekłość. – Ale może zechcesz powiedzieć mi coś więcej o tym prezencie, co najmniej... nieoczekiwanym?

– Znając cię, myślę, że ci się spodoba. Temat jest i ciekawy, i zgodny z duchem czasu...

Jego kpiący uśmiech zdradzał jakiś przewrotny podtekst, czego Philippe i Chris zdawali się nie zauważać, w przeciwieństwie do Luca Doré.

– To znaczy? – zapytał cierpko ten ostatni.

– Czy wiesz, że w Japonii ponad jedna trzecia licealistek i studentek sprzedaje swoje wdzięki? Zarabiają w ten sposób na różne frywolne potrzeby: ciuchy, imprezy, rachunki za komórkę i tak dalej.

– I to jest twój temat? – zakrztusił się Philippe.

– Nie. Mój temat dotyczy Francji. Również u nas, chociaż z pewnością na mniejszą skalę niż tam, istnieje grupa ładnych młodych kobiet, które wiążą koniec z końcem w pozycji horyzontalnej.

Ja, wyciągnięta na kanapie Marii Bonaparte. Nie mógł myśleć o niczym innym!

Tak jak poprzedniego wieczoru w tamtym pokoju, miałam wrażenie, że za chwilę osunę się na ziemię. Moje ciało było wyczerpaną, bezsilną masą, wydaną na pastwę najciemniejszych instynktów.

– To przecież nic nowego... – skrzywił się Luc. – Była już książka na ten temat i chyba nawet film w telewizji, jeśli dobrze pamiętam.

– Masz rację. Cała nowość polega jednak na tym, że rzecz nie dotyczy już dzisiaj biednych dziewczyn z ludu, mieszkanek podmiejskich mansard czy suteren, którym nie starcza na jedzenie. Istnieje specjalna oferta, ze strony młodych kobiet z klasą, eleganckich, wykształconych, obracających się w najbardziej elitarnych kręgach... Niektóre z nich pracują zawodowo, czasem nawet na wysokich stanowiskach.

– Wiem, *escort girls*! – wykrzyknął producent.

– Jeszcze lepiej. To nie są ani zwykłe dziewczyny do towarzystwa, ani luksusowe prostytutki. Najbliżej im do gejsz, żeby wrócić na japońskie podwórko. Damy tego formatu są w stanie usatysfakcjonować intelekt klientów na równi z ich zmysłami.

– A ty jak nazywasz te zjawiskowe istoty?

Obleśny śmiech Philippe'a świadczył, że nie tylko był osobiście zainteresowany tematem, ale prawdopodobnie sam korzystał z usług dziewczyn wynajmowanych na godziny czy noce.

– *Hotelles*.

– Hotel?

Użycie tego neologizmu zdruzgotało mnie jeszcze bardziej: fakt, że Rebecca i Louis byli ze sobą w zmowie, nie budził już żadnych wątpliwości.

Powtórzył słowo, litera po literze, a każdej towarzyszył ruch rzęs przeznaczony dla mnie, dyskretniejszy niż puszczenie oka,

subtelniejszy, bardziej intymny. Te pieszczoty na odległość kolejno uderzały mi do głowy, do piersi, do brzucha i do łona.

Gdybym mogła wykonać najmniejszy ruch, skoczyłabym mu do gardła. Ale siedziałam jak skamieniała, roztrzęsiona, rozdarta między wstydem, złością i tą niewidzialną siłą, która uciskała obręczą moją pochwę, jak tuż przed orgazmem, jak tuż po bólu, gdzieś wewnątrz mnie, w głębi trzewi i najbardziej organicznych lęków. Miałam ochotę jednocześnie szczytować i walczyć, niezdolna pozbyć się ani przepełniającej mnie nienawiści, ani mieszanki fascynacji i dzikiego pożądania. Wszystko stapiało się w jedną potężną opresję i gdyby Luc nie zakończył w tym momencie narady, wyrywając mnie z oszołomienia, myślę, że eksplodowałabym jak wulkan i na ich oczach rozpłynęła się we łzach.

Wyszłam z sali niczym automat, w długie sekundy po tym, jak Louis znikł w korytarzu. Chwiejnym krokiem dotarłam do mojego gabinetu, kierowana tylko własnym zmysłem orientacji, skądinąd zaskakującym dla mnie samej. Opadłam na skórzany fotel jak szmaciana lalka, plecami do miasta i jego zgiełku, ze wzrokiem tępo utkwionym w jeszcze dziewiczym blacie biurka. „Jutro przyjdą zainstalowanać pani komputer” – obiecała Chloé.

– Chloé?

Asystentka Davida miała i tę wielką zaletę, że odbierała telefon już po pierwszym dzwonku, najpóźniej po drugim.

– Tak, Elle... w czym mogę pani pomóc?

– Nie powiedziała mi pani, co mam jeszcze w planie na dzisiaj, po tym zebraniu w sprawie szaty graficznej...

„W sprawie odarcia mnie z szat” byłoby właściwszym określeniem.

– Nic nie ma pani w planie. Chyba wystarczy jak na pierwszy dzień, nie?

W jej głosie zabrzmiał porozumiewawczy uśmiech. Była wyraźnie mniej spięta niż podczas naszych pierwszych kontaktów. Zachęcona brakiem jakiejkolwiek wrogości z mojej strony, miała zapewne nadzieję wejść w łaski żony szefa.

– Tak myślę... – mruknęłam, błądząc myślami gdzie indziej.

– Zresztą David kazał mi powiedzieć, że gdy już Luc panią zwolni, może pani wracać do domu.

– Ach, to dobrze.

Atencja. Specjalne względy. Uprzywilejowane traktowanie. Jednym słowem: David. Na pewno nie wiedział jednak o obecności swego brata na naradzie z Lukiem, a więc i nie mógł podejrzewać, jak dalece jego dyspensa kojarzyła mi się z wyzwoleniem.

Czy w ogóle byłam w stanie wytrwać pod jednym dachem z Louisem dłużej niż jeden dzień?

– A właśnie, znalazła pani swoją paczkę?

Paczkę, paczkę... Obiegłam oczami pomieszczenie w poszukiwaniu…

– Tak... – wykrztusiłam.

Nie położyła jej na biurku, tylko na krześle w kącie, niewidocznym podczas otwierania drzwi.

Paczka owinięta srebrnym papierem. Nowa kuzynka w rodzinie mojego karnecika *Dziesięć razy dziennie*.

– Super. Z mojej strony to wszystko. Do jutra, Elle.

Rozłączyłam się bez pożegnania, już na stojąco.

Przesyłka była większa i cięższa od poprzednich. Poza kopertą z łatwą do przewidzenia zawartością – kartą wstępu do pokoju, kawałkiem brystolu i odręcznym zaproszeniem – zawierała duże etui z granatowego aksamitu. Znacznie okazalsze niż to, w którym David ofiarował mi zaręczynowy pierścionek.

Kusiło mnie, żeby otworzyć je natychmiast, ale najpierw sięgnęłam po kopertę. Zgodnie z moimi przewidywaniami, w środku była karta z logo Hôtel des Charmes, bez numeru ani nazwy pokoju. Plus różowa notatka, skreślona tą samą ręką, tym samym starannym, okrągłym pismem, budzącym odruchowe zaufanie.

Godzina 22.00.
Przystrojona jak najpiękniej.

Autor jeszcze nigdy nie był aż tak enigmatyczny... Za to nowe przykazanie brzmiało wyjątkowo jednoznacznie, zapowiadając, co czeka mnie za kilka godzin.

3. Spojrzeniom nieposkromionym się nie wzbronisz.

A zatem niespodziankę – w istocie rzeczy jedyną prawdziwą w tej przesyłce – musiało zawierać aksamitne puzderko. Z trudem powstrzymałam się od okrzyku, gdy wreszcie odkryłam jego sekret. Wewnątrz, na jedwabnej wyściółce, spoczywał najbardziej niezwykły naszyjnik, jaki kiedykolwiek dane mi było widzieć. Nawet najrzadsze okazy z witryny Antiquités Nativelle nie mogły się z nim równać. Miałam przed oczami trzy sznury olśniewających szmaragdów – na pierwszy rzut oka około trzydziestu, różnej wielkości – oprawionych w różowe złoto i otoczonych na całym obwodzie niezliczonymi diamentami, czy to zwisającymi w łańcuszkach, czy skupionymi w medalionach. Nie trzeba było być ekspertem, by wyobrazić sobie długie, świetne i zapewne burzliwe dzieje tego klejnotu, a przede wszystkim jego wartość, kto wie, czy w ogóle wymierną. Tylko szaleniec mógł sprawić komukolwiek taki prezent i do tego wysłać go w ordynarnej paczce, na adres firmy, jak zwykłą korespondencję przechodzącą przez ręce beztroskich recepcjonistek i sekretarek.

Oniemiała z zachwytu, nie mogłam oderwać wzroku od tego arcydzieła, dziedzictwa pokoleń, które jakimś cudem trafiło w moje ręce – gdy dzwonek komórki przywołał mnie do nieznośnie banalnej współczesności.

– Cześć, dziecko, to ja.

Sophia, któżby inny.

– Cześć. Co u ciebie?

– Hm... Zapomniałaś, że jadłyśmy razem lunch, nie dalej jak trzy godziny temu?

– Nie, tak, oczywiście... Sorry. Jestem trochę rozkojarzona.

– No, widzę. I nie ty jedna.

– Spotkało cię coś złego?

– Nie, nic... w każdym razie nic bezpośrednio. Ale wyobraź sobie, że po naszej sałatce jeszcze raz pofatygowałam się na rue du Roi-de-Sicile.

Adres Piękności Nocy, siedziby agencji.

– I co?

– No więc ostatnim razem gdy tam byłam, mówiłam ci, nikt nie odpowiadał. Ale dzisiaj napatoczyła się dozorczyni. Wymyśliłam na poczekaniu, że zostawiłam na górze swoje rzeczy i chciałabym odebrać...

– Otworzyła ci?

– Nooo... I chyba żałuję, że to zrobiła.

– Dlaczego?

– Dlatego, że bardzo źle to wygląda, moja miła: mieszkanie jest zupełnie puste. Nie ma śladu po Rebecce, meblach, papierach. Znikł nawet kosz na śmieci. Totalna pustynia. Gobi nad Sekwaną.

Słuchając Sophii, z czystej ciekawości spróbowałam przez smartfon wejść na stronę internetową agencji. Komunikat „404 file not found" pojawił się niemal natychmiast. Plik nie znaleziony...

Podzieliłam się tą rewelacją z Sophią, która po głosie wydała mi się naprawdę załamana, bardziej niż kiedykolwiek.

– Koniec z nami. Wyobrażasz sobie: *hotelles* przestały istnieć!

Hm, Louis z pewnością byłby odmiennego zdania.

19

To, co dla Sophii oznaczało katastrofę, sama skłaniałam się uznać za bodajże najlepszą wieść ostatnich dni. Po rozwiązaniu agencji, zniknięciu strony internetowej i katalogu ślady mojej karygodnej aktywności sprowadzały się już tylko do kilku ukradkowych zdjęć o łatwym do podważenia autentyzmie. Cóż prostszego w dzisiejszych czasach, jak wkleić w zdjęcie inną twarz, spreparować czy to obraz, czy film z różnych przypadkowych puzzli? Mógł to zrobić pierwszy lepszy grafik komputerowy na zlecenie kogoś, kto chciał mi zaszkodzić... Poza tym dematerializacja Rebekki kasowała również mój dług wobec niej – bonus dodatkowy, bynajmniej nie do pogardzenia.

Innymi słowy, nie było już nic lub prawie nic, co obciążałoby mnie do tego stopnia, żebym musiała bać się konfrontacji z Davidem. Tak przynajmniej powtarzałam sobie w duchu w drodze windą na dół, do wyjścia z wieży Barlet.

Mimo bezcennego naszyjnika w torebce musiałam zaczerpnąć powietrza przed powrotem do domu. Przypomniałam sobie o szpicrucie sprezentowanej przez Louisa – nadal ukrytej w szafie pod ubraniami, gdzie wsunęłam ją tamtego dnia – i o jego uznaniu dla fachowości ekspertów z Drouot. Jak mówił, nie byli może zbyt komunikatywni, ale nikt w Paryżu nie dorównywał im znawstwem przedmiotu. Zdecydowałam się w jednej chwili – i już w momencie otwierania drzwi do ich siedziby, skromnego butiku na wprost nowoczesnego gmachu ze słynną salą aukcyjną, wiedziałam, że nie zawiodła mnie intuicja.

Prezentacja mojego skarbu ożywiła ich wyraźnie, częściowo przełamując rezerwę, jaką mógł budzić mój wiek, płeć i wygląd młodej kozy. Zwłaszcza jeden okazał się bardzo uprzejmy... i wyjątkowo rozmowny:

– O, znam to dzieło. To jeden z najsłynniejszych naszyjników cesarzowej Eugenii, małżonki Napoleona III.

Nie pomyliłam się zatem ani co do rodowodu, ani nieocenionej wartości klejnotu. Ale łysy staruszek szybko zgasił mój entuzjazm:

– To znaczy, egzemplarz w pani posiadaniu jest repliką z epoki. – Tu poprawił okulary, zsuwające mu się z sinawego nosa. – Bardzo udaną, proszę mi wierzyć... Zdarzało się wtedy dość często, że jubilerzy na życzenie klientów robili kopie własnych dzieł, oczywiście mniejszej wartości. W ten sposób dama mogła paradować po mieście w imitacji, a cenny oryginał bezpiecznie spoczywał w sejfie.

– Po czym pan odróżnia ten naszyjnik od prawdziwego?

– Och, to nie takie trudne, proszę zobaczyć: kamienie są nieco mniejsze, cięte mniej precyzyjnie, czasami oprawione w mniejszą ilość metalu szlachetnego, a więc i bardziej narażone na oderwanie się pod wpływem wstrząsu czy nawet zwykłego noszenia. To wszystko szczegóły, ale zebrane razem nie mylą, zapewniam panią.

– A oryginał?

– Od dawna nie ma go we Francji, mademoiselle. Spędził dłuższy czas w rodzinie rządzącej Iranem, a później, jakieś trzydzieści lat temu, trafił w ręce pewnego kolekcjonera w Seulu, którego zresztą dobrze znam.

Cała ta opowieść, jakkolwiek pasjonująca, niewiele wyjaśniała mi w zasadniczej kwestii.

– Jest pan absolutnie pewien, że naszyjnik należał do cesarzowej Eugenii?

Albowiem ja byłam pewna, że żaden z pokojów w Charmes nie nosił jej imienia. I nie bez powodu: Eugenia de Montijo, markiza Ardales, markiza Moya i hrabina Teba, cesarzowa Francuzów u boku Napoleona, trzeciego o tym imieniu, nie miała w sobie nic z kurtyzany.

Czyżbym poszła fałszywym tropem?

– Absolutnie – potwierdził. – Wszystkie precjoza cesarzowej zostały zidentyfikowane i drobiazgowo skatalogowane przez naszą korporację. Eugenia posiadała jedną z najbogatszych kolekcji biżuterii w swoich czasach. Ale jeśli pyta mnie pani o ten konkretny naszyjnik, muszę zaznaczyć, że nie była jedyną znaną kobietą, która go nosiła.

No proszę, jesteśmy w domu..., pomyślałam, przekonana, że usłyszę za chwilę nazwisko jakiejś hollywoodzkiej gwiazdy.

– La Païva była bezsprzecznie najsławniejszą z nich.

– La Païva... – powtórzyłam, na próżno przetrząsając zakamarki pamięci.

– Naprawdę nazywała się Esther Lachmann. Światowa dama, prowadziła w Paryżu jeden z najmodniejszych salonów Drugiego Cesarstwa. To ona pierwsza odkupiła od Eugenii oryginał pani naszyjnika. Za sześćset tysięcy franków, niech pani tylko pomyśli: jak na tamte czasy, była to zawrotna suma!

– A gdzie mieszkała ta Païva? – nie posiadałam się z ciekawości.

– Dzisiaj zwiedza się przede wszystkim jej rezydencję na Champs-Élysées, jaką podarował jej jeden z amantów, Guido von Donnersmarck, kuzyn Bismarcka. Ale znacznie dłużej mieszkała w kamienicy przy placu Saint-Georges.

Dokładnie tam, gdzie spacerowaliśmy, Louis i ja.

Po powrocie do domu spędziłam resztę popołudnia nad rozstrząsaniem tych informacji. Na prośbę Armanda oddałam mu pierścionek zaręczynowy, żeby zlecił nowy grawerunek: „Annabelle i David, 18 czerwca 2009”.

W zamian majordomus wręczył mi poczwórnie złożoną kartkę z perforacjami po lewej stronie. Poznałam ją natychmiast i z wrażenia omal nie upuściłam na ziemię kosztownego pierścionka.

– Kiedy pan to znalazł? – zapytałam drżącym głosem.

– Niedawno, po obiedzie. Między drugą a trzecią, jakoś tak.

Czyli wtedy, gdy zaczynaliśmy zebranie, w obecności Louisa. Pewne było zatem jedno: to nie jego ręka wrzuciła kartkę do naszej skrzynki. Tylko co z tego? Czy nie mógł posłużyć się kimś innym? Oczywiście. Przyszedł mi do głowy Ysiam, jego człowiek w Charmes, zwłaszcza że nie miał stamtąd daleko na rue de la Tour-des-Dames. Szybkie kółko w przerwie obiadowej i już, misja wykonana. A kto zwróciłby uwagę na skromnego śniadego dostawcę w dzielnicy gęsto zaludnionej przez przedstawicieli jego grupy etnicznej?

Już w sypialni wzięłam się do rozkładania kartki, ostrożnie, z ciekawością podszytą lękiem. Po dwóch dniach epistolarnej ciszy nie umiałam przewidzieć ani jej treści, ani zwłaszcza własnych emocji. Czy uda mi się zachować obojętność? Czy przeciwnie, ogarnie mnie to samo wrzenie, jakie kilka godzin wcześniej wywołała obecność Louisa na zebraniu? Czy nawiązywał obcesowo do poprzedniego wieczoru, kiedy to w pewnym sensie oddałam mu się na kanapie Marii Bonaparte?

Rozpędzona futrzana kula nagle wytrąciła mi kartkę z ręki: Félicité. Odkąd zamieszkałyśmy tutaj, nastrój mojej kotki wahał się między depresyjną ucieczką w sen, zazwyczaj w głębi szafy, gdzie wtulała się w moje swetry, a znacznie rzadszymi przypływami euforii, kiedy nagle przypominała sobie o Sinusie i Cosinusie i urządzała z nimi szaleńcze gonitwy. Teraz właśnie wybrali sobie naszą sypialnię za plac zabaw i cała trójka wirowała wokół mnie tak, że można było dostać oczopląsu.

W ferworze ucieczki przed psiakami kotka jednym susem znalazła się po drugiej stronie uchylonego okna. A gdy podeszłam, żeby je zamknąć i tym samym zakończyć zwierzęcą sarabandę, zobaczyłam Félicité za murkiem oddzielającym nasz ogród od posesji Mademoiselle Mars. Po jej rozpaczliwym miauczeniu domyśliłam się, że wybrała drogę, z której nie umiała skorzystać w przeciwnym kierunku.

Dwie minuty później naciskałam guzik nowoczesnego interfonu pod numerem 1 rue de la Tour-des-Dames. Zupełnie niedzisiejsza była za to emaliowana, owalna plakietka nad granatowymi drzwiami wejściowymi, z szyldem przetrwałym tu z pewnością od lat:

Młodzieżowe biuro podróży

Człowiek w roboczym kombinezonie, który wreszcie otworzył mi po długiej serii dzwonków, nawet nie silił się na uprzejmość. Ewidentnie zakłóciłam mu spokój. Masywny, ogolony na łyso, z potężną kwadratową szczęką przypominał zapaśnika z lat 60., adepta wolnoamerykanki. Zmierzył mnie od stóp do głów niechętnym

spojrzeniem, bez jednej sekundy przystanku na moim falującym biuście.

– Tak?

– Dzień dobry – zaczęłam nieśmiało. – Jestem pana sąsiadką spod numeru 3. Obawiam się, że moja kotka zabłąkała się do pana ogrodu.

– Hm... I co z tego?

– Utkwiła po tej stronie muru i nie może wrócić.

– Jest pani pewna?

– Tak, widziałam, jak skakała.

– No dobra – mruknął. – Pójdę zobaczyć.

Zrobiłam krok, jakbym chciała wejść za nim do środka, ale bezceremonialnie zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Nie pozostało nic innego, jak czekać na zewnątrz.

Zza drzwi dobiegały wyraźne odgłosy remontu. Miałam okazję wsłuchiwać się w nie dość długo, zanim mój gburowaty rozmówca zjawił się ponownie. Na szczęście z Félicité w ręku, trzymaną za skórę na karku, tak jak kotki noszą swoje kocięta.

– To ten zwierzak? – zapytał szorstko.

– Tak... Bardzo panu dziękuję.

Ledwie zdążyłam wziąć Félicité w objęcia, gdy granatowe wrota znów trzasnęły, bez najmniejszego „proszę” czy „do widzenia”. Skądinąd zdumiewające, jak ten typ nie pasował do wytwornego otoczenia, nawet jako członek ekipy remontowej.

Perforowana kartka leżała dokładnie tam, gdzie wypuściłam ją z ręki za sprawą trzech małych czortów. Wreszcie mogłam odkryć jej treść.

Żart w złym guście? A może przeoczenie... Bo jak inaczej wytłumaczyć tę dziewiczą biel?

Siedząc na brzegu łóżka, ze wzrokiem utkwionym tępo w głąb ogrodu, gdzie Félicité i mopsiki już oddawały się nowej zabawie, nie potrzebowałam jednak wiele czasu, aby zrozumieć sens niemego przekazu. Skoro przysłano mi czystą kartkę, musiałam oczywiście sama ją zapisać. Wszystkie poprzednie liściki, wszystkie nachalne wejścia w meandry mojego libido nie miały na celu nic innego jak

ten moment, kiedy sama chwycę za pióro i dam wreszcie upust zbyt długo tłumionej potrzebie autoekspresji, przelania na papier własnych pragnień w wiadomej dziedzinie.

Dźwięk komórki anonsujący pocztę głosową przerwał tok moich rozważań. Podczas gdy konfrontowałam się z kurtuazją sąsiada, mama zdążyła zostawić mi wiadomość. Bardzo długą:

Cześć, kochanie, to ja. Mam nadzieję, że dobrze ci minął pierwszy dzień w pracy. Zresztą nie tyle nadzieję, ile pewność.

Cała mama, z jej bezwarunkową wiarą we mnie.

Ja, cóż, nie czuję się najlepiej. Tak sobie nawet myślę, czy ta podróż do ju-es-ej naprawdę ma sens. Poza tym, wiesz, pani Chappuis mówi, że nasz Max Fourestier jest w pierwszej piątce w rankingu szpitali w departamencie Hauts-de-Seine. Przeczytała to w swoim magazynie... Pierwsza piątka to chyba nieźle, nie uważasz? Co mogą zrobić więcej albo lepiej tam, w Ameryce?

To niestety też cała mama, z jej nieznośną sąsiadką i tą skłonnością, żeby wszystko oglądać przez pomniejszający koniec lornetki. I to nawet nie z powodu ignorancji czy ciasnych horyzontów, raczej z pokory. Tak jakby we własnych oczach nie zasługiwała na to „więcej albo lepiej".

Ale nie ma co narzekać, bo jednak zdarzyło mi się dzisiaj coś miłego: twój David znowu mnie rozpieszcza. Dostałam pudełko prawdziwych Calissons d'Aix i przepiękny bukiet piwonii. To urocze, ale musisz mu powiedzieć, żeby przestał, kochanie! Już nie wiem, gdzie pomieścić te wszystkie prezenty...

Moja mama, gotowa uwierzyć w pierwszą lepszą bajkę, byleby ze mną jako główną bohaterką.

No to pa, córeczko, całuję cię mocno. I nie oddzwaniaj, bo po co? Założę się, że masz ciekawsze plany na dziś wieczór.

Brakowało mi nie tyle czasu czy chęci, ile odwagi, ale przemogłam się i zadzwoniłam. Połączyłam się z nią zresztą dopiero za którymś razem, bo linia była stale zajęta. Nie wyobrażałam sobie ani jednego dnia bez telefonu do mamy. Codzienna rozmowa należała do naszych rytuałów, jeszcze zanim zachorowała, a tym bardziej teraz. Dzwoniłam prawie zawsze o tej samej porze, na pograniczu popołudnia i wieczoru. Słuchałam skarg mamy na panią Chappuis, nierzadko bezlitośnie przez nas wyśmiewaną. Mówiłyśmy sobie rzeczy błahe i zwyczajne, ale dobrze robiło to nam obu.

Godzinę później, gdy światło wpadające przez wielkie okna przybierało już odcień pomarańczowy, usłyszałam hałas w hallu, zupełnie nietypowy jak na czworonożnych mieszkańców tego domu. A że Armand wykonywał zwykle swoje zajęcia tak dyskretnie, że wręcz ukradkowo, albo i podejrzanie cicho, jak uznaliby co poniektórzy, źródłem tych odgłosów mógł być tylko...

– Elle, kochanie! To ja!

David wrócił do domu o osiemnastej: jedno słowo wyglądało mi na intruza w tym zdaniu. I nie chodziło o „dom”, gdyż w miarę upływu dni coraz bardziej przywiązywałam się do rezydencji Duchesnois, oazy komfortu i spokoju. Teraz i dla mnie była ona domem, naszym, moim domem. Więc chyba jednak ta „osiemnasta”...

– Zejdziesz do mnie?

Radosne poszczekiwanie mopsików, zdziwionych nie mniej niż ja wczesnym powrotem pana. Trzaskanie drzwi, otwieranych i zamykanych w poszukiwaniu psiej piłeczki albo szklanki na codzienną ożywczą porcję whisky.

– Armand, jest pan tam? – usłyszałam jeszcze. – Proszę do salonu!

Pierwsza znalazłam się w neopompejańskich dekoracjach głównego pomieszczenia. Inaczej niż nasza sypialnia czy kuchnia

i łazienka, salon został odrestaurowany z największym pietyzmem, w duchu epoki, z której pochodził. Cały wystrój nawiązywał do czasów Drugiego Cesarstwa, włącznie z empirowym umeblowaniem, fryzami o motywach roślinnych, a wśród nich chmarą rajskich ptaszków czy krótkim fortepianem w rogu przeciwległym do okien wychodzących na ogród.

Pocałunek, jaki David złożył na moim czole, również wydał mi się zupełnie niedzisiejszy, co nie znaczy, że pozbawiony czułości.

– Wiesz, zrobiłaś wielkie wrażenie na wszystkich! – oznajmił z zadowoleniem.

– Naprawdę? – zdziwiłam się bez fałszywej skromności.

Uśmiechnął się do mnie, jakby chodziło o rzecz oczywistą, tylko potwierdzającą jego wcześniejsze przypuszczenia na mój temat.

– Ależ tak! Luc i Albane nie mogą się ciebie nachwalić. A nawet Louis, który, nie ukrywam, miał początkowo pewne obiekcje co do twojego, jak to nazywał, desantu, przyznał się, że był mile zaskoczony twoją postawą w czasie zebrania z Chrisem i Philippe'em. Mówię ci, nie mogłaś zacząć od lepszego dnia!

Lepszego dnia... Dnia, kiedy to Louis znów mnie upokorzył. Kiedy po raz kolejny dał mi do zrozumienia, że trzyma mnie w garści. Gdyby nie ta wiadomość o agencji, byłabym skłonna uznać, że przeżyłam jeden z najgorszych dni mojego krótkiego żywota. I ostatni, choć jednocześnie pierwszy w BTV.

– Armand! Niechże pan przyjdzie!

Majordomus przyspieszył kroku, przemierzając ogromny hall, gdzie kłębiły się trzy zwierzaki. Jego okrągła twarz, zaczerwieniona zwłaszcza na nosie i policzkach przez lekki trądzik różowaty, co jaskrawo kontrastowało ze śnieżną bielą włosów i brwi, niemal natychmiast ukazała się w drzwiach. Niezależnie od pory roku zawsze ubierał się tak samo: w brązowe welurowe spodnie, białą koszulę pod swetrem na guziki i zamszowe mokasyny.

– To dlatego chciałem, żebyśmy oboje wrócili dzisiaj wcześniej – zagaił David, zwracając się do mnie. – Armand ma dla nas małe sprawozdanie z przygotowań do ślubu.

– I Bogu dzięki, wszystko zapowiada się jak najlepiej – podchwycił lokaj swoim ciepłym, głębokim głosem. – Od czego chcesz, żebym

zaczął?

Zauważyłam nie bez zdziwienia, że Armand mówił do Davida per ty, a David do niego per pan. Jak ojciec i syn w dawnych rodzinach z kręgów arystokracji czy najszacowniejszej burżuazji. Nie ulegało wątpliwości, że Armand zastępował ojca braciom Barletom, zwłaszcza po śmierci ich rodziców.

– To już pan sam wie najlepiej.

Armand wyjął z kieszeni swetra okulary w rogowej oprawce i usadowił je na czerwonym nosie. Następnie zatopił wzrok w swoich notatkach, zazdrośnie przyciskanych do piersi, jakby bał się, że podejrzymy z nich choćby słowo.

– A zatem... Na początek proszę podziękować ode mnie pani przyjaciółce, mademoiselle Petrilli. Dostałem już od niej wszystkie niezbędne dokumenty, kopię dowodu tożsamości i podpisany formularz.

– O, to świetnie.

I kto by pomyślał, że Sophia tak sumiennie wywiąże się ze swojej roli, skądinąd może po raz pierwszy poważnej i prestiżowej...

– Pani dokumenty, mademoiselle, też już dotarły do merostwa. Musiałem nalegać, żeby zgodzili się dopisać was na listę ślubów zaplanowanych tego dnia. W środku czerwca i na dziesięć dni przed terminem nie było to takie łatwe. Na szczęście w tym roku osiemnasty wypada w czwartek, a nie w sobotę. W przeciwnym razie bylibyśmy ugotowani!

– O której godzinie ceremonia?

– O trzynastej. Niezbyt dobra pora, wiem, ale proponuję ci, żeby najpierw zaprosić gości tutaj na drinka i małą przekąskę, a potem razem pójść pieszo do merostwa. Jeśli trochę oszukacie głód, łatwiej będzie doczekać do obiadu.

– Doskonały pomysł – zgodził się David, wyraźnie zachwycony.

Za dobrą wróżbę brałam łatwość, z jaką Armand rozpraszał jedną po drugiej chmury wiszące nad naszym związkiem. Dzięki niemu niebo zdawało się wreszcie wypogadzać i spływać nam do stóp. Gdyby nie pogarszający się stan zdrowia mamy, nasz ślub naprawdę mógłby zapowiadać pełnię szczęścia. Albo i lepiej...

– Myślisz, że mogę zdradzić przed Annabelle nasze małe sekrety?

Siwowłosy majordomus zerknął na Davida z miną konspiratora.

– Ależ proszę! I tak zostanie ich jeszcze dosyć na wielki dzień.

Sekrety? O co im chodziło?

Ciarki przeszły mnie na myśl o tajemnicach, jakie mogli wymieniać za moimi plecami, ale opanowałam się, żeby nie okazać niczego poza ekscytacją małej dziewczynki.

– Ja też bardzo proszę! – zachęcałam Armanda.

– No dobrze: na początek mogę pani zdradzić, że wszyscy goście z pani listy potwierdzili swoją obecność.

„Nawet Fred?" – zdziwiłam się w duchu.

– Następnie, będę potrzebować pani pomocy w rozplanowaniu miejsc przy stole. Nie da się posadzić dwustu pięćdziesięciu osób na chybił trafił, zwłaszcza w ostatniej chwili.

Dobrze usłyszałam: mówił o dwustu pięćdziesięciu osobach... To więcej, niż zebrałoby się ze wszystkich moich notesów z adresami, odkąd nauczyłam się pisać.

– Ale przecież nigdy nie pomieścimy tu takiego tłumu! – wykrzyknęłam, obiegając wzrokiem pokój, fakt, że wielki, ale nie aż tak.

– Zgadza się. I właśnie dlatego ustawimy stoły w ogrodzie, pod baldachimem. Nie twierdzę, że będzie dużo miejsca, ze sceną, barem, animacjami, pasem bezpieczeństwa wymaganym przy sztucznych ogniach... Krótko mówiąc, będzie ciasno. Ale zrobiłem symulacje na planie i wychodzi na to, że jednak damy radę, bez fundowania gościom namiastki metra w godzinach szczytu.

– A jeśli będzie padać? – zaniepokoił się David.

– Dzwoniłem w tej sprawie do twojego znajomego z Weather Channel. Nie ma wątpliwości: ani kropli deszczu nad Paryżem między piętnastym a dwudziestym czerwca. Gwarantuje to najdokładniejszy światowy program pogodowy. Używany przez NASA do planowania lotów kosmicznych, o ile dobrze zrozumiałem.

Niesamowity Armand, prawdziwy Merlin czarodziejskiego świata, jaki David kreował wokół mnie, miał najwyraźniej odpowiedź na wszystko.

– A jeśli chodzi o... wie pan kogo?

– Będzie, będzie, nie ma obaw. Obiecała nawet, że pojawi się w pani programie, Elle, kiedy tylko ją pani zaprosi.

– Genialnie! – David kipiał młodzieńczym entuzjazmem.

– Oczywiście w zależności od jej terminów i przyjazdów do Francji – uściślił szybko Armand.

Udałam, że nic nie rozumiem, tak jak tego po mnie oczekiwali.

– „Wie pan kogo”?

Za całą odpowiedź Armand wyciągnął spod pliku swoich luźnych kartek ostatni kompakt artystki, która miała wystąpić specjalnie dla nas, tutaj, w naszym ogrodzie: największej gwiazdy ostatniego trzydziestolecia we własnej osobie.

Nie byłam może aż tak wielką fanką jej muzyki... a mimo to zaniemówiłam z wrażenia. Kto zresztą zareagowałby inaczej na wieść, że taka znakomitość uświetni jego czy jej ślub?

– Za to jej agent był bardzo stanowczy: jedna godzina, ani minuty dłużej.

– Co to oznacza? – wypytywał David. – Jakieś piętnaście piosenek?

– Mniej więcej. Powiedzmy dwanaście, plus ze trzy bisy. Czas na toast i kawałek weselnego tortu ewentualnie jako bonus, o ile zgodzi się zostać z nami jeszcze kwadrans po zakończeniu występu.

Co tu dużo mówić, nie mogłam ochłonąć. Diwa muzyki pop miała nie tylko osobiście złożyć nam życzenia, ale i śpiewać dla nas przez bitą godzinę!

David był w siódmym niebie, on też.

– Dziękuję za wszystko, Armand.

– Proszę bardzo.

– A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym przez chwilę porozmawiać z Elle.

– Oczywiście.

I już wychodził, jak zwykle bezszelestnie, zostawiając za sobą ledwie wyczuwalną smużkę wody kolońskiej.

O ile Louis potrafił wprawić w wibracje moje ciało, nawet mnie nie dotykając, o tyle David posiadał czarodziejską moc kojenia kilkoma słowami wszystkich moich dziecięcych cierpień. Nie miałam cienia wątpliwości, że to on stał za cudami czynionymi przez Armanda. Przy

Davidzie nie byłam już biedną małą dziewczynką, opuszczoną przez ojca i wychowywaną przez matkę bez grosza. Stawałam się taką kobietą, jaką on zobaczył we mnie wcześniej niż wszyscy inni, włącznie z jego podwładnymi: kompetentną, pewną siebie... przebojową. I działało to na mnie jak balsam.

A jednak nawet tak rozpieszczana, zasypywana niespodziankami, czułam się bardziej widzem niż aktorką zbliżającego się wydarzenia, jakby jednym z zaproszonych gości. Sytuacja, w której pozostawało mi tylko zaakceptować decyzje podjęte w moim zastępstwie, była oczywiście komfortowa, ale jednocześnie tak mało angażowała mnie i wciągała, że chyba nie zdziwiłabym się, gdyby na pannę młodą ostatecznie wybrano kogoś innego. Zamknięta w tej złotej klatce niczym ptaszek, chętnie wypowiedziałabym się w sprawie koloru mojej huśtawki albo smaku kolby. Cała ta organizacja, dopięta na ostatni guzik, wydała mi się nagle tak mało spontaniczna... i tak daleka od pośpiesznego ślubu Davida i Aurory, naglonych tylko wzajemną namiętnością!

– Jest jeszcze jedna niespodzianka, o której chciałem ci sam powiedzieć...

Skok ze spadochronem na rezydencję Duchesnois w sukni ślubnej, jak Johnny Hallyday na Stade de France?

– Tak? – udałam wielkie zaciekawienie.

Bezpośrednia transmisja naszego ślubu na kanale BTV?

– Jakoś nie złożyło się porozmawiać o tym wcześniej... Ale nie chciałbym, żebyśmy odbyli podróż poślubną w pierwszej lepszej pocztówkowej scenerii.

Obraz nieskończonych plaż i lazurowych mórz rozwiał mi się przed oczami bez wielkiego żalu. Wiedziałam, że mamy przed sobą całe życie i wszelkie środki na takie kaprysy.

Przesadnie ożywionym tonem zachęcałam go do dalszych wyznań.

– No więc mów... Dokąd mnie zabierzesz?

– Nad morze... Ale nie na koniec świata. Zostaniemy tutaj. To znaczy, we Francji.

– Chcesz, żebym zgadła, tak?

Wydał mi się zmieszany moją niewinną propozycją.

– Nie... Nie. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że to miejsce znaczy dla mnie więcej niż jakiekolwiek inne. Nawet więcej niż ten dom. I że chcę pojechać tam z tobą.

– Dobrze – uśmiechnęłam się potulnie. – Ale nie powiesz mi, gdzie to jest, i dowiem się w ostatniej chwili, czy tak?

– Dokładnie!

Nagle odzyskał swój promienny, gwiazdorski uśmiech.

Tyle że moje następne pytanie miało go zgasić równie szybko, jak się pojawił.

Nad morze... Miejsce tak ważne w jego oczach, że nie wyobrażał sobie innego na podróż poślubną... Czy raczej pielgrzymkę, uzdrowicielską dzięki naszej miłości, na co zapewne liczył. O jakie miejsce mogło chodzić, jeśli nie to, gdzie utonęła Aurora?

I już nie umiałam powstrzymać ani myśli, ani języka:

– Ta obrączka, którą mi podarowałeś...

– Wiem, jest za mała. Armand mówił mi, że oddałaś mu ją do powiększenia.

– Nie to mam na myśli... Tę obrączkę nosiła nie tylko twoja matka, prawda?

Dosłownie zamarł, zesztywniał, zaniemówił. Wpatrywał się we mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, tak mało naturalnym jak na niego.

– Włożyłeś ją już na inny palec przed moim – ciągnęłam desperacko.

– Kto ci nagadał tych bzdur?

Nie miałam już przed sobą uwodziciela o aksamitnym głosie, tylko rekina biznesu w całej okazałości, zimnokrwiste zwierzę kierujące własnym życiem jak serią wrogich przejęć.

– Pierścionek, Davidzie... Mówi sam za siebie. Pobraliście się w 1988 roku, Aurora i ty?

Jego twarz stężała w jednej chwili. Uderzyło mnie, jak bardzo upodobnił się do Louisa: teraz już nic ich nie różniło. Z tej twarzy uleciała cała słodycz i łagodność. Miałam przerażające wrażenie, że na moich oczach rodzi się jakaś monstrualna hybryda obu braci Barletów.

– 1988 – powtórzyłam z naciskiem. – To jest ostatnia data wygrawerowana po wewnętrznej stronie pierścionka.

– Co za brednie!

Dzieliło nas kilka kroków, pokonanych przez niego z niepokojącą szybkością. W ułamku sekundy znalazł się tuż przede mną, wyprostowany, groźny, wrogi.

– Aurora Delbard – nie pozostało mi nic innego, jak brnąć dalej. – Była twoją pierwszą żoną... Tak czy nie?

– To mój braciszek naopowiadał ci niestworzonych rzeczy?

Tym razem moje milczenie równało się potwierdzeniu. Widziałam w Davidzie walkę, jaką staczał sam ze sobą, żeby się opanować. Z każdym wdechem zdawał się odzyskiwać kontrolę nad nerwami i słowami.

– Nie wiem, co ten kretyn mógł wymyślić, żeby cię zaszokować... Ale owszem, spotkaliśmy niejaką Aurorę Delbard, gdy obaj mieliśmy po dwadzieścia lat. Tylko najwyraźniej zapomniał ci powiedzieć, że to on oszalał na punkcie tej dziewczyny. Chciał się nawet z nią żenić, to prawda. Na nieszczęście ich dwojga ona zakochała się we mnie.

– A ty w niej nie?

– Nie, ja nie.

Niespodziewanym gestem, zbyt szybkim, by mógł zrobić unik, chwyciłam go za lewą rękę i z całej siły wpiłam się w jedwabną opaskę. Skrzywił się, jak miałam wrażenie, z wściekłości. Albo może z bólu?

– Aha, więc to nie przez tę Aurorę zrobiłeś sobie coś takiego? Jesteś tego pewien?

Próbował się uwolnić, ale nie ustępowałam, wczepiona w niego jak marynarz w linę na pokładzie omiatanym wichrem i falami wielkości kamienic. Każdy z jego ruchów, żeby wyrwać mi rękę, przeszywał mnie kolejnym ostrzem szpady wbijanej w moje ciało.

– Puść mnie! To boli!

– Odpowiedz mi, Davidzie...

Siarczysty policzek spadł na mnie bez uprzedzenia. I natychmiast sprawił, że zwolniłam ucisk. Uderzenie uruchomiło potok łez. Teraz to David się przeraził.

– Elle, wybacz mi... Ja... – bełkotał.

Podniosłam głowę, upokorzona, wstrząsana szlochem, który resztką dumy i godności starałam się stłumić. Głos z trudem wychodzący z mojego ściśniętego gardła brzmiał chrapliwie i zupełnie nie należał do mnie:

– Wynoś się! Wynoś... precz!

Musiał zrozumieć, że wszelkie próby uspokojenia mnie czy zatrzymania i tak spełzną na niczym, skoro przeszłam przez salon, nie napotykając żadnej przeszkody, żadnej wyciągniętej ręki. Miałam jeszcze na tyle przytomności, żeby w biegu złapać torebkę z konsoli w hallu i jakiś porzucony tam sweterek.

Nieco dalej w tym monumentalnym przedsionku mój wzrok natknął się na klepsydrę, już prawie po równo wypełnioną w obu częściach. Z łapami na szklanej bańce Sinus, Cosinus i Félicité usiłowały złapać strużkę piasku nieustannie spływającą między zbiornikami. Wściekła, w pośpiechu, jedną nogą już za drzwiami, pomyślałam nagle, że czas zamknięty w klepsydrze nieuchwytnie przecieka mi przez palce, tak samo jak dla trójki bezrozumnych zwierząt. Wszystko wymykało mi się z płynnością tego piasku, włącznie z moim życiem.

20

Człowiek dorosły i umiejący słuchać sygnałów wysyłanych przez własne ciało bez traktowania ich jak zdradzieckie czy obraźliwe dla siebie, potrafi wyczuć moment, kiedy rodzi się w nim determinacja, znikają wątpliwości, narasta gotowość do czynu. Oddech, który przyspiesza lub przeciwnie, zwalnia. Mięśnie, które naprężają się bądź rozluźniają. Chcę przez to powiedzieć, że nie trzeba być nikim wyjątkowym, żeby rozpoznać fizyczne oznaki przemożnego pragnienia zmiany. Napięcia jak tuż przed walką. Życiodajnych odruchów obrony lub ucieczki.

Była ledwie ósma wieczorem, gdy wybiegłam z rezydencji Duchesnois. Krążyłam przez dwie godziny, nie czując najmniejszej potrzeby, żeby usiąść, odpocząć czy nawet ugasić pragnienie szklanką monaco. Wręcz przeciwnie, potrzebowałam podtrzymania w sobie woli walki, tej siły wojownika, jaka przepełniała moje ciało i duszę.

Wróć, proszę. Chciałbym,
żeby udało nam się porozmawiać.
Na spokojnie. Kocham cię.

W marszu kasowałam jeden po drugim SMS-y od Davida, nie odpowiadając na żaden. Przy każdym naciśnięciu funkcji „usuń” mój gniew na niego zdawał się narastać. Mógł wysyłać mi tyle sygnałów, ile mu się podobało, byłam absolutnie zdecydowana: skończę wieczór w Charmes. Żeby go ukarać, bez wątpienia; ale też żeby znaleźć tam odrobinę tej dziwnej pociechy, jaką daje czasami podległość i wynikające z niej poniżenie.

Krok po kroku zwalniałam jednak rytm i stopniowo odzyskiwałam spokój. Zobaczyłam w myślach ciemne oczy Louisa i ledwie dostrzegalne ruchy jego rzęs, gdy na zakończenie zebrania literował z myślą o mnie to ostatnie słowo: *hotelles*.

Nie szłam na to przeklęte rendez-vous, żeby oddać się Louisowi, tylko żeby wyszarpać z niego kilka cennych strzępów prawdy. Nie zamierzałam grać kartą jednego z braci przeciwko drugiemu. Zamierzałam grać przede wszystkim moją własną. Co mi powie skonfrontowany z wersją Davida? Czy historia Aurory Delbard rzeczywiście była tylko młodzieńczą miłostką, jednym z epizodów w dziejach ich permanentnej rywalizacji? Gdyby tak było, czy David zareagowałby na moje pytanie o jego rękę z taką gwałtownością?

Wchodząc do Charmes po okrążeniu dzielnicy bez innego celu niż danie upustu furii, byłam zdeterminowana jak nigdy. Gotowa rzucić się do gardła każdemu, kto nieopatrznie stanąłby mi na drodze…

Jak na przykład monsieur Jacques, uzbrojony w swą nieznośną staroświeckość.

– Dobry wieczór, Elle...

– Nie wiem, co pan knuje z Louisem Barletem... – wyrzuciłam z siebie jednym tchem, przerywając te ceregiele. – Ale niech pan przyjmie do wiadomości, że nie dam się więcej zamknąć w żadnym z tych pokojów. Niech pan tylko spróbuje... a złożę skargę! Słyszy mnie pan?

Po pierwszej chwili osłupienia wyprostował się do pełnej wysokości, odzyskując naturalną dystynkcję i samokontrolę. Odpowiedział mi z dobrodusznym uśmiechem i naciskiem na każde starannie dobrane słowo:

– Ale skargę na co, droga Elle? Aktywne nagabywanie? Prostytucję? Kilku bywalców tego hotelu z pewnością poświadczy, że proponowała im pani swoje usługi w zamian za nieco gotówki. Czy o to pani chodzi, mademoiselle?

Chociaż wreszcie odkrywał prawdziwe karty, nie tracił przy tym nic a nic ze swej legendarnej kurtuazji. Nawet posuwając się do szantażu, pozostawał wzorem uprzejmości i taktu, tak cenionych przez wszystkich klientów, na czele z cudzoziemcami.

– Nie mówiąc o tym, że mógłbym od zaraz zakazać pani wstępu do pokojów – dodał słodko, pewny przewagi nade mną. – A nie sądzę, żeby odpowiadało to pani zamiarom. W przeciwnym razie nie stawiłaby się pani tu dziś wieczorem, zgodnie z wezwaniem i punktualnie o wyznaczonej godzinie.

Jego słowa potwierdzały, że doskonale orientował się w intrygach Louisa. I w mojej pilnej potrzebie spotkania z tym ostatnim, chociaż nie z powodów, o których zapewne myślał.

Nie zamierzałam jednak składać broni. Wiedziałam dostatecznie dużo, by wykazać przed policją – oraz wymiarem sprawiedliwości – że pod szyldem „pokojów wynajmowanych na godziny" krył się zwykły, choć luksusowy burdel. Właśnie zbierałam siły do kontrataku, gdy za moimi plecami odezwał się zdziwiony, niemal radosny głos:

– Elle? Elle, to naprawdę pani?

Odwróciłam się gwałtownie, spięta, gotowa spoliczkować pierwszego nadarzającego się intruza... aby stanąć twarzą w twarz z moim klientem z poprzedniego tygodnia, wysportowanym, niezręcznym czterdziestolatkiem, tym od zadawania żenujących pytań w rodzaju: „Czy masz jakieś preferencje co do pozycji?". Tym, który, jak łudziłam się wtedy w mojej naiwności, miał być definitywnie ostatnim.

– Dzień dobry... – wykrztusiłam, tłumiąc zaskoczenie i wściekłość.

Ale najgorsze było nawet nie to, że pojawił się w tak nieodpowiednim momencie. U jego ramienia natychmiast rozpoznałam olśniewającą Metyskę, z którą Louis opuścił galerię Sauvage w dniu naszego pierwszego spotkania. Tak jak wtedy, owinięta swym idealnym ciałem wokół towarzysza, zmierzyła mnie wzrokiem pełnym najwyższej pogardy.

Czy kiedykolwiek należała do Piękności Nocy? Po zniknięciu strony internetowej i katalogu nie miałam już okazji tego sprawdzić. Tak czy inaczej, z jej powierzchownością na pewno radziła sobie doskonale, nie potrzebując do tego pośredników.

Przyglądając mi się bardziej ciekawie niż pożądliwie, mężczyzna wyraził szczere zdumienie, jak na mój gust, nieco za głośno:

– Słowo daję, ma pani dar bilokacji!

– Słucham?

– No tak... Czy to nie panią widziałem pięć minut temu na placu Saint-Georges?

Rzeczywiście błądziłam po dzielnicy, zaślepiona własnymi zgryzotami i duchami przeszłości, ale byłam niemal pewna, że tam akurat nie zawędrowałam.

– Tak... Ma pan rację, to musiałam być ja – przytaknęłam, żeby go nie drażnić.

Pożegnałam się z obojgiem najgrzeczniej, jak mogłam w tych okolicznościach, i ruszyłam w stronę wind, gdzie czekał na mnie boy hotelowy. Tego wieczoru, ku mojemu rozżaleniu, nie był nim słodki i nieśmiały Ysiam, tylko duży rudy chłopak z zadartym nosem, jeszcze bardziej piegowaty niż ja.

– La Païva, poproszę.

– La Païva – powtórzył. – Czwarte piętro.

Wszystkie drzwi na tym piętrze miały srebrzysty kolor w znanym mi aż za dobrze opalizującym, lekko tęczowym odcieniu. Wyglądały jak koperty i opakowania, których Louis używał do swych przesyłek. Wywnioskowałam stąd, że to piętro należało do niego, może nawet na wyłączność. Wkraczałam zatem do jego ścisłego królestwa.

Rudzielec bez słowa podprowadził mnie pod jedne z drzwi i sam wsunął moją kartę w szczelinę czytnika. Zawiasy obróciły się wokół własnej osi z lekkim zgrzytem, powoli odsłaniając przede mną najpyszniejsze wnętrze, jakie kiedykolwiek widziałam w tym hotelu.

Podobnie jak pierwowzór – do dzisiaj udostępniany publiczności przy Champs-Élysées – i ta wierna replika apartamentów markizy porażała od pierwszego wejrzenia bogactwem drogocennych tworzyw i ornamentów. Najbardziej zdumiewającą częścią tej komnaty w stylu Drugiego Cesarstwa był niewątpliwie plafon z drewnianymi kasetonami, odtworzony z niezwykłym pietyzmem w każdej linii, każdej inkrustacji, każdej z figur geometrycznych, wśród których powtarzały się kwadraty, owale i romby, miejscami skierowane ku dołowi jak stalaktyty i zakończone czymś w rodzaju żołędzi.

Na ścianach dominowały oczywiście wielkie lustra, każde w otoczeniu dwóch kolumn stylizowanych na antyczne. Ale zauważyłam też kominek podtrzymywany przez dwie eleganckie

brązowe kariatydy. Zdziwiło mnie jego nietypowe umiejscowienie, na ścianie pod oknem – czy na pewno był tylko dekoracją?

Kwieciste tapiserie harmonizowały w każdym motywie i odcieniu z purpurową wykładziną na podłodze, tak grubą, że skutecznie zagłuszała stukot moich obcasów. W dość irracjonalnej nadziei na zdominowanie dzisiejszego przeciwnika, wyciągnęłam z szafy czółenka w wersji nocnej, używając terminologii Rebekki, pozostałość po służbowym stroju numer trzy. Czas tamtych zakupów na wielkich bulwarach wydawał mi się już tak odległy...

Nie czekałam na jakąkolwiek dyrektywę, by zrzucić szpilki i z rozkoszą zagłębić nagie stopy w miękkiej i gęstej wełnie dywanu. Na swój sposób, „przystrojona jak najpiękniej" – włącznie z naszyjnikiem cesarzowej Eugenii na szyi – w pełni harmonizowałam z tym wystrojem. Nie czułam się tu przypadkowym gościem, byłam La Païvą.

Zdążyłam właśnie skonstatować, że ten pokój, w przeciwieństwie do poprzednich, nie zdradzał żadnych śladów nowoczesnej aparatury, gdy wokół mnie rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, natychmiast wyprowadzając mnie z błędu. Głośniki i wzmacniacze musiały być ukryte gdzieś pod obiciami... Skupiłam się na melodii, którą na pewno gdzieś słyszałam, chociaż nie umiałabym podać ani jej tytułu, ani wykonawcy.

– To *Tunnels*, Arcade Fire – usłyszałam podpowiedź.

W pierwszej chwili serce podskoczyło mi do gardła z przerażenia. W drugiej rozpoznałam głos, który wybił się ponad rytm perkusji, ponad brzmienie gitar, klawiszy i wokalu, nieoczekiwany, a mimo to tak znajomy. Głos Louisa, oczywiście, co rozpoznałam z ulgą, a nawet przyjemnością nie do zaprzeczenia ani stłumienia.

Trzask przekręcanego zamka po przeciwnej stronie, tej z drzwiami wejściowymi, uświadomił mi, że po raz kolejny byłam jego branką.

Po chwili oszołomienia postanowiłam przejąć inicjatywę. Zagadnęłam go równie głośno i tak naturalnie, jakby siedział obok mnie. Dziwny przypływ krwi zaczął głucho rozsadzać moje skronie, szyję przy wcięciu obojczyka i podbrzusze.

– Czy nie mógłby pan przerwać tej komedii, przynajmniej na moment?

– Komedii? Chyba że komedii erotycznej... Z panią idealnie wcieloną w swoją rolę, Elle. Może mam pani odtworzyć wczorajszy spektakl, żeby panią o tym przekonać?

To, że wszystko nagrywał, wcale mnie nie zdziwiło. Ot, jedna deska więcej załamująca się na scenie, po której tak niepewnie stąpałam.

Nie wiedzieć czemu pomyślałam, że moim samotnym „występom" z poprzedniego dnia nie towarzyszył żaden akompaniament muzyczny. Pomijając rzecz jasna jęki i rzężenia wydawane przez parę aktorów na ekranie, skądinąd najlepszą ścieżkę dźwiękową z możliwych…

– Wybór idealnej muzyki pod akt seksualny to długa i żmudna praca – podjął Louis za kulisami. – Dla niektórych, praca na całe życie. Ja sam poświęcam się jej od lat i nadal nie wiem, czy trafiłem już na to, czego szukam.

Nie miałam wątpliwości: jedyny sposób, żeby pociągnąć go za język, niepostrzeżenie skierować na mój teren, polegał na początkowej akceptacji jego własnych reguł. Dopiero wtedy, myślałam szybko, wkupię się w jego łaski na tyle, by raczył rzucić mi kilka okruchów prawdy i swój ogląd, choćby i stronniczy, ich wspólnej przeszłości z Aurorą.

– A czym według pana powinna się cechować taka muzyka? Chciałabym wiedzieć...

Moja niespodziewana ciekawość musiała go zdziwić, skoro przez dłuższą chwilę wstrzymywał się z odpowiedzią.

– Wolnym rytmem. Powtarzalnym, prawie mechanicznym – zdradził wreszcie. – Dla większości z nas przyjemność wynika tylko i wyłącznie z niestrudzonego powtarzania tego samego ruchu, tych samych bodźców.... Muzykę należy dobierać na podobieństwo tej regularności, tego uporu w doprowadzaniu drugiej strony do rozkoszy.

– Niech będzie, chętnie uwierzę panu na słowo. Ale poproszę o przykłady. Na pewno ma ich pan mnóstwo na podorędziu.

– Och, do tego nie trzeba być wielkim melomanem. Również wśród najbardziej popularnych fragmentów muzycznego dziedzictwa znalazłaby się niejedna ledwie zawoalowana oda do seksualności

i jedynego w swoim rodzaju tempa aktu miłosnego. Weźmy chociażby *Bolero* Ravela, z jego wzbierającym *crescendo* i finalną eksplozją.

Rzeczywiście, teraz i mnie ta dźwiękowa metafora wydała się bardzo czytelna.

– I co jeszcze? – nalegałam. – Coś, co mógłby mi pan puścić tutaj, natychmiast...

– Sam nie wiem...

– Coś, co pasowałoby do mnie... – prowokowałam go. – Właśnie do mnie.

Fakt, że rzucałam mu takie wyzwanie, nie dawał mi jeszcze wielkiej przewagi, niemniej w moim odczuciu jakoś wyrównywał nasze siły. Nie byłam już tylko jedną z tych głupich gęsi, które wykorzystywał do swoich erotycznych kaprysów. Stawałam się pełnoprawną partnerką w grze i sama ta myśl napełniła mnie dziwną otuchą.

Aż do tej chwili nie zwróciłam szczególnej uwagi na łóżko, skądinąd trudne do przeoczenia: duże, masywne, z wezgłowiem i nogami z rzeźbionego drewna. Motyw główny tworzyły amorki trzymające w rękach instrumenty muzyczne, na moje oko liry i harfy.

Na samym łóżku odkryłam maskę – ale nie zwykłą, białą, anonimową i pozbawioną stylu, jak te na twarzach dwojga amantów z poprzedniego dnia. Ta maska kojarzyła się z weneckim karnawałem. Natychmiast pomyślałam o jednym z niewielu filmów erotycznych, jakie dane mi było zobaczyć, pod bezpieczną przykrywką ogólnej kultury: *Oczach szeroko zamkniętych* Stanleya Kubricka. Był to jeden z rzadkich filmów zasilających mój osobisty kinematograficzny panteon, złożony ze scen różnego pochodzenia, zestawianych przeze mnie samą, zdolnych wprawić mnie w podniecenie. W przebłysku wspomnienia ujrzałam tę olśniewającą kobietę, nagą, zawieszoną na równie niebotycznych obcasach jak moje dzisiaj, która kończy w lodówce kostnicy, a oniemiały Tom Cruise jest gotów przywrzeć do jej sinych warg w ostatnim, wiecznym pocałunku.

– Może to, na przykład... – odezwał się Louis po dłuższej chwili poświęconej, jak przypuszczałam, na szukanie odpowiedniego

utworu.

Przejmujący rytm wypełnił pokój, a ja zadrżałam, nadając nazwę temu głuchemu dudnieniu, rezonującemu gdzieś w głębi mnie: to akurat znałam i uwielbiałam od zawsze...

– *Karmacoma* – oznajmiłam z satysfakcją. – Massive Attack.

– O, widzę, że zna pani klasykę. To aż zadziwiające, jak na kogoś w tak młodym wieku. Przecież miała pani nie więcej niż dziewięć–dziesięć lat, gdy ukazał się ten album.

– Chyba właśnie na tym polega klasyka, nie uważa pan? Że przeżywa generację swoich twórców.

Muzyka nie była jedynym kryterium jego wyborów. Nie mniej liczył się tekst, nośnik sensu i przekazów, jakich sam Louis nie umiał czy wzbraniał się sformułować. Głos 3D, wokalisty mitycznej grupy z Bristolu, wmieszał się w niemy dialog nawiązywany przez nas dwoje:

You sure you want to be with me
I've nothing to give...

Między dwiema zwrotkami tej czarownej melorecytacji znów górę wziął rytm i dźwięki fletu, nieubłagane, narzucające moim biodrom mimowolny ruch. Bezwiednie albo prawie, zaczęłam tańczyć powoli, w ledwie dostrzegalny sposób. Trans: to był główny temat tej kompozycji. A może nie tylko jej, ale każdego aktu seksualnego?

Don't want to be on top of your list
Phenomenally and properly kissed...

Nie mogłam jednak dać się porwać uniesieniu, po raz kolejny wpaść w sieć utkaną z jego przebiegłości i perwersji, choćby nawet czytał we mnie tak trafnie, choćby trącał nie wiem jaką niewidzialną strunę. Musiałam stawić mu czoła i wrócić do konfrontacji, jaka mnie tu sprowadziła:

– A propos wieku, ile lat miałaby dziś Aurora? – zapytałam jak gdyby nigdy nic.

– Nie widzę związku... – bronił się, wytrącony z równowagi.

– David twierdzi, że to pan oszalał na jej punkcie – przerwałam mu.

– To absurd! To on się z nią ożenił! To on...

Zamilkł, jakby rozdarty wewnętrzną walką. Jakby jedna część jego osobowości chciała zwierzeń, a druga usiłowała je powstrzymać.

– Chciał się przez nią zabić – dokończył po chwili.

No, to przynajmniej sugerowało, że pierwsza wersja jego opowieści, ta, w której David spalał się z miłości do Aurory aż do samozagłady, była prawdopodobnie najbliższa prawdy. A późniejsze zaprzeczenia wynikały już tylko z gry, jaką z nieznanych powodów uparł się prowadzić.

– Ale pan... Pan też ją kochał, prawda?

Odpowiedziała mi długa cisza, później pogłośnienie dźwięku. Muzyka zawieszała się teraz na ścianach pokoju niczym dodatkowy ornament, nadając całej dekoracji niesłychany wymiar i siłę oddziaływania. Komnata La Païvy wydała mi się wibrująca, niemal żywa.

– To pytanie należałoby zadać Louisowi sprzed piętnastu czy dwudziestu lat – usłyszałam wreszcie. – Ja mogę mówić tylko za tego dzisiejszego.

W tym momencie, chociaż nie docierało do mnie nic poza ekstatyczną muzyką, teraz niemal ogłuszającą, dałabym głowę, że w pokoju zachodzi coś dziwnego, jakaś niedostrzegalna zmiana dekoracji. Podchodząc do ściany na wprost łóżka, zauważyłam, że jej powierzchnia uległa minimalnej modyfikacji, aczkolwiek nie potrafiłabym jej zidentyfikować ani nazwać. Dopiero wtedy, gdy objęło to wszystkie cztery ściany, uświadomiłam sobie, co się stało: na całym obwodzie pokoju otworzyło się co najmniej dwadzieścia judaszy, nie większych niż dziurki od klucza, a do każdego z nich przywierało wpatrzone we mnie ludzkie oko.

– Proszę się rozebrać, Elle.

– Chyba pan jednak nie myśli, że będę...

– Oni czekają na panią – uciął krótko.

Oczy wokół mnie zamrugały jak na komendę, jakby potwierdzając jego słowa. „Spojrzeniom nieposkromionym się nie wzbronisz” –

brzmiało przykazanie dnia. A więc to tak wyglądała jego rozkosz? Na odległość? Bez jednego dotknięcia kobiety, której pragnął?

Może nawet na tym polegał układ między nim a Davidem, mniej lub bardziej sekretny, mniej lub bardziej milczący: jeden konsumował to, czego drugi nawet nie dotykał. David był aktorem, niezręcznym i niedoskonałym, a Louis wiecznym widzem, czystym, obleczonym w powściągnięte żądze i ideały, w seksualność wysublimowaną, bardziej śnioną niż spełnioną. Czy Aurora padła ofiarą tego podziału ról? A jeśli chodzi o mnie, czy to możliwe, że David był świadomy gry, w jaką bawił się jego brat moim kosztem, dozując mi spotkania i szantaże niczym tortury?

Historia prawdziwa: dawniej, ilekroć pozwalała na to pogoda, mama suszyła naszą bieliznę na zewnątrz, na sznurkach rozpiętych nad tarasem od frontu. I otóż gdy miałam piętnaście lub szesnaście lat, czyli byłam już w wieku, gdy dziewczynka nabiera kobiecych kształtów, moje majtki i staniki zaczęły nagle znikać ze sznurków. Początkowo obwiniałyśmy o to „figlarny wiatr", le vent fripon, jak śpiewał Brassens, który równie figlarnym trafem upodobał sobie akurat bieliznę podlotka, a zostawiał w spokoju należącą do dojrzałej kobiety. Ale po czwartej czy piątej parze zdematerializowanych majteczek zaczęłyśmy śledzić taras przez okno salonu, z okiem zawieszonym na moich cennych desusach. Gdzieś po miesiącu czatów to mnie przypadło rozwiązanie zagadki: wytropiłam naszego sąsiada z lewej, samotnego emeryta po sześćdziesiątce, który z okienka swojej łazienki najdosłowniej wędkował w naszym praniu. Jeśli udało mu się zahaczyć wędką o cienkie bawełniane majteczki, dalej już bez trudu wyrywał je z klamerki i wciągał do góry szybkimi obrotami kołowrotka. Widziałam nawet, jak podnosi krok świeżo wypranych majtek do nosa, wyraźnie delektując się tą czynnością. Tego dnia poczułam się tak zawstydzona i zbrukana, jakby stary zboczeniec przywarł nosem bezpośrednio do ~~mojej cipki~~ mojego jeszcze dziewiczego łona. Ale co ciekawe, ten wstrętny obraz towarzyszył mi przez następne miesiące podczas najbardziej rozgorączkowanych, sekretnych pieszczot. Za każdym razem

staranniej niż zwykle wycierałam tylko moje mokre krocze, niejako z myślą o erotomanie, ciesząc się w duchu, że go to ominie. Taka młoda, a już nieco perwersyjna, można by pomyśleć...
(Odręczna notatka z 10.06.2009, mojego autorstwa)

Tymczasem, jakby po to, by wymóc na mnie decyzję, w urządzeniu pokoju zaszła następna dziwna zmiana: pod każdym judaszem uwidocznił się inny, większy otwór, na tyle szeroki, by przecisnąć przez niego rękę. I oto znów w jednej chwili ze ścian wyrosły te ręce, męskie ręce skierowane w moją stronę, żądne pochwycić to, co znajdowało się w środku, nadal poza ich zasięgiem: mnie.

– Proszę zobaczyć, jak bardzo pani pragną! Nie ma jednego mężczyzny na tym świecie, który by pani nie pożądał.

Utwór chyba zaczął się od początku, ściskając mnie jak obręczą. Ta muzyka zdawała się wbijać gwóźdź w moje rozterki, spadać młotem na moje ciało i duszę, aby pozbawić mnie sił obronnych, zmiękczyć, a następnie rozłupać jak dojrzały owoc i wreszcie wydobyć na zewnątrz jądro moich skłębionych pragnień.

– Jest pani taka piękna... Niech pani nam to pokaże.

Obserwowałam ich pożądliwe palce z lękiem zmieszanym z dzikim podnieceniem, krążąc od ściany do ściany, coraz bliższa tego, by pozwolić im się dotknąć. I właśnie wtedy Louis dodał z naciskiem i przekonaniem, które natychmiast pozbawiło mnie resztek zahamowań:

– Niech pani udowodni to sobie samej!

Machinalnie, jak marionetka pociągana za sznurki, zaczęłam rozbierać się w zwolnionym tempie. Każdy mój gest ważył tonę. Każda część garderoby staczała ze mną walkę, z góry przegraną, skoro jedna po drugiej opadała na ziemię. Gdy już pozbyłam się majtek i zostałam w samych szmaragdach i diamentach wokół szyi, doszło do mnie następne polecenie, wypowiedziane głosem niższym, bardziej zmysłowym i otulającym:

– Niech pani założy maskę.

Właściwie wszystko to zapowiadało się na reedycję mojego pierwszego występu tutaj, kilka pięter niżej, wtedy gdy zażyczył

sobie fotografować mnie nagą.

– Proszę się nie bać... Oni nic nie splamią, tylko odkryją... Działają jak wywoływacz.

Wreszcie odważyłam się zbliżyć do anonimowych rąk i nagle w kontakcie z nimi poczułam, jak każda dotykana część mojego ciała zaczyna żyć innym życiem, nabierać nowego, niezwykłego kształtu i konsystencji. Jeszcze nigdy moje pośladki nie wydały mi się tak gładkie, brzuch tak okrągły, talia tak wcięta. Jeszcze nigdy żadna ręka nie wydobyła takiej krągłości z moich ciężkich piersi jak ta, bez imienia i przeszłości.

– Ach, gdyby pani widziała, jak bardzo pani pragną!

A pan? A ty? – zapłakało bezgłośnie moje łono. Z zamkniętymi oczami, przechodząc z rąk do rąk, wirując w tym obłędnym tańcu jak kula rozedrganego ciała, nie byłam jednak w stanie niczego wyartykułować. Krążyłam i krążyłam między nimi, a moje kolejne obroty budziły w każdej z rąk coraz większą chciwość i coraz większy niedosyt, gdy już odpływałam ku następnej.

Po kilku okrążeniach anonimowe palce zaczęły poczynać sobie śmielej: jedne wsuwały mi się między pośladki, drugie chwytały za włosy łonowe, jeszcze inne próbowały bez ogródek wejść choć na chwilę w moją szparę, z której sok wyciekał teraz obficie i spływał lepką strużką wzdłuż ud.

– Niech pani robi tak dalej... Jeszcze, jeszcze...

Im dłużej sunęłam między ich palcami i na ich oczach, tym silniejsze było wrażenie, że w całym moim ciele zachodzi wielka metamorfoza. Nie istniałam już jako Annabelle, suma moich narządów, owoc mojej własnej świadomości – teraz to ich połączone żądze, wszystkie skupione na mnie, tworzyły moją nową materię i oblekały w nową skórę. Istniałam, ponieważ mnie pragnęli. Louis nie ująłby tego lepiej...

Karmacoma, jamaica' aroma...

Tak, aromat ekstazy, tak słodki, tak rozpoznawalny, zapowiadający rozkosz, właśnie ten zapach docierał do mnie z każdej strony.

Mogłam go wyczuć przez ściany, najwyraźniej nie grubsze od parawanów.

Karmacoma...

Przez ściany albo...

Co się stało? Dopiero gdy otworzyłam oczy i przystanęłam na środku pokoju, odkryłam, że otwory w ścianach mieściły się na wysokości talii... I oto jeden po drugim wypełniły się czym innym niż ręce, innymi organami, jedynymi w swoim rodzaju, a mimo to tak zmiennymi, zależnie i od stopnia pobudzenia, i anatomii. Niektóre jeszcze zwisały, inne prężyły się w pełnym wzwodzie, dłuższe lub krótsze, cieńsze lub masywniejsze, obrzezane lub nie. Ze dwadzieścia fallusów wystawało ku mnie ze ścian w nadziei, że dotknę ich tak, jak sama byłam przed chwilą dotykana.

Chwiejnym krokiem ruszyłam w nowy obchód, muskając je palcami tak, jak głaszcze się na polu dojrzałe kłosy zboża, dla czystej przyjemności odczucia, że chylą się pod ręką, wibrują niecierpliwością i odzyskują dumną postawę zaraz po zwolnieniu ucisku. Po drodze ścierałam kropelki spermy, tu i ówdzie perlące się u wylotu. Podnosiłam do nosa palce oblepione nasieniem. Pachniało tak mocno, tak upojnie...

Ale co mogłam zrobić z całym tym zmasowanym pożądaniem? Kim byłam, aby łudzić się, że zaspokoję ich wszystkich? Byłam przecież tylko sobą. Nie zależało mi na niczym innym, jak na zaspokojeniu jednego jedynego mężczyzny. Louisa? Davida? Którego z nich bardziej niż drugiego?

Odpowiedź powinna była przyjść sama, narzucona przez moje uczucia i coraz bliższy ślub. A mimo to, im dłużej robiłam przegląd tej armii męskich członków, tym mniej czułam się zdolna do wyboru, do wykluczenia jednej opcji na rzecz drugiej. Louisowi udało się przynajmniej to: zasiać we mnie wątpliwość, skoro nie zdołał – czy nie mógł? – inaczej zaspokoić swoich – i moich? – pragnień.

I nie chodziło tylko o ten zastęp penisów zgromadzonych tu do mojej dyspozycji. Teraz już wiedziałam, chciał ukazać mi wielki świat możliwości erotycznych, jeszcze nieodkrytych, a już zakazanych. To ja sama wyrzekałam się ich lekkomyślnie, poświęcałam je na ołtarzu

małżeństwa z Davidem, aby odtąd leżały grzecznie w głębi mnie, jak szpicruta – prezent od niego – ukryta pod stosami ubrań...

Muzyka umilkła na dobre. Mistrz tej niezwykłej ceremonii musiał wyczytać we mnie zamęt, skoro łagodnym głosem obwieścił to, co ewidentnie oznaczało koniec seansu:

– Może się pani ubrać, Elle.

Tak jak poprzednio, dosłyszałam trzask zamka w drzwiach. Anonimowe penisy musiały również dostać rozkaz, bo jak na komendę znikły mi z pola widzenia, a otwory w ścianach zamykały się jeden po drugim. Z ostatniego, tuż przed zamknięciem, na kwiecistą wykładzinę spadła biała koperta.

Jeszcze półnaga, z ledwie naciągniętymi majtkami, pospieszyłam w jej stronę. Moim oczom ukazał się najpierw plik banknotów po sto euro, niemalże wyrywając mi z gardła okrzyk wstydu i hańby... Ale po sekundzie, gdy zajrzałam głębiej do koperty, uspokoiłam się i zrozumiałam przeznaczenie tego datku. Na kawałku brystolu widniał bowiem nagłówek „Lista lektur obowiązkowych”, a pod nim trzydzieści tytułów. Była też przypięta spinaczem do kartonika wizytówka z nazwą i adresem:

La Musardine
Paryska księgarnia erotyczna
122, rue du Chemin-Vert, 75011 Paryż

Najwyraźniej Louis wpadł na pomysł, żeby odtąd zadawać mi prace domowe...

21

10 czerwca 2009

– No, tym razem naprawdę nie mogłam się oprzeć... Mój stary odbiornik łapał już tylko dwa kanały, a i to ze śnieżeniem.

Dowiadywałam się właśnie, że mama dostała następny prezent, i to jaki: telewizor najnowszej generacji, z płaskim ekranem 3D i wszelkimi łączami, w rozmiarach nijak niepasujących do jej ciasnego saloniku.

– Ale musisz mu powiedzieć, że to zdecydowanie za wiele. Jeszcze nawet się nie spotkaliśmy... a już zaliczyłam lata gwiazdkowych prezentów!

– Co zrobić, mamuś, to cały David – westchnęłam, udając lament.

– Wiem, że długo nie pociągnę...

– Przestań! – zgromiłam ją, tym razem jak najszczerzej.

– ...ale to nie powód, żeby tak nadrabiać czas! Chociaż dzięki Bogu, tego chłopca przynajmniej na to stać.

Dwóch dostawców zjawiło się u niej godzinę wcześniej, zupełnie niespodziewanie. Później długo męczyli się, żeby upchnąć technologiczne monstrum w kieszonkowym wnętrzu i podłączyć jak trzeba. Dopiero co wyszli, zostawiając mamę pełną niedowierzania, trochę uradowaną, a znacznie bardziej oszołomioną całą tą dobroczynną lawiną, która spadała na nas dzień po dniu.

– A przynajmniej sprawdziłaś, jak działa?

– Tak, tak... Właśnie oglądam mój serial. Przed chwilą wydawało mi się, że nadają go prosto z Brazylii. A teraz można powiedzieć, że aktorzy po prostu weszli mi do domu. Ale to raczej przyjemne wrażenie!

Po tylu latach niedostatków i wyrzeczeń, kiedy każdy centym, który mógłby osłodzić jej życie, był z góry przeznaczony dla mnie, mama miała prawo zakosztować takich dziecięcych przyjemności. I przynajmniej do pewnego stopnia mogłam się tylko cieszyć, że ją to spotkało. Do pewnego stopnia, podkreślam. Albowiem znałam źródło tych królewskich darów.

Ale tym razem jeszcze inny szczegół wzbudził moją czujność.

– Mamo... Dostałaś ten telewizor dzisiaj rano, tak?

– Tak, przecież ci mówię: dopiero co wyszli. Dlaczego pytasz?

Tak sobie, nic wielkiego, ledwie przebłysk intuicji. A mimo to...

– A poprzedni prezent, co to było, bo zapomniałam?

– No... piwonie i ciasteczka Calissons. Tak przy okazji, wiesz, jakie pyszne? Wykończyłyśmy wczoraj całe pudełko z tą zołzą Laure Chappuis. I masz pojęcie, co ona znowu wymyślała, żeby tylko marudzić...?

Nie miałam pojęcia, ale i nie słuchałam opowieści o nieocenionej pani Chappuis, przez chwilę skupiona na chronologii wydarzeń. Więc telewizor dzisiaj, a piwonie i Calissons zaraz po wieczorze w pokoju Marii Bonaparte, wieczorze z wibrującym jajkiem.

Ostatnia weryfikacja narzucała się sama przez się.

– A makaroniki z różą, pamiętasz, kiedy to mogło być?

– Już sama nie wiem. Dwa dni temu. Może trzy.

Dwa, odnotowałam w myślach, teraz już pewna moich podejrzeń.

Makaroniki: nazajutrz po pierwszej sekretnej schadzce w Charmes.

– Ale co ci jest, moja Elle? Coś cię martwi?

– Nie, mamuś, nic takiego...

To tylko jeden węzeł więcej, jaki zawiązywał wokół mojej szyi. Jeszcze jedna nić, jaką snuł w tajemnicy przede mną między moim a swoim życiem. Zbieg okoliczności nie wchodził w grę: po każdym wezwaniu – pod warunkiem, że grzecznie spełniłam narzuconą przez niego misję – wynagradzał mnie już nazajutrz prezentem dostarczonym mamie. Byłam posłuszna, a on w nagrodę rzucał mi smakołyk, celując tam, gdzie wyczuwał mój najsłabszy punkt: na rue Rigault numer 29 w Nanterre.

Zainkasowane poprzedniego wieczoru banknoty paliły mnie przez skórę portfela. Nie, on nie płacił mi za moje wdzięki. Znacznie gorzej: ponieważ miał na to środki, najzwyczajniej w świecie kupował sobie moje życie. Z całą przeszłością i chorą na raka matką włącznie. Czym byłyśmy w jego oczach, jak nie mikroskopijną firemką w upadłości, którą mógł połknąć bez wysiłku? Jego brat był może mistrzem wrogich przejęć, ale to na mnie Louis praktykował jedyne przejęcie, jakie miało dla niego znaczenie.

Podjęłam rozmowę, dociskając słuchawkę do ucha, aby zatrzymać wir nieznośnych myśli.

– Tylko... muszę ci coś powiedzieć.

Był najwyższy czas. Wreszcie podzieliłam się z nią wielką nowiną. O rodowym pierścionku powiększonym specjalnie dla mnie. I nawet o szczegółach ceremonii, dopracowywanych przez Davida i Armanda w tajemnicy przede mną, na które mama zareagowała dziwnymi odgłosami podobnymi do czkawki czy krztuszenia się. Musiałam sięgać głęboko do moich dziecięcych marzeń, żeby wykrzesać z siebie namiastkę radości i wiarygodnie odegrać ją przed mamą. Opakowałam całość w kilka bajkowych historyjek, bez żenady mieszając prawdę i fałsz: oświadczyny na barce, spływający na mnie nieprzerwanie deszcz prezentów, względów i atrakcji... Wymyśliłam nawet na poczekaniu, że sama dowiedziałam się o dacie ślubu, tak bliskiej i tak cudownie wybranej, dopiero poprzedniego wieczoru. W charakterze najnowszej i najpiękniejszej niespodzianki.

Mama przyjęła opowieść bez jednego słowa, ale na pewno z niejedną łzą, jak domyślałam się z drugiej strony słuchawki.

– Mamuś, nie płacz...

– Nie, nie... – wykrztusiła między dwoma pociągnięciami nosa. – Masz rację, to strasznie głupie. Ale jestem taka szczęśliwa... taka szczęśliwa z twojego powodu, moje dziecko.

– Wiem... I teraz już rozumiesz, dlaczego i ty dostajesz te prezenty?

Zgoda, to niełądnie okłamywać umierającą matkę. Ale czy miałam prawo gasić jej szczęście, wtajemniczyć ją w wersję prawdziwą, o ileż bardziej mroczną i zagmatwaną? Wersję, w której oddawałam się bezimiennym pragnieniom? W której już sama nie wiedziałam, co myśleć, w co wierzyć, kogo kochać... i komu wreszcie ofiarować moje ciało spragnione rozkoszy. Co mama mogłaby zrozumieć, a tym bardziej zaakceptować, z niebezpiecznej gry, w jaką wciągał mnie Louis Barlet? Wszystko to razem daleko odbiegało od bajek i dobrych wróżek z ich czarodziejskimi różdżkami. I od ideału wyśnionego przez matkę dla jej ukochanego dziecka.

Sen zaczyna się tak: jestem panną młodą w dniu ślubu. Tonę we łzach, zamknięta w apartamencie nowożeńców. Moi świadkowie na próżno próbują mnie uspokoić, przez drzwi, bo uparcie bronię im wstępu. Powód tego dramatu? Jestem naga. Moja suknia ślubna została zniszczona. ~~Czyjeś nieznane ręce podarły ją na mnie w niezbyt jasnych okolicznościach.~~ Wszystko stracone. Nie mogę pokazać się przed gośćmi w byle jakim, zastępczym stroju. Jeden z przyjaciół mojego przyszłego męża znajduje jednak słowa, żeby mnie przekonać. Otwieram mu. Pociesza mnie w swych ramionach. Później całuje i wreszcie kładzie na ziemi. Jestem tak zrozpaczona, że wszystko mi jedno: czuję, że mogę się mu oddać. Ale on tylko staje nade mną i zaczyna masturbować się metodycznie. Bardzo szybko, z pewnością szybciej, niżby chciał, tryska z niego potężny strumień spermy i rozpryskuje się po całym moim ciele. Płyn pokrywa mnie i odziewa w białawą szatę, która w jednej chwili schnie na mojej nagiej skórze. Jestem ubrana w jego nasienie. Jestem uratowana.

(Odręczna notatka z 10.06.2009, mojego autorstwa).

Od wczorajszej awantury i nieszczęsnego gestu Davida nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa. Jego wyjście do pracy, jak zwykle wczesnym rankiem, plus chroniczna nieosiągalność pod komórką, wszystko sprzyjało tej nabrzmiałej urazami ciszy.

– Dzień dobry, biuro Davida Barleta, w czym mogę pomóc?

– Halo? Chloé?

Nie rozpoznała mojego głosu, być może mniej pewna siebie w kontaktach telefonicznych niż osobistych.

– Tak, słucham? Kto mówi?

– Chloé, tu Elle.

– Elle...

Gorliwa sekretarka najwyraźniej miała pustkę w głowie, zbita z tropu moim dwuznacznym zdrobnieniem.

– Annabelle. Elle Lorand, jeśli pani woli.

– Elle! Och, przepraszam! Nie spodziewałam się usłyszeć pani przez telefon. Jakiś problem?

Dziewiąta dwadzieścia trzy, powinien był jej dopowiedzieć zegar na biurku. Czyli niemal godzina spóźnienia w stosunku do obowiązującego mnie harmonogramu.

– Nie... To znaczy, nie czuję się najlepiej.

– Coś poważnego?

– Nie sądzę. Mam po prostu straszny katar – plątałam się. – Czy mogłaby pani uprzedzić Davida, i Albane też, że nie będę w stanie zwlec się dzisiaj z łóżka?

Drugi dzień pracy i już chora. Gdyby w tej firmie ostał się jeszcze choćby jeden człowiek gotów bronić mojej spadochroniarskiej kariery, teraz i on skorzystałby z okazji, żeby dać sobie spokój. Byłam pewna, że nikt nie nabierze się na te głupie wymówki, ani mój przyszły mąż, ani nowi koledzy. Czy Louis uzna moją nieobecność za ucieczkę, jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, żeby chwilowo wyplątać się z jego sideł? Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Czułam pilną potrzebę oddalenia się, nabrania dystansu. Choćby krótkiej przerwy w tak chaotycznym i burzliwym przebiegu mojej relacji z obu braćmi Barletami. Musiałam znaleźć inne źródła światła niż tylko ich słowa, na przemian niekompletne, aluzyjne czy sprzeczne – i to tak dalece, że coraz częściej zastanawiałam się, czy ta uderzająca niespójność nie służy właśnie temu, by pogrążyć mnie w odmętach wątpliwości i lęków.

Sama w domu – Armanda wyciągnęły na miasto pilne sprawy związane z naszym ślubem – miałam pełną swobodę w szperaniu po wcześniej omijanych pokojach i zakamarkach. Odkąd się tu wprowadziłam, leniwie ograniczałam moją przestrzeń do sypialni, przylegającej do niej łazienki, salonu i ewentualnie kuchni. Teraz jednak postanowiłam zapoznać się dokładniej z całą rezydencją zaprojektowaną przez Constantina, głównego architekta Nowych Aten.

To, co musiało być kiedyś buduarem połączonym z sypialnią mademoiselle Duchesnois – dzisiaj naszą – służyło teraz za gabinet Davida. Pomieszczenie to, jak już miałam okazję stwierdzić, było stale zamknięte na klucz.

Klucz... Słowo chodziło mi po głowie, aż do odbicia się rykoszetem o niedawne wspomnienie. Ten archaiczny przedmiot, wykuty z pewnością przed wiekami, dołączony przez Louisa do pierwszej przesyłki-zaproszenia... A gdyby to właśnie ów klucz dał mi dostęp do sekretów jego brata?

Ale jeszcze zanim podjęłam próbę, coś kazało mi się zatrzymać. Czy naprawdę byłam pewna, że chcę odsłonić tę przeszłość, z której przecież i tak pozostanę wykluczona na zawsze? Co mogło mi to dać w istocie? Czy David, jak każdy człowiek, jak ja sama z moim ojcem widmem, nie miał prawa do zapomnienia? I do tego, żebym kochała go bezwarunkowo, bez zastrzeżeń ani podejrzeń, miłością na miarę dobrodziejstw, jakimi mnie obdarzał?

Ale pokusa była zbyt silna... Wprowadziłam zaokrąglony czubek klucza w ciemną czeluść gestem suchym i w zamierzeniu wolnym od wyrzutów sumienia.

– Ależ jestem głupia... – zamruczałam sama do siebie.

...A przede wszystkim naiwna, żeby liczyć na taki cud. Albowiem zamek i klucz nijak do siebie nie pasowały: klucza nie dało się nawet dobrze wsunąć, a cóż dopiero przekręcić.

Oględziny ogólnodostępnych części budynku również nie przyniosły mi wielkich rewelacji. W możliwych do otwarcia meblach w salonie i jadalni, wspaniałych egzemplarzach w stylu Restauracji, natykałam się tylko na sterty papierów i wycinków prasowych bez znaczenia, najczęściej dotyczących działalności Grupy Barlet. Niektóre leżały luzem, przypadkowo wciśnięte między czasopisma ekonomiczne, z których dobra połowa na okładce przedstawiała Davida... Imponujący dowód jego zawrotnej kariery, rok po roku, dekada po dekadzie. Miałam wrażenie, jakbym oglądała czołówkę *Amicalement vôtre*, serialu z czasów mojego dzieciństwa.

Ale nie omieszkałam też przekartkować kilku dużych klaserów z wycinkami ważniejszych artykułów. Znalazłam wśród nich ten z pierwszej strony „Monde'u" i przeczytałam go ponownie, nie bez odrobiny nostalgii. Minęły zaledwie trzy miesiące – dla mnie cała epoka – odkąd przykuł moją uwagę w kolejce RER. Czy to możliwe, że dzieliłam życie z tym człowiekiem na zdjęciu? Aż trudno było uwierzyć...

Rozłożona na kanapie w salonie, z Félicité wtuloną w brzuch – chwilowo miała chyba dość brutalnych zabaw z Sinusem i Cosinusem – pogrążyłam się w zawiłych i sprzecznych rozmyślaniach. Machinalnie głaszcząc miłą w dotyku, prążkowaną kocią sierść, bardzo starałam się nie ulec manichejskim spekulacjom. Znów przypomniałam sobie wąsatego profesora ze studiów i jego ostrzeżenia, aby nigdy, nawet w czasie wojny, nie ujmować żadnego tematu w jednoznacznie czarno-białych kategoriach. „Tylko w Biblii i hollywoodzkich filmach mamy z jednej strony czyste, nieskazitelne Dobro, a z drugiej samo Zło z jego korowodem grzechów. Niestety, rzeczywistość to nie Kain i Abel ani Luke Skywalker i Darth Vader. Wszystko jest zawsze nieskończenie bardziej złożone. A wasze zadanie polega właśnie na rozplątaniu tego kłębowiska. Albo raczej rozplątywaniu, nitka po nitce, i przedstawianiu tak spraw odbiorcom, bez imputowania czemukolwiek rzekomego grzechu pierworodnego. Nie ma czegoś takiego, nie łudźcie się, że znajdziecie pierwotną przyczynę. Są tylko punkty widoczne w bardzo długim łańcuchu przyczynowo-skutkowym. Do was należy wybór któregoś z nich i uzasadnienie, dlaczego wybraliście ten, a nie inny. I to właściwie wszystko, co powinno określać i zdradzać perspektywę waszego materiału”. Ku mojej wielkiej rozpaczy, stary dziennikarski wyga miał po tysiąckroć rację.

A jednak o ileż byłoby mi prościej, gdyby Louis zadowolił się samymi kłamstwami i manipulowaniem mną jak marionetką. Gdyby przy okazji nic ze mnie nie wyciągnął, ani pragnień, ani przyjemności. Wszystko byłoby też znacznie jaśniejsze, gdyby David trzymał przy sobie swoje ręce, nie sekrety.

Na próżno starałam się mitygować; kipiałam wewnętrznie. Moja bezczynność była pozorna, podobnie jak spokój. Dobrze wiedziałam, że zawdzięczam je tylko dzisiejszemu unikowi, i choćby dlatego ani jedno, ani drugie nie mogło potrwać długo.

Wyciągnęłam z torebki przesyłkę wrzuconą poprzedniego wieczoru do pokoju La Païvy i uważnie przyjrzałam się liście lektur zadanych mi przez Louisa. Kilka tytułów coś mi mgliście mówiło, ale tak naprawdę nie czytałam żadnej z tych książek – moja kultura

w zakresie literatury erotycznej była bliska zera. Jeśli orientowałam się w treści niektórych, to tylko za sprawą ich ekranowych adaptacji:

1. *Femmes secrètes* (Kobiety sekretne[2]), Ania Oz
2. *Gorzkie gody*, Pascal Bruckner
3. *Kochanek Lady Chatterley*, David Herbert Lawrence
4. *Jedenaście tysięcy pałek*, Guillaume Apollinaire
5. *Sexus*, Henry Miller
6. *Historia O*, Pauline Réage
7. *Filozofia w buduarze*, markiz de Sade
8. *Emmanuelle*, Emmanuelle Arsan
9. *Venus Erotica*, Anaïs Nin
10. *Pamiętniki Fanny Hill*, John Cleland
11. *Kompleks Portnoya*, Philip Roth
12. *Les Mémoires d'une culotte* (Pamiętnik pewnych majtek), Aymé Dubois-Jolly
13. *Cipa Ireny*, Louis Aragon
14. *Autoportrait en érection* (Autoportret w erekcji), Guillaume Fabert
15. *Historia oka*, Georges Bataille
16. *La Femme de papier* (Papierowa kobieta), Françoise Rey
17. *Rzeźnik*, Alina Reyes
18. *Kochanek*, Marguerite Duras
19. *La Mécanique des femmes* (Mechanika kobiet), Louis Calaferte
20. *La Foire aux cochons* (Świński targ), Esparbec
21. *Le Cahier noir* (Czarny zeszyt), Joë Bousquet
22. *Lulu*, Almudena Grandes
23. *Życie seksualne Catherine M.*, Catherine Millet
24. *Dictionnaire horizontal* (Słownik horyzontalny), Jean-Luc Fornelli
25. *Éros mécanique* (Eros mechaniczny), Pierre Bourgeade
26. *Le beau sexe des hommes* (Płeć piękna mężczyzn), Florence Ehnuel
27. *Baise-moi* (Gwałt), Virginie Despentes
28. *Tales of Ordinary Madness* (Opowieści o zwyczajnym szaleństwie), Charles Bukowski

29. *Moje sekretne życie*, anonim
30. *The Surrender* (Podporządkowanie), Toni Bentley

Hm... Sądząc po samych tytułach tych dzieł, nie za bardzo wyobrażałam sobie lektur większości z nich w obecności Davida, a cóż dopiero w miejscu publicznym, na przykład w metrze.

Nie czułam się jeszcze gotowa ujawnić przed światem tej części siebie – nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę ani czy w ogóle powinnam. Ale skłamałabym, mówiąc, że mnie to nie kusiło – owszem, kusiło nawet bardzo.

Przy całej mojej ignorancji zauważyłam jednak brak uchwytnej logiki w układzie listy: nie rządził nią ani alfabet, ani chronologia – o czym świadczyło na przykład bliskie sąsiedztwo markiza de Sade'a i Philipa Rotha – ani kwestie literackie, ani nawet sama erotyka, dokładnie wymieszana w wersjach soft i hard. Czy należało zaufać Louisowi i oddać się lekturze w tej właśnie kolejności, niewątpliwie starannie przemyślanej i skomponowanej przez niego na mój użytek?

Spontaniczna refleksja: ~~seks~~ miłość fizyczna, ta, która odrywa nas od ziemi, unosi i każe zapomnieć o świecie, nigdy nie jest wyłącznie kwestią seksu, dwóch przelotnie zbliżonych ciał. Prawdziwy seks, który naprawdę nas zachwyca, może być tylko owocem naszej wyobraźni, naszych wątpliwości, poszukiwań i nadziei pokładanych w nieznanym świecie. Fantazjować to nic innego jak uważać się za tego, kto pierwszy zatknie sztandar na nowej planecie. To z pewnością złudzenie, ale jeśli jest dostatecznie piękne, wystarczy nam do odlotu i spełnienia. Mały krok dla mojej cipki, wielki krok dla mojego wyśnionego życia.
Bo seks rozkwita właśnie w zaciszu naszych myśli i mokrych snów, znacznie bardziej niż w trzewiach i genitaliach. Dopiero połączenie swobodnych dywagacji umysłu i pieszczot naszej zewnętrznej powłoki daje nam zdolność do rozkoszy i sprawia, że doświadczamy jej zwrotnie, tu i teraz.
(Odręczna notatka z 10.06.2009, mojego autorstwa).

Tak jak poprzedniego dnia, drzwi wejściowe trzasnęły o nietypowej porze, pośpiesznie rozpraszając ów tuman, który ogarniał mnie stopniowo i niósł ku tym mokrym, przepastnym i jakże kuszącym rewirom, dokąd zapraszał mnie Louis.

– Elle, gdzie jesteś?

Głos Davida dźwięczał jak dzwoneczek, ożywiony, niemal radosny, lekko przeskakując nad wczorajszą awanturą, jakby chodziło tylko o drobną przeszkodę, łatwą do usunięcia z pomocą odrobiny dobrego humoru.

– W salonie – odpowiedziałam głucho.

Stanął przede mną natychmiast, promienny, bardziej słoneczny niż kiedykolwiek, chociaż w dużej części zasłonięty gigantycznym pokrowcem na ubranie, wypełniającym mu obie ręce. Właściwie tylko jego rozanielony uśmiech wynurzał się znad masy różowego plastiku. Po bombastyczności, ale i rozmiarach opakowania instynktownie odgadłam, że nie zawiera ono męskiego garnituru.

– Ta-dam! – zaanonsował dziecinnie.

Gdyby niezliczeni podwładni, partnerzy finansowi i komentatorzy z prasy ekonomicznej mieli okazję zobaczyć go w tej chwili, akcje Grupy Barlet z pewnością straciłyby kilka dziesiętnych punktu na indeksie CAC!

– A cóż to takiego?

Gdy tylko się pojawił, błyskawicznie wybrałam grę na odprężenie. Tak jak z Louisa wydobyłam coś na kształt wyznania za cenę paru ustępstw, tak i Davida nie mogłabym skłonić do tego inaczej, niż spełniając jego oczekiwania wobec mnie.

– Twoja suknia!

– Moja suknia?

Przyjęłam niespodziankę z pojednawczym uśmiechem.

– To znaczy... Kiedyś brała w niej ślub moja mama. Pewnego dnia mnie olśniło, że miała dokładnie taką figurę jak ty. No, może poza jakimiś niuansami, które dałem do poprawki. I oto efekt!

Nie rzucić się na niego z pięściami. Nie pytać, czy ta suknia, tak jak zaręczynowy pierścionek, należała nie tylko do matki, ale i do innej. Do jego pierwszej żony. Do umarłej.

– Ale, kochanie... – udałam święte oburzenie. – Nie wiesz, że wolno ci zobaczyć suknię dopiero w dniu ślubu?

– A kto ci powiedział, że ją widziałem?

Jego twarz wyrażała ten sam młodzieńczy triumf, jaki musiał odczuwać, pokonując rywala na korcie.

– No... Podejrzewam, że się bez tego nie obeszło?

– Źle podejrzewasz, madame Barlet. Odkąd ją wziąłem do ręki, ani na chwilę nie opuściła tego worka. No, oczywiście poza pracownią krawiecką, ale tam też nie patrzyłem nikomu przez ramię, słowo daję!

– Ale przecież oglądałeś zdjęcia ze ślubu swoich rodziców?

– Zdjęcia są pożółkłe, prawie nic nie widać...

Jego mina miała mnie rozczulić. Zresztą czy mogłam odrzucić tak szczerą i hojną ofertę pojednania? Biorąc zapewnienia Davida za dobrą monetę, wyjęłam mu suknię z rąk i wycofałam się do jadalni, żeby obejrzeć ją w samotności. Ledwie wydobyłam suknię z pokrowca, resztki moich wątpliwości rozwiały się natychmiast. Nie tylko nigdy nie miałam na sobie czegoś równie czarodziejskiego, ale nawet czegoś takiego nie widziałam.

– Jest... jest jak z bajki!

– To Schiaparelli – podniósł głos, żebym dosłyszała go z pokoju obok. – Elsa Schiaparelli była już wtedy bardzo stara, ale zgodziła się zrobić tę suknię na miarę dla mamy. Dlatego to unikatowy egzemplarz, rozumiesz!

Unikatowy, tak, żaden inny przymiotnik nie pasowałby lepiej do tego arcydzieła, w którym ani jeden detal, ani jedno wykończenie, a jeszcze mniej stan utrzymania nie zdradzały muzealnego wieku. W przeciwieństwie do większości sukien ślubnych ta tutaj w niczym nie przypominała niestrawnej bezy z tiulu, przypudrowanej haftami i tak zwiewnej, że na sam widok robiło mi się niedobrze. Znalazłam tylko jedno słowo, żeby wyrazić moje pierwsze olśnienie:

– To jest prawdziwa suknia... Po prostu prawdziwa suknia.

– Co tam mówisz?

– Mówię, że chcę ją przymierzyć.

– Przymierzaj, moja śliczna! Po to ją właśnie przyniosłem. Gdyby były potrzebne jeszcze jakieś poprawki, lepiej to wiedzieć wcześniej.

Nie były potrzebne, poczułam to od razu, gdy tylko naciągnęłam na siebie perłowy jedwab. Moje biodra, talia, piersi i nawet pośladki, o ileż obfitsze, niż bym chciała, zwykle tak trudne do wpasowania w gotową konfekcję... Całe moje ciało znajdowało w tej sukni swoje miejsce, naturalnie, ściśle, jak tworzywo odlane w rzeźbiarskiej formie. Góra, z dekoltem w szpic, powściągliwie ozdobiona falbankami, doskonale oblekała mój tułów, po czym od poziomu bioder rozszerzała się w krynolinę z trzech skosów, udrapowanych jeden na drugim i kojarzących się natychmiast z płynnym wirowaniem w walcu. Każda warstwa łączyła się z sąsiednią kwiatami z tego samego materiału, których serca pełne wszytych diamentów nadawały całości niezwykły blask.

– I co?

– Jest... idealna!

Obracając się na obcasach, jakby prowadzona przez partnera w tańcu, dotarłam przed wielkie lustro w jadalni. Oczywiście rozpoznawałam kobietę, której odbicie uśmiechało się do mnie, a mimo to wydawała mi się odmieniona. Tak, byłam tego pewna: w ciągu ostatnich tygodni nie ubył mi niestety nawet gram, ale coś w tej Elle, we mnie, wyraźnie się zmieniło. Dostrzegałam w sobie rozkwit, jakąś nową harmonię. Nawet moja cera wydała mi się jaśniejsza, a piegi na twarzy, których tak nie znosiłam, teraz sprawiały wrażenie najpiękniejszej i najbardziej naturalnej ozdoby. Zauważyłam nawet dwa lub trzy nowe, pączkujące nad górną wargą jak świeże kiełki na wilgotnej glebie.

A więc to prawda, co mówiono: pożądliwe spojrzenia mają twórczą moc, potrafią ukształtować nas na nowo, wydobyć i podkreślić nasze ukryte piękno. A oczy utkwione we mnie poprzedniego wieczoru pozwoliły mi definitywnie zrzucić kokon młodzieńczej toporności, z którego dotąd nie umiałam się uwolnić. Zostawiłam w Charmes moją starą skórę i wyszłam stamtąd odrodzona, ubrana w nową siebie, wreszcie piękna i godna pożądania we własnych oczach. I to, że może pragnąć mnie ktoś inny, już nie wydawało mi się absurdem.

Za drzwiami, przezornie zamkniętymi na klucz od mojej strony, David zaczynał się niecierpliwić. Uznałam, że nadszedł odpowiedni moment, abym ściągnęła maskę wdzięczności i uległości.

– Przyrzeknij mi: ona nigdy nie miała jej na sobie?

– Jaka ona? O kim ty mówisz? – nastroszył się natychmiast.

Stawiał opór, jakże by inaczej.

– Aurora... – powtórzyłam najsłodszym i najczulszym tonem. – Nigdy nie nosiła tej sukni?

– Nie! Dlaczego miałaby nosić...

Oczywiście kłamał, poznałam to po zmianie intonacji, po tym niepewnym zawieszeniu głosu, tak niepodobnym do właściwej mu pewności siebie. I natychmiast swoim zwyczajem próbował zmienić temat.

– Mogę wejść?

– Nie... Najpierw odpowiesz na moje pytania.

– Elle... – teraz uderzył w ton skargi. – Powiedziałem ci już wszystko, co tu jest do powiedzenia: banalny trójkąt miłosny. Louis kocha Aurorę, która kocha Davida... który jej nie kocha. Koniec, kropka. Nie mam nic więcej do dodania.

Udałam, że biorę ten zbyt prosty scenariusz za dobrą monetę, aby po chwili drążyć dalej:

– Czy to dlatego wpadła w depresję?

– Skądże. Była chora na długo przedtem, zanim ją spotkaliśmy, Louis i ja.

– Więc po co miałaby rzucać się w morze... jeśli nie dla prowokacji?

– Nie wiem. Nikt nie umiał powiedzieć, co naprawdę się stało. Nawet Louis, chociaż był pierwszy na miejscu.

– Próbował ją ratować?

Louis twierdził coś wręcz przeciwnego. Według niego ta rycerska rola przypadła Davidowi. Ale dlaczego?

– Tak. Jednak nie mógł nic zrobić... Poza roztrzaskaniem sobie kolana o skały. Później przez długie tygodnie wydawało się, że już w ogóle nie będzie chodzić.

– I to cała historia?

– Cała – przytaknął, odzyskując rezon. – No, plus może to, że policja wszczęła śledztwo, w zasadzie rutynowe.

– Dlaczego „w zasadzie”? – podchwyciłam.

– Bo z jednego przesłuchania na drugie Louis nieźle zaprzeczał sam sobie.

– Ale w końcu przestali go ciągać?

– Tak... Stanęło na nieszczęśliwym wypadku.

Jego głos dobiegał teraz z bardzo bliska. Musiał być tuż przy drzwiach, gotowy do wejścia.

– A ty... co ty o tym myślisz?

Upłynęło kilka sekund, zanim doczekałam się odpowiedzi:

– Znając porywczość Louisa, nie ukrywam, że różne myśli przychodziły mi do głowy.

– Na przykład?

– Takie tam głupoty...

– Wiesz, że nie wejdziesz tutaj, dopóki mi nie odpowiesz?

– Myślałem, że mógł ją zepchnąć z tych skał, ot, co myślałem! – wyrzucił z siebie jak stłumione szczeknięcie. – Oboje znali na pamięć miejsce, gdzie to się stało. I żeby powiedzieć ci wszystko, trudno było uwierzyć, że Aurora dała się tam zaskoczyć przez falę... Nawet przy silnym wietrze.

– Naprawdę myślisz, że byłby do tego zdolny?

– Nie... nie wiem... Myślę, że nigdy nie da się z góry przewidzieć, co człowiek jest w stanie zrobić z zemsty i resentymentu.

No, w tym przynajmniej mogłam się z nim zgodzić, co nie znaczy, że dałam za wygraną. Widziałam luki w jego wersji wydarzeń. Na przykład rana na jego ręce – skąd się wzięła?

Ale nie chciałam też przeciągać struny, mając w pamięci efekty naszej poprzedniej rozmowy. Tak czy inaczej, już zdradził mi więcej niż prawdopodobnie komukolwiek innemu.

Zdjąwszy suknię i chowając ją pośpiesznie w pokrowiec, ograniczyłam się tylko do dodania:

– Miałeś sobie za złe to wszystko... Prawda?

– Tak... na pewno tak. Ale to już od dawna za nami...

Czy próbował przekonać sam siebie, zamknąć własne poczucie winy i ducha Aurory tam, gdzie było ich miejsce, pod ciężką

kamienną płytą zapomnienia?

Rozległo się lekkie, błagalne pukanie do drzwi, które w końcu otworzyłam. Nie po raz pierwszy miał mnie zobaczyć w bieliźnie...

...Niemniej po raz pierwszy w tym pomieszczeniu, w tych staroświeckich dekoracjach, kojarzących mi się bardziej ze spokojnym czuwaniem przy kominku niż z porywami namiętności.

Przywarł do mnie spontanicznie, tak szybko, że nie zdążyłam wyczuć, czy szukał przyjemności, czy pociechy. Znieruchomiał na kilka sekund, z nosem wtulonym w moją szyję, nie licząc leciutkich podrygów dopasowujących do siebie nasze ciała. Można by powiedzieć, skrzywdzone dziecko wreszcie w matczynych objęciach.

Położyłam mu rękę na karku, powolnym i czułym gestem, w zamierzeniu bardziej kojącym niż erotycznym, który jednak wziął za zachętę. Otwartą dłonią pogłaskał mnie po plecach, zsuwając się coraz niżej, aż do jakże wydatnego wybrzuszenia pośladków. Pod wpływem tego kontaktu instynktownie poruszyłam biodrami, co również musiał uznać za zaproszenie. Nie kochaliśmy się od czasu moich dwóch kolejnych kapitulacji w Charmes.

Jaka część nowej Annabelle, tej kobiety, którą przed chwilą odkryłam w lustrze, jeszcze do niego należała?

– Dotąd nie ochrzciliśmy tego pokoju, co? – zamruczał mi do ucha.

W jego ustach była to propozycja zdumiewająca, zupełnie nietypowa jak na „seks nasz powszedni” – niestety bardzo powszedni, pozbawiony wyzwań i najlżejszych elementów gry. Co mu się stało?

Przyjrzałam się odbiciu nas obojga w wielkim lustrze, wyrzeźbionych światłem tego letniego popołudnia, promiennych i pięknych. I doskonale dobranych, jak musiałby zauważyć każdy postronny obserwator. O dziwo, sądząc po widoku w lustrze, nie tylko ja się zmieniłam. Metamorfoza Davida była subtelniejsza, jednak mogłabym przysiąc, że przez sekundę widziałam na jego ustach ten sam łajdacki, drapieżny, kanibalistyczny uśmieszek, jakim Louis obdarzał swe ofiary.

– Chodź!

Nie czekając na przyzwolenie, zaniósł mnie na długi stół z marmurowym blatem i położył na jego lodowatej powierzchni.

Ledwie zdążyłam wstrząsnąć się z chłodu, a już jechałam ku niemu na plecach, z uniesionymi nogami i stopami w próżni. Jeszcze mocniej dociskając mi uda do brzucha, ukląkł między nimi, z ustami na wysokości majtek. Czułam jego ciepły oddech przez cienki pasek bawełnianej satyny, muskający moje łono ciągle suche jak biskwit.

Odsunął materiał jednym palcem i zaczął lizać mnie od dołu do góry, metodycznie, jakby aplikował smar czy maść. Ilekroć docierał do łechtaczki, jeszcze ukrytej pod swym ochronnym kapturkiem, rozpoczynał całą trasę na nowo, z podręcznikową starannością.

Na szczęście kompensował tę uczniowską niezręczność rozpaczliwie powolnym tempem, dozowanym akurat tak, bym zechciała mu szepnąć:

– Szybciej...

– Ale poza tym, lubisz tak?

– Tak – zachęciłam go. – Chcę jeszcze. Ale szybciej.

Zastosował się posłusznie, nie bez pewnego sukcesu. Po każdym przejściu jego języka czułam, jak moje wargi sromowe, większe i mniejsze, rozchylają się coraz bardziej, coraz przychylniej traktując intruza. Oczywiście, ze swoją regularnością metronomu i troską o równomierne nawilżenie całej strefy David nie poświęcał dość uwagi temu najwrażliwszemu guziczkowi, pragnącemu znacznie więcej. Gdy jedną ręką zaczął ugniatać mi piersi, skądinąd w sposób całkiem do przyjęcia, położyłam środkowy palec na zaniedbywanej łechtaczce, aby poprzesuwać ją pod fałdami napletka metodą opanowaną od dawna.

Zaskoczony moją inicjatywą, David znieruchomiał i na chwilę zadowolił się samą kontemplacją:

– Jesteś taka piękna, gdy to robisz...

Ale w tych czułych słowach słyszałam już nie tylko jego słodki, zniewalający głos. Dołączył do niego cały chór, sto, może tysiąc męskich głosów, tyle, ilu mężczyzn na mojej łasce pomieściłby Hôtel des Charmes.

Kontynuowałam własne pieszczoty na jego oczach, błyszczących pożądaniem i fascynacją. Po raz pierwszy nie miałam oporów przed zafundowaniem mu takiego spektaklu.

Razem z pierwszym, zapowiadającym dreszczem całym moim ciałem wstrząsnęło nagle pytanie: czy wśród wszystkich fallusów wyprężonych ku mnie w pokoju La Païvy... mógł się znajdować i ten należący do Louisa? Czy dotykałam go bezwiednie? Gdyby nie moje upojenie, może rozpoznałabym go po szczególnym napięciu, rysunku naczyń albo jakimś innym wyjątkowym znaku? Może zajęłabym się nim ze zdwojoną gorliwością?

A tymczasem fallus Davida wbił się we mnie bez uprzedzenia, suchym, zdecydowanym pchnięciem. Niczego nie zauważyłam, zatopiona w marzeniach, i ta nieoczekiwana penetracja zmroziła mnie zupełnie. Nie chciałam jej, a przynajmniej nie tak szybko, nie teraz.

– Pieść się jeszcze – rozkazał.

To, że zdominował mnie w ten sposób, nie stanowiło problemu. Ale idąc za swym męskim instynktem, powodowany przymusem natychmiastowego spełnienia, rozbił na tysiąc puzzli moje ledwie naszkicowane fantazje.

– Nie, ty... Wyjdź! – teraz ja zdobyłam się na rozkaz.

I tak też musiał go odebrać, bo posłuchał natychmiast. Bogu dzięki, nie wszystko było stracone: obraz stopniowo składał się na nowo, obraz chciwych ust, gotowych na wszystko, by mnie zaspokoić, warg przyssanych do mojego łona, aż do wyciągnięcia z niego słodkawych soków rozkoszy.

– Włóż mi go! – zażądałam kategorycznie.

Biedak spanikował na chwilę: jak mogłam zabraniać mu i domagać się tego samego w odstępie sekundy? Wyjaśniłam nieporozumienie natychmiast, głosem z głębi trzewi, nieznanym mnie samej:

– Twój język... chcę mieć go w sobie... Już!

Teraz wreszcie zrozumiał instrukcję. Różowy skrawek jego ciała, wyciągnięty na całą długość, drgał we mnie dostatecznie głęboko, żebym czuła się penetrowana, ale nie posiadana. Obsłużona, ale nie zdobyta. Język Davida, długi i obły jak pijawka, uparcie kręcił się u wlotu mojej pochwy.

Jego wargi znikły w moich, teraz już skąpanych gęstą cieczą, z której dobywała się biała piana. Gdy podniósł na moment głowę, miał ją na całym obrysie ust, jak wąsy wyrosłe z miłości i rozkoszy.

Czytałam w jednym z pism kobiecych, jak pewna francuska ginekolożka tłumaczyła tajemnicę punktu G. Według niej nie chodziło o odrębną strefę erogenną, jaką natura niesprawiedliwie obdarzyłaby niektóre kobiety, a pominęła inne. W rzeczywistości, twierdziła lekarka, powołując się na wyniki badań obrazowych, punkt G miał być uwypukleniem do wnętrza pochwy jednej z głębokich odnóg łechtaczki. Albowiem ta ostatnia, wbrew nadal rozpowszechnionym poglądom, nie ogranicza się do kilkumilimetrowego ziarenka u szczytu warg sromowych, osłoniętego sławetnym ruchomym kapturkiem. Przeciwnie, wrasta w kobiece podbrzusze na głębokość nawet do dziesięciu centymetrów, zależnie od indywidualnie zmiennej anatomii, i udziela swej wrażliwości sąsiednim narządom. Pobudliwość odbytnicy, odczuwana przez niektóre kobiety zwłaszcza podczas seksu analnego, byłaby również zasługą łechtaczki, tak niezwykłej, tak ukrytej i nadal tak mało znanej.
(Odręczna notatka z 10.06.2009, mojego autorstwa).

– Kręć szybciej... tak!

Przy każdej rotacji jego język uciskał i drażnił tę wrażliwą grudkę na obrzeżach moich czeluści, zachwyconą traktowaniem, jakiego już się nie spodziewała.

– O tak, zostań tu! Tu!

Dosłyszał polecenie i przez chwilę skupiał się na tym jedynym i najważniejszym punkcie. Ale nagle, znów bez zapowiedzi i w sposób, łagodnie mówiąc, niezbyt przyjemny wycofał ze mnie język, aby natychmiast zastąpić go penisem, maksymalnie napiętym i już wilgotnym z niecierpliwości. To było silniejsze od niego, nie potrafił oddać się do mojej dyspozycji na dłużej niż kilka chwil. Musiał mnie w końcu zdominować, zdobyć, wypełnić. Na szczęście jego wstępne działania tak dobrze przygotowały moje łono, że mechaniczne ruchy frykcyjne mogły już przedłużyć wcześniejsze efekty. Otworzyłam się szerzej, aby przyjąć go w moich najgłębszych zakamarkach, nieopodal szyjki macicy. A tam, jak wiedziałam, kryło się miejsce wrażliwsze niż inne, mała wypustka specjalnej błony śluzowej, która chociaż trudno osiągalna palcem wskazującym lub

środkowym, bardzo szybko uruchamiała we mnie orgazm. I jego penis właśnie dotarł w to miejsce, rytmicznie uderzał tam, gdzie całe moje ciało nagle zdawało się skupiać, zapadać w sobie jak w czarną dziurę pod wpływem potężnej siły ssącej. Poczułam się rozdarta na strzępy, a następnie wyrzucona w tych strzępach poza siebie, niesiona promieniami światła na cztery strony świata, nad przepaścią, w którą w końcu runęłam całym ciężarem.

Po raz pierwszy David doprowadził mnie do orgazmu, sam z siebie, bez żadnej manualnej interwencji z mojej strony. On, jego usta i jego członek, równo oblepione moimi sokami.

Tylko czy naprawdę byłam w stu procentach pewna, że to on sam dokonał tego cudu? W jego westchnieniu zdawało mi się słyszeć inne, bliźniacze, albo prawie...

22

11 czerwca 2009

Mój karnecik! Mój karnecik, mój karnecik, mój karnecik...

Sama w jadalni, jeszcze naga, oszołomiona, z kroczem i udami umazanymi rozkoszą, powtarzałam w myślach te dwa słowa aż do zawrotu głowy, niczym skąpiec odseparowany od swojej kasetki. Mój srebrny karnecik, lekkomyślnie porzucony na łóżku... *Dziesięć razy dziennie*, od jakiegoś czasu uzupełniany moimi własnymi notatkami. Umarłabym ze wstydu, gdyby David rzucił na nie okiem. A jeśli chodzi o stronice zapisane inną ręką, wolałam nie myśleć o kłamstwach, jakimi musiałabym tłumaczyć, skąd się wzięły, chcąc ocalić resztki jego szacunku i zaufania.

Wbiegłam na schody zgięta w pół, z gołą pupą i ubraniem dociśniętym do piersi, z niemą modlitwą w głowie, żeby nie spotkać Armanda w jego bezszelestnej wędrówce po domu. Z góry dochodziły mnie odgłosy kroków Davida po sypialni, które nagle umilkły. Gdy wpadłam do pokoju, stał odwrócony plecami do drzwi i zapatrzony w ogród tak, że nie mogłam dojrzeć zawartości jego rąk splecionych z przodu. Skonstatowałam za to w okamgnieniu, że karnecika nie ma na łóżku, i nagle zabrakło mi tchu.

Wreszcie, kładąc kres mojej męce, David odwrócił się do mnie przodem:

– Powiedz mi...

Niczego nie trzymał w rękach. Głęboki wdech. Koniec koszmaru? Czy może, dotarłszy tutaj, zdążył tylko chwycić karnecik i schować w swoich rzeczach?

Nowa obręcz zaciśnięta wokół moich nagich piersi, rozgniatająca mi sutki niczym dojrzałe winogrona.

– Tak?

Jego twarz, zgaszona półcieniem, wydała mi się zupełnie bez wyrazu. A i głos brzmiał mniej czule i życzliwie niż zwykle.

– Będziesz jednak musiała tam wrócić...

Dokąd? Do mamy? Do Nanterre? Do Freda i całego dawnego życia, tak szarego i zwyczajnego?

– Nie zrozum mnie źle, mój wybór nie miał nic wspólnego z uczuciami, jakie do ciebie żywię...

Boże, o czym on mówił...? Skoro byłam tutaj, to przecież dlatego, że mnie kochał?

– Co nie znaczy, że nie musiałem walczyć, żeby wszyscy zaakceptowali twoje przyjście.

Drżałam z niepokoju, chwytając wreszcie sens jego deklaracji. Wolałam się jednak upewnić, więc powtórzyłam ostrożnie:

– Moje przyjście...?

– Do BTV. Myślisz, że o czym mówię? Stara gwardia nie lubi spadochroniarstwa, możesz sobie wyobrazić. Dopóki nie udowodnisz, że jest inaczej, będziesz dla nich tylko przykładem kariery przez łóżko.

Czyżby już praktykował taką ścieżkę awansu? Oddaliłam od siebie tę myśl i przyoblokłam twarz we współczucie.

– Tak, oczywiście... Rozumiem.

– I mnie też nie odpuszczą – dodał z pochmurną miną.

Nowy napływ powietrza do płuc. A więc chodziło tylko o to. Nic nie zostało mi odebrane. Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz.

Ale... gdzie w takim razie podział się przeklęty karnecik?

– Jeśli chcesz zasłużyć sobie na uznanie dzięki swoim własnym zaletom – ciągnął z naciskiem – musisz być razem z nimi na pokładzie. A nawet być bardziej niż oni. Z tymi ludźmi nie można inaczej, albo blefujesz, albo rządzisz naprawdę. I nie licz, że potraktują cię ulgowo.

Christopher i Louis dali mi już przedsmak tej korporacyjnej kultury. Musiałam zdobyć dystynkcje w pracy z nimi, na ich terenie, to było dla mnie zupełnie jasne. Nie mogłam spodziewać się ich szacunku ani wsparcia, robiąc uniki tak jak dzisiaj albo zamykając się w szklanej wieży mojego groteskowego gabinetu. Wszystko było jeszcze do wykazania, do osiągnięcia.

– Masz w stu procentach rację... – przyznałam.

Ale, krzyczała cisza zawieszona w połowie tego zdania. Ale nie mogę znieść obcowania pod jednym dachem z twoim bratem! Ale

twój brat szykuje reportaż, mogący wyjawić ci prawdę o mnie, której nigdy nie powinieneś poznać!

– A więc... w górę serca!

Podszedł i wziął mnie w ramiona z właściwą sobie żywotnością i tym kojącym ciepłem, wyczuwalnym w nim na odległość i tak hojnie udzielanym otoczeniu.

– Myślisz, że będzie do przyjęcia, jeśli jeszcze jutro zostanę w domu? Później, obiecuję, wracam na stanowisko jak dzielny żołnierzyk.

Rzadko używałam sztuczek z repertuaru słodkich idiotek, które jednak działały na mężczyzn z niezawodną skutecznością: okrągłe oczy i buzia, trzepot rzęs, lekkie przechylenie głowy... To był ten moment, jak żaden inny. I chociaż nawet nie mógł mnie widzieć, wtulonej w zagłębienie jego barku, musiał wyczuć mój błagalny ton.

– No dobrze, tylko jutro. Ale potem do roboty, moja panno! I to bez dyskusji!

Owiał mi szyję pojednawczym uśmiechem, co ośmieliło mnie do następnego pytania.

– A właśnie, nie zauważyłeś na łóżku takiego małego notatnika?

– Notatnika?

Oderwał się ode mnie i popatrzył mi w oczy ze zdziwieniem. Jego spojrzenie było szczere i czyste, bez najmniejszego śladu zakłamania.

– Tak, notatnika w srebrnej okładce...

– Nie. Zaglądałaś pod łóżko?

I rzeczywiście, notes leżał pod łóżkiem. A w łóżku spędziliśmy resztę wieczoru, z przerwą tylko na kolację zostawioną przez Armanda pod drzwiami – przywilej bogaczy, żeby mieszkać we własnym domu jak w hotelu – i kilka pilnych telefonów, które David czuł się w obowiązku odebrać.

Niestety, już ani razu w ciągu tych leniwych godzin nie osiągnęłam takiego orgazmu, jaki poraził mnie w jadalni. Ku mojemu rozczarowaniu wszystko wróciło do naszej niezbyt wyśrubowanej normy.

Nazajutrz rano to nie karnecik czekał na mnie przy śniadaniu – tym razem nie omieszkałam ukryć go starannie w wewnętrznej, zamykanej na suwak przegródce torebki – tylko gruby plik zadrukowanych kartek połączonych klipsem w kształcie orlich szponów. Powinnam była zobaczyć w nich przepowiednię...

– Dzień dobry, Elle! – powitał mnie Armand.

Bez pytania, już dobrze obeznany z moimi porannymi nawykami, podał mi dużą filiżankę zielonej herbaty, zaparzonej dokładnie tak, jak lubiłam.

– Dzień dobry, Armand.

– David zostawił to pani do przeczytania.

– Widzę... Ale co to jest?

„Mecenas Christian Olivo, kancelaria notarialna w Paryżu" – anonsował na pierwszej stronie nagłówek ze stylizowaną Marianną, na wpół widoczną spod pazurów drapieżnego ptaszyska.

– Projekt waszej umowy małżeńskiej. Przyniosłem jeszcze mazak i bloczek kartek samoprzylepnych, żeby naniosła pani swoje poprawki.

Umowa małżeńska? David nigdy wcześniej nie użył tego jakże formalnego terminu w odniesieniu do naszego związku...

Z łyżeczką zanurzoną w parującym kubku w jednej ręce, drugą kartkowałam obszerny dokument, strona po stronie, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na co ciekawszych fragmentach. Mimo dość bladego pojęcia o prawie, bez trudu zrozumiałam, że głównym celem tego kontraktu była ochrona dóbr rodziny Barletów. „Całkowita rozdzielność majątkowa", precyzował bez ogródek wpis w rubryce pod tytułem „Rodzaj ustroju małżeńskiego".

Mogłam to oczywiście zrozumieć, a nawet jako kobieta niezależna, gorąca zwolenniczka równouprawnienia pod każdym względem, próbowałam pomniejszyć wagę świeżo dokonanego odkrycia. Ale proceduralny chłód, z jakim przedstawiono mi te paragrafy, autorytarność Davida, brak uprzedzenia i najmniejszej dyskusji, wszystko razem miało dla mnie efekt policzka.

– Do kiedy powinnam to przeczytać? – zapytałam lodowatym tonem.

– W miarę możności dzisiaj, do końca dnia.

Jeszcze raz przyjrzałam się stercie papieru, później podniosłam wzrok na starego majordomusa w nieśmiertelnym wełnianym swetrze.

– Jest OK. Może pan zaraz to zabrać.

Zaniemówił z wrażenia i dopiero po sekundzie lub dwóch zdziwił się na głos:

– Naprawdę nie chce pani dokładniej zapoznać się z intercyzą? Ani pokazać jej komuś z pani bliskich? Adwokatowi?

– Nie, nie... to mi w zupełności wystarcza.

– Ta umowa panią zobowiązuje, Elle. Nie powinna pani podpisywać jej w ciemno.

Jego rada brzmiała jak ostrzeżenia drukowane mikroskopijną czcionką pod reklamami złodziejskich kredytów: „Zawarcie umowy kredytowej oznacza akceptację jej warunków i konieczność spłaty”... Usiłowałam nie dosłyszeć w słowach Armanda tak złowieszczych tonów.

– Wiem. Ale ufam Davidowi.

– Tak, oczywiście – przytaknął skwapliwie. – Niemniej...

– Mam rację, nieprawdaż? – przerwałam, patrząc mu prosto oczy. – Obdarzając go pełnym zaufaniem...?

Wydawało mi się, że z trudem tłumi grymas w kąciku ust. Czyżby już zaczął popijać, o tak wczesnej porze?

– Tak... Tak, oczywiście.

Mocząc tartinkę w herbacie, od razu zmąconej białą smużką stopionego masła, podsumowałam ze sztuczną wesołością:

– A więc wszystko w porządku.

Zabrał ze stołu plik kartek, bloczek i przybory do pisania.

– W takim razie będę mógł wydrukować ostateczną wersję – poinformował mnie takim tonem, jakby w zorganizowanym życiu Davida pełnił również funkcję kancelisty. – Dziś wieczorem zostawię ją pani na konsoli do podpisu.

– Doskonale – odprawiłam go spojrzeniem. – Dziękuję, Armand.

Ledwie przełknęłam śniadanie, zadzwoniła Sophia, sprawiając mi nie mniejszą przyjemność niż powiew świeżego powietrza w nieznośnym

zaduchu. Narzuciłam na siebie dres i już po chwili byłam w metrze, w drodze do przyjaciółki. Wynajmowała za niewielkie pieniądze małe mieszkanko w Nogent-sur-Marne, co prawda dokładnie na drugim końcu linii A kolejki RER w stosunku do Nanterre, ale i wtedy, gdy tam mieszkałam, dzięki połączeniu bez przesiadek cała ta trasa zajmowała mi tylko trzydzieści pięć minut. Kawalerka Sophii na ostatnim piętrze pozbawionego wdzięku bloku z lat 70. była znakomitą bazą wypadową do położonego tuż obok lasku Vincennes. Widok na pętlę autobusów i tory kolejowe nie miał w sobie rzecz jasna nic porywającego – stąd zapewne umiarkowany czynsz – ale przynajmniej oszczędzał Sophii wzroku sąsiadów z naprzeciwka, rzecz nie do pogardzenia dla kogoś z jej seksualnym temperamentem.

W bladoróżowym dresie czekała na mnie przed LeRelais, dużą kawiarnią z tarasem u zbiegu avenue Clemenceau i avenue des Marronniers.

– Cześć, burżujko!

– Cześć, nimfomanko...

Uprzejmości tego rodzaju zawsze potwierdzały naszą serdeczną więź, pozwalając nam jednocześnie ukłuć się nawzajem cienkimi szpileczkami, bezboleśnie i z pożytkiem dla nas obu.

Wkrótce truchtałyśmy wzdłuż avenue de Nogent, długiej trasy przejażdżek konnych, od świtu upstrzonej śladami zwierząt. W czwartkowy poranek w środku czerwca nie było tam tłumu biegaczy, podobnie zresztą jak rowerzystów czy amatorów hippiki. Lasek zdawał się należeć do nas i chociaż okrutnie sapałam, nie posiadałam się z radości, że wróciłyśmy do starych studenckich zwyczajów. Sophia do dzisiaj przestrzegała regularnych treningów, w przeciwieństwie do mnie, co bardzo szybko odczułam w mięśniach wyrwanych z długiego uśpienia.

– Naprzód, naprzód, staruszko! – popędzała mnie. – Przypominam ci, że za tydzień masz wbić to rozlazłe cielsko w suknię ślubną!

Pogodne niebo, rześkość poranka i miła dla nosa mieszanka leśnych woni dodawały uroku naszej eskapadzie. Droga była niemal wolna od samochodów, jeśli nie liczyć kilku pordzewiałych kamionetek na poboczu, których przeznaczenie nie budziło żadnych

wątpliwości. Przydrożne prostytutki oddające się za kilka banknotów po dziesięć euro, w większości nielegalne imigrantki z zachodniej Afryki, niespecjalnie rzucały się w oczy, czekając na klientów raczej wewnątrz niż na zewnątrz tych obskurnych kabin.

– Jak tak dalej pójdzie... – westchnęła Sophia – oto, gdzie skończę!

– Przestań! Co ty wygadujesz?

– Jestem doszczętnie spłukana, Elle! Dostałam właśnie pierwsze wezwanie do zapłaty zaległych czynszów. A jak może pamiętasz, przerwa w eksmisjach na bruk obowiązuje w zimie, nie w czerwcu!

– Próbowałaś dodzwonić się do Rebekki na komórkę?

– Ta zdzira zapadła się pod ziemię. Jej służbowy numer został skasowany, a nigdy nie miałam innego.

– No ale czy to aż taka tragedia? Masz przecież jeszcze swoje „spektakle”...

Niewidoczny w mowie cudzysłów, w jaki ujęłam to ostatnie słowo, żeby uniknąć nazwy *peep-shows*, nie podniósł Sophii na duchu. Nagle przerwała bieg, zaczerwieniona z wysiłku i nie tylko. Wzięła się pod boki i natarła na mnie z nieskrywaną złością.

– Chciałabym cię widzieć na moim miejscu, ciebie, madame Barlet w złotych ramkach!

– Jeśli nawet, to bardzo wąziutkich – próbowałam rozładować atmosferę, myśląc przy okazji o kontrakcie podsuniętym mi przez Armanda.

Ale moja przyjaciółka nie podjęła wątku.

– Elle, do cholery... Mam prawie dwadzieścia sześć lat i nic poza tym! Ani faceta, ani stałej pracy, ani żadnego zaplecza. Moi rodzice też są bez grosza, a poza tym mają mnie gdzieś.

– So’...

– Nie rozumiesz? Jestem na lodzie! I nie będę po dwanaście godzin dziennie kręcić się z palcem w cipie przed starymi zboczeńcami, żeby zapłacić czynsz!

– Już ci mówiłam. Mogę cię trochę dofinansować.

Właśnie skręcałyśmy w wąską przecznicę, gdy z głównej drogi dobiegł nas warkot silnika. Tak blisko nas, że obie odwróciłyśmy się jak na komendę.

Ciemna limuzyna o przydymionych szybach, ekskluzywny niemiecki model, sunęła tuż za nami, niemal dotykając krawężnika. I natychmiast zatrzymała się przy nas.

Tylna szyba po naszej stronie opuściła się z cichym szumem. Jak w szpiegowskich filmach, twarz pasażera była ledwie widoczna, ukryta w cieniu luksusowego wnętrza w barwach antracytu.

– Dzień dobry! Pani jest Sophią, zgadłem?

Głos ze środka pojazdu, skąd dochodził również uporczywy motyw *Bolera* Ravela, nie zwrócił się do mnie nawet słowem.

– Tak...

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Louis Barlet. Przyszły szwagier Annabelle. Oraz dyrektor do spraw PR Grupy BTV.

Sophia, zawsze tak zadziorna i pewna siebie, teraz mieniła się na twarzy, zszokowana tym nieoczekiwanym spotkaniem.

– Czy mogę ją sobie wypożyczyć? – zapytał, wskazując mnie ruchem brody. – Nie pogniewa się pani za bardzo, mam nadzieję?

Dopiero teraz szczupła twarz Louisa w całości wynurzyła się z cienia. Uśmiechał się promiennie, równie czarujący w tej chwili, jak umiał być okrutny kiedy indziej. Nuty wanilii i lawendy wyczuwalne zza uchylonego okna już mieszały się z zapachem leśnego runa. Taką moc miał Louis Barlet: wszędzie zostawiać swój ślad, kształtować każde miejsce i sytuację na własny obraz, przemieniać je samą swoją obecnością, tak jak chciał zrobić to dla mnie, wpisując moje imię w paryskie ulice.

– Mamy pilną sprawę do omówienia z Elle w związku z jej programem.

Jak można było kłamać tak bezczelnie? Doskonale wiedziałem, że śledził nas aż tutaj, i to bynajmniej nie z powodów zawodowych.

Z łokciem niedbale przewieszonym przez obudowę okna, nie odrywał wzroku znawcy od kształtów Sophii, pięknie podkreślonych legginsami i obcisłą górą.

– A więc...? – nalegał żartobliwym tonem. – Chyba jednak nie zamierza mi jej pani sprzedać?

Nie dosłyszałam w jego głosie najmniejszego podtekstu, a jednak dałabym głowę, że przy tym ostatnim słowie śniada cera mojej przyjaciółki przybrała odcień purpurowy.

– Nie! – w końcu odzyskała rezon. – Proszę bardzo, niech pan ją zabiera. I tak wlecze się jak krowa!

Forma jej komentarza wywołała we mnie odruch buntu.

– Dziękuję! Ale może i „krowa” ma tu coś do powiedzenia!

– No już, nie daj się prosić, skoro twojemu koledze tak zależy.

– Naprawdę? To dla ciebie nie problem, że zostaniesz sama?

– Spokojna głowa, biegam szybciej niż leśni zboczeńcy!

Tym razem to ona wbiła w naszego rozmówcę oczy jak rozżarzone węgielki.

To powiedziawszy, dała mi lekkiego kuksańca w plecy. Nie umiałabym rozstrzygnąć, co miał wyrażać jej gest: zachętę pod moim adresem czy chęć pozbycia się mnie jak najszybciej.

Louis otworzył drzwi limuzyny, przesunął się na siedzeniu, żeby zrobić mi miejsce, po czym zapukał w przegrodę między częścią pasażerską a kabiną szofera, dając temu ostatniemu sygnał do odjazdu. Ledwie zdążyłam zamknąć drzwi, już ruszyliśmy z ciężkim pomrukiem wielocylindrowego silnika.

Jeszcze nigdy nie ~~kochałam się~~ uprawiałam seksu w samochodzie. A przecież to takie banalne! Czasami mam wrażenie, że tylko mnie jedną ominęły jak dotąd doświadczenia ~~seksualne~~ erotyczne znane już wszystkim innym. ~~Zaczynając od Sophii, z jej niestworzonymi opowieściami o tym, czego można dokonać w tak ciasnej przestrzeni.~~ Jeśli o to chodzi, gdyby cokolwiek miało się wydarzyć w tej limuzynie, cieszylibyśmy się pełnym komfortem. Dużo miejsca u podnóża siedzenia pozwoliłoby mi uklęknąć przed nim, wsunąć się między jego uda i wydobyć na wierzch fallusa. Kołysana na giętkich resorach, bez wysiłku wędrowałabym po nim ustami w tę i z powrotem, na całej długości, od czasu do czasu przygryzając go u nasady, aby nie wszedł mi zbyt głęboko w gardło w razie nagłego tąpnięcia samochodu na wyrwie jezdni. Na koniec, już po wytrysku, sięgnęłabym do pudełka z chusteczkami i otarła sobie usta oszronione spermą jedynym w swoim rodzaju ruchem samochodowych wycieraczek.

(Odręczna notatka z 11.06.2009, mojego autorstwa)

– Dokąd mnie pan wiezie? – zaatakowałam go zbyt piskliwym głosem, denerwującym dla mnie samej. – Do Charmes? Nie wystarczają panu moje noce?

– O, chciałbym bardzo, proszę mi wierzyć... Ale niczego nie zrobię bez pani zgody.

Wydawał się szczery, niemal dotknięty, że mogę powątpiewać w jego maniery i dobrą wolę.

– A to coś nowego! Jak dotąd nie zauważyłam u pana takiej delikatności!

– Jest pani w błędzie – sprostował, biorąc mnie za rękę. – Gdybym tylko wyczuł, że naprawdę wzbrania się pani przed którąś z moich propozycji, natychmiast przerwałbym wszystko. Zresztą sama pani widziała wczoraj... To ja z własnej inicjatywy zakończyłem nasz seans. Niczego nie wymuszam, Elle. Ja tylko towarzyszę pani w drodze, na którą weszła pani w pełni dobrowolnie.

Jego tupet mącił mi w głowie. Ja, w pełni dobrowolnie, zamykana na klucz w tych pokojach? Ja, zakładniczka jego bachanalii, ofiara jego podłego szantażu?

Jakby na potwierdzenie tych bezgłośnych zarzutów, uwięził moją rękę w mocniejszym ucisku. Ale po chwili opanował się i wypuścił ją zupełnie, pochłonięty wewnętrzną walką, jak dla mnie wyraźnie widoczną, chociaż starał się zachować nieprzeniknioną twarz. Wyczuł mój wzrok i odwrócił głowę do okna, żeby umknąć dalszemu badaniu.

Musiałam jednak zauważyć, że po raz pierwszy mówiliśmy otwarcie o tych schadzkach w hotelu pod egidą monsieur Jacques'a. W pewnym sensie sam fakt, że tak swobodnie poruszył ten temat, miał wartość wyznania. Wreszcie podchodził do mnie z podniesioną przyłbicą. Wreszcie Louis zsocjalizowany mieszał się z Louisem sekretnym i manipulatorskim, a jeden i drugi jawnie rywalizowali ze sobą o pierwszeństwo.

Jaka szkoda, że nie mogłam zachować żadnych śladów po tej rozmowie, żadnego namacalnego dowodu, w razie potrzeby do wykorzystania przeciwko niemu. Niestety, nie miałam przy sobie nawet komórki z funkcją dyktafonu, nic poza kluczami i paczką chusteczek w kieszeni dresu.

– A co panu przeszkadza posunąć się dalej? Skąd pan wie, że nie chciałam więcej wczoraj wieczorem?

Pole dorodnych, wyprężonych ku mnie fallusów, drżących pod moim dotykiem, zafalowało mi przed oczami. Wizja była tak intensywna, że nadal, mimo upływu godzin, słyszałam westchnienia i rzężenia anonimowych mężczyzn zza ścian pokoju.

– Po prostu nie była pani gotowa, Annabelle… Jeszcze nie. Ma pani jeszcze wiele rzeczy do odkrycia, zanim zrobimy krok naprzód.

Nie było w nim teraz nawet cienia arogancji, tego nieznośnego poczucia wyższości ostentacyjnie demonstrowanego wszem wobec. Prawdziwy Louis nie mógł być ani zamaskowanym satyrem, ani fanfaronem obnoszącym się ze swą erudycją. Musiał być kimś innym. Jego zapach połechtał mój nos, ale wytrzymałam i to. Chociaż z trudem, zachowałam kontrolę nad głosem i postawą, zdeterminowana, żeby nie poddać się kolejnemu oszołomieniu.

– Na przykład lektury z pana listy? O to chodzi?

Właśnie, jak brzmiał tytuł pierwszej pozycji? Ach, tak: *Femmes secrètes* (Kobiety sekretne)... Czy powinnam była potraktować to jak przeznaczony dla mnie program? Pierwszy etap kształcenia? Czy tego ode mnie chciał, żebym i ja była kobietą sekretną, jego sekretną zabawką, którą posiadałby tak długo, jak by się mu podobało, za plecami własnego brata?

– Tak, między innymi. Ale to nie wszystko...

Zdanie pozostało w zawieszeniu.

Zamiast odpowiedzieć mi do końca, schylił się nad mikrofonem w przegrodzie limuzyny i wydał dyspozycję szoferowi:

– Do Tuileries.

Silnik zamruczał głośniej, a że droga wiła się ku górze, siła odśrodkowa docisnęła nas do siedzeń z miękkiej skóry, cudownie miłej w dotyku. Wrażenie mocy i jednocześnie zatracenia się było tak błogie, że uległam mu na chwilę, obserwując Louisa kątem oka. Wydawał mi się nadal rozgorączkowany, niespokojny, opanowany tylko siłą woli. Czego mógł się obawiać z mojej strony? To przecież on mnie uprowadzał, odrywał od mojej przyjaciółki i mojego życia. To on bawił się tym ostatnim, jakby było dla niego wulgarną rozrywką.

Za szybami limuzyny drzewa ustąpiły już miejsca budynkom. Nieznaczne zmniejszenie prędkości, jak również koncert niecierpliwych klaksonów wokół nas wskazywały, że wjechaliśmy do Paryża.

– Widzi pani, Elle, nie można zrobić postępów w wiedzy o sobie i własnych doznaniach, jeśli nie zacznie się od pełnego uświadomienia sobie środowiska, w jakie wpisuje się nasze ciało.

Ku mojemu rozczarowaniu znów dosłyszałam mentorski ton, znany mi chociażby z tej przemowy, pompatycznej i delikatnie mówiąc, bogatszej w formie niż w treści, jaką uraczył nas na zebraniu w BTV: „Czy nie widzicie, jak bardzo brakuje wzniosłości w naszym życiu?”.

A mimo to jego żarliwość, przejęcie, zaangażowanie w każde wymawiane słowo wbrew mojej woli znajdowały we mnie rezonans. Niby przypadkiem trącał jakąś niewidzialną strunę, wydobywał z niej właściwą nutę, która rozchodziła się po moim ciele dobroczynną falą, stopniowo zagarniającą kolejne organy. Choćbym nie chciała się do tego przyznać, miał moc wprawiania mnie w wibracje, cokolwiek by mówił na dowolny temat.

– A konkretnie?

Musiałam dać mu do zrozumienia, że nie zadowolę się ogólnikami.

– Niech pani wyjrzy przez okno! Nie ma jednej ulicy, jednej bramy, ławki, czy nawet kostki bruku, która nie byłaby naznaczona miłosną historią. W każde z tych miejsc, nawet najmniejszy zakamarek, wtopiły się dziesiątki, jeśli nie setki pocałunków, zbliżeń, jęków, może nawet orgazmów!

Wpadłam mu w słowo, do pewnego stopnia wbrew sobie.

– Tak, ale również zbrodni, przemocy, łez...

– I tu się pani myli, Elle. Miłość na pewno potrzebuje pewnej dawki grozy, żeby rozkwitnąć, ale zawsze triumfuje nad śmiercią. Słyszy mnie pani, zawsze!

Eros, Tanatos, instynkt życia, instynkt śmierci i ich odwieczna walka o rząd dusz, czy raczej każdej ludzkiej duszy: ta teoretyczna baza zaczerpnięta z Freuda wydawała się nawet dość przekonująca. Ale tam, gdzie twórca psychoanalizy zatrzymał się na napięciu utrzymującym chwiejną równowagę między tymi dwiema siłami,

Louis przeciwnie, zdawał się wierzyć w ostateczne zwycięstwo rozkoszy nad nicością. Jego własna teoria zaczynała niepokoić, czy wręcz uwodzić, od momentu, gdy osadzał ją w czasie i przestrzeni.

– A wie pani dlaczego, Elle?

Jego oczy błyszczały z nową intensywnością. Bezwiednie przechylił się w moją stronę, pozwalając mi niemal fizycznie poczuć ogień, jaki płonął w nim w tej chwili.

– Nie – przyznałam.

– Po prostu dlatego, że na jedną śmierć, jedną destrukcję, a wcześniej narodziny jako początek drogi ku śmierci, przypadają setki cielesnych zbliżeń, gdzieś w tym erotycznym pejzażu, jaki ma pani przed oczami. Setki razy, kiedy kochankowie szczytowali, tutaj, wszędzie wokół nas. Jeśli umie się patrzeć uważnie, znacznie łatwiej odnaleźć ślady tej rozkoszy niż tragicznych wydarzeń, o których pani wspomniała.

– Dlaczego nie... Ale co to ma wspólnego z nami, panem i mną?

– Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości, a dam pani bardzo wymowny przykład. Zobaczy pani.

Znów schylił się do mikrofonu, niemal dotykając ustami przegrody między nami a szoferką:

– Richard, czy może pan trochę przyspieszyć? Dziękuję.

Limuzyna natychmiast zajęła pas dla autobusów, wyrwała się z plątaniny pojazdów na rue Saint-Antoine, a następnie pomknęła wzdłuż Rivoli, najwyraźniej bez lęku przed policyjnymi patrolami, skądinąd licznymi w tej okolicy.

On, jego spojrzenie, jego głos i zapach, nasza bliskość wymuszona podróżą, jego ręce dotykające skóry siedzeń, które równie dobrze mogłyby przechadzać się po innej skórze... Niemal dusiłam się od tego wszystkiego i z własnej inicjatywy uchyliłam elektryczną szybę, w nadziei, że powiew świeżego powietrza choć trochę uspokoi moje wzburzone zmysły.

Oprzytomnieć. Odzyskać samokontrolę. Nie dać się temu słodkiemu upojeniu.

– Zgoda – wykrztusiłam w końcu. – Ale pod jednym warunkiem: przestanie pan wymyślać coraz to nowe wersje historii z Aurorą.

Chcę wiedzieć wszystko o okolicznościach jej śmierci. Chcę prawdy, Louis. Całej prawdy.

Jego oczy błysnęły zaskoczeniem – czy aby nie po raz pierwszy zwracałam się do niego po imieniu? – ale jeszcze wyraźniej czytałam w nich pewien szacunek. A może i coś jeszcze, w każdym razie jakieś uczucie głębokie i szlachetne.

Nowa fala zagarnęła mnie nagle i bez ostrzeżenia, zupełnie nieprzygotowaną do walki. Przyszło mi do głowy, że on sam, teraz, w tej ograniczonej przestrzeni, miał tysiąc okazji, by zapuścić rękę pod rozciągniętą gumę mojego starego dresu, a później wślizgnąć się w majtki. Na tę myśl poczułam mimowolne skurcze warg sromowych i krocza poniżej, które opanowałam z najwyższym wysiłkiem. Jeszcze by tego brakowało, żebym zostawiła mokrą plamę na tej pięknej skórze...

To nie tyle sen, ile marzenie na jawie, jedna z tych wilgotnych myśli, jakie czasami rodzą się we mnie w chwilach postoju na czerwonym świetle czy stacji metra, a znikają po wznowieniu ruchu.
Przez ten krótki czas wyobrażam sobie, że wszyscy mężczyźni dookoła mają z mojego nadania jedną i tę samą twarz. Wybieram oczywiście najładniejszą w polu widzenia, powielam ją i nakładam na sąsiednie, tak aby wszyscy stali się w moich oczach jednakowo godni pożądania. I rzeczywiście, po tym zabiegu już żaden mnie nie odstręcza. Mogę i pragnę przyjąć w sobie każdego z nich. Czuję ich, licznych, różnych, pełnych odmienności chociażby w zapachu skóry, a mimo to postrzegam ich jako jedność. I widząc ich tak scalonych, mogę już bez skrupułów oddać się ich rękom, które mnie głaszczą lub gniotą, ich palcom i ich członkom, które po kolei mnie penetrują.
~~Każdy nowy penis we mnie wydaje mi się większy i twardszy od poprzedniego.~~
Zanim wrócę na ziemię, zawsze myślę, że jestem nie dość obszerna albo wyposażona w zbyt mało otworów, żeby zaspokoić ich wszystkich. Mam sobie za złe te braki i odchodząc, czy odjeżdżając, z łuną na policzkach i wilgocią w kroku, składam im niemą obietnicę, że następnym razem postaram się lepiej.

(Odręczna notatka z 11.06.2009, mojego autorstwa)

A przecież poza tym krótkim uściskiem ręki Louis nie tylko nie zrobił tego, co sobie wyobrażałam, ale unikał wszelkiego kontaktu ze mną, nawet wzrokowego. O dziwo, na swój sposób, pełen sprzeczności i nagłych zwrotów, ten człowiek szanował mnie naprawdę... No, chyba że jego powściągliwość była tylko dodatkową, jeszcze subtelniejszą formą dysponowania moją osobą, według jego własnej woli i kaprysów, a nie pod dyktando okoliczności?

– Zbliżamy się... – szepnął, omiatając miejski krajobraz niecierpliwym wzrokiem. – Zaraz pani sama zobaczy: to, co mam do pokazania, zaspokoi pani ciekawość.

Nadal nie widziałam wielkiego związku między ogrodami Tuileries a śmiercią Aurory, ale wolałam nie pytać. Skądinąd na szczęście, gdyż wszystko, co mogłoby wyjść teraz z moich ust, brzmiałoby jak wezwanie, żeby się na mnie rzucił. Wziął mnie. Oszczędził mi uczonych dysput, a dał to, czego uparcie odmawiał, mnie i sobie, przy każdym naszym spotkaniu.

Od lewej strony wynurzyły się wreszcie długie fasady Luwru. Jeszcze kilka obrotów potężnego silnika i już zostawialiśmy za sobą siedzibę królów Francji, aby dotrzeć do niewielkiego w istocie prześwitu zieleni w gęstej tkance miasta. Wiedziałam jednak, że nie zawsze tak było: tu, gdzie dzisiaj rosły tylko drzewa, wznosił się kiedyś ogromny, nie mniej imponujący od Luwru królewski pałac Tuileries, spalony przez powstańców Komuny Paryskiej w roku 1871. Louis tymczasem podjął nowy wątek.

– Wie pani, każdy z nas, jeśli tylko ma trochę charakteru, może zidentyfikować się z jakąś postacią historyczną. To dość interesująca zabawa.

Dokąd on znowu zmierzał, na jakie pokrętne ścieżki chciał mnie skierować? Mimo zniecierpliwienia coś kazało powstrzymać się od protestów, a nawet podjąć dialog w jego ulubionym frywolnym duchu:

– O tak, ja zawsze widziałam się w skórze Ninon de Lenclos... Ale pewnie przeceniam moje talenty.

Jego ręce, teraz skrzyżowane, zdawały się hamować jedna drugą i zabraniać sobie ruchu w moją stronę.

– David – ciągnął, pomijając milczeniem moją aluzję – ma wszelkie atrybuty małego Napoleona. Charyzmatyczny, zdecydowany, przebojowy... Człowiek, który wszystko bierze siłą i któremu udaje się wszystko lub prawie wszystko.

Pod warstewką panegiryku wyczuwałam krytykę, albo raczej niezrozumienie dla osobowości tak odmiennej od własnej. Ale samo porównanie wydało mi się dość trafne, z pominięciem powierzchowności: łagodnej i miłej u Davida, suchej i niepokojącej u cesarza Francuzów.

Limuzyna zatrzymała się na rogu rue de Rivoli i avenue Lemonnier, w połowie ukrytej w tunelu pod przedłużeniem ogrodów Tuileries. Louis, nadal na dystans, zaczął odświeżać moją bardzo wybiórczą wiedzę historyczną:

– Pałac, stojący tutaj jeszcze półtora wieku temu, był zasadniczą częścią Luwru w jego najpełniejszej wersji. Miał wielu prestiżowych lokatorów, na czele z Napoleonem I, który postawił sobie za punkt honoru przerobić miejsce upadku Ludwika XVI na oficjalną siedzibę cesarstwa. Ale nie to nas tu interesuje...

– Tylko co?

– Prawie cała historia miłosna Napoleona Bonaparte rozgrywa się na tym niewielkim obszarze. Jako młody oficer bez grosza stracił dziewictwo w pobliskim Palais Royal. Kilka ulic stąd po raz pierwszy zobaczył Józefinę. A tu, w nieistniejącym już pałacu, przyjmował większość swoich niezliczonych kochanek.

Miałam ochotę potrząsnąć nim z całej siły: i znowu, gdzie tu związek z Davidem, z Aurorą? A przede wszystkim, gdzie tu związek z nami? Z naszym ewidentnym, przemożnym, wzajemnym pożądaniem, bliskim rozsadzenia tej ciasnej kabiny, wprawiającym w drgania każdą cząstkę rzadkiego powietrza?

Ale obeszło się bez interwencji – sam najlepiej wiedział, co zapowiadał jego uczony wstęp:

– Tak jak Napoleon od chwili spotkania z Józefiną, David był początkowo pod absolutną władzą Aurory. Robiła z nim, co tylko

chciała. Już pani mówiłem o jej słynnych kryzysach borderline... Nawet zdradzała go bez najmniejszej żenady.

Z wielkim trudem wyobraziłam sobie Davida w roli pomiatanego i dręczonego supiranta.

– Później, już po ich ślubie, gdy zaczął obejmować coraz ważniejsze stanowiska w grupie, tak jak Bonaparte wyrósł ze zwykłego oficera na generała, a następnie konsula. Stopniowo odwracał się też stosunek sił między nimi. Teraz to on był na widoku, sluchany, podziwiany, otoczony kobietami...

– A Aurora?

– Szybko zwiędła. Gryzła wędzidło, siedząc w domu, i coraz bardziej pogrążała się w depresji.

– David też zaczął ją zdradzać, prawda?

Tak jak teraz ja go zdradzałam, na swój sposób...

– I to niemal kompulsywnie, nałogowo, wcale się z tym nie kryjąc – przytaknął. – W pałacu Tuileries były pewne schody, bezpośrednio łączące parter z drugą sypialnią, mniejszą od oficjalnej, ale położoną tuż nad gabinetem cesarza. Constant, pierwszy lokaj Napoleona, wprowadzał tamtędy młode damy dworu, które wpadły w oko jego panu.

– Dlaczego pan mi o tym opowiada?

Wreszcie odwrócił się do mnie, surowy, okrutny, jak drapieżnik tak pewny swej siły, że zostawia ofierze pozorną swobodę, dopóki nie przyjdzie mu ochota zakończyć zabawę. Już byłam pożerana jego wzrokiem.

– Dlatego, że w czasach, o jakich mówimy, David nie mieszkał jeszcze w rezydencji Duchesnois. Zajmował moje obecne mieszkanie, w szesnastce, przy avenue Georges Mandel. Pod jednym względem całkiem podobne do Tuileries: drugie mieszkanko piętro wyżej, również należące do nas, miało oczywiście normalne drzwi z klatki schodowej, ale było też osiągalne z mojego mieszkania. Ten łącznik nie istnieje od lat, zlikwidowałem go dawno temu, natomiast David, jeszcze wcześniej, korzystał z niego częściej niż...

Jak mogły wyglądać te kochanki na jedną noc?

Ile kobiet miał David przede mną? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Dziesiątki, setki... więcej? Czy mogę być zazdrosna o minione uściski? Czy posiadając czyjeś ciało, da się zetrzeć z niego tamte wspomnienia, rozgnieść pod sobą cienie wszystkich dawnych kochanek czy kochanków?
(Odręczna notatka z 11.06.2009, mojego autorstwa)

Czy to była prawdziwa, najgłębsza natura Davida, niestrudzonego łowcy, stale żądnego nowych ofiar, podczas gdy Louis skupiał się na jednej jedynej: na mnie?

Zastanawiałam się, gdzie w rezydencji Duchesnois mogły kryć się podobne schody.

– Mówił panu o tym?

– Tak. Wręcz chwalił się przede mną. Jak dla niego, było to przedłużeniem naszej dawnej rywalizacji.

Jego twarz, dotąd nieprzenikniona, skrzywiła się w ledwie dostrzegalnym grymasie.

– Szokowała pana jego postawa?

– „Szokowała" to za słabe słowo... Doprowadzała mnie do rozpaczy! Nie mogłem znieść, że odsuwa Aurorę jak zniszczoną zabawkę tylko dlatego, że była wrażliwsza od niego, łatwiejsza do zranienia. Tylko dlatego, że...

Położył rękę na szybie od swojej stronie, jakby próbował zasłonić widok za oknem.

– Dlatego że...?

– Aby usprawiedliwić swoje zdrady, David utrzymywał, że Aurora miała bardzo ograniczone talenty. I że nie mógł się oprzeć pokusom, skoro nie wystarczało mu to, co miała do zaoferowania.

Nie musiał mi wyjaśniać natury rzeczonych talentów.

– Ale pan widział to inaczej... – zaryzykowałam.

To mówiąc, położyłam mu na kolanie jedną rękę, której przyjrzał się wzrokiem pełnym pragnienia i cierpienia. Usunęłam ją natychmiast. Mimo czystości mojego gestu nie chciałam psuć tej chwili ani też spłoszyć jego wyznań i sprawić, że uleciałyby na zawsze.

Louis libertyński, Louis perwersyjny zamieniał się na moich oczach w Louisa zbolałego, rozdartego między swymi pragnieniami a przytłaczającym ciężarem wspomnień, w Louisa, który wyraźnie starał się mnie oszczędzić. Te nowe względy zbijały mnie z tropu.

– Tak. Myślę, że to David ją tłamsił. W chwili ich spotkania postawił ją na piedestale, jak nietykalną świętą. Wyidealizował sobie Aurorę do tego stopnia, że... gdy dowiedział się o jej wybrykach, zrobił wszystko, żeby odciąć ją od świata.

– Zemścił się na niej.

– Powiedziałbym raczej, że chciał zapanować nad ich związkiem. Przypominam pani: David to Napoleon. Można mu zabrać wszystko oprócz władzy. Zamknięcie Aurory w domu było dla niego najwygodniejszym sposobem na utwierdzenie swojej przewagi. Jej zdrowie stanowiło dobry pretekst, a lekarze, których opłacał, aż nadto skwapliwie zlecali chorej permanentny odpoczynek.

– Czyli w ogóle nie wychodziła?

– Pod koniec prawie w ogóle... Czy to na avenue Mandel, czy w Dinard, żyła pod stałym kloszem. A co najgorsze, wcale się na to nie skarżyła. Stała się całkowicie zależna od niego.

Napoleon i Józefina, cesarz i jego dawna, zaniedbywana kochanka. Ale w przypadku Davida i Aurory namiętności nie mogła pokonać różnica wieku. A więc co? Czy należało uwierzyć w tę pełną goryczy hipotezę, że to niedopasowanie potrzeb seksualnych oddaliło ich od siebie?

– I co dalej?

Nowe puk-puk w przegrodę jako hasło do odjazdu dla szofera Richarda.

– W dzień śmierci Aurory byliśmy wszyscy w Dinard, w Roches brunes, naszej willi nad samym morzem, w pobliżu Saint-Malo. Ojciec sprawił ją sobie dwadzieścia lat wcześniej jako zachciankę, sprzedając część udziałów w „L'Océan".

Dinard.

„Nad morze... Ale nie na koniec świata" – mówił David *à propos* naszego miodowego miesiąca. A więc to tam chciał mnie zabrać? Tam, gdzie tyle jego wspomnień czepiało się posępnego bretońskiego pejzażu...

– Jeździ pan tam czasem?

– Ja? Nie... – odpowiedział cicho. – Nigdy tam już nie wróciłem. Willa została w takim stanie jak wtedy, albo prawie. Chyba Armand zagląda tam raz do roku, żeby trochę posprzątać, ale nic więcej.

– Więc tamtego dnia... – nalegałam. – Co się stało?

– David swoim zwyczajem szybko znikł, rzekomo w sprawach służbowych. Aurora zamknęła się w swoim pokoju. Przez cały czas płakała. Znalazła list od którejś z jego kochanek. Krótko mówiąc...

– Pan też tam był?

– Tak, z moją ówczesną partnerką.

A więc Louis Barlet miał już swoje „partnerki". On, zwierzę dzikie i nieposkromione, dał się kiedyś zamknąć w stałym związku jak więzieniu, bo przecież tak musiał go postrzegać. Czy jeszcze kiedyś zgodziłby się na to z własnej woli?...

– I właśnie mojej przyjaciółce udało się porozmawiać z Aurorą przez drzwi. Przynajmniej dowiedzieliśmy się, co zaszło. Nic nowego, banalny wodewil... niestety w duchu tego wszystkiego, co Aurora stale znosiła od Davida.

Już mu nie przerywałam. Po jego zmienionej twarzy, przyobleczonej w zupełnie nieznaną mi powagę, poznałam, że będzie kontynuować z własnej potrzeby wyrzucenia z siebie tych strasznych wspomnień.

– Później we dwoje pojechaliśmy na kolację do Saint-Malo. Rodzice zostali w domu, Armand też. Nie było żadnego powodu do niepokoju.

Jak mogło się wydawać, rzecz jasna...

– Wymknęła się po cichu ciemną nocą. Zobaczy pani, gdy pani tam pojedzie...

Czy David wtajemniczył go w swoje plany co do naszej podróży poślubnej?

– Dom przylega do ściany falezy. Od strony morza jedyny dostęp do plaży prowadzi przez bardzo strome schodki. Dochodzą one do ścieżki latarnika, zalewanej w czasie przypływu.

Nie mogłam pozbyć się makabrycznej wizji, jaka nagle stanęła mi przed oczami:

– I tam utonęła?

– Tak... To znaczy, nie wiadomo dokładnie. Ale tuż poniżej tego przejścia są duże skały, bardzo strome i nierówne. Gdy morze je odsłania, ma się wrażenie, że można po nich chodzić, ale w rzeczywistości pełno w nich dziur i szczelin. Wystarczy wpaść tam jedną nogą, a jest się w pułapce.

– Dlaczego?

– Woda kłębiąca się poniżej działa jak pompa. Zasysa panią do dołu. A gdy morze zaczyna wzbierać, nie trzeba wiele czasu, żeby dać się zalać całkowicie. Jeśli w ciągu kilku minut nikt z zewnątrz pani nie wyciągnie...

Ta opowieść zaprzeczała poprzedniej, którą słyszałam kilka dni wcześniej nad filiżanką herbaty.

Zauważyłam, nie śmiejąc o to zapytać, że nasza limuzyna mknęła teraz na zachód, mijając kolejno place Concorde i Étoile.

– Myśli pan, że to był wypadek?

– Szczerze mówiąc, nie.

Zostało to powiedziane bez patosu.

Dotąd uparcie zapatrzony w okno, teraz odwrócił się do mnie i uśmiechnął się nieznacznie, jakby z ulgą. Czy to możliwe, że byłam pierwszą osobą, która wyciągnęła go na te zwierzenia?

– Tak czy inaczej, nigdy się nie dowiemy... Gdy tam dotarłem, było już oczywiście za późno. Tylko skrawek białej koszuli nocnej trzepotał na powierzchni. Jak idiota chciałem tam nurkować... Jedyne, co mi się udało, to samemu wpaść w pułapkę. Miałem po prostu ciut więcej szczęścia. Zostawiłem tam tylko to...

Znużonym gestem dotknął bezwładnego kolana.

– I jak pan się wydostał?

– Zauważył mnie rybak wracający do portu. Mimo realnego ryzyka zdecydował się podpłynąć bliżej, niż było dozwolone, żeby mi pomóc.

– Uratował panu życie!

– Tak. I nawet nie wiem, kim był. Ten idiota nie chciał podać nazwiska personelowi szpitala w Saint-Malo. Znikł tak samo nagle, jak się pojawił.

– A Aurora?

– Gdy odzyskałem przytomność, dowiedziałem się od mojej przyjaciółki, że nie znaleziono jej ciała. Jej szczątki pewnie jeszcze tam są, gdzieś na dnie morza... być może już wymieszane z resztkami muszli i innych podwodnych stworzeń.

– A David... Jaka była jego reakcja?

– Dokładnie taka, jak już pani opowiadałem, Elle. On, który tak źle ją kochał, nie mógł pogodzić się z jej odejściem. W kilka lat później zrobił sobie tę ranę na ręce, której ślady nosi do dzisiaj. Przez pewien czas obwiniał mnie nawet o jej śmierć: rozpowiadał na prawo i lewo, że to ja zepchnąłem jego żonę ze skał.

Jeszcze jeden argument przemawiający za wersją Louisa. Nawiązywał do ostatnich słów Davida na ten temat, przynajmniej pod tym względem szczerych.

– To absurd oczywiście. Moja przyjaciółka mogła poświadczyć, że byłem z nią w samochodzie, kiedy to się stało.

I „stanęło na nieszczęśliwym wypadku" – mówiąc słowami Davida. Koniec historii. Koniec Aurory. „Rozkosz zawsze triumfuje nad śmiercią" – twierdził Louis zaledwie kilka kwadransów wcześniej. Nie umiałam jednak dostrzec tego triumfu w jego tragicznej opowieści. Gdzie tu przewaga Erosa nad Tanatosem? Chyba wręcz przeciwnie...

Poruszyłam się na siedzeniu, wywołując szelest skóry pod moim ciężarem, ale Louis znów pogrążył się w cichej kontemplacji pejzażu. Przywołany z przeszłości dramat i tak rozproszył zmysłową mgłę unoszącą się między nami, odkąd opuściliśmy Nogent.

Po długiej amfiladzie tuneli pod La Défense wyjechaliśmy na znaną mi dobrze podmiejską aleję: drogę krajową nr 13, w jej odcinku przez Suresnes i Mont Valérien, a później Nanterre. Zadrżałam na myśl, że może chce odwieźć mnie do mamy, ale samochód w szalonym tempie mknął dalej na zachód, bez najmniejszego postoju.

Wreszcie, minąwszy centrum miasteczka Rueil, skręciliśmy w lewo, w aleję wysadzaną kasztanowcami. Wkrótce limuzyna zatrzymała się przed ogrodzeniem eleganckiego pałacyku, w którym natychmiast rozpoznałam Malmaison. Oazę spokoju i zieleni, do dzisiaj słynną z ogrodów różanych. Siedzibę Józefiny, podarowaną jej przez

Napoleona niedługo po tym, jak zapewnił sobie pełnię władzy nad Francją.

Co planował Louis? Że razem złożymy hołd oryginałowi pokoju, który już odwiedziłam w Charmes? Powątpiewałam w to, obserwując jego postawę.

Ale oto ledwie przebrzmiały przytłaczające zwierzenia, nagle wrócił do zwykłego siebie. Znów był lekki i nieprzewidywalny, znów przypominał mi niemożliwą do zbicia figurę w jakiejś szalonej partii szachów, przeskakującą z pola na pole wbrew wszelkim regułom gry.

Po raz pierwszy w ciągu naszej podróży odwróciłam się do niego całkowicie, twarzą w twarz, gotowa do konfrontacji, zdecydowana, że nie będę dłużej na łasce jego stale zmiennego humoru:

– O co panu tak naprawdę chodzi? W co pan ze mną gra?

– Nie gram, Annabelle – zaprzeczył żywo, natychmiast poważniejąc. – Nigdy nie gram. Wszystko, co robię... To ujawnianie.

Po raz kolejny jego oczy świadczyły o szczerości i czystości intencji – a dodatkowo przeszywały mnie na wylot.

– Ujawnianie?

– Tak, dokładnie. Niech pani potraktuje mnie... jak odczynnik fotograficzny. Substancję, która wywołuje niewidzialny obraz zawarty w pani solach srebra. Pani z pewnością nie zdaje sobie z niego sprawy... Ale ja go czuję. Widzę, jak zaczyna się w pani tworzyć...

Kolor wybrany na okładkę mojego karnecika i opakowania innych prezentów nie był więc przypadkowy? Kolor srebra. Kolor ujawnienia.

– Odczynniki fotograficzne już nie istnieją – odpowiedziałam z pewną wyższością. – Nikt ich nie używa. To przeszłość. Wszystko jest cyfrowe.

– Nie u mnie.

Uśmiech w końcu wykwitł mu na ustach, jak nowy kwiat w jego ogrodzie. Dyskretnym, nieznacznym gestem wskazał mi neoklasyczną budowlę z białych kamieni pod dachem z szarych łupków:

– Pani już to zrozumiała... Jestem z innej epoki!

A gdy wysiadał z limuzyny, tak żywo, jak tylko pozwalała mu na to sztywna noga, nagle na chwilę odsłoniła się jego kostka. Trwało to okamgnienie, tylko tyle, żebym zdążyła dostrzec inny tatuaż, inną literę, jakby echo „A” wypisanego na jego nadgarstku. Tym razem było to duże „D”, stylizowane i otoczone kunsztownym ornamentem.

A i D. Inaczej mówiąc: AD.

– Aurora Delbard – szepnęłam machinalnie mimo woli.

23

Reszta wycieczki okazała się sekwencją miłych, beztroskich chwil w wiosennym wdzięku różanych krzewów i w cieniu lipowych alejek. Wszechobecny aromat róż kojarzył mi się z zapachem używanym przez mamę i wywołał we mnie poczucie winy, że poświęcałam jej ostatnio tak mało czasu.

Ale urok miejsca szybko wziął górę nad zmartwieniami. Park Malmaison, chociaż skromny, był cudownym zakątkiem: bez pompatycznych ozdób, fontann i animacji obliczonych na przyciągnięcie turystów, oferował po prostu szeroką przestrzeń do spacerów, zawieszoną poza czasem i wielkomiejskim zgiełkiem. Tak jak wcześniej w Paryżu, Louis zadowolił się już tylko rolą błyskotliwego, rozmiłowanego w swoim fachu przewodnika. Zasypywał mnie ciekawostkami i anegdotami, oczywiście z przewagą pikantnych, czasem wręcz gorszących, a zawsze owianych tą szczególną mgiełką dwuznaczności, która w jego wydaniu zamieniała historię Francji w kronikę i encyklopedię rozwiązłych obyczajów. Z pasją, jak na mój gust nadmierną, rozwodził się na przykład nad dobudówką wzniesioną z rozkazu Napoleona. Dzięki temu rozwiązaniu, twierdził Louis, podczas pobytów w Malmaison cesarz miał gdzie zażywać uciech z aktualnymi kochankami, nie niepokojąc dawnej – Józefiny, swojej małżonki i głównej lokatorki pałacu.

Zjedliśmy późny lunch w miejscowym barze i wreszcie, gdy popołudnie dobiegało już kresu, zostałam odwieziona pod same drzwi rezydencji Duchesnois.

– Do zobaczenia wkrótce? – zapytał tylko na pożegnanie, z uśmiechem pełnym nadziei i pokory.

W dolnej części jego prawego policzka rodził się mały dołeczek. Widywałam go już wcześniej, ale dopiero teraz skojarzyłam, że tylko wtedy, gdy Louis sprawiał wrażenie szczerze wzruszonego. Dołeczek prawdy, jak ochrzciłam go natychmiast, towarzyszył tym rzadkim chwilom, kiedy zdejmował przede mną maskę i rezygnował z gry. W Muzeum Życia Romantycznego kilka dni temu i dzisiaj, w samochodzie, gdy snuł opowieść o śmierci Aurory.

– Być może... – Ja też byłam lakoniczna. – Tak czy inaczej, zobaczymy się z pewnością na którymś z pasjonujących zebrań w BTV!

Docenił uśmiechem moją subtelną ironię i lekko pogłaskał mnie po ręku.

Drzwi limuzyny od mojej strony otworzyły się znienacka, jeszcze zanim dotknęłam klamki. To szofer Richard, przez cały dzień niewidzialny w swojej kabinie, nagle wynurzył się na zewnątrz.

– Mademoiselle... – mruknął ceremonialnie, usuwając swą potężną sylwetkę, żebym mogła wysiąść.

Zaskakująca atencja, jak na zakończenie tak niemej i dyskretnej roli, w jakiej wystąpił dziś przede mną.

Przechodząc tuż obok, musiałam jednak spojrzeć na niego i nagle mnie olśniło: ta wygolona czaszka, kwadratowa szczęka, ta grzeczność wytresowanego doga... Gburowaty sąsiad, który oddał mi Félicité jak paczkę, to był on!

Zaniemówiłam z wrażenia. Szofer tymczasem już sadowił się na swoim miejscu za kierownicą, po czym zaraz rozległ się trzask drzwi i głuchy warkot uruchamianego silnika. Przytłoczona tym niemiłym odkryciem, stałam przed domem jeszcze dłuższą chwilę, podczas gdy samochód oddalał się szybko i hałaśliwie, niczym kareta z dyni w nowoczesnej wersji bajki o Kopciuszku.

Dom był pusty, jak często o tej porze, zwłaszcza odkąd Armand miał tyle spraw w mieście w ramach przygotowań do ślubu. Nawet zwierzęta musiały bawić się w ogrodzie, korzystając z ciepłych promieni skupionych na południowej ścianie rezydencji Duchesnois.

Obok srebrnej koperty na konsoli – czy mogłam jeszcze mówić o niespodziance? – leżał odręczny liścik od Davida, dowód, że zaszedł tutaj w ciągu dnia.

Jeszcze jedna obowiązkowa kolacja z Koreańczykami.
Znając ich zwyczaje, lekkostrawna nie będzie.
Mogę wrócić późno. Nie czekaj na mnie.
Kocham cię.

D.

Drugą przesyłkę otwierałam powoli, jakby delektując się tą czynnością. Od razu zauważyłam mniejszą niż zwykle objętość koperty. I rzeczywiście, zawierała tylko magnetyczny klucz i dwa kawałki brystolu, nic poza tym.

Brak pisemnych instrukcji uznałam za rodzaj testu: teraz już powinnam była sama domyślić się miejsca i godziny spotkania. Hôtel des Charmes, godzina 22.00, jakże by inaczej.

Odwróciłam oba sztywne prostokąty, aby ze zdumieniem odkryć, że zawierały dwa różne „przykazania". Louis nie musiał powtarzać żadnego, żeby nakłonić mnie do przyjścia. Z góry wiedział, że skorzystam z zaproszenia. A skoro było to już przesądzone, mógł teraz podwoić porcje. Albo zwiększyć prędkość:

4. Panu swemu uległość okażesz.

Drugi rozkaz tylko pozornie traktował mnie bardziej podmiotowo – w rzeczywistości to w nim brzmiało coś w rodzaju głuchej pogróżki:

5. Pragnień swych słuchać będziesz.

Co tak naprawdę wiedziałam o moich pragnieniach? Czy strategia Louisa rzeczywiście obudziła we mnie zachcianki, uśpione przez czas i dotychczasowe doświadczenia – wszak porównywał się do wywoływacza... – czy byłam pewna, że chcę im ulec? Jaką wartość mogły przedstawiać sobą te wzloty rozkoszy, te ostre, kłujące i z natury rzeczy efemeryczne fale w porównaniu z bezkresnym lądem szczęścia w wydaniu Davida Barleta?

Postanowiłam na razie zadowolić się kłamliwym milczeniem tego ostatniego. Jeśli historia opowiedziana mi przez Louisa była tak wiarygodna, jak się wydawało, David wychodził w niej nie tylko na zwykłego krętacza. Był pierwszą ofiarą szaleństwa Aurory, a jednocześnie jej katem. Mogłam wyobrazić sobie brzemię wstydu

i hańby, jakie dźwigał od tamtego czasu. Upływ lat nie ujmował ciężaru, nie przynosił ulgi w bólu po tamtych tragicznych wydarzeniach, nie pozwalał zapomnieć o poczuciu winy. Ja byłam dla niego dziewiczą ziemią, nowym przedsięwzięciem, w którym tym razem zamierzał odnieść sukces, wyciągając wnioski z popełnionych błędów. Te ambicje częściowo usprawiedliwiały pewne przemilczenia, na pierwszy rzut oka tak nielojalne i krzywdzące dla mnie.

Po szybkiej kolacji w kuchni, z Sinusem i Cosinusem u stóp oczekujących okruchów z pańskiego stołu, zamknęłam się w sypialni i wyciągnęłam z ukrycia skarby sprezentowane przez Louisa w ciągu ostatnich dni. Rozłożyłam obok siebie kolejno: tajemniczy klucz, szpicrutę, wibrujące jajko, którego sam widok wystarczył do wywołania we mnie odruchowego skurczu, naszyjnik La Païvy, czy nawet ową szpilkę do włosów, niechby i opłaconą przez Davida, ale wybraną bez cienia wątpliwości przez jego brata. Obracałam w rękach wszystkie te przedmioty, doceniając ich zmysłowe walory: giętkość, gładkość, ornamentalne bogactwo. Twarde i wyrafinowane, gładkie i sztywne, przenikające i nieprzeniknione, tworzyły razem dziwną mozaikę, zestaw pełen kontrastów na podobieństwo ich ofiarodawcy. Pomimo to cała ta erotyczna galanteria byłaby niczym, gdybym nie zdecydowała się z niej skorzystać. Jej przemyślna kompozycja miała na celu tylko to jedno: uczynienie ze mnie aktorki własnych przyjemności, a z martwych przedmiotów moich żywych partnerów.

Dlaczego więc żaden gadżet nie był dołączony do najnowszego zaproszenia? Czyżby nowa niespodzianka czekała mnie dopiero na miejscu? Czy może powinnam była spodziewać się czegoś bardziej cielesnego?

Na razie, patrząc na siebie w wielkim lustrze w naszej sypialni, musiałam stwierdzić jedno: zmieniłam się naprawdę. I na pewno definitywnie. Nie byłam już pierwszą lepszą *hotelle*, a w jeszcze mniejszym stopniu tym miękkim surowcem, aż nadto podatną gliną, z której David we własnym mniemaniu mógł lepić wszystko, co chciał. I nawet jeśli nadal posłusznie dawałam mu się wciągać

w sidła luksusu – ten dom, tę suknię, cały niezwykły ślub – serwowanego mi tak hojnie i troskliwie, jaka część mnie robiła to jeszcze z pełnym przekonaniem? Czy to nadal ja upajałam się tym jedwabnym życiem, czy może tylko biedna dziewczynka z Nanterre, ciągle we mnie obecna? Z kolei nowa Elle, ta, która wykluwała się w toku sekretnych spotkań z Louisem, do czego aspirowała naprawdę? Czy sama wiedziała, czego chce? I co czekało ją tym razem, w jakim pokoju miała znów zostać zdobyta?

Dotarłam więc pod Charmes pozbawiona jakichkolwiek materialnych podpowiedzi, ale za to z pewnym wyprzedzeniem. Do godziny dwudziestej drugiej brakowało jeszcze kilku minut.

Weszłam do środka bez jednego słowa ani spojrzenia w stronę monsieur Jacques'a, skądinąd pochylonego nad jakąś pisaniną. Po naszym niedawnym spięciu niezręcznie by mi było prosić go o kolejną pomoc, tak więc minąwszy recepcję, ruszyłam prosto do wind.

– Dobry wieczór, mademoiselle!

Przyjęłam uśmiech Ysiama z nieudawaną radością. Jego długie rzęsy trzepotały nieco szybciej niż zwykle, wskazując, że przyjemność była obopólna. Na próżno próbowałam widzieć w nim tylko gorliwego sługę Louisa – nie mogłam pozbyć się wrażenia niewinności, która wbrew wszystkiemu czyniła go sympatycznym.

– Dobry wieczór, Ysiam. Zaprowadzi mnie pan do właściwego pokoju?

– Oczywiście. A który to?

Jego usta rozszerzyły się jeszcze bardziej. Niezależnie od wynagrodzenia, ta gra musiała go wciągać i cieszyć sama z siebie.

– No więc... Myślę, że pan to wie, co?

– Ja tak. Ale to pani musi mi powiedzieć!

Cóż, w takim razie...

– Dobrze. Zobaczmy więc, co mi jeszcze zostaje w sklepiku. Mam na przykład klucz, stary klucz, który mógłby otworzyć każde drzwi...

– Każde drzwi – przytaknął, wyraźnie zadowolony z kontynuowania partii. – Czyli żadnych.

– Hm... Nie mam już naszyjnika, nie mam jajka... Mam szpilkę do włosów.

– A jest pani pewna, że szpilka wchodzi w skład tych akcesoriów?

– Nie... Ma pan rację. W takim razie zostaje już tylko... szpicruta!

Potwierdził mój trop radosnym mrugnięciem.

– Właśnie! To naprawdę ma pani w sklepiku!

– Szpicruta... – powtórzyłam w zamyśleniu.

Która z naszych legendarnych kurtyzan mogła używać takiej zabawki? Próbowałam odtworzyć w pamięci patronki wszystkich pokoi, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Aż tu nagle, kilka metrów za plecami boya, dojrzałam ten staroświecki afisz...

Ysiam zauważył kierunek mojego spojrzenia. Odwrócił się, żeby mi nie zasłaniać. Z oprawionego w ramki plakatu, repliki reklamy z epoki, patrzyła na nas ognista tancerka z wachlarzem w jednej ręce i pejczem w drugiej, jakby dla podkreślenia bojowej postawy. Nie pozostało mi nic innego, jak odczytać personalia chmurnej piękności: Lola Montez.

– Lola Montez? – zdziwiłam się, kładąc nacisk na końcowe „z”. – Czy nie nazywała się Montès?

– Nie, *Lola Montès* to tytuł filmu Maxa Ophulsa, opartego na jej biografii. Naprawdę nazywała się Montez.

Po wyrecytowaniu tej lekcji – nie miałam nawet cienia wątpliwości, kto był dla niego źródłem takiej wiedzy – Ysiam zaprowadził mnie do kabiny i nacisnął guzik wskazujący drugie piętro.

Jego wystrój zaparł mi dech w piersiach. O ile na innych piętrach korytarze mieniły się żywymi kolorami, tutaj wszystko tonęło w czerni: ściany, drzwi, wykładzina na podłodze. Światło kinkietów, chociaż intensywne, z trudem przebijało się przez tę jaskiniową ciemność. Aby dojść do właściwych drzwi, należało poruszać się krok po kroku, bez mała po omacku.

Wnętrze pokoju nie było wiele weselsze: również panował w nim gęsty półmrok, rozjaśniany tylko odblaskiem małych lampek na złoceniach listew ściennych i plafonów. Ta ciemność na pamiątkę najbardziej tajemniczej z kokot epoki romantyzmu wprawiła mnie

w nastrój bardziej zadumy niż ekscytacji – ale trzask ryglowanych za mną drzwi szybko przypomniał mi, po co tu przyszłam. Odebrałam go, jakby na moje zmysły spadło pierwsze smagnięcie biczem.

– Zbliż się...

Tak jak poprzednio, słowa znikąd, słowa bez twarzy zabrzmiały w tej zamkniętej przestrzeni tak nagle, że z trudem stłumiłam okrzyk przerażenia. Co więcej, tym razem nie dochodziły z głośników ukrytych pod sufitem: źródło metalicznego, celowo zniekształconego głosu znajdowało się niżej, na wysokości człowieka. Gdzieś w pobliżu drzwi, ale ewidentnie po ich wewnętrznej – czyli mojej – stronie, tam, gdzie gęsty mrok nie pozwalał rozróżnić niczego, czy to sylwetki, czy dekoracji.

A jednak uchwyciłam w ciemności jakiś zarys ruchu. Mogłabym przysiąc: podchodzono do mnie. Cofałam się małymi kroczkami, spowolnionymi przez mieszaninę strachu i fascynacji, dwóch wspólników moich najkoszmarniejszych snów.

– Nie bój się. Skoro jesteś tutaj, to znaczy, że już się nie boisz.

Głos miał przerażający dźwięk, ale intonacja wskazywała, że jego emitent chce mnie uspokoić i dodać otuchy. Przy tych słowach wreszcie wynurzył się z mroku na tyle, że mogłam go zobaczyć. Pozostał jednak anonimowy, gdyż i jego twarz, i wysmukła sylwetka ukrywały się pod szczelną powłoką z czarnego, matowego lateksu. Dziwaczne przebranie, przywodzące na myśl dalekie wspomnienia z dzieciństwa – zapaśników, cyrkowców, wędrownych siłaczy – i postaci z doroślejszych fantazji: Catwoman, miłośników SM, modeli prezentujących bieliznę erotyczną czy coś w tym stylu.

Połysk rozciągniętego elastiku na wypukłości poniżej pasa wskazywał, że nieznajomy już miał erekcję.

– Nieprawdaż? – nalegał.

Nie do końca o tym przekonana, zgodziłam się ostrożnie:

– Nie, nie boję się...

I wtedy wyjął zza pleców coś długiego i cienkiego, co nie od razu udało mi się zidentyfikować.

– Więc podejdź do mnie. Nic ci nie grozi.

Szpicruta! Podobna do tej z mojej kolekcji, sprezentowanej przez Louisa i niewinnie obracanej w palcach przed niespełna godziną.

Jeden szczegół uderzył mnie w tym momencie: mimo mroku nie ulegało wątpliwości, że stojący przede mną człowiek nie miał niczego podobnego do laski i nie wydawał się jej potrzebować do utrzymania równowagi.

– Chyba nie zamierza pan... – zakrztusiłam się.

– Chłostać cię? Nie. Nie, jeśli nie będzie to potrzebne. Nie, jeśli będziesz grzeczna.

Próbowałam odzyskać panowanie nad głosem i emocjami.

– OK... To zaszło za daleko jak dla mnie.

– Psst... – uciszył mnie, podchodząc bliżej. – Jeszcze donikąd nie zaszliśmy, a już się wycofujesz!

– Nie chcę być bita.

– A kto ci mówi, że będziesz? To może służyć do tysiąca innych rzeczy, wiesz?

Aby zilustrować swoje słowa, zaczął głaskać mnie czubkiem giętkiej skóry przez żałosną osłonę ubrań. Każde przejście tej magicznej różdżki po moim ciele było nie mniej elektryzujące, niż gdyby robił to językiem.

To, co oglądane z zewnątrz prawdopodobnie wydałoby mi się groteskowe, teraz wprawiało mnie w oszołomienie, tyleż słodkie, co zdradliwe. Fakt, że byłam w centrum uwagi tego człowieka i jego narzędzia, odbierał mi rozsądek, wątły parawan między moimi pragnieniami a mną samą. Moje zasieki obronne padały jeden po drugim i czułam coraz większy przymus poddania się jego rozkazom.

– Zamknij oczy... Skup się na tym, co odczuwasz.

Nie potrzebowałam wzroku, żeby zdawać sobie sprawę z jego obecności, jeszcze bliższej, niemal namacalnej, sądząc po oddechu owiewającym mi twarz i szyję w regularnych odstępach. Zaskakujący i niepokojący był za to całkowity brak zapachu jego ciała. Mój tajemniczy treser nie emanował nawet wspomnieniem wody toaletowej, niczym poza sztuczną wonią lateksu, cierpką i uporczywą.

Wziął mnie za rękę i z najwyższą delikatnością poprowadził do łóżka, również zasłanego czarnym jedwabiem niczym katafalk, a następnie przewrócił na nie w zwolnionym tempie.

Co ciekawe, mój upadek sprawił, że z głośników w rogach pokoju – a jednak tam były – nagle rozległa się muzyka, spływając na nas najpierw drobnym, później coraz intensywniejszym deszczem.

Nie znałam tego utworu, ale musiałam przyznać, że doskonale pasował do sytuacji. Czarodziejska melorecytacja na jednej podniosłej, strzelistej muzycznej nucie sprawiała wrażenie chorału gregoriańskiego jakiegoś nowego kultu, w którym kobiety byłyby najwyższymi kapłankami. Nie rozumiałam ani słowa ze śpiewu w zupełnie nieznanym mi języku, ale słowa znaczyły tu niewiele – wystarczyło wsłuchać się w uwodzicielski głos wokalistki i poddać się jej natchnieniu.

Nieznajomy sztuka po sztuce zdjął ze mnie ubranie – tego wieczoru proste i skromne – po czym kontynuował przechadzkę skórzaną rękojeścią po moim nagim ciele. Po precyzji jego gestów odgadywałam w nim suchą, zwięzłą muskulaturę.

– To ma tytuł *Forever Without End*... – szepnął mi do ucha.

Na zawsze, bez końca – te słowa pasowały idealnie, gdyż takie właśnie pragnienia budził we mnie dotyk jego szpicruty, jakby zaprogramowanej na wędrówkę po moich najwrażliwszych strefach erogennych. Namierzała je niezawodnie, zatrzymując się dokładnie tam i na tak długo, by wywołać najsłodsze, najdłuższe, a przede wszystkim najbardziej widoczne dreszcze. Podstawa mojej szyi z wdzięcznością przyjęła pieszczotę. Moje barki zafalowały w niemożliwym do opanowania wstrząsie, w którym lekki ból walczył o lepsze z przyjemnością. Nawet ów bezimienny trójkąt skóry między uchem a karkiem okazał radość i satysfakcję. A cóż powiedzieć o moich piersiach, brzuchu, o wewnętrznej powierzchni ud rozsuwających się coraz bardziej za każdym pociągnięciem, drżących w ekstazie i tak niecierpliwych w oczekiwaniu na ciąg dalszy, jakby po raz pierwszy opowiadano im tę pasjonującą historię.

Całe moje ciało prężyło się w napięciu, spragnione poznać, a zwłaszcza doznać więcej. Mocniej?

– Cudowne... – westchnęłam, sama nie wiedząc, czy mówię o tych pieszczotach, czy o muzyce.

Nagle poczułam skórzany pręt między wargami sromowymi, co wyrwało mi z piersi rozpaczliwe piski. Nieznajomy przejechał nim

kilkakrotnie po mojej szparze, jakby mimochodem, bez nalegania, z tak dobraną siłą ucisku, abym za każdym razem coraz bardziej wiła się w męce, wyginała grzbiet, unosiła biodra i wysuwała łono na spotkanie z prześladowcą.

– Au!

Pierwsze smagnięcie spadło na mój brzuch bez uprzedzenia, lekkie, a mimo to wyraźnie piekące.

– Miał pan mnie nie bić!

Poderwałam się z furią, ale on jedną ręką ponownie przewrócił mnie na łóżko i przygniótł swoim ciężarem.

– Chłostanie to nie bicie.

– Ach, tak? Niech pan wytłumaczy tę różnicę mojej skórze!

– Nie czepiaj się słów... Czuj, i nic więcej.

A czułam przede wszystkim oburzenie, które jednak, o dziwo, nie tylko nie pozbawiało mnie zmysłowych doznań, ale wręcz działało jak wzmacniacz sygnałów wysyłanych przez ciało. Po każdym klaśnięciu szpicruty czekałam na następne, na zapas bojąc się przyszłego bólu, już rozmyślając o jego sile, ale i o miejscu, gdzie uderzy. Napastnik metodycznie wysmagał kolejno moje piersi, uda i pośladki, starannie unikając twarzy, wykrzywionej z bólu i żądzy.

Z trudem powstrzymałam jednak odruch paniki, gdy nagle usiadł na mnie okrakiem i kolanami unieruchomił mi ręce. Nie od razu zrozumiałam jego zakusy – uświadomił mi je dopiero lodowaty chłód metalu na nadgarstku. Suchy trzask zamka, po chwili to samo z drugą ręką...

Zakuta w kajdanki.

Zamknęłam oczy ze zgrozy, a gdy otworzyłam je ponownie, aby zobaczyć, jakie jeszcze tortury mi szykuje, odkryłam, że wszystko znikło: lampki zgasły i pokój tonął już nie w mroku, ale w egipskich ciemnościach. Jeśli zaś chodzi o mojego oprawcę, mogłam teraz zlokalizować go w przestrzeni tylko po oddechu i tej odrobinie ciepła, jaką wydzielało jego szczelnie obleczone ciało.

Musiał odczytać tę ostatnią myśl, gdyż usłyszałam szelest suwaka. A więc rozbierał się wreszcie, uwalniając nie tylko swoje ciało, ale i ten zapach, jakże znajomy, dotąd uwięziony w lateksowym pokrowcu.

Wanilia. Lawenda. Jednym słowem: Louis. Albo ktoś wyperfumowany tak jak on?

Resztka wątpliwości opuściła mnie, gdy do zapachu doszedł jego głos, już naturalny, pozbawiony elektronicznego zniekształcenia:

– Nie ma takiej ciemności, żeby cię zasłonić...

Chyba miał na myśli... moją piękność?

Szpicruta nie była jedynym gadżetem, którego replikę przyniósł na to spotkanie.

– Och, nie!

Metalowe jajko, które zdecydowanym gestem wsunął mi do pochwy, idealne przypominało tamto z pokoju Marii Bonaparte i tamtą rozkosz, tak samo sterowaną jego ręką.

– Tak, tak – mruknął tylko.

Później, nie do końca przewidując dalszy bieg wydarzeń, dosłyszałam lekki szmer jego kroków na wykładzinie i podwójny trzask drzwi, otwieranych i zamykanych ponownie.

Czyżby naprawdę wyszedł?

Nie miałam czasu na następne hipotezy. Ziarno rozkoszy już we mnie kiełkowało, jajko zostało wprawione w ruch, samoistnie, czy raczej na komendę, jak mi się wydawało, z oddali. Ze skrępowanymi rękami nie byłam w stanie niczego kontrolować, ani siły impulsów, ani trajektorii wewnątrz mnie, ani zwłaszcza czasu trwania wibracji.

Pierwszy orgazm uderzył mnie od środka jak podwodna fala tsunami. Nie czułam się rozdarta na części, przeciwnie, zagęszczona w jedną kulę ognia i rozkoszy, tak ściśle skupiona w sobie, jak nowoczesna rzeźba, z której wynurzała się tylko płeć, tylko moje porażone łono.

– Nie chcę tego... Chcę ciebie... – niemal płakałam z ekstazy i frustracji.

Chciałam, żeby się skończyło. Albo raczej żeby się wszystko zaczęło. Nie mogłam już znieść tej gry ani tej mechanicznej rozkoszy. Chciałam jego. We mnie. Natychmiast. Bez innej zwłoki niż ta, jaką narzucilibyśmy sobie oboje, żeby razem wzlecieć na szczyty.

I dokładnie w momencie, gdy przekroczył próg, dodałam, zrozpaczona i udręczona, wdzięczna i poddana:

– Chodź...

Runął na mnie bez słowa i wyciągnął jajko z mojej pochwy. Strumień, jaki za nim wypłynął, zalał mnie kojącą falą, aż po piersi. Czułam się zagarnięta, wchłonięta w wir mojego orgazmu. Tonąca i szczęśliwa z tego powodu.

– Weź mnie... Weź mnie – błagałam.

Okazał się tak głuchy na ten apel, jakbym nic nie powiedziała. Poczułam za to, że klęka między moimi udami i gwałtownie ciągnie mnie za pośladki aż na brzeg łóżka. Przywarł ustami do mojego łona jak człowiek umierający z pragnienia do zbawczego źródła w oazie.

Kontrast z metodą zastosowaną przez Davida był uderzający. Tam, gdzie mój przyszły małżonek olśniewał regularnością metronomu, Louis wprowadzał chaos, ciągłe przerywniki i zmiany rytmu. Nie musiał zagłębiać się we mnie, żeby dotrzeć do samego sedna. I to, co powinno było opóźnić moją rozkosz – czy nie uważa się powszechnie, że seks oralny wymaga czasu i staranności? – tylko podsycało we mnie żądzę, pompowało wargi sromowe i wyprężało łechtaczkę do niesłychanych rozmiarów.

Nie pamiętam już, przy jakiej okazji jeden z naszych profesorów z Nanterre wspomniał nam, jako o przykładzie, o albumie fotografii erotycznych: Née de la vague, zrodzona z fali, autorstwa Luciena Clergue'a. Zaciekawiona, odszukałam je później w internecie i byłam równie zafascynowana, co zmieszana obrazami tych pięknych nagich ciał, w większości bez głów, pławiących się w morskiej pianie. Widok ten przypomniał mi o pewnym aspekcie moich własnych narządów intymnych, który zawsze uważałam za kłopotliwy, chociaż akurat u mężczyzn analogiczny detal działał na mnie podniecająco: o zapachu mojej cipki, mojego sromu. Mogłabym się z nim pogodzić i wyprzeć go ze świadomości do lamusa innych kompleksów, gdybym sama nie czuła go kilka razy dziennie, nawet zaraz po kąpieli i użyciu perfum. W liceum czy później na uczelni, w kinie albo w metrze, ilekroć okoliczności wymuszały mój bliski kontakt z nieznajomymi, byłam przekonana, że czują oni ten wyrazisty, piżmowy zapach intymny. Ta sama morska nuta, jaką zawsze przypisywałam

wydzielinom mojego łona, zdawała się emanować również ze zdjęć zebranych w albumie.
(Odręczna notatka z 11.06.2009, mojego autorstwa)

Koniuszkiem języka wcisnął się pod napletek łechtaczki i przez dłuższą chwilę drażnił ją bezpośrednio, usuwając tę ostatnią przeszkodę wraz z resztką moich skrupułów. Momentami było to wręcz bolesne, ale nagle błyskawica przemknęła przez pokój i uderzyła prosto w niego, w mikroskopijny organ mojej szczęśliwości, rozdzierając mi brzuch, paląc trzewia wiązką płomieni, od których zmącił mi się wzrok i po kolei wysiadły wszelkie inne zmysły.

– Och, taaak!

Byłam spiorunowana. Byłam porażona. Nie byłam już kobietą szczytującą na NIE, tylko jak najbardziej na TAK.

Tym razem nie słyszałam, kiedy wyszedł. I dopiero poruszywszy ręką, zrozumiałam, że znikły również kajdanki.

Ale nawet rozkuta, nawet uwolniona, wiedziałam jedno: że odtąd należę do niego. Mogę wyjść za mąż za kogokolwiek, włącznie z jego bratem. Ułożyć sobie życie jak tylko chcę, jedwabne, zaciszne, komfortowe.

On i tak na zawsze pozostanie moim panem. Louis.

On i nikt inny.

24

12 czerwca 2009

W obliczu poważnego osobistego problemu albo co gorsza, dylematu zawsze postępowałam tak samo – niestety w sposób najmniej dziennikarski i najmniej profesjonalny z możliwych. Zamiast szukać pouczających przykładów czy punktów odniesienia wokół siebie, w realnym świecie, sięgałam po filmy mniej lub bardziej związane z interesującym mnie tematem. Pod wieloma względami bardziej ufałam filmowcom niż kolegom dziennikarzom i ekspertom, dyplomowanym psychologom czy socjologom. I to filmy miały mi pomóc w rozwiązywaniu moich spraw – na przykład w związku z chorobą mamy kilka razy w krótkich odstępach czasu byłam w kinie na *Dzienniku intymnym*, gdyż sposób, w jaki jego reżyser Nanni Moretti przedstawił ten bolesny temat, nieustająco poprawiał mi humor i dodawał otuchy.

A jeśli chodzi o miłość rodzeństwa do tej samej osoby, nie wyobrażam sobie lepszego i mądrzejszego podejścia niż w *Hannah i jej siostrach* Woody Allena albo jeszcze w obejrzanej dawno temu włoskiej sadze *Nasze najlepsze lata*. Ten ostatni film szczególnie podbił moje nastoletnie wówczas serce za sprawą cudownej Jasmine Trinki, której nadąsaną minę i nieco wylęknione spojrzenie wielkich oczu naśladowałam odtąd z uporem godnym lepszej sprawy.

W przeciwieństwie do Elliota, męża tytułowej Hannah, który po romansie z jej piękną siostrą Lee grzecznie wraca w małżeńskie okowy, nie zgadzałam się na ów mieszczański fatalizm, naznaczony zakłamaniem i konformizmem. Rezygnacja z wyboru, próbowałam przekonać samą siebie przez całą noc po powrocie z Charmes – spędzoną na przewracaniu się z boku na bok przy śpiącym jak kłoda Davidzie – jest już jakąś formą wyboru.

Bo czy właściwie nie mogłabym tak żyć, lawirując między nimi dwoma i ich jakże różnymi oczekiwaniami wobec mnie? Podzielona na dwie części i wewnętrznie również rozdarta między własnymi pragnieniami a rozsądkiem, między ciałem a sercem, między

namiętnością do człowieka, który zechciał zdobyć mnie podstępem i siłą, a potrzebą spokoju, stabilizacji, dni beznamiętnych, ale i bezbolesnych, w takt słodkiej muzyki komfortu, czułości i wszelkich udogodnień?

– Dzień dobry, Elle. Wydrukowałem ostateczną wersję umowy. Leży na konsoli, tak jak uzgodniliśmy. Gdyby zechciała pani jeszcze raz rzucić okiem i podpisać...

Armand zaszedł mnie w kuchni przy śniadaniu, swoim zwyczajem cicho i dyskretnie jak widmo. Zauważyłam, że im bliższa była data ślubu, tym gorzej wyglądał i tym wyraźniej tracił dobry humor. Czy to stres przygotowań dawał o sobie znać? A może jeszcze więcej alkoholu w reakcji na ów stres?

– Oczywiście, dziękuję, Armand. Na pewno wszystko jest w idealnym porządku.

„Przykazaniom" Louisa, szalonym i podniecającym, odpowiadały z drugiej strony imperatywy narzucone przez Davida, zbiór reguł, dzięki którym nasze wspólne życie miało być długą przejażdżką ze stałą, z góry zaprogramowaną prędkością. Żadnych stłuczek, żadnych kolizji, nic prócz przyjemnego ukołysania drogą tak równą, że dni dobre niemalże nie różniłyby się od złych, gdyż te złe amortyzowałyby resory jego pieniędzy i moich ustępstw. Mogłabym nawet zamknąć oczy, a i tak wszystko pozostałoby pod pełną kontrolą.

– Ach, byłbym zapomniał! – wykrzyknął Armand, już odchodząc do swych niecierpiących zwłoki obowiązków. – Jubiler oddał mi pierścionek. Pozwoliłem sobie położyć go w sypialni, na pani szafce nocnej.

Obok koszulki z tekstem intercyzy znalazłam drugą, nieco cieńszą, ale wywołującą znacznie żywsze bicie serca. Zawierała ona plik czystych perforowanych kartek, takich samych, jak doręczone mi już wcześniej. Tak jakby ofiarodawca nie miał wątpliwości, że zrobię z nich użytek i że karnecik *Dziesięć razy dziennie* będzie miał ciąg dalszy. Co ucieszyło mnie jeszcze bardziej, on sam anonsował swój wielki powrót, ponieważ ostatnia kartka była jednak zapisana tak znajomym i szczególnym charakterem pisma:

Quand je mets à vos pieds un éternel hommage,
Voulez-vous qu'un instant je change de visage?
Vous avez capturé les sentiments d'un cœur
Que pour vous adorer forma le créateur.
Je vous chéris, amour, et ma plume en délire
Couche sur le papier ce que je n'ose dire.
Avec soin de mes vers, lisez les premiers mots:
Vous saurez quel remède apporter à mes maux.

[Kiedy u stóp twych, pani, składam hołdy w darze,
Chce pani może w innej zobaczyć mnie twarzy?
Pani zna już uczucia serca mego,
Żebym wielbił cię, po to tylko stworzonego.
Kochał cię będę wiecznie i pióro w obłędzie
Się ślizga po papierze, mówiąc, czego nie śmiem.
Z uwagą na te wersy czytaj pierwsze słowa:
Panią na moją boleść biorę za doktora][3].

Minęła dłuższa chwila, zanim otrząsnęłam się ze zdumienia szczególną formą – odkąd to Louis mówił do mnie wierszem? – a jeszcze bardziej treścią liściku. Tak jawna deklaracja, tak dosłowna mimo eleganckiego języka, jakoś mi do niego nie pasowała.

Chyba że... Na tablecie z salonu wpisałam w wyszukiwarkę pierwsze słowa poematu i w okamgnieniu wszystko było jasne: *Réponse d'Alfred de Musset à George Sand*, „Odpowiedź udzielona George Sand przez Alfreda de Musseta". No proszę – znałam zaszyfrowany wierszyk Sand, ale nie miałam niestety pojęcia, że doczekał się on równie poetyckiej repliki. Szyfr był tym razem łatwiejszy do złamania, jako że sam autor podsuwał klucz w przedostatniej linijce: *Avec soin de mes vers lisez les premiers mots* – „Z uwagą na te wersy czytaj pierwsze słowa". A pierwsze słowa składały się w nader konkretne pytanie: *Quand voulez-vous que je couche avec vous?* – „Kiedy chce pani, żebym kochał się z panią?".

Nieoceniony internet podsunął mi też finał tej literacko-miłosnej zabawy w wykonaniu jej pomysłodawczyni. George Sand odpowiedziała kochankowi następującym dwuwierszem: *Cette insigne faveur que votre cœur réclame/ Nuit à ma renommée et répugne à mon âme.* – „Tej łaski, której pana serce się domaga/ Nocy nawet nie zdradzę, tak mą duszą wzdraga". Tu już bez żadnych podpowiedzi widać było czarno na białym: *cette nuit* – tej nocy.

Uśmiechnęłam się w duchu, oczarowana: czy nie na tym polegał jego projekt? Żebyśmy korespondowali ze sobą na podobieństwo natchnionych kochanków epoki romantyzmu, za pośrednictwem mojego karnecika?

Wyciągnęłam go zatem z torebki i dopisałam ostatni dwuwiersz George Sand. Nawet gdyby Louis nigdy nie miał tego przeczytać, chciałam zachować przynajmniej symboliczną ciągłość naszego dialogu.

Zastanawiam się, czy odkąd prowadzę życie seksualne, chociaż raz zdarzyło mi się z własnej inicjatywy zaciągnąć do łóżka któregoś z moich partnerów. Podejrzewam, że nie, i nie jestem z tego zbyt dumna. To nie kwestia wstydu, tylko raczej żalu, gdyż w moim obecnym przekonaniu ten z dwojga, który pierwszy wyrazi pragnienie, korzysta z czegoś w rodzaju premii. Czy miałabym więcej orgazmów albo okazała się lepszą kochanką dla nich, gdybym od czasu do czasu rzucała się na moich byłych? Nigdy już się tego nie dowiem. Moje łono i całe ciało pozostaną na zawsze uboższe o to, czego kiedyś nie doświadczyły.
(Odręczna notatka z 12.06.2009, mojego autorstwa).

Rozbudzona tą ostatnią niespodzianką, szykowałam się do pracy w pośpiechu, ale lekko i radośnie. Minuty uciekały w zawrotnym tempie, a po dwóch dniach nieobecności spóźnienie nie wchodziło oczywiście w grę – nie mogłam dać pretekstu do nowych komentarzy. I tak wyobrażałam sobie, że obgadywano mnie bezlitośnie, a cała wieża Barlet trzęsła się od perfidnych plotek na

temat mojej osoby, mojej niczym niezasłużonej kariery i wszystkich moich braków.

– Uff! Już się bałam, że nigdy pani nie wróci!

Swoim dość irytującym zwyczajem Chloé osaczyła mnie natychmiast, ledwie zdążyłam stanąć w przeszklonych drzwiach hallu. Wydawała się jeszcze bardziej zaaferowana i spięta niż dwa dni wcześniej, gdy widziałam ją ostatni raz. Czyżby moja nieobecność wprowadziła aż tyle zamieszania wśród personelu? Przypomniały mi się słowa Davida o nieubłaganym krytycyzmie starej gwardii.

– Ależ skąd – broniłam się. – Dlaczego miałabym nie wrócić?

Blondyneczka popatrzyła na mnie tak, jakbym spadła z innej planety albo właśnie wyszła z pustelni, po latach odcięcia od wszelkich informacji.

– David nic pani nie powiedział?

O czym? Czy to możliwe, że uległ presji podwładnych i poświęcił mnie na ołtarzu korporacyjnego ładu?

– A powinien był powiedzieć mi coś szczególnego? – zapytałam już mniej pewna siebie.

– Alice!

Przed oczami stanęła mi sylwetka firmowego wampa w pocieszających ramionach Davida.

– Alice i Chris!

„Alisikris”... Wyrzuciła to z siebie jednym tchem, niczym przekleństwo w jakimś obcym języku. Zabrzmiało zabawnie, ale nie miałam nastroju do żartów.

– Przykro mi, Chloé, zupełnie nie rozumiem, co...

– Chris Haynes, dyrektor artystyczny, i Alice Simoncini... Zostali przyłapani w ferworze akcji, jeśli domyśla się pani, o czym mówię. W jej gabinecie!

A to dopiero! Olśniewająca dyrektorka marketingu wybrała sobie tego pretensjonalnego idiotę na otarcie łez... czy na złość Davidowi?

– Pani wybaczy – Mój wyniosły ton miał świadczyć, że nie obchodzą mnie tak niskie plotki. – Nadal nie rozumiem, jaki to ma

związek ze mną?

– No więc oboje zostali zwolnieni! Dokładnie tego dnia, kiedy pani zaczęła tu pracę. Dyscyplinarnie! Bez wypowiedzenia, bez odprawy, bez jednego euro na pożegnanie... Nic.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Wszyscy mówią tylko o tym. Podobno Yves, nasz informatyk, nagrał ich komórką i ma cały film... Oczywiście nie zamierzam oglądać takich rzeczy za nic w świecie. To obrzydliwe!

Ale dziwnie zmysłowy gest, jakim nieustannie poprawiała swój koczek, jawnie zaprzeczał tej deklaracji.

Ja tymczasem ciągle myślałam o scenie między Alice a Davidem, jakiej byłam mimowolnym świadkiem. Inaczej niż sobie wyobrażałam, nie chodziło zatem o koniec romansu, tylko o zwolnienie z pracy. Pozornie empatyczny, prawie czuły David zachował się jak najbardziej bezwzględny z szefów. Jednego dnia zapraszał ją na kolację do własnego domu, a niemal nazajutrz wyrzucał na bruk jak pariaskę.

Ta perspektywa położyła mi na sercu lodowaty ciężar obaw i wątpliwości. A gdyby tak David dowiedział się o dziwnej relacji między mną a jego bratem, co powstrzymałoby go przed potraktowaniem mnie w podobny sposób? Wygnana, odprawiona... może jeszcze ogolona na znak hańby!

Już po dotarciu na osiemnaste piętro przekonałam się, że wzburzenie opisane przez Chloé nadal nie opadło. Jeśli przyglądano mi się w korytarzu przez przeszklone drzwi gabinetów, to nie dlatego, że sama właśnie szłam na szafot, tylko żeby odczytać z mojej twarzy reakcję na nowiny. Czy mi się to podobało, czy nie, zostałam wyniesiona do rangi firmowych elit, do osób, których opinia liczyła się dla innych i zajmowała umysły.

– Niech pani nie zwraca na nich uwagi – szepnęła mi do ucha asystentka Davida. – Zastanawiają się, kto będzie następny. Boją się...

A cóż powiedzieć o mnie!

– ...ale w głębi duszy nie są tacy źli.

Doprowadziwszy mnie pod gabinet – od razu skonstatowałam, że nie czeka tam na mnie żadna srebrzysta koperta ani paczka – Chloé

pospieszyła do swoich zajęć, rozpisanych co do minuty:

– Ósma czterdzieści osiem... Mam już co najmniej sześć minut do tyłu w harmonogramie. Zostawiam panią, ale proszę dzwonić, gdyby czegoś pani potrzebowała.

Ta zachęta, podobnie jak powitanie w hallu, była zapewne efektem i bezpośrednich instrukcji Davida, i mojego szczególnego statusu w ocenie samej Chloé. Na biurku, równie pustym, jak je zostawiłam, leżała tylko odręczna karteczka od Albane z informacją, że o dziewiątej jestem oczekiwana piętro niżej, na pierwszych próbach przed kamerą. Mogłam więc co najwyżej wypić duszkiem espresso, skądinąd okropne, wyplute przez astmatyczny dystrybutor w korytarzu, i tak pokrzepiona zejść na arenę.

Albane, w bezkształtnym swetrzysku i spodniach od dresu, szczerze ucieszyła się na mój widok. Zanim zdążyłam wyciągnąć do niej rękę, głośno cmoknęła mnie w oba policzki, jakbyśmy znały się od lat.

– Cześć! Lepiej się już czujesz?

– Tak... w miarę – udałam lekko cierpiętniczy ton.

– To dobrze, bo żarty się skończyły. Dzisiaj przechodzimy do poważnych rzeczy. To wielki dzień dla ciebie, stajesz w świetle jupiterów!

– Wiem... – westchnęłam już bez udawania.

– A teraz chodź, przedstawię ci naszych techników.

Średnia przyjemność, w ciągu niespełna piętnastu sekund znaleźć się w półmroku reżyserki, przed kilkunastoma zawodowcami, którzy patrzą na ciebie uważnie, taksują, oceniają... Teraz już bez żadnej taryfy ulgowej, zamknięci w swym profesjonalizmie jak w bańce, nie do przekłucia nawet najbardziej rozbrajającym uśmiechem.

– Dzień dobry...

Ale to nie ich liczba ani pełne wyższości miny starych wyjadaczy sprawiły, że głos uwiązł mi w gardle zaraz po tym nieśmiałym powitaniu. Zamarłam, gdy jednym z nich okazał się...

– Fred!

Odłączył od grupy i szedł do mnie, zrelaksowany tak, jakbyśmy spotkali się na imprezie w gronie przyjaciół.

– Cześć, moja Elle.

„Moja Elle”, z naciskiem nie większym, niż trzeba, żeby wszyscy zauważyli ów akcent poufałości, by nie rzec przynależności.

Złapałam go za rękaw i dosłownie wywlokłam z kabiny, na jeszcze ciemny i pusty plan.

– Co ty tu robisz? – syknęłam półgłosem. – Nie wystarczą ci awantury pod moim domem?

– Najpierw się przywitaj, a potem uspokój. Tak jak tu stoję, zostałem zatrudniony na czas określony, konkretnie na pół roku. A poza tym, jeśli chcesz wiedzieć, wszyscy na nas patrzą.

Czasami przychodzi mi do głowy, że nasza wiedza o własnej seksualności zdobyta przy dawnych kochankach, albo to, co oni sami w nas odkryli, zasługuje na przekazanie aktualnemu partnerowi. Uważam za głupotę, czy wręcz niesprawiedliwość pozbawiać go tego rodzaju informacji. Tak jak istnieją książeczki zdrowia, tak też każdy z nas powinien mieć książeczkę seksualności, wypełnianą nie przez lekarza, tylko tych wszystkich, którzy przewinęli się przez nasze łóżko. I wtedy, ilekroć znaleźlibyśmy się w sytuacji intymnej z kimś nowym, ów ktoś mógłby od razu dowiedzieć się z książeczki, co lubimy, a czego nie – zamiast tracić dni, miesiące, a czasem cały czas trwania związku na poruszanie się po omacku.
Co mógłby napisać Fred na temat intymnej Elle, którą znał? Że, na przykład, nie umiał doprowadzić jej do orgazmu podczas seksu oralnego? ~~Albo że ona sama była w tym beznadziejna, zalękniona, niezdolna do połknięcia go tak głęboko, jakby chciał, zdegustowana na samą myśl o wytrysku w usta, którego to przywileju odmawiałam mu systematycznie?~~

(Odręczna notatka z 12.06.2009, mojego autorstwa)

Rzut oka przez grubą szklaną szybę potwierdził mi, że banda techników faktycznie śledziła nas z zapartym tchem. I nawet trudno było się im dziwić: sytuacja, w której przyjaciółka bossa znienacka wpada na swojego byłego chłopaka, miała przecież w sobie coś z frywolnego kabaretu, w sam raz na miły przerywnik w pracy.

– Zostałeś zaangażowany do mojego programu?

– Tak. Szukali dźwiękowca, kompetentnego i dyspozycyjnego. No i jestem!

– Kpisz sobie ze mnie? – zapytałam najciszej, jak mogłam, chociaż chciałam krzyczeć.

– A na to wyglądam?

Od słowa do słowa wyciągnęłam z niego, jak to się stało. Że po jego przyspieszonym odjeździe spod rezydencji Duchesnois Louis jakimś cudem namierzył go i odszukał. Że obaj panowie kilka dni temu poszli razem na piwo i w efekcie lekko wstawiony Louis zaproponował Fredowi pracę w grupie audiowizualnej kierowanej przez jego brata „w ramach odszkodowania".

– Tak ci właśnie powiedział? – wycedziłam, kipiąc z wściekłości. – „W ramach odszkodowania"?

– No tak, a co? To mu się wydawało uczciwe, i mnie też: jego braciszek odbija mi dziewczynę, on daje mi pracę.

Najstraszniejsze w całej tej historii było nawet nie to, że Louis tak cynicznie wykorzystał trudną sytuację Freda i trawiącą go potrzebę wyjścia z bezrobocia. Nie, tym, co upokarzało mnie bardziej niż jakiekolwiek z dotychczasowych poniżeń, była świadomość, że ta nowa machinacja robi ze mnie ordynarną walutę wymienną, tym razem na rynku pracy.

– Przypuszczam, że David nie jest wtajemniczony w wasz układzik?

– No nie... A po co miałby być? To między Louisem a mną.

Im dłużej trwała nasza dyskusja, tym większa wesołość ogarniała widzów w reżyserce. Niektórzy musieli już kiedyś pracować z Fredem i znać go na tyle dobrze, że bez skrępowania stroili do niego głupie miny, a nawet podjudzali dwuznacznymi gestami.

Jak mogłam na to zareagować? Co miałabym powiedzieć Davidowi, żeby nie zabrzmiało jak przyznanie się do utrzymywania kontaktów z byłym chłopakiem albo do podejrzanego konfliktu z Louisem?

Po krótkiej analizie zdecydowałam się na zupełnie inną opcję. Pomyślałam nawet, że Fred spadł mi z nieba, że to ostatnia szansa na odzyskanie kontroli nad biegiem wydarzeń:

– W porządku, Fred. Ale jest jedna rzecz, jaką powinieneś wiedzieć o Louisie.

– Podkochuje się w tobie, co?

To niesamowite, jak w ciągu kilku dni dzięki magii cudownego angażu Fred zdawał się wreszcie wyleczony ze wszelkich uczuć do mnie. Louis i tym razem miał dobrą intuicję: zwracając mu honor, za jednym zamachem osuszył źródło i jego gniewu, i nieszczęśliwej miłości, tak bardzo podszytej urażoną ambicją.

– Niekoniecznie. Powiedzmy, że zachowuje się dziwnie.

Starannie przemilczając wszystkie rozdziały dotyczące zaproszeń, przykazań i schadzek w Charmes, opowiedziałam mu pokrótce naszą sagę, z naciskiem na nieograniczoną rozrzutność Louisa, której pierwszą beneficjentką była moja mama.

– Ach, tak, no, no... – kręcił głową Fred. – To faktycznie trochę chore.

– Przykro mi to mówić, Fred...

Zrobiłam zakłopotaną minę.

– Co?

– ...i oczywiście nie chcę umniejszać twoich umiejętności, wierz mi. Ale myślę, że jeśli zaproponował ci tę pracę, to nie przez przypadek. On celuje we mnie, wykorzystując do tego ciebie albo mamę.

Przyglądał mi się przez chwilę, nagle poważniejszy, posępny, znów pełen jadu i agresji, znanych mi aż za dobrze.

– Aha... Więc według ciebie nie ma mowy, żebym dostał dobrą pracę dlatego, że jestem coś wart? Zawsze musi chodzić o ciebie i twoją dupę!

Próbowałam wziąć go za rękę, którą wyrwał mi gwałtownym gestem.

– Fred, uspokuj się, do diabła...

Już zbierał się do ucieczki, gdy zatrzymało go moje pytanie:

– Nie powiedział ci tego? Co?

– Czego?

– Że będziesz pracować dla mnie? Jestem pewna, że w to akurat nie raczył cię wtajemniczyć.

– Hm... No, fakt. Nie miałem o tym pojęcia, dowiedziałem się dopiero w kadrach. Ale o czym to ma świadczyć?

– Że po prostu manipuluje tobą. Lista techników do programu jest zatwierdzona od tygodnia – zaryzykowałam blef. – Jeśli tu wylądowałeś, a David nic o tym nie wie, to na osobistą interwencję Louisa.

– Możliwe – przyznał, nadal czujny i spięty.

– Nie widzisz, że bawi się tobą, tak jak nami wszystkimi? Dla takiego typa jak on jesteśmy nikim. Robakami do rozgniecenia butem!

Porównanie musiało przemówić Fredowi do wyobraźni. Ciemniejszy błysk jego bezbarwnych oczu blondyna powiedział mi, że znów słucha mnie uważnie.

– No więc co proponujesz?

– Jeśli David dowie się, jak i przez kogo zostałeś zaangażowany, anuluje twoją umowę. Masz to jak w banku.

– Skąd taka pewność siebie? – mruknął z przekąsem.

– Kiedy zacząłeś tę pracę?

– Przedwczoraj.

– Więc już widziałeś, jak wylał tamtą parkę, wysoką blondynę i tego kretyna od grafiki... Bez ceregieli, szybciej, niż zdążyłby splunąć.

Strzeliłam palcami dla lepszego efektu.

– OK. Wyobrażam sobie, że twoje milczenie nie będzie bezinteresowne – zasugerował z jeszcze żywszym błyskiem w oku.

– No, powiedzmy, tu też będzie coś za coś, uczciwa wymiana: ty zachowasz pracę, a ja...

Zawiesiłam głos, w poszukiwaniu przysługi, jaką Fred naprawdę byłby w stanie mi oddać. Czegoś, co mogłoby choć trochę zwiększyć moje szanse w tej próbie sił zainicjowanej przez Louisa. Co otworzyłoby nowy rozdział w niemym dialogu między nami, tak pasjonującym dla obojga.

– A ja? – powtórzył z myślą o sobie.

– A ty... ty postarasz się jak najczęściej nagrywać rozmowy Louisa z jego otoczeniem.

– Oszalałaś? Bierzesz mnie za Jamesa Bonda?

– Nie chcę wiedzieć, jak to zrobisz, Fred. Ale wyniuchasz, z kim i o czym rozmawia z telefonu stacjonarnego, włączysz mikrofon, gdy będzie gdzieś w pobliżu... Biorę wszystko, co uda ci się chwycić.

Interwencja Albane położyła kres naszym targom, ale w jego zrezygnowanym kiwnięciu głową wyczytałam zgodę. Biedny Fred: nawet rzadkie uśmiechy losu okazywały się dla niego bardziej ironiczne niż życzliwe.

– Elle? Idziesz do makijażu? Jeśli mamy skończyć próby przed przerwą, musimy się pospieszyć.

Reszta poranka zleciała w okamgnieniu. Stała obecność Albane przy moim boku, szanowanej przez wszystkich niezależnie od stanowiska i stażu pracy, jak również kilka szybkich wejść Luca i Philippe'a, czuwających nad pomyślnym przebiegiem tej wstępnej fazy, stopniowo przełamywały lody między mną a ekipą techniczną. Nawet Fred wielkodusznie zapomniał o urażonej męskiej dumie i momentami pomagał mi naprawdę, czy to jakąś trafną uwagą, czy żartem rozładowującym atmosferę.

Dziewczyna widoczna na ekranach kontrolnych była początkowo i niepodobna do mnie, i bardzo irytująca, jednak z czasem udało mi się oswoić z tym dziwnym rozdwojeniem, a nawet zachowywać się nieco naturalniej pod nieubłaganym okiem kamery.

– Idziesz z nami na lunch? – rzucił w moją stronę Stan, reżyser programu, tonem bardziej stwierdzenia niż pytania, jakby chodziło o rzecz oczywistą.

Sto razy chętniej wybrałabym sałatkę i monaco w towarzystwie Sophii, niemniej w trosce o integrację z zespołem wdzięcznie przyjęłam zaproszenie i dziobałam stołówkowe menu z największym entuzjazmem, jaki mogłam z siebie wykrzesać.

Albane, której płaska sylwetka nasuwała mi podejrzenie jakichś problemów z jedzeniem, zostawiła nas na progu kantyny. Ale to ona

wyciągnęła mnie z grupy stołowników, ledwie odstawiłam tacę na taśmociąg.

– Elle! Mogę ci zająć dwie minuty?

– Co się stało? – zaniepokoiłam się, widząc jej niewyraźną minę.

– Mam nadzieję, że dostałaś tu coś jadalnego, bo będziesz potrzebowała rezerw.

– Rezerw... Na co?

We właściwy sobie sposób, bezpośredni, nieco obcesowy, bez słowa pociągnęła mnie do damskiej toalety w sąsiedztwie kantyny. I tam, nie zważając na paplaninę dziewczyn zajętych poprawianiem makijażu, wreszcie podzieliła się ze mną najnowszą rewelacją:

– Zaczynamy jutro wieczorem – rzuciła lakonicznie.

Żeby nie zemdleć od razu i pozwolić się spokojnie dobić, udałam idiotkę, co zresztą w tym momencie przyszło mi bez wielkiego trudu:

– Co zaczynamy?

– Nasz program. Na antenie.

– Żartujesz? Powiedz, że to inni kazali ci mnie nastraszyć?

– Wierz mi, wolałabym, żeby tak było...

– Ale dlaczego? Kto tak zdecydował?

– A jak myślisz...?

Stłumiła cierpki uśmieszek.

Gdyby David postanowił wepchnąć mnie do klatki z lwami, nie przyjęłabym tego gorzej. Co gorsza, nie pojmowałam sensu tej ofiary. Czego się spodziewał, wysyłając mnie na taką rzeź?

– Ale jak to, przyszło mu to do głowy ot tak, w drodze do pracy?

– Nie, oczywiście. Właśnie się dowiedzieliśmy, że nasz bezpośredni konkurent przyspieszył o tydzień debiut swojego nowego programu rozrywkowego.

– I startuje z nim jutro wieczorem – domyśliłam się.

– Zgadłaś.

– Ale przecież to absurd! Myślałam, że dostajemy czwartek wieczór, trochę na zasadzie zapchajdziury...

– Ja też tak myślałam.

– Kto to widział, wysyłać łupinkę orzecha do walki z wielkim lotniskowcem!

Moja marynarska metafora musiała się jej spodobać, skoro przyjacielsko poklepała mnie po ręce, rzadkim jak na nią gestem.

– No cóż, łupinka nauczy się pływać, nie mamy wyboru!

Wymieniłyśmy kilka zatroskanych spojrzeń w oparach pudru i perfum.

– A jak zareagował Luc?

– Tak jak ty, że zrobią z nas jatkę. Ale idź powiedz to admirałowi, który nie widzi świata poza swoim marynarzykiem...

Spuściłam oczy, później głowę. Albane miała w stu procentach rację. Uczucia Davida do mnie głęboko zakłócały jego percepcję. Nie zachowywał się jak szef, tylko jak zakochany mężczyzna, niecierpliwy, zaślepiony, ufny ponad miarę, głuchy na czarne prognozy czy choćby głosy rozsądku otoczenia.

Gdy tylko pokazałam się w jej drzwiach, Chloé wytrzeszczyła oczy, instynktownie czując powagę sytuacji.

– David jest u siebie?

– Tak... – Przez chwilę uległa panice, aby zaraz sprawdzić ekran komputera, a następnie zegarek. – Jeszcze przez dziesięć minut, potem wychodzi na spotkanie. Zapowiedzieć panią?

– Tak, proszę.

Mój przyszły małżonek przyjął mnie z otwartymi ramionami, jakbym wpadła z banalną, kurtuazyjną wizytą.

– Elle! Kochanie! Słyszałaś już wielką nowinę?

Nie przyszłoby mi do głowy, że gabinet tak ważnej osobistości może być do tego stopnia ascetyczny. Poza biurkiem, trzema fotelami i niedużą kanapą jedyną dekorację stanowiło brązowe popiersie ojca i poprzednika obecnego prezesa, André Barleta. Jego również widziałam dzisiaj po raz pierwszy.

Po krótkim uścisku David wskazał mi fotel na wprost siebie, tak jak kazałby spocząć każdemu innemu gościowi.

– To wspaniałe, co?

– Wspaniałe, tak – pokiwałam głową ze znużeniem. – Ale i zupełnie niemożliwe.

– Dlaczego? Z powodu tego barana Chrisa Haynesa?

– Nie, ja...

– Nie przejmuj się nim, kochanie. Mamy w rezerwie co najmniej dwadzieścia gotowych dekoracji. Wystarczy je zainstalować, wyregulować światła... i cała naprzód!

Wszystko wydawało się tak proste, wręcz osiągalne, gdy tylko zaczynał mówić z tym swoim zaraźliwym entuzjazmem.

– David... Zapominasz o jednym drobiazgu.

– Mianowicie?

– Nigdy nie występowałam w telewizji!

– Ależ tak! – roześmiał się beztrosko.

Z równym skutkiem można by przekonywać Doktora Strangelove'a, żeby nie odpalał bomby...

– Ależ nie!

– Zamartwiasz się byle czym. Masz najlepszą ekipę telewizyjną we Francji.

Włącznie z Fredem, moim byłym... Człowiekiem, który jeszcze kilka dni temu chciał cię najzwyczajniej obić.

– Super! I żeby mówić o czym?!

– Spokojna głowa! Wiem od Albane o waszych zapasach. Macie tyle już zmontowanych materiałów, że wystarczyłoby na trzy odcinki.

Włącznie z reportażem o *hotelles*! – zapłakałam bezgłośnie. Nie mogłam dłużej powstrzymać rozpaczy i przerażenia. Jeśli ktokolwiek był jeszcze w stanie przemówić mu do rozsądku w tym domu wariatów i tchórzy, to wyłącznie ja.

– David... Ty specjalnie udajesz, że nic nie rozumiesz, czy co?

– Że czego nie rozumiem?

Nagle spochmurniał.

– Że jestem beznadziejna! – wybuchłam z siłą wulkanu. – Beznadziejna, słyszysz? Położyłam wszystkie moje castingi, pamiętasz? I to nie tylko dlatego, że wszyscy twoi konkurenci to idioci albo dranie.

– Przeciwnie, to naprawdę banda durniów.

Poderwałam się z fotela.

– Nie możesz w najbardziej strategicznych godzinach z całej twojej ramówki wypuścić programu z debiutantką taką jak ja, i do

tego bez żadnego przygotowania! Przecież to szaleństwo! Nie jestem gotowa, David, koniec, kropka!

Twardy, zacięty wyraz jego twarzy uświadomił mi niszczycielskie efekty mojej eksplozji.

– Nie zrobię tego programu – dokończyłam nieco bardziej wyważonym tonem.

– Zrobisz – odparował natychmiast.

– Nie.

– Zrobisz... bo ja tak chcę... bo jesteś moją żoną...

Jeszcze nie, nie mogłam nie dopowiedzieć sobie w myślach.

– I dlatego, że jeśli wyjdziesz stąd, upierając się przy swoim, nie ma sensu, żebyś wracała tu jutro. Ani kiedykolwiek.

Był gotów zwolnić mnie, swoją narzeczoną, którą jeszcze przed chwilą wynosił pod niebiosa. Tak jak zrobił z Alice i Chrisem, ścinając im głowy gilotyną swojej woli. Nieodwołalnie.

– Zastanów się dobrze, Elle. Jeśli nie zrobisz jutro tego programu, będziesz nadal moją żoną, kobietą, którą kocham... Ale już nigdy nie będziesz tu pracować. Ten rozdział naszego życia zostanie raz na zawsze zamknięty.

25

– No dobrze, nawet jeśli mamy urodzić ten program przed czasem i w polu, to jeszcze nie powód, żeby odpuścić go sobie z góry, co?...

Im dłużej obcowałam z Albane, tym bardziej ceniłam jej niespożytą energię. Co więcej, pod płaszczykiem nonszalancji ukrywała się dzielność i żelazna wola tej młodej kobiety. Jej podejście do katastrofalnego terminu naszego debiutu – nazajutrz wieczorem – uświadomiło mi, skąd brała się ta postawa. W świecie zdominowanym przez mężczyzn kobieta nie ma do wyboru zbyt wielu strategii przetrwania – ściślej mówiąc, ma tylko dwie. Albo zbuduje sobie wizerunek olśniewającej, niedostępnej *femme fatale* jak Alice – do czego jednak potrzeba paru naturalnych atutów i akceptacji życia na dwunastocentymetrowym piedestale z puderniczką w ręku – albo, na wzór Albane, zdecyduje się stawić czoła mężczyznom na ich terenie – profesjonalizmu i szorstkiej bezpośredniości. Miałam całe popołudnie, aby podziwiać w mojej nowej znajomej wrodzony zmysł formuły, zaraźliwy humor czy wreszcie tę cudowną umiejętność zamieniania banalnej rzeczywistości w temat pasjonujący i ze wszech miar godny uwagi.

– Nie możemy zadowolić się zestawem reportaży przedstawianych jeden po drugim, tak jak dziecko nawleka koraliki na naszyjnik dla mamy. Musimy znaleźć motyw przewodni, nadający sens całości. Nawet jeśli to wszystko byle co, trzeba ubrać tę paplaninę w jakiś nośny tytuł.

– Masz coś na myśli?

– No... Bardzo ogólnikowe, ale biorąc pod uwagę czas, chyba nie wymyślimy nic lepszego: coś w rodzaju *Dziesięć przyjemności na lato*.

– Nieźle – przytaknęłam. – Można by nawet sprecyzować: *Dziesięć przyjemności na lato, pięć dla niego, pięć dla niej*.

– Niegłupie...

– *Pięć przyjemności dla obojga, w tym po jednej zakazanej* – dodałam, dumna z mojego natchnienia.

– Super! To nam pozwoli włączyć temat podrzucony przez Louisa. Nie za bardzo podobało mi się proponować okazjonalną prostytucję jako pomysł na wakacje. Ale teraz widzę, że świetnie pasuje do twojej koncepcji.

Oto co znaczy strzelić sobie w stopę z uśmiechem na ustach.

– Jesteś pewna? We mnie ten reportaż budzi bardzo mieszane uczucia...

– Dlaczego? – uśmiechnęła się ironicznie. – Drażni w tobie zawziętą feministkę?

– To też, choć nie tylko... Najbardziej boję się, że to zdominuje całość. Wiem, że Louis uważa zjawiska społeczne za część kultury. Gdybyśmy mogły jednak nie zaczynać od takiego śmietnika...

– Co do tego, zgoda. Ale jak dla mnie ten temat ma jedną wielką zaletę.

– Że jest już gotowy? – westchnęłam.

– Dokładnie. I powiem więcej: że został wyprodukowany z osobistych funduszy Louisa Barleta. A to od razu oznacza dziesięć procent mniej w budżecie pilotażowego odcinka.

– To takie ważne?

– Jeśli chcemy bronić naszego kotleta w razie porażki w oglądalności, tak, może wręcz najważniejsze.

– Rozumiem. Ale skąd wiadomo, że czeka nas porażka?

– Z mojego doświadczenia, Elle. Jeszcze żaden program nie odniósł sukcesu bez długich przygotowań ani promocji, to po prostu wykluczone. A zatem jeśli kaprys Louisa pozwoli nam wykazać, że chociaż nie zawojowałyśmy widzów, twój program kosztował taniej niż inne... to mówię „biorę”!

Nie znalazłam żadnego sensownego kontrargumentu na jej wywody. Będzie więc mowa o *hotelles*. Nie pozostało mi nic innego, jak przełknąć tę żabę i popić wielką szklanką wody, żeby lepiej przeszła. Na razie zadowoliłam się kilkoma łykami aromatycznej herbaty, zaparzonej przez Albane dla nas obu.

– Jeśli chcesz, przymierzymy się do niego zaraz – zasugerowała. – Będziesz mniej skrępowana na wizji, jeśli już sobie to przećwiczysz i nabierzesz dystansu. Rozumiesz, co mam na myśli: „Rzucam wam

coś takiego, ale tylko po to, żeby zdemaskować drani korzystających z tego rodzaju usług".

Nie widziałam w życiu zbyt wielu filmów X. Cztery, może pięć, wszystkie w okresie, gdy Fred uważał za wskazane, żebyśmy obejrzeli je razem, niby w ramach budzenia uśpionego libido. Moim jedynym wspomnieniem z tych seansów jest zupełnie bezzasadny, a mimo to niemożliwy do opanowania strach, jaki ograniał mnie za każdym razem przy początkowych napisach. I nie był to strach przed własnymi reakcjami ani przed niesmakiem na widok poniżającego w moim odczuciu spektaklu. Nie... Absurdalny lęk paraliżował mnie na myśl, że za chwilę zobaczę na ekranie siebie, tak jakby w filmie występował mój sobowtór. Ta idiotyczna perspektywa blokowała mnie całkowicie, ku zaskoczeniu Freda, niepojmującego, co się ze mną dzieje. Wewnętrznie, pod skórą lodowatą jak marmur, wszystko się we mnie gotowało. Moje łono stało w ogniu. A im bardziej któraś z aktorek była podobna do mnie, tym więcej gęstego, lepkiego ~~płynu~~ nektaru czułam między nogami.
(Odręczna notatka z 12.06.2009, mojego autorstwa)

Byłam jej wdzięczna za tę atencję. Nieco gruboskórna powłoka zdecydowanie ukrywała istotę obdarzoną znacznie większą dawką subtelności i empatii, niż mogłoby się wydawać.

– Nie, nie, jeśli mówisz, że to się nadaje, wierzę ci na słowo... – zdecydowałam z ciężkim sercem. – To ty jesteś fachowcem.

Przesądziwszy w ten sposób o własnej kapitulacji, spędziłam resztę dnia na przyglądaniu się, jak Albane szykuje mój program. Ale czego właściwie mogłam się spodziewać? Czy nie ja sama, kilka godzin wcześniej, powiedziałam Davidowi, że nie mam o tym wszystkim bladego pojęcia? I że bez takiej Albane w charakterze parawanu mój debiut na antenie byłby jedynie żałosną amatorszczyzną? Zdawałam sobie z tego sprawę aż nadto dobrze, obserwując jej profesjonalne odruchy.

Byłam tak pochłonięta tym wszystkim, tak zaabsorbowana działaniami mojej towarzyszki, że niemalże zapomniałam

o Barletach, ich kłamstwach i tych sidłach, jakie na mnie zastawiali, przemieszanych ze sobą tak nierozerwalnie, skrywających pod każdym węzłem jeszcze gęstszą i ściślejszą plątaninę.

A że wcześniej wyciszyłam komórkę, od dawna nie sprawdzałam nowych wiadomości. Dopiero korzystając z krótkiej przerwy, usłyszałam głos mamy, relacjonującej mi najświeższe wydarzenia. Dowiedziałam się, że właśnie dziś rano zjawiło się u niej trzech fachowców z zadaniem naprawy tysiąca uciążliwych drobiazgów – martwych gniazdek, obluzowanych płytek, zatkanych rur i tym podobnych usterek – z którymi od dawna sobie nie radziła, zarówno z powodu choroby, jak i braku środków.

Albane odszukała mnie w moim gabinecie nie sama, ale w towarzystwie młodej brunetki w okularach, obładowanej kilkoma wieszakami strojów w wiosenne desenie.

– Elle, przedstawiam ci Géraldine, specjalistkę od twojej garderoby na planie...

Wymieniłyśmy stosowne uprzejmości.

– Na przyszłość dopracujemy to lepiej – ciągnęła Albane. – Ale teraz, skoro jak rozumiem, mamy wprowadzić nastrój wiejskiej sielanki, oto co możemy ci zaproponować.

Konkretnie pięć sukienek w kwiatki, jedna krótsza i bardziej przezroczysta od drugiej. Odczekałam, aż kostiumerka zaprezentuje mi wszystkie na własnym biuście, po czym wskazałam model różowo-biały, zdecydowanie dziewczęcy.

– O, ta jest niezła.

– Sprzedane! – zaaprobowała Albane kategorycznym tonem. – No, gdyby na twój widok nie oszaleli wszyscy, od chłopców po emerytów... toby znaczyło, że nic nie rozumiem z męskich fantazji!

Ta uwaga, obliczona na rozluźnienie atmosfery, niestety tylko podkreśliła rzecz oczywistą, aż dotąd z całych sił wypieraną przeze mnie ze świadomości: że wkrótce wystawię się na tysiące anonimowych oczu, tysiące spojrzeń pełnych wyczekiwania, a jeszcze bardziej krytycyzmu, i że wszystkie one będą oceniać moją jakże niedoskonałą powłokę, a ja w żaden sposób im tego nie

zabronię. Co gorsza, to ja sama, z własnej i nieprzymuszonej woli, zaprezentuję się przed nimi i wydam na pastwę ich osądu. W zestawieniu z tym koszmarem nawet ekshibicjonizm, do jakiego Louis zmusił mnie w Charmes, wydał mi się nagle błahostką...

Kwestia sukienki kończyła naszą dzisiejszą wspólną pracę. Kostiumolożka wyszła, z namaszczeniem niosąc przed sobą wybrany egzemplarz.

– O której możesz przyjść jutro rano?

Jutro rano, sobota, początek weekendu... Stłumiłam westchnienie. Albane nie musiała mi o tym przypominać: odtąd już nie obejdzie się bez takich poświęceń.

– Wcześnie. Przed ósmą. Pewnie i David się tu wybiera, więc chociaż raz przyjedziemy razem.

Od razu pożałowałam tego zdania, aluzji do mojego szczególnego statusu w firmie. Na szczęście szeroki uśmiech, jakim Albane obdarzyła mnie na pożegnanie, wskazywał, że nie przywiązywała do tego większej wagi.

– Jeśli mogę ci coś poradzić – odwróciła się jeszcze z korytarza – niczego nie planuj na dzisiejszy wieczór. I co najważniejsze, połóż się wcześnie spać!

Zbierałam się do wyjścia z wieży Barlet, gdy w progu stanął Fred, wyraźnie onieśmielony wielkością mojego sanktuarium.

– Wejdź! – zachęciłam go.

Zamknął za sobą drzwi z miną konspiratora, zupełnie do niego niepodobną.

– Mam dla ciebie małe co nieco. A nawet dwa.

– Tak szybko?

– Tak. Nasz Louis jest jegomościem bardzo zajętym, stale uwieszonym na telefonie. Zastanawiam się zresztą, co on innego może tu robić, jak nie gadać po całych dniach...

– OK, do rzeczy, Fred – przerwałam mu dziwnie poirytowana.

– No więc przez dobrą chwilę dyskutował ze swoim bratem na planie twojego programu.

– Ach, tak? I mówili właśnie o tym?

– Nie, niezupełnie... Nie nagrałem wszystkiego od początku, ale jeśli dobrze zrozumiałem, Louis miał za złe Davidowi zwolnienie Alice.

Ot i niespodzianka! Dlaczego los tej ostatniej miałby interesować egoistycznego dandysa, jakim był Louis? Chyba że... „Moja ówczesna partnerka", mówił, nie wymieniając jej z imienia, w opowieści o śmierci Aurory. Od kiedy to Alice Simoncini pracowała dla Barletów? Czy to możliwe, żeby...?

– O, posłuchaj...

Fred nacisnął przycisk „start" kieszonkowego cyfrowego dyktafonu. Podniesione głosy braci wtargnęły z impetem w ciszę mojego gabinetu:

– Do diabła! Nie możesz wylać jej jak pierwszej lepszej! Może mam ci przypomnieć, ile sekretarek przeleciałeś w swoim biurze przez te ostatnie piętnaście lat?

– Zamknij się! I to natychmiast!

– Och, nic prostszego – pienił się Louis – wystarczy poprosić Chloé o wykaz godzin „Nie przeszkadzać" w twoim harmonogramie... Jesteś tak samo łatwy do rozszyfrowania jak drzwi w pokoju hotelowym, mój drogi...

– Różnica polega na tym, że ja jestem tutaj u siebie. Dymam, kogo chcę i kiedy chcę! W przeciwieństwie do Alice!

– Czy to dlatego, że i jej marzyło się być tu chociaż trochę u siebie? Dlatego się jej pozbywasz? To masz jej do zarzucenia? Że wieszała się na tobie za długo?

– To nie ma nic do rzeczy i dobrze o tym wiesz.

– Albo że zabawiła się z tym kretynem Chrisem Haynesem? Ty już jej nie chcesz, ale nie ścierpisz, że ktoś inny sięga po twoją starą zabawkę, o to chodzi?

– Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Louis! Mów tak dalej, a tydzień nie skończy się na tych dwóch zwolnieniach!

– Ależ proszę bardzo! Już, nie odmawiaj sobie tej przyjemności! Gdybyś wiedział, od jak dawna tylko na to czekam!".

Jakiś mechaniczny hałas zagłuszył w tym momencie ich głosy i nagranie nagle się urwało. Niewykluczone, że na planie pojawili się technicy albo ktoś inny.

Pod czujnym okiem Freda powstrzymałam się od komentarza, nie chcąc zdradzić, jakim ciosem były dla mnie te rewelacje.

– A drugie nagranie to co? – zapytałam tylko.

– Rozmowa z jego telefonu stacjonarnego. Ciężko mi było go namierzyć, ale koniec końców zupełnie nieźle słychać.

– Do kogo dzwonił?

– Jak się wydaje, do jakiejś Rebekki. Nie powiedział nazwiska.

Proszę, ta też wreszcie się odnalazła. Jej powrót na scenę, niezaskakujący mnie zbytnio, sprawił mi niewytłumaczalną przykrość.

– Dawaj – popędzałam Freda. – Na co czekasz?

– Elle... Nie jestem pewien, czy chcesz to usłyszeć.

Wydawał się autentycznie zakłopotany.

– Dlaczego?

– Bo mówią o tobie. I o Davidzie.

Co mogliby sobie powiedzieć na mój temat, czego bym jeszcze nie wiedziała?

– Puść mi to, mimo wszystko. Jestem opancerzona.

Znów uruchomił swój aparacik.

– Becca? To ja.

– Witaj, mój Lou. Jak się masz?

– Jako tako. Ale sytuacja tutaj jest coraz bardziej nie do wytrzymania.

– Wyobrażam sobie.

– O mało nie doszło do rękoczynów między mną a Davidem. Już nie pamiętam, kiedy tak się ścięliśmy ostatni raz... ale dzisiaj niewiele brakowało, żeby puściły wszelkie hamulce. Tak jak wtedy, gdy wyrywaliśmy sobie Aurorę.

– To już skończone, było, minęło.

– Tak... chociaż wydaje się, że nie. Niezupełnie.

– Nie możesz tracić zimnej krwi – perswadowała Rebecca. – Nie teraz. On musi nadal wierzyć, że pracujesz dla niego.

– Wiem, wiem...
– A poza tym wszystko posuwa się tak, jak chcesz?
– Tak. Posuwa się. Tak sądzę...
– Myślisz, że ona w końcu odmówi?

Ona, *elle*. Chodziło tu o zwykły zaimek osobowy, niemniej dosłyszałam w nim własne imię. Ciąg dalszy potwierdził, że słusznie.

– Nie mam pojęcia. Wiem od Armanda, że zgodziła się podpisać umowę małżeńską.
– Nie możesz upadać na duchu: dopóki nie powie tak, jest nadzieja.
– Tak, oczywiście – westchnął z nietypowym dla siebie znużeniem.
– Chcesz, żebym z nią porozmawiała?
– Hm... Może. Chociaż nie widzę, co by to miało zmienić.
– Masz do mnie zaufanie, tak czy nie?
– Tak... tak...
– Popatrz: kazałeś mi zlikwidować agencję i zrobiłam to!
– To prawda. Dziękuję.
– Zadzwonię do ciebie i powiem co i jak.
– OK. Ściskam cię.
– Trzymaj się, mój Lou. I pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Zawsze i wszędzie.

Informacje rozsadzały mi głowę. Musiałabym odsłuchać to nagranie kilka razy, żeby wszystko do mnie dotarło. Ta poufałość między nimi, ten sposób, w jaki mówiła do niego „mój Lou", a zwłaszcza druga część ich rozmowy... gdy zastanawiali się, jak odwieść mnie od małżeństwa z Davidem. Dlaczego? Nie umiałam odszukać brakującego ogniwa między tymi wynurzeniami a wielką erotyczną grą zainicjowaną dla mnie przez Louisa. Czyżby od samego początku chodziło w niej właśnie o to: żebym nie chciała wyjść za mąż za Davida? Ale w takim razie, skąd Louisowi przyszedłby do głowy ten czarny scenariusz, skoro znał mnie dopiero od kilku tygodni? I po co nawiązywałby ze mną kontakt za pośrednictwem swoich

perforowanych liścików, jeszcze zanim poznałam jego brata, którego miałam poślubić? Wszystko razem nie miało najmniejszego sensu, żadnej logiki...

Właśnie tonęłam w tych domysłach, gdy zadzwoniła moja komórka. „Numer zastrzeżony", wyczytałam na ekranie. Odprawiłam Freda wymuszonym uśmiechem.

– W porządku – mruknął. – Zostawiam cię samą.

Moje wołanie zatrzymało go już w drzwiach.

– Fred!

– Co?

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy – zrozumiał mnie źle.

– Chcę powiedzieć: za to wszystko...

Wzruszył tylko ramionami i bez słowa znikł w korytarzu. Ale trwało to dostatecznie długo, by mój tajemniczy rozmówca, nie doczekawszy się połączenia, zostawił mi wiadomość głosową:

„Elle, tu Rebecca. Rebecca Sibony. Wiem, że Sophia i ty próbowałyście się do mnie dodzwonić... Jestem wam winna kilka wyjaśnień. Może zwłaszcza tobie, w gruncie rzeczy. Jest taka mała libańska restauracja na rogu rue du Roi-de-Sicile i rue Ferdinand-Duval. Nazywa się L'escale du Liban. Będę tam o dwudziestej. Mam prośbę, żebyś przyszła sama. Do zobaczenia".

Zdążyłam zostawić Chloé wiadomość dla Davida, później wskoczyć w taksówkę zamówioną na koszt BTV i dotrzeć kilka minut przed czasem w okolice poznane ledwie kilka miesięcy temu za sprawą Sophii.

Aby nie wejść do restauracji za wcześnie, zajęłam się oglądaniem sąsiednich wystaw. Każdy butik zdawał mi się usytuowany tam celowo, specjalnie dla mnie. Każdy szyld nawiązywał do jakiegoś aspektu mnie samej albo do mojej aktualnej sytuacji: pod nazwą La Dame 2 cœurs mieścił się sklep z damską bielizną, nie powiem, dosyć śmiałą; Sens unique proponował perfumy na zamówienie; z kolei Dollhouse dokładnie na parterze kamienicy, w której jeszcze niedawno tak prężnie funkcjonowała nasza agencja, dzielił

ograniczoną przestrzeń między erotyczne ubiory a zabawki dla dorosłych.

Sophia opowiadała mi kiedyś, od czego zaczęła swoją imponującą kolekcję sex toys. Jedna z przyjaciółek z wydziału, Szwedka wyjątkowo swobodnych obyczajów, dała jej mały wibrator z różowego plastiku. Zwyczajny, ale skuteczny. Sophia, niezbyt biegła w angielskim, nie zrozumiała dokładnie słów Jenny. W najlepszej wierze myślała, że to prezent, a więc przedmiot nowy... podczas gdy w rzeczywistości był on tylko użyczony. Innymi słowy, zdążyła już kilka razy zaznać rozkoszy z pomocą tego małego gadżetu, pozornie tak niewinnego, gdy dotarło do niej, że przyjaciółka sama posługiwała się nim wcześniej. Odkrycie to, które mogłoby raz na zawsze obrzydzić jej wibratory, Jenny i seks jako taki, wręcz przeciwnie, podnieciło ją maksymalnie. I nigdy nie zwróciła zabawki właścicielce, która w końcu pogodziła się z tą stratą.
(Odręczna notatka z 12.06.2009, mojego autorstwa)

Ledwie stanęłam w progu libańskiego przybytku, Rebecca dała mi dyskretny znak z głębi sali. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam z naszych rzadkich spotkań: wypacykowana do granic możliwości, ekstrawagancko złotowłosa, chuda, że można się było przestraszyć, i wreszcie, aby dopełnić obrazu, skropiona Shalimarem w dawce wystarczającej do nasycenia zapachem całej ulicy.

Dziobała w paterze orientalnych łakoci, którą wskazała mi nieskończenie długimi pazurami:

– Chcesz spróbować ciastka migdałowego? Jest wyśmienite.

– Nie, dziękuję... Nie jestem głodna.

Nie była to prawda, ale nie przyszłam tutaj na przyjacielską kolacyjkę.

Ona też zaczęła serwować mi kłamstwa równie mdlące i niestrawne, jak zapewne ciastka na jej talerzu. Opowiadała o rzekomym policyjnym nalocie jednocześnie na kilka hoteli odwiedzanych przez dziewczyny z jej kartoteki. Pozbawione dachu nad głową, biedne *hotelles* nie mogły zaoferować klientom pełnej

gamy usług, co natychmiast odbiło się na rentowności agencji. Oto i powód, dla którego Rebecca była zmuszona na jakiś czas zamknąć swoje podwoje.

Aż do tego stopnia, żeby opróżnić lokal? Zlikwidować linię telefoniczną i stronę internetową? Nie odpowiadać na żaden telefon? Wszystko to razem nie trzymało się kupy. Nie mogłam jednak zdradzić się z niczym, co usłyszałam z jej ust dzięki pirackiemu nagraniu Freda.

– Od dawna zna pani Louisa Barleta, Rebecco?

Ukryła zaskoczenie ze zręcznością starej lisicy, przyzwyczajonej, żeby iść w zaparte. Pomimo to mogłam wyczuć, w jak wielkie osłupienie wprawiło ją moje niewinne pytanie.

– Tak, od dość dawna. Dlaczego cię to interesuje?

– Dlatego, że on i ja będziemy mieć teraz wiele okazji do spotkań.

Obdarzyła mnie szerokim uśmiechem, w którym wyczytałam próbę ponownego zapanowania nad przebiegiem tej rozmowy.

– To prawda! Dowiedziałam się o twoim bliskim ślubie z Davidem. Gratuluję ci z całego serca, moja droga. Będziesz figurować na czele listy najbardziej pretiżowych związków zawartych dzięki agencji.

– David Barlet nigdy nie był moim klientem.

– Ach, tak? – wycofała się, uciekając mi wzrokiem.

– Czy korzystał z usług innych dziewczyn?

Ponieważ nadal unikała mojego wzroku, podobnie jak odpowiedzi na moje pytanie, złapałam ją za obie ręce i z całej siły uwięziłam w swoich. Niewiele mnie obchodziło, czy David spał ze wszystkimi *hotelles* z jej katalogu. To nie jego przeszłość, dość oczywista w świetle podsłuchanej kłótni z Louisem, interesowała mnie w tym momencie.

Spiorunowała mnie lazurowymi tęczówkami, ale później złagodniała, stopniowo ulegając determinacji wyczuwalnej w moich gorących rękach. Jej oczy przybrały wreszcie wyraz rozczulenia, a jednocześnie czytałam w nich bezbrzeżny, ponadczasowy smutek.

– Poznałam Louisa, gdy miałam dwadzieścia jeden lat. On miał wtedy zaledwie piętnaście. Spotkaliśmy się na jednym z rajdów organizowanych dla niego i Davida przez ich matkę. Z ich pieniędzmi i tą idiotyczną rywalizacją między nimi bracia Barletowie nie

zjednywali sobie zbyt wielu przyjaciół. Hortense miała nadzieję, że zapraszając młodzież z dobrych domów, wybraną spośród dzieci ich biznesowych partnerów, nauczy synów obracania się w towarzystwie. Pomijając mnie, zupełnie niezwiązaną z tym środowiskiem, przedsięwzięcie okazało się raczej porażką.

– Byliście kochankami?

– Z Louisem? Tak, można tak powiedzieć. Miałby mi za złe, że ci to opowiadam, ale przez wiele lat byłam jego kołem ratunkowym. Wracał do mnie po każdym zawodzie miłosnym. Na czas leczenia złamanego serca... a potem znów odchodził do innej. Młodszej. Świeższej.

Rebecca, odwieczna kochanka, bezpieczny port wyrozumiałości i czułości na wzburzonych falach jego życia uczuciowego...

Ale w takim razie tamtego wieczoru w Dinard, na kolacji w Saint-Malo, później w samochodzie z powrotem do Roches brunes... to nie była Alice!

– Gdy zginęła Aurora... Byliście znowu razem, prawda?

– Tak. Byłam tam. Jak zawsze, gdy mnie potrzebował.

Zostało to powiedziane bez goryczy. Wręcz przeciwnie, usłyszałam w tym wyznaniu bezgraniczną miłość do człowieka, który teraz bawił się mną. Miłość zapewne nigdy nieodwzajemnioną.

– Ale nie udało mi się powstrzymać go przed tym straceńczym skokiem w morze – dodała z żalem.

– Mógł ją uratować.

– Nie. Tego dnia czy kiedy indziej, w końcu dopięłaby swego. Podobnie zresztą jak David.

Musiała doskonale wiedzieć, że ta sugestia skłoni mnie tylko do pogłębienia śledztwa.

– David? Chce pani powiedzieć, że życzył jej śmierci?

– Niezupełnie. Ale faktem jest, że Aurora pogrążona w chorobie straciła dla niego rację bytu. Nie była już niczym innym jak uszkodzonym kamykiem w jego koronie.

Właśnie portretowała mi go tak samo jak Louis u bram Tuileries, jako monarchę rozpatrującego relacje z innymi ludźmi wyłącznie pod kątem prestiżu i ambicji. Człowieka na tyle cynicznego, żeby chciał

pozbyć się kobiety, która rzucała cień na jego własny wizerunek i jego zawodową przyszłość, zapowiadającą się tak świetnie.

– Myśli pani, że pozwolił jej zginąć, nic nie robiąc?

– Nic nie robiąc... a nawet pomagając jej w tym na swój sposób.

Przypomniałam sobie, jak Louis opisywał mi ich pożycie: garsoniera nad apartamentem przy avenue George Mandel. Niezliczone kochanki. Ukryte schody. Idealny Don Juan, pozbawiony skrupułów konsument kobiet.

Oczernić Davida w moich oczach: czy nie nad tym właśnie pracowała teraz Rebecca, z przyzwoleniem i na prośbę Louisa? Miałam ochotę wypluć jej moją pogardę prosto w twarz. Że David był tyranem, egoistą, manipulatorem posługującym się ludźmi jak pionkami, to nie ulegało wątpliwości. Jego porywcze decyzje, włącznie z ostatnim despotycznym zagraniem wobec mnie, zaledwie kilka godzin temu... Ale czy to wszystko naprawdę robiło z niego potwora, bez mała mordercę, jak chciała mi wmówić ta para wspólników?

Próbowałam odgadnąć istotę skretnego kontraktu wiążącego ich dwoje. Może w największym stopniu zjednoczyła ich gorycz życiowej porażki?

– Jak Louis dochodził do siebie po tym wypadku? To znaczy, pomijając jego kolano?

– Źle. Czuł się winny, że nic nie mógł zrobić tego dnia. Ale jeszcze bardziej, że nie interweniował wcześniej. Kiedy jeszcze był czas wydrzeć Aurorę z rąk Davida.

– Co go przed tym powstrzymało?

– Gra – rzuciła za całą odpowiedź.

Nie byłam pewna, czy dobrze rozumiem słowo, we właściwym kontekście.

– Gra?

– Permanentny pojedynek między nimi. Louis jest może pierworodnym... Ale w tamtym okresie było już jasne, że to David wygrał partię. Definitywnie.

– Z tym, co o nim wiedział, mógł przecież wszystko podważyć – weszłam w rolę adwokata diabła. – Zaszantażować go!

– Było już za późno. André, ich ojciec, zdążył wyznaczyć swego następcę. Louis nic więcej nie mógł zrobić...

Przez następne długie minuty opowiadała mi, jak Louis schronił się później w wyimaginowanym świecie, stworzonym z zamiłowania do literatury i sztuki, z namiętności równie romantycznych, co ulotnych i z mniej lub bardziej szalonych erotycznych gier. Pomimo to usprawiedliwiała go na wszelkie sposoby: w jej ocenie Louis był pierwszą, a wręcz jedyną prawdziwą ofiarą śmierci Aurory. Rebecca nie szczędziła sił, by wyszedł w jej portrecie jako człowiek uczuciowy, wrażliwy, dotknięty do żywego, zdruzgotany szaleństwem ojca i bezwzględnością brata nie mniej niż jego kolano o skały w Dinard. Ale ja nie mogłam wyprzeć ze świadomości obrazu manipulatora, który chciał zniszczyć w zarodku moje szczęście. I to on, mój pan i mistrz?!

Im dłużej ciągnęła swoją śpiewkę, tym bliższa byłam wybuchu.

– Pytasz mnie, jak dochodził do siebie? Oto odpowiedź: stwarzając sobie iluzję, że kontroluje każdy aspekt swego życia. Wymyślając coraz dziwaczniejsze scenariusze... Z pewnością trudno ci będzie w to uwierzyć, ale kiedyś nie miał w sobie nic z pretensjonalnego dandysa, udzielającego całemu światu lekcji życia i elegancji.

Był piękny jak antyczna rzeźba. I magnetyczny jak drapieżne zwierzę. I...

To wszystko już wiedziałam. Odprawiona stara kochanka nie musiała mi o tym przypominać. Kto jak kto, ale ja aż za dobrze poznałam wrażenie, jakie Louis wywierał na kobietach.

– Był takim cudownym chłopcem... samą dobrocią i szczodrością.

Ta ostatnia litania, wypowiedziana w tonacji zwierzeń, jakie czynią sobie przyjaciółki od serca, przelała czarę mojego wzburzenia.

– Niech pani skończy tę komedię! Jeśli jest taki wrażliwy i dobry, jak pani mówi...

Byłam u kresu. Osiągnęłam ten krytyczny punkt, w którym nie miałam już innego wyboru, jak tylko się odsłonić. Zdjąć z siebie wszelkie maski, oblekające mnie w kolejnych pokojach Charmes. Nawet Sophia nie poznała ich aż tylu.

Niepodobna do fal w zatoce Saint-Malo, rozbijających się o brzeg z głuchym hukiem, moja wściekłość wypływała długim strumieniem,

wartkim i szerokim, niepowstrzymanym żadną tamą.

– ...to dlaczego prowadzi ze mną tę grę? Dlaczego stara się zniszczyć moje małżeństwo, Rebecco? Czym dla niego jestem? Pionkiem na starej szachownicy? Jego zemstą na Davidzie? Epilogiem ich wojny sprzed dwudziestu lat?

– Niczym takim...

– Nie widzi, że mógłby zlikwidować dwadzieścia dziewczyn takich jak ja i nawet nie drasnąłby swojego brata? Może potraktować mnie jak mięso armatnie, może mnie przelecieć albo rzucić na pastwę innym, we wszystkich pokojach hotelowych na świecie, jeśli będzie miał taką fantazję... I tak nigdy nie pokona Davida. Nigdy!

Potrząsała swą końską głową na prawo i lewo. Na próżno, byłam pewna swego; jej milczące przeczenia miały w sobie coś ze szczerości.

– Nic nie zrozumiałaś. Nic a nic – stwierdziła to ze zdziwieniem, jakby nie dowierzając sobie samej.

– Czego nie zrozumiałam?

Nadal kręciła głową, automatycznie, niestrudzenie.

To, co początkowo nadwątliło moją pewność siebie, ostatecznie tylko podsyciło we mnie wściekłość. Do tego stopnia, że na oczach przerażonych kelnerów, przynaglana pilną, organiczną potrzebą wyrzucenia z siebie wszystkiego, wyczerpana ciągłą presją ich tajemnic, krzyknęłam ile sił w płucach:

– CZEGO NIE ZROZUMIAŁAM???

W pułapce ich kłamstw każda kolejna rewelacja zamykała mnie wewnątrz coraz mniejszej matrioszki. Czułam, że lada chwila uduszę się w ich domu lalek. Że będę wkrótce rozgniecioną przez nich zabawką. Zniszczoną zabawką. Martwą jak Aurora.

– On nie robi tego wszystkiego przeciwko Davidowi.

– Więc przeciwko komu?

Uśmiech nagle wypięknił jej usta, które aż do teraz wydawały mi się zawsze za cienkie i za suche.

– Przeciwko nikomu. On to robi dla ciebie.

Jeszcze jeden uśmiech, życzliwy, jak prezent specjalnie dla mnie.

Z niewzruszoną pewnością w oczach powtórzyła:

– Po prostu dla ciebie.

26

Po prostu dla mnie.

Potrzebowałam kilku minut, aby w pełni zrozumieć sens tej rewelacji, poczuć, jak rozlewa się we mnie powolną falą niedowierzania i radości. W obliczu mojego milczenia Rebecca pospieszyła z zapewnieniami, że bez żalu i z dobrej woli odstępuje mi Louisa. Że już dawno nauczyła się akceptować szczęście swojej jedynej miłości zależne od innych kobiet. W tym samym uniesieniu – chociaż nadal chwytałam tylko co drugie słowo z jej wywodów, albo i mniej – zaczęła opowiadać mi o wszystkim, co jeszcze łączyło ją z Louisem. Począwszy od miejsca zamieszkania. Odkąd Louis wprowadził się do pięciopokojowego apartamentu przy avenue George Mandel, Rebecca zajęła dwa pokoje piętro wyżej. Dawną garsonierę Davida. Jak już wiedziałam od Louisa, wewnętrzne przejście między mieszkaniami zostało zlikwidowane, tak że odtąd żadne z nich nie mogło zjawić się u drugiego znienacka i bez pozwolenia. Byli tak bliscy, a mimo to niezależni. Czasami nie widzieli się całymi dniami, jednak świadomość, że dzieli ich tylko kilka schodków, musiała być krzepiąca dla obojga.

– Ale to wszystko wkrótce się skończy... – westchnęła smutno.

– Dlaczego?

Moje pytanie wyraźnie ją zdziwiło.

– Nic ci nie powiedzieli?

Otworzyłam usta, teraz ja byłam zaskoczona.

– O czym?

– No jak to... O remoncie!

Odgłosy młotków i wiertarek słyszalne w naszym ogrodzie. Szofer Richard w kombinezonie budowlańca. Przebłyski, które dopiero teraz układały mi się w całość.

– Po wprowadzeniu się na rue de la Tour-des-Dames André i Hortense kupili również sąsiednią posesję.

– Rezydencję Mademoiselle Mars... – mruknęłam do siebie.

– Tak. Odrestaurowali pierwszą, większą z dwóch, i odtąd tam mieszkali z chłopcami. Z kolei dom Mademoiselle Mars bardzo długo

pozostawał w niezmienionym stanie, czyli urządzony tak, jak przez ostatniego właściciela w latach 40.

Przypomniałam sobie emaliowaną tabliczkę nad głównym wejściem: „Młodzieżowe biuro podróży".

– Nikt nie zajął się nim aż do śmierci André i Hortense – ciągnęła Rebecca. – Zgodnie z testamentem rodziców David miał odziedziczyć rezydencję Duchesnois, a Louis drugą.

Oszołomiona tą wieścią, znów podniosłam głos.

– Louis... Louis jest naszym sąsiadem?

Jak mogli ukrywać to przede mną? I David, i zwłaszcza Armand, który tyle razy żalił się mi na niedogodności związane z pracami po sąsiedzku... Dlaczego nikt nie uznał za stosowne dopuścić mnie do tej tajemnicy?

– Jeszcze niezupełnie. Dziesięć lat temu powziął zamiar zupełnie szalony: żeby odtworzyć pałacyk w pierwotnym kształcie z XIX wieku. Aż do najmniejszego fresku czy klamki w drzwiach. To, co miałam okazję zobaczyć, wygląda naprawdę imponująco. Ale finansowo to przepaść bez dna. Utopił w niej cały swój spadek.

To rozwiązywało przynajmniej jedną z tysiąca otaczających mnie zagadek: Richard nie przypadkiem znalazł się w roboczym stroju za niebieskimi drzwiami pod numerem 1 naszej rue de la Tour-des-Dames tego dnia, kiedy poszłam tam po Félicité. Szofer Louisa brał czynny udział w projekcie swojego pracodawcy.

Po długim i serdecznym uścisku, którym obdarzyła mnie nieco z zaskoczenia, Rebecca zaproponowała mi odwiezienie do domu swoim eleganckim kremowym mini. Nie mogłam już patrzeć obojętnym okiem na budynek sąsiadujący od lewej strony z rezydencją Duchesnois. Fakt, że wkrótce zamieszka tam Louis, oznaczał kolejne fale moich wątpliwości, postanowień i pragnień – ale nadal nie umiałam przewidzieć ostatecznego wyniku tej partii.

– Uważaj na siebie – szepnęła mi na pożegnanie, gdy wysiadałam z samochodu.

Davida oczywiście nie było w domu, więc skorzystałam z okazji, żeby zafundować sobie długą gorącą kąpiel. Próbowałam ze wszystkich sił wyprzeć z pamięci słowa Rebekki, ale krążyły wokół mnie uparcie. I niestety nie znikły, gdy w końcu po godzinie opróżniłam wannę. Kleiły mi się do skóry, przylegały ściślej niż szlafrok czy jakiekolwiek ubranie: „On to robi dla ciebie. Po prostu dla ciebie".

Po zejściu na parter, gdzie z kuchni doleciały mnie odgłosy krzątaniny Armanda, znalazłam na konsoli świeży egzemplarz umowy małżeńskiej oraz nową przesyłkę w srebrzystym papierze. Czy to szofer Richard był jego posłańcem?

Natychmiast rozdarłam papier i otworzyłam pudełko z niecierpliwością dziecka w wigilię Bożego Narodzenia. Poza oczekiwaną magnetyczną kartą i kawałkiem brystolu zawierało ono wspaniały wachlarz zrobiony z czarnej koronki na lakierowanym hebanowym trzonku, którego zakończenie, nietypowo wybrzuszone, zwisało niczym fallus. Całości dopełniała odręcznie napisana karteczka podobna do poprzednich:

Godzina 22.00.
Jak zwykle,
do ciebie należy odnaleźć
nasz pokój.
Weź ze sobą wszystko.

Zaskakujące było dla mnie tylko to ostatnie polecenie. Wszystkie akcesoria, jakie dotychczas mi ofiarował? Wróciwszy do sypialni, zrobiłam ich szybki przegląd i wrzuciłam całą kolekcję do torebki.

Czy i tym razem czekała mnie zabawa gadżetami, jak sugerowało jego nowe „przykazanie"?

6. Nad rozkoszą swą panować będziesz.

Czyżby znów zamierzał odsunąć w czasie nasze prawdziwe zbliżenie, ryzykując, że doprowadzi mnie do szaleństwa?

Wychodząc z domu, rzuciłam okiem na wielką klepsydrę, w której trzy czwarte piasku zdążyło już zmienić zbiornik. A ja, w jakim stanie byłam w tej chwili? Czy koniecznie musiałam wybrać jednego z nich?

Z braku odpowiedzi pozostawiłam decyzję ciału: niechby stopy same znalazły właściwą drogę, brzuch podążył tam, gdzie doczekałby się pieszczot, łono rzuciło się na wszystko, co zechciałoby je drażnić, lizać, ssać albo rozciąć na pół jak dojrzały owoc, czego tak pragnęło.

Nie kierowałam już niczym. Nie byłam niczym innym jak sumą moich organów głodnych wrażeń. Erogennymi puzzlami, które marzyły tylko o tym, żeby znów złożyć się w całość, i jęczały z rozkoszy przy każdym kolejnym elemencie odnajdującym swe właściwe miejsce.

Rue Pigalle była radosna tego wieczoru. Wesoły nastrój – głośne rozmowy, śmiechy, wino lejące się strumieniami przy kawiarnianych stolikach obleganych przez młodzież – przepajał już powietrze aromatem lata. Powinnam była być jak oni, być wśród nich, sączyć monaco z Sophią, flirtować bez zobowiązań z chłopcami w moim wieku, beztrosko cieszyć się życiem...

Byłam tymczasem dokładnym zaprzeczeniem młodzieńczej beztroski, pociągana ku jedynemu celowi, zasysana jedyną siłą, niekonsekwentna, a mimo to trzeźwa i świadoma. Tak skupiona, że bez trudu rozszyfrowałam zagadkę dnia. Monsieur Jacques nie musiał tłumaczyć mi niczego. Ten wachlarz przemawiał do mnie bardziej niż inne skarby z mojej torebki. Mógł należeć tylko do jednej kurtyzany upamiętnionej w Charmes: do Caroline Otero, znanej jako La Belle Otero, Piękna Otero. Tancerki z Folies Bergère w początkach XX wieku, mrocznej piękności znanej z lekkich obyczajów i niewymownego wdzięku, z piersi o posągowych kształtach, z niezliczonych kochanków, ale i kilku relacji lesbijskich, między innymi z pisarką Colette.

Pomyłka nie wchodziła w grę. Znałam już zresztą pokój Pięknej Otero z czasów, gdy byłam jeszcze jedną z *hotelles*.

Tak jak poprzednio minęłam konsjerża bez słowa powitania i podeszłam prosto do Ysiama, na posterunku przed windami.

– Ślicznie pani dzisiaj wygląda... To znaczy, jeszcze ładniej niż zwykle – poprawił się natychmiast z uroczą niezręcznością.

– Dziękuję, Ysiam. Zaprowadzi mnie pan do Pięknej Otero?

W kilka chwil później zaanonsował mi konfidencjonalnym tonem:

– Pierwsze piętro. Zechce pani pójść za mną?

Wzruszało mnie, że nadal przestrzegał naszego ceremoniału, mimo tylekroć powtarzanych sytuacji i gestów. Za każdym razem to samo: korytarz, złocone drzwi otwierane przede mną i zaraz ryglowane od zewnątrz...

Pokój wyglądał tak, jak go zapamiętałam, udekorowany w stylu burdelu z szalonego przełomu wieków, cały w obiciach z czerwonego aksamitu i rokokowych lustrach w kunsztownych ramach. Oryginalne plakaty z Folies Bergères na ścianach przypominały mionioną sławę tej, która dała pomieszczeniu swoje nazwisko i duszę. Od pierwszego rzutu oka zrozumiałam, że ten seans będzie pod każdym względem inny niż poprzednie. Począwszy od żywego, niemal jaskrawego światła licznych żyrandoli, kontrastującego z półmrokiem, do którego już zdążyłam się przyzwyczaić przez ostatnie wieczory.

Kolejną zmianą była po raz pierwszy obecność innej osoby w pokoju, jeszcze zanim ja tam weszłam. Celowo pomijam poprzednią schadzkę, skoro Louis – lub ktoś podający się za niego – krył się w cieniu w chwili mojego wejścia, a ujawnił się dopiero później. I wreszcie ostatnia, ale bynajmniej nie najmniejsza z niespodzianek polegała na tym, że nie był to mężczyzna, tylko kobieta.

Nie miałam co tego żadnych wątpliwości, gdyż oprócz zamaskowanej twarzy każda inna partia jej ciała – piersi, talia, biodra, pośladki, strzeliste nogi podtrzymujące całość – emanowała kobiecością, i to w najdoskonalszym, najbardziej ponętnym wydaniu. Była po prostu zjawiskowa. Bursztynowy odcień jej skóry, pod którą czuło się długie, prężne mięśnie, opromieniał całą sylwetkę blaskiem wzmocnionym przez rzęsiste oświetlenie. Dziewczyna stała nieruchomo, ale wszystko w jej postaci: nonszalanckie przechylenie bioder, smukła ręka na wcięciu talii, zdradzało giętkość i gracje

tancerki, na podobieństwo Pięknej Otero. I tak jak pierwowzór, miała najpiękniejsze piersi, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się podziwiać, idealnie krągłe, jędrne, sterczące dumnie i wysoko.

Ale dopiero gdy ruszyła w moją stronę z kocim wdziękiem top modelki, ostatecznie ją rozpoznałam. To była Liana, jak ją nazwałam, olśniewająca Metyska uwieszona na ramieniu Louisa w dniu naszego pierwszego spotkania, a później znów widziana przeze mnie w tym hotelu w towarzystwie mojego dawnego klienta. To ona przy każdej z tych dwóch okazji patrzyła na mnie z tak miażdżącą pogardą, jak bogini na biednych, zwykłych śmiertelników, jakże dalekich od jej doskonałości.

– Nie mam najmniejszej ochoty na... – zaczęłam buńczucznie.

Położyła mi na ustach palec wskazujący, równie wąski i lekki jak trzcinka, żeby nakazać mi milczenie. Jej własne usta ułożyły się w nieme „pst".

Kierowała moimi gestami w sposób naturalnie stanowczy, ale nie obcesowy. Ze zdziwieniem odkrywałam w niej delikatność, niemal czułość. Była niewątpliwie wynajęta, ale jak wszystkie ekskluzywne *call girls* umiała nadać swojej grze pozory uczucia. Dobra aktorka, w jeszcze większym stopniu niż prostytutka.

W momencie, gdy wokół nas zabrzmiały dźwięki nieznanego mi utworu na fortepian – czyżby znów Chopin? – zaczęła rozbierać mnie powoli, ze starannością garderobianej, która nie chce niczego pomiąć. Zdejmowanie kolejnych części ubrania było dla niej okazją do nowego muskania ręką mojej skóry, drżącej coraz silniej przy każdym takim kontakcie.

Obnażywszy mnie w całości, bez pytania sięgnęła po moją torebkę pełną skarbów i wyjęła z niej wachlarz.

Najpierw uniosła go przede mną uroczystym gestem, jakby zależało jej na mojej aprobacie. Następnie, widząc, że stoję bez ruchu, zaczęła pocierać trzonkiem o swój srom, który dopiero teraz ukazał się mi wyraźnie w rozciętych z przodu majtkach. Przynajmniej tego nie symulowała: wachlarz znów podniesiony na wysokość mojego wzroku lśnił od jej ekscytacji.

– Poliż go – rozkazała mi głębokim, pieszczotliwym głosem.

Zastosowałam się do polecenia, początkowo nieśmiało, później coraz gorliwiej, pochłaniając ustami wypukłość z czarnej laki, jakby chodziło o najdorodniejszy męski członek. Zachęcająco położyła mi ręce na barkach, długie, cudownie jedwabiste, giętkie i lekkie niczym liście na tafli wody. W rozpaczliwie wolnym, stopniowo przyspieszanym tempie pieściła moje ramiona, dekolt, piersi i wreszcie brzuch. Jeszcze niżej jej ręce bawiły się przez chwilę moim wzgórkiem, przesuwając po nim otwartą dłonią, a jeden lub dwa palce niby przypadkiem zabłądziły na obrzeża szpary.

Już pewna mojego posłuszeństwa, stała się bardziej przedsiębiorcza. Uklękła przede mną, mocno objęła mnie w pasie jedną ręką, a drugą wsunęła mi do pochwy trzonek wachlarza. Mimo woli zachwiałam się na nogach, ale skojarzony ucisk jej ręki i przedmiotu wprowadzanego coraz dalej w głąb mnie pomógł mi utrzymać równowagę. Nabijała mnie na wachlarz jak na pal, a ja poddawałam się torturze z rozkoszą, westchnienie po westchnieniu.

Wachlarz nie był większy od penisa, za to źródłem zupełnie nowych doznań była jego niezwykła sztywność, władcze rozpychanie się wewnątrz mojej pochwy. Nie czułam się jednak rozdarta ani obolała – miałam wrażenie wypełnienia, zagarnięcia, poddania się niesamowitej dominacji. A fakt, że tyle szczęścia może dać martwy i banalny przedmiot, do tego manipulowany przez najpiękniejszą ze znanych mi kobiet, tylko potęgował moją ekstazę i zmieszanie. Na ugiętych kolanach osuwałam się coraz niżej wzdłuż tej wbitej we mnie osi, zafascynowana, jak głęboko będę zdolna ją wchłonąć.

– A teraz chodź.

Nie usuwając wachlarza, podprowadziła mnie do łóżka zasłanego jedynie białym prześcieradłem i ułożyła na nim pieczołowicie jak rzadki kwiat, tak aby żaden nieostrożny ruch nie przeniósł się na drugi koniec trzonka i nie uraził mojego wnętrza.

Czułam, że godząc się na tę pozycję, jeszcze bardziej oddaję się w jej ręce. Ale poza tym nie byłam w stanie kalkulować, rozumować czy w jakikolwiek sposób walczyć z ogarniającym mnie słodkim szaleństwem. Tak słodkim...

Palce Sophii masturbującej się na pokaz w kabinie przy Pigalle. Przeżywany z krzykiem orgazm dziewczyny w czarnym świetle.

Wyjątkowej piękności biust nieznajomej w metrze kilka dni temu. Te i inne migawki wirowały mi przed oczami, zawsze z kobietami w roli głównej, wywołując efekty, którym już nie mogłam zaprzeczyć. Nigdy nie dotknęłam żadnej z tych kobiet, a oto wszystkie zlewały się w jedno, żeby obdarzyć mnie ekstazą. To ja ich pragnęłam, ale to one mnie posiadały, delikatnymi rękami Liany.

– Szybciej... – dosłyszałam błagalny, gardłowy głos, w którym z trudem rozpoznałam mój własny. – Rób tak szybciej!

Penetrowała mnie wachlarzem regularnie i energicznie, z siłą, jakiej nikt by się nie spodziewał po jej smukłej, wiotkiej postaci. Przez wpółprzymknięte powieki mogłam wyczytać podniecenie w jej zmrużonych oczach, przygryzionych wargach i skupieniu całej uwagi na mojej szparze, rozsadzanej, przeczesywanej tam i z powrotem, a do tego oszalałej z zachwytu. Widać było, że nie spocznie, dopóki nie wydobędzie z niej oczekiwanego orgazmu – działając na zlecenie, ale też dla własnej satysfakcji.

A orgazm zaanonsował się gdzieś w głębi mnie, jak lawina uruchomiona tuż pod pępkiem, która schodząc w dół, nabiera masy, przyspiesza i miażdży wszystko po drodze. Na pograniczu macicy kula rozrosła się jeszcze bardziej, znieruchomiała na ułamek sekundy, aby wreszcie runąć w rozciągnięty, mokry korytarz pochwy i milimetr po milimetrze oddzierać z niej strzępy rozkoszy. W pokoju rozległ się mój krzyk, ale miałam nieodparte wrażenie, że krzyczę bardziej dołem niż ustami – zresztą chwilowo nie byłam w stanie odróżnić obu otworów, ani dzikiej radości, jaką każde z nich czerpało z tej ekspresji.

– Dobrze... – pochwaliła mnie Liana tonem instruktorki. – No widzisz, jaki masz ładny orgazm z pochwy.

I faktycznie, przeżywałam tak intensywną rozkosz, że gdy jednym ruchem wyciągnęła ze mnie wachlarz, o mało nie krzyknęłam z bólu. Miałam wrażenie, że brutalnie wyrywa mi całe podbrzusze.

Louis przydzielił sobie rolę rewelatora. Odkrywał przede mną coraz to nowe, niezbadane aspekty mojej seksualności, wstrząsające dla mnie samej, tak jak ten nienasycony głód. Nijak nie zaspokojona, w napięciu czekałam na ciąg dalszy, na to, co rezerwował dla mnie za kulisami. Jak dziecko złaknione deseru po obiedzie i pewne, że go

dostanie. Miałam zaufanie i do niego, i do moich zdolności przyjęcia jego daru. Odkąd pozbyłam się lęku i wreszcie obudziłam zmysły, każde nowe doświadczenie odkrywało we mnie kolejne twarze, kolejne kobiety, dotąd trzymane pod kluczem mojego wychowania, moich zasad, a przede wszystkim mojej ignorancji. I oto teraz wszystkie te kobiety wreszcie wychodziły na wolność. Wreszcie zabierały głos, jedna po drugiej, śmiało wyrażając swoje szczególne pragnienia i fantazje. W tym momencie doświadczałam rozkoszy nie tylko jak Piękna Otero, ale również jak Maria Bonaparte, jak Józefina czy Lola.

Pogrążona w błogostanie, nie zdążyłam jeszcze otworzyć oczu, gdy doszedł mnie trzask zamykanych drzwi. Liana wyszła z pokoju bez pożegnania. Nie było już nikogo oprócz mnie, mojego ciała zdruzgotanego rozkoszą, porzuconego na miękkim łożu i szalonych taktów fortepianu – mazurka czy poloneza? – aby oszałamiać mnie dodatkowo i napełniać tym większym drżeniem.

Wydawało mi się nie do pomyślenia, że zostawiono mnie w ten sposób, nie do końca usatysfakcjonowaną, samą jedną, żeby zapewnić mojemu ciału to, czego nadal się domagało. Ale nic nie mogło mnie nasycić poza nim. Chciałam Louisa. Chciałam go dla siebie, po prostu dla siebie, teraz, choćbym miała być dla niego tylko epizodem, jeszcze jedną *hotelle* w jego kolekcji. Gdyby tylko posiadł mnie raz, niechby jeden jedyny raz, być może mogłabym z tym skończyć, zostawić za sobą jego upajający zapach, jego magnetyczne spojrzenie, ten dołeczek u podstawy prawego policzka... A nade wszystko pozbyć się tej pewności, z pewnością złudnej, że oddanie się właśnie jemu zjednoczyłoby we mnie wszystkie rozproszone kobiety i pozwoliło osiągnąć rozkosz doskonałą, skondensowaną, uniwersalną. I wtedy nie musiałabym już żyć fantazjami. On nie byłby kochankiem jak inni, jednym z wielu.

Tak, gdyby tylko wszedł we mnie jeden raz swoim penisem, który wyobrażałam sobie jako równie długi i sztywny jak trzonek wachlarza, wprost stworzony do tego, żeby mnie zaspokoić...

Pewnego razu, jeszcze jako nastolatka i dziewica, poczułam tak nieodpartą ciekawość, jakich wrażeń dostarcza penetracja, że postanowiłam sprawdzić to za pomocą własnoręcznie spreparowanego seksgadżetu. Zaopatrzywszy się w jedną jedyną prezerwatywę w dystrybutorze przy aptece na sąsiedniej ulicy – odczekałam, aż zapadnie wieczór, żeby nikt znajomy nie zauważył mnie w trakcie tego zakupu – naciągnęłam ją, nie bez trudu, na podebrany z kuchni banan niedużego kalibru, jeszcze zielony i twardy. Udało mi się niestety wsunąć go w siebie bardzo płytko, za płytko jak na defloarację. Nacisk prowizorycznego dilda na napiętą jak bębenek błonę dziewiczą sprawił, że zlękłam się kontynuowania eksperymentu. Zdyszana, spanikowana na myśl, że zrobię jakieś głupstwo nie do ukrycia przed mamą, a przede wszystkim podniecona jak nigdy, zrezygnowałam z dalszej penetracji i zadowoliłam się masturbacją łechtaczki, powiększonej, sterczącej i bardziej spragnionej pieszczot niż kiedykolwiek.
(Odręczna notatka z 13.06.2009, mojego autorstwa)

Ale im dłużej kazał mi tęsknić, im dalej odsuwał ten moment, samowolnie rozciągając nasze pragnienia, szarpiąc moje nerwy, na zmianę znikając i ukazując się przelotnie, tym bardziej opętywał mnie sobą. Louis był moim panem, bo umiał sprawić, żebym pragnęła go bardziej niż kogokolwiek na świecie, umiał zdobywać mnie małymi kroczkami, równie subtelnymi i przemyślnymi jak jego liściki, zarzucane na mnie niczym słodki, niewidzialny welon.

Mogłam była go wołać, krzyczeć jego imię, walić w drzwi pokoju i postawić na nogi cały hotel. Wiedziałam jednak z góry, że wszelkie te próby spełzłby na niczym. Że godzina naszego zbliżenia nadejdzie wtedy, gdy on ją wybierze. Czy już to zrobił? Czy gdzieś zapisał ją w swoim czarnym notesie albo na perforowanej kartce karnecika?

W miarę upływu minut nie miałam już wątpliwości, że nikt do mnie nie dołączy. I że sama muszę wypełnić czas do odblokowania drzwi, które tym razem dziwnie długo nie chciało nastąpić. Z braku lepszego zajęcia rozglądałam się po pokoju, percepując coraz to nowe szczegóły jego wystroju: stojącą lampę z abażurem w kształcie

piramidy, orzechowy sekretarzyk na nóżkach tak cienkich, że aż niewiarygodnych jako wsparcie, wazon z matowego szkła, wypełniony rozłożystym bukietem białych lilii...

Przesuwając rękę po skotłowanym prześcieradle wokół mnie, natrafiłam na wachlarz. Zdziwiło mnie w pierwszej chwili, że nie został skonfiskowany przez Lianę, ale nagle przypomniałam sobie „przykazanie" dnia: „Nad rozkoszą swą panować będziesz".

A więc to tego ode mnie oczekiwano. I miałam siedzieć uwięziona w tym pokoju, dopóki nie wypełnię rozkazu...

Nie zamierzałam się jednak spieszyć. Poświęciłam nawet dłuższą chwilę, żeby dokładnie obejrzeć nowy przedmiot do mojej kolekcji. Z bliska trudno było nie zauważyć, że zakończenie trzonka nie tylko kształtem przypominało fallusa w erekcji. Na czarnej lace odkryłam kilka detali uderzających subtelnym realizmem: zagłębienie podobne do fałdu u podstawy żołędzi, cienki elastyczny pasek wędzidełka, a nawet rysunek przepełnionych naczyń na trzonie, który dopiero co dostarczył mi tak upojnych wrażeń. Ciekawe, przemknęło mi przez myśl, co było pierwowzorem dla wykonawcy tego przedmiotu. Czy to możliwe, żeby...

Pytanie nie domagało się odpowiedzi. Domagało się tylko jednego: żebym zdecydowanym ruchem wprowadziła wachlarz w moją szparę, między mokre i obrzmiałe wargi sromowe. Żebym dostarczyła sama sobie i tylko własnymi siłami rozkoszy, której on uporczywie mi odmawiał. Najpierw ostrożnie, stopniowo przyspieszałam rytm, aż do wchłonięcia sztywnego przedmiotu w głąb siebie, aż do gwałtownych skurczów całego mojego wnętrza, unoszących ku górze biodra i grzbiet, aby wreszcie opadły w kaskadzie niepowstrzymanych jęków. Gdy uderzył we mnie ten nowy orgazm, czułam łzy na policzkach. Krótkie, urywane spazmy targały mną bez wytchnienia, jak gradobicie, jak burza szalejąca wokół i wewnątrz mnie, małej grudki ziemi wydanej na pastwę żywiołów. Nagle znieruchomiałam, z przedmiotem wypełniającym mi całą pochwę, uwięzionym na dobre w potężnym uścisku. Pozostał tam długie minuty, dopóki moje mięśnie nie rozluźniły się na tyle, by powolić mu na ewakuację.

Ja ofiarowałam mu tak wiele, a Louis dawał mi tak mało...

A może odwrotnie?

27

13 czerwca 2009

Kilka lat temu, gdy obie jak zwykle dokonywałyśmy cudów, żeby jakoś związać koniec z końcem, Sophia namówiła mnie na udział w pewnej transakcji, którą dopiero co odkryła. I tak za obiecane trzydzieści euro dałam jej parę moich używanych majtek, najzwyklejszych bawełnianych, do sprzedania za pośrednictwem bardzo specjalistycznej strony internetowej. Zainkasowawszy pieniądze, starałam się jak najmniej myśleć o dalszych losach mojego intymnego przyodziewku. Cała ta zabawa napełniała mnie odrazą i skądinąd nigdy nie zdecydowałam się jej powtórzyć. Ale dzisiaj, po latach, czasami zdarza mi się jeszcze myśleć o losie tych majtek, lekko pobrudzonych w kroku. Czy zachowały mój zapach? Czy ich nabywca zagłębia w nie nos, w chwili, gdy zaczyna się ~~branżlować~~ masturbować? Czy zachował je w swojej kolekcji, wśród anonimowych innych sztuk bielizny, czy wyrzucił po jednorazowym użytku?
(Odręczna notatka z 13.06.2009, mojego autorstwa).

„Aurora Delbard”: wyszukiwarka znalazła tylko dwa wyniki, oba błędne i przypadkowe. Cóż, na dobrą sprawę Aurora odeszła z tego świata w czasach sprzed internetu, gdy nasza prywatność nie była jeszcze wystawiona na widok publiczny w niezliczonych serwisach społecznościowych i nie tylko.

A mimo to fakt, że nie pojawiła się nigdzie, na żadnym szkolnym zdjęciu, na żadnej liście uczniów czy studentów, drzewie genealogicznym czy choćby w spisie nagrobków, wydał mi się zaskakujący. Czyżby jej rodzina, albo sam David skorzystali z usług którejś z firm zajmujących się czyszczeniem elektronicznej pamięci? Tak czy inaczej, rezultat był jeden: Aurora Delbard nie zostawiła żadnych śladów po swoim krótkim pobycie na ziemi.

Ta perspektywa wywołała we mnie chwilowy przypływ szaleństwa i paniki, wkrótce zasklepiony jak wąska szczelina: a jeśli Aurora była

tylko urojeniem, wytworem chorej wyobraźni? Po namyśle odrzuciłam tę mrożącą krew w żyłach ewentualność. W jakim celu mieliby obaj wymyślać istnienie tej kobiety? Po co komponowaliby taką farsę na mój użytek?

Tego ranka zakładając na palec pierścionek, miałam wrażenie, że wślizguję się w życie ducha, w plazmę bez konturów i bez przeszłości. Gorzej, w istotę czysto fikcyjną.

Najpewniejszy sposób, żeby odesłać ją w niebyt, wreszcie pozbyć się jej upiornej obecności, znajdował się na czubku mojego pióra: podpisując umowę spreparowaną przez Davida i podsuniętą mi przez Armanda, mogłam nadać naszemu związkowi i teraźniejszości znacznie więcej treści, niż zawierałyby jej wspomnienia, rzeczywiste czy urojone. A mimo to nie byłam w stanie tego zrobić. Dziesięć razy zawieszałam pióro nad rogiem każdej stronicy do parafowania i dziesięć razy cofałam rękę, hamowana niewidzialną a przemożną siłą, której imię znałam aż za dobrze.

Do zobaczenia na antenie, moja śliczna.
Wierzę w Ciebie.
Kocham Cię.
D.

Słówko od Davida, umieszczone na tacy ze śniadaniem, wcale nie podniosło mnie na poważnie zachwianym duchu. A przecież to naprawdę był mój wielki dzień. Dzień mojego debiutu na małym ekranie. Dzień spełnienia marzeń całego dotychczasowego życia, który każda inna dziewczyna na moim miejscu, świadoma wyjątkowej szansy, powitałaby dziękczynną modlitwą. Przecież wszystko powinno było zejść na drugi plan – moje wieczory w Charmes zniknąć w mrokach nocy, głos i zapach Louisa wyparować ze mnie bez śladu – wobec doniosłości nadciągającego wydarzenia. Powinnam była dygotać z tremy, podskakiwać z niecierpliwości, piszczeć z ekscytacji. A tymczasem było zupełnie na odwrót: czułam się zgaszona, nieobecna, bardzo daleka od

czekającego mnie sprawdzianu i od własnych ambicji, które nagle wydały mi się czcze, próżne, wręcz groteskowe.

Z premedytacją i ewidentnie złą wolą nie miałam nawet zamiaru zmuszać się do pośpiechu, mimo świadomości, że czeka na mnie cała ekipa. Gorzej, ku mojemu własnemu zdumieniu pozwoliłam sobie jeszcze zboczyć z drogi i zamiast jechać prosto do BTV, nagle ruszyłam metrem linii 2 w przeciwnym kierunku, aby z wizytówką w ręku wysiąść na stacji Père Lachaise.

Po przeciwnej stronie słynnego paryskiego cmentarza otwierała się szeroka, burżuazyjna avenue de la République, a na lewo od niej mała rue du Chemin-Vert, zdecydowanie węższa i skromniejsza. Ruszyłam jej łagodnym stokiem, zagłębiając się w wyziewy kebabów, które już o tak wczesnej porze nasycały ulicę zastawioną przeładowanymi śmietnikami. Pomieszany odór pieczonego mięsa i odpadków drażnił mi nos i przyprawiał o mdłości, na szczęście łagodzone świeżymi powiewami wiatru.

Wciśnięta między pakistański sklepik z tysiącem jeden drobiazgów a hurtownię pasmanterii bordowa witryna księgarni rzucała się w oczy już z daleka. Prostopadły do ulicy szyld i drugi większy nad oknem wystawowym były dyskretne, bez żadnej wzmianki o szczególnej naturze proponowanych tu dzieł. Oba zawierały tylko nazwę przybytku: La Musardine. Ale jedno spojrzenie na witrynę wystarczało, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości.

Pchnęłam drzwi i weszłam do wyścielanego wnętrza, z czerwoną wykładziną i bogato zastawionymi gablotami, między którymi przechadzali się zwiedzający. Spodziewałam się zastać w takim miejscu zboczeńców w prochowcach mimo lata, obleśnych starszych panów, roznegliżowane nimfomanki – a tymczasem mimo wyraźnej przewagi mężczyzn klientela wyglądała na bardzo zwyczajną. Nie więcej niż dwie czy trzy pary ściskały się odrobinę goręcej: jeden z mężczyzn szeptał coś do ucha zarumienionej partnerce, inny od niechcenia trzymał rękę na obfitych pośladkach swojej towarzyszki.

Zastanawiałam się, czy pójdą do łóżka zaraz po zakończeniu zakupów? Czy znajdą tutaj odpowiednie paliwo dla swoich fantazji?

Układ tematyczny był przejrzysty: po stronie lewej i przy wejściu literatura erotyczna, na prawo i bliżej kasy wszelkiego rodzaju fotografie i albumy, w głębi po prawej dzieła ilustrowane i komiksy, wreszcie po lewej eseje, poradniki plus kilka gadżetów jako uzupełnienie oferty.

Z listą w ręku bez trudu znalazłam pierwsze zalecane tytuły, które jeden po drugim układały się w coraz większy stosik. Nie chcąc przedłużać pobytu w tej księgarni – kilka zbyt natarczywych spojrzeń już zaczynało przyprawiać mnie o zakłopotanie – skierowałam się ku jedynej sprzedawczyni, krótko ostrzyżonej brunetce bez wdzięku, rozpartej za kontuarem. Parę mijanych okładek przykuło jednak mój wzrok na tyle, że musiałam się zatrzymać. Były to albumy z jednej serii, zatytułowanej *Pink Pussy*, w całości wypełnione zdjęciami uśmiechniętych młodych kobiet, prezentujących szeroko rozłożone nogi. Pozowały nie tylko bez żenady, ale jakby z zachwytem, że eksponują się w ten sposób. Zgodnie z obietnicą zawartą w tytule, ich łona były świeże, różowe i piękne jak egzotyczne kwiaty.

Czyżbym nadal pozostawała pod wpływem wczorajszych uniesień? Czy to Liana wysłana do mnie przez Louisa aż tak wytrąciła mnie z równowagi? Przyłapałam się na obracaniu stronic jednego albumu po drugim, chciwie, z nianasyconą ciekawością. Nie byłam w stanie przerwać kartkowania ani własnych rozmyślań: czy sama chciałabym znaleźć się w takim albumie, albo jaką rozkosz wydobyłabym z tych idealnych szpar, wilgotnych i ziejących, gdybym to ja mogła wsunąć w nie długi, twardy i obły przedmiot...

Upadek piramidy książek podtrzymywanej tylko jedną ręką brutalnie wyrwał mnie z błogiego oszołomienia. Ze dwadzieścia par oczu przyglądało mi się z dezaprobatą i jednocześnie rozbawieniem. Wyjąkałam jakieś przeprosiny słabym, zażenowanym głosem podlotka, którego już miałam nadzieję w sobie przezwyciężyć, i co prędzej pozbierałam z podłogi moje lektury, uważając, żeby przy okazji nie odsłonić za wysoko ud ani nie ukazać nieprzyzwoicie wypiętej pupy, po czym czerwona ze wstydu pośpiesznie dokończyłam zakupy.

Na ulicy wrócił mi spokój, jednakże nie na tyle, bym ośmieliła się wydobyć którąś z książek z ciemnej, nakrapianej złotymi kropelkami reklamówki w czasie długiej podróży metrem do Porte de Sèvres. Na razie wystarczyło mi jedno drobne upokorzenie w oczekiwaniu na to wielkie, które miałam przeżyć dziesiejszego wieczoru.

– Spóźniłaś się, ale mniejsza o to...

David wtargnął do mojego gabinetu bez „dzień dobry".

– ...najważniejsze, żebyś była w formie. Zjadłaś chociaż porządne śniadanie?

Słuchając go i mieniąc się pod jego badawczym spojrzeniem, czułam się jak młoda klacz w dzień swojej pierwszej gonitwy. Miałam wrażenie, że lada moment David dotknie mojej twarzy niczym końskiego pyska albo poklepie mnie po zadku, żeby jeszcze raz ocenić szanse na obstawiane przez siebie zwycięstwo. Czy to właśnie we mnie zobaczył podczas naszego pamiętnego spotkania na bardzo formalnej imprezie: przyszłą ozdobę swojej stacji, jeszcze surowy diament do oszlifowania na własną modłę i zamienienia w drogocenny klejnot?

– Tak, tak, w porządku... zjadłam.

– A suszone owoce? Pamiętałaś o suszonych owocach?

Kręcił się dokooła, oglądał mnie z każdej strony, wyraźnie niespokojny o walory swojej klaczki, rozgorączkowany jak dostawca środków dopingujących przed jazdą na czas.

– Nie, ale będzie dobrze. Obiecuję ci.

Nie śmiałam nawet wyobrażać sobie, co by się ze mną stało, gdybym zawiodła jego oczekiwania.

– No... Jestem pewien, że dasz czadu!

Ten młodzieżowy język w jego ustach wydał mi się równie niestosowny, jak trampki na nogach niosącego trumnę żałobnika. Ale on oczywiście nie wyczuwał śmieszności, pijany własną adrenaliną, buzując na najwyższych obrotach jeszcze przed sygnałem do startu.

A jeśli okazałabym się na ekranie tak beznadziejna, jak sama podejrzewałam, niewątpliwie przeznaczyłby mi los podobny do tego, jaki wcześniej zgotował Aurorze. Czy i mnie popchnąłby do ostateczności? Czy i moje nazwisko znikłoby w wirtualnym piekle, bez jakiegokolwiek śladu dla potomnych?

Złożywszy mi na karku pocałunek w zamierzeniu czuły, zaczął rozwiewać czarne myśli uczepione moich włosów, z nosem zanurzonym w ich gąszczu i ręką na moim niemal nagim barku. Właściwie dopóki nie mówił mi o umowie małżeńskiej, dopóki chciał widzieć we mnie tylko swoją nową egerię, jego chaotyczne pieszczoty miały w sobie coś kojącego, coś, czemu mogłam poddać się bez większych oporów.

– Mam na ciebie ochotę – zamruczał mi do ucha.

Wygięłam szyję, żeby uciec od coraz natarczywszych pocałunków.

– Nie tutaj...

– Dlaczego? Boisz się, że szef cię przyłapie?

Zaśmiał się cicho z własnego żartu, zadowolony z siebie i z tych, na których stawiał. Jak zwykle. Wszystko, czego dotknął, z natury rzeczy musiało zamieniać się w złoto. Zawsze tak było. Zawsze zwyciężał, osiągał swoje. Poza historią z Aurorą...

– Och, przepraszam...

Błękitne oczy Freda wtargnęły w ramę drzwi, później przeniosły się na nas dwoje. Zobaczyłam w nich zaskoczenie i nagły błysk gniewu, znany mi na pamięć. Fred pohamował się jednak, w przeciwieństwie do Davida:

– Czego pan chce? Co pan tu robi?

Uświadomiłam sobie, że nie widzieli się nigdy wcześniej. I o ile Fred musiał już wiedzieć, jak wygląda jego pracodawca, *big boss* BTV, o tyle dla Davida taki źle ogolony młodzian w dżinsach i T-shircie był z pewnością kimś zupełnie anonimowym, jednym z firmowego lumpen-salariatu. Człowiekiem o minimalnym znaczeniu i tak też potraktowanym.

– Ja...

Czy powinnam była ich sobie przedstawić? A jeśli tak, to jak głęboko zapuszczać się w nasze wzajemne historie i powiązania? Fred ze swej strony niechybnie bał się, że zdradzę kulisy jego angażu, i prawdopodobnie z tego względu milczał, w oczekiwaniu na moją reakcję.

– „Ja” co? Niech pan da nam spokój!

– Kochanie... – wtrąciłam się wreszcie, pojednawczym tonem. – To Fred Morino, technik dźwięku z mojego programu. Podejrzewam,

że na planie już nie mogą się mnie doczekać?

Oczami dałam znak Fredowi, żeby zrozumiał komunikat i trzymał się tej wersji.

– Tak, właśnie – podchwycił, drżąc z powściąganej złości.

– Ach... No dobrze.

David nigdy nie tracił rezonu, kimkolwiek byłby jego rozmówca. Wyprostował się więc i teraz, bardziej sfrustrowany niż rzeczywiście zły, i żeby mieć ostatnie słowo, pouczył Freda po ojcowsku:

– Tak czy inaczej, nawet jeśli ma się bardzo pilną sprawę, trzeba najpierw zapukać, a dopiero potem wchodzić.

To mówiąc, wskazał moje drzwi, skądinąd szeroko otwarte w chwili, gdy stanął w nich Fred. Ponieważ David dobrze o tym wiedział, jego zła wola aż biła po oczach.

I pomyśleć, że dopisałam mojego eks do listy weselnych gości! A jeśli David zechce wyrzucić go również z przyjęcia? Wyobraziłam sobie taką scenę i ciarki przeszły mi po plecach.

– Idę – oznajmiłam mu lekko, szykując się do wyjścia w ślad za Fredem.

To był ten jedyny moment, żeby zakołysać biodrami specjalnie dla niego, zrobić słodkie oczy i ułożyć usta w urocze serduszko. Innymi słowy, zagrać kobiecością jak z podrzędnych komedii romantycznych, w nadziei, że złagodzi to nieco wyrok pana i władcy po nieuchronnej klęsce programu.

– I nie zapomnij, co chciałeś powiedzieć mi przed chwilą – dodałam porozumiewawczo. – Jestem tym bardzo zainteresowana.

Już na korytarzu dogoniłam Freda i razem oddalaliśmy się szybkim krokiem. Byłam nie mniej roztrzęsiona od niego. Przeżyta dopiero co sytuacja nie tylko wprawiła mnie w zażenowanie – ale też zdemaskowała przede mną samą cały mój związek z Davidem. Chory związek, mimo że tak szczerze upragniony. Marzyłam o tym wszystkim – o mężczyźnie doskonałym, o życiu pełnym władzy, bogactw i przywilejów otaczających mnie jak ochronny pancerz... A mimo to nie mogłam zdobyć się na pogardę dla siebie z czasów sprzed Davida. Nie umiałam zostawić dziewczyny z Nanterre ani jej

bliskich za drzwiami, choćby tak szeroko otwartymi jak przed chwilą... Nie potrafiłam być jednocześnie w środku i na zewnątrz.

Niewiele brakowało, żebym wyładowała nerwy na Fredzie, Bogu ducha winnym sprawcy i zarazem ofierze całego zajścia. Powstrzymałam się przed tym ostatkiem woli.

– Nikt nie wysyłał cię po mnie, prawda? – zagadnęłam go, gdy odeszliśmy dostatecznie daleko.

– No nie – przyznał. – Ale bawiąc się w detektywa, znalazłem u naszego przyjaciela Louisa coś, co mogłoby cię zainteresować.

– Co takiego?

– Zapis połączeń z jego telefonu stacjonarnego, od ostatniego ustawienia pamięci, czyli od dobrych trzech miesięcy.

– I co? – moje wzburzenie sięgnęło zenitu. – Zamawia sobie *call girl* codziennie o osiemnastej?

– No, niezupełnie – spojrzał na mnie spod oka, tłumiąc rozbawienie.

– W takim razie do kogo dzwoni?

– Wiem, że mi nie uwierzysz, ale nie mam żadnych wątpliwości co do numeru... Poznałem go od razu.

– Fred, mówże wreszcie, do diabła! – rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

– Dzwoni do twojej matki, Maude. Wybiera numer waszego domu.

Mój wzrok zabłąkał się na moment w newsroomie, gdzie armia dziennikarzy szykowała właśnie południowe wydanie wiadomości. Dopiero później półprzytomnie wrócił do Freda:

– Do mojej mamy? Co ty wygadujesz?!

Bez cienia wahania wyrecytował mi liczby, spoglądając na karteczkę przyklejoną wewnątrz dłoni.

– Tylko w tym tygodniu łączył się z nią trzy razy.

Pomyślałam o wszystkich prezentach, jakimi Louis obsypywał mamę w ramach wynagrodzenia za moje horyzontalne usługi.

– I... długo rozmawiają?

– No, nawet, nawet. W poniedziałek dwadzieścia dwie minuty. W środę tylko jedenaście. A wczoraj osiemnaście, z małą

trzydziestosekundową przerwą w środku, kiedy musiał odebrać inne połączenie.

To wykraczało daleko poza zwykłą kurtuazję albo upewnienie się – skądinąd o czym? Musiało chodzić o prawdziwe rozmowy.

– A może mama odbiera i po prostu odkłada słuchawkę, nic nie mówiąc?

Hipoteza nie bardziej absurdalna niż wszystko inne. Niż to, że mój prawdziwy-nieprawdziwy kochanek, prawdziwy-nieprawdziwy szwagier wydzwania do mojej mamy, żeby pogawędzić z nią jak stary przyjaciel.

– Nie, nie sądzę. Nowoczesne aparaty mają funkcję *time-out*, zapobiegającą przypadkowemu blokowaniu linii. Jeśli nikt nic nie mówi, połączenie urywa się samo po jednej lub dwóch minutach. Nie po dwudziestu.

Tym, czego nie mogła mi dostarczyć fachowa wiedza Freda, była natura tych konwersacji. Ich treść, jak również sposób, w jaki Louis zjednał sobie mamę. Czy podszywał się pod własnego brata? Albo może pod Armanda, rzekomo zdającego jej relacje z przygotowań do ślubu?

– Mówisz, że od kiedy do niej dzwoni?

– Tego jeszcze ci nie mówiłem. Ale to trwa od końca kwietnia.

Zaczęło się więc wkrótce po moim spotkaniu z Davidem, w okresie, gdy nasz związek był jeszcze trzymany w tajemnicy... i na długo przed jakimkolwiek prezentem Louisa dla mamy – przynajmniej takim, o którym wiedziałam. Pod jakim kłamliwym pretekstem mógł zawrzeć z nią znajomość? I jak to się stało, że mama związała się z tym rozmówcą bez twarzy, i to w tajemnicy przede mną?

Po krótkim podwieczorku z niezmordowaną Albane, popołudnie minęło mi jak sen, mimo licznych aktywności wypełnianych przeze mnie machinalnie, z zaangażowaniem robota.

Godzina czternasta, jak sprecyzowałaby Chloé: próba na planie z udziałem Stana, naszego reżysera, aby przećwiczyć moją wyjściową pozycję i przemieszczanie się w trakcie programu

w pośpiesznie zmontowanej wiejskiej scenografii. Z pomysłów eksgrafika Chrisa zachował się tylko logotyp, wydrukowany na dużym kawałku sztywnego kartonu. Umocowany w tle i umiejętnie podświetlony miał rzucać się w oczy widzom.

Godzina szesnasta: odczytanie moich zapowiedzi zredagowanych przez ekipę Albane. Ze zdumieniem i podziwem skonstatowałam, jak bardzo Albane starała się nie zrobić ze mnie pretensjonalnej idiotki na podobieństwo większości prezenterek w konkurencyjnych programach. Moje teksty były zwięzłe, precyzyjne, błyskotliwe, ale bez przesady, w sumie bliskie temu, co mogłabym napisać sama – oczywiście gdyby David obdarzył mnie aż takim zaufaniem.

Godzina siedemnasta: spotkanie z dwójką moich gości – znakomitym księgarzem, który miał przedstawić nam własny wybór książek na plażę, oraz zawodową tancerką, prezentującą „zabójczy krok" do brylowania na wakacyjnych dansingach – oraz symulacja naszej rzekomo spontanicznej i nieformalnej wymiany zdań.

Godzina osiemnasta: herbata i ciasteczka, a następnie niekończący się jak dla mnie seans ubierania, czesania i makijażu, w trakcie którego czułam się jak bita śmietana, roztrzepywana do zawrotnej objętości.

Czy ta lalka pod grubą tapetą podkładu, ta maskotka w kwiecistej sukience, gotowa stanąć w świetle jupiterów... czy to naprawdę ja?

– Rób tak, jakbyś miała dwanaście lat i bawiła się z koleżankami w prezenterkę telewizyjną – zasugerowała Albane w charakterze ostatniej rady.

– Mając dwanaście lat, chciałam być raczej Marią Curie albo Françoise Giroud, ale spróbuję...

– Rozumiesz, co chcę powiedzieć: udawaj. Największe dzisiejsze gwiazdy zaczynały tak samo, strojąc kretyńskie miny przed lustrem. Reszta przyjdzie sama, gdy otrzaskasz się z kamerami.

Nie brzmiało to zbyt pocieszająco, ale być może wytrącało broń z ręki moim potencjalnym krytykom i ich oskarżeniom o brak doświadczenia. Albowiem tak właśnie kręcił się ten światek, niepomny własnych potknięć, a za to gotowy podstawić nogę każdemu nowicjuszowi czy nowicjuszce, groźnym dla nich przez wzgląd na samą świeżość.

Godzina dziewiętnasta trzydzieści, czyli jeszcze cała godzina napiętego oczekiwania. Pod pretekstem pilnej potrzeby wyszłam ze studia, aby w pełnym służbowym stroju przemierzyć puste korytarze osiemnastego piętra. Czułam się tak, jakbym szukała wyjścia ewakuacyjnego – i skądinąd znalazłam je naprawdę, tyle że nie odważyłam się z niego skorzystać. Przypadek zaprowadził mnie pod gabinet najwyraźniej świeżo opróżniony z mebli. „Alice Simoncini", oznajmiała jeszcze mała plakietka z prawej strony drzwi. Niewiele myśląc, nacisnęłam klamkę: pomieszczenie nie było zamknięte na klucz. Jedyne, co uderzyło mnie w tej pozbawionej duszy przestrzeni, to utrzymująca się woń. Wyłapałam w nim prefumy pięknej blondyny, kwiatowe i słodkie, pomieszane z innymi, bardziej kwaskowatymi nutami. Czy był to zapach miłości, bukiet skomponowany przez parę kochanków? Ile razy mogli kochać się tutaj, kilka kroków od gabinetu Davida? Próbowałam ich sobie wyobrazić, długą i miękką sylwetkę Chrisa, dociskającego ją do przeszklonej ściany, dotykającego jej łona drżącą ręką, dyszącego pożądaniem w tak kształtny i dumny kark tej nieoczekiwanej zdobyczy.

Nigdy nie należy zaskakiwać przyjaciół w trakcie uprawiania seksu...
Przed Sophią moją najlepszą przyjaciółką była Sabine. Można by rzec, siostra bliźniaczka, gdyż nasze fizyczne podobieństwo zdumiewało wszystkich, włącznie z nami. Godzinami obserwowałyśmy się razem w lustrze, szukając zwłaszcza dzielących nas różnic. Właściwie sprowadzały się one do jednej: koloru oczu, zielonych u mnie, intensywnie niebieskich i błyszczących u niej. Na tym też polegała jej główna przewaga nade mną, z której korzystała bez żenady, uwodząc najładniejszych chłopców z naszego liceum.
Pewnego środowego popołudnia Sabine zaprosiła mnie do siebie, a ja nieopatrznie przyszłam za wcześnie, gdzieś na kwadrans przed umówioną godziną. Byłam pewna, że zastanę ją przed telewizorem albo zatopioną w lekturze którejś z jej ulubionych książek o wampirach. Drzwi wejściowe były otwarte, podobnie jak drzwi jej

pokoju. I nic dziwnego, gdyż w środku tygodnia o tej porze powinna była być sama w domu. Ale nie była. Słyszalne już od hallu jęki, bez mała kocie miauki, uprzedziły mnie o naturze tego, co działo się na piętrze. Nie mogłam jednak oprzeć się pokusie. Cichaczem pokonałam schody i przez uchylone drzwi śledziłam z zapartym tchem łóżkowe wyczyny mojej przyjaciółki. Był to jak dla mnie spektakl skrajnie wyuzdany: ta jej pupa, tak wypięta, że Sabine chyba cudem nie złamała sobie kręgosłupa, ten chłopak dosiadający ją od tyłu... ~~Te skandowane przez nią sprośne słowa, w których on sprowadzał się do swojego „chuja", a ona sama nazywała się „suką", „kurwą" i „największą dziwką w liceum"~~. Ta jej gorliwość w połykaniu członka partnera aż do nasady. To wycie bezwstydnej hieny w momencie orgazmu...

Gdy upłynęło pietnaście minut dzielących nas od spotkania, bezszelestnie zeszłam na dół i wybiegłam z jej domu. Ja, wtedy jeszcze dziewica, brutalnie wyrwana z moich snów. Od następnego dnia aż do końca roku uparcie odmawiałam zamienienia z nią choćby słowa. Musiała domyślać się przyczyny mojej nagłej niechęci, ale nigdy nie odważyła się poruszyć sprawy wprost. Ta scena mięsistego, zwierzęcego seksu, którą zresztą inspirowałam się później wiele razy podczas samotnych masturbacji, pozostaje moim ostatnim wspomnieniem po dawnej przyjaciółce.

(Odręczna notatka z 13.06.2009, mojego autorstwa).

Gdzie jesteś? Przed nami ostatnia próba
z Lukiem i Stanem. Czekamy na ciebie,
rusz tyłek, gwiazdo!

SMS od Albane przywołał mnie do porządku i mówiąc jej językiem, na łeb na szyję zbiegłam piętro niżej, już przepełnione tym szczególnym napięciem, jakie poprzedza emisję nowego programu. David we własnej osobie pojawił się na planie, co musiało być faktem absolutnie wyjątkowym, sądząc po na wpół przerażonym, na wpół podekscytowanym zaaferowaniu całej ekipy.

Równie zauważalna, wręcz zdumiewająca, wydała mi się nieobecność Louisa, którego jak mi powiedziano, nikt nie widział w budynku przez cały dzień.

Udałam, że oglądam dziennik o dwudziestej wraz z moim zespołem, wygłupiającym się na potęgę – niewątpliwie, żeby rozładować napięcie – ale myślami uleciałam daleko od wieży Barlet.

Gdzie mógł być Louis? W Charmes? W rezydencji Mademoiselle Mars, niczym duch na gruzach remontowanych wnętrz? Albo po prostu u siebie, przed telewizorem, oczekujący jak pierwszy lepszy widz godziny mojej medialnej egzekucji?

Ciąg dalszy okazał się koszmarnym snem na jawie i w kolorach, znaczonym wymuszonym śmiechem i fałszywym dobrym humorem. Zgodnie z podpowiedzią Albane odstawiałam żałosną pantomimę, którą jednak wszyscy starali się brać za dobrą monetę, wsłuchani w moją wymowę, zbyt egzaltowaną, by była całkowicie niezrozumiała... Że nie wspomnę o powtarzaniu „A więc teraz” sto pięćdziesiąt razy na minutę.

Kartki przygotowane przez zespół redakcyjny tak bardzo paliły mi ręce, przykuwały wzrok, pochłaniały całą uwagę, że nie słyszałam jednego słowa z reportaży nadawanych spoza planu, a nawet raz czy dwa spóźniłam się z zapowiedziami w chwili powrotów na wizję, chociaż Stan sygnalizował mi je prosto do ucha i włączało się czerwone oko kamery.

– Wolniej, to nie sprint! – powtarzał kilkakrotnie w słuchawce. – W tym tempie nie wytrzymamy dłużej niż pół godziny. *Cool*!

Na pięć minut przed końcem miałam prawo do poprawy makijażu tudzież przerwy na siusiu, dokładnie w czasie emisji ostatniego materiału, tego nakręconego z inicjatywy Louisa. Po czym czekało mnie jeszcze krótkie podsumowanie, do odczytania z promptera, i moja męka miała się wreszcie skończyć.

– Jest super! – pocieszyła mnie Albane w drodze do toalety. – Tylko nie spiesz się tak bardzo. Daj rozmówcy czas na wypowiedź. I tak będziesz mogła uciąć go pod koniec, gdyby za długo przynudzał.

Już zamknięta w kabinie, niezdolna do wydalenia kropli moczu mimo pęcherza bliskiego eksplozji, próbowałam zwalczyć nieposkromioną chęć na wymioty.

Ile bym dała, żeby już stąd nie wychodzić! Nigdy więcej. Zostać tu na zawsze, w mojej kwiecistej sukieneczce, w odorze ustępu, w cieple i poczuciu bezpieczeństwa, z dala od mężów, kochanków, a zwłaszcza widzów używających sobie moim kosztem.

– Nie, zaczęłam przez przypadek, nie mogę nazwać tego prawdziwym wyborem...

Przygłuszone odgłosy z wizji, wzmocnione głośnikami na planie, dobiegały do mnie we fragmentach, mniej lub bardziej zrozumiałych:

– To dość niedyskretne pytanie, ale czy zdarza się pani czerpać przyjemność z usług świadczonych tym mężczyznom?

– Tak, oczywiście, nawet dość często... To coś więcej niż praca.

Rzeczywiście, to coś więcej niż praca, bycie *hotelle*. Sama mogłabym to potwierdzić.

Ostrożność, a nawet przyczajony gdzieś lęk, powinny były zatrzymać mnie tam, gdzie byłam. A jednak wyszłam z toalety, mimo wszystko żądna podsłuchać zwierzeń tej dziewczyny. Jej głos, zniekształcony w celu zachowania anonimowości, miał intonację, która nie była mi całkowicie obca. A już wchodząc do reżyserki, gdzie dwadzieścia ekranów uwidoczniało tę samą twarz, omal nie runęłam jak długa i nie zwymiotowałam na plecy techników pochylonych nad swoją aparaturą.

Albowiem znałam tę maskę: była dokładną kopią tej, jaką Louis przeznaczył dla mnie w pokoju Marii Bonaparte, gdy obserwowałam zmagania pary kochanków.

Ale było coś jeszcze bardziej znajomego: te szerokie gesty, te ciemne loki opadające na ramiona, a przede wszystkim ten jakże bezpośredni sposób wypowiedzi...

– No, przecież to nie tylko spotkanie dupy z dupą, co pan sobie myśli! – doszedł mnie nosowy, zniekształcony głos. – Rozmawiamy ze sobą, opowiadamy sobie nasze historie. Czasami nawet coś do nich czujemy... i oni do nas też.

Jedyne słowa, które mogłam z siebie wykrztusić, głosikiem tak słabym i pełnym rozpaczy, że niewątpliwie słyszalnym tylko dla mnie

samej, brzmiały:

– Do diabła, Sophia... Nie. Nie ty.

Jej twarz, blada z osłupienia, gdy Louis objawił się nam w lasku Vincennes.

Jej niekłamane zainteresowanie, maskowane wesołym śmiechem, gdy opowiadałam jej o pułapkach, jakie zastawiał na mnie dzień po dniu. „Może byś mi go przedstawiła? Przepadam za takimi pokręconymi facetami!". Jej zachwyt nad moim karnecikiem *Dziesięć razy dziennie*, który jak nie omieszkała zauważyć, pasowałby do niej lepiej niż do mnie.

Jeden po drugim, te fakty wypływały teraz na powierzchnię mojej pamięci i zdzierały maskę widzianą przez wszystkich na ekranie.

Co za straszliwy numer mi tu wykręcała? I co najważniejsze, jaka mogła być cena jej zdrady? Może tylko tyle, żeby mogła związać koniec z końcem. Kilka banknotów o większym nominale, jak te włożone mi do ręki w galerii Sauvage, czy później, z przeznaczeniem na zakupy w erotycznej księgarni La Musardine. Albo – ta perspektywa nagle ścisnęła mnie za gardło ponad słowami i ponad bólem już rozsadzającym mi trzewia – tych dwoje było kochankami? Może kpili ze mnie i z mojej łatwowierności podczas uprawiania seksu? Wyśmiewali się z mojej dziewiczej nieporadności, moich oporów naiwnej gąski w chwili rzucenia się na siebie i oddania się bezwstydnym uniesieniom, idealnie dobrani, równie spragnieni ekscesów?

Od jak dawna mógł ją posiadać?

– Na wizji za trzydzieści sekund – krzyknął Stan gdzieś w pobliżu.

– Elle! Elle, co z tobą?

Głos Albane nie był już w stanie przebić się przez ten kokon, z każdą sekundą gęstniejący wokół mnie. Co ze mną? Co mogłam na to odpowiedzieć?

Jej ręka ugniatała mi kark, ale to ktoś inny niż ja drżał pod każdym takim potrząśnięciem.

– Elle! Elle, do czorta! Jesteś ze mną?

Nie, miła Albane, nie byłam już z tobą od długich, jakże długich chwil. Straciłam wszelki kontakt z rzeczywistością. Moja własna sprowadzała się do zimnego szlochu, który otaczał mnie lodowatym

całunem. Czułam się pośrodku tego studia jak Eskimos w ogromnym igloo. Wszystko, co działo się na zewnątrz, oglądałam przez zasnute mgłą okienko, zasłonę nie do zdarcia przez kogokolwiek czy cokolwiek.

– Na wizji za dwadzieścia sekund! Dziewczyny, natychmiast na plan... Teraz!

– Nie wiem, co się jej stało... – krzyknęła spanikowana Albane. – Boże, ona zaraz nam zejdzie! Wezwijcie lekarza!

Tymczasem Sophia na monitorach odpowiadała na ostatnie pytanie przeprowadzającego z nią wywiad człowieka, który choć ukryty poza zasięgiem kamer, nie pozostawiał mi najmniejszych wątpliwości co do swojej osoby:

– Słyszałem, że nazywacie same siebie *hotelles*, czy to prawda?

– Tak, jak najbardziej.

– Może pani w dwóch słowach wyjaśnić naszym widzom znaczenie tej nazwy?

– No cóż, *hotelle* to bardzo wymowna zbitka. Po pierwsze, jest w niej angielski przymiotnik *hot*, myślę, że zrozumiały dla każdego...

– Rzeczywiście!

Nowy rozpaczliwy okrzyk Stana:

– Wizja za dziesięć sekund! Co robimy?

– Wrzuć napisy! Cokolwiek! – wrzasnęła Albane. – Mniejsza o to!

Przez łzy widziałam maskę spływającą z twarzy Sophii, jakby nagle roztopioną

– ...po drugie, jest *elle*, co oznacza, że z chwilą przyjęcia tej roli jest się zdolną do odegrania każdej kobiety.

– To bardzo ładne. A pani, czy czuje się pani bardziej *hot*... czy bardziej *elle*?

– Och, ja jestem zdecydowanie *hot*! – wybuchła śmiechem. – *Elle... Elle* to nie ja. Elle to moja przyjaciółka...

Jingle. Wizja. Beze mnie.

28

14 czerwca 2009

Gdy wreszcie doszłam do siebie, wszyscy zachowywali się jak gdyby nigdy nic, skwapliwie naciągając na moją niepojętą wpadkę woal zapomnienia i zażenowania. Z pewnością musieli uznać wyparcie incydentu za najbardziej miłosierną postawę wobec mnie.

Co więcej, każdy czuł się w obowiązku skomplementować mój „znakomity debiut". Nawet Luc, Philippe i Sam okazali przesadny entuzjazm, mimo że to oni mieli w całej tej sprawie najwięcej do stracenia i to ich moje zawodowe fiasko obciążało w największym stopniu. Nieważne, że nie oni wybrali mnie do tej roli – do nich należało błyskawicznie zamienić surowy materiał w mojej osobie na dzielnego żołnierzyka zdolnego do walki bez gwiazdorskich kaprysów i kryzysów. Po ich niewyraźnych minach ledwie maskowanych bladym uśmiechem odgadłam, że szykowali się na gromy ciskane przez Davida. Moja porażka była też ich porażką i rozumieli to aż za dobrze.

– Albane! Wiesz, gdzie jest David?

Kurczowo trzymając ją za ramię, czytałam w jej oczach mieszaninę rozczarowania, politowania, ale i współczucia. Albane nie należała do osób czułostkowych, niemniej była dostatecznie niezależna duchem, by nie obrażać się na rzeczywistość. Była też ładna, jeszcze młoda i kompetentna... Czyżby i ona miała drogo zapłacić za mój wybryk?

– U siebie, w gabinecie. A co?

– Chcę z nim porozmawiać. – Bohatersko wytrzymałam jej wzrok.

– Niemożliwe. Zażyczył sobie, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

– Muszę mu wyjaśnić, co się stało...

– Wiem, rozumiem... ale podkreślił: „absolutnie nikt". Obawiam się, że dotyczy to również ciebie. Sorry.

Niczym udzielny pan na włościach, David musiał samotnie przeżuwać swój gniew i rozmyślać nad dalszymi posunięciami. Z jednej strony wobec firmy, w której niewątpliwie z góry wykluczał

utratę twarzy, okazanie słabości czy pójście na ustępstwa, z drugiej w naszym związku, może nie bezpośrednio zagrożonym, ale nadszarpniętym tym incydentem. Cóż, z pewnością miał prawo liczyć na lepszy prezent ślubny ode mnie... Na przykład ten luksusowy zegarek, który zdawał mi się już rozpływać na witrynie Antiquités Nativelle jak wspomnienie zupełnie nieadekwatne do aktualnej sytuacji.

Mogłam spodziewać się wszystkiego ze strony Davida: królewskiej pogardy, oznak łaski i wspaniałomyślności, stosunkowo eleganckiego zerwania albo wściekłej burzy z piorunami rozszalałej nad moją głową. Którą z tych opcji zamierzał wybrać? Jak bardzo leżało mu na sercu utrzymanie naszego związku? Na co mógł sobie pozwolić bez uszerbku dla wizerunku niezłomnego szefa, jaki cenił sobie nade wszystko? Jedno tylko było oczywiste: że nie potraktuje mnie inaczej niż pozostałych pracowników. Już i tak naraził się na kłopoty w związku z moim angażem – gdyby i teraz miał okazać mi specjalne względy, jego autorytet stopiłby się w żarze miłości, niechybnie destrukcyjnej w oczach podwładnych.

Wróciłam zatem sama do rezydencji Duchesnois, odtransportowana taksówką, która jak mi się zdawało, pokonała całą trasę w czasie nie dłuższym niż kilka mrugnięć moich znużonych powiek. Zaaferowany, niemal podekscytowany Armand, duchem wyraźnie daleko od wydarzeń dnia – tak daleko, że nie śmiałam zapytać go o wrażenia z mojego występu – natychmiast rzucił się na mnie z notatkami w ręku.

– Mam wreszcie ostateczną wersję menu. Zechce pani zobaczyć, mademoiselle?

Przytaknęłam z nieobecnym uśmiechem i bardziej przebiegłam oczami, niż faktycznie przeczytałam imponującą listę dań. Mimo całego zamętu zauważyłam tylko, że Armand zadał sobie trud uwzględnienia moich osobistych preferencji, o czym świadczyła obfitość owoców morza i deserów z przewagą truskawek czy malin.

– Wygląda to doskonale – zmusiłam się do zachwytu.

– Jest pani pewna? Możemy jeszcze coś zmienić, to ostatni moment.

– Nie, nie, proszę nic nie zmieniać. Jestem pewna, że uczta będzie...

Nie powiedzieć „wspaniała”, „znakomita” ani „fantastyczna”, nie uciec się do żadnego z superlatywów tak nadużywanych przez Davida.

– ...boska. O, to dobre słowo: boska.

Przyjął mój komplement z dobrodusznym uśmiechem, ale po chwili zadowolenie na jego twarzy znów ustąpiło miejsca strapionemu grymasowi.

– Przykro mi pani o tym przypominać... ale notariusz domaga się podpisanych egzemplarzy.

– Jakich egzemplarzy? – zdziwiłam się.

– Umowy...

– Ach, tak... umowy.

– Wszystko musi być załatwione przed ślubem cywilnym, bo inaczej klauzule umowy okażą się nieważne i trzeba będzie przeredagować je od nowa.

– Oczywiście, rozumiem. Jutro oddam panu te papiery.

– Podpisane? – upewnił się jeszcze, unosząc krzaczaste brwi.

Czułam, że nie chodziło mu wyłącznie o dobrze wykonaną pracę. Niezależnie od troski o interesy pracodawcy zdawał się mieć jakiś osobisty interes w tym, żebym wywiązała się z moich obowiązków.

– Tak, naturalnie – odpowiedziałam, jakby przyłapana na czymś niestosownym. – Podpisane.

Na temat dobroczynnego oddziaływania kotów powiedziano już chyba wszystko. O ich zaraźliwym spokoju, miękkości, łagodności, o błogich pomrukach tak regularnych, że samo ich słuchanie może ukołysać do snu...

W nadziei, że pomoże mi choć na chwilę odzyskać wewnętrzną równowagę, przytuliłam się do Félicité, owinąwszy się wokół niej, jakbym była jej matką. Robiłam tak już w dzieciństwie, gdy potrzebowałam pociechy. Z raz czy dwa przerwałam kocią terapię,

aby zadzwonić do Sophii, ale łajdaczka była rzecz jasna nieosiągalna. W końcu zapadłam w niespokojny sen, w którym śniło mi się, że Albane zastąpiła mnie w roli prezenterki *Cultur'Mix* i że zdecydowała się wystąpić przed kamerami zupełnie nago, na zadziwiająco obojętnych oczach techników i telewidzów.

Przebudziwszy się nazajutrz rano, nie zauważyłam żadnego śladu obecności Davida. Ani ręcznika niedbale rzuconego na podłogę w łazience, ani najlżejszej nutki wody toaletowej... Czy w ogóle wrócił do domu? Po raz kolejny próbowałam się z nim połączyć, tak samo bez skutku. I dopiero gdzieś w połowie poranka zadzwonił mój telefon:

– Elle? Dzień dobry, tu Chloé.

– Chloé? Jak to... pracuje pani w niedzielę?

– Nie. Po prostu przerzuciłam połączenia do biura na mój telefon. Zawsze tak robię, gdy czuję, że weekend może być gorący.

Hm... Miałam mocne podejrzenia, że inicjatywa wyszła raczej od Davida niż od niej osobiście. Nawet chwilowo odesłana do koszar, jego armia musiała cechować się operacyjnością.

– Rozumiem... A więc?

– David polecił mi skontaktować się z panią. Spędził noc w swoim gabinecie.

Przypomniałam sobie kanapę na wprost biurka, na której faktycznie można było spać, aczkolwiek niezupełnie komfortowo. Zapewne niejednokrotnie wybierał tę opcję po szczególnie pracowitych wieczorach. A Chloé musiała trzymać w którejś ze swych szuflad zapas świeżych koszul i bielizny na potrzeby następnego dnia.

– Chce, żeby pani tam do niego przyjechała – dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Poczułam ścisk w gardle. A więc stało się. Przebiegło mi też przez myśl, że moja zwłoka w podpisaniu umowy małżeńskiej wynikała jednak nie tyle z przekory, ile z uzasadnionej ostrożności.

– Kiedy?

– Zaraz.

Węzeł wokół mojej szyi zacieśnił się jeszcze bardziej, przepuszczając tylko tyle powietrza, żebym mogła wymamrotać

bezgłośnie:

– Dobrze. Ale muszę się ubrać...

– Super. Już do niego dzwonię.

Byłam jednak zdecydowana narazić cierpliwość Davida na próbę, a Chloé na reprymendę. Albowiem nie bardziej śpieszyło mi się dostać burę jak dziecko, niż jemu puścić w niepamięć moją porażkę. Tak, oczywiście, myślałam buntowniczo, stawię się na to niedzielne wezwanie, ale o godzinie wybranej przeze mnie, wtedy, gdy sama dojrzeję do konfrontacji. Nie wcześniej.

Na razie leniłam się w łóżku z Félicité i otwartym karnecikiem na kolanach. Próbowałam coś w nim zapisać, ale moje myśli szybowały w tym momencie daleko od wdzięcznych spraw seksu. Na próżno skrobałam papier – słowa spływające z mojego pióra były przekreślane jedno po drugim. Chciałabym umieć tak jak Louis tropić zawsze i wszędzie ślady pozostawione przez minionych kochanków, którzy poprzedzili mnie na tym padole. Nasiąkać ich sokami, wzdychać jak oni, drżeć razem z nimi, *unisono*. Ale tego ranka nic podobnego nie zdarzyło mi się w rezydencji Duchesnois, mimo tylu amantów, których cienie jeszcze snuły się po tych ścianach – włącznie z samym Cesarzem.

Czy seks jest zawsze lepszy, silniejszy niż wszystko inne? Czy nasz umysł może do tego stopnia pogrążyć się w poważniejszych czy pilniejszych sprawach, że nie starcza w nim już miejsca na frywolne myśli, zazwyczaj chodzące nam po głowie? Czy może wręcz przeciwnie, libido zawsze w końcu bierze górę, zatapiając i unosząc całą resztę jak wezbrana fala powodziowa?
(Odręczna notatka z 14.06.2009, mojego autorstwa).

Z każdą upływającą minutą coraz bardziej spodziewałam się gniewnych ponagleń od Davida. Ale ku mojemu zdziwieniu nic nie zakłócało spokoju tego wiosennego poranka, wpadającego przez uchylone okno świeżym i kojącym wietrzykiem. Nie mniej dziwne w kontekście wczorajszego debiutu na antenie wydało mi się milczenie moich bliskich. Żeby mama nie kwapiła się skomentować

tak historycznego w jej oczach wydarzenia? Żeby żadni znajomi z uczelni nie skorzystali z okazji do wznowienia kontaktów? Żeby Rebecca nie piekliła się za złamanie zasady dyskrecji obowiązującej nas, Piękności Nocy? Wszystko to razem było dla mnie niezrozumiałe. Wręcz podejrzane. Czyżby fatalna końcówka tak bardzo zdominowała całość mojego występu, że wszystkim zabrakło słów? Totalna katastrofa, niezmywalna plama na moim wizerunku? Udrapowana w resztkę dumy i godności, chyba jednak wolałam tę ciszę od ich fałszywych komplementów.

Była niedziela, a więc dzień bez świeżej prasy, bez jakichkolwiek recenzji ostatnich programów telewizyjnych. Aż do poniedziałku nie musiałam bać się upublicznienia mojej klęski. No, chyba że na portalach społecznościowych, w tym wiecznie niespokojnym ulu buzującym plotkami i złośliwościami.

Ale nie, oficjalny profil stacji na Facebooku również nie zawierał żadnej nowej wzmianki na temat *Cultur'Mix*, podobnie jak mój osobisty, założony z inicjatywy Louisa pod telewizyjnym imieniem i nazwiskiem kobiety wkrótce zamężnej: Elle Barlet. Najświeższe komentarze pochodziły sprzed dwóch dni i były dziełem podwładnych Louisa, próbujących ożywić tenże profil, jak dotąd bez większego powodzenia. Mój program nie figurował jeszcze w żadnej gazetce telewizyjnej, co akurat było zrozumiałe w świetle jego ekspresowych i przedwczesnych narodzin.

Z braku lepszego zajęcia i potrzeby odwrócenia uwagi od tego, co mnie czekało, zabijałam czas przeglądaniem na chybił trafił książek z La Musardine. Na tym też nie mogłam się skupić – uwagi starczało mi na przypadkowe, pojedyncze fragmenty. Wszystko nikło mi w oczach jak krajobraz po bitwie, dodajmy, że sromotnie przegranej.

Milczenie Louisa również mnie nie zaskoczyło, już prędzej rozczarowało. Gdybym była dla niego czymś więcej niż tylko nową zdobyczą, nowym trybikiem szalonej erotycznej maszynerii, w której miażdżył swoją melancholię, nie mógłby znaleźć lepszego momentu na okazanie mi wsparcia. Albo i czegoś jeszcze, kto wie...

W końcu udało mi się przeczytać ze zrozumieniem kilka stronic z przedmowy Boskiego Markiza do jego własnego dzieła *Filozofia*

w buduarze. Zwracał się w niej do „libertynów” w następujących słowach:

> O, rozpustnicy w każdym wieku i płci obojga, wam i tylko wam składam w darze tę książkę: posilajcie się jej treścią, sprzyjającą waszym namiętnościom, a namiętności te, którymi straszą was zimni i płascy moraliści, nie są niczym innym jak sposobami używanymi przez naturę, aby doprowadzić człowieka do stanu, jaki sama dla niego przeznaczyła. Słuchajcie tylko tych rozkosznych namiętności; ich organ jest jedynym, który może dać wam szczęście. Kobiety rozwiązłe, niech lubieżna Madame de Saint-Ange będzie dla was wzorem, za jej przykładem miejcie w pogardzie wszystko, co zaprzecza boskim prawom rozkoszy [...]. Dziewczęta, zbyt długo trzymane w absurdalnych okowach fantastycznej cnoty i odrażającej religii, naśladujcie gorącą Eugenię; niszczcie i depczcie tak szybko jak ona wszelkie groteskowe zasady wpajane wam przez zidiociałych rodziców[4].

Myślę, że Louis nie napisałby inaczej, gdyby chciał przelać na papier swoje zamiary wobec mnie – jego zabawki, ale jeszcze nie kochanki. A jednak chociaż doceniałam trafność i wirtuozerię tych słów, nie wydały mi się przez to mniej czcze. Nie chciałam słów ani przemów. Ani lekcji, ani kazań. Nie chciałam, żeby traktowano mnie jak księżniczkę ani jak niewolnicę, jak zwykły obiekt rozkoszy ani element dekoracyjny. Chciałam tylko, żeby jeden lub drugi, David czy Louis, wziął mnie w objęcia, obdarzył czułością, tak jak ja jego zaufaniem, i żeby to jedyne uniesienie wymazało przeszłość, w której więzili mnie obaj i która mnie nie dotyczyła. Chciałam istnieć przed nimi, dla nich, wbrew nim, zamiast być tylko ciągiem koncepcji czy abstrakcyjnych rozgrywek, owoców ich rodzinnej waśni.

Oto kwestia nadal przeze mnie nierozstrzygnięta: do jakiego stopnia przyjemnie jest być dla partnera obiektem seksualnym? Czyli tak jak ja to rozumiem, wyłącznie zabawką, instrumentem, po który sięga w zależności od swych potrzeb. Dziwką na jego łasce. Sposób, w jaki

jeden z rzadkich klientów w Charmes zrobił użytek z moich ust, dotknął mnie, a wręcz upokorzył. Ten człowiek nie penetrował mojej jamy ustnej z powściągliwością właściwą przypadkowym kochankom – przeciwnie, wbijał się w nią zamaszystymi ruchami bioder, gwałtownie wciskał mi penisa do gardła, nie bacząc, że rozgniata mi nos podbrzuszem, z wyraźnym zamiarem dźgnięcia olbrzymią żołędzią chrząstek mojej krtani, gotów szczytować przy każdym kolejnym ciosie. Krztusiłam się i oburzałam w duchu na tę brutalną, degradującą inwazję mojej jamy ustnej, na narzucone przez niego uprzedmiotowienie, tak jakby ataki jego fallusa miały zakneblować mnie na zawsze, odebrać mi mowę i sprowadzić jej narząd do zwykłego otworu, którym mógłby odtąd swobodnie dysponować. Czy zareagowałabym podobnym niesmakiem, gdybym kochała tego mężczyznę? Czy mogłabym znieść status rzeczy należącej do ukochanego?
(Odręczna notatka z 14.06.2009, mojego autorstwa)

Ta myśl przypomniała mi o wykrytych przez Freda rozmowach telefonicznych Louisa z moją mamą. Dlaczego od dobrych kilku miesięcy miałby się o nią troszczyć? Co innego mogło motywować postępek tak zaskakujący, by nie rzec niestosowny, jak nie zainteresowanie mną? Czy całe to ogromne przedsięwzięcie nie było zaplanowane po to, by mnie osaczyć, by mnie zniszczyć?

Mogę teraz zadzwonić?

Fred, jakbym sprowadziła go myślami, pierwszy, który wreszcie się objawił. Nie miałam jednak głowy ani nastroju, żeby wysłuchiwać jego sarkazmów albo złośliwych komentarzy, jakimi bez wątpienia dzielili się z nim od wczoraj jego nowi koledzy.

Około południa następny SMS, tym razem lodowaty, natychmiast wyrwał mnie z marazmu.

Czekam na ciebie. D.

Wzięłam błyskawiczny prysznic i w pośpiechu wbiłam się w strój numer jeden: garnitur, naszyjnik z syntetycznych pereł i buty na prawie płaskim obcasie. Stonowany i profesjonalny.

Dwadzieścia minut później taksówka dowiozła mnie pod szklaną wieżę, lśniącą w pełnym słońcu. A jednak oglądane z zewnątrz i z dołu, żadne ściany nie mogły być mniej przejrzyste od tych gigantycznych luster. Pozornie krucha powłoka strzegła tajemnicy Barletów nie gorzej od pancernego sejfu.

Pod nieobecność Chloé drzwi gabinetu Davida były uchylone, jednoznacznie zachęcając do wejścia. Bezszelestnie wślizgnęłam się w szczelinę, marząc o zamienieniu się w cienką kartkę papieru, gdy tuż przed nosem przeleciał mi korek od szampana, poprzedzony charakterystycznym dźwiękiem.

– Czy to pani jest animatorką *Cultur'Mix*? – powitał mnie żartobliwym tonem, z butelką w ręku.

Ostrożnie trzymałam się mojego kąta, w bezpiecznej odległości od jego krzyków, a zwłaszcza dłoni.

– Noo... Na to wygląda.

Napełnił dwa stojące przed nim kieliszki, po czym podszedł do mnie, niosąc je czubkami palców. Podał mi jeden, rozpływając się w uśmiechach.

– W takim razie proszę się ze mną napić, mademoiselle... Coś mi mówi, że pani na to zasłużyła...

– Coś... mówi? – jąkałam oszołomiona.

– ...i że dobrze zrobiłem, troszkę zbierając cię do galopu. Tylko popatrz! – obwieścił radośnie, łapiąc z biurka za sobą jakiś wykres. – Oglądalność pięć koma dwa procent!

– To dobrze? – udałam naiwność.

– Żartujesz? Znasz najlepszy zeszłoroczny wynik TNT dla kanałów informacyjnych i ogólnych razem wziętych?

– Nie.

– Siedem koma osiem. A chodziło o wielki film amerykański! Pięć koma dwa dla magazynu kulturalnego, w dodatku premiery... To graniczy z cudem!

– Naprawdę?

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy: jesteśmy w pobliżu Top 20! Za pierwszym razem!

Chociaż nie w pełni chwytałam te strategiczne niuanse, jego rozbrajająca radość plus kilka łyków musującego trunku wystarczyły, żebym i ja poddała się upojeniu triumfem.

Zostało mi więc wybaczone przedwczesne i skandaliczne zejście z planu. Zapomniana sztywność debiutantki. Rozwiany lęk przed demaskacją za sprawą reportażu Louisa. Wyparowała też uraza, jaką jeszcze kilka sekund temu spodziewałam się na wieki wieków żywić do Sophii.

Pozostawała tylko ta liczba, tak nieoczekiwana i przede wszystkim tak korzystna, że w jednej chwili zamieniła mój żałosny debiut w prawdziwe „wejście smoka", klęskę w zwycięstwo, perspektywę zwolnienia w świetlaną przyszłość na antenie. Z poczucia bezbrzeżnej ulgi nagle zachciało mi się śmiać i świętować razem z Davidem. Wreszcie docenić tę niezwykłą szansę, jaką dał mi w prezencie, a ja, niewdzięczna, ledwie raczyłam z niej skorzystać.

– No więc... za drugim już się zmieścimy w Top 20! – rzuciłam od niechcenia, z idiotyczną fanfaronadą.

– Poczekaj, na razie zrobiłaś taką furorę, że od wczoraj wydzwania do mnie cały Paryż. Wszyscy chcą cię poznać, kochanie.

Oto co uzasadniało w moich oczach jego noc na biurowej kanapie, gdzie jeszcze zalegały w nieładzie prześcieradło i koc. Nie furia wybiła go ze snu, tylko radosna ekscytacja. To samo tłumaczyło również jego poranne milczenie i wreszcie telefon od Chloé zamiast bezpośrednio od niego.

– Nawet ten kretyn Haynes przyszedł mi tu płakać, żebym znów wziął go do programu! – promieniał jeszcze i jeszcze.

A gdy pocałował mnie wyjątkowo jak na niego namiętnie, uległam bez oporów, porwana tą energią i pasją, jakimi oczarował mnie od pierwszych zamienionych przez nas słów. Napoleon-David właśnie podbił nowe terytorium – częściowo z moją pomocą – a ja jako wzorowa Józefina musiałam go za to wynagrodzić. Tego przynajmniej domagała się jego ręka, nagle wsunięta w moje majtki.

Ale dzwonek stacjonarnego telefonu wyrwał ją stamtąd równie szybko.

– Że też nie ma chwili spokoju! Tak? – warknął do słuchawki po dwóch nerwowych krokach.

– To Louis – powiedział mi samymi wargami.

Informacji tej towarzyszył gest wskazującego palca, z którego wyczytałam: „Idź do swojego gabinetu, zaraz tam przyjdę".

Louis? Gdzie się przyczaił ten drapieżnik w chwili mojej próby? I co dla mnie zrobił w porównaniu z tym wszystkim, co David dał mi przez jeden jedyny dzień wytężonej pracy? Było to rzecz jasna dziecinadą, ale nie mogłam już dłużej przeganiać obrazów siebie na okładkach telewizyjnych magazynów, na ukradkiem zrobionych zdjęciach w plotkarskiej prasie, na imprezach w otoczeniu medialnych elit naszego kraju, i to nie jako adeptki, tylko równej wśród równych. Odtwarzałam sobie film z czasów moich szesnastu lat i tak jak wtedy, byłam jego heroiną – z tą zasadniczą różnicą, że już niemal na jawie, a nie w młodzieńczych snach o potędze.

O ile Louis zamykał mnie w roli kurtyzany, motyla niewątpliwie cennego, ale przeznaczonego tylko dla jego oczu, o tyle David szeroko otwierał przede mną drzwi do świata, o którym marzyłam od tak dawna. Byłam dla niego nie zabawką, lecz arcydziełem w jego muzeum, godnym wystawienia na widok publiczny, oczywiście za stosowną opłatą.

Ale ledwie znalazłam się na korytarzu, usłyszałam jego podniesiony głos, prawie krzyk, który natychmiast przerwał tok moich upojnych myśli:

– Nie mów do mnie w ten sposób! Rozumiesz? Nie waż się... Zabraniam ci...!

Na moment zastygłam pod drzwiami, jednak dźwięk mojej własnej komórki zmusił mnie do rejterady. Aby nie dać się złapać na podsłuchiwaniu, nie miałam innego wyjścia, jak ruszyć przed siebie korytarzem.

– Kurczę, Fred, źle trafiłeś. Co to za pilna sprawa?

– Twój program.

– Co mój program?

Okazał się sukcesem. „I tu cię boli, co?” – miałam na końcu języka, ale powstrzymałam się przed tą zbędną złośliwością.

– Oglądałaś telewizję od wczoraj wieczorem? Chcę powiedzieć: to, co szło na naszym kanale...

– Tak... – zawahałam się.

– Nie to, co widziałaś na monitorach w reżyserce – podkreślił dobitnie. – Prawdziwe obrazy z prawdziwego telewizora.

– No dobrze, nie widziałam... Co to zmienia?

– To, że nie było tam twojego programu.

– Słucham?

– Dobrze słyszysz: pierwszy odcinek *Cultur'Mix* nie pojawił się wczoraj wieczorem na antenie. Puścili film przewidziany w ramówce.

– Żartujesz?

Po braku natychmiastowej odpowiedzi domyśliłam się, że nie żartował. Przeciwnie, był śmiertelnie poważny.

– Skoro byliśmy tu wszyscy wczoraj wieczorem i nie mogliśmy zobaczyć się na żywo, zadzwoniłem dzisiaj rano do kumpla, po prostu z ciekawości, jak to wypadło na ekranie. Sam chciałem to sobie nagrać w domu, ale przez ten stres zapomniałem nastawić DVD.

A więc w swoim telewizorze, o ustalonej godzinie, rzeczony kumpel nie widział nic poza starym thrillerem, wyświetlanym po raz enty.

– Nie oszukuje cię? – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

– Nie. Sprawdziłem. Dla pewności zadzwoniłem jeszcze do dwóch innych, którzy nie znają się między sobą. Powiedzieli to samo.

Szczękałam zębami jak na mrozie, mimo że jednocześnie pot spływał mi po rozpalonym czole.

Niczym aktorzy podczas próby generalnej odegraliśmy zatem nasz spektakl przy drzwiach zamkniętych, bez prawdziwych widzów. We własnym gronie, sobie a Muzom.

– Słuchaj, to musi być jakiś kawał... – nie dawałam za wygraną. – Właśnie wyszłam z gabinetu Davida. Pokazywał mi nasze słupki. Podobno zrobiliśmy fu...

– To bzdury, Elle – przerwał mi. – Nie wiem, skąd wziął te dane, ale wszystkie są zmyślone. Ja też nie mogłem w to uwierzyć.

I w końcu zadzwoniłem do Guillaume'a, technika od emisji. To on steruje wszystkim, co wychodzi z tej wieży. Znamy się nie od dzisiaj, i gdy go przycisnąłem, wyśpiewał mi prawdę.

– Jaką prawdę?

– To nie przypadek ani awaria, Elle. David zadzwonił do niego osobiście w czasie twoich prób na planie.

Nadal upierałam się przy negacji rzeczywistości:

– I niby po co zadzwonił?

– Do diabła, Elle... Przysięgam, że nie opowiadam ci tego ze względu na nas ani żeby cokolwiek skleić... Ale musisz otworzyć oczy na swojego faceta!

– Po co dzwonił, powiesz mi wreszcie?

Zdusiłam krzyk z obawy, że zatrząsłby pustym korytarzem.

– Polecił mu, żeby nie obrabiał sygnału ze studia, tylko nadał o tej porze planowany film.

Nie miałam już nic do powiedzenia. W końcu do mnie dotarło.

– Ale co go napadło, ot tak sobie? I akurat w tamtym momencie?

– Nie mam pojęcia. David kontroluje wszystko ze swojego gabinetu na osiemnastym piętrze. Ma podgląd na monitory realu, w reżyserkach. Osobiście decyduje, co puścić i co zatrzymać, włącznie z programami na żywo.

– Niech ci będzie. Ale to nie tłumaczy... tego.

– Wiem tylko, że widział cię na ekranie... I że Guillaume dostał od niego to polecenie. I tyle. Znasz całą historię.

Tak, całą historię, w której mimo wszystko starałam się doszukać jakichś pozytywów, jak rozbitek na morzu, wypatrujący deski ratunku. Przynajmniej Rebecca nie będzie mnie ścigać; przynajmniej Sophia nie wystąpiła w roli *hotelle*; przynajmniej nikt nie domyśli się mojego podwójnego życia. I wreszcie, rzecz może najważniejsza w tym momencie, moje załamanie pod koniec programu nie będzie miało żadnych niepożądanych następstw.

Ale przejściowa ulga nie mogła na długo stłumić wzbierającej we mnie wściekłości. Krzyczeć? Wtargnąć do gabinetu Davida? Rzucić mu się do gardła? Spoliczkować go? Wyrównać wszystkie rachunki między nami, z dnia na dzień coraz bardziej obciążone?

Prawdę mówiąc, nie miałam nawet ochoty demaskować tej pantomimy. Ani zagłębiać się w przyczyny tego kolejnego zwrotu akcji. Miałam dość Barletów i ich numerów. Co innego usłyszałabym od Davida prócz nowych kłamstw, nowych upokorzeń? Jeszcze jednej zdrady do kompletu...

– Elle? Elle, trzymasz się?

To znowu Fred, przypominający mi o swoim istnieniu.

– Tak...

– Jesteś pewna? Chcesz, żebym przyszedł?

– Nie, nie trzeba, dam sobie radę... – odpowiedziałam, z ręką na guziku wzywającym windę. – Ale czy mogę cię o coś prosić?

– Jasne.

– Dopóki samo się nie rozniesie, nie mów o tym nikomu. Zrobisz to dla mnie?

Kabina dojechała na moje piętro i rozwarła żelazne szczęki. Wchodząc do niej, miałam wrażenie, że z własnej woli zagłębiam się w paszczę potwora, potwora wieży Barlet, który właśnie szykował się mnie połknąć. Gdy winda ruszyła w dół, sieć zanikła i nie dosłyszałam odpowiedzi Freda. Czułam tylko, że mogę mu zaufać.

Zresztą, co innego mi pozostało?

29

Kula ognia z japońskiej mangi.
Eksplozja w amerykańskim blockbusterze.
Warstwa infrabass w angielskim techno.

Ograniczyłam się do tych trzech obrazów. Wąsaty profesor byłby ze mnie dumny, niezależnie od tego, jak oceniłby same metafory, należące już do innej generacji niż jego własna. Mówiąc poważnie, czułam się unicestwiona. David, Louis, Sophia, Rebecca... a nawet moja własna matka, wszyscy mnie okłamywali. Wszyscy ukrywali coś przede mną. Każdy przedstawiał mi swoją wersję, zawsze niepełną czy wręcz fałszywą, okrojoną albo wygładzoną. Rzeczywistość, jaką mi prezentowali, przypominała wirtualne konstrukcje z gier komputerowych czy filmów SF, rozpadające się na oczach bohaterów. Ogromne twory z pikseli, nie bardziej uchwytne od marzeń sennych. Matrix dla maluczkich, dla jednej maluczkiej.

Co za ironia losu, mogę polegać jedynie na człowieku, którego porzuciłam. W upale tego letniego popołudnia, odczuwalnym już od progu szklanej wieży, zebrało mi się na śmiech zamiast płaczu. Ale z tego samego powodu: z wściekłości i bezsilności.

Już w rezydencji Duchesnois odkryłam, że nie ja jedna zostałam zmaltretowana tego dnia. Zabawy z dwoma psami musiały przybrać niebezpieczny obrót, skoro zastałam Félicité skuloną w kącie, jeszcze roztrzęsioną, z podrapanym pyszczkiem i jednym uchem nadgryzionym do krwi. Wzięłam ją na ręce, ostrożnie, żeby nie drasnęła i mnie w odruchu obronnym, po czym zabrałam się do dezynfekcji jej ran wacikami nasączonymi antyseptykiem.

Spełniwszy ten samarytański obowiązek, zamknęłam kotkę w sypialni, poza zasięgiem dwójki prześladowców. Jak widać, nie była w tym domu bezpieczniejsza niż ja sama, ale na razie nie widziałam innego rozwiązania. Czy powinnam była zawieźć ją do Nanterre? Wrócić tam razem z nią? Starałam się unikać zbyt łatwych analogii między naszymi losami, aby nie zobaczyć w poturbowaniu

mojej kotki złej wróżby adresowanej do mnie samej. Nie chciałam pogrążać się w fatalizmie i przesądach, ale okazało się to trudniejsze, niż myślałam. Nieszczęście zagarnia wszystko dookoła, lubi oplatać nas pajęczyną znaków i przepowiedni, zwykle jeszcze bardziej przygnębiających, rzadziej podnoszących na duchu. W tamtej chwili każdy szczegół ranił mnie dodatkowo i zdawał się pociągać w przepaść.

Po namyśle odrzuciłam pomysł obdzwonienia wszystkich aktorów mojego dramatu. Co więcej by mi powiedzieli? Jaką nową komedię odegrali? Mogłam tylko rzucić im w twarz mój gniew i zagubienie, a więc nic prócz emocji. Nie dysponowałam na razie żadnym namacalnym dowodem, pomijając ostatnią rewelację Freda. Czułam, że to za mało. Jedni zasłoniliby się niewiedzą, inni udali zaskoczenie: „No co ty, nikt ci nie powiedział? Przecież to była tylko próba generalna, prawdziwa premiera jest za tydzień". I nic takiego się nie stało...

Słuchać ich kłamstw, chwytać tę subtelną zmianę intonacji, to spojrzenie nagle zbaczające w bok, wszystkie nieomylne oznaki ich dwulicowości, to było dla mnie za wiele. Albo raczej za mało. W tym złowieszczym labiryncie, zbudowanym według nadal niepojętego planu – kto manipulował kim? Jaką rolę odgrywali poszczególni aktorzy? Kto ogarniał całość intrygi? – David wydał mi się postacią centralną, najciemniejszą, najbardziej nieprzeniknioną. On, promienny, słoneczny, charyzmatyczny, był w rzeczywistości prawdziwie ciemną gwiazdą albo księżycem z jednym wąskim, zwodniczym rąbkiem światła. Cała reszta tonęła w mroku, a im wyraźniej to do mnie docierało, tym bardziej zachodziłam w głowę, jak mogłam się w nim zakochać.

Co w nim zobaczyłam wtedy, w dniu naszego pierwszego spotkania? Przypomniałam sobie jego głos, tak ciepły, słodki, czarodziejski. Dlaczego nie dosłyszałam w nim innych tonów? Dlaczego tak łatwo dałam się omotać, ja, zawsze dumna z mojej przenikliwości, zauważalnej zresztą i dla profesorów z CFJ jako atut u przyszłej dziennikarki?

Ale właśnie: to był dobry trop. Trzymałam w ręku koniec nitki. Jeśli miałam uchylić rąbka tajemnicy, rozgryźć tego Davida, który

spiskował przeciwko mnie, który nadal ukrywał przede mną zasadniczą część swej przeszłości, musiałam cofnąć się do punktu wyjścia. Do przyjęcia, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Kilka ćwiczeń oddechowych plus pomruki Félicité, z wdzięcznością wtulonej w mój bok, powoli przytłumiły ogień szalejący we mnie od rozmowy z Fredem. Wkrótce opanowałam się na tyle, by wykonać kilka telefonów. Kłopotliwych, ale koniecznych.

– Mamuś? To ja. Jak się masz?

– Dobrze... skoro do mnie dzwonisz.

Wiedziałam, że mówiła szczerze, że była najdalsza od czynienia mi wyrzutów, a mimo to jej zgaszony głos ścisnął mnie za serce.

Część moich osobistych rzeczy nadal nie opuściła szuflad mikroskopijnego sekretarzyka w Nanterre. Była wśród nich luźna kupka wizytówek: kilka kontaktów zawodowych bezładnie przemieszanych z adresami barów i restauracji, jak również libertyńskich klubów i innych przybytków, gdzie Sophia produkowała się jako tancerka. Wzdragałam się na myśl o wpuszczeniu mamy w to gniazdo os, ale nie widziałam innego sposobu, żeby znaleźć namiary na...

– Marchadeau... – powtórzyłam jak najwyraźniej. – E, A, U na końcu, tak, *eau* jak woda.

Ach, gdyby wszystko było równie przejrzyste i płynne, stworzone do tego, by ugasić moje pragnienie prawdy...

– O, chyba znalazłam... François Marchadeau. Zastępca redaktora naczelnego w „L'Économiste". O to chodzi?

– Tak, to on. Podyktujesz mi numer jego komórki?

– Proszę, jakich znasz ważnych ludzi, moje dziecko!

Na razie odpuściłam sobie kwestię jej tajemniczych rozmów z Louisem Barletem. Niezależnie od roli, jaką odgrywała w machinacjach obydwu braci, mama musiała być tylko mimowolnym trybikiem, niczego nieświadomym pionkiem. Jeśli ktokolwiek na świecie kochał mnie naprawdę, to właśnie ona. Mogłam zwątpić we wszystko, ale nie w jej bezwarunkową miłość.

Głos mamy był słabiutki. Z dnia na dzień, z rozmowy na rozmowę, czułam, jak oddala się ode mnie, znika za coraz gęstszą zasłoną, zatrzymującą żywsze i weselsze nuty, aby przepuszczać już tylko ten głuchy, ochrypły dźwięk, czasami tak niewyraźny, że z trudem rozpoznawałam w nim tembr znany mi od zawsze. Niewidzialna ręka, dusząca ją od wewnątrz, już nie zwalniała ucisku i z pewnością miała zaciskać się coraz mocniej, aż do końca.

Włączywszy funkcję maskowania numeru, dzwoniłam do dziennikarza co najmniej dziesięć razy. Początkowo sygnał trwał dość długo, zanim odzywała się poczta głosowa, ale po kolejnej próbie trafiłam na nią od razu – znak, że pan Marchadeau nie chciał być dłużej niepokojony. Tego szczegółu nie wzięłam pod uwagę. Z drugiej strony, czy ja sama zareagowałabym inaczej na tak natrętne anonimowe telefony w środku niedzielnego popołudnia na łonie rodziny? Z pewnością nie. Po chwili wahania wyrecytowałam zatem starannie przygotowaną wiadomość:

– Dzień dobry François, tu Annabelle Lorand. Elle, jak pan woli. Mam nadzieję, że pan mnie pamięta. Wydaje mi się zresztą, że widziałam pana nazwisko na liście naszych weselnych gości, wie pan, w najbliższy czwartek. Co oznacza, że wkrótce się zobaczymy...

Nie dalej niż za cztery dni, dopowiedziałam sobie w myślach. Bliskość tej daty przejęła mnie drżeniem, teraz już bardziej lęku niż niecierpliwości.

– ...Proszę mnie posłuchać, dzwonię w dość nietypowej sprawie...

Jeśli chciałam przykuć jego uwagę i sprawić, że zdradziłby dwudziestoletnią, wierną przyjaźń z Davidem, musiałam blefować. Nie miałam niestety innego oręża jak oszustwo. Ale cóż – wszyscy inni posługiwali się nim bez skrupułów, teraz po prostu przyszła kolej na mnie!

–... Przez przypadek weszłam w posiadanie pewnych wrażliwych informacji na temat Grupy Barlet i samego Davida...

Celowo zawiesiłam głos. Fakt, że przyszła madame Barlet próbuje odgrzebać brudną historię godzącą w jej małżonka, miał czym zaskoczyć i zszokować starego partnera do tenisa.

– ...Bardzo proszę o telefon na następujący numer. To dość pilne. Nie chciałabym, żeby tego rodzaju plotki wpadły w niepowołane

ręce.

Tak jak się spodziewałam, François połknął haczyk. Nie minęło dziesięć minut, gdy miałam go na linii:

– Chyba jednak nie zapomniała pani, w jakich okolicznościach zawarliśmy znajomość? – zaczął zjadliwie bez „dzień dobry". – Ani kim jest dla mnie David?

– Niczego nie zapomniałam, François. Również tego, z kim zakończyłam tamten wieczór w Charmes.

Przypomnienie za przypomnienie, groźba za groźbę, każde z nas okopało się na swoich pozycjach i mogliśmy dyskutować dalej – co prawda w klimacie trudnym do zniesienia, ale za to po partnersku i szczerze. Gra pozorów nie miała już sensu. Opadły z nas maski.

– Domyślam się, że David nic nie wie o pani inicjatywie?

– Faktycznie.

– W porządku – podjął po chwili milczenia. – A więc wyjaśnijmy sobie pewne rzeczy bez owijania w bawełnę. David jest moim przyjacielem, takim, jaki trafia się raz w życiu, i nie potrzebuję ani nie chcę spędzać niedzieli na wysłuchiwaniu plotek na jego temat. Zresztą i tak znam większość z nich.

– Nie o to chodzi...

– Zawsze o to chodzi – uciął. – Zna pani Davida dopiero od niedawna, Elle. Za krótko, żeby w pełni uświadomić sobie, co to znaczy być człowiekiem tak bardzo na świeczniku, tak wpływowym, tak znaczącym dla innych. Ani co znaczy żyć w jego najbliższym otoczeniu. Na razie poznała pani same przyjemne, powiedziałbym, rozrywkowe aspekty tego życia: drzwi, które same otwierają się przed panią, sale opróżniane dla pani na jedno skinięcie palcem, barki w świetle księżyca...

Bezpośrednie aluzje i do małego cudu z tamtego wieczoru, dokonanego przez Davida z myślą o mnie, i do oświadczyn na Sekwanie... Dowód, że obaj panowie spotykali się dwa razy w tygodniu nie tylko po to, żeby odbijać piłeczkę pod białym plastikowym dachem wielce ekskluzywnego klubu La Châtaigneraie w zachodniej części stolicy. Jak daleko posuwali się w zwierzeniach, między jednym a drugim backhandem czy smeczem?

– Nie jestem ani tak młoda, ani tak naiwna, żeby wyobrażać sobie życie z Davidem wyłącznie jak bajkę. Zechce pan nie brać mnie za większą gęś, niż na to zasługuję, bardzo proszę.

Dosłyszałam dyskretny szmer uśmiechu w jego mikrofonie. François Marchadeau cenił u młodych kobiet refleks i cięty język. Może nawet był lekko podniecony moim oporem. Nasze krótkie sam na sam sprzed trzech miesięcy ujawniło mi temperament gracza, zręczniejszego i bardziej finezyjnego, niż można było sądzić po jego wycofanej i uniżonej postawie wobec dawnych kolegów z roku.

– Nie wątpię w pani inteligencję – zapewnił życzliwszym tonem. – Ale naprawdę cała reszta jeszcze przed panią: paparazzi, jadowite artykuły, intrygi zazdrośników i pochlebców... Że nie wspomnę o prawdziwych zagrożeniach.

A jednak właśnie wspomniał, pewny efektu, jaki musiało wywrzeć na mnie to słowo.

– Dać pani przykład? Jeden z naszych wspólnych przyjaciół z HEF znalazł swoją żonę z podciętym gardłem u siebie w domu. Ślady wiodły do mafii powiązanej z pewnym koncernem gazowym ze Wschodu.

– Kiedy to się stało? – próbowałam ukryć emocje pod rzeczowym tonem.

– O, dawno, z dziesięć lat temu. Ale i takie wypadki przy pracy należą do ewentualności, jakie muszą brać pod uwagę ludzie pokroju Davida.

„Wypadki przy pracy”. Użycie tego terminu w odniesieniu do śmierci niewinnej kobiety, ofiary poświęconej na ołtarzu interesów finansowych przejęło mnie zimnym dreszczem.

Ale nie zamierzałam rezygnować. Wytężałam szare komórki w poszukiwaniu koronnego argumentu, którego nie mógłby odeprzeć i który skłoniłby go do spotkania ze mną.

– Właśnie.

– Właśnie co?

– To, co chcę panu powiedzieć, dotyczy mnie. Bezpośrednio.

– W jaki sposób?

– Tu również chodzi o moje bezpieczństwo.

Mój ton i dobór słów były dostatecznie dramatyczne, żeby obudzić w nim ciekawość. Podrażnić jego dziennikarski nos. Wiedziałam o tym, jako że sama miałam ten organ, co prawda jeszcze w zalążku, ale już wrażliwy na najmniejszą zapowiedź gorącego tematu.

– Bezpieczeństwo... fizyczne? – zapytał poważnie.

– Nie, zawodowe.

Zareagował nerwowym śmiechem, przerywanym głośnymi łykami napoju, jak się domyślałam, gorącego. Być może siedział jeszcze przy niedzielnym brunchu, czymś pomiędzy późnym śniadaniem a wczesnym obiadem.

– Dobrze... Zobaczmy się, jeśli pani chce. Ale zgadzamy się co do jednego: że nie było żadnej rozmowy między nami, ani przez telefon, ani osobiście.

– Nie można być bardziej zgodnym – potwierdziłam solennie.

Te konspiracyjne rytuały wprawiły mnie w chwilową ekscytację. Przed oczami przesunęły mi się najbardziej pasjonujące sceny filmowe, korowód szpiegów i agentów, czy to prawdziwych, czy fikcyjnych... Ale dziecinne podniecenie wielką przygodą prysło równie szybko, jak się pojawiło. Wcale nie byłam w nastroju do śmiechu ani zabawy. Jeśli chodziło tu o jakąś zabawę, to nie radosną, ale perfidną, i nie z moim udziałem, ale moim kosztem. Miałam świadomość, że w grę wchodzi moje życie, którym dwóch neurotycznych braci żonglowało z całą bezwzględnością. To oni w ramach odwiecznej rywalizacji przerzucali się nim jak piłką, a ja, coraz bardziej poobijana, nawet nie rozumiałam reguł tej gry.

– Zna pani Café Marly w Luwrze, od strony Cour Carrée?

– Tak... To znaczy, wiem, gdzie jest.

– Będę tam za godzinę. I nie dłużej niż godzinę.

– Dobrze.

– Ja też mam rodzinę bliską eksplozji i wolałbym, żeby nie nastąpiło to w niedzielę wieczór, na dwa tygodnie przed letnimi wakacjami.

Użycie tych ostatnich, nieco szkolnych słów wskazywało, że mój rozmówca myślał o swoich dzieciach, na których musiało mu zależeć nade wszystko. Niby drobny szczegół, ale wymowny i jak dla mnie zawsze chwytający za serce.

Sophia: trzy nieodebrane połączenia, wyczytałam na ekranie komórki zaraz po zakończeniu negocjacji z François. Ale nie czułam się na siłach z nią rozmawiać. Nie teraz. A może... już nigdy.

Pośpiesznie wzięłam prysznic i tym razem wybrałam strój bardziej kokieteryjny od garnituru. Człowiek, z którym miałam się spotkać, nie był obojętny na moje pulchne wdzięki, o czym już wiedziałam. Tym bardziej należało skorzystać z okazji, żeby wytrącić go z równowagi i uzyskać być może coś więcej, niż sam zamierzał mi zdradzić. A więc głęboki dekolt z eksponującą biust bardotką i spódniczka do połowy uda.

Nie miałam żadnych uwodzicielskich zamiarów, ubierając się w ten sposób. Zresztą w trakcie rozmowy z Marchadeau moje kobiece atuty grały swoją rolę same, tym razem niezależnie ode mnie. Byłam ładną powłoką, ale bez sterującego nią pilota. Moje sutki pęczniały na własne życzenie. Moje uda odsłaniały się, jak im się podobało. ~~Moje łono mogło mignąć przelotnie, za cienką bawełnianą firaneczką majtek.~~ Niewiele mnie to obchodziło...

A mimo to, szykując się do wyjścia, nie mogłam pozbyć się myśli o wyzwaniu, jakie Sophia rzuciła kiedyś sama sobie w mojej obecności: znaleźć strój doskonały, zdolny rozpalić najzimniejszego mężczyznę, tak aby stracił kontrolę nad własnymi reakcjami. Zestaw złożony z sukienki, bielizny i szpilek, całość tak krótka, tak obcisła, tak przezroczysta, tak bezwstydnie eksponująca jej powaby, że nikt nie byłby w stanie zwalczyć pokusy. Każdy obserwator tego zmysłowego arcydzieła miałby nieodpartą ochotę rzucić się na nią natychmiast. Zastanawiam się, czy już znalazła ten magiczny strój na miarę swoich marzeń. Ale zaraz przychodzi mi do głowy, że w gruncie rzeczy wcale go nie potrzebuje, żeby zaciągnąć do łóżka kogo chce.

(Odręczna notatka z 14.06.2009, mojego autorstwa).

Tak ubrana, ożywiona, jak nie zdarzyło mi się od dawna, zbiegłam po wielkich okrężnych schodach, aby na samym dole wpaść prosto na Armanda:

– Annabelle... Pani wychodzi?

Mogłabym przysiąc, że zapytał o to z wyrzutem. Jego dość masywna sylwetka blokowała przejście, jakby chciał zatrzymać mnie siłą.

– Tak. Nie na długo. A co?

– Mam kilka spraw do omówienia z panią.

– Na przykład?

– No więc, dostawca baldachimu nie ma go w kolorze écru. Trzeba zdecydować się na inny. I to szybko... Inaczej zostaniemy z niczym.

Byłam w tej chwili tak daleko od baldachimów dowolnej barwy, od dostawców weselnych artykułów... i od samego tego związku, pod czymkolwiek miałby zostać zawarty...

– Później, dobrze? – rzuciłam lekkim tonem.

I już forsowałam naturalną przeszkodę w postaci Armanda, gdy zaświtał mi w głowie pewien pomył. Szybko pogrzebałam w torebce w poszukiwaniu dużego staroświeckiego klucza, który nie wiedzieć czemu stale nosiłam przy sobie. Intuicyjnie.

– Armand... Zna pan ten klucz, prawda?

Zdawał się zaskoczony, zmrużył oczy pod krzaczastym gąszczem brwi i dopiero po chwili mruknął:

– Nie, nic mi to nie mówi...

– Czy ten klucz nie otworzyłby przypadkiem drzwi do Roches brunes?

Podniósł na mnie zakłopotany wzrok, szybko ciemniejący niemą naganą. Musiał przypomnieć sobie, że nie powinnam była znać nadmorskiego gniazdka rodziny Barletów, ale przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Nie mam pojęcia. Wie pani, byłem tam może z raz czy dwa.

Wiedziałam, że kłamie, mając w pamięci słowa Louisa: „Chyba Armand zagląda tam raz do roku, żeby trochę posprzątać...”.

– Rozumiem. Sama zobaczę – zakończyłam tonem celowo enigmatycznym.

Na miejscu, to już wolałam przemilczeć. Chociaż właściwie czy nie tam mieliśmy spędzić nasz miodowy miesiąc, David i ja?

Nie byłam tylko aż tak pewna tego miodu, który nasączałby nas wzajemną słodyczą. Nie byłam już pewna niczego.

30

Samochodzik z brawurową prędkością mknął niemal pustą autostradą. Wymijałyśmy głównie ciężarówki łamiące zakaz jazdy w niedzielę, a ich szoferzy odprowadzali nas tęsknym wzrokiem. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, znikając jedynie wtedy, gdy wjeżdżałyśmy w któryś z tuneli, licznych zwłaszcza w miarę zbliżania się do punktów pobierania opłat. Poza tym Sophia zwalniała tylko przed radarami zapowiadanymi przez tablice na poboczu. Od wyjazdu z rue de la Tour-des-Dames nie zamieniłyśmy jednego słowa – zresztą nawet gdybyśmy chciały, wiatr w otwartym kabriolecie, wdzięcznie rozwiewający ciemne loki mojej przyjaciółki, i tak nie pozwoliłby nam rozmawiać.

– To ty masz teraz samochód? – zdziwiłam się tylko przez telefon lodowatym tonem.

– Nie. To samochód Peggy. Ale zawsze mi mówiła, że gdybym potrzebowała...

Peggy. Jej druga najlepsza przyjaciółka. Ta, z którą łączyły ją wspomnienia dzieciństwa i którą w przypływie życzliwości wprowadziła do agencji jeszcze przede mną.

– No faktycznie, to chyba ten dzień jak żaden.

Peggy, przynajmniej według Rebekki, okazała się „dziewczyną konfliktową, z tych, co to lubią stwarzać problemy". Opuściła Piękności Nocy w burzliwych okolicznościach, wcześniej oskarżywszy jednego z klientów o gwałt. Klient ów uparł się zakończyć wieczór gdzie indziej niż w Charmes, w przybytku, jak można się domyślać, mniej dźwiękoszczelnym niż prowadzony przez monsieur Jacques'a. A tam z kolei, na własne nieszczęście, próbował jak najwierniej odtworzyć pikantne sceny z pewnego erotycznego bestsellera, co nie spodobało się Peggy, dziewczynie delikatnej i drobnej, której główny atut polegał na nieproporcjonalnie obfitym biuście, bardzo ważnym w naszym fachu. Sprawa otarła się o policję i prokuraturę, a zakończyła ją dopiero ugoda finansowa – wielce korzystna dla małej Peggy, ale zdecydowanie mniej dla reputacji firmy pod kierunkiem madame Sibony.

Garbus z odkrytym dachem skręcił w inną autostradę, prosto na północny zachód. Z każdą sekundą coraz bardziej oddalałyśmy się od stolicy i od rewelacji z ostatnich godzin... aby w końcu wrócić do nich z nowymi atutami w ręku. Wiedziałam o tym i właśnie dlatego tak pilnie potrzebowałam Sophii, zdrajczyni.

Dwie godziny wcześniej taras Café Marly pękał w szwach od turystów rozkoszujących się piękną czerwcową niedzielą. Wokół nas mówiono we wszystkich językach z wyjątkiem francuskiego. Dyskrecja zapewniona. Nie wątpiłam, że to ten wzgląd przesądził o wyborze lokalu przez mojego konspiracyjnego wspólnika.

François Marchadeau zjawił się spóźniony dziesięć minut, bez słowa przeprosin. W zamian wskazał mi dziedziniec Luwru ze słynną szklaną piramidą i rzucił tytułem zagajenia:

– Czy wie pani, że to André Barlet podsunął Mitterrandowi pomysł tej piramidy?

– Nie... – przyznałam, aczkolwiek sceptycznie.

Kto rozpuścił taką pogłoskę? Sami Barletowie? Mogłam sobie wyobrazić, że André, tak jak Pierre przed nim i David po nim, przemierzał korytarze Republiki w poszukiwaniu poparcia. Na pewnym poziomie wszystko staje się polityką. Wszystko rozgrywa się lub przegrywa w zaciszu ministerialnych gabinetów. Ale żeby od razu brać to za dostęp do ucha prezydenta... Do ucha Sfinksa?

– Z oczywistych powodów Mitterrand nie mógł przenieść się z Pałacu Elizejskiego do Luwru, choćby nie marzył o niczym innym. Ale w wąskim gronie zdradzał, że zależy mu na wyraźnym znaku prezydenckiej władzy.

– Jakiego rodzaju znaku?

– Symbolicznym. Mówiąc wprost, chciał atrybutów monarchy, rezygnując z samego tytułu. I właśnie wtedy André miał tę genialną myśl, nawiązującą do mitologicznego przydomka, tak chętnie używanego przez przeciwników Mitterranda. A co widzimy za kamiennym sfinksem w Gizie... jak nie piramidę?

Sączyłam monaco, tym razem idealne w proporcjach, zdecydowana skrócić erudycyjne popisy mojego towarzysza. Nie

miałam w tej chwili głowy do niezliczonych anegdot, z których rodzina Barletów pracowicie tkała własną legendę. Nie byłam ich biografem, jeszcze mniej hagiografem... Jeśli już, to dziennikarką. A przede wszystkim biedną, zagubioną dziewczyną spragnioną prawdy na własny, prywatny użytek.

– Czy interesuje pana, co mam do powiedzenia... czy ustawiamy się tam, żeby zwiedzać?

Wskazałam ręką ogromną kolejkę, ciągnącą się od przeszklonej piramidy, czyli wejścia do Luwru, aż po łuk Carrousel. Ubrany naprędce, w płóciennych spodniach i polo z krokodylkiem, François pasowałby do tego tłumu turystów obwieszonych plecaczkami i sprzętem fotograficznym.

– Jest pani równie śliczna jak w moich wspomnieniach – odpowiedział mi zupełnie nie *à propos*, ze zniewalającym uśmiechem.

– Chyba jednak nie aż tak bardzo, żeby zasłużyć na pokazanie w telewizji.

Nie przestaje mnie dziwić, jak głęboka przepaść dzieli pod tym względem obie płcie. My, kobiety, łatwo zapominamy mężczyzn, którzy nas kochali, ~~posiadali, przelatywali, w zależności od wkładanego w to serca~~. Tak przynajmniej twierdził autor pewnego artykułu na ten temat, a ja przyznaję mu rację. Nie zapominam uczuć żywionych do byłych kochanków, ale ich ręce na moim ciele, ich penisy we mnie, wszystkie te wrażenia zacierają się nieodwołalnie. I nie mam już wobec nich żadnych oczekiwań; do niczego nie pretenduję.

Mężczyźni tymczasem traktują dawne zdobycze jak swoją własność, niezależnie od upływu czasu. W ich odczuciu ciało raz posiadane nadal do nich należy, choćby minęły lata i choćby wcale go już nie pragnęli. To irracjonalne przekonanie tłumaczy wiele męskich zachowań, na przykład bardzo powszechną skłonność do sypiania z byłymi partnerkami, ~~powrotu do znajomych łon,~~ podczas gdy kobieta uznałaby taką zachciankę za niewczesną, niepojętą czy wręcz niestosowną.

(Odręczna notatka z 14.06.2009, mojego autorstwa)

Po tym wstępie wtajemniczyłam go pokrótce w dzieje mojego poronionego dziennikarskiego debiutu: przygotowanie *Cultur'Mix* w rekordowym tempie, zaskakującą i arbitralną decyzję o przesunięciu terminu na następny dzień i wreszcie szczyt wszystkiego, pozorowaną emisję wraz z kłamstwami o rewelacyjnej oglądalności. Moja opowieść, podbarwiona wzburzeniem i goryczą, starannie pomijała rzecz jasna wątek dotyczący Louisa i wycelowanego we mnie reportażu o *hotelles*.

Później pozostało mi już tylko przełożyć ten sam schemat na inne programy i inne młode dziennikarki przede mną, aby zawyrokować:

– David robi, co chce, manipuluje programami i fałszuje dane, żeby promować podwładne, z którymi sypia... Albo zamierza sypiać.

Wzrok Marchadeau zatrzymał się o sekundę za długo na moim dekolcie, tak jakby szukał w nim zrozumienia dla motywacji przyjaciela, po czym podniósł się na mnie, pozbawiony wyrazu i ewidentnie zblazowany:

– Gdyby nawet tak było, to, jeśli wolno mi zauważyć... akurat pani udało się lepiej niż innym, co? Jakoś nie słyszałem, żeby David oświadczał się pierwszej dziewczynie, która wpadła mu w oko.

– Szef telewizji okłamuje pracowników, trwoni pieniądze firmy na prywatne cele... i to pana nie szokuje?

– Wie pani, gdybym miał się wzruszać każdą machlojką prezesów z CAC 40, nie rozstawałbym się z chustką do nosa, Elle.

Nie dosłyszałam w tym cynizmu, bardziej stwierdzenie faktu. Trzeźwy osąd rzeczywistości, która być może nie była po jego myśli, ale której nie czuł się na siłach ani nie zamierzał zmieniać na bardziej etyczną.

– Proszę mi wierzyć – ciągnął z naciskiem. – Nie traktuję pobłażliwie mętnych kombinacji wielkich szefów. David o tym wie. Spieraliśmy się o to tysiąc razy, ilekroć sam robił coś podobnego albo gdy krył swoich kolegów.

– Ale najwyżej w cztery oczy, prawda? – podchwyciłam z pogardą. – Do wiadomości publicznej, na łamach pana gazety, nie przedostało

się nawet słowo z tych sporów!

– Gdybym zdecydował się na taką krucjatę, byłbym spalony i poza grą. Nie muszę pani tego tłumaczyć, nie jest pani aż tak naiwna: opozycja jest znacznie skuteczniejsza, jeśli działa za kulisami. Lepiej udawać uległość wobec księcia niż rzucać się na wiatraki ze sztandarem łopoczącym na wietrze.

Jego donkiszotowska metafora niespecjalnie mnie przekonała. Czy kiedykolwiek naprawdę zrobił militarny użytek ze swojego pióra? Czy kiedykolwiek urwał się spod władzy „książąt", którzy trzymali go w ręku, aby głośno wyartykułować to, o czym szeptało się w redakcyjnych biurach i kantynach?

– Pana lojalność musi budzić podziw. David jest szczęściarzem, mając takich przyjaciół jak pan... – udałam, że biorę jego stronę. – Z kolei ja... Proszę mi wybaczyć, jeśli grzeszę zbytnią naiwnością, ale zachowałam jeszcze pewne złudzenia co do naszego zawodu.

Cały efekt mojej riposty krył się w tym zaimku, celowo łączącym nas oboje. Dwójkę dziennikarzy, mimo przepastnej różnicy wieku i doświadczenia.

– Proszę darować sobie śpiewkę o moralności, która ulatnia się z wiekiem, Elle... Nie pani.

Jego kolej na wymowny podtekst. To „pani", powiedziane z takim naciskiem, nie odnosiło się do grzecznej panienki siedzącej na wprost niego, tylko do dziwki, jaką parę miesięcy wcześniej zafundował sobie w Charmes za kilka banknotów. Mimo oczywistego ryzyka postanowiłam pójść tą drogą, właśnie wskazaną mi w niedwuznaczny sposób:

– Pan decyduje o własnej postawie, François. To pana wybór – blefowałam. – Tak jak moim wyborem będzie opowiedzieć Davidowi, gdzie i jak skończyliśmy tamten wieczór.

– Tego pani nie zrobi – próbował przekonać sam siebie bardziej niż mnie. – Ma pani zbyt wiele do stracenia.

– Myli się pan, już i tak straciłam najważniejsze.

– Cóż takiego?

– Moje złudzenia. Co do niego... co do pana.

Zrobiłam gest majestatycznego odejścia, starannie obciągając spódniczkę przy wstawaniu. Ale w tym samym momencie jego ręka

chwyciła mój nadgarstek i zatrzymała go na brązowym blacie stolika.

– Niech pani zaczeka...

– Proszę mnie puścić – powiedziałam stanowczo, choć spokojnie.

– To, co mi pani opowiada, jest niczym w porównaniu z moimi informacjami na temat Grupy Barlet...

Zwolnił moją rękę, pewien, że już nie odejdę. I rzeczywiście, szybko opadłam z powrotem na mój purpurowy fotel.

– Naprawdę? – prowokowałam, żeby powiedział coś więcej.

– Naprawdę.

Zgarbił się, jakby nagle przytłoczony niewidzialnym ciężarem. Wydawał się już wyczerpany tym, co dopiero miał mi zdradzić. Jego oczy uciekły na chwilę ku otwartym arkadom przepuszczającym w naszą stronę ożywczy zefirek. Pozbawiony ciemnych okularów, raz po raz mrugał powiekami w walce z promieniami słońca wymierzonymi prosto w nasz skrawek tarasu.

Usunąwszy się ponownie w cień, zmierzył mnie dwuznacznym spojrzeniem, które mogłam rozszyfrować tylko tak: byłam jednocześnie czymś najgorszym i najlepszym, co go ostatnio spotkało. Przekleństwem, ale i okazją, z pewnością niespodziewaną. Szansą, żeby przeciąć więzy łączące go z Davidem. Godziną zemsty, momentem zatopienia zębów w ręce, która od tak dawna przyginała mu kark. Za mocno i za długo.

– Jesteśmy zgodni – podjął półgłosem. – Nie spotkaliśmy się dzisiaj, ani ja niczego pani nie powiedziałem.

– Oczywiście.

Przełknął dwa łyki piwa, a gdy odstawił szklankę, miał jeszcze nad górną wargą nieco piany. Nad ustami, które przyciskałam do swoich tamtego wieczoru, pomyślałam mimo woli, czując niestosowność tej myśli.

– Grupa Barlet nie robi wyłącznie programów telewizyjnych we Francji.

– To akurat wiem.

– Tak... Ale nie wie pani, że produkcja grupy pochodząca z pewnych krajów nie ma w sobie nic konwencjonalnego.

Już domyślałam się do czego zmierzał, ale musiałam słuchać dalej.

– Co to za produkcja?

– Porno. I to dość ostre. Za pośrednictwem kilku spółek przykrywek, rozumie się samo przez się.

Nawiązania do tytułów znanych filmów z upodobaniem praktykowane przez branżę pornograficzną zawsze wywoływały uśmiech na mojej twarzy. I rumieniec. Przeminęło z wytryskiem, Poszukiwacze zaginionej szparki, Sperminator i tym podobne parafrazy były dla mnie jednocześnie dowcipne i żenujące. Począwszy od tego filmu, jaki sama mam przed oczami podczas moich samotnych przyjemności: wyobrażam sobie głównego bohatera, równie hojnie wyposażonego przez naturę, co pełnego wigoru, jak wychodzi z ekranu, aby zaspokoić mnie w moim pokoju. ~~Honoruje mnie długo i namiętnie, nie oszczędzając żadnego z moich otworów.~~ Chociaż pojawił się przypadkiem, w końcu lepiej mu ze mną niż z wypchanymi silikonem aktorkami, które pozbawione partnera niecierpliwią się po drugiej stronie lustra. Nie pozostaje im nic innego, jak obserwować nas, aktora i mnie, w pełnej demonstracji naszego (prawie) doskonałego doboru seksualnego. W rzeczywistości jego członek jest za duży jak na mnie, co zmusza nas do przyjmowania takich pozycji, żeby tylko jego żołądź i górna, najwęższa trzecia część trzonu wchodziła mi do pochwy. A tytuł tego arcydzieła wyświetlanego w jednym jedynym kinie moich fantazji? Może Obcy – decydujące starcie, tym razem bez parafrazy.
(Odręczna notatka z 14.06.2009, mojego autorstwa).

Po chwili przeżuwania tej rewelacji zapytałam jak gdyby nigdy nic:

– I co z tego? W końcu wiele znanych grup medialnych wcale nie ukrywa, że są również producentami filmów dla dorosłych. I nikomu to nie przeszkadza, ani publiczności, ani zwłaszcza udziałowcom.

– Ma pani rację. Dlatego i w tym przypadku interesująca jest nie tyle treść, ile warunki, w jakich powstają te produkcje.

– To znaczy?

Odchrząknął i zwilżył gardło następnym łykiem bursztynowego płynu.

– Młode kobiety, potencjalne aktorki w filmach tej kategorii, są znacznie tańsze, a także znacznie mniej oporne w krajach położonych na wschód: na Węgrzech, w Bułgarii, republikach bałtyckich... Niektóre grają nawet za darmo. I począwszy od tego momentu, przedsięwzięcie staje się naprawdę atrakcyjne dla producenta i dystrybotora w rodzaju Grupy Barlet. Ekonomicznie, ma się rozumieć. Koszty zredukowane do minimum, zyski maksymalne.

– Jak to za darmo?

Nie mogłam powstrzymać się od tego okrzyku zdumienia.

– No, bez mała. Lokalny producent postępuje w myśl zasady coś za coś: dziewczyna wystąpi w trzech czy czterech pornosach, a on załatwi jej legalną kartę pobytu w wybranym kraju: Francji, Anglii, Niemczech. Łapówka dla odpowiedniego urzędnika zawsze wychodzi taniej niż gaża gwiazdy porno *made in France*.

Jeden szczegół pozostawał dla mnie niepojęty.

– Ale gdzie tu interes producenta? Jeśli te dziewczyny cenią się tak tanio, nie łatwiej byłoby po prostu zapłacić im za występ?

– Z pewnością. Ale metody webrunku, o jakich pani opowiadam, pozwalają znacząco powiększyć pulę zasobów ludzkich, że tak się wyrażę. A więc i częściej oferować produkty nowe – mówię o aktorkach – jako że zawsze znajdzie się więcej kandydatek do imigracji niż do podwójnej penetracji. W branży porno praktycznie nie działa system gwiazdorski. Są najwyżej dwie–trzy aktorki naprawdę znane, których nazwiska przekładają się na wzrost sprzedaży.

Miałam wrażenie, że mówi mi o gotowych daniach z działu mrożonek w supermarkecie.

– To ohydne...

– Niewątpliwie. Ale wydaje się znacznie mniej obrzydliwe, gdy jest pani doktorem chemii i zarabia trzysta euro miesięcznie, bez jakichkolwiek perspektyw rozwoju w swoim kraju. Młode lekarki czy nauczycielki, jak pani woli, powtarzają sobie, że to tylko czarna chwila w życiu w zestawieniu z eldorado, jakie tu później znajdą.

Podsumowywał zjawisko w sposób dosadny, ale niestety niepozbawiony realizmu.

Ten brak złudzeń, ta wyostrzona świadomość, jaką słyszałam w jego słowach, a także czytałam w ściągniętych rysach twarzy – z trudem uznałabym go za rówieśnika Davida; wyglądał przynajmniej dziesięć lat starzej – ujawniały się w nim jednak dziwnie wybiórczo... Jak to możliwe, że ja sama nie padłam ich ofiarą w dzień naszego poprzedniego spotkania?

Pytanie nasuwało mi się tym bardziej, że nie mogłam przecież tracić z oczu prawdziwego tematu naszej obecnej rozmowy: pewnej gali z wyższych sfer, na której David pojawił się w moim życiu po raz pierwszy.

– Dlaczego nic mu pan nie powiedział?

– O czym?

Zdawał się budzić ze złego snu.

– O mnie. O tym, kim dla pana byłam tamtego wieczoru...

– Davidowi?

– Tak, Davidowi. Wasze spotkania, wasze partie tenisa... Miał pan mnóstwo okazji, żeby to zrobić. Wystarczyłoby przemilczeć kilka detali zbyt kłopotliwych dla pana.

Tych poznanych w pozycji leżącej, w staroświeckich dekoracjach pokoju Józefiny, Maty Hari czy innej gorącej kurtyzany.

Skoro nie wiedział, co mi odpowiedzieć, brnęłam dalej, jakbym chciała jeszcze głębiej wbić drzazgę sprawiającą mi nieznośny ból:

– To chyba wręcz obowiązek wobec przyjaciela, nie sądzi pan? Ostrzec go, kim jest kobieta, w której się zakochał, przekazać mu, co się odkryło, uchronić przed mezaliansem... Może pan nazwać mnie hostessą, *escort girl*, *hotelle* czy jak pan chce... Tak czy inaczej tamtego wieczoru nie byłam niczym innym jak dziwką.

Wytrzeszczył oczy w bezbrzeżnym, niemal dziecięcym zdziwieniu. Widziałam, że nie było ono udawane. Mała dziewczynka kręcąca się po tarasie kawiarni w alejce tak ciasnej, że z trudem mijali się w niej dwaj kelnerzy, z impetem potrąciła jego fotel. Nawet nie zareagował, nie odrywał ode mnie oczu, z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

– Ależ, Annabelle... – wykrztusił wreszcie. – Przecież David doskonale wiedział kim, a zwłaszcza czym była pani dla mnie tamtego wieczoru.

Mimo narastającego szumu w uszach usłyszałam to wyraźnie.

Słowa François odbiły się od łuków galerii i ponownie spadły na mnie jak kamienie. Tylko inni goście wokół nas spokojnie pili kawę jak gdyby nigdy nic. No tak, to mój świat walił się w gruzy, żaden inny.

– Skąd pan ma taką pewność?

– Skąd mam pewność... – powtórzył machinalnie. – Więc nic pani nie wie o jego działalności poza branżą audiowizualną?

– Jakiej działalności?

Uchwyciłam się mojej szansy obiema rękami, jakby miała uciec mi na zawsze.

– Agencja Piękności Nocy...

– ...?

– Należy do niego – dokończył głuchym głosem, świadomy zdawanego mi ciosu.

A zatem jako godny kontynuator swego dziedzictwa, nastawiony na dywersyfikację i rentowność rodzinnej grupy, David zainwestował w coś, co jednakże pozostało dla niego tylko ubocznym małym biznesem, dowiedziałam się od François Marchadeau.

Innymi słowy: żadna dziewczyna z katalogu Rebekki nie była mu całkowicie obca – znał ją przynajmniej z twarzy, widzianej na połyskliwym papierze albo ekranie komputera – i oczywiście z reputacji, o ile nie jeszcze bliżej.

Nie powiedzieć więcej ani słowa.

Nie zdobyć się nawet na „do widzenia”.

Wyjść z kawiarni w miarę pewnym krokiem. Nie przewrócić po drodze żadnego krzesła ani dziecka.

Dotrzeć do najbliższej stacji metra.

Zaszyć się w wagonie z nadzieją, że już nigdy nie trzeba będzie opuszczać podziemnego tunelu, a ostry świst kolejki uniesie i rozwieje to, co jeszcze ze mnie zostało.

Wrócić do pustej rezydencji Duchesnois i spakować torbę, wrzucając do niej na chybił trafił kilka rzeczy. Bez zastanawiania się nad ich przydatnością ani nad czasem pobytu gdzie indziej.

Zadzwonić do Sophii, z ołowianą kulą w brzuchu i drugą w gardle, a więc i mówić zduszonym, przerywanym głosem, ledwie pozwalającym na wykrztuszenie czegokolwiek. Wyczuć alarm na drugim końcu linii, u przyjaciółki, którą ciągle pozostała, na dobre i złe.

Później, w oczekiwaniu, aż zabierze mnie daleko stąd, zapaść się w fotelu w salonie, z Félicité na kolanach i bezmiarem łez pod powiekami. Niezdolnych do wypłynięcia, tak jak nie byłam zdolna pojąć, co dzieje się wokół mnie.

Otworzyłam drzwi, zdecydowana czekać przyjazdu Sophii na ulicy, gdy przed bramą pojawił się ktoś inny. Ze zdziwieniem rozpoznałam w przybyszu małego Ysiama, zaaferowanego jak zwykle, z niewielką paczką w przezroczystej reklamówce. Nie myliłam się: Ysiam był ewidentnie trybikiem w mechanizmie miażdżącym mnie dzień po dniu. Niewinnym ogniwem, które jednak miało swój udział w przewodzeniu niszczycielskiej siły, jakiej nie umiałam się oprzeć.

– Dzień dobry, mademoiselle.

– Dzień dobry, Ysiam.

– Pani wyjeżdża?

– Tak... – wymamrotałam, jakby przyłapana na gorącym uczynku. – Nie na długo. Co pana tu sprowadza?

– Przesyłka dla pani.

– Od kogo?

– Nie wiem. Monsieur Jacques kazał mi ją doręczyć. No to doręczam.

I tyle. Ysiam, ogniwo przewodzące, właśnie wywiązał się ze swojej misji.

– Rozumiem. Więc poproszę, co pan dla mnie ma.

Uchyliłam bramę, żeby wsunął w nią reklamówkę, po czym odprawiłam posłańca uśmiechem nieskończenie mniej słodkim i rozbrajającym niż jego własny.

– Mam nadzieję, że to dobre wieści – dodał kurtuazyjnie, już odchodząc.

– Tak. Ja też mam taką nadzieję.

Na bruku małego okrągłego dziedzińca otworzyłam paczkę drżącymi rękami. W rzeczywistości nie miałam nadziei na nic, niczego się nie spodziewałam. Chciałam tylko wyjechać stąd. Wyjechać i zrozumieć. Wiedziałam też, że w tym pudełku, tak jak w innych, znajdę więcej tajemnic niż odpowiedzi.

Ale o dziwo, żadnej magnetycznej karty z Charmes. Żadnego liściku wyznaczającego spotkanie. Na tekturowym dnie leżał jeden jedyny przedmiot z dołączonym kawałkiem brystolu. Wyjęłam z pudełka maskę, wenecką maskę, podobną do tej, w jaką Louis ubrał mnie już na jednej z naszych wcześniejszych schadzek. Niedbale upchnęłam nowy prezent w torebce i dopiero wtedy sięgnęłam po biały prostokąt. Na odwrocie widniało jedno przykazanie. Jedno więcej. Siódme, ale pierwsze, któremu już nie zamierzałam się podporządkować:

7. Nieznane osobiście zgłębisz.

A jednak, pomyślałam, wkrótce wybita z melancholii przez pisk opon tuż obok mnie, nie szykowałam się przecież na nic innego. Jak grotołaz przed zejściem w czarną dziurę, w której musiałam się odnaleźć.

31

Słońce, dotąd tak łaskawe, powoli zaczynało niknąć za horyzontem, a powietrze nabrało rześkości. Zatrzymałyśmy się w przydrożnym zajeździe ze stacją benzynową, żeby zatankować garbusa. Nawet nie zapamiętałam nazwy tego miejsca. Na dwa tygodnie przed wakacjami nie było jeszcze zbyt oblegane, hałaśliwe ani zaśmiecone jak przez cały sezon letni.

Sophia uzupełniła bak do pełna za gotówkę, którą jej dałam. Nadal nie zamieniłyśmy jednego słowa. Dopiero dobre sto kilometrów dalej, w chwili skrętu w prawo, w odnogę autostrady w kierunku Rennes, wreszcie przerwałam uporczywe milczenie. Dlaczego akurat wtedy? Nie wiem. Może po prostu do tego dojrzałam. Zresztą długie dąsy nie leżały w mojej naturze. Skoro zdrada już się dokonała, chciałam przynajmniej zrozumieć jej motywy. Przynajmniej wiedzieć.

– Jak spotkałaś Louisa? – zaatakowałam ją wprost.

– Nie miałam pojęcia, że to Louis Barlet, daję ci słowo.

Wydawała się szczera.

– Myślałaś, że kto to jest?

– Klient... klient jak każdy inny.

Pierwsze ukłucie w sercu: a więc spali ze sobą, to już nie ulegało wątpliwości.

Ponieważ teraz ja prowadziłam, z rękami zaciśniętymi na kierownicy, nie mogłam wyrazić wzburzenia żadnym gestem. Na ułamek sekundy zamknęłam tylko oczy, dopóki Sophia nie nie krzyknęła:

– Co ty wyprawiasz? Uważaj!

Wróciłam do siebie i do niej.

– Nie powiedział ci, jak się nazywa?

– Nie. Zawsze przedstawiał się jako Richard.

Richard, imię jego szofera.

– Ale to nic dziwnego – paplała byle co. – Wiesz tak samo dobrze jak ja: wielu z nich woli zachować pełną anonimowość, na wszelki wypadek...

Na wypadek, gdyby żona okazała się zbyt dociekliwa. Na wypadek, gdyby przyszło nam spotkać się w okolicznościach... mniej prywatnych. Albo na wypadek, fakt, że mało prawdopodobny, gdyby rzeczony klient był szwagrem (i kochankiem) naszej najlepszej przyjaciółki. Dlaczego nie?

– Często go widywałaś?

– Dwa, trzy razy, nie pamiętam dokładnie.

Tym razem kłamała: oczywiście pamiętała dokładnie i liczbę, i okoliczności ich spotkań. A jednak, jak poznałam po niepewnym i skruszonym tonie głosu, tak do niej niepodobnym, starała się mnie oszczędzać. Mimo wściekłości, której nie byłam w stanie pozbyć się do końca, w głębi duszy byłam jej za to wdzięczna.

– A... jak to się stało, że zaproponował ci ten wywiad?

– Mówił, że jest dziennikarzem i pisarzem.

– A nie wspomniał, dla kogo pracuje?

– Nie. Tylko tyle, że robi materiały jako freelancer, a potem sprzedaje je różnym producentom, agencjom prasowym albo bezpośrednio stacjom telewizyjnym. I strasznie to bagatelizował, przekonywał mnie, że to się na pewno nigdy nie ukaże.

Cóż, sama zawsze podziwiałam, jak Louis potrafił wplatać źdźbła prawdy między najgorsze kłamstwa. A Sophia z pewnością nie miała okazji zidentyfikować u niego tego dołeczka w prawym policzku, jedynego szczegółu, który na pewno nie kłamał.

– A zakazy Rebekki? Przecież wiedziałaś, że nie wolno nam opowiadać o naszych zleceniach.

– Tak, jasne... Ale gwarantował mi pełną anonimowość. Zapewniał, że nikt mnie nie pozna, ani po twarzy, ani po głosie.

Nikt, oczywiście – poza mną...

– Zapłacił ci za to?

Utkwiłam wzrok w lusterku wstecznym, szykując się do wyprzedzenia samochodu przed nami. Manewr ten zwolnił Sophię z natychmiastowej odpowiedzi, ale nie dałam się zwieść. Uporczywe tik-tak kierunkowskazu brzmiało mi w uszach jak wyznanie.

– Więc? – powtórzyłam. – Dużo ci zapłacił?

– Dwa tysiące.

– Euro?

O mało się nie zaksztusiłam.

– No... przecież nie kopiejek.

– W gotówce, prawda?

– Tak. Banknotami po pięćset. Wiesz, nigdy wcześniej nie miałam takich w ręku. Dziwne wrażenie. Nie wyobrażasz sobie, jakie to daje poczucie... potęgi, pewności siebie!

W tym kontekście coś, co początkowo wydało mi się nożem w plecy, nagle ukazywało swój prawdziwy wymiar: Sophia zgodziła się z czystej konieczności, z instynktu przetrwania. No dobrze, również z chciwości. Ale to Louis wiedział o niej dostatecznie dużo, żeby wystąpić z taką ofertą i mieć pewność, że zostanie przyjęta bez wahania i skrupułów.

Nie mogłam uwierzyć w przypadkowość wyboru do tego celu właśnie jej, mojej najbliższej przyjaciółki. A w jego niewinność jeszcze mniej. To ja, znów ja i nikt inny byłam celem knowań Louisa, tym razem wyjątkowo perfidnych.

Mimo tej pewności mnóstwo detali nadal domagało się wyjaśnienia. Niezliczone pytania pozostawały bez odpowiedzi. Gdyby nadanie tego reportażu miało godzić we mnie, czego spodziewał się Louis? Że zostanę zwolniona? Że zrezygnuję sama? Owszem, moje odejście z BTV jeszcze bardziej wydawałoby mnie w jego ręce, to pewne. Ale czy naprawdę potrzebował do tego upokarzać mnie aż tak?

Słupek za słupkiem, kilometr za kilometrem, moje wątpliwości stopniowo zmieniały adresata, przechodziły z Louisa na Davida. Bo – i w tym zdawało się tkwić sedno tajemnicy – jeśli David od początku wiedział, kim jestem... po co Louis miałby mnie szantażować?

Moje myśli mąciły się coraz bardziej, jak zmierzch okrywający zielony pejzaż najpierw różowo-szarą mgiełką, a z czasem już tylko jednolitą, coraz gęstszą szarością.

– Spotkałaś się z nim później?

– Po tym nagraniu już nie. Rebecca mówiła mi, że „Richard” chciał mnie zobaczyć z raz czy dwa, ale odmówiłam. Wydało mi się jednak trochę dziwne, pójść do ło...

Poprawiła się z zażenowaną miną:

– ...spotkać się z człowiekiem, który robił ze mną wywiad. Zwłaszcza na ten temat.

Jej osłupienie, jej panika na widok Louisa w lasku Vincennes nie były udawane. Tak jak wstyd, który od tamtego czasu trzymał ją z dala ode mnie. Sophia nie miała pojęcia, w jakie machinacje dała się mimowolnie wplątać, a jednak już coś przeczuwała. I jak poznałam po jej zmieszaniu, po wzroku wbitym w szary plastik drzwi, rozumiała z tego wszystkiego jeszcze mniej niż ja.

A jednak nie byłaby sobą, gdyby nie spróbowała rozluźnić atmosfery:

– Ale cokolwiek by powiedzieć, on musi być nieźle szurnięty... – rzuciła niemal żartobliwym tonem.

– Dlaczego tak mówisz?

Wreszcie odwróciła się do mnie, z szelmowskim uśmiechem w charakterze przeprosin:

– Nie mów mi, że nie widziałaś jego tatuaży?

– Widziałam, A, D... Bo co?

Zacytowałam z głowy dwie litery widoczne spod ubrania, jakie mogłam dojrzeć w czasie naszych przechadzek. Rozbawiony wzrok Sophii zdradził mi jednak, że w przeciwieństwie do mnie miała zaszczyt zobaczyć ich więcej i że ta całość skrywała następne tajemnice.

– Zaraz, zaraz, to przecież tylko wierzchołek góry lodowej! Same końcówki Alphabetmana!

– Alphabetmana? – z trudem powstrzymałam śmiech. – A cóż to takiego?

– Nie opowiadał ci? Ma na ciele cały alfabet...

– Tak, to wiem – przerwałam jej nie bez irytacji.

– No i co, to nie jest szurnięcie? Poświęca cztery czy pięć lat, żeby wytatuować sobie na skórze dwadzieścia sześć liter alfabetu. I to niejednakowych, bynajmniej: różniących się wielkością, czcionką, stylem i tak dalej.

– Wariactwo... – zgodziłam się blado.

W głębi duszy miałam jednak bardzo mieszane uczucia. Alfabet wytatuowany na ciele był oczywiście dziełem szalonym, ale jednocześnie cudownym. Idealnie zgodnym z nim samym. Idealnie

spójnym. Sophia nie musiała tłumaczyć mi powodów tego przedsięwzięcia, rozumiałam je bez żadnej podpowiedzi: Louis marzył o utrzymywaniu się z pracy piórem. Oddałby wszystko, żeby móc pisać i nie robić nic więcej. Aż do zatracenia się w pisaniu, nie tylko duszą, ale i ciałem. Postrzegał swoje ciało jak żywą paletę, rezerwuar liter do wykorzystania w sztuce pisarskiej.

Przez chwilę wyobrażałam sobie nagie ciało mężczyzny, który ukrył się przede mną w ciemności i pod czarnym lateksem. Próbowałam rozłożyć na suchych, napiętych mięśniach wszystkie litery alfabetu i zobaczyć, jak falują mi przed oczami pod wpływem jego kocich ruchów.

Ale nie mogłam pozwolić sobie na tego rodzaju wizje. Chodziło w końcu o tego samego człowieka, który zastawiał na mnie pułapkę za pułapką! Który przez cały ten czas wykorzystywał mnie i okłamywał, nie mniej niż jego brat.

– So'... Muszę zadać ci ostatnie pytanie, a ty...

Głośno przełknęłam ślinę, z nagłym bólem w szyi. Miałam wrażenie, że nie ślina, ale twarda kula wielkości piłki do tenisa nie chce przejść mi przez gardło.

– Tak?

– Musisz powiedzieć mi prawdę.

– Oczywiście! – zapewniła skwapliwie, wyraźnie spragniona ekspiacji.

Nowy ucisk na poziomie krtani.

– Czy... czy David był twoim klientem?

– Co?

Jej głos wzbił się niemal do krzyku.

– Chyba oszalałaś! Nigdy w życiu!

– No, zaliczyłaś Louisa, nie wiedząc, kim jest.

– Ale to zupełnie co innego! David jest osobą publiczną. Widziałam go na zdjęciu.

Jakoś nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek pokazała jej zdjęcie Davida, czy to w gazecie, czy spośród kilku zachowanych w moim telefonie.

– Przyznaj się – powiedziałam oskarżycielsko, choć z uśmiechem – wygooglowałaś go sobie?

– No, a jak myślisz? Moja najlepsza przyjaciółka chodzi z miliarderem. Chyba wypada przynajmniej wiedzieć, do czego to podobne! Nie uważasz?

– Tak, tak...

Tablica omieciona naszymi świałami ujawniła, że zbliżałyśmy się już do Rennes i że należało wkrótce zjechać z autostrady, aby ominąć miasto od zachodu, a następnie skręcić na północ w kierunku Saint-Malo.

– Czemu o to pytasz? Myślisz, że byłabym zdolna z premedytacją zaciągnąć do łóżka twojego narzeczonego? Tak źle o mnie myślisz?

– Ależ skąd, nie wygłupiaj się... – wreszcie odnalazłam zwykły ton naszych przekomarzanek. – Nie o to chodzi.

– A o co?

– Sama nie wiem. Ot, taka myśl...

Koszmar, mówiąc ściślej. Jedna z chimer rodem z gęstych lasów ciągnących się wzdłuż autostrady. Uświadomiłam sobie, że właśnie pokonałyśmy Mayennais, region znany ze swoich czarnych legend, znachorów i czarowników. Niczym echo tych ostatnich nagle z mroku wyłonił się afisz z nazwą mijanego miejsca: La Roche-Aux-Fées, skała wróżek. Poczułam zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa i odruchowo dodałam gazu.

Na szczęście Sophia nie nalegała. Bo właściwie co mogłabym jej powiedzieć poza wyartykułowaniem mojego lęku? Moich najgorszych, najbardziej głuchych przeczuć?

Louis i David wspólnikami? Zjednoczeni w tym pokrętnym, groteskowym przedsięwzięciu? Mnie samej nie mieściło się to w głowie. Podsłuchane strzępki ich rozmów, włącznie z ostatnią, tuż przed telefonem Freda, wyraźnie świadczyły o głębokim konflikcie między nimi. Albo przynajmniej o niezgodzie, której prawdopodobnie byłam kością.

A może... może wspólnicy kłócili się o mnie jak o łup? Albo jeszcze gorzej: może i ta scena wchodziła w skład komedii zgodnie odgrywanej przede mną?

– Nie jesteś głodna?

Moja przyjaciółka w porę sprowadziła mnie na ziemię, wskazując widoczną tuż przed nami stację benzynową z przyklejonym do niej

małym barem.

– Jestem. Dobry pomysł.

Sandwicz był gumowaty i bez smaku. Moje myśli niewiele świeższe. Nie ociągałyśmy się przy posiłku, zdecydowane dotrzeć do celu jak najszybciej i już bez żadnego postoju.

Ale dopiero po dobrej godzinie dociskania gazu wyjechałyśmy na cypel Malouine, siedzibę najokazalszych willi tego wybrzeża. Położone na wprost niego Saint-Malo wydawało się dzikie, surowe, a przede wszystkim przepojone historią. Z kolei Dinard sprawiało wrażenie śpiącej królewny, arystokratycznej i powściągliwej, księżniczki z *belle époque* w granitowej sukni pod parasolką z sosen. Niebo zaciągnęło się; od jego ciemnej masy odrywały się jeszcze ciemniejsze, ciężkie chmury fal atakujących wybrzeże. Było w tym coś złowieszczego.

Czy nasze fantazje są zwykłymi kaprysami, o których z góry wiadomo, że nie nadają się do wprowadzenia w życie? Czy może przeciwnie, należy traktować je jak paliwo dla naszego libido, wymagające systematycznego uzupełniania, aby utrzymać ów wielki silnik w ruchu?

Wiem tylko, że niektóre z moich własnych urzeczywistnionych fantazji okazały się mało przyjemne. Na przykład seks w wodzie. Spróbowaliśmy kiedyś z Fredem, podczas tygodniowych wakacji na Balearach. Sól, piasek, fale, trudności ze znalezieniem stabilnej pozycji na dnie, nasze cielesne soki unoszone przez morze... Nic nie było tak proste i miłe, jak sobie wyobrażaliśmy. Mój partner, zaskoczony zimnem wody, w końcu stracił erekcję. Finał bez finału, raczej opłakany. Do odłożenia na półkę złych pomysłów. Następny, proszę?

(Odręczna notatka z 14.06.2009, mojego autorstwa)

Bardzo powoli, na dwójce, jechałyśmy wzdłuż avenue Poussineau, ze wzrokiem utkwionym w budynki z początków XX wieku. Nie tylko ich pyszne dekoracje, ale i nazwy mogły wprawiać w rozmarzenie: Kerozar, Belle assise, Roche plate, Ker Annick... Poszukiwana przez

nas willa Roches brunes wznosiła się na skraju, tuż nad urwiskiem, tam gdzie droga celników pod kątem prostym skręcała na zachód. Podczas gdy w innych budowlach dominował granit i kamień w brązowym odcieniu, własność Barletów wyróżniała się stylem myśliwskiego pawilonu Ludwika XIII, jakby przeniesiono ją prosto z Wersalu. Była też większa od sąsiednich i przyklejona do samej falezy, co zdawało się podkreślać jej uprzywilejowany status. Mogłyśmy więc zatrzymać się przed samą bramą, bez obaw, że ktokolwiek będzie nas niepokoić. Żelazna palisada o spiczastych wierzchołkach skutecznie zniechęcała potencjalnych intruzów.

– I co teraz? – zapytała Sophia. – Jak tu wejdziemy?

Wyjęłam z torebki duży klucz.

– Z pomocą tego... W każdym razie mam taką nadzieję.

I faktycznie, ząbkowane zakończenie klucza bez trudu wpasowało się w zamek, który nie stawił żadnego oporu moim dwóm energicznym obrotom. Jeszcze kilka kroków po żwirze dziedzińca w kolorze ubitej ziemi i znalazłyśmy się przed drzwiami wejściowymi, cudem równie uległymi jak brama. Zamknięcie nie było z pewnością zbyt solidne, zwłaszcza jak na czasy skomplikowanych systemów alarmowych, niemniej potwierdzało, że willa była od dawna opuszczona – na co właśnie liczyłyśmy.

Ciężki odór kurzu i stęchlizny chwycił nas za gardło już od progu. Naszym oczom ukazały się wnętrza godne filmów grozy, z meblami w białych pokrowcach, gdzieniegdzie poszarzałych ze starości.

– No nie, twój facet ma uroczy domek letniskowy! – prychnęła Sophia, nie mogąc powstrzymać się od komentarza.

Ale potrzebowałyśmy zaledwie kilku minut, żeby przewietrzyć parter, ściągnąć pokrowce, zamieść podłogę i w efekcie nadać domostwu pozory życia. Mimo dość późnej pory żadnej z nas nie spieszyło się na górę, gdzie musiały mieścić się sypialnie i gdzie spodziewałyśmy się jednak znaleźć możliwie świeżą pościel.

Grzebiąc w torebce w poszukiwaniu chusteczek – mój alergiczny nos wyraźnie odczuł nadmiar roztoczy na metr kwadratowy – natknęłam się na telefon. Pięć wiadomości tekstowych i trzy głosowe, oznajmił mi ekran. Wszystkie pochodziły od Davida

i wszystkie, bez zapoznania się z ich treścią, natychmiast wykasowałam.

Nie zważając na opłakany stan obecny, Sophia zachwycała się dawną świetnością siedziby, jeszcze widoczną w tym czy innym detalu, a najbardziej w wielkości pomieszczeń:

– Co za szaleństwo, mieć taki dom i zostawić go na zniszczenie... Nigdy nie zrozumiem, jak funkcjonują bogacze. Tak jakby w ogóle nie przywiązywali wagi do tego, co posiadają. Pewnie dlatego, że mają za dużo forsy...

Nie podjęłam wątku jej filozoficzno-etycznych rozważań, ale zwróciły mi uwagę na jeden interesujący szczegół: a więc to do tego zapuszczonego domu, do tych zakurzonych, lepkich od wieloletniego brudu wnętrz David zamierzał wywieźć mnie w podróż poślubną? Naprawdę trudno było w to uwierzyć.

Podczas gdy Sophia szperała po kuchni, przystąpiłam do eksploracji piętra. Pokoje wydały mi się zastygłe w stanie znacznie wcześniejszym niż dramat Aurory. Niektóre nie były z pewnością odnawiane od co najmniej półwiecza. W wielu miejscach farba odchodziła ze ścian całymi płatami. Łóżka sprawiały wrażenie załamanych pod ciężarem całych generacji użytkowników. Nie zatrzymywałam się jednak na tych strzępach przeszłości. Szukałam innych – pamiątek, jakichkolwiek śladów, które lepiej niż meble i dekoracje zdradziłyby mi, co bracia Barletowie mogli tutaj przeżyć. W dwóch pierwszych pokojach nie znalazłam żadnego takiego tropu. Trzecia sypialnia okazała się ciekawsza, ponieważ trzy szuflady starej komody z ciemnego drewna, które początkowo stawiły mi opór, obfitowały w stare papierzyska, notesy i zdjęcia wrzucone luzem, bez najmniejszych starań o klasyfikację.

Powstrzymałam się przed wezwaniem Sophii. Wolałam obejrzeć to wszystko sama, przynajmniej po raz pierwszy. Na większości fotografii utrwalono wakacje sprzed dobrych trzydziestu lat. Przedstawiały one Davida i Louisa, dwóch małych, uśmiechniętych chłopców, pozornie zjednoczonych w zabawach na plaży: na dmuchanym materacu, w trakcie budowania zamku z piasku, w stroju rybaków wyruszających na połów krewetek, z krabem w rękach, zajętych grą w jokari... i tak dalej. Czy to za sprawą oka

fotografa – André Barleta, jak przypuszczałam – czy wskutek odzwierciedlenia ich naturalnych relacji, David był wszędzie widoczny na pierwszym planie, pewny siebie, triumfalny, a Louis zawsze z tyłu, w cieniu, mimo kilkucentymetrowej przewagi wzrostu. Dominujący i zdominowany. Młodszy przekonany o swym przyszłym zwycięstwie, starszy jak odrzucony, nieszczęśliwy delfin, z pewnością już zajęty obmyślaniem zemsty.

– Elle? Jak tam? Chcesz, żebym weszła do ciebie? – zawołała Sophia z parteru.

– Nie, nie, już schodzę. Zostań na dole. Tu jest jeszcze paskudniej niż tam.

– Może wyjdziemy na jakiegoś drinka? Chyba nie chcesz spędzić całego wieczoru w tych starych brudach, co?

– Hm... Nie, ja zostanę, taka jestem głupia. Ale ty oczywiście wyjdź, jeśli masz ochotę – zachęcałam ją. – Wystarczy, że weźmiesz klucz. Położyłam go nad kominkiem w salonie.

Dosłyszałam jej zdecydowane kroki piętro niżej, później następne nalegania:

– Jesteś pewna? Wiesz, dobrze by ci to zrobiło. Odprężyłabyś się trochę.

– Nie, naprawdę... Dziękuję.

Perspektywa odprężenia była nawet dosyć kusząca. Ale w ostatnim pokoju na tym piętrze odkryłam właśnie nowe skarby. Nie większe niż pudełko po butach, za to wypełnione zdjęciami rodziny Barletów w komplecie, włącznie z rodzicami, André i Hortense, których widziałam po raz pierwszy.

– No dobra – w głosie Sophii pobrzmiewała niechętna rezygnacja. – W takim razie zostaję z tobą...

– Ależ nie, idź! Zrób sobie przyjemność.

Dobiegł mnie jej zduszony śmiech, później kroki na schodach trzeszczących pod jej ciężarem i w końcu zobaczyłam ją w uchylonych drzwiach.

– Nie, już nie muszę wychodzić. Zobacz, co znalazłam.

Triumfalnie zamachała do mnie pękatą butelką omszałą od kurzu. Przyniosła również dwie szklaneczki, świeżo umyte i jeszcze ociekające wodą.

– Co to? – podniosłam nos znad szpargałów.

– Wiekowy armaniak. Pasuje ci?

– Może być… – zgodziłam się z uśmiechem.

Po rozlaniu trunku usiadła na podłodze obok mnie i wzięła część zdjęć.

– A tak naprawdę, czego szukamy?

– Czegokolwiek, byle z czasów pierwszego małżeństwa Davida.

Ale większość fotografii, i z jej kupki, i z mojej, zrobiono znacznie wcześniej. Przedstawiały one rodziców Davida i Louisa jako ludzi młodych, uśmiechniętych i pełnych wiary w przyszłość.

Znalazłyśmy wśród nich kilka zdjęć ślubnych... Od razu rozpoznałam suknię Schiaparelli na Hortense w roli panny młodej. Suknia, w której sama miałam wystąpić za trzy dni, leżała na niej jej idealnie, znacznie lepiej niż na mnie. Gdybym w ogóle zdecydowała się ją założyć...

Przyszło mi do głowy, że nadal nie podpisałam umowy małżeńskiej przygotowanej przez Armanda i że miałam ku temu coraz mniej powodów... nie wspominając o ochocie.

Rodzinne biesiady, wakacje nad morzem albo w górach, święta Bożego Narodzenia w salonie Roches brunes... Ciąg dalszy nie powiedział mi niczego poza tym, co już wiedziałam. Uderzający był tylko brak kobiet w otoczeniu braci Barletów. Nawet po osiągnięciu wieku dorosłego żaden z nich nie dał się uwiecznić z jakąkolwiek narzeczoną czy choćby sympatią. Ani śladu Aurory albo Rebekki na tych pożółkłych ze starości zdjęciach z białymi obwódkami i na wyblakłych polaroidach, sklejonych ze sobą emulsją nieodwracalnie uszkodzoną przez czas.

Aż podskoczyłyśmy, słysząc suchy trzask, a tuż po nim długi metaliczny jęk, ponury i przejmujący. Sekwencja powtórzyła się raz i drugi, w rytm wiatru, jaki zerwał się na zewnątrz i osaczał domostwo przerywanym wyciem. Tchnieniem wzburzonego morza.

– To nic, to tylko okiennice – Sophia pierwsza odzyskała rezon. – Zawiasy muszą być kompletnie przerdzewiałe od tej wilgoci.

Duży łyk armaniaku, język ognia rozgrzewający mój przełyk jak drewno dołożone do kominka, pocieszył mnie na równi z jej słowami.

– Muszę zadzwonić do mamy – przypomniałam sobie nagle, podnosząc się z klęczek.

– Jasne. A ja jeszcze tu poszperam – odpowiedziała Sophia nieobecnym tonem, zatopiona w pożółkłych pamiątkach.

Zszedłszy na parter, skontatowałam, że za oknami od strony morza panowała już kompletna, nieprzenikniona ciemność. Pomijając latarnię morską w Grand Jardin i odblask ulicznych latarni u wybrzeży Saint-Malo, cały horyzont spowijała gęsta czerń.

I tym bardziej musiałam pomyśleć o mamie.

– To ja! – rzuciłam do słuchawki w nadludzkim wysiłku, by powiedzieć to lekkim tonem.

– Cześć, córeczko.

Głos ze złych dni. Głos, który stara się ukryć prawdę. Który mógłby zmylić każdego, włącznie z panią Chappuis, ale nie mnie.

– Wiesz, właśnie dostałam kosz wspaniałych owoców.

– I co, spróbowałaś?

– Nie... Jakoś nie mam apetytu. Chyba zamulają mnie te wszystkie leki.

Mama, wcielenie łakomstwa, odmawiająca sobie tej bodajże jedynej przyjemności. To nie mógł być dobry znak.

– Mamuś, jesteś pewna, że wszystko dobrze? Chcesz, żebym przyjechała?

– Ależ nie... Zostań tam, gdzie jesteś, kochanie.

I zaraz skróciła rozmowę, ewidentnie niezdolna wykrztusić ani słowa więcej. Zaraz po rozłączeniu się z mamą wystukałam inny numer, należący do doktora Ludovika Poulaina. Ten młody człowiek, świeżo po stażu, przypadł mamie do gustu i został jej lekarzem prowadzącym. To on zajmował się nią w przerwach między hospitalizacjami i to jego wzywała w razie nagłych problemów. Dzisiaj potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek, wyraźnie czułam to przez telefon.

– Doktor Poulain?

– Tak... – odpowiedział mi niezbyt chętny męski głos. – Kto mówi?

– Bardzo przepraszam, że zawracam panu głowę o tak późnej porze. Annabelle Lorand. Widzieliśmy się już u mamy. Jestem córką Maude Lorand.

– Ach, tak, przypominam sobie – głos jakby złagodniał. – W czym mogę pomóc?

– Panie doktorze, martwię się o mamę. Jestem teraz daleko i właśnie rozmawiałam z nią przez telefon. Wydaje mi się bardzo cierpiąca...

– Hm... Chce pani, żebym do niej zaszedł?

Nie śmiałam go o to prosić. Mimo młodego wieku – a może właśnie dlatego – ten lekarz emanował empatią i sumiennością zawodową. Modliłam się, żeby nie zobojętniał zbyt szybko. Nie, zanim mama przestanie go potrzebować.

– Gdyby pan mógł, doktorze, tak, byłabym bardzo wdzięczna.

– Nie ma sprawy. Mogę odwiedzić pani mamę... jutro rano, jeszcze przed pracą. Mój gabinet jest niedaleko jej domu.

– Jutro... – westchnęłam, nie mogąc ukryć rozczarowania.

– Chce pani, żebym poszedł tam zaraz, prawda?

– Nie...

Tak! – krzyczało we mnie wszystko.

– Proszę się nie krępować... rozumiem. Zakładam buty i idę. Zadzwonię do pani później, żeby powiedzieć, jak wygląda sytuacja.

Pożegnałam się z doktorem Poulainem dokładnie w momencie, gdy gwałtowniejszy niż dotąd podmuch wichru niemalże zatrząsł domem, a w każdym razie wprawił go w rozpaczliwe trzaski i gwizdy. Posępny lament rozszedł się po całym szkielecie zawieszonego u falezy budynku. Ten fragment wybrzeża nie dawał żadnej ochrony przed pełnym morzem, tak więc północne wiatry dzień po dniu bezlitośnie chłostały wiekową konstrukcję.

Pomyślałam, że w tych warunkach i tak nie skupię się na moich poszukiwaniach.

– Zostanę chwilę na dole – rzuciłam pod adresem Sophii.

– Dobra.

Bez telewizora. Bez radia. Bez śladu prasy, choćby sprzed lat. Nie miałam niczego, żeby spokojnie przeczekać sztorm, poza pierwszą z brzegu książką z La Musardine, złapaną przy wyjściu z domu. Była to zresztą pierwsza pozycja z listy Louisa: *Femmes secrètes* (Kobiety sekretne) autorstwa Ani Oz. W tym momencie miałam nie większą

ochotę na literaturę erotyczną niż na kąpiel w lodowatych falach, które rozbijały się o skały za oknem. Które pochłonęły Aurorę.

Z braku lepszego zajęcia spojrzałam jednak na okładkę. Była piękna: przedstawiała smukłe kobiece ciało z ciężką kameą na szyi, widoczne jakby zza liliowej chmury potęgującej wrażenie tajemnicy. Później, strona po stronie, dałam się wciągnąć relacji narratora, pisarza zaintrygowanego dziwnymi zniknięciami kobiet. Dążąc do rozwikłania zagadki, odkrywa on podziemną wspólnotę amazonek, które podporządkowują sobie mężczyzn i czynią z nich niewolników seksualnych. Włącznie z nim, ofiarą początkowo przypadkową i oporną, ale ostatecznie w pełni dobrowolną. Nie mogłam powstrzymać się od porównania: ta historia, jakkolwiek fascynująca, stanowiła dokładny negatyw mojej własnej. Odwrócenie ról, z mężczyzną na moim miejscu. Nie wierzyłam rzecz jasna, że Louis przypadkiem umieścił właśnie tę książkę na czele swoich rekomendacji. Oprócz tak wyraźnego, jednoznacznego odbicia moich dziejów musiała ona zawierać w sobie inne przesłania i ta perspektywa skłoniła mnie do jeszcze uważniejszej lektury. Czy właśnie tego ode mnie oczekiwał: pełnej – i bezwarunkowej – kapitulacji mojego ciała? Ale ta kapitulacja już właściwie nastąpiła, o czym dobrze wiedział... Więc o co jeszcze mu chodziło?

Zgodnie z obietnicą doktor Poulain zadzwonił do mnie po wizycie u mamy i ewidentnie chciał mnie pocieszyć. Jak twierdził, na przepisanych przez niego lekach mama miała dotrwać do mojego ślubu i późniejszego o dwa dni wyjazdu do Los Angeles. A dalej... Poczciwy lekarz z Nanterre nie mógł niczego gwarantować, i tak jak mama, i jak ja, zdawał się na amerykańskich cudotwórców.

Zbierałam się właśnie szykować nam z Sophią spanie w pokojach na piętrze, gdy z zewnątrz doszedł mnie warkot potężnego silnika. Przez wycie wiatru i łoskot rozszalałego morza przebiły się jeszcze dwa krótkie sygnały klaksonu.

Podeszłam do przeszklonych drzwi wejściowych, tak zalanych deszczem, że z trudem dojrzałam przed bramą sylwetkę samochodu oślepiającego mnie długimi światłami wycelowanymi w dom. Mignęły dwukrotnie, w tym samym tempie co klakson. Z duszą na ramieniu przekroczyłam próg, natychmiast zaatakowana strugami ulewy.

Dopiero po kilku krokach rozpoznałam limuzynę Louisa, ale to nie on, tylko szofer Richard zbliżał się do mnie z wielkim czarnym parasolem w ręku.

– Dobry wieczór – mruknął, równie rozmowny jak zwykle.

– Dobry wieczór. Czy mogę wiedzieć, co pan tu robi?

– Mam zawieźć panią tam, gdzie jest pani oczekiwana. To wszystko.

– I specjalnie po to przyjechał pan z Paryża? – nie posiadałam się ze zdumienia.

– Tak – odpowiedział krótko, jakby chodziło o rzecz w pełni zrozumiałą.

– I dokąd mamy jechać?

– Nie wiem. Podano mi tylko adres.

Mogłam powiedzieć „nie". Mogłam uciec, cofnąć się do domu i zaryglować drzwi. Mogłam również pobiec w dół ogrodu, przeskoczyć ogrodzenie i rzucić się w morze, tak jak przede mną Aurora. Mogłam ukarać Barletów, na zawsze pozbawiając ich nowej zabawki.

Ale zamiast tego wszystkiego zapytałam:

– Da mi pan jednak pięć minut, żebym się przebrała?

– Nie ma potrzeby. Proszę tylko zabrać maskę, którą pani dostała.

Posłuchałam go bez szemrania, z falującą piersią pod przemoczoną bluzką.

– So'? – zawołałam z hallu.

– Co?

– Wychodzę.

– Wychodzisz? Kpisz sobie ze mnie? Dziesięć minut temu nie chciałaś wyściubić stąd nosa…

Nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie, poza jednym jedynym argumentem, równie słabym, co jednoznacznym, bo sprowadzonym do imienia:

– To Louis…

Cisza.

– Słyszysz mnie?

– No tak. Co mam ci powiedzieć? Idź, skoro musisz. To twoje życie.

Wyszłam niezwłocznie, z maską w ręku, na prawdziwy potop.

Jeśli Louis sam z siebie łamał kody naszych spotkań, jeśli przenosił teren rozgrywek gdzie indziej, znaczyło to, że zbliżaliśmy się do następnego etapu. Nie mogło być inaczej.

Samochód ruszył w zwolnionym tempie, gotów dostarczyć przesyłkę pod wskazany adres. Nie czułam się w tej chwili niczym innym i perspektywa ta, skądinąd odrażająca, napełniała mnie dziwnym podnieceniem.

32

Co mam do stracenia w gruncie rzeczy? Co jeszcze może stanąć między moimi pragnieniami a mną samą?
Mój głód prawdy? Widzę, że prawda oddala się ode mnie coraz bardziej przy każdym nowym odkryciu. Moja lojalność wobec Davida? Jaka lojalność? Słowo wydaje mi się zupełnie nie na miejscu w odniesieniu do człowieka, który mnie zdradził. Ten dylemat już stracił rację bytu. Odtąd, a dziś wieczorem w szczególności, będę słuchać wyłącznie mojego ciała. To ono rządzi. To ono daje się kołysać na tylnym siedzeniu limuzyny. To ono uwozi mnie na nowe spotkanie z seksem o nieznanym mi wcześniej obliczu.
Noc trwa wokół nas, przeszywana odgłosami morza i gwałtownych porywów wiatru, ale nie zwracam na nie uwagi. Nie jestem nawet zdziwiona, gdy samochód zatrzymuje się w samym środku strefy przemysłowej, zaraz za tablicą wskazującą na wjazd w granice Saint-Malo. Na ulicy nie ma żywej duszy, jako że z obu jej stron ciągną się tylko wielkie hangary. Okolica nijak nie kojarzy się z miejscem uciech. Już zaczynam podejrzewać jakąś niecną farsę, ale oto szofer Richard parkuje przed bardzo spartańską witryną hurtowni z wyposażeniem łazienek. Otwiera dzielącą nas przegrodę i w lusterku wstecznym daje mi znak, że mam wysiąść i przejść na chodnik naprzeciwko.
Przybytek o nazwie Le Brigantin, „Sauna – hammam – przestrzeń rekreacyjna", przypomina plażową chatkę doczepioną do jednego z blaszanych magazynów, pod każdym innym względem identycznego z sąsiednimi. Z maską w ręku wchodzę do środka. Wygląda to jak przedsionek basenu. Czysty, biały, higieniczny. Recepcjonista w typie kulturysty, z ogoloną czaszką, w białym T-shircie opinającym muskulaturę, wita mnie tak, jakbyśmy już się znali:
– Pani jest Elle. Proszę, oto peniuar i ręcznik. Szatnie są zaraz na prawo.
– Ale... ile płacę?
– Nic. Wszystko zostało już uregulowane.

Ostra woń chloru bynajmniej nie nastraja do miłości. Dwaj mężczyźni siedzący na ławkach jak ze szkolnej sali gimnastycznej, równie dobrze zbudowani jak recepcjonista, rozbierają się bez najmniejszej żenady. Ja za to czuję się niepewnie, albowiem obaj nie zwracają na mnie uwagi, gdy sama zaczynam się rozbierać, prezentując im raczej tył niż przód. ~~Zawsze byłam nieco skrępowana bujnym owłosieniem mojego trójkąta, ciemnym, gęstym, kędzierzawym...~~ Ale młodzieńcy nawet nie raczą spojrzeć na moją wypiętą pupę, tak bardzo są pochłonięci sobą. Lustrują wzajemnie swoje genitalia wzrokiem pełnym ciekawości i pożądania, zapowiadającym rychłe przejście do gestów, bardziej bezpośrednich i jednoznacznych. Sala, po której rozglądam się w masce na twarzy i peniuarze rozchylonym na obfitym biuście, potwierdza moje obawy: Brigantin to miejsce spotkań wyłącznie dla mężczyzn. Jestem tam jedyną kobietą, być może pierwszą, jaką kiedykolwiek wpuszczono do środka. To pomieszczenie służy zawieraniu znajomości: kilkudziesięciu bywalców, opasanych ręcznikami, na razie zadowala się głównie spojrzeniami, aczkolwiek dostrzegam już aktywność ich rąk, raczej ukradkową niż jawnie badawczą, a także wymianę mniej lub bardziej namiętnych pocałunków. Jeden z mężczyzn w końcu mnie zauważa i władczo bierze za rękę:

– Chodź... Dopiero tam dalej robi się interesująco.

Podobnie jak atleta przy wejściu, wszyscy wyglądają na uprzedzonych o mojej obecności. Nie są zaskoczeni, zdają się mnie tolerować.

Korytarzem, słabo oświetlonym małymi czerwonymi żaróweczkami u sufitu, idę za moim przewodnikiem do ciasnej i ciemnej alkowy. Dociera tam tylko tyle światła, żeby po chwili akomodacji rozróżnić sylwetki, na moje oko co najmniej piętnastu osób. Już od drzwi w stylu westernowego saloonu, przepuszczających dźwięki i zapachy, uderza mnie symfonia rzężeń i westchnień. Z wonią potu i najróżniejszych wód toaletowych, piżmowych, morskich czy kwiatowych, miesza się jeszcze inny, ostrzejszy zapach, którego natura nie pozostawia żadnych wątpliwości. Przeważają pary kochające się w pozycji klasycznej lub od tyłu, ale są też trójkąty i czworokąty, splecione ze sobą tak, że trudno ocenić, kto kogo liże,

kto kogo penetruje. Moje zażenowanie rozwiewa się stopniowo i zaczynam w pełni korzystać z udzielonego mi przywileju: bycia tutaj jedyną kobietą, jedyną obserwatorką tych miłosnych zapasów, chociaż bez prawa uczestnictwa. Sposób, w jaki młody, najwyżej dwudziestoletni brunet ssie potężnego penisa swojego amanta, bulwersuje mnie głęboko. To coś więcej niż gorliwość czy zachłanność – piękny efeb wydaje się czerpać z tego aktu większą rozkosz niż beneficjent jego świeżych i wprawnych ust, już pobielonych spermą. Gdy partner w końcu ejakuluje mu w gardło, młodzieńca chwyta czkawka łudząco podobna do skurczów orgazmu, a nie zwykłego krztuszenia się, tak bardzo zrozumiałego w tej sytuacji.

Znienacka z masy ciał wynurza się jedno i staje tuż przede mną. Smukłe. Umięśnione. Napięte. Nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku. Mam wrażenie, że rozpoznaję każdy kontur i relief tego posągowego torsu. Nie śmiem podnieść oczu na twarz nieznajomego, tak bardzo boję się, kogo zobaczę... Ale oto duch Louisa rozwiewa się równie nagle jak mi się objawił. Mężczyzna na wprost mnie jest Metysem, wyraźnie widzę ciemną pigmentację jego skóry w nieco żywszym przebłysku światła. Nie umiem tylko powiedzieć, czy napełnia mnie to ulgą, czy rozczarowaniem. Zastanawiam się nad sensem tego nowego etapu w naszych relacjach. Dlaczego uznał za stosowne skonfrontować mnie z gejami? Przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź: chciał, żebym zobaczyła piękno tych uniesień wolnych od tabu i barier, przypadkowych, ryzykownych, czasem brutalnych, a mimo to czystych jak sama esencja seksu, nieskażona żadnymi domieszkami. Nie ma tu ładnych ani brzydkich; bogatych ani biednych; dobrych ani złych. ~~Nie ma nawet małych ani wielkich fallusów.~~ Nic z tego się nie liczy, są tylko genitalia jako takie, spragnione siebie, wygłodniałe. Strefy erogenne przypadkiem pobudzane w trakcie wzajemnych zderzeń, chwilowo stworzone dla siebie i doskonale anonimowe. Nic oprócz żądzy.

– Masz, to dla ciebie.

Mój przewodnik pojawia się znowu i wyciąga do mnie dildo przerażających rozmiarów. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym

zrobić użytek z takiego monstrum. A zwłaszcza na ich oczach, nieważne, jak bardzo byliby zajęci sobą. W końcu opieram się biodrami o ścianę, rozchylam uda na tyle, ile trzeba, i wsuwam dwa palce w moją mokrą szparę. Od dawna nie czułam się tak mokra. Moja pochwa zasysa palce jak drapieżna paszcza. Wprawiam biodra w ruch wahadłowy, łagodny i powolny, a mimo to wystarczający do rozkoszy. Moje jęki mieszają się z ich jękami. Jestem ich diwą, ich solistką. I gdy wreszcie eksploduję na jednej zawodzącej nucie, widząc jak przez mgłę połyskliwe, wyprężone penisy, mogłabym przysiąc, że w krzykach tych mężczyzn pobrzmiewają oklaski pod moim adresem.

Nieznane osobiście zgłębiłam.

(Odręczna notatka z 15.06.09, mojego autorstwa).

33

15 czerwca 2009

Wróciłam do Roches brunes bardzo późno. A Sophia zapewne bardzo wcześnie, skoro zastałam willę pustą. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa moja przyjaciółka w końcu porzuciła stos starych zdjęć na rzecz rozrywek bliższych jej zwyczajom i upodobaniom. Ze względu na nią nie zamknęłam się od wewnątrz na klucz – na szczęście, gdyż nie słyszałam ani parkującego pod domem samochodu, ani upiornego zgrzytu zawiasów. Zapadłam w głęboki sen strudzonego wędrowca.

Dwadzieścia nieodebranych połączeń, siedem wiadomości.

Tak powitała mnie komórka zaraz po przebudzeniu. Byłam nieco zdziwiona, że David nie pofatygował się, żeby jechać za mną osobiście, ani nawet nie wysłał któregoś ze swych totumfackich. Czyżby Armand nie zdradził mu, o czym rozmawialiśmy tuż przed moim zniknięciem? To byłoby jeszcze dziwniejsze... Gdyby jednak zastanowić się lepiej, był już poniedziałek, początek nowego tygodnia pracy, jak zwykle szczelnie wypełnionego. Obowiązki prezesa przede wszystkim. A że narzeczona okazała się kandydatką na „uciekającą pannę młodą”? Cóż, fakt z pewnością przykry, może i uwierający jak kamyk w eleganckim lakierku, ale w istocie drobiazg w zestawieniu z pilnymi terminami, jakie czekały na niego od rana.

– Cześć, nocny marku! – rzuciłam pod adresem Sophii, ubranej w stary podkoszulek i zupełnie nieseksowne majtki.

Jej ciemne loki opadały na twarz, jak się domyślałam, nieco wymiętą. Noc musiała być długa i nieźle zakropiona. Może i bardzo aktywna, kto wie. W przypadku Sophii prawdopodobne były wszelkie opcje.

– Ooo... nie krzycz tak!

Ściskała rękami głowę, zatykając sobie uszy.

– Udany wieczór?

– Hm... miałam już bardziej udane – uśmiechnęła się dwuznacznie. – Ale może być.

Machnęłam ręką, jakbym z góry opędzała się przed jej zwierzeniami.

– Tylko nic nie mów, nawet nie chcę o tym słyszeć.

– Tak czy inaczej... nie bardzo jestem w stanie.

– Śniadanko?

– O, tak! Z podwójną kawą.

Po wczorajszej ulewie wypogodziło się zupełnie: promienne słońce i jasne niebo odprowadziły nas aż do centrum miasteczka, gdzie rozsiadłyśmy się na tarasie kawiarni z widokiem na plażę. Klientów było niewielu, a niemłody kelner z brzuszkiem manifestował radość z obsługiwania „dwóch takich pięknych młodych dam" różnymi drobnymi względami: dolewką kawy gratis, większymi porcjami masła i konfitur, sokiem ze świeżo wyciśniętych pomarańczy zamiast z koncentratu.

Czy można czuć nieodparty pociąg seksualny do mężczyzny pod każdym względem odstręczającego?
Ta kwestia figuruje obecnie wśród tematów dnia, roztrząsanych nawet na pierwszych stronach gazet. Kij w mrowisko wsadziła pewna znana dziennikarka, pisarka i feministka w jednej osobie, wydając książkę o swym gorącym romansie z prominentnym politykiem, wówczas już w odstawce z powodu wcześniejszego uwikłania w skandal obyczajowy. Autorka daje wyraz swej fascynacji człowiekiem, którego sama nazywa „wieprzem", starszym od niej o dwadzieścia lat i tak uzależnionym od seksu, że płaci za to zawodowym i medialnym upadkiem. Szczegółowo opisane dzieje tego związku są pasjonujące i bulwersujące jednocześnie. Czytając polemiki wywołane książką, zastanawiam się, czy sama doświadczyłam podobnych skłonności. Nie chodzi mi tu o fizyczną brzydotę czy inne cechy uznane w relacjach damsko-męskich za dyskwalifikujące. Nie mogę jednak zanegować wrażenia, jakie wywierają na mnie mężczyźni w dojrzałym wieku.

Oczywiście, najłatwiej byłoby wytłumaczyć to brakiem ojca i podświadomym szukaniem figury zastępczej. Ale sama widzę w moich preferencjach coś jeszcze, coś bardziej pierwotnego, wręcz zwierzęcego: ich skóra, twardsza i bardziej owłosiona, ich penisy zbrązowiałe przez czas, ich ciężkie moszny w mojej dłoni, ich wyrazistszy zapach... Przepadam za tymi atrybutami starych samców, nigdy nie zamieniłabym ich na różową, młodzieńczą świeżość. Aby mi się podobać, ciało mężczyzny nie może zapowiadać delikatnej pieszczoty; musi raczej przypominać rękawicę z szorstkiego włosia zdolną podrapać moją skórę. Zauważyłam również, że ich sperma, chociaż mniej obfita, jest gęstsza i bardziej lepka. To też wolę.
(Odręczna notatka z 15.06.2009, mojego autorstwa).

Zaspokoiwszy głód, spędziłyśmy długą chwilę na kontemplacji zatoki i otwartego morza pod czarnym, przewrotnym okiem Alfreda Hitchcocka. Posąg słynnego reżysera, z dwoma krukami na ramionach, nawiązywał do willi na wschodnim stoku falezy, wiernej repliki siedziby Batesów z *Psychozy*.

– To wszystko ze względu na festiwal – pospieszył z wyjaśnieniami kelner, jak na nasz gust zbyt rozmowny.

– Festiwal? – Sophia spojrzała na niego nie bez irytacji.

– No tak, festiwal angielskich filmów odbywa się co roku. O, warto zobaczyć, jakich mamy tu gości! Same gwiazdy!

Zniechęcony naszym milczeniem gaduła wreszcie dał nam spokój. Nie rozmawiałyśmy nawet ze sobą, pogrążone we własnych myślach. Poranny wietrzyk zapowiadał dość ciepły dzień, donosząc nam z plaży krzyki mew i zapach alg.

Sophia pierwsza przerwała ciszę:

– I co, znalazłaś coś ciekawego?

– Gdzie...?

– No, w domu. Przeszukałaś chyba wszystkie szuflady?

– No tak... Powiedzmy, prawie wszystkie. Na razie nic konkretnego.

– A czego się spodziewałaś?

Pytanie nurtujące mnie samą brzmiało raczej nie „czego”, tylko „kogo”.

W świetle tajemnicy pielęgnowanej przez braci Barletów wokół Aurory Delbard i roli, jaką ta zmarła młoda kobieta odegrała w ich życiu, jej nieobecność w rodzinnych archiwach była dla mnie bardziej rozczarowaniem niż zaskoczeniem. Po chwili wahania, czy powinnam wciągać w to wszystko Sophię, w końcu podzieliłam się z nią moim stanem wiedzy na ten temat.

– Jeśli cię dobrze rozumiem, oni całkowicie wymazali tę dziewczynę ze swojej historii?

– No właśnie, na to wygląda...

– Wygląda podejrzanie, tu się z tobą zgadzam. Ale z drugiej strony pomyśl: gdyby jakaś dziewczyna zginęła z powodu rywalizacji, którą sama podsycałaś między twoimi synami, czy chciałabyś trzymać u siebie jej zdjęcia? Szczerze?

Zdrowy rozsądek Sophii jak zwykle dawał mi do myślenia. To prawda, takie rewizjonistyczne podejście nie zawsze wynika ze złych zamiarów uczestników czy świadków minionych tragedii. Często, zwłaszcza w sprawach intymnych, usuwanie materialnych śladów jest po prostu mechanizmem obronnym, środkiem uśmierzającym ból. Żeby nic nie rozdrapywało nie do końca zabliźnionych ran...

– Może masz rację – przyznałam półgębkiem.

– Ale jeśli chcesz, pomogę ci szperać dalej. Jestem pewna, że nie przetrząsnęłaś jeszcze wszystkich szaf.

Przyjęłam tę ofertę pomocy i ruszyłyśmy z powrotem do Roches brunes, tym razem wybierając szlak celników, dostępny tylko podczas odpływu. Ta wąska granitowa ścieżka, zaledwie w części wycementowana, biegła u stóp skalistego wzgórza Malouine. Widok na Saint-Malo i resztę zatoki, Grand i Petit Bé, Cézembre i Conchée, był stąd fantastyczny. W połowie drogi zatrzymała nas czerwono-biała tablica, ostrzegająca wielkimi literami: „Uwaga, pływacy, prąd bardzo gwałtowny. Niebezpieczeństwo”.

Niewiele dalej rozpoznałam miejsce opisane przez Louisa w trakcie naszej podróży limuzyną: mur u podstawy willi z małymi białymi drzwiami i kilka schodków prowadzących do ścieżki. Po jej przeciwnej stronie piętrzyły się masywne bloki skalne, tu i ówdzie

ostro zakończone, prawdziwa pułapka na lekkomyślnych spacerowiczów.

– Ona zginęła tutaj – szepnęłam do Sophii.

– Tutaj? – zdziwiła się. – Przecież jesteśmy na brzegu... Jak można się tu utopić! To śmieszne!

Zagrożenie faktycznie wydawało się znikome przy niskim morzu i w biały dzień. Ale wystarczyło z pewnością nieco więcej wody, gorsza widoczność i jeden pechowy ruch, żeby stopa ugrzęzła w szczelinie, a jej właściciel został odcięty od świata, nieważne, że bliskiego na wyciągnięcie ręki.

Jakby na potwierdzenie tej hipotezy jeden z przechodniów wskazał nam mężczyznę w kombinezonie nurka, który najwyraźniej znalazł się w podobnym położeniu. Stał na wąskim paśmie piasku, oddzielony od plaży szybko wzbierającym przypływem. Odległość do pokonania wynosiła nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów, a mimo to wyglądał na przerażonego. Minęło kilka minut – bezcennych w tej sytuacji – zanim zdecydował się wskoczyć do wody i z wielkim trudem, walcząc z potężnym prądem, osiągnął bezpieczny brzeg.

Nie zamieniłyśmy już słowa aż do domu. Po otwarciu wszystkich okiennic i przewietrzeniu wnętrza zabrałyśmy się do opróżniania prosto na zakurzoną podłogę zawartości wszelkich dostępnych schowków. Dwie szuflady stawiły jednak opór, a nasze wysiłki, by pokonać zamek z pomocą wieszaka czy śrubokręta okazały się daremne.

Następne godziny upłynęły nam w oparach kurzu przesiąkniętego wonią starych detergentów i odczynników fotograficznych. Rozłożone na podłodze, badałyśmy zdjęcie po zdjęciu, włącznie z tymi, które przejrzałam już pobieżnie poprzedniego wieczoru. Połów, choć ogólnie mało satysfakcjonujący – nadal ani jednej podobizny Aurory – przyniósł jednak kilka ciekawych ujęć. Zaliczyłam do nich zwłaszcza fotografie wykonane, jak mi się zdawało, jeszcze przed śmiercią młodej kobiety, a także inne, na moje oko już po tragedii, ale nadal za życia André i Hortense. Te pierwsze uwieczniły rzecz jasna radośniejsze miny Barletów obojga generacji. Znalazłam między innymi zdjęcie młodego Louisa ze szczerym i beztroskim uśmiechem na ustach, wyraźnie pełniejszego na twarzy niż obecnie,

w czułych objęciach z ładną blondynką, w której nie od razu rozpoznałam Rebeccę. A jednak była to z pewnością ona, już wtedy elegancka, w marynarskiej bluzie inspirowanej kreacjami Jeana-Paula Gaultiera czy Étienne'a Daho – słowem, ostatnim krzyku mody tamtych czasów.

– Cokolwiek by powiedzieć – westchnęła Sophia – dobrze tu posprzątali.

– Tak... To dziwne...

– Dziwne?

– Wiesz, mam wrażenie... Aurora nic nie zostawiła po sobie... Można by rzec, że to ona chciała zniknąć.

Moja uwaga zbiła Sophię z tropu, ale nie podjęła wątku i znów pogrążyła się w stosach pożółkłych papierów.

Nie uznałam za stosowne dzielić się z Sophią dalszymi rozważaniami, do których zainspirowała mnie ta najnowsza hipoteza. A gdyby Aurora, tak jak tytułowe *femmes secrètes* (kobiety sekretne) Ani Oz, postanowiła zniknąć bez śladu, aby ukarać Barletów za złe traktowanie? Ale niestety, na tym kończyła się analogia: o ile dla powieściowych amazonek zniknięcie było wstępem do triumfalnego powrotu, o tyle ona, Aurora, odeszła na zawsze. Bardziej ukarała samą siebie niż tych, którzy popchnęli ją do tak dramatycznego kroku.

Ostatnią godzinę pobytu w Roches brunes poświęciłyśmy na metodyczny przegląd wszystkich zakamarków, w poszukiwaniu już nie tylko zdjęć, ale jakichkolwiek śladów zdolnych doprowadzić nas do Aurory, czy raczej pozostałości po jej krótkim życiu.

Byłyśmy już bliskie rezygnacji, zniechęcone grzebaniem się wśród obtłuczonych bibelotów, katalogów sprzedaży wysyłkowej i słoików o przeterminowanej zawartości, gdy nagle...

– Zobacz, co znalazłam! – wykrzyknęła Sophia.

Ze stosu nic niewnoszących papierów i prospektów wyciągnęła brudną i naddartą wizytówkę, ewidentnie sprzed wielu lat.

Jean-François DELBARD
Notariusz

8, Placître
35400 ST MALO
Telefon: +33 99 32 69 45
Faks: +33 99 32 69 47

– Delbard, czy to nie nazwisko twojej topielicy?

– Tak – potwierdziłam lakonicznie.

Nie miałam pojęcia, że istniał jakiś Jean-François Delbard. Ani Louis, ani Rebecca nie wspomnieli o nim jednym słowem.

– Widzisz ten numer? – nalegała Sophia. – Telefon i faks. To nie pochodzi z wczoraj...

Faktycznie. Co więcej, wizytówka wskazywała nam, że przynajmniej jeden członek rodziny Aurory mieszkał i pracował w pobliżu, zapewne jeszcze przed jej śmiercią, sądząc po sposobie numeracji. Brat? Stryj? Może nawet ojciec?

– Jaki prefiks ma ta okolica? – zapytałam.

Sophia złapała pierwszy z brzegu prospekt reklamowy z późniejszych czasów i odczytała:

– Zero dwa.

Natychmiast wystukałam pełny numer na wirtualnej klawiaturze smartfona i czekałam na sygnał. Zamiast niego usłyszałam jednak automatyczny komunikat, że „nie ma takiego numeru". Od kiedy? Zagadka. Połączyłam się jeszcze z książkami telefonicznymi, ale operatorka nie znalazła w bazie danych żadnego Jean-François Delbarda, ani w Dinard, ani w aglomeracji Saint-Malo. Prosiłam nawet o sprawdzenie kilku podobnych pisowni, z tym samym, czyli żadnym skutkiem.

– Albo się wyprowadził, albo też już zmarł – podsumowała Sophia.

Zmarł. Zmarła.

Jej uwaga, pozornie banalna, otworzyła mi nowe perspektywy.

– Jesteś genialna! – Nagle chwyciłam ją w objęcia.

– Ale co takiego powiedziałam?

– Chodź, spadamy stąd. Wytłumaczę ci po drodze.

Wystarczył nam kwadrans, żeby w miarę zatrzeć ślady naszej bytności i zamknąć za sobą drzwi willi Roches brunes, tak pilnie

strzegącej swych sekretów.

Na szczęście urząd stanu cywilnego przy merostwie Dinard był jeszcze otwarty. Na nieszczęście żadna Aurora Delbard – ani nawet Barlet – nie figurowała w rejestrach ani narodzin, ani zgonów.

Bez wahania postanowiłyśmy ponowić próbę w analogicznej placówce w Saint-Malo.

– Tak, mam tu Aurorę Delbard. Urodzoną dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Zmarłą dwudziestego piątego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego.

– A niech to – gwizdnęła Sophia, dając głośny wyraz naszemu wspólnemu osłupieniu. – Zabiła się w Boże Narodzenie!

Rzeczywiście, w Boże Narodzenie, a nie podczas letniej kąpieli, jak utrzymywał Louis od pierwszej opowieści na ten temat...

– A gdzie jest pochowana? – zapytałam urzędniczkę.

– Czy to pani krewna, mademoiselle?

– Nie... Tylko pierwsza żona mojego przyszłego męża.

Musiałam wzbudzić życzliwość, a może i współczucie tej kobiety, skoro zdecydowała się mi pomóc:

– Nie mamy w rejestrach tego rodzaju informacji. Ale sądząc po podanym przez panią adresie... istnieje duże prawdopodobieństwo, że pochowano ją na cmentarzu w Rocabey. Oczywiście jeśli jej rodzina ma tam grobowiec.

Z trasą naniesioną przez urzędniczkę na turystycznym planie miasta wskoczyłyśmy w garbusa i jakoś dotarłyśmy na cmentarz. Rocabey to smutna dzielnica Saint-Malo, wciśnięta między dworzec kolejowy a doki towarowego portu. Tabliczka na cmentarnej bramie wymieniała jednak na użytek turystów nazwiska kilku sławnych ludzi, którzy znaleźli tu miejsce wiecznego spoczynku: Roberta Surcoufa, największego z lokalnych korsarzy, czy aktora Daniela Gélina.

Po kilku minutach wałęsania się na chybił trafił wzdłuż alejek spotkałyśmy wreszcie grabarza z taczką. Przez chwilę drapał się po głowie w głębokim namyśle, aby wreszcie doznać olśnienia:

– Aha, Delbard... jak notariusz!

Bingo.

– Właśnie – podchwyciłam. – Jak notariusz. Zresztą Aurora była jego... – zawiesiłam głos, w nadziei, że dokończy moje zdanie.

– ...Córką, tak. Albo może siostrzenicą. Chyba że mylę ich z rodziną Dolé. A może i z Bazinami.

Nie wyciągniemy z niego nic więcej, powiedziały mi wzniesione do nieba oczy Sophii.

Rodzinny grobowiec Delbardów był płytą z różowego marmuru, dość skromną, pozbawioną portretów i wyraźnie zaniedbaną: bez kwiatów, bez zniczy, bez żadnego śladu czyjejś troski. Ze wszystkich stron otaczała go dzika roślinność, której nikt nie zadał sobie trudu pielić. Ale litery i cyfry były na szczęście wyraźne, tak więc pod nazwiskiem rodziny zobaczyłyśmy cztery imiona opatrzone datami życia: Amédée (1910–1985), Suzanne (1912–1999), Jean-François (1938–2005) i wreszcie Aurora (1970–1989).

– Umarła przed swoim ojcem – zauważyła Sophia.

– I nawet przed babcią.

Miałam nieodparte wrażenie, że nikt z rodziny Delbard nie chodził już po tym padole, bo przecież zaszedłby i na grób swoich bliskich... Nikt, kogo można by wypytać. Chyba że...

– Jej matka... Nie leży razem z nimi.

– Może jeszcze żyje... – zawahałam się.

– Hm... Popatrz, mogłyśmy zapytać w urzędzie o dane rodziców Aurory. A teraz już na pewno zamknięte.

I rzeczywiście, chylące się ku zachodowi słońce wskazywało na porę zbyt późną jak na pracę miejscowej administracji.

Dzięki funkcji 3G mojego smartfona – skonstatowałam przy okazji, że David przestał mnie molestować, skoro od rana nie było żadnych nowych telefonów – weszłam do internetu i wpisałam w wyszukiwarkę dwa hasła: „Rebecca Sibony” oraz „Piękności Nocy”. Trop okazał się właściwy, gdyż agencja figurowała w rejestrze firm, i to pod prywatnym adresem szefowej: Piękności Nocy, Spółka z o.o., 118 avenue Georges Mandel, 75–116 Paris Cedex.

– Chcesz zrobić nalot na tę zdzirę?

Naturalne słownictwo Sophii brało górę nad miejscem i okolicznościami.

– Tak.

– Naprawdę myślisz, że to coś da?

– Nie wiem. Być może.

Miałam taką nadzieję.

W końcu, pomijając Davida i Louisa, Rebecca była ostatnim naocznym świadkiem dramatu. Niekoniecznie najbardziej bezstronnym, ale za to jedynym pozostałym przy życiu. Nasza wyprawa do Dinard nie przyniosła wielkich rewelacji, co najwyżej leciutko uchyliła rąbka tajemnicy okrywającej Barletów jak pokrowce Roches brunes. Liczyłam, że dzięki Rebecce wreszcie uda się wydobyć wszystko na światło dzienne. Z pewnością wiedziała więcej, niż zdradziła mi ostatnim razem w lokalu przy rue du Roi-de-Sicile.

Jej bystre spojrzenie ze zdjęcia sprzed lat, którego nie omieszkałam zabrać, też zachęcało mnie do tej wizyty. Tylko Rebecca mogła odkryć przede mną przeszłość braci Barletów oczyszczoną z kurzu i ich kłamstw. Tylko ona mogła uzupełnić luki w moim śledztwie i czułam, że to na niej wymuszę.

34

16 czerwca 2009

Przerwa na siusiu. Przerwa na kolację. Postój na tankowanie. Wracałyśmy do Paryża dziwnie powoli, jakbyśmy podświadomie odsuwały od siebie to, co nas tam czekało. Jakby wcale nam się nie śpieszyło wpuścić światło w strefy cienia odkryte w Roches brunes. Jeśli Aurora pochodziła z okolic Saint-Malo, jak spotkali się z Davidem? Co naprawdę musiało zajść w to Boże Narodzenie 1989 roku, że dziewiętnastoletnia dziewczyna rzuciła się we wściekłe lodowate fale? Dlaczego David znikł wtedy z domu – bo przecież nie z powodu „interesów", jak utrzymywał Louis! – zostawiając przy świątecznym stole brata, rodziców, a przede wszystkim młodą żonę, do tego pogrążoną w depresji? Co łączyło ich wszystkich z Pięknościami Nocy? Czy to możliwe, żeby Aurora... była również jedną z *hotelles*?

Na koniec zatrzymałyśmy się w motelu przy autostradzie, między Angers i Le Mans, ponieważ żadna z nas nie miała już siły trzymać kierownicy. Poprzednia noc była krótka, dla Sophii jeszcze krótsza niż dla mnie, i obie potrzebowałyśmy odpoczynku, nie chcąc ryzykować wypadku na drodze pełnej ciężarówek.

Piszę prawie po ciemku. Myślę, że Sophia już śpi w sąsiednim łóżku. W każdym razie oddycha głęboko i regularnie. Za to ja nie mogę zasnąć. Czy to z powodu naszych najnowszych odkryć? Czy w przeczuciu następnych, czekających nas w Paryżu?
Nie, przyczyna jest znacznie prostsza: przy każdym przyspieszeniu oddechu mojej przyjaciółki wyobrażam sobie otóż, że wcale nie śpi, tylko masturbuje się gorączkowo, ~~z palcem wskazującym na łechtaczce i środkowym zagłębionym w pochwie.~~ Ta wizja nie jest dla mnie niczym nowym – odkąd skończyłam szesnaście lat, ilekroć miałam okazję dzielić sypialnię z którąś z koleżanek, zawsze mnie to nurtowało: czy ona się masturbuje? Albo raczej: czy mogłaby masturbować się w mojej obecności tak, żebym niczego nie

zauważyła? Ta kwestia nurtuje mnie do tego stopnia, że za każdym razem kończy się podobnie: wsuwam rękę we własne majtki i bardzo dyskretnymi ruchami palca pobudzam łechtaczkę, dopóki nie skapituluje i nie wyrwie mi kilku westchnień. Czy Sophia słyszała mnie tej nocy? Czy też zastanawiała się, co robię? Jak to jest, że spanie w jednym pokoju dwóch osób, czy to płci przeciwnej, czy tej samej, zawsze sprowadza się do tych pytań: Czy ona ma ochotę? Na mnie? Na siebie samą?
(Odręczna notatka z 16.06.2009, mojego autorstwa)

Nazajutrz wyruszyłyśmy w drogę jeszcze przed świtem. Tunel przy Porte d'Orléans, w którym zawsze podobało mi się pomarańczowe neonowe oświetlenie, połknął nas dokładnie wtedy, gdy dzień dopiero wstawał nad obwodnicą i gęstymi nitkami ulic tego bliskiego przedmieścia Paryża od strony południowej.

Pojechałyśmy szosą wewnętrzną na zachód, aby za usłużną podpowiedzią nawigacji skręcić do miasta przy Porte de la Muette, po pokonaniu dobrej ćwiartki obwodnicy.

Było nadal bardzo wcześnie, tak wcześnie, że nawet w samym Paryżu ruch jeszcze odbywał się płynnie, a na ulicach działo się niewiele. Tylko piekarnie, samochody dostawcze i śmieciarki zdążyły podjąć poranną służbę. Piąta trzydzieści, wskazywał dużymi zielonymi cyframi elektroniczny zegar samochodu.

– Chyba jednak nie wylądujemy u niej o tej godzinie? – zapytała Sophia.

– Nie, masz rację. Kawa?

– Kawa – zgodziła się natychmiast.

Pod numerem 118 avenue Georges Mandel mieścił się duży gmach z lat 70. lub 80. XX wieku, o nieskazitelnie białych ścianach i oknach otoczonych zaokrąglonymi gniazdami z betonu, wystającymi z fasady.

Hall wyglądał równie kiczowato, a znalezienie Rebekki na długiej liście lokatorów zajęło nam sporo czasu – przy okazji zauważyłam też nazwisko Barlet na ósmym piętrze. Po długim dzwonieniu

domofonem wreszcie usłyszałyśmy zaspany głos. Nie ulegało wątpliwości, że tym, co ją obudziło, był właśnie nasz dzwonek.

– Tak?

– Rebecca? Tu Annabelle.

– I Sophia! – krzyknęła mi przez ramię moja przyjaciółka.

– Otwieram wam – odpowiedziała lakonicznie. – Dziewiąte piętro, pierwsze drzwi na prawo.

Przyjęła nas boso, w jedwabnym peniuarze koloru fuksji narzuconym na koszulę nocną w spokojniejszym odcieniu różu. Rozczochrana i bez makijażu, Rebecca Sibony nie ukryłaby przed nikim swojej dawno przekroczonej czterdziestki. Po raz pierwszy zauważyłam na jej twarzy głębokie zmarszczki, zazwyczaj maskowane warstwami pudru i podkładu. Tylko oczy, mimo ciężkich, podpuchniętych snem powiek, patrzyły na nas równie wyzywająco, jak na autora tamtego zdjęcia, które zwędziłam z Roches brunes. Ciekawe, kto mógł je zrobić?

– Chcecie coś do picia? Herbaty? Kawy? Wody?

Wprowadziła nas do małego salonu z oknami na ulicę. Był nowoczesny, zadbany i elegancki, aczkolwiek przeładowany bibelotami, a zwłaszcza zdjęciami. Wszystkie przedstawiały Rebeccę w towarzystwie imponującej galerii celebrytów, najwyraźniej bardzo z nią zaprzyjaźnionych. Sophia nie mogła powstrzymać się od przewracania oczami na widok znanej twarzy tego czy innego prezentera albo gwiazdy estrady.

– Nie, dziękujemy, dopiero wyszłyśmy z kawiarni – odpowiedziałam za nas obie.

– Ach, tak... ale pozwolicie, że ja zrobię sobie herbatę.

Znikła w kuchni, a ja przez ten czas mogłam lepiej przyjrzeć się jej mieszkaniu. Spod biurka zawalonego chwiejnymi stosami papierów wystawały duże pudła z szarego metalu. Domyśliłam się, że to archiwa Piękności Nocy. Cały ten bazar musiał pochodzić z opróżnionej siedziby agencji przy rue du Roi-de-Sicile...

Później, na przeciwległej ścianie, zauważyłam coś jeszcze ciekawszego: pod bladożółtą tapetą wyraźnie rysowała się framuga drzwi. „Przejście do mieszkania Louisa!” – pomyślałam z nagłym ukłuciem w sercu, które za wszelką cenę starałam się zwalczyć przed

powrotem gospodyni z dużym kubkiem w ręku. Doszedł nas zapach wody toaletowej Shalimar, wkrótce zmieszany z oparami jaśminu wydzielanymi przez gorący napój.

Obserwując, jak Rebecca machinalnie obraca łyżeczkę w herbacie bez cukru, myślałam o naszym ostatnim spotkaniu i bardziej ogólnie o jej życiu. Ona również zdawała się miotać w egzystencji pozbawionej prawdziwego smaku i słodyczy, bo nieobejmującej już Louisa. Definitywnie odrzucona przez odwiecznego kochanka, zapewne nigdy nie doszła do siebie po tej miłosnej klęsce. Żadne wydarzenie, czy to z życia osobistego, czy zawodowego, nie było w stanie wypełnić tej luki, przez którą uchodziła z niej radość i energia.

Ta myśl przychodzi mi do głowy i natychmiast wypieram ją siłą woli: jedno pomieszczenie, trzy kobiety... wszystkie posiadane (lub prawie) przez tego samego mężczyznę. Czy powinnam nad tym ubolewać? Czy raczej śmiać się? Czy to szokujące... albo przeciwnie, ekscytujące? Która z nas w ostatecznym rozrachunku da mu więcej rozkoszy niż inne? Najpiękniejsza, najbardziej zakochana... a może, wbrew wszelkim oczekiwaniom, najbardziej oporna?
(Odręczna notatka z 16.06.2009, mojego autorstwa).

Chociaż musiała się spodziewać, że wreszcie otworzę ogień, moje pytanie wyraźnie ją zaskoczyło:

– Rebecco, kiedy powstały Piękności Nocy?

Skądinąd znałam już odpowiedź. Ta informacja figurowała w rejestrze firm, obok poszukiwanego przeze mnie adresu. Chciałam po prostu usłyszeć to z jej ust.

– W lutym 1992 roku.

Zgadzało się. A więc ponad dwa lata po śmierci Aurory. Wedle wszelkiej logiki pierwsza żona Davida nie mogła być jedną z nas, *hotelles*.

– A przedtem?

Sophia wmieszała się do rozmowy, chociaż raz w samą porę.

– Prowadziła pani agencje o podobnym... hm, profilu działalności?

– Nie, ta była pierwsza. Przedtem zajmowałam się PR-em, ale nie na własny rachunek.

– Tylko dla jakiej firmy?

– Dla różnych: właścicieli sal imprezowych, jednego dystrybutora filmów... Ale to wszystko przeszłość, i to bardzo daleka.

Przyjaźnie, tak ostentacyjnie eksponowane na jej ścianach, pochodziły niewątpliwie z tamtych czasów. Przypuszczalnie ci sami celebryci musieli znacząco zasilić jej klientelę już po powołaniu do życia agencji.

– Chyba jednak nie przyszłyście tu na rozmowy o mojej karierze? – zażartowała łagodnym, nostalgicznym tonem. – Jeśli tak można to nazwać...

Teraz, gdy przekazała Louisa w moje ręce, gdy zobaczyła we mnie oficjalną depozytariuszkę człowieka, z którym nie wiedziała już, co robić, pozostały jej tylko stare wspomnienia. I to sąsiedztwo, które wkrótce miało się zakończyć. Raz na zawsze. Ona sama, sprawiająca wrażenie tak pewnej siebie podczas naszych pierwszych spotkań, teraz przypominała mi wrak statku, sterany nadmiarem morskich burz i zacumowany w kącie portu, gdzie nikt już nie będzie go zwiedzać. Statku poobijanego, miejscami przeżartego rdzą... Odartego niemalże do szkieletu.

– Gdy ostatni raz rozmawiałyśmy... – podjęłam przesłuchanie – dlaczego nie powiedziała mi pani, że agencja należy do Davida?

Oczywiście jego nazwisko nie pojawiało się w rejestrze – na to był za sprytny. Ukrywał się wśród anonimowych podmiotów podniesionych do rangi udziałowców, których nie miałam czasu rozszyfrować.

Rebecca zatrzepotała rzęsami, dając mi do zrozumienia, że i to pytanie zaskoczyło ją na równi z poprzednim. Później, po długim łyku gorącej herbaty, wzniosła oczy do nieba w geście uciśnionej niewinności.

– Nawet nie pytam, skąd o tym wiesz...

– I dobrze, bo i tak bym nie odpowiedziała – ucięłam zuchwale. – Zna pani dziennikarską zasadę: nigdy nie zdradzać swoich informatorów.

Prawdę mówiąc, nie miałam powodu, żeby chronić François Marchadeau. Wiedziałam też, że David z pewnością odkryje źródło przecieku. Ale to dotyczyło tylko nas trojga: jego samego, jego starego przyjaciela i mnie, w żadnym razie nie Rebekki.

– David po prostu pożyczył mi pieniądze na rozkręcenie działalności – wykręcała się ta ostatnia. – Ponad piętnaście lat temu... To wszystko.

– Chce pani powiedzieć, że już nie jest udziałowcem? – to znów Sophia, najwyraźniej zniecierpliwiona tokiem mojego śledztwa.

– Jest. Ale od dawna nie większościowym.

Tę informację łatwo było sprawdzić, choćby od razu, przez internet. Nie zamierzałam jednak gubić się w czysto administracyjnych szczegółach.

– Nie dostałam odpowiedzi na moje pytanie: dlaczego zataiła pani przede mną rolę Davida w Pięknościach Nocy? Dlaczego nie miałam pojęcia, że wiedział o mnie wszystko już w dniu naszego spotkania?

– Czy to aż takie ważne? – popatrzyła na mnie spod zmrużonych powiek.

– Tak – odparłam stanowczo.

Choćbym nawet nie umiała tego uzasadnić. W istocie dysponowałam zaledwie kilkoma datami, szczątkową znajomością faktów i przede wszystkim własną intuicją. Nic nie wskazywało na bezpośredni związek działalności agencji z dramatem Aurory Delbard. Nic nie tłumaczyło tak szczególnego zainteresowania obojga braci Barletów moją skromną osobą, a i ogniwo między tymi dwiema zagadkami nadal było bardziej przeczuciem niż pewnikiem.

Rebecca zadrżała jakby z zimna i szczelniej owinęła się peniuarem. Zobaczyłam w tym geście nie tyle wstyd, ile odruch obronny, pragnienie ukrycia jej chudego ciała pod satynową zbroją.

– Bóg jeden wie, jak źle działo się w tym małżeństwie... David z pewnością nie był dla Aurory wymarzonym mężem... A mimo to nie mógł przeboleć jej śmierci.

Opaska na lewym przedramieniu. Blizny po próbie samobójczej. To akurat już znałam. Nie musiała mi o tym opowiadać. Lekkim uśmiechem, który zresztą szybko zgasł, zachęcałam ją do dalszego ciągu.

– Ponieważ mijały lata, a on nie był w stanie zakończyć żałoby... w końcu wpadł na ten pomysł. A może nie on, tylko Louis. Prawdę mówiąc, tego nigdy nie wiedziałam na pewno.

– Jaki pomysł?

Zagadka: dlaczego zadaje się pytania, na które z góry zna się odpowiedź?

– Piękności Nocy oczywiście!

Rozwiązanie: dlatego, że słyszana z cudzych ust boli jeszcze bardziej. Słowa innych działają jak nóż, a my, w samobójczym dążeniu do prawdy, wystawiamy się na jego cios. Słowa innych potwierdzające nasze najgorsze podejrzenia mogą nas unicestwić.

– Nic nie rozumiem – wtrąciła moja przyjaciółka. – Jaki to ma związek z Aurorą?

– Powiedzmy, że David nie znosił życia w samotności. A z drugiej strony nie wyobrażał sobie nowej relacji, równie destrukcyjnej jak tamta. Nie chciał całego tego szaleństwa, tej histerii...

– Wymyślił sobie agencję jak wielki casting! – wykrzyknęłam jednym tchem.

Sophia również nie posiadała się ze zdumienia. O ile ja coraz głębiej zapadałam się w kanapę, dosłownie zmiażdżona tym wszystkim, ona przeciwnie, siedziała na samym brzegu, wyprężona, bliska eksplozji.

– A przypadkiem nie przyszło mu do głowy, że i na niego spada odpowiedzialność za tę porażkę?

– David nie należy do ludzi skłonnych szukać winy w sobie.

Jeśli o to chodzi, musiałam przyznać jej rację. Wszystko nabierało nowego znaczenia, każdy element rozsypanych puzzli wreszcie znajdował miejsce w układance. Skoro znalazł mnie, skoro uznał mnie za godną następczynię Aurory, agencja straciła rację bytu, będąc zresztą przez wszystkie te lata tylko pretekstem do jego szalonych poszukiwań.

Po kilku głębszych oddechach udało mi się nieco ochłonąć.

– A dlaczego powierzył to zadanie właśnie pani?

– Akurat byłam wtedy bez pracy. No a Louis, jak mi się wydaje, miał pewne skrupuły, że znowu mnie zostawił...

Niemal usprawiedliwiała się przed nami, jakby sama we własnych oczach nie mogła sprostać oczekiwaniom starszego z braci Barletów.

– Niezbyt wiele jak na dyrektorską posadę w nowym fachu – uwaga Sophii zabrzmiała dość bezceremonialnie.

– To prawda... ale uczyłam się szybko. A poza tym miałam jeden zasadniczy atut: mój wizytownik z poprzednich prac.

Omiotła wzrokiem osobistą galerię na ścianach, potwierdzając tym samym moje wcześniejsze przypuszczenia.

– A ja myślałam, że to był tylko blef. Przecież pani obroty i tak nie miały znaczenia!

– No niezupełnie, nie z Davidem jako szefem – westchnęła Rebecca.

Innymi słowy, fikcyjna czy nie, agencja należąca do Grupy Barlet musiała przynosić zyski, tak jak wszystkie pozostałe części składowe koncernu.

I nagle poraził mnie jeden szczegół, wyraźnie niepasujący do tego zgrabnego scenariusza.

– Ale chyba nie poświęciła pani siedemnastu lat, żeby znaleźć taką dziewczynę jak ja?

Tego, że taką zwyczajną, nie musiałam dodawać, gdyż to rozumiało się samo przez się i było właśnie przyczyną mojej konsternacji. Czy przez castingi organizowane w firmach Davida nie przewijały się dzień po dniu korowody innych Annabelle Lorand? Młodych, świeżych, gotowych na wszystko dla kariery?

– Właśnie tak – zaprzeczyła tymczasem Rebecca bez zmrużenia oka. – Już wam to mówiłam: David jest bardzo wymagający. Pod każdym względem. A cóż dopiero w stosunku do kobiet, z którymi wchodzi w bliższe relacje, albo wobec kandydatki na żonę!

– Jeśli szukał chodzącej doskonałości – Sophia przyszła mi z odsieczą – są przecież specjalne portale randkowe, gdzie biorą pod uwagę tysiące kryteriów. A taki bogacz, i do tego przystojniaczek nie narzekałby na brak chętnych, może mi pani wierzyć.

– Oczywiście, David przyciąga znacznie więcej młodych kobiet, niż jest w stanie zmieścić w swoim łóżku – odparowała natychmiast. – Ale wtedy nie było jeszcze takich portali.

Nie zareagowałam na tę szpilę, właściwie tylko przypomnienie oczywistego faktu, o którym, jak zapewne myślała Rebecca, zapomniałam zbyt szybko: mój narzeczony był jedną z najświetniejszych partii we Francji. A może i w całej Europie, chociaż z trudem wyobrażałam sobie jego rozgłos poza naszymi granicami.

Odstawiła kubek na niski stolik, później poprawiła kosmyk włosów uparcie zsuwający się na jej czoło, jakby przywoływała się do porządku.

– Tak czy inaczej, nie w tym problem...

– O czym pani mówi? – wybuchłam wreszcie. – To czysta groteska! Co jest we mnie takiego wyjątkowego?

W jej spojrzeniu zobaczyłam to samo rozczulenie i współczucie, z jakimi przyglądała mi się podczas naszego poprzedniego spotkania.

– Powiedzmy... Powiedzmy, że chodzi o całokształt – powiedziała wymijająco. – Trudno to streścić w trzech słowach.

– Może być w trzystu – podchwyciła natychmiast Sophia. – Mamy czas.

Rebecca popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Zdawała się przyparta do muru, a jednocześnie przekonana, że nie do niej należy udzielenie mi tej odpowiedzi. Wrażenie okazało się trafne, skoro po chwili dodała już wyłącznie pod moim adresem, całkowicie ignorując obecność Sophii:

– Myślę, że to raczej oni powinni ci to powiedzieć...

Podwójna dwuznaczność tych słów nie uszła mojej uwadze: nie udawała, że nic nie wie, a tylko cedowała na innych obowiązek dopuszczenia mnie do tajemnicy. Na nich. Mogła wyraźnie wskazać Davida, mojego narzeczonego – ale zdecydowała się na obu braci związanych tym najważniejszym sekretem. Na zawsze, nierozerwalnie połączonych.

A tymczasem już od kilku minut czułam uporczywe, nieprzerwane wibracje mojej komórki dochodzące ze środka torebki. Natręt nie rezygnował, rozpraszając mnie w tak krytycznym momencie.

– Tak? Halo? – w końcu zdecydowałam się spławić go osobiście.

Numer był zastrzeżony, ale wczesna pora, a tym bardziej upór dzwoniącego raczej wykluczały pomyłkę albo nadgorliwość

telemarketerów.

– Annabelle?

Ten głos. Znałam ten głos. Znałam zwłaszcza ten charakterystyczny tembr, który mimo pozornego spokoju nie był w stanie ukryć dramatycznych akcentów. Głos posłańca złych wieści.

– Tak... To ja.

– Ludovic Poulain. Przykro mi niepokoić panią tak wcześnie. Nie przeszkadzam?

Doktorze Poulain, niech mi pan powie, że to pomyłka. Albo wyliczy z zawodowej sumienności wszelkie możliwe objawy uboczne leków, jakie w nocy przepisał pan mamie. Niech pan mówi cokolwiek, byle nie to, co naprawdę chce mi pan powiedzieć. Ten prawdziwy powód telefonu, choć jeszcze niewypowiedziany, już wydzielał się ze słuchawki jak śmiertelna trucizna.

Jego słowa przeszyły mnie na wylot, ale bez naruszania ważnych dla życia organów, bez wywołania bólu czy jakiejkolwiek emocji. Drżącą ręką sięgnęłam do torebki z dwiema splecionymi literami i grzebałam w niej po omacku w poszukiwaniu nie wiedzieć czego, co nagle było mi pilnie potrzebne. Z torebki przypadkiem wypadła fotografia, spływając na podłogę pożółkłym rewersem do góry.

Rebecca schyliła się, żeby ją podnieść, i instynktownie odwróciła. Zobaczyła samą siebie, jeszcze młodą, na plaży w Dinard w objęciach Louisa. Tego, który znikł z jej życia, a mimo to był nadal obecny w każdym geście, każdym słowie, każdej podejmowanej przez nią decyzji. Nie do usunięcia. Jej własny rak, nieoperacyjny.

35

– Mamo? Mamuś, słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi, rzecz jasna. Żadnego drgnięcia powieki w charakterze reakcji. Tylko nieruchoma masa na białym łóżku. Szpitale mają zdumiewającą moc zmieniania bliskich nam ludzi tak, że z trudem ich rozpoznajemy, choćby ich wizerunek wydawał się nam utrwalony raz na zawsze. Co za straszliwa pomyłka. Bezwładne ciało wśród pościeli, rurek i końcówek aparatury medycznej nie jest już naszym dzieckiem, przyjacielem, ojcem czy matką. Nie nazywa się już Maude, Lola czy Henri. Jest teraz tylko pacjentem. Bez właściwości, niemal anonimowym.

Ledwie widoczna pod przewodami kroplówek i maską respiratora, mama wydawała mi się maleńka. Jak wcześniak utrzymywany przy życiu wyłącznie za pomocą maszyn, wyłącznie sztucznie i z zewnątrz, a jednak w iluzji jako takiego funkcjonowania.

To pani Chappuis wszczęła alarm. Nieznośna Laure Chappuis okazała się prawdziwą przyjaciółką w biedzie, mimo całej swej zgryźliwości i niełatwego charakteru. Była dla mojej mamy aniołem stróżem, zrzędliwym, nieraz uciążliwym, ale czujnym jak pies obronny. Właśnie to udowodniła. W środku nocy dostrzegła gęsty dym z wywietrznika w domku sąsiadki. Skądinąd ciekawe, że o tak późnej porze nie miała nic lepszego do roboty jak wyglądać przez okno. Czyżby oczy rozbolały ją od seriali albo zabrakło plotkarskich magazynów? A może po prostu zauważyła „miłego doktora”, wychodzącego kilka chwil wcześniej i zaniepokoiło ją to naprawdę?

Jak właśnie się dowiedziałam, po wizycie – złożonej na moją prośbę – doktora Poulaina mama, od dawna bez apetytu, ni stąd, ni zowąd postanowiła odgrzać sobie zrobioną wcześniej zapiekankę. Co jeszcze dziwniejsze, zamiast zwyczajnie użyć kuchenki mikrofalowej, włożyła całą brytfannę do piekarnika z termostatem ustawionym na maksimum.

A tymczasem środek uspokajający podany przez lekarza zaczął działać i mama przysnęła na kanapie, zostawiając rozpalony piec

i jego zawartość. W dwie godziny później nie tylko kuchnię, ale i salon spowijały kłęby szarego dymu. Straż pożarna przyjechała dosłownie w ostatniej chwili, żeby ocalić mamę od zaczadzenia i błyskawicznie odtransportować do Max Fourestier, publicznego szpitala w Nanterre, dokąd mniej więcej co trzy tygodnie Maude wracała na chemioterapię.

Gdy odzyskałam mowę i opowiedziałam im o wszystkim, co usłyszałam w tak nieodpowiednim momencie, Sophia bez namysłu zerwała się z miejsca:

– Jedziemy, zawiozę cię – oznajmiła już przy drzwiach.

– Nie trzeba, poradzę sobie – protestowałam słabo. – Poza tym musisz oddać Peggy samochód...

– Nie wygłupiaj się. Powiedziałam, że odstawię jej garbusa dzisiaj, ale nie mówiłam o której. No już, chodź!

Rebecca zastygła w fotelu, ze zdjęciem w ręku, niezdolna do najmniejszego ruchu. Za całe pożegnanie uśmiechnęła się do nas smutno. A więc wszystko zostało jej odebrane, nawet ta scena wielkich rewelacji. Jej scena.

Ruch nie był już równie płynny jak przy naszym wjeździe do stolicy. Potrzebowałyśmy prawie godziny, żeby wydostać się na avenue de la République w Nanterre, długą arterię pozbawioną wdzięku, zabudowaną z obu stron blokami i pawilonami w dość opłakanym stanie. Wysoki szpitalny mur kojarzył się bardziej z więzieniem niż placówką medyczną, niemniej od wewnątrz, już za bramą i portiernią, szpital w Nanterre prezentował się nawet dość majestatycznie.

Z dziedzińca skierowałyśmy się w lewo, pod arkadę z wywieszoną długą listą oddziałów. Dwa napisy na samym dole, oznaczone czerwonymi kwadracikami, przejęły mnie lodowatym dreszczem: „Oddział ratunkowy” i tuż poniżej „Kostnica”. Dopiero po chwili wpadła mi w oko inna nazwa, „Onkologia”, zresztą niewiele radośniejsza.

Grzeczne i uczynne pielęgniarki zaprowadziły nas do właściwej sali. Mamę przyjęto tu nad ranem, po nocy na oddziale ratunkowym

i decyzji tamtejszego lekarza, że już nie wymaga intensywnego leczenia, a jej życie nie jest zagrożone, przynajmniej w ciągu najbliższych godzin.

Sophia zostawiła mnie przy łóżku mamy, gdzie z braku rozmówcy w końcu zapadłam w drzemkę na twardym, plastikowym krześle, ukołysana regularnym tykaniem monitorów i osłabiona panującym tu upałem.

– Elle... Elle, kochanie?

Jeszcze zanim zidentyfikowałam głos, rozpoznałam twardą, ciepłą rękę Davida na moim ramieniu. Nie podskoczyłam z wrażenia. Wyrwana z marzeń sennych, które rozproszyły się natychmiast, wiedziałam, że on do nich nie należał. Należał do tej szpitalnej jawy wokół mnie: ciężkiej, ponurej, przesyconej chorobą i cierpieniem.

Bez chwili namysłu nad doborem słów przegoniłam go z sali, z tłumioną brutalnością zaskakującą dla mnie samej, z furią jakby znieczuloną moim własnym bólem:

– Wyjdź stąd.

Popchnęłam obiema dłońmi jego muskularny, płaski tors, niewzruszony jak ściana. No, może niezupełnie, bo jednak cofnął się o jakieś pół kroku.

– Kochanie...

– Zjeżdżaj stąd. Nic tu po tobie.

– Wytłumacz mi przynajmniej, co się dzieje!

– To się dzieje, że spadasz z tego pokoju. Chyba jasne, co?

– Na litość boską, Elle... Nie ma cię od dwóch dni! I teraz odnajduję cię tutaj...

– Wynoś się!

– No dobrze, dobrze...

Skapitulował, tyłem wycofał się na korytarz, z grymasem niedowierzania na twarzy w charakterze przeprosin.

– Poczekam na ciebie na dworze – rzucił mi na pożegnanie.

Kto go zawiadomił? Ani chybi Rebecca, bo przecież nie Sophia, na której wymusiłam przyrzeczenie absolutnej dyskrecji.

Przez następne półtorej godziny czatowałam na ordynatora tego oddziału, żeby zamienić z nim choćby kilka słów. Wreszcie tuż po jedenastej, gdy już traciłam nadzieję, cudem zajrzał do sali mamy.

Przystojny, szpakowaty, z dumą obnoszący ładną opaleniznę, zbyt wczesną jak na tę porę roku.

– Chciała pani widzieć się ze mną, mademoiselle?

– Annabelle Lorand – wyciągnęłam do niego drżącą, rozpaloną rękę. – Jestem córką...

Słabym gestem wskazałam mamę, nie śmiąc na nią spojrzeć.

– Profesor Laurent Placement – przedstawił się grzecznie.

W pierwszej chwili źle dosłyszałam nazwisko, a nawet uznałam je za żart. Ale twarz lekarza była spokojna, opanowana, bez cienia niewczesnej wesołości. To zapewne ja sama podświadomie szukałam czegokolwiek, co mogłoby rozładować napiętą sytuację, niechby nawet w prymitywny sposób. Z kolei trzeźwa i rozsądna część mojej natury domagała się wyłącznie faktów.

– Ten nocny wypadek... – zaczęłam niepewnie. – Czy bardzo pogorszył stan mamy?

– Nie. Po prostu uwidocznił jej skrajne wyczerpanie.

– Skrajne... do jakiego stopnia?

– Takiego, że nie może już mieszkać sama – zawyrokował pewny swoich racji. – Wymaga stałej opieki drugiej osoby.

– Wie pan, panie profesorze, że za cztery dni mama leci na leczenie do Stanów Zjednoczonych?

Nie okazał najmniejszego niezadowolenia, chociaż dałabym głowę, że każdy inny lekarz na jego miejscu poczułby się urażony w swojej dumie profesjonalisty.

– Tak, oczywiście. Ale z przykrością muszę pani powiedzieć, że to nie będzie możliwe. Na razie czekamy na wyniki nowych badań, jakie zleciłem dzisiaj w nocy przy przyjęciu.

A więc szpitalny George Clooney kierował się etyką zawodową. Od jak dawna mógł zajmować swoje odpowiedzialne stanowisko?

– Ten wyjazd jest dla mamy ostatnią szansą! – zaprotestowałam z oburzeniem. – Nie może pan pozbawiać jej tego tylko z powodu...

No właśnie, jakiego? Troski o własną reputację? Uzasadnienia swoich poborów? Chciałam go dotknąć, a nie bardzo wiedziałam jak.

Musiał być przyzwyczajony do ataków ze strony rodzin, półprzytomnych z niepewności i rozpaczy. Czułam jednak, że nie ma mi tego za złe, a nawet dostrzega we mnie coś jeszcze poza

cierpieniem, ślepym i głuchym na wszelkie argumenty. Jego głos brzmiał spokojnie i wyraźnie łagodniej niż przed chwilą:

– Mademoiselle Lorand... Pani mamie zostało niewiele czasu.

– Przecież wiem! I właśnie dlatego...

– Nie zrozumiała mnie pani – przerwał mi, kładąc rękę na moim barku. – Nie mówię o tygodniach, tylko o dniach.

Jak to możliwe? Jeszcze niedawno ten sam zespół z jego oddziału dawał mamie kilka miesięcy!

– Obawiam się, że byliśmy zbyt optymistyczni w naszych ostatnich rokowaniach – przyznał z porażającą szczerością. – Badania wykonane dzisiaj w nocy z pewnością potwierdzą to, czego się obawialiśmy: przerzuty są już uogólnione, to znaczy zajęły najważniejsze narządy. Nawet gdybyśmy byli w stanie wymienić na nowe jej serce, płuca i wątrobę, i to za jednym zamachem, i tak niewiele by to dało. Wszystko, co możemy teraz zrobić, to leczyć ją paliatywnie, przynosić maksymalną ulgę, na ile tylko pozwalają nam procedury.

Kliniczne. Precyzyjne. Pozbawione wszelkiej afektacji. Takie były słowa profesora. Chciałam niczym niezamaskowanej prawdy i właśnie ją usłyszałam.

– Wie pani – chyba poczuwał się do jakiegoś usprawiedliwienia – byłem tutaj pierwszym zwolennikiem tej alternatywnej metody, proponowanej przez moich amerykańskich kolegów. Wdrożona odpowiednio wcześnie, rzeczywiście przynosi dość spektakularne efekty. Ale...

– Ale trzeba było zastosować ją dawno temu? To chce mi pan powiedzieć, panie profesorze?

– Jeśli mam być szczery, w przypadku pani mamy nie sądzę, żeby wiele to zmieniło. Kiedy trafiła do nas po raz pierwszy, już było za późno, żeby liczyć na sukces tego leczenia. Już w momencie rozpoznania choroba nowotworowa była zbyt zaawansowana.

Mama i jej troskliwość wobec wszystkich poza nią samą. Mama i jej wieczne „nic mi nie jest", ilekroć wysyłałam ją do lekarza z powodu różnych dolegliwości. Mama, która wiele lat temu złamała sobie kość promieniową, spadając ze schodów, i dopiero po tygodniu

zdecydowała się pokazać lekarzowi siną, spuchniętą rękę obwiązaną szalikiem.

Mama zawsze zajęta czymś ważniejszym i pilniejszym niż własne zdrowie.

– W najlepszym razie zyskalibyśmy kilka tygodni, no, może kilka miesięcy...

To przypuszczalnie uspokajało jego sumienie, ale nie moje. Byłam wręcz przekonana, że nie pozbędę się wątpliwości nawet wtedy, gdy po mamie zostanie tylko płyta z różowego marmuru gdzieś na cmentarzu w Nanterre.

Zamiast więc wdawać się w gdybanie, z całej siły uczepiłam się perspektywy tego zbawczego wyjazdu:

– Na razie wolałabym, żebyśmy trzymali się wcześniejszych ustaleń. Oczywiście jeśli mama nadaje się do transportu.

– Nadaje się… – przyznał półgębkiem. – To znaczy, będzie się nadawać, jeśli w porę wyjdzie ze śpiączki.

– Oczywiście – zgodziłam się potulnie.

– Ale teraz byłoby dobrze, gdyby mogła pani spędzać przy niej jak najwięcej czasu.

Podniosłam na niego oczy jak u dziecka, okrągłe, naiwne, pełne irracjonalnej nadziei, że jednym dobrodusznym uśmiechem obudzi mnie z tego koszmarnego snu.

– Pojutrze wychodzę za mąż – wyznałam wreszcie.

Przez chwilę walczył z zaskoczeniem, nie znajdując właściwej okolicznościowej formułki.

– Niech pani wyjdzie za mąż – orzekł w końcu. – To chyba najlepsze, co może pani teraz zrobić. Dla siebie i dla niej.

Gdyby miał jeszcze kilka lat więcej, idealnie nadawałby się na ojca, którego widziałam w marzeniach, jak prowadzi mnie do ołtarza. Natychmiast otrząsnęłam się z tej niestosownej wizji.

– Czy mama odzyska przytomność? Chcę powiedzieć, przed...

Nie mogłam wymówić tego słowa, ani żadnego z jego synonimów, choćby najbardziej zawoalowanych. Zdecydowałam się więc na zwrot tchnący fałszywym optymizmem:

– ...przed naszym wyjazdem?

– Tak, oczywiście. Ma jeszcze przed sobą piękne wysepki świadomości.

Musiałam docenić poezję ukrytą w tym określeniu, choć w moich uszach doprawioną gorzką ironią. Piękne wysepki świadomości. Między czym a czym? Dwoma epizodami śpiączki? Majaczenia? Może w ogóle najpiękniejsze chwile naszego życia nie są niczym innym jak takimi wysepkami: śmiechu, radości, szczęścia? Na czarnym oceanie...

– Proszę się nie martwić – zapewnił mnie profesor. – Mama panią zobaczy. Będzie pani mogła z nią porozmawiać.

Opuściła mnie cała energia. Najchętniej wyciągnęłabym się na łóżku obok mamy i dalej już tylko czekała, która z nas odejdzie pierwsza... Albo rozpłynęłabym się natychmiast, zamieniła w kałużę na tym szarym linoleum, tu i ówdzie nadgryzionym zębem czasu.

Profesor znów wziął mnie za ramię, tym razem, jak sądziłam, z obawy, że zemdleję.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, dając ostatni dowód humanitaryzmu.

– Tak... Tak, dziękuję. Chyba muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

A na koniec dodał jeszcze:

– Proszę zostawić w dyżurce swój numer telefonu. W razie czego pielęgniarki będą dzwonić do pani o każdej porze.

Na razie nie skorzystałam z jego rady, tak bardzo chciałam wyjść na zewnątrz. Ciepłe promienie słońca przypomniały mi, że za pięć dni zacznie się kalendarzowe lato ze wszelkimi jego urokami. Ale nie dla mnie. W tym roku nie mogłam liczyć na taką złocistą opaleniznę jak u profesora Placementa.

Ledwie zrobiłam ze trzy kroki na dziedzińcu, gdy wyrósł przede mną David. Miałam wrażenie, że to jakiś żart w złym guście. A najbardziej zdumiewające było to, że naprawdę czekał tak długo.

– Nie masz posiedzenia zarządu? – zaatakowałam go na zimno.

Wytrzeszczył na mnie bezradne oczy.

– Nie...

– Dziwne! Ani słupków oglądalności do spreparowania?

Nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Zupełnie zbędna prowokacja. *Cultur'Mix*, mój poroniony program, obchodził mnie już tyle co zeszłoroczny śnieg. Prawie że o nim zapomniałam. Wściekłość, jaką poczułam po telefonie od Freda, wydawała mi się teraz bezprzedmiotowa, śmieszna jak anegdota sprzed lat.

Nadal dreptałam przed siebie, co chwila potykając się na nierównym bruku, a on dotrzymywał mi kroku. W końcu, zniecierpliwiony, chwycił mnie za rękę i zmusił do postoju.

– Może jednak pozwolisz mi się wytłumaczyć?

Mierzyłam go pustym wzrokiem, niezdolna odnaleźć w tym pajacu obleczonym drogim garniturem, wypełnionym ambicją, pychą i żądzą władzy człowieka, który oczarował mnie od pierwszych chwil naszej znajomości. Nawet jego głos, pozbawiony słynnych skojarzeń w moich uszach, brzmiał teraz zupełnie inaczej, bardziej jak terkot niż pieszczota.

– No więc mów... – rzuciłam niedbale, niczego od niego nie oczekując.

A jednak udało mu się mnie zaskoczyć, przynajmniej aktorskim talentem. On tak pewny siebie, tak wyniosły, nagle zaczął odgrywać najbardziej uniżoną pokorę. Jego spojrzenie, zawsze prosto w oczy, teraz gubiło się w krzywych płytkach chodnika. Co nie znaczy, że puścił moją rękę.

– Kiedy zobaczyłem cię w tej sukience na moim monitorze... i w takim uczesaniu...

– Co? Odkąd to jesteś specjalistą od kostiumów? Myślałam, że interesuje cię raczej to, co pod spodem.

Przyjął moją uwagę jak policzek, ale zdawał się nie zauważać jej perfidii.

– Jeszcze za prezesury ojca zrobiliśmy próbne zdjęcia Aurorze.

Ciąg dalszy był łatwy do przewidzenia:

– W tej sukience, prawda?

– Nie w tej samej, ale bardzo podobnej, tak.

Jeśli mówił prawdę, rzeczywiście mogłam wyobrazić sobie szok, jakiego doznał, widząc mnie na ekranie.

Pozwoliłam mu kontynuować.

– Myślę... że po prostu nie zniosłem tego widoku, ciebie ubranej tak jak ona.

Rana nigdy niewygojona do końca, musiała zaboleć naprawdę, mówiły jego ciężkie powieki.

– I dlatego kazałeś Guillaume'owi wstrzymać emisję?

– Zachowałem się jak idiota, wiem. Tak mi przykro...

Nic dodać, nic ująć.

Tylko co miałam na to odpowiedzieć? Jego spowiedź, choćby najszczersza, nie wymazywała całej reszty. W żaden sposób nie usprawiedliwiała tego wszystkiego, co usłyszałam kolejno od François i Rebekki.

Mogłam zadowolić się tym wzruszającym wyznaniem, napoić się łzami, które zdawał się ledwie powstrzymywać, i szybko zapomnieć o nieszczęsnym epizodzie. Mogłam jeszcze raz dać wiarę jego obietnicom lepszego życia. Ale wiedziałam już za dużo...

– Powiedz, Piękności Nocy służyły tylko do tego: żeby znaleźć ci drugą żonę? Nową Aurorę?

Jego twarz stężała w grymasie niedowierzania. Tego się po mnie nie spodziewał. Nie wyobrażał sobie, że mogłam wiedzieć aż tyle. I że starczy mi tupetu, aby ot tak, bez żenady, rzucić mu to w twarz.

– To nie takie proste, jak ci się wydaje... – próbował jeszcze rozwodnić truciznę.

– Czy firma Rebekki była twoją prywatną agencję matrymonialną? Tak... czy nie? – wyskandowałam ostatnie słowa.

Skruszona mina nie do końca kamuflowała narastającą w nim irytację. Przestępował z nogi na nogę, tupał, miotał się jak w gorączce niemożliwej do opanowania siłą woli.

– Tak... Ale od razu chcę podkreślić, że pomysł wyszedł od Louisa.

„A może nie on, tylko Louis. Prawdę mówiąc, tego nigdy nie wiedziałam na pewno" – zabrzmiały mi w uszach słowa Rebekki.

– Nawet jeśli, co za różnica?

– Taka, że ja tego wszystkiego nie chciałem. Agencja nie miała być pułapką. W każdym razie... nie z mojego punktu widzenia. Najwyżej sposobem, żeby umożliwić nasze spotkanie.

– A Louis? – docisnęłam go natychmiast.

– Louis? – powtórzył zdziwiony. – Louis jest wiecznym singlem. I myśliwym, rozumiesz, co mam na myśli... Zawsze w pogoni za świeżym mięsem.

Zarzut dotknął mnie tak bardzo, jakbym sama była jego adresatką. Nie dlatego, że czułam się częścią stada, z którego drapieżny Louis wyłapywał swoje ofiary. Nie, miałam raczej wrażenie, że to ja jestem tym złym wilkiem i nie mogę znieść takiego opisu mojej prawdziwej natury. Wulgarnej w nienasyconej konsumpcji. Chorobliwej w swej erotomanii.

Po kilku seansach w Charmes już wiedziałam: chodziło o znacznie więcej.

– Dla niego Piękności Nocy długo były wielką gratką. Rebecca zapewniała mu dostawy na telefon. Skądinąd, czy to nie dziwny układ, żeby diler był zazdrosny o narkotyk dostarczany uzależnionemu...

Chyba po raz pierwszy tak otwarcie mówił mi o swoim bracie, a przedstawianie go w ten sposób najwidoczniej nie sprawiało mu problemu. Nawet nie próbował usprawiedliwiać Louisa ani szukać przyczyn jego zachowań. Ograniczał się do potępienia i wcale się z tym nie krył.

– ...krótko mówiąc, nigdy nie interesowały mnie szczegóły, ale myślę, że wyglądało to dość obrzydliwie.

Obrzydliwie?

Przypomniałam sobie jego ciemne interesy z opowieści François Marchadeau. W porównaniu z nimi seksualne wyczyny Louisa wydawały się niewinną zabawą.

– Obrzydliwie? – podskoczyłam z furią. – Obrzydliwie jak pornosy z udziałem niewolnic ze Wschodu?

Moje słowa uderzyły go jak obuchem w łeb i odebrały mowę.

– Co? – nalegałam. – Obrzydliwie jak wpychanie mnie do łóżka twojego najlepszego przyjaciela w dzień naszego spotkania?

Od razu puścił moją rękę. Po wyrazie jego twarzy poznałam, że powiedziałam za dużo. Schował głowę w ramionach, jakby broniąc się przed następnymi ciosami, ale trwało to nie dłużej niż kilka sekund. Później wrócił do naturalnej postawy i wypiął pierś, gotów odpierać moje oskarżenia punkt po punkcie:

– Do inwestycji, o jakich mówisz, doszło bez mojej wiedzy.

– Naprawdę? – smagnęłam go sarkazmem.

– Naprawdę. Człowiek, który poczynił je w imieniu grupy, został zwolniony już kilka lat temu. Ale fakt, w uroczym świecie finansów takie afery ciągną się za tobą bardzo długo... Nawet jeśli ciebie osobiście oczyszczono z zarzutów.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Medialne zwierzę, jakim był, wyćwiczone w niezliczonych pojedynkach na słowa, znów podnosiło głowę. Zdecydowane walczyć do upadłego.

– Możesz to sprawdzić. Stephen Delacroix, tak nazywał się analityk, którego miałem nieszczęście zatrudnić. I który wyprowadził mnie w pole.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– A jak myślisz? Z korzyścią dla konkurencji. Żeby umoczyć mnie w skandalu, faktycznie wyjątkowo obrzydliwym. Żeby zrzucić mnie ze stołka, a później przejąć za bezcen Grupę Barlet. Takie rzeczy zdarzają się codziennie, tylko media prawie nigdy o nich nie mówią.

Metoda rzeczywiście pasowała do wywodów François Marchadeau, najpierw przez telefon, później na tarasie Café Marly. W bezpardonowej wojnie ekonomicznej dozwolone były wszelkie chwyty...

Ponieważ nadal uparcie milczałam, David przeszedł do kontrataku, wyraźnie chcąc zmusić mnie do reakcji:

– Zapytaj Marchadeau, jeśli mi nie wierzysz! Zdaje się, że znacie się lepiej, niż sądziłem...

Czyżby epilog tamtego wieczoru wykraczał poza ich umowę? Szybko odtwarzałam sobie sekwencję wydarzeń, tak jak przedstawiały mi się teraz, scena po scenie: François zamawia mnie u Rebekki na polecenie Davida; ten udaje, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu, zacierając jednocześnie ślady mało chwalebnej intrygi użytej do tego celu – czy zgodziłabym się zobaczyć go ponownie, czy sama uległabym fascynacji, gdybym wiedziała, czemu, a jeszcze bardziej komu zawdzięczamy to magiczne spotkanie? Dalej, Marchadeau po odegraniu swojej roli ma zejść ze sceny zgodnie z umową, ale w ostatniej chwili ulega pokusie

i zaciąga mnie do Charmes, przekonany, że nigdy nie zdradzę go – ani siebie – przed moim przyszłym mężem.

Musiałam przyznać, że tym razem wszystko trzymało się kupy. Cokolwiek by powiedzieć, David szukał nowej żony, nie pierwszej lepszej dziwki...

Moja kolej, żeby wziąć go za rękę. A później przywrzeć do niego spontanicznie, w nagłym porywie uniesienia. Był tak sprężysty i ciepły jak w moich wspomnieniach. Pachniał nieznaną mi wodą toaletową, lekko kwiatową i idealnie kwaskowatą, co przypieczętowało moją kapitulację.

Tylko dlaczego wracałam w jego ramiona, skoro marzyłam o innych? Z poczucia winy? Wyrzutów sumienia, że widziałam w nim potwora, którym nie był?

Mogłam go łatwo rozgrzeszyć, albo wręcz po tym, co usłyszałam, uznać rozgrzeszenie za zbyteczne. Bo na czym miałby polegać w istocie jego grzech? Że uruchomił to wszystko, żeby mnie znaleźć? Że chciał stworzyć sobie – za pieniądze, to prawda – życie piękniejsze, spokojniejsze, bez dramatów i szaleństwa?

W pewnym sensie z moimi nieskończonymi pytaniami, moją obsesją na punkcie prawdy, reporterską ciekawością stale podsycaną rewelacjami Rebekki czy Louisa nie zachowywałam się lepiej od niego. Ani nie spełniałam jego nadziei.

David był może despotyczny i choleryczny, niestabilny i nieprzewidywalny, wymagający ponad miarę i zdolny do wszystkiego, żeby zdobyć upatrzone zabawki. Ale czy to odbierało mu prawo do miłości? Do kobiety, która kochałaby go naprawdę, zamiast stale szpiegować i podejrzewać?

Miał swoje strefy cienia. Ja miałam moje własne.

I myślę, że dopiero teraz w pełni uświadomiłam sobie wyrok zawarty w słowach profesora Placementa, tę nagą prawdę, nie do ukrycia pod jakimkolwiek balsamem współczucia: mama umierała i nawet ewentualna amerykańska terapia nie mogła ocalić jej przed śmiercią.

Może za miesiąc. Może za rok. A może i dzisiaj, tu i teraz. Pod tym sufitem obłażącym z farby. A ja nie byłam w stanie zmierzyć się

z tym sama. Potrzebowałam wsparcia. Potrzebowałam Davida, w którego mogłabym się wtulić.

Solidnego filaru dla wzmocnienia tej chwiejnej konstrukcji, jaką byłam.

36

17 czerwca 2009

Gdy zawieszenie broni jest niepewne i z góry skazane na nowe kryzysy, niektóre znaki zapowiadają to wyraźniej niż inne. Przerabiałam to na kursie historii w odniesieniu do traktatu wersalskiego, o którym dzisiaj wszyscy zgodnie twierdzą, że zawierał w sobie zalążki przyszłej wielkiej wojny, rozpętanej zaledwie dwadzieścia lat później.

A jednak żadna zła wróżba nie zakłóciła następnych godzin tego dnia. Powinnam była mieć się na baczności. Nastrój panujący w rezydencji Duchesnois był wręcz zbyt idylliczny, by mógł być prawdziwy. Nawet Félicité, Sinus i Cosinus zdawały się przestrzegać milczącego paktu o nieagresji i podziale terenu ich zabaw: kotka rządziła na piętrze, psy wzięły w posiadanie parter i ogród. Moja własna sytuacja przedstawiała się nie mniej militarnie.

Artykuł pierwszy: Złożyć broń.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom David nie wrócił już do biura. Uprzedził tylko Chloé przez telefon, że nie zjawi się w firmie do końca dnia. Dosłyszałam nawet, jak przypomina swojej asystentce, że to przecież wigilia jego ślubu. Naszego ślubu.

Później, dość zabawnie odwracając role, oddał się do dyspozycji Armanda, aby pomagać mu w ostatnich przygotowaniach – niezliczonych i bardzo nerwowych, sądząc po zaczerwienionej ze stresu twarzy majordomusa. Zadanie mojego przyszłego męża polegało głównie na nadzorowaniu robotników, którzy na trawniku, miejscami już pożółkłym od słońca, wznosili osławiony baldachim, prowizoryczną scenę i kilka dodatkowych namiotów dla obsługi.

Artykuł drugi: Wycofać się do własnego obozu.

W moim przypadku do sypialni. Félicité właśnie zasnęła na umowie małżeńskiej nadal porzuconej na naszym wspólnym łożu. Delikatnie wysunęłam dokument spod puchatego kłębka i zabrałam

się do parafowania, strona po stronie, wszystkich trzech grubych egzemplarzy. Robiłam to machinalnie i dopiero na samym końcu moje pióro znieruchomiało nad prostokątem przeznaczonym na właściwy podpis. Dziwne, skoro chodziło o gest zwykle tak bezmyślny, automatyczny. A jednak w trudnym do wytłumaczenia odruchu rezerwy czy asekuracji, nagle zdecydowałam się nie składać mojego typowego zawijasa. Nagryzmoliłam tylko „Annabelle Lorand", zupełnie innym charakterem pisma. Podpis, chociaż odręczny i mój własny, nie był przez to mniejszym kłamstwem. Gorzej: był wręcz podróbką.

Armand niczego nie zauważył, gdy wreszcie wręczyłam mu gruby plik papierów, a on na moich oczach sprawdził jeszcze, czy nie pominęłam żadnej stronicy.

– Pozostaje nam tylko modlić się, żeby asystent mecenasa Olivo zechciał podstemplować to wszystko od ręki – westchnął na koniec.

– Na pewno, liczę na pana – pocieszyłam go.

– Och... Suknia właśnie wróciła od krawcowej. Gdyby mogła pani zaraz ją przymierzyć, jutro mielibyśmy o jeden kłopot mniej.

Artykuł trzeci: Zdjąć mundur i przywdziać strój cywilny.

Spełniłam jego prośbę natychmiast, sama przed wielkim lustrem w sypialni, opromieniona słońcem, które o tej porze tak mocno przygrzewało od strony ogrodu. Przez uchylone okno dobiegały mnie odgłosy krzątaniny robotników, komendy i kłótnie w co najmniej kilku językach, a także suchy szczęk metalowych rurek łączonych ze sobą.

Idealnie poprawiona przez krawcową, suknia Schiaparelli oblekała moje obfite i trudne kształty jeszcze lepiej niż przy pierwszej przymiarce. Jak druga skóra, jak rękawiczka... Nie znajdowałam właściwego porównania, żeby opisać to dziwne wrażenie, że przyszyto mi ją bezpośrednio do ciała. A mimo to kontemplowałam swoje odbicie bez najmniejszej emocji. Czułam się obco w tym doskonałym pokrowcu. Dosłownie w nie swojej skórze. W roli napisanej dla kogoś innego, w którą przypadkiem miałam się wcielić.

Pytanie zadane Rebecce i pozostawione bez odpowiedzi uparcie krążyło mi po głowie: „Co jest we mnie takiego wyjątkowego?”.

Jakim cudem zwykła dziewczyna jak ja mogła uzasadniać siedemnaście lat czekania i niestrudzonych poszukiwań? Jaki mężczyzna mógł być do tego stopnia szalony, żeby poświęcić tyle czasu na tak banalne znalezisko? Co nim powodowało? Robił to wszystko dla siebie, dla mnie, dla nas? Niepotrzebne skreślić – ale na to zabrakło mi odwagi.

Artykuł czwarty: Uczcić najdzielniejszych z własnych szeregów.

Wyciągnięta obok Félicité, z nosem wtulonym w jej ciepłą i pachnącą sierść, tonęłam w bezproduktywnych rozmyślaniach. Mogło to wyglądać na zwykłe lenienie się w łóżku, ale wewnątrz byłam kłębkiem napiętych do ostateczności nerwów. Nie przeczytałam ani jednej linijki z rozłożonych obok *Femmes secrètes* (Kobiet sekretnych). Po raz pierwszy od wielu dni nie zapisałam nawet słowa w karneciku „Dziesięć razy dziennie”.

Eros i Tanatos. Nierozłączni. Być może, ale czasami tak bardzo wchodzi się w królestwo jednego z nich, że nie sposób choćby pomyśleć o drugim. Gdy w całości wypełnia nas seks albo śmierć, drugi bożek cofa się i zgodnie z regułami gry przejściowo oddaje całe pole swemu wiecznemu partnerowi. Ich szalone, opętańcze tango na jakiś czas ustaje.

Tego ranka śmierć wydawała się wielką triumfatorką w rywalizacji o najbliższe dni. Dopiero co opuszczony pokój mojej umierającej mamy... Suknia po umarłej, w jaką dałam się ubrać... I jeszcze jedna umarła, którą wkrótce miałam zastąpić u boku jej mężczyzny, przy czym akurat on był jak najbardziej żywy.

– Nie będziesz miał mi za złe, jeśli wyjdę dziś wieczorem? – zapytałam Davida, który razem z Armandem pochylał się nad listą gości.

– Nie... nie, oczywiście. A dokąd się wybierasz?

– Sophia urządza dla mnie wieczór panieński.

– Ach... Rozumiem. No to baw się dobrze.

Jego wymuszony uśmiech zaprzeczał tym zapewnieniom.

– Szczerze mówiąc, wolałabym zostać z wami i pomagać...

– Dlaczego?

– Bo wiem, że powinnam, i trochę mi z tym głupio. A poza tym, rozumiesz, nie mam teraz głowy do imprez z koleżankami.

– Ależ przeciwnie, idź! Na pewno będzie sympatycznie. Twoja Sophia wygląda na fajną dziewczynę.

Proszę, on, który sfabrykował nasz związek od początku do końca, który kontrolował go w każdym szczególe, nagle okazywał się liberalny. Więcej, zdawał się wręcz wierzyć w terapeutyczną moc improwizacji.

Starałam się przekonać samą siebie, że to kłamstwo będzie ostatnim. Że później stanę się najlepszą z żon, niezależnie od tego, jak długo potrwa nasze małżeństwo. Godzinę albo całe życie.

Artykuł piąty: Przejrzeć swoje siły.

Nie zdziwiłam się, znajdując kilka minut wcześniej na konsoli nową paczkę w srebrzystym papierze. I natychmiast zwalczyłam nieoczekiwaną pokusę – choćby było to najpewniejszą gwarancją moich dobrych postanowień – żeby otworzyć ją na oczach Davida. Uświadomić mu, że brat wślizgnął się w jego własny scenariusz jak pasażer na gapę, próbując wykraść mnie dla siebie. Opowiedzieć o Charmes, pokojach bez numerów, sekretnych schadzkach... o wszystkim.

Ale właściwie po co miałabym skłócać braci Barletów bardziej, niż już byli skłóceni? Czułam zresztą, że godzina wyrównania rachunków i tak zbliża się wielkimi krokami.

Poza kartą magnetyczną do Charmes pudełko jak zwykle zawierało kawałek brystolu i jeden jedyny przedmiot: czarne męskie bokserki, podobne do tych, które miałam okazję zobaczyć u bywalców Le Brigantin. Ale czy mogły kojarzyć się z kobietą, jedną ze słynnych kurtyzan? Tego rzecz jasna nie wiedziałam. Obracając na wszystkie strony nietypową sztukę bielizny, zauważyłam za to pewien tajemniczy szczegół: poza zwykłymi szwami z przodu bokserki miały je też z tyłu, w części przeznaczonej na pośladki. Co więcej, kilka

drobnych zgrubień wyczuwalnych pod palcem zdradzało obecność wszytych w tkaninę zatrzasków. Nie była to ozdoba, tylko umocowanie wąskiej, ruchomej klapki, niewiele dłuższej i szerszej niż bilet autobusowy. Widziałam już takie wstawki we frywolnych majtkach damskich, zawsze od strony szpary, do odpięcia w razie nagłej potrzeby. Fakt, że tutaj klapka znajdowała się z tyłu, i to w bokserkach męskich, dał mi do myślenia – ale świeżo odkryte „przykazanie" szybko rozwiało resztki wątpliwości:

8. Po zakazany owoc sięgniesz.

Oto co szalony Louis chciał zarezerwować dla mnie w przeddzień mojego ślubu. Ukryte drzwi. Zakaz wstępu. Akt bezwzględnej kapitulacji, niezależnie od płci. Otwarcie nowej drogi rozkoszy, nowych doznań... Perspektywa tyleż kusząca, co przerażająca.

Artykuł szósty: Zacieśnić sojusze.

Zamknąwszy się w garderobie przy sypialni, z dala od niedyskretnych oczu i uszu, zadzwoniłam do Sophii. Nie wyobrażałam sobie pójść na tę ostatnią schadzkę bez obstawy.

– Za ile czasu możesz być w Charmes? – zapytałam szeptem.

– Jestem w pracy...

– Gdzie? Przy Pigalle?

– Tak. Mam jeszcze cztery kolejki.

Stanęła mi przed oczami taka, jaką odkryłam niedawno temu, wystawiona na spojrzenia podglądaczy, w czerwonym świetle, z rozwartym łonem, dwoma palcami w środku...

– Przyjdź, bardzo cię proszę. Zwrócę ci w gotówce to, czego dziś nie zarobisz.

– Zaraz, zaraz, jeśli to zrobię, mogę pożegnać się z pracą!

– Do diabła, So', ty to nazywasz pracą? Jeśli chcesz, David wykona dwa telefony i znajdzie ci pracę w prawdziwej firmie. Nie striptiz przed starymi zboczeńcami.

Wyrwało mi się to mimo woli. Ale przynajmniej dałam wreszcie upust długo tłumionej odrazie, jaką budziło we mnie jej zajęcie.

– Tak? Dobrze wiedzieć! Szkoda tylko, że nie pomyślałaś o tym wcześniej, zanim nie stoczyłam się tak nisko – syknęła ze złością. Miała skądinąd świętą rację, ale w tej chwili musiałam pominąć milczeniem jej wyrzuty.

– Nie mogę pójść tam sama – nalegałam. – Naprawdę cię potrzebuję.

To też była święta prawda. Potrzebowałam wsparcia, albo i ochrony. Oczywiście nie mogłam wybrać gorszej kandydatki na przyzwoitkę niż Sophia, gdyby należało poskromić moje cielesne żądze i przemówić do mnie głosem rozsądku. Nie miałam jednak nikogo innego, kto na jedno wezwanie rzuciłby wszystko, aby pospieszyć mi z pomocą. Na kogo zawsze mogłam liczyć.

I rzeczywiście pół godziny później właśnie Sophia, nie kto inny, zła, naburmuszona, a mimo to punktualna, czekała na mnie na placyku przed Charmes, tuż przy niebieskiej budce telefonicznej, którą Louis już wcześniej zdążył wykorzystać jako jedno z narzędzi tortur.

Na nasz widok przy wejściu do hallu monsieur Jacques zmarszczył czoło w uzasadnionym zdziwieniu. Nie spodziewał się zobaczyć nas razem. *Hotelles* przychodziły tu czasem pod rękę z klientami, chociaż zawsze wychodziły same. Nigdy za to nie zjawiały się we dwie, a do tego tak niedbale ubrane jak my. Ale nie było mowy o ceregielach: już moje pierwsze słowa nadały ton naszemu spotkaniu, równie napięty jak ostatnim razem:

– Który pokój? – rzuciłam sucho bez przywitania ani wstępu.

– Z przykrością stwierdzam, że straciła pani swoje dobre maniery, Elle... I bardzo nad tym ubolewam.

– Proszę zachować swoje komedie dla tych, którzy płacą za pokoje. Ja, jak pan dobrze wie, robię tu tylko jedno: rozkładam nogi.

Moje mało wytworne słownictwo i ledwie zawoalowana aluzja do prawdziwego przeznaczenia jego przybytku wprawiły go w widoczną irytację. Taki już był monsieur Jacques, ten świętoszek na straży domu schadzek. Dopuszczał pod swoim dachem najgorsze perwersje, byleby tylko nie musiał o nich słyszeć.

Wstał zza kontuaru i obciągnął poły uniformu, sztywny, gotów udzielić mi żądanej informacji...

– Jak pani chce. Jest pani oczekiwana w...

Przerwałam mu w pół słowa:

– Chwileczkę! Proszę nic mi nie mówić. Wolę, żeby pan to napisał.

Podsunęłam mu kartonik z ósmym przykazaniem, odwrócony czystą stroną do góry. Moja nagła zachcianka była dla niego niepojęta.

– A to dlaczego?

– Po prostu, żeby zobaczyć. Proszę.

Mierzył nas obie podejrzliwym wzrokiem, zanim do akcji nie wkroczyła Sophia:

– No, śmiało, skoro dama tak grzecznie prosi.

W końcu sięgnął po swoje nieśmiertelne pióro z czarnej laki, zawsze pod ręką, ułożone na kontuarze albo obracane między palcami, i szerokim, okrągłym pismem, które rozpoznałam od pierwszych liter, napisał na brystolu:

Chevalier d'Éon
Trzecie piętro

Nie omyliło mnie przeczucie: to spod jego ręki wychodziły wszystkie zaproszenia, a hotelowi boye, na czele z Ysiamem, najprawdopodobniej służyli mu za gońców. Hôtel des Charmes był w samym centrum pajęczyny utkanej przez Louisa. Który z pewnością miał zamiar zwabiać mnie tu tak długo, jak długo ten rozdział naszej historii nie zostanie zamknięty.

– Dziękuję. – Tym razem monsieur Jacques doczekał się ode mnie uśmiechu. – To wszystko, co chciałam wiedzieć w tej chwili.

Już ruszyłyśmy do wind, gdy o czymś sobie przypomniałam:

– A właśnie... jeszcze jedno: Sophia zostanie przy drzwiach. I wykluczone, żeby pan czy ktokolwiek z pana personelu próbował wyprosić ją z korytarza.

– Jak pani sobie życzy – zgodził się, nie patrząc na mnie.

Tego wieczoru dyżur miał rudy windziarz. Równie małomówny jak zwykle, zawiózł nas tylko na trzecie piętro, to w kolorycie granatu, i zaprowadził pod drzwi na drugim końcu korytarza. Ledwie je otworzył, Sophia odprawiła go rozżarzonym wzrokiem, a on ulotnił się natychmiast, zostawiając nas same na progu.

– Dasz sobie radę, moja droga?

– Tak, nie ma obaw...

– Krzycz, jeśli coś będzie nie tak, dobrze?

– Jasne. A ty gdzie się usadowisz?

– Przyuważyłam wyjście ewakuacyjne zaraz przy windzie. Będę czekać za drzwiami.

– Super.

– Chcesz, żebym puściła ci sygnał, gdy zobaczę, że idzie?

Byłam pewna, że Louis nie omieszka stawić się na to spotkanie. Że tym razem przyjdzie we własnej osobie, bez zamykania mnie w kręgu anonimowych samców w rui ani bez wysyłania któregoś ze swych dublerów, tej czy innej płci.

– Nie. To niczego nie zmieni. Wiem, co mam robić.

To mówiąc, wymownym gestem objęłam się jedną ręką za szyję, rozluźniając przy okazji kołnierz płaszcza. Był za ciepły jak na tę upalną letnią noc, mimo stosunkowo cienkiej wełny i braku podszewki.

Sophia mrugnęła do mnie po raz ostatni, żeby dodać mi otuchy, po czym znikła w półmroku korytarza.

Artykuł siódmy: Zająć terytorium opuszczone przez wroga.

Bogata dekoracja w stylu Ludwika XV potęgowała wrażenie duchoty panującej w komnacie Kawalera d'Éon. Jedyne okno, jak w większości innych pokojów hotelowych, było na głucho zamknięte.

Wyposażenie stanowiły grube orientalne dywany, niebieskawe tkaniny ścienne i ciężkie meble z inkrustowanego drewna. Najbardziej rzucała się w oczy toaleta z lustrem na zawiasach, a także łoże z imponującym wezgłowiem obitym adamaszkiem, złoconą ramą i wysokim baldachimem z błękitnego jedwabiu, dobranego do kolorytu piętra.

Dosłownie gotowałam się pod trenczem, i to w sosie własnym, gdyż pot spływał ze mnie strużkami. Liczne lustrzane powierzchnie odbijały moją czerwoną twarz i malujący się na niej dyskomfort. Przesunęłam w miarę chłodną dłonią po karku, odsłoniętym dzięki upięciu włosów w luźny kok, w poszukiwaniu choćby chwilowej ulgi dla rozpalonej skóry. Na próżno.

Oczywiście mogłam zdjąć płaszcz, ale oparłam się tej pokusie. Za nic w świecie nie chciałam zepsuć starannie obmyślonego efektu mojego kostiumu. To była moja kolej na niespodzianki. Na działania zaczepne, żeby wygrać tę pierwszą rundę z zaskoczenia, od początku zdobyć przewagę. Udowodnić mu, że nie jestem tylko biernym pionkiem w jego wprawnych rękach.

Byłam jednak tak udręczona, że powitałam nagły zgrzyt drzwi tak, jakby wreszcie wybiła godzina mojego wyzwolenia. Nie myślałam o niczym innym, tylko o zdjęciu zbroi, w którą zakułam się dobrowolnie. Po raz pierwszy Louis zjawił się przede mną w pełnym świetle. Koniec z maskami, kominiarkami i powłokami z lateksu. Koniec z półcieniem i starannie wyreżyserowanymi scenami, obmyślonymi na moją zgubę i jednocześnie ukrycie prawdziwego sprawcy. Miał na sobie jeden ze swoich dopasowanych, eleganckich garniturów, który teraz rozpiął, odsłaniając brązową kamizelkę. Gałką laski pchnął za sobą drzwi tak silnie, że rozległ się trzask zamka – znak, że teraz oboje byliśmy dla siebie zakładnikami.

– Dobry wieczór, Elle.

Opracowując mój plan, rozważałam dziesiątki scenariuszy. Dziesiątki mów oskarżycielskich i możliwych wyroków. Listę wszystkich win wobec mnie, a później skazanie go na czyściec delirycznego libido i chorych fantazji. Ale żadna z tych wersji nie była w pełni satysfakcjonująca. Gdy wreszcie miałam go przed sobą, nagle zabrakło mi i pomysłów, i słów. Na szczęście przewidziałam też plan B.

Zrobił krok w moją stronę i otaksował mnie od stóp do głów, bardziej, jak mi się wydawało, zmieszany niż zadowolony, że po raz kolejny stawiłam się na wezwanie. Czubkiem laski zaczął podnosić mój płaszcz, od kolan do pół uda. Powoli. W sposób najbardziej denerwujący z możliwych. Zapuszczając wzrok pod tkaninę barwy

écru, w miarę jak wędrowała do góry. Odczekałam, aż metalowa końcówka, tak kontrastowo lodowata w zetknięciu z rozpaloną skórą, zawędruje dostatecznie wysoko między moje uda, żeby chwycić ją i szarpnąć z całej siły.

Odruchowym gestem złapał za drugi koniec laski i tracąc równowagę, upadł do przodu, w kierunku łóżka.

Wiem: nie jest fair wykorzystywać kalectwo przeciwnika.

Znieruchomiał na kolanach, przez chwilę jakby ogłuszony uderzeniem klatki piersiowej o twardą ramą łóżka. Później, nie podnosząc się z kolan, odwrócił twarz w moją stronę.

Czekałam na ten moment: rozwiązałam pasek i szeroko rozwarłam poły płaszcza, ukazując mu nagie piersi i brzuch. Nie miałam na sobie niczego prócz czarnych bawełnianych bokserek, które wysłał mi w ostatniej paczce.

Artykuł ósmy: Ustalić reguły gry.

Wreszcie, podciągając się na rękach, usiadł na brzegu łóżka. Na jego twarzy nie było teraz aroganckiego uśmieszku z dnia naszego pierwszego spotkania. Nie wyglądał również na złamanego przeszłością nieszczęśnika, który oprowadzał mnie po Tuileries i Malmaison. Bardziej oszołomiony niż zły, bardziej zachwycony niż zdumiony, zdawał się pochłonięty spektaklem. Szczęśliwy, a może i pełen ulgi, że wreszcie przejęłam inicjatywę i nie musiał już sam prowadzić naszej gry.

Skorzystałam z tego wrażenia, żeby pozbyć się płaszcza, który powoli osunął mi się do stóp masą sztywnej tkaniny. Później równie powoli zdjęłam jedno po drugim czółenka na obcasach.

Następnie uklękłam mu między nogami, jednym gestem rozsunęłam rozporek i wydobyłam na wierzch jego penisa. Od razu prężył się na moich oczach jak pnącze, a jego długość kompensowała smukły obwód. Samoistnie wysunął się z napletka, chociaż nawet nie zdążyłam go dotknąć. Kształtna żołądź harmonijnie przechodziła w trzon, bez zbędnych krzywizn i wgłębień. Kropelka spermy już perliła się u wylotu, gotowa spłynąć wzdłuż wędzidełka i zwilżyć pociemniałe śluzówki.

Z całej siły ucisnęłam dłońmi jego uda, żeby uniemożliwić jakikolwiek odruch buntu. Później, czując na sobie jego oczy rozszerzone zdumieniem i fascynacją, pierwsza schyliłam głowę nad obiektem do obróbki. Samym czubkiem języka zebrałam odrobinę gęstej cieczy i szybkimi, kocimi ruchami przejechałam po obwodzie żołędzi, aby nagle, bez zapowiedzi, połknąć go w całości, lśniącego i sztywnego z pożądania.

– Nie... Nie tak... – wyjęczał nade mną, w jawnej sprzeczności ze swoim członkiem, który rozpychał mi się w ustach.

W miarę jak wchłaniałam go coraz głębiej, niepohamowane ruchy bioder Louisa domagały się ode mnie dalszych, szybszych i silniejszych działań. Ale ja wręcz przeciwnie, przy każdej takiej zachęcie wycofywałam się na chwilę, zostawiając go w próżni, z premedytacją wydłużając torturę. Te przerwy, początkowo krótkie, przedłużyły się w końcu na tyle, bym mogła wypełnić je słowami:

– Czym jest zakazany owoc dla ciebie?

I znów rzucić się na niego, wessać do gardła aż po nasadę, z apetytem i przyjemnością, która zaskoczyła mnie samą.

– Zdobyć żonę twojego brata? – Po raz pierwszy mówiłam mu „ty”, odrzucając dotychczasowe konwenanse, przestrzegane skądinąd tak śmiesznie długo.

Owinąć język wokół żołędzi, wezbranej, nabrzmiałej, gotowej wybuchnąć i zalać mnie białą lawą. Uświadomić sobie, że sama właśnie puściłam soki, obficie mocząc krok bokserek.

– Okłamywać go... Doprowadzić ją do rozkoszy, żeby lepiej zemścić się na nim?

Wsunąć koniuszek języka w ujście cewki i wyczuć odruch protestu, zaskoczenia atakiem na tak wrażliwe miejsce. Oprzeć się niepohamowanej pokusie wsunięcia palca w siebie, w moje łono z sekundy na sekundę bliższe wrzenia.

– To jeszcze ci nie wystarcza?

Przyspieszyć ruchy tam i z powrotem. Wydać z siebie charakterystyczne odgłosy ssania, które jak wyznał mi kiedyś jeden z kochanków, nasilają u mężczyzn podniecenie i rozkosz.

– Tak czy inaczej, wszystko powiedziałam Davidowi.

Przewrócić go na łóżko jednym gwałtownym pchnięciem w pierś. Natychmiast przygwoździć go własnym ciężarem, ucinając wszelkie próby oswobodzenia.

– Co? – wykrztusił.

Wznowić pracę nad penisem w ekstazie, teraz już poza kontrolą właściciela, wydanym na moją łaskę i niełaskę. Otoczyć go lśniącymi wargami, później policzkami znów zaciśniętymi wokół intruza.

Wciągnąć go w siebie tak, że mało się nie udusiłam. Tak żeby i on stracił oddech. Żeby zabrakło mu słów.

– Ale on mnie kocha, wiesz.

Próbował mi się wyrwać, ale ja, z jego wibrującym członkiem w ustach, wbiłam mu się czołem w podbrzusze. Byłam panią tej chwili i zamierzałam nią pozostać.

– Wybaczył mi wszystko.

Ostatnie połknięcie, odczucie w ustach spazmów zapowiadających rychły finał.

– Przestań! – krzyknął nagle. – Przestań, mówię ci!

Policzek spadł na mnie bez dalszych ostrzeżeń. Niezbyt silny, ale na tyle nieoczekiwany, bym wypuściła z ust jego penisa. Wyprostowaliśmy się oboje, jednakowo zaskoczeni tym brutalnym obrotem rzeczy. Ryzykował: mogłam odruchowo zewrzeć szczęki i wbrew woli amputować mu pół członka. Najzwyczajniej odgryźć go jak kawałek mięsa.

– Nic nie rozumiesz – odzyskiwał panowanie nad sobą, mimo jeszcze sztywnego penisa wyzierającego z rozporka.

– Czego nie rozumiem? Że chcesz odpłacić mu za śmierć Aurory? Że wykorzystałeś moją przeszłość w agencji, żeby mnie szantażować? Mimo że David znalazł mnie właśnie dzięki niej?

I wtedy w jego policzkach zapadniętych z emocji zobaczyłam to, co odkryłam po raz pierwszy w Malmaison.

– To nie to... – wyjąkał bardziej zgnębiony, niż wydał mi się kiedykolwiek wcześniej.

– A więc co? – podniosłam głos niemal do krzyku. – Co robimy tutaj... jeśli nie zdradzamy Davida?

Dołeczek prawdy. To małe zagłębienie w jego twarzy, wtedy, kiedy nie kłamał.

– Po prostu wykonujemy jego plan.

– Słucham?

– Wykonujemy jego plan... – powtórzył, patrząc w próżnię.

„On nie robi niczego przeciwko Davidowi”– broniła go Rebecca. „On to robi dla ciebie”.

Dla mnie czy dla swego brata?

Mgła nagle zaczęła opadać nad zrujnowanym pejzażem przywołanym przez Louisa. Morzem zniszczeń. Przez cały ten czas uważałam ich za rywali, a oto okazywali się wspólnikami.

– Chcesz mi powiedzieć, że to David kazał ci zwabiać mnie tutaj, do tych pokoi?

Zadowolił się skinieniem głowy.

– Cała ta reżyseria, przesyłki, przykazania... To on tego chciał?

– Oczywiście – przyznał z widocznym bólem. – Przynajmniej co do istoty. Zostawił mi wolną rękę w kwestii formy. Szczegółów.

Chwiejąc się na nogach, próbowałam znaleźć oparcie w najbliższym meblu, sekretarzyku z licznymi szufladkami z przodu.

Wyglądało to jeszcze gorzej niż w moich najczarniejszych snach. Nie zostałam wciągnięta w tę rozpustę z motywów tak wzniosłych, jak zemsta, uraza czy wyzwanie. W istocie byłam tylko erotycznym gadżetem w rękach tych dwóch szaleńców. Dwóch braci na tyle opętanych, by dzielić się fantazjami i zabawkami.

– Ale to nie z powodów, o jakich myślisz – pośpieszył z zapewnieniem.

– Ach, tak? Bo chcesz mi powiedzieć, że są lepsze powody do tego...

Zatoczyłam ręką wokół pokoju w geście obejmującym hotel i wszystkie nasze poprzednie schadzki. Poszukując właściwego słowa, przesuwałam je sobie przed oczami jedna po drugiej, z seansu na seans coraz śmielsze, coraz bliższe moim instynktom, dzikim, pierwotnym, odczłowieczonym. Rozkwitowi mojej chciwej seksualności.

– ...do całego tego gówna!

– Tak... – szepnął, spuszczając wzrok.

– No to już! Powiedz mi!

Podniósł na mnie oczy pełne bezbrzeżnej czułości. Westchnął głęboko, zanim wyjawił mi to, co zdawało się najskrytszym zwierzeniem.

– Żebyś nie była taka jak ona.

Aurora. Alfa i omega kobiecości według braci Barletów. Co z tego, że jej grób zarósł chwastami, jakby odeszła wieki temu – dla nich pozostała wzorcem metra z Sevrès, według którego mimo blisko dwóch dekad poszukiwań i nadludzkich wysiłków nadal zamierzali mnie mierzyć.

Och, i dobrze wiedziałam, co najbardziej leżało im na sercu. Co szwankowało w Aurorze i co tym razem uznali za stosowne skorygować we mnie: jej seksualność. Ona, czy jej następczyni w mojej osobie, miała być wersją udoskonaloną, już nie drętwą kukłą, zimną i nieszczęśliwą. Aby osiągnąć perfekcję wymaganą przez Davida, należało urobić surowy materiał, jakim byłam, obudzić we mnie zmysły i pragnienia, podrażnić każdy zakamarek ciała i duszy w jednym jedynym celu. Stworzyć maszynkę do rozkoszy na ich własny użytek.

– Żebyś była...

Teraz on szukał odpowiedniego słowa, które jak wszystkie kierowane do mnie, mógłby skomponować z liter wypisanych na jego własnej skórze. Nierozerwalnie związanych z jego ciałem i pragnieniami.

– Żebym była czym? Waszą rzeczą? O to chodzi? Przerzucaną z rąk do rąk, ciąganą po hotelach i backroomach?

– Nie. Po prostu, żebyś była kompletna.

Nawiasy wokół tego przymiotnika, tak wyraźne, że prawie widoczne, wirowały wokół mnie. Mnie, niepełnej, niedokończonej.

Ogłuszona jak bokser pod koniec rundy, nie czekałam ani na gong, ani na następny cios. Sięgnęłam ręką do włosów i jednym gestem wydobyłam z nich szpilkę. W ułamku sekundy byłam przy nim, cisnąc go w szyję srebrnym ostrzem, gotowa pchnąć głębiej, do krwi. Próbował złapać mój przegub, ale wyrwałam mu się z nadspodziewaną siłą.

– Jest przynajmniej jedna rzecz, co do której obaj macie rację, David i ty...

– Odłóż to – wymamrotał bardziej błagalnie niż rozkazująco.

– Nigdy nie będę Aurorą. Nie pozwolę się zniszczyć. Żadnemu z was.

Natarłam na niego moją srebrną białą bronią ze zdwojoną furią. Byłam zdolna wbić mu szpikulec, zostawić go na śmierć w tych pompatycznych dekoracjach, ofiarę jego własnego scenariusza, zabitego przez główną bohaterkę stworzonej przez siebie tragifarsy. Mogłam była ulec morderczemu impulsowi, przemożnej potrzebie, żeby skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Jeszcze silniejszej niż najbardziej pierwotne z moich pragnień.

– Elle, puść tę szpilkę... Teraz.

Lekko złagodziłam głos, ale nie groźbę. Moje żądło nadal dotykało jego szyi.

– Puszczę, nie bój się. Nie zamierzam zgnić przez was w więzieniu. Ale najpierw musisz to usłyszeć, Louis: koniec tej zabawy ze mną.

– Tak, wiem... – jęknął bez cienia swojej zwykłej pychy.

– Odtąd będę dawać dupy komu chcę i kiedy chcę. Dawać, rozumiesz? Nie sprzedawać ani wymieniać. I nikt nie będzie dysponować nią w moim imieniu.

– Elle... Posłuchaj mnie.

– Nie! – warknęłam zdecydowana nie dopuścić go do głosu nawet na chwilę. – Nie, to ty mnie posłuchasz. Jutro wyjdę za Davida, czy tego chcesz, czy nie. Czy manipulował mną tak, jak mówisz... czy to jeszcze jeden z twoich manewrów. Mam to gdzieś. I będę pieprzyć się już tylko z nim. Tylko z moim mężem.

– Błagam cię... Jest coś jeszcze.

Pozostałam głucha. Twarda. Niewzruszona. Nic z tego, co mógłby powiedzieć, nie było już w stanie mną zachwiać.

– Możesz zamówić sobie wszystkie dziwki z katalogu twojej Rebekki, po kolei czy naraz. Mam to gdzieś.

Głuche łomotanie w drzwi w porę wyrwało mnie z afektu.

– Elle? Elle, kochana, co się dzieje?

W głosie Sophii brzmiało przerażenie. Musiała dosłyszeć z zewnątrz tumult naszej walki.

Za całą odpowiedź cisnęłam szpilką o parkiet, gdzie podskoczyła kilka razy i tyleż samo zadźwięczała. Zanim Louis zdążył się zerwać,

hamowany przez opadające spodnie, chwyciłam z podłogi mój płaszcz i wyskoczyłam za drzwi. Jeszcze naga. Wreszcie uwolniona od nie mojego kostiumu, od tej tożsamości, w którą jeden i drugi siłą chcieli mnie wcisnąć.

W tym samym momencie, niczym echo brzęczenia mojej szpilki, wielka klepsydra rozsypywała się w drobny mak na czarno-białej terakocie rezydencji Duchesnois. Odkryłam to rzecz jasna dopiero po powrocie, godzinę później.

Tysiąc i jeden kawałków rozrzuconych po całej powierzchni ogromnego hallu. Tysiąc i jeden szklanych odłamków z winy mojej kotki i dwóch psiaków. Odwieczni nieprzyjaciele nie oparli się pokusie nowego konfliktu, którego nagła eskalacja wzięła górę nad gigantycznym czasomierzem z drewna i szkła.

Z kilkugodzinnym wyprzedzeniem odliczanie dobiegło końca. A symbolizowany przez nie los zastygł w małej, nieruchomej górce piasku między szczątkami. Wiedziałam: poślubię Davida Barleta. Nie ucieknę od mojego przeznaczenia, choćby obmyślonego w całości przez niego. Będę jego żoną, jego kochanką i wszystkim innym, jeśli tego zapragnie: wyczuloną na jego potrzeby, ale nigdy nie rezygnując z moich własnych, nigdy nie zapominając o sobie i nie roztapiając się w jego minionych cierpieniach. W żadnym wypadku nie będę Aurorą.

O nie. Będę sobą.

37

18 czerwca 2009

Budzik w naszej sypialni wskazywał dziewiątą. Słońce, jakby chcąc przyspieszyć ten dzień, już zalewało pokój hojnymi promieniami. Znajomy Davida z Weather Channel dotrzymał obietnicy: piękna pogoda, niebo bez jednej chmurki. Taka była moja pierwsza myśl w poranek naszego ślubu.

Budziłam się o wiele za późno jak na tak doniosły dzień. Śpiąca Królewna pogrążona w wiecznym śnie – który skądinąd długo nie chciał przyjść do mnie po powrocie z Charmes – czekałam na magiczny pocałunek mego księcia.

– Dzień dobry, madame, moja żono! – uśmiechnął się David w momencie, gdy wreszcie otworzyłam oczy.

Przysiadł na brzegu łóżka, w beżowych płóciennych spodniach i żółtawej koszulce polo. Odgłosy gorączkowej krzątaniny personelu zaangażowanego na uroczystość już wypełniały cały dom wraz z dziedzińcem i ogrodem, docierając zmasowanymi falami aż tutaj, na piętro.

– Za trzy godziny, drogi panie – odpowiedziałam tym samym żartobliwym tonem, wskazując palcem krótszą ze wskazówek. – Nie wcześniej. Na razie jestem jeszcze mademoiselle, twoją narzeczoną.

– Jak madame-moiselle sobie życzy. Monsieur pozwoli sobie jednak przypomnieć mademoiselle-swojej-narzeczonej, że nie zostało jej już wiele czasu, żeby zrobić się na bóstwo.

Podczas tych przekomarzanek zauważyłam, że jedwabna opaska na jego lewym przedramieniu zmieniła kolor. Codzienną perłową biel zastąpiła lekko srebrzysta szarość, tak subtelna, że momentami, zależnie od kąta i światła, można było pomylić ją z poprzednią wersją. Przypuszczałam jednak, że ta nowa lepiej pasowała do szarego smokingu w mysim odcieniu, który wkrótce miał założyć do ślubu.

– A ty nie jesteś ubrany? – zdziwiłam się dla porządku.

– Za wcześnie. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. No i biorąc pod uwagę zapowiadany upał, nie chcę zostawić na smokingu zacieków pod pachami.

No proszę. Gawędziliśmy sobie oboje, uśmiechnięci, piękni i pogodni. Rozmawiałam z nim od niechcenia, manifestując pełną beztroskę, a mimo to skoncentrowana do maksimum, żeby nie zdradzić ani jednym słowem tego, czego się o nim dowiedziałam. Że był manipulatorem. Perwersyjnym. Człowiekiem dostatecznie szalonym lub dostatecznie nieszczęśliwym – zresztą czy nie wszystko jedno? – żeby poświęcić siedemnaście lat na złowienie takiej gąski jak ja. A później obrabiać ją na ciele i duszy, tak aby dała się nanieść na bolesną przeszłość. Druga żona przekalkowana na pierwszą, ale tym razem tak zgodna z jego oczekiwaniami, że żadna choroba ani żaden wypadek nie będzie w stanie zmącić jego prefabrykowanego szczęścia.

– Dobrze. No to leć! Jestem pewna, że Armand ma czym cię zająć.

Próbowałam uśmiechnąć się bez przymusu.

– O, spokojna głowa, jest co robić! – rzucił, znikając z sypialni.

Zanim przyoblekłam oficjalny strój, ale już po przejściu przez ręce fryzjerki i wizażystki, ubrana w zwykłą szarą koszulkę zeszłam zobaczyć, co dzieje się piętro niżej. Aktywność godna pszczelego roju robiła wrażenie, wręcz przyprawiała o zawrót głowy, tak bardzo każdy z obecnych zdawał się pociągany za niewidzialną nitkę, maksymalnie napiętą między punktem wyjścia a celem swojej misji. Przedstawiciele wszelkich rzemiosł uwijali się już przy pracy: hostessy, szatniarki, robotnicy, ogrodnicy, kucharze, somelierzy, kelnerzy, kwiaciarze, praczki, pirotechnicy, kamerzyści i dźwiękowcy, jak również wielu dodatkowych pomocników do specjalnych usług czy poruczeń, jak na moje niewprawne oko, trudnych do identyfikacji.

– Dzień dobry, Armand – przywitałam majordomusa.

– Dzień dobry, Elle. Moje gorące powinszowania z okazji tego wspaniałego dnia!

– Dziękuję...

Niezręczna solenność jego słów wprawiła mnie w lekkie zakłopotanie, tak że wolałam szybko zmienić temat.

– Co robią tamte panie w ogrodzie?

Ruchem głowy, w zamierzeniu dyskretnym, wskazałam mu dwie kobiety w co najmniej średnim wieku, obie w białych mundurkach i kolorowych chustkach na głowach, okrążające stoły jedna z wahadełkiem w ręku, druga z uniesionym w górę palcem.

– Ach, to specjalistki od feng shui.

– Feng shui? – zdziwiłam się.

– Tak. Nie powinienem pani tego mówić, ale to jeden z prezentów od Louisa: żeby wasze małżeństwo przebiegało pod najlepszymi auspicjami, uparł się poddać miejsce przyjęcia weselnego ocenie specjalistów.

Pytanie: czy istnieje feng shui erotyczne? Czy można wpływać na naturę i jakość naszych miłosnych zmagań, wybierając dla nich taką czy inną scenerię? Czy moja łechtaczka okaże się bardziej pobudliwa w zależności od rozkładu mebli albo koloru ścian? ~~Czy mój odbyt będzie elastyczniejszy i bardziej gościnny dla kogoś, kto zechce go wypróbować?~~ Czy penis mojego kochanka dłużej wytrzyma w erekcji?

Moja rada: kolor pomarańczowy zwiększa szansę na wielokrotne orgazmy!

(Odręczna notatka z 18.06.2009, mojego autorstwa)

Ta atencja mogła być zaskakująca dla postronnych, ale ja od razu rozpoznałam w niej wrażliwość mojego przyszłego szwagra na ducha miejsc i związane z nimi wspomnienia. Ciekawe, czy i własną nową siedzibę, rezydencję Mademoiselle Mars, potraktuje równie troskliwie? Wydało mi się to prawdopodobne... Jedno pytanie szybko pociągnęło za sobą drugie: kiedy się tam wprowadzi? Kiedy sprawca całych tygodni moich cierpień i zgryzot, ale również tylu chwil wyjątkowej intensywności zostanie naszym sąsiadem?

Nie przeszkadzając dłużej staremu słudze w jego pilnych zajęciach, ruszyłam w dalszy obchód. Na całym parterze nie było

jednego pomieszczenia ani zakamarka, które uchowałyby się przed inwazją tej pracowitej armii. Slalom między tacami i ich nosicielami, między zastawionymi stołami i wózkami naprawdę przypominał konkurencję sportową. Szybko straciłam rachubę w liczeniu migających mi przed oczami wiktuałów w niewiarygodnej ilości i różnorodności, wszystkich zabezpieczonych z najwyższym staraniem. Niektóre ginęły pod srebrnymi kopułkami lub folią aluminiową, inne pozwalały się przyuważyć przez szklane pokrywki, a wszystkie razem, na czele ze słodkościami, nieodparcie skojarzyły mi się z mamą, moją biedną królową łasuchów, której nie dane było posmakować nawet okruszka z tych gór przysmaków.

Odkąd otworzyłam oczy, nie wypuszczałam z ręki telefonu, tego żałosnego talizmanu, odwlekając jednocześnie moment połączenia z dyżurną pielęgniarką. Gdy w końcu zdobyłam się na odwagę, usłyszałam, że mama odzyskała świadomość, ale bynajmniej nie siły. Jej słowa były równie policzone jak dni. Wypowiadała je bardzo skąpo, pojedynczo, redukując do minimum każde zdanie. Słuchanie innych również wyraźnie ją męczyło. „Myślę, że oszczędza się dla pani" – pielęgniarka nie omieszkała wzbudzić we mnie poczucia winy. Ale przynajmniej darowała mi jedno pytanie, to, którego obawiałam się najbardziej i które sama od siebie odpychałam: „Kiedy zamierza pani ją odwiedzić?".

Kiedy będzie za późno? Kiedy słów zostanie już nie na dni czy godziny, tylko na minuty? Kiedy już mnie nie rozpozna?

Mój obchód domu miał chociaż jedną zaletę: rozpraszał mnie, opróżniał głowę z nazbyt bolesnych myśli. Snułam się po pokojach w ślad za personelem, uważając tylko, żeby nie przeszkadzać im za bardzo. Zszedłszy do ogrodu pod wielki baldachim wzniesiony poprzedniego wieczoru, zaczepiłam chłopaka w białej koszuli i czarnej kamizelce, który właśnie rozstawiał kartoniki z nazwiskami gości przed każdym porcelanowym nakryciem. Wydał mi się bardzo młody i tak skupiony, żeby wykonać pracę zgodnie z trzymanym w ręku planem, że chciałam jakoś docenić go za tę gorliwość.

– Dzień dobry. Wszystko w porządku?

– Dzień dobry... – mruknął, ledwie podnosząc oczy.

– Jestem... jestem panną młodą – nie wiedzieć czemu zależało mi na prezentacji.

Aby uwiarygodnić tę hipotezę, tak sprzeczną z moim strojem, podniosłam rękę do włosów, już zebranych w uroczysty kok.

Młodzieniec natychmiast przerwał swoje zajęcie i wyprostował się przede mną, jakby przyłapany na karygodnej gafie:

– Ach, przepraszam! Dzień dobry, madame! To znaczy... mademoiselle. Najlepsze życzenia!

Z trudem zamieniłam wybuch śmiechu na porozumiewawczy uśmiech, którym chciałam dodać mu otuchy.

– Dziękuję. Ale nie zamierzam dłużej panu przeszkadzać.

I dokładnie w tej chwili mój wzrok padł na prostokącik z brystolu, świeżo ustawiony tuż przede mną na śnieżnobiałym obrusie, tu i ówdzie przybranym świeżymi kwiatami o upajającym zapachu. „Luc Doré" – anonsowała wizytówka, którą niemal wyrwałam z ręki zdumionego pomocnika. Ale to nie nazwisko gościa nagle pozbawiło mnie tchu.

Luc Doré

Nie, zamarłam na widok pisma, tak charakterystycznego, tak dobrze mi znanego... Ze wszystkich anonimowych listów codziennie zasilających mój karnecik, zanim zaczęłam wypełniać go własnymi notatkami.

– Przepraszam – zwróciłam się znów do chłopaka. – Czy wie pan, kto wypisywał te kartoniki?

– Tak, mademoiselle, to monsieur Armand.

– Jest pan pewien?

Pomocnik, wyraźnie zadowolony z pytania o coś ważniejszego niż rozkład etykietek, nabrał śmiałości, nie zapominając przy tym ani o swej roli, ani o kurtuazji.

– O, tak, jestem pewien, przed chwilą widziałem, jak to robił. Niektóre wizytówki jeszcze nie zdążyły wyschnąć.

Zadrżałam na tę wizję: Armand, wieczny zausznik braci Barletów, spisujący pod dyktando Louisa adresowane do mnie sprośności. Co

Louis mógł mu obiecać, żeby zgodził się na tak niegodziwą, chorą misję? Kilka dodatkowych butelek? Milczenie na temat spustoszeń, jakie stary majordomus czynił w rodowej piwnicy?

A może Armand był równie perwersyjny jak jego zleceniodawca? Fakt, lepiej mieć się na baczności przed starszymi panami o dobrodusznym wyglądzie. Nigdy nie wiadomo, jakie namiętności i żądze kłębią się w welurowych spodniach i pod ciepłymi wełnianymi swetrami...

Zastanawiam się, czy i Louis prowadził dziennik naszych spotkań. Czy gdzieś zapisywał, co odczuwał za każdym razem? ~~Czy i on ma własne „Dziesięć razy dziennie" w wersji jeszcze bardziej hard?~~ On, taki erudyta, miłośnik i adept literatury, jakie mógłby znaleźć słowa, aby oddać moje zmieszanie, moje ciało głodne właśnie jego, moje łono penetrowane przez wszystkie te przedmioty, które ofiarowywał mi zamiast siebie?
(Odręczna notatka z 18.06.2009, mojego autorstwa).

Winowajca był rzecz jasna nieosiągalny. Na każde moje pytanie odsyłano mnie do innej części budynku. Nie miało to zresztą większego znaczenia – i tak wiedziałam już swoje.

A tymczasem dzwonek do drzwi nie milkł nawet na chwilę, radośnie anonsując coraz to nowych dostawców i dostawy: dań, butelek, naczyń, kwiatów, sztucznych ogni, materiałów dźwiękowych...

Oszołomiona tym wszystkim, już zmierzałam z powrotem do sypialni, gdy przesyłka zupełnie innej natury przykuła moją uwagę:

– To ja!

Sophia, wbita w najmniej przyzwoity strój, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, z palcami ułożonymi w triumfalne V, kołysząca biodrami w sposób podkreślający jej apetyczne kształty.

– No co, moja kochana, opadła ci szczęka?

Zachowała wyzywającą pozę w oczekiwaniu na moją ekstazę. Skrawek materiału, jaki ją okrywał, był nie tylko maksymalnie dopasowany, ale i przezroczysty na przynajmniej połowie

powierzchni, a do tego krótszy niż jakiekolwiek mini dostępne w legalnym handlu. Co najdziwniejsze, być może dzięki stonowanej barwie écru, całość nie robiła wulgarnego wrażenia.

– O Boże, So'! Szukasz faceta czy jak?

– Nie wiem, czy faceta... Na razie chyba znalazłam to!

Nie musiała niczego precyzować. Za dobrze znałam ją samą i jej zamiłowania, żeby nie wiedzieć, co miała na myśli: swój wymarzony strój, idealny atrybut jej władzy nad rodzajem męskim. Niezawodną pułapkę na mężczyzn.

Skomplementowałam ją kręceniem głową i miną pełną przesadnego podziwu.

– Chyba masz rację. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej obcisłego, chyba żeby stopiło się ze skórą... A gdzie wypatrzyłaś to cudo?

– Pomagając Peggy przy porządkach w szafie. Nie uwierzysz, chciała wyrzucić tę kieckę!

– Zaraz, zaraz, przecież Peggy jest malutka... Czy nie ze dwa rozmiary mniejsza od ciebie?

– No właśnie! I o to chodzi!

Faktycznie, to przynajmniej częściowo tłumaczyło efekt.

– A co, myślisz, że ktoś obejrzy się za tobą, gdy będziesz nosić swój normalny rozmiar? – zapytała zawadiacko.

– Rzeczywiście, nieźle pomyślane, patrząc na ciebie...

Obdarzyła mnie promiennym uśmiechem, w sam raz na zatarcie resztek przykrych wspomnień z naszych ostatnich perypetii.

– No dobrze, ale chyba i ty masz mi do pokazania jakąś suknię?

Pociągnęłam ją na piętro nie bez trudu, gdyż ociągała się przy każdych uchylonych drzwiach, z niedowierzaniem kontemplując luksusowe wnętrza:

– Wiesz, gdy mówiłaś mi o tej rezydencji, mimo wszystko nie wyobrażałam sobie, że to wygląda aż tak!

Wzruszyłam ramionami, chcąc się usprawiedliwić i dać jej do zrozumienia, że tak jak ona byłam w tych dekoracjach tylko gościem. A już na pewno nie miałam nic wspólnego z tym ostentacyjnym przepychem. Ale zdecydowanie największe wrażenie zrobiła na Sophii suknia Schiaparelli, gdy wreszcie wydobyłam ją

z imponującego białego pokrowca i pieczołowicie rozłożyłam na łóżku.

Ledwie wyszedłszy z osłupienia, moja przyjaciółka ucieszyła mnie jedną ze swych uwag, w których dobry humor i życzliwość zawsze przeważały nad goryczą czy zawiścią:

– Przypomnisz mi w przyszłym życiu, żebym wyszła za miliardera, dobra?

– Nie ma sprawy, przypomnę – uśmiechnęłam się rozbawiona.

– Założysz ją zaraz? – ponaglała mnie z fascynacją w oczach.

Przyglądałam się jej przez sekundę, uśmiechając się coraz szerzej, w sposób zapowiadający jeden z tych figli, za jakimi obie przepadałyśmy w studenckich czasach.

– Chwileczkę... Mam pewien pomysł.

Skoczyłam do garderoby i natychmiast wróciłam z koszyczkiem nici, igieł i moich ulubionych skrawków filcu w różnych kolorach.

– Zaczekaj... Chyba oszalałaś?

Oczywiście odgadła mój zamiar, znając na pamięć moje krawieckie pasje.

„A na to wyglądam?" – rzuciłam jej wyzywające spojrzenie, już gotowa wbić igłę z różową nitką w śnieżnobiałą materię.

– Do diabła, Elle, chyba nie chcesz przerabiać swojej sukni ślubnej? Uważaj, to poważna sprawa!

– Hm... I właśnie w tym rzecz. Trochę za poważna, jak na mój gust.

Niemal krztusiła się ze zdumienia i oburzenia, wyciągając rękę w stronę mojej, jakby chciała powstrzymać mnie przed świętokradztwem.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z ceny takiego egzemplarza?

Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego olśniło mnie to akurat wtedy. Najkrótsza i najtrafniejsza odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy, brzmiała po prostu: chcę być sobą.

– Jak najbardziej – przytaknęłam Sophii wymijającym gestem. – W tym właśnie cały problem, że znam cenę tej sukni.

I że nie byłam do końca pewna, czy zgadzam się ją zapłacić, czy to dziś, czy kiedykolwiek. Dlaczegóż więc nie miałabym uczynić tego

ciężaru z jedwabiu i koronek nieco lżejszym? Dlaczego nie dodać tej sukni kilku kolorów, moich kolorów, i chociaż częściowo zapomnieć o jej śmiertelnie poważnym dziedzictwie?

Skojarzenie: nasze fantazje są jak te skrawki materiału, którymi zdobię moje ubrania.
Naszywa się je to tu, to tam na rzeczywistość naszych przeżyć, żeby wydobyć z niej kolor, złamać monotonię. Dzięki nim tworzymy sobie seksualność na własną miarę.
Przykładowe rozmieszczenia: usta zagłębione w moim łonie; tors przyklejony do moich pośladków; język, który liże mnie od góry do dołu, jakby robił mi toaletę...
(Odręczna notatka z 18.06.2009, mojego autorstwa)

Po kilku wprawnych ruchach nożyczek i igły na sukni Schiaparelli zakwitły polne kwiatki, celowo duże, prostackie, byle jak rozmieszczone i umocowane do podłoża ostentacyjnie widocznymi szwami.

Sophia obserwowała mnie bezradnie, nie znajdując słów ani gestów zdolnych zatrzymać moje dzieło zniszczenia.

– Nie boisz się reakcji Davida?

– O nie... Nie boję się już niczego – odpowiedziałam bez cienia wahania.

Między dwoma wściekłymi wbiciami igły wtajemniczyłam ją w udział Armanda – tym razem potwierdzony – w godnych kryminalnej powieści machinacjach braci Barletów. Z tą wiedzą, tłumaczyłam jej wzburzona, miałam chyba prawo zmącić odrobiną fantazji i buntu ich perfekcyjny scenariusz, tak bezlitosny, jakby chcieli zgotować mi los Aurory? Może i mnie byli w stanie popchnąć do podobnej ostateczności?

– Teraz rozumiem, skąd Louis wiedział to wszystko, jeszcze zanim zobaczył mnie na oczy. To proste: miał na miejscu dwóch szpiegów!

– A co dokładnie wiedział? – dociekała Sophia.

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Szczegóły do opowiadania wyłącznie w łóżku.

Sophia mogła rzecz jasna wiele wysłuchać i wiele znieść w tej materii, z pewnością więcej niż ktokolwiek inny. Ale i ona miała swoje granice, swoje zasady etyczne. Poszanowanie prywatności wchodziło w ich skład.

– Chcesz powiedzieć, że David byłby zdolny opowiadać im, jak się kochasz?

– Sądząc po tym, co wyczytałam w niektórych listach...

Zrobiłam w myślach szybki przegląd moich zwierzeń czynionych Davidowi – gdyby to nie on był źródłem, wolałam nie wiedzieć, w jaki sposób Louis zdobył te informacje, które później wróciły do mnie na kartkach karnecika: odkrycie moich genitaliów, mój pierwszy raz, zamiłowanie do pozycji od tyłu, szczególna wrażliwość na intymne zapachy, orgazmy na „nie" zamiast na „tak"...

– ...Nie widzę innej możliwości.

– Szok! – Sophia prychnęła jak nastolatka.

A później obie zachichotałyśmy pod osłoną masy jedwabiu, skrywającą nas jak wielki namiot.

Wkrótce moje rękodzieło dobiegło końca. Sophia powstrzymała się od dalszych komentarzy, świadoma, że i tak by mnie nie obeszły. Wślizgnęłam się w zmasakrowaną o własnych siłach suknię, przypominając sobie tamtą przymiarkę, po której kochaliśmy się z Davidem na stole w jadalni – ten jedyny raz, kiedy zupełnie sam lub prawie sam doprowadził mnie do orgazmu.

– Och! Och, i nic więcej! – wykrzyknęła Sophia z zachwytem. – Nie wiem, czy moja suknia budzi ochotę, żeby mnie zgwałcić... Ale twoja z całą pewnością budzi ochotę, żeby cię poślubić.

Odpowiedziałam jej wybuchem śmiechu, gdy moja komórka odłożona na czas szycia, zawibrowała na łóżku. Od razu rozpoznałam stacjonarny numer oddziału onkologicznego.

Sophia nie spuszczała ze mnie oka, gdy z coraz cichszym głosem wypowiadałam do słuchawki serię potwierdzających monosylab.

– Szpital?

– Tak... – wykrztusiłam.

– Czy to...

Koniec. Kres. Zejście. Ostatni przystanek dla wszystkich, a dla jednej kobiety w szczególności. Sophia również nie zdobyła się na

wypowiedzenie tego słowa.

Odłożyłam komórkę na łóżko, tak jakby grubość pościeli była w stanie wchłonąć i zagłuszyć złe wieści.

– Nie, to jeszcze nie koniec… Ale mama domaga się mnie za wszelką cenę. Muszę jechać.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą?

– Nie... Nie, zostań tutaj. Przydasz się Armandowi, gdy trzeba będzie zabawiać gości.

– Dobra. O której mają przyjść?

– W południe, na aperitif.

Wskoczyłam w pierwszą z brzegu parę balerinek i bez jednego słowa więcej wybiegłam na schody, a Sophia za mną:

– Hej! Nie uprzedzisz Davida?

– Zrób to za mnie! – rzuciłam jej przez ramię.

– Ale on nawet mnie nie zna!

Jej zdesperowany okrzyk nie mógł mnie oczywiście powstrzymać. Byłam już na zewnątrz, już biegłam po rue de la Tour-des-Dames w kierunku zachodnim, moje stopy uderzały w ciepły asfalt jak w skórę tam-tamu, a każdy taki dźwięk wzbijał głuchą falę, która pulsowała mi w skroniach i coraz bardziej rozsadzała czaszkę. Miałam wrażenie, że zanim dotrę do celu, pęknie na pół niczym przekrojony owoc...

Znałam najbliższy postój taksówek przed kościołem Trinité. Czekał tam stary biały peugeot, a z jego otwartego okna rozchodziły się na całą okolicę donośne odgłosy transmitowanego przez radio wyścigu Formuły 1. Czarnoskóry szofer ruszył z piskiem opon i dowiózł mnie do szpitala Max Fourestier w tempie godnym któregoś z jej bolidów.

Na korytarzu oddziału onkologii mijało się śmierć w różnych wersjach: szarych, chudych twarzy, pozbawionych włosów czaszek, chorych wlokących za sobą stojaki od kroplówek z takim wysiłkiem, jakby ważyły co najmniej tonę... Nawet pielęgniarki miały błędny wzrok i sprawiały wrażenie nie mniej wyczerpanych niż ich podopieczni. Wszystkich tak bardzo pochłaniała ta nierówna walka

o życie, że nikt nie zwrócił uwagi na mój nietypowy strój ani wtargnięcie na salę poza godzinami odwiedzin.

Ja też widziałam tylko mamę, oplecioną rurkami jeszcze gęściej niż ostatnim razem. Ruchy jej powiek, chociaż słabe, potwierdzały, że była przytomna. Przysunęłam krzesło do łóżka i pochyliłam się nad nią jak najniżej.

– Mamuś... Mamuś, to ja, Elle.

Nowy ruch powiek w odpowiedzi. Nie potrzebowałam już pomocy lekarza, żeby ustalić rozpoznanie: to przebudzenie ze śpiączki było tylko ostatnim ukłonem przed zejściem ze sceny. Tym razem ostatecznym.

Nigdy nie zobaczymy razem Ameryki. Nie polecimy za ocean, żeby spróbować niemożliwego. Przygoda kończyła się tutaj.

– Wiem, że mnie słyszysz, ale czy możesz mówić?

Słabiutkie „tak", łatwe do pomylenia ze szmerem płynu w którymś z zawieszonych nad nią zbiorników.

– Zbliż się – poprosiła samymi wargami, gdyż tylko na to starczało jej tchu. I po chwili:

– To Louis...

Mama umierała i oto jej ostatnie słowa przywoływały człowieka, który był sprawcą mojej męki, jednocześnie nieznośnej i podniecającej. Człowieka, którego imienia nigdy nie wypowiedziała przede mną i z którym utrzymywała sekretne relacje.

– Co, mamuś? Co on ci zrobił?

– ...dał mi to wszystko.

Dopiero teraz zauważyłam dwa ogromne bukiety kwiatów i bombonierkę tak wielką, że zajmowała całą powierzchnię szafki nocnej. Domyśliłam się jednak, że wyznanie mamy dotyczyło nie tylko tych podarunków, ale i poprzednich, jak również długo utrzymywanej w sekrecie tożsamości dobroczyńcy.

– Wiem... Ale ty, jak ty...

Z wysiłkiem położyła drżący, cienki palec na moich ustach, żeby narzucić mi milczenie. Jakby chcąc zasygnalizować, że nie muszę o nic pytać, gdyż sama z siebie powie mi więcej, niż oczekiwałam.

– Przyniósł...

– Dzisiaj, chcesz powiedzieć?

– Nie. Za każdym razem.

– Louis? Odwiedzał cię w Nanterre?

Ta ewentualność nigdy nie przyszła mi do głowy. Sam fakt, że pozostawali w kontakcie telefonicznym, był dla mnie wystarczająco niepojęty. Ale wizyty Louisa u Maude Lorand w małym domku przy rue Rigault... to już przechodziło wszelkie wyobrażenie.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Często?

I tu zaszło dziwne zjawisko. Jej uśmiech rozszerzał się powoli, wygładzając ściągnięte rysy, zamieniając zbolałą twarz w promienną ikonę.

Mimo widocznego wysiłku, jaki wkładała w tę rozmowę.

– Prawie codziennie. A gdy nie mógł przyjść, dzwonił.

Osławione telefony wykryte przez Freda. Na to wspomnienie mama rozpromieniła się jeszcze bardziej, jakby bestia cierpienia na chwilę przestała ją kąsać.

Nie miałam już wątpliwości, że niezależnie od swych pokrętnych motywów Louis Barlet niósł mamie pociechę w ostatnich dniach życia, a nawet radość, której ja sama nie umiałam jej dać. Wydało mi się to tak absurdalne, tak niesprawiedliwe, że przygryzłam od wewnątrz policzki, żeby powstrzymać się od eksplozji.

– Mamuś... Chcę cię zapytać o coś bardzo ważnego: od kiedy Louis składał ci wizyty? Czy możesz sobie przypomnieć?

– Tak, tak... Umieram, ale nie mam alzheimera! – oburzyła się ledwie słyszalnie, w ostatnim porywie życia. – To trwa od jakichś trzech miesięcy. Może dłużej...

A więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zaczęło się jeszcze przed moim spotkaniem z Davidem, w okresie, jak nazywałam to teraz, „prac przygotowawczych". Już po namierzeniu mnie – egzemplarza, który z jakichś względów uznali za cel poszukiwań – bracia zaczęli cierpliwie osaczać i urabiać ludzi z mojego najbliższego kręgu: mamę, Sophię, Freda... Tak aby nikomu nie przyszło do głowy sprzeciwić się mojemu wejściu w nową rodzinę i żeby każdy na swój sposób ułatwiał zadanie piekielnemu duetowi.

Wszystko to razem, choć logiczne, nie tłumaczyło jednak regularności kontaktów Louisa z moją mamą. Że jej pochlebiały takie

względy, to akurat byłam w stanie zrozumieć. Ale z drugiej strony? Jaką przyjemność ten dekadencki dandys mógł czerpać z jej towarzystwa? Prosta kobieta z przedmieścia, stara i biedna, reprezentowała sobą to wszystko, od czego taki esteta i erotoman na dokładkę powinien był uciekać. A tymczasem odgrywał swoją czarodziejską rolę znacznie gorliwiej, niż wynikałoby ze scenariusza.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś?

– On nie chciał. To był nasz sekret. Tak jak Stany.

– Stany? – powtórzyłam w osłupieniu.

– Tak. Miał ze mną pojechać – potwierdziła z całą dumą, jaką mogła włożyć w swój słabiutki głos.

Majaczy, pomyślałam w pierwszej chwili. To z pewnością efekt morfiny, nieprzerwanie spływającej przezroczystymi rurkami prosto do jej krwiobiegu...

– Jesteś pewna?

– Zobacz w mojej torebce...

Jej zmęczone oczy, pokryte siatką rozszerzonych naczyniek i zasnute złowróżbną lekką mgiełką, wskazały mi niski stolik po drugiej stronie łóżka.

Wysłużona, rozciągnięta torebka zawierała niewiele rzeczy, tak że bez trudu trafiłam na kopertę w barwach francuskiej flagi, ozdobioną dużym, elipsoidalnym globusem. Wyjęłam ze środka nie jeden, lecz dwa bilety lotnicze do Los Angeles, z wylotem datowanym na dwudziestego czerwca i otwartym powrotem, oba w klasie biznes.

Decyzja mamy, żebym nie towarzyszyła jej w podróży, ukazała mi się teraz w zupełnie nowym świetle. Nie chodziło już o pokorę ani o poświęcenie własnych interesów na rzecz kariery dziecka. Mama i Louis, mój prześladowca, byli sobie na tyle bliscy, że i ona dała się wciągnąć w jego matactwa. A jednocześnie to dzięki niemu odnalazła lekkość swoich dwudziestu lat i coś w rodzaju sekretnego ogrodu, jaki pielęgnuje się tylko w tym pięknym wieku złudzeń i nadziei. I to pod koniec życia tak ciężkiego, tak ubogiego w radości... Choćby za to jedno chciałam dziękować mu z całego serca.

Wciągnęła powietrze z głośnym, niepokojącym świstem i dodała resztką sił, wyczerpana naszą rozmową:

– On też bardzo cię kocha...

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Widząc, że nie zostało nam wiele czasu, zaryzykowałam jeszcze ostatnie pytanie:

– Powiedział ci to?

Nie była już w stanie wykrztusić słowa, chyba że razem z ostatnim tchnieniem. Ale potwierdziła ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Kiedy?

I znów jej oczy posłużyły za wskazówkę, zachęcając, żebym ich śladem omiotła spojrzeniem pokój: kwiaty świeże mimo upału, nietknięte pudełko czekoladek... Tego wszystkiego nie było tu dzień wcześniej. A więc bez cienia wątpliwości: dzisiaj. Tego ranka, może nawet tuż przed moim przyjściem, tak że mogliśmy minąć się w drzwiach.

Później zamglony wzrok mamy zatrzymał się na mojej sukni, jakby dopiero teraz ją dostrzegła i percepowała resztą świadomości.

– Jesteś taka piękna... – dobiegł mnie jej szept. – Louis musi być dumny...

Nie sprostowałam pomyłki w imieniu. Może zresztą nie pomyłki. Może mama celowo, na swój sposób, chciała usankcjonować dojrzewający we mnie wybór. Udzielić mi ostatniego błogosławieństwa.

Dwiema rękami objęłam ją za głowę i wtuliłam nos w jej szyję, czy raczej kościste zagłębienie obciągnięte cienką, szarą skórą. Pod ciężką chmurą szpitalnych woni przesyconych chlorem i spirytusem odnalazłam leciutką nutkę jej różanego zapachu. A może tylko wskrzesiłam go mocą wyobraźni, nie wiem. Zastygłam tak na dłuższą chwilę, przywierając ustami do tego ożywczego źródła, które właśnie wysychało raz na zawsze. Którego sama nie umiałam zasilić, ja, córka tak hojnie obdarowywana i tak mało dająca w zamian. Nawet teraz, w ostatnich tygodniach, zajęta tylko sobą i własną wydmuszką nieopatrznie wziętą za szczęście...

Przez ten czas czuwał przy niej Louis, nie ja. To on podtrzymywał w niej radość życia łagodzącą niszczycielskie efekty choroby. Usta musiały wydawać się jej mniej spierzchnięte, zawroty głowy mniej dotkliwe, przypływy osłabienia łatwiejsze do pokonania.

W mojej pamięci na zawsze pozostanie dobrym duchem jej ostatnich dni.

Mama zamrugała kilka razy, jakby chciała mi jeszcze coś przekazać. A może był to już tylko odruch, jedno z tych drżeń mięśniowych zapowiadających wielki paroksyzm śmierci?

Pompa infuzyjna z lekkim kliknięciem uwolniła kolejną dawkę znieczulenia. Zapis pracy serca na monitorze pozostał równy i miarowy. Pomimo to czułam wyraźnie, że mama odpływa w stan świadomości już poza moim zasięgiem. Nie umiałam ocenić, czy jeszcze wynurzy się z niego raz albo dwa, zanim wszystko ustanie na dobre. Niemal dotykałam jej twarzy, ale jej źrenice już mi uciekały, zbaczając nieco w lewo pod opadającymi powiekami. Czego nie zdążyła mi powiedzieć?

Rozejrzałam się po pokoju, jakbym widziała go po raz pierwszy. Był pusty i biały przygaszoną, szpitalną bielą. Poza prezentami od Louisa jedyną barwną plamę stanowił różowy sweterek, który dobry doktor Pulain musiał złapać w przelocie w chwili ładowania swojej pacjentki do karetki.

Mój wzrok zatrzymał się na białej szafie, w połowie zajętej przez drążek z kilkoma pustymi wieszakami. Jej drzwi były uchylone i omal nie spadłam z krzesła, gdy nagle zamajaczył mi w tym uchyleniu przedmiot w całości zajmujący jedną z półek.

Paczka w srebrzystym papierze. Jak wszystko na to wskazywało, zostawiona tu osobiście przez Louisa specjalnie dla mnie.

Mimo mroczków przed oczami udało mi się dojść do szafy i wyjąć jej zawartość. Kilkoma niecierpliwymi szarpnięciami zdarłam srebrne opakowanie. Tuż pod nim, na pakunku obwiązanym wstążeczką i przykrytym od góry bibułką, leżał tradycyjny kawałek brystolu z kolejnym drukowanym przykazaniem:

9. Jego fantazje poślubisz.

Jakie fantazje? A przede wszystkim, czyje?

Położyłam kartonik na pościeli i sięgnęłam po pakunek. To, co ukazało się moim oczom pod bibułką, zaskoczyło mnie do tego

stopnia, że przez dłuższą chwilę siedziałam jak skamieniała. W końcu zabrałam się za przeglądanie fotografii składających się na przesyłkę. Wstrzymując oddech między jedną a drugą, zakazywałam sobie pośpiechu, aby nie przeoczyć żadnego szczegółu.

A mimo to już od pierwszego zdjęcia, wykonanego na schodach jakiegoś merostwa – w Dinard? – w dniu ślubu Davida i Aurory, miałam wrażenie, że nagle odzyskuję wzrok, po całych miesiącach ślepoty. Widziałam wszystko jak na dłoni, wreszcie. Prawda wyzierająca z tych pożółkłych fotografii biła mnie po oczach. Czy wolałabym nic nie widzieć, nic nie wiedzieć?

Z jednego obrazka na drugi zjawisko mogło się zmieniać, słabnąć, coraz mniej zaskakiwać, ale działo się wręcz odwrotnie. Im bardziej odkrywałam Aurorę, taką, jaka była za życia – tu pod rękę z Hortense na spacerze wzdłuż morskiego brzegu, tam wyciągniętą na piasku w kostiumie kąpielowym w groszki – tym wyraźniej docierała do mnie oczywistość, bezlitosna jak skały w Dinard: byłam jej sobowtórem. Tak jak ona moim. Dwie identyczne siostry bliźniaczki, urodzone w odstępie niemal dwóch dekad i wydane na pastwę wspólnego oprawcy.

Albowiem nie chodziło o zwykłe, mniej lub bardziej przybliżone podobieństwo. Łączyły nas nie tylko te same długie ciemne włosy, te same zielone oczy i te same piegi rozsiane na nosie i policzkach. Pod każdym względem, również w kształcie twarzy, wykroju powiek, zmysłowym odęciu ust, byłyśmy identyczne jak dwie krople wody.

„Nigdy nie będę Aurorą” – przysięgłam sama sobie poprzedniej nocy w Charmes przed pokonanym Louisem jako świadkiem. A jednak właśnie nią byłam, od pierwszej chwili, gdy David – albo Louis – wyłapał mnie w kartotece Piękności Nocy albo gdy angażowała mnie Rebecca... I dalej przez kolejne etapy: cudownego spotkania z Davidem, jego oświadczyn na barce... Również wtedy, gdy czułam się zwykłą piłeczką przerzucaną między obu braćmi w ich opętańczym badmingtonie.

Trzy końcowe zdjęcia przedstawiały Aurorę w sukience tuż powyżej kolan, której krój i deseń w wiosenne kwiatki uderzająco przypominały model wybrany przez kostiumerkę BTV na mój pierwszy program. Czy to David podsunął jej ten pomysł? Czy był to

tylko zbieg okoliczności, przypadkowy, ale tak niezwykły, że sam w sobie mógłby usprawiedliwić jego impulsywną reakcję i wycofanie mnie z anteny?

Siedemnaście lat poszukiwań idealnego klonu. Niewątpliwie dziesiątki kandydatek, sprawdzanych i odrzucanych na pierwszy lub drugi rzut oka. Aż do mnie. Aż do znalezienia mnie, ducha innej kobiety, palimpsestu nie mojej historii, którą za wszelką cenę chciano mi narzucić.

Ale okazałam się równie niedoskonała jak wcześniej Aurora, szalona, nietykalna, oziębła. Wtedy właśnie do akcji wkroczył Louis ze swoją zuchwałą misją: zatrzeć wspomnienie tamtej świętej i zrobić ze mnie prawdziwą kobietę, „kompletną", jak sam mówił, zmysłową, rozbudzoną, zdolną do rozkoszy tam, gdzie oryginał pogrążał się w świecie urojeń i cierpień, pozbawionym najmniejszej przyjemności. Taki był cel tej edukacji podzielonej na przykazania i schadzki. „Wszystko, co robię... to ujawnianie", wyznał mi kiedyś w przypływie szczerości. I ujawniał, odkrywał przede mną nieskończoną gamę doznań, zachowując mnie przy tym nietkniętą dla swego brata. Oto dlaczego nigdy we mnie nie wszedł, nie posiadł naprawdę. Oto dlaczego świadomie i z pewnością nie bez trudu przestrzegał dystansu między mistrzem a adeptką, między edukatorem a uczennicą.

Ostatnie zdjęcie z pakietu było dla mnie nowym szokiem. Zostało zrobione w galerii Sauvage, tego wieczoru, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Louisa. Nie miałam pojęcia, że czyjś aparat fotograficzny mógł uwiecznić ten moment. Staliśmy twarzą w twarz. Patrzyliśmy na siebie tak intensywnie, znieruchomiali w tym niezwykłym napięciu, jakie zapanowało między nami niemalże od pierwszego wejrzenia. To spotkanie nie pozostawiło mi najlepszych wspomnień, a mimo to, teraz przywołane, również zadziałało jak magiczny odczynnik, rewelator czy aktywator srebrnych soli mojej pamięci: Louis, który czuwał nad mamą; który pomógł Sophii przetrwać najbardziej krytyczny okres; który wyciągnął Freda z bezrobocia; który pisał moje imię zakrętami na paryskich ulicach... Louis, który mimo misji przedsięwziętej dla brata zachowywał się jak anioł stróż wobec mnie.

Louis, który zdaniem Rebekki robił to wszystko tylko dla mnie. Po prostu dla mnie. Mimo swego brata.

– Wszystko dobrze, mademoiselle?

Pielęgniarka spotkana wcześniej na korytarzu przyglądała mi się z niepokojem przez uchylone drzwi izolatki. Musiałam wyglądać bardzo dziwnie: roztrzęsiona, zagubiona jak mała dziewczynka, w wymiętej sukni ślubnej, z plikiem zdjęć w ręku... Łzy wypływały ze mnie bezgłośnie, szerokimi, kojącymi strumieniami. Tuż przed wyjściem z sali pożegnałam się z mamą jak najczulej, długim pocałunkiem w czoło, później w policzki. Nie mogłam zrobić dla niej nic więcej. Nie wyobrażałam sobie również pozostania tu dłużej, asystowania jej aż do końca. Zamknęłam jeszcze ciepłe, drżące powieki nad jej oczami, z których uchodziło światło, nad dwoma nikłymi płomykami już gaszonymi tchnieniem śmierci.

Pielęgniarka nie dała za wygraną:

– Wszystko dobrze? Może chce pani usiąść? Albo napić się wody?

Co mogłam jej odpowiedzieć? Że w jednej i tej samej chwili tracę mamę, a zdobywam miłość? Że muszę pozostawić tę pierwszą na łożu boleści, aby iść prosto na spotkanie drugiej? Że moje ciało i serce będą odtąd w zgodzie? Że dam wreszcie upust temu, co odczuwałam w trakcie naszych spacerów, ale też, przelotnie, podczas schadzek w Charmes? I że im wyraźniej ujawniał się przede mną prawdziwy portret Louisa, nieoczekiwany, tak różny od jego cynicznych masek, a za to tak bliski wspomnieniom Rebekki, tym szybciej opuszczały mnie resztki wątpliwości?

Mogłam nic nie powiedzieć pielęgniarce. Albo zadowolić się banalną odpowiedzią w czasie teraźniejszym.

Jakby zaklinając los, wybrałam w zamian inny czas i inną perspektywę.

Na mojej twarzy mokrej od łez pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Dziękuję. Wszystko będzie dobrze... Teraz już wszystko będzie dobrze.

38

Nic jednak nie wydawało się mniej pewne. Byłam tylko żałosną, spłakaną panną młodą na szpitalnym korytarzu cuchnącym chlorem i eterem. Przemykałam do wyjścia jak cień, po omacku, zataczając się od ściany do ściany. Stalowa kulka tuż przed wystrzeleniem w przestwór nowego życia. Gotowa do odlotu...

...a mimo to jeszcze niepewna. Bliska osunięcia się na zielonkawe gumoleum. Niezdolna spojrzeć dalej, poza ból tej chwili.

Annabelle = Aurora. Równanie jakże proste, ale nadal nie umiałam pojąć go do końca, a cóż dopiero zaakceptować.

A gdyby ta deklaracja w obrazkach była tylko ostatnim wybiegiem Louisa? Gdybym wchodziła w ostatnią fazę planu obmyślonego przez Davida, który Louis, z jeszcze nieznanych mi powodów – poczucia winy? – zdecydował się zrealizować aż do końca?

Widziałam jednak, jak rodzi się w nim szczerość: dołek w jego policzku. Małe, niekontrolowane zagłębienie, ofiarowane przez jego twarz moim oczom i moim nadziejom. „Jest coś jeszcze" – wymamrotał poprzedniej nocy, tuż przed tym, jak uciekłam wzburzona z pokoju Kawalera d'Eon. Coś jeszcze do powiedzenia, pokazania... czy zadania mi w charakterze jeszcze jednej tortury?

Pasażerowie czekający wraz ze mną na autobus 378 doskonale zignorowali zarówno mój ekscentryczny strój, jak i zmienioną twarz, pochłonięci własnymi pakunkami i bolączkami. Wymiętoszona panna młoda na przystanku autobusowym? Z pewnością widzieli takich więcej: każdy żył tu swoimi problemami, bez zagłębiania się w cudze. Pewien rodzaj obojętnej dyskrecji czuwał nad prywatnością każdego z tych nieszczęśników.

Autobus wreszcie nadjechał i grupka zbiła się ciaśniej przy podwójnych pneumatycznych drzwiach, które otworzyły się z przenikliwym gwizdem.

Wybiegłam z domu tak szybko, że miałam przy sobie tylko saszetkę z kluczami i paczką chusteczek, skądinąd już na ukończeniu, gdyż stale ścierałam nimi łzy z resztkami ślubnego

makijażu. Taksówką w tamtą stronę dojechałam na koszt BTV... ale teraz nie wiedziałam, co zrobić, gdy kierowca autobusu, z wygoloną czaszką i kolczykiem w prawym uchu, zwrócił się do mnie srogim tonem:

– Pani bilet, mademoiselle...

– Ach, tak... – wymamrotałam.

Rozpaczliwie przetrząsałam torebeczkę, aż klucze wypadły z niej na podłogę z żenującym brzękiem. Schyliłam się, żeby znaleźć je wśród niecierpliwych butów, gotowych zdeptać mnie jak przeszkodę broniącą im wstępu do środka... gdy czyjaś silna ręka pomogła mi wstać.

– W porządku, ta pani jest ze mną.

Twarz nieoczekiwanego wybawcy nie była mi całkowicie obca.

– Super. Gratulacje dla panny młodej – skwitował ironicznie kierowca. – Ale to jej nie zwalnia od opłaty za przejazd.

Nieznajomy młody brunet średniego wzrostu w dość eleganckim weekendowym stroju szybko pogrzebał w kieszeni dżinsów, wyjął dwa euro i rzucił przez okienko. Nieustępliwość funkcjonariusza transportu publicznego najwyraźniej go zirytowała.

– Proszę. Wystarczy, mam nadzieję?

– Pana reszta – odpowiedział sucho kierowca. – I bilet dla tej pani.

Młody człowiek skasował bilet i pociągnął mnie na cudem wolne siedzenie z tyłu. Opadłam na nie bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w skromne domki między nie mniej obskurnymi blokami. Autobus już ruszył z przystanku. Nawet w litościwym letnim słońcu ten skrawek przedmieścia, postindustrialny *no man's land* opleciony nitkami autostrady, emanował ponurą poezją.

– Nie poznaje mnie pani? – zagadnął wreszcie mój mąż opatrznościowy, obdarzając mnie nieśmiałym uśmiechem.

Przyjrzałam mu się uważniej.

– Nie... – przyznałam. – To znaczy, niezupełnie. Ale chyba gdzieś pana widziałam.

– Bertrand Passadier. Rozmawialiśmy kiedyś w kolejce RER.

To kiedyś, odległe o kilka miesięcy, przypomniało mi się teraz jak przez mgłę. Co mógł tu robić w czwartek rano? Miał urlop czy wolny

dzień z tytułu RTT? Specjalnie zwolnił się z pracy, żeby odwiedzić kogoś w szpitalu? W istocie nie obchodziło mnie to nic a nic.

– Ach, tak... możliwe – zgodziłam się.

– Nie, na sto procent, bardzo dobrze pamiętam. Miała się pani przeprowadzić do Paryża.

Milczałam, bo i co mogłam odpowiedzieć? Jak podsumować tak monumentalne fiasko moich zamiarów? Jak opisać to morze ruin, jakim okazało się moje życie? I ten jeden maleńki zielony pęd, dostrzeżony akurat dzisiaj przy łożu śmierci mamy, nieśmiało przebijający się przez zgliszcza?

– Rzeczywiście, tak było – powiedziałam w końcu. – Ale wracam do Nanterre.

– O, naprawdę? Ale pani suknia...

Wskazał mój strój wzrokiem na wpół pytającym, na wpół zmieszanym.

– To tylko przebranie.

– No, chyba że tak. Bo dziwnie to wygląda...

Zdecydowanie ten biedny chłopak był zawsze o jedno metro spóźniony w stosunku do moich zamiarów albo kłamstw.

Znów nerwowo pogrzebałam w torebce, żeby stwierdzić brak telefonu. Musiał zostać na łóżku w tej małżeńskiej sypialni, którą porzuciłam na zawsze.

– Ma pan przy sobie komórkę? – zapytałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Tak, oczywiście.

– Zechce pan wykonać dla mnie jeden telefon?

– W pani imieniu, czy dobrze rozumiem?

– Dokładnie.

Wyciągnął z bluzy smartfon najnowszej generacji i podał mi z zachęcającą miną.

– Może woli pani sama zadzwonić? Proszę bardzo.

– Nie... Nie, będę wdzięczna, jeśli mnie pan wyręczy.

Nie miałam najmniejszej ochoty wysłuchiwać kazań Armanda, szumu zniecierpliwionych gości w tle, a już zwłaszcza wściekłych krzyków Davida, próbującego dorwać się do telefonu.

Obserwowałam, jak Bertrand Passadier wystukuje pod moje dyktando stacjonarny numer rezydencji Duchesnois, a na koniec ostrożnie wstrzymuje palec nad klawiszem z zieloną słuchawką.

– Na kogo powinienem trafić według pani? – zawahał się.

– Nieważne... Jednego z ludzi, u których mieszkałam w Paryżu.

– I co dokładnie mam mu powiedzieć?

– Że dzwoni pan od Aurory...

Przekaz wydał mi się dość jednoznaczny. W ten sposób David dowie się, że wiedziałam. W ten sposób opadną maski i wszyscy zobaczą to, co on widział we mnie: obraz innej kobiety. Zmarłej Aurory Delbard, pierwszej i jedynej madame Davidowej Barlet. Jego małżonki na życie. Albo raczej na śmierć.

– Aurora to pani imię? – uśmiechnął się głupawo, jak pierwszy lepszy podrywacz.

– Tak – skłamałam. – Proszę powiedzieć, że Aurora chce zabrać swoje rzeczy z Nanterre... I proszę również powiedzieć, że nie wróci.

– Jest pani pewna?

Spochmurniał, wreszcie uświadamiając sobie dramatyzm całej sytuacji, która dotąd wydawała mu się tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

– Tak.

– A jeśli ten ktoś będzie chciał z panią rozmawiać?

– Niech mu pan powie... że już sobie poszłam. A pan jest po prostu posłańcem.

Zgodził się wymuszonym skinieniem głowy i spełnił moją prośbę, powtarzając słowo w słowo ustalony tekst. Słysząc coraz głośniejszą wrzawę po drugiej stronie linii, dałam mu znak, żeby co prędzej przerwał połączenie, a wraz z nim całą tę histerię i próby skłonienia mnie do powrotu. Zwłaszcza że autobus 378 ze mną na pokładzie mknął długą aleją wzdłuż autostrady bez jednej przeszkody ani czerwonego światła, a kierowca dociskał pedał gazu, jakby chciał rozładować na nim swój powszedni stres. Nie powiem, to szybkie tempo było mi bardzo na rękę.

– Tam, gdzie dzwoniłem... – podjął mój towarzysz, niedyskretny i pełen empatii – ...to pani wesele, prawda?

– Tak, to miało być moje wesele. Ale okazało się bez sensu.

– Jest pani pewna swojej decyzji?

Po raz kolejny nie umiałam mu odpowiedzieć. Nie byłam pewna niczego. Może z wyjątkiem tego instynktu przetrwania, który unosił mnie jak najdalej od rue de la Tour-des-Dames.

Bez najmniejszego trudu wyobraziłam sobie chaos spowodowany moim zniknięciem. Sinego z wściekłości Davida. Roztrzęsionego Armanda. Sophię oskarżaną o wspólnictwo. Innych gości, zszokowanych i przerażonych tym scenariuszem godnym kina, wahających się między pokusą grzecznego odwrotu a wsparciem należnym sponiewieranemu panu młodemu.

Personel zaangażowany na przyjęcie już musiał znosić ze stołów wiktuały, trunki i słodycze. Kwiaty już powinny były więdnąć z oburzenia w wazonach, z których woda wyparowała w ślad za mną. Goście już po kolei recytowali formułki pełne współczucia i czczych zapewnień o pomocy, a kto miał to za sobą, co prędzej zmierzał do wyjścia, jakby z obawy przed zakażeniem. Bo faktycznie, bywają nieszczęścia, od których w powszechnym mniemaniu lepiej się trzymać z daleka.

Gdy wraz z resztą pasażerów wysiedliśmy na końcowym przystanku, mój dobry Samarytanin z komunikacji miejskiej wyciągnął do mnie wizytówkę, prosty tani model, z tych zamawianych setkami przez internet:

– Proszę... Nigdy nie wiadomo, może zechce pani z kimś porozmawiać. Obojętne o czym.

Wzięłam wizytówkę, ale gdy tylko znikł mi za narożną apteką na wprost dworca, wyrzuciłam ją do pierwszego kosza na śmieci. Nie potrzebowałam już żadnego Bertranda Passadiera w moim życiu, nie bardziej niż jakiegoś Freda czy Davida.

Czy Bertrand Passadier masturbował się, marząc o mnie przez te ostatnie tygodnie? Nie, prawdziwe pytanie brzmi inaczej: ile razy masturbował się z moim wizerunkiem przed oczami? Czy sprawiłam mu więcej rozkoszy niż inne wyobrażenia ~~albo te bezwstydne suki, jakie z pewnością podglądał w internecie?~~

Wszyscy, tacy, jacy jesteśmy, powinniśmy mieć wmontowane w siebie coś w rodzaju detektora, jakąś erotyczną kryształową kulę, która powiedziałaby nam od razu, czy pójdziemy do łóżka z obiektem naszej fascynacji. Ilu rozczarowań dałoby się uniknąć dzięki takiemu gadżetowi? Ilu napięć, konfliktów, może nawet wojen? Ile czasu i energii oszczędzilibyśmy na inne, szlachetniejsze cele? A tak spędzamy życie na uganianiu się za kimś najpiękniejszym i najseksowniejszym w naszych oczach, chociaż nieosiągalnym...
(Odręczna notatka z 19.06.2009, mojego autorstwa)

Powrót do opuszczonego, cichego domku przy rue Rigault zrobił na mnie dziwne wrażenie. Nie miałam już złudzeń, że odtąd ktokolwiek poza mną znajdzie się w tych progach. I nieważne, że tu dorastałam – czułam się jak intruz wśród rzeczy mamy, zbieraniny zakurzonych staroci. Swąd spalenizny utrzymywał się we wszystkich pomieszczeniach. Nikt nie pomyślał o wywietrzeniu domu po pośpiesznym odjeździe mamy do szpitala.

W salonie, obok małego mauzoleum w całości poświęconego mnie, znalazłam pozostałości prezentów znoszonych tu, jak już wiedziałam, osobiście przez Louisa. Każde pudełko i każde opakowanie było pieczołowicie zachowane, nawet po opróżnieniu zawartości. Makaroniki, Calissons d'Aix, ciasteczka owocowe... Oglądałam je, przegryzając bez apetytu jeden lub drugi smakołyk. Nie mogłam pogodzić się z perspektywą uprzątnięcia tego wszystkiego, tych dziesiątków plastikowych worków wypełnianych resztkami po życiu mamy, a później wystawionych na ulicę w dzień przejazdu śmieciarki...

W moim dawnym pokoju – nawet nie potrafiłam przypomnieć sobie, kiedy weszłam tu po raz ostatni – uderzyła mnie po oczach połyskliwa masa srebrzystego papieru w koszu na śmieci, rozświetlona promieniami południowego słońca. Znalezisko tyleż zabawne, co niestosowne... Za dawnych czasów mama usunęłaby to od razu podczas swoich skrupulatnych porządków – ale przez ostatnie tygodnie nie miała już za bardzo siły wspinać się po

schodach. Jej aktywność stopniowo ograniczała się do parteru i do minimum.

Dzwonek stacjonarnego telefonu w hallu wyrwał mnie z tych przygnębiających myśli. Zadźwięczał tylko dwa razy, później zamilkł, aby po trzech sekundach powtórzyć się równie krótko. Jeszcze jedna taka sekwencja i byłam pewna, że to Sophia. Ustaliłyśmy między sobą ten kod jeszcze jako nastolatki, na nieprzewidziane a pilne okoliczności.

– So'?

– To ja. Mam mało czasu.

– Ciągle tam jesteś?

– Tak. To znaczy, teraz wymknęłam się na ulicę, ale David nie spuszcza mnie z oka.

– Tak mi przykro...

– Niepotrzebnie, bo dobrze zrobiłaś, daję ci słowo. Nie masz pojęcia, co tu się dzieje. Ten człowiek jest wręcz niebezpieczny. Odkąd Armand odebrał telefon od twojego kumpla, rozstawia wszystkich po kątach. Zabrał się do personelu, wyrzucił za drzwi tych, co chcieli mu przeszkodzić w wywracaniu stołów...

Z trudem wyobrażałam sobie Davida w stanie aż takiej furii. A jednak...

– Swoją drogą, ma powody... – przyznałam.

– Właśnie dlatego dzwonię: on wie, że jesteś w pawilonie. Wybiera się po ciebie.

Zawsze mogłam zabarykadować się wewnątrz, tak jak zrobiłyśmy z mamą tego dnia, gdy oblegał nas Fred, pijany dosłownie i w przenośni. Byłam jednak pewna, że David znajdzie lepsze sposoby perswazji niż wściekłe dobijanie się do przeszklonych drzwi. Czyż nie miał kilku znajomości wśród najwyższych rangą gliniarzy?

– Dzięki, moja So'.

– Nie ma za co. I ewakuuj się stamtąd jak najszybciej.

Miała rację: powinnam była uciekać. Nie czekając na konfrontację, która mogła obrócić się tylko na moją niekorzyść i po której nie spodziewałam się już niczego. Prawdę i tak miałam wypisaną na twarzy, w każdym rysie sprowadzającym mnie do jego przeszłości. Do ich przeszłości.

– A właśnie... Louis tam jest?

– Nie, jeszcze nie widziałam złego wilka.

W innych okolicznościach uśmiechnęłabym się na to określenie, ale teraz po prostu zarejestrowałam informację. Nieobecność Louisa nie była oczywiście przypadkowa. Spodziewał się, że znajdę jego ostatni prezent, zanim wybije godzina ceremonii. Wiedział, jakim szokiem będzie dla mnie odkrycie zdjęć, a przykazanie „Jego fantazje poślubisz" miało rozwiać resztki moich ewentualnych wątpliwości.

Rozłączywszy się z Sophią, znów wbiegłam po dwa stopnie na górę. Srebrzysty papier nadal puszczał do mnie oko z kosza na śmieci. Mimo swego połysku i tysiąca złudzeń przeczuwanych w tych świetlistych refleksach, wydał mi się bardziej autentyczny niż wszelkie prezenty i oznaki przywiązania otrzymane od Davida. Na przekór ukrytej w nim tajemnicy, to właśnie ów srebrny papier otworzył mnie na najgłębszą część mojej natury. Na doznania wcześniej zakazane, na pragnienia, których nawet nie podejrzewałam.

Louis powtarzał mi to kilkakrotnie: erotyczne gry, wymyślane przez niego na mój użytek, miały tylko ten jeden cel: ujawnić mnie, odkryć przed sobą samą. I nie zawdzięczały niczego perwersyjnej wyobraźni Davida. Louis był ich jedynym autorem, wkładał w nie siebie i swoją miłość do mnie.

Na cóż więc czekałam, żeby zrobić to samo? Co jeszcze było mi potrzebne, żeby wreszcie przejść do czynu?

Po wydobyciu z kosza zmiętego papieru, odkryłam pod nim drugą kulkę, z tego samego tworzywa. Opakowanie po pamiętnej pierwszej przesyłce, która dotarła do mnie tu, w Nanterre. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności: właśnie tego potrzebowałam. Dzięki temu miałam zamknąć nasz cykl, rozpoczęty przed niespełna dwoma tygodniami. A na samym dnie kosza leżało jeszcze kartonowe pudełko do kompletu.

Wiedziałam, co muszę zrobić, zanim stąd ucieknę. I adresat, i zawartość mojej przesyłki były dla mnie oczywiste. Na szczęście apteczka w łazience ukrywała jeszcze kilka prezerwatyw z czasów Freda. Złapałam jedną z nich i schowałam do pudełka. Z braku

czystego brystolu nabazgrałam na zwykłej karteczce samoprzylepnej następujące przykazanie:

10. Mojemu panu się poddam.

Bo czy najbardziej żarliwym z przykazań nie jest to, do którego wierny zobowiązuje się sam z siebie? To wybrane i napisane z własnej woli, choćby chodziło o akt poddaństwa... Podobała mi się zabawa kodami Louisa. Przejęcie jego retoryki, choćby tylko w formie parafrazy.

Za to intencja wyszła w całości ode mnie.

Chcę się oddać, chcę się otworzyć, chcę moczyć się dla ciebie nieskończenie. Chcę wymyślić w sobie nowe organy, nowe otwory, nowe pochwy, żeby lepiej cię przyjąć. Chcę poprawić moje DNA, żeby dać ci ciało wyjątkowe, jakiego nigdy nie poznał żaden mężczyzna. Chcę nadać dla ciebie nowy sens pojęciu „oddanie". Chcę być kobietą zwielokrotnioną, która zastąpi ci wszystkie inne, która będzie budzić bestię i jednocześnie głaskać jagnię, oba wreszcie w tobie pogodzone.

(Odręczna notatka z 19.06.2009, mojego autorstwa)

Po pośpiesznym zapakowaniu paczuszki pozostało mi tylko napisać nazwisko i adres na czystej kartce, którą chwilę później przykleiłam scotchem do jednego z boków:

LOUIS BARLET

Zawahałam się nad adresem. Skoro jednak Louis chciał pozostać w cieniu, możliwy był tylko ten:

118, avenue Georges Mandel
75016 Paryż

Ręce drżały mi jak w gorączce. Litery wyglądały na równie rozstrzęsione. Jednak dostatecznie czytelne, oceniłam, żeby dotrzeć we właściwe ręce. Ręce, które najpierw rozedrą ten papier, a później, jak sobie wyobrażałam, będą biegać po mnie, tym razem wolne, nieskrępowane powinnościami wobec brata czy kogokolwiek, pochłonięte tylko czasem teraźniejszym.

Celowo pominęłam wzmiankę o godzinie i miejscu naszego spotkania. Czy i to nie rozumiało się samo przez się? Godzina 22.00. Tam, gdzie wiedział.

A co do pokoju, nie potrzebował ani oczu, ani inteligencji, żeby go odgadnąć; nic poza pamięcią. I nosem. Wzięłam różaną wodę mamy z toaletki w jej pokoju i obficie spryskałam nią paczuszkę. Zapach róż jak w Malmaison. Ulubiony zapach Józefiny. Zapach kobiety, która nie chciała drugiego Napoleona Bonaparte.

Czas płynął, zagrożenie było coraz bliżej. A mimo to nie mogłam oderwać się od pisania. Na luźnej kartce, nieprzerwanym ciągiem i bez jednego skreślenia napisałam list takiej oto treści:

Davidzie,
Nigdy nie dość analizowania powodów, dla których wybieramy sobie na partnera życiowego akurat tę kobietę czy tego mężczyznę. Obawiam się, że ty w odniesieniu do mnie znałeś te powody aż za dobrze.
Nie chcę stać się inną kobietą, nawet kochaną przez ciebie do szaleństwa, nawet urobioną na nowo, bez mankamentów pierwowzoru, który miałabym zastąpić. Wbrew treści mojego przekazu do Armanda jestem Annabelle, Elle, w żadnym razie nie Aurorą. Mimo podobieństwa naszych cielesnych powłok nasze serca nie mogłyby być bardziej różne. Chcę żyć, tylko i aż tyle. Chcę cieszyć się każdą chwilą.
Zostawiam cię w pogoni za jej duszą, żeby zająć się moją własną najlepiej, jak potrafię.
Wybacz mi z góry, jeśli zranią cię niektóre z moich przyszłych wyborów. Zapewniam cię, że nie zrobię niczego przeciwko tobie, a tylko i wyłącznie dla siebie. I uznajmy, że jesteśmy kwita.

Ściskam cię.
Elle

Włożyłam list do koperty, dodając jeszcze jedno ze zdjęć Aurory, które wychodząc ze szpitala, wsunęłam pod gumkę majtek. Położyłam zaklejoną kopertę w salonie, na stole przykrytym nieśmiertelną ceratą. Nie miałam wątpliwości, że w ten czy inny sposób korespondencja trafi w ręce Davida.

Następnie na archaicznym telefonie z tarczą wykręciłam numer służb kurierskich w obrębie Grupy Barlet, szczęśliwym trafem zapamiętany nie wiedzieć kiedy.

– Dzień dobry, mówi Annabelle Lorand z BTV.

– Dzień dobry, czy mogę prosić o pani kod klienta?

– Tak, osiemnaście zero sześć.

Kod wybrany przeze mnie, rzecz jasna. Moja data urodzenia. I dokładnie dzisiejsza data, osiemnasty czerwca. Dzień, który odmienił moje życie.

– Zgadza się. W czym mogę pomóc, mademoiselle?

– Poproszę o kuriera po odbiór przesyłki, rue Rigault numer 29 w Nanterre.

– A adres doręczenia?

– 118, avenue Georges Mandel, Paryż, szesnastka.

– Dobrze... Czy to pilna przesyłka?

– Tak. Bardzo pilna – podkreśliłam.

– Odnotowane. Miłego dnia...

– Chwileczkę! Czy kurier mógłby odebrać przesyłkę z sąsiedniego domu, to znaczy rue Rigault numer dwadzieścia siedem?

– Oczywiście, nie ma problemu. U kogo?

– U madame Chappuis. Laure Chappuis.

– Jasne. A więc rue Rigault 27.

– Dokładnie. Dziękuję bardzo.

Pani Chappuis nie wyglądała na zdziwioną ani moim widokiem w jej drzwiach, w sukni ślubnej, z długimi czarnymi smugami makijażu rozmazanego na twarzy, ani tym, że w ogóle stoję przed nią tutaj, po

trzynastej, czyli w porze ceremonii, ani nawet tą dziwną przysługą, o jaką ją prosiłam. Obchodziło ją tylko to, co miałam do powiedzenia o mamie i co jak dla niej w pełni uzasadniało i mój stan, i moją obecność na jej ganku. Laure Chappuis kochała swoją sąsiadkę. Jak przyjaciółkę, może wręcz jak siostrę. Potwierdzały to dwie duże łzy spływające po jej zwiędłych policzkach wraz z odrobiną pudru. Potrzeba było aż tego dnia, żeby po kilku dekadach suchego koleżeństwa złożonego z plotek i utyskiwań pozwoliła sobie zdjąć zgryźliwą maskę i ujawnić prawdziwe uczucia.

Zapewniła mnie, że zajmie się moją przesyłką, i zamknęła przede mną drzwi bez słowa więcej. Chociaż wcale tego nie chciałam, właśnie popchnęłam ją w stronę grobu.

A sama, na swój sposób, wychodziłam z tego, w którym chciał zamknąć mnie David.

39

Nazywam się Annabelle Caroline Lorand.

Ale wszyscy nazywają mnie Elle. To znaczy, przynajmniej wszyscy bliscy.

Urodziłam się 18 czerwca 1986 roku, dokładnie o godzinie 22.00.

Tego samego dnia, 18 czerwca roku 2009, o tej samej co do minuty i sekundy godzinie moich dwudziestych trzecich urodzin, weszłam do pokoju Józefiny de Beauharnais w Hôtel des Charmes. Weszłam, żeby wyjść z wieku młodzieńczego, który trwał u mnie zdecydowanie za długo. Weszłam, żeby wyjść z tej powłoki, która już do mnie nie pasowała i którą powoli zrzucałam za sprawą rodzącej się miłości. Żeby porzucić niezdecydowane dziewczęce kształty i stać się kobietą spełnioną, jaką Louis potrafił we mnie wyczuć. Uformowaną, wykrojoną ostrymi nożyczkami jego oczu i jego precyzyjnych rąk. Wydobytą z kokonu poczwarki, który teraz opuszczałam.

Zrodzoną z własnego łona.

Po ucieczce z Nanterre przez cały dzień błąkałam się po Paryżu w postrzępionej sukni ślubnej, z balerinami w ręku, boso na asfalcie rozgrzanym od słońca. Lato już nadeszło, o kilka dni wyprzedzając kalendarz. Lato i zapełnione kawiarniane ogródki, lato i skąpe stroje, nagle odsłaniające uda i ramiona, lato i uliczni podrywacze, jakby uśpieni zimą, a widoczni wraz z pierwszymi promieniami słońca. O dziwo, ich zaczepki wcale mi nie przeszkadzały, a nawet sprawiały przyjemność, jak echo narastającego we mnie dobrostanu. Podsycały ogień, który już w sobie czułam, który na razie tylko się tlił, aby wkrótce wybuchnąć i ogarnąć mnie bez reszty. Niedługo. Tego wieczoru.

– Hej, mademoiselle! Wyjdź za mnie!

– Innym razem, nie dzisiaj – odkrzyknęłam ze śmiechem.

– Ejże, na co czekać, wyjdź za mnie! Zobacz, masz suknię, masz klasę, masz wszystko! Będę twoim mężem! Zrobię ci całą gromadkę dzieci.

Żebym nie miała żadnych wątpliwości, kandydat sugestywnie zakołysał biodrami, przygryzając dolną wargę w parodii ekstazy.

Cokolwiek by powiedzieć, tu, w Paryżu, mój strój robił wrażenie na przechodniach. Oglądali się za mną nie tylko mężczyźni spragnieni przygód. Małym dziewczynkom musiałam wydawać się księżniczką z bajki. Nastolatkom panną młodą w stylu *destroy*, może wokalistką jakiegoś zespołu alternatywnego rocka. Dorosłym zapewne ekscentryczką, albo i niebezpieczną wariatką, której lepiej było unikać. I niektórzy naprawdę przechodzili na drugą stronę ulicy, widząc mnie z daleka!

Było mi to zupełnie obojętne. Ignorowałam spojrzenia, czy to zaciekawione, czy podejrzliwe. Mimo zmęczenia długim marszem czułam się doskonale. Moje brudne stopy zdawały się płynąć nad rozgrzanym brukiem, jakby unosiła je poduszka powietrza i nonszalancji. Nie bałam się niczego, ani przeszkody na drodze, ani spotkania, ponieważ wreszcie wiedziałam, dokąd idę. Ku jakiej pełni bezwarunkowego szczęścia. Myślałam oczywiście o mamie, ale najbardziej o tym, co by mi powiedziała. Jej słowa, choć niesłyszalne, dźwięczały we mnie wyraźnie: żebym chwytała swoją szansę, żyła własnym życiem. I nie płakała nad jej nieuchronnym odejściem.

Jeszcze przed opuszczeniem rue Rigault wyjęłam ze starego młynka do kawy kilka banknotów po dziesięć euro. Dzięki tym „zaskórniakom na czarną godzinę", według określenia mamy, mogłam zafundować sobie kilka pienistych monaco, a nawet coś do zjedzenia.

Wybrałam niepozorną kawiarenkę, na tyle rustykalną, że miała jeszcze telefon za kontuarem. Właścicielka, na moje oko po pięćdzieiątce, ufarbowana na energetyczną czerwień, podsunęła mi aparat z porozumiewawczym uśmiechem.

– Proszę, ślicznotko! Masz pięć minut, żeby powiedzieć mu nie.

– A ja od razu mówię tak! – podchwycił pijaczyna oparty łokciami na drugim końcu lśniącego baru. – Tylko na nią popatrz, Simone! Przypomina mi moją Véro...

– No właśnie, twoja Véro powiedziała nie. Więc zostaw dziewczynę w spokoju, dobrze?

Zadzwoniłam do szpitala Max Fourestier. Stan mamy był krytyczny, ale stabilny. Każda minuta mogła okazać się ostatnią, bez możliwości przewidzenia która. Zostawiłam pielęgniarce numer komórki Sophii z prośbą, żeby w razie czego tam dzwonić. Przynajmniej do jutra rana. Później... Nie miałam pojęcia, czy i gdzie będę osiągalna.

Po tych dyspozycjach podjęłam moją wędrówkę przez samo serce stolicy, lekka, nonszalancka, z pustką w głowie, a za to sercem pełnym uniesień, rozedrganym na wszystkie strony.

W galerii Louvre des Antiquaires przez dłuższą chwilę stałam olśniona przed witryną ze staroświeckimi laskami. Żegnajcie, zegarki vintage. Teraz miałam już oczy tylko dla tych eleganckich akcesoriów do chodzenia, których rzeźbione gałki ze srebra, mosiądzu czy kości słoniowej musiały kryć w sobie tyle niezwykłych historii.

Nie wiem, jak i dlaczego znalazłam się na rue du Chemin-Vert. Instynktownie rozpoznałam tę sekwencję kebabów i sklepików. A wśród nich bordową fasadę. Na dźwięk dzwoneczka przy drzwiach dziesięć par męskich oczu jak na komendę wpiło się w moją ekstrawagancko przystrojoną sylwetkę. Miałam wrażenie, że rozpoznaję jedną lub dwie twarze, zauważone podczas mojej poprzedniej wizyty w tym przybytku.

Starannie ominąwszy serię *Pink Pussy*, dotarłam do *Femmes secrètes* (Kobiet sekretnych) wyłożonych w dziale literatury. Zostało mi do końca nie więcej niż pięćdziesiąt stron, co w pełni uzasadniało zakup drugiego egzemplarza.

Wyzbyta z resztek gotówki, za to z książką w ręku, podążyłam z powrotem w górę jednokierunkowej ulicy, zostawiając po prawej stronie cmentarz Père-Lachaise. Zajęłam pierwszą nasłonecznioną ławkę na bulwarze Ménilmontant i nie zważając na wielkomiejski gwar, natychmiast zatopiłam się w lekturze.

Zakończenie książki wprawiło mnie w zakłopotanie. Główny bohater, ów pisarz poszukujący zaginionej żony w labiryncie podziemnego miasta, ostatecznie godził się bezwarunkowo na swój

nowy status erotycznego niewolnika, wydanego na pastwę kobiecych zachcianek. Jako własność Cyprie i Sophie sam z siebie dołączał do ich projektu założenia nowej wspólnoty amazonek.

Oczywiście nie mogłam oprzeć się analogiom z moją aktualną sytuacją. Ja również byłam gotowa skapitulować, bez innych zastrzeżeń, niż głód odkryć, których zakres wydał mi się niezmierzony. Ale tak jak narrator powieści nie ustępowałam z czystej rozwiązłości. Moje oddanie się Louisowi było nie tylko kapitulacją zmysłów, rozpalonych jego kolejnymi lekcjami. Ani nawet aktem mojej miłości do niego. Teraz widziałam to wyraźnie: chodziło o rozkwit całej mojej istoty. Tak jak przy obieraniu cebuli każdy z tych elektryzujących seansów zdejmował ze mnie jedna po drugiej wszystkie wyschnięte, martwe łupinki, aż do samego sedna, żywego, wibrującego, kochającego. Aż do wydobycia na jaw moich najskrytszych uczuć i pragnień.

Pieszczotliwe słońce przekonało mnie o tym ostatecznie. W sukni podciągniętej do ud, z zamkniętymi oczami, wystawiałam na jego promienie wszystkie pory skóry, której wrażliwość zdawała się zwiększać z minuty na minutę. Popołudnie ciągnęło się jak sen, przetykany dalekimi głosami przechodniów i reminisencjami z moich nocy w Charmes. Odwiedzałam w marzeniach kolejne pokoje, jeden po drugim, a każdy rozpalał we mnie nowe żądze. Za każdą parą drzwi kryła się jedna litera tego Alphaville, pozostawiona tam przez mojego Alphabetmana. A gdyby tak hotel zawierał dokładnie dwadzieścia sześć pokoi? Perspektywa wydała mi się zabawna... Tak jak inne myśli w podobnym duchu, zrodzone w mojej głowie w tej chwili bezczynności.

Wyobrażałam sobie również, jak kurier dostarcza srebrzystą przesyłkę na avenue Mandel. Jak Louis otwiera drzwi posłańcowi w kasku, później wyjmuje zawartość pudełka, a jego piękna szczupła twarz zastyga w zdumieniu.

I wreszcie rozjaśnia ją uśmiech pełen powagi.

Gdy w okolicznych restauracjach i kawiarniach powoli zwiększał się wieczorny ruch, wsiadłam do metra, żeby być już bliżej miejsca

przeznaczenia. Po wyjściu na stacji Notre-Dame-de-Lorette mogłam bez trudu ominąć rue de la Rochefoucauld i skierować się prosto na Pigalle. W niespodziewanym odruchu ciekawości skręciłam jednak w lewo, w rue Saint-Lazare, i doszłam nią aż do skrzyżowania z rue de la Tour-des-Dames, zaledwie o kilka kroków od rezydencji Duchesnois. Z tego punktu obserwacyjnego panika po moim zniknięciu wyglądała na całkowicie opanowaną. Goście ulotnili się już dawno, zapewne wkrótce po wyrecytowaniu okolicznościowych słów pociechy i ubolewania.

Zauważyłam tylko dwie wynajęte ciężarówki przed posesją, obie szeroko otwarte z tyłu. Jedną wypełniały stosy nietkniętego prowiantu, drugą deski i metalowe rurki, pochodzące ewidentnie z demontażu sceny w ogrodzie. Ciekawe, pomyślałam, czy i Madonna, której prywatny koncert miał uświetnić przyjęcie, osobiście doświadczyła skutków mojej ucieczki. No, chyba że uprzedzono ją w porę.

Zapatrzona w mój niedoszły dom, dosłownie w ostatniej chwili dostrzegłam masywną sylwetkę na dziedzińcu, zbliżającą się do mnie ciężkim truchtem.

– Elle!

Oczywiście rzuciłam się do ucieczki, a Armand, znów ubrany w codzienny strój, ścigał mnie ze wszystkich sił.

– Elle! Proszę wrócić!

Dzięki dość wyraźnej pochyłości ulicy i mimo jedwabnych zwojów nieco krępujących mi ruchy dystans między nami zwiększał się z każdym krokiem. Na rogu rue d'Aumale było już jasne, że mnie nie dogoni. Oglądając się przez ramię, zobaczyłam, jak przystaje zrezygnowany i zziajany, a po chwili szybkim krokiem zawraca do rezydencji – z pewnością chcąc uprzedzić swego pana, że krążę po okolicy.

Moje zapuszczenie się aż tutaj było oczywiście nieostrożne i głupie. Ale myślę, że było mi też potrzebne. Trudno pozostawić za sobą starą skórę, nie spaliwszy jej dokładnie. Musiałam jeszcze raz rzucić okiem na to wszystko, co zdecydowałam się stracić, aby w pełni docenić wartość tego, co miałam wkrótce zyskać.

Przez chwilę chodziło mi po głowie, czy nie spróbować połączyć się z Sophią, ale porzuciłam ten pomysł. Czego więcej mogłabym się od niej dowiedzieć? Zostawiłam za sobą furię Davida i opowieść Sophii nic by tu już nie wniosła. Zamiast rozwodzić się nad zamkniętą przeszłością, o ileż lepiej było skupić się na tej małej banieczce teraźniejszości, wzbierającej we mnie z każdą minutą, żywej, słodkiej, migotliwej od obietnic i rychłych doznań.

Naprawdę nie mogłam już ustać w miejscu. W miarę zbliżania się wielkiej godziny coraz trudniej było mi ochłonąć, a nawet usiąść. Na stojąco posiliłam się za ostatnie grosze aromatyczną sałatką *bobun* w małej wietnamskiej knajpce, dwa kroki od hotelu, pożerając każdy kęs tak zachłannie, jakby od tego zależało moje przeżycie.

Przez ostatnią godzinę, gdy butiki zamykały się jeden po drugim, kręciłam się w kółko po dzielnicy, niestrudzenie powtarzając tę samą pętlę i za każdym razem zauważając coś nowego. Z rundki na rundkę czułam coraz większą przynależność do tych ulic, domów, fasad. Wreszcie stawałam się atenką – oczywiście nie tak wprawną, by wzorem Louisa czytać każdy architektoniczny detal jak adresowany do mnie przekaz, ale na pewno wrażliwszą niż kiedykolwiek na poezję mijanych miejsc. Dzielnica wpisywała się we mnie, tak jak moje imię wpisywało się w jej topografię.

I również dlatego nie żal mi było pozostawionego na ławce przy bulwarze Ménilmontant drugiego egzemplarza *Femmes secrètes* (Kobiet sekretnych). Wyobrażałam sobie, że wkrótce ktoś inny znajdzie książkę i odkryje w ślad za mną ten niezwykły świat rządzony przez kobiety. Że w zależności od płci zapragnie stać się albo jedną z nich, albo zabawką w ich rękach. Tak czy inaczej, ciąg dalszy będzie należeć wyłącznie do niej lub do niego.

Godzina dwudziesta druga i jedna minuta. 22 + 1 = 23. Mam dwadzieścia trzy lata.

Popycham złocone drzwi pokoju Józefiny. Monsieur Jacques dał mi kartę bez żadnych zastrzeżeń czy jednej krytycznej uwagi. Miałam wręcz wrażenie, że czuje ulgę, widząc mnie tu znowu. Ja też byłam

częścią tych murów. Jak Maria, Margaretha, Caroline, Esther, Lola i inne. Teraz i ja jestem jedną z nich.

Pokój wygląda tak jak za mojej ostatniej bytności, dwa tygodnie wcześniej, z atletycznym klientem. Z tą różnicą, że wtedy tonął w mroku, a teraz zalewa go łuna zmierzchu. Słońce znikło za horyzontem zaledwie trzy minuty temu i jeszcze okrywa budynek ostatnimi promieniami. Jedyne okno jest otwarte; światło wchodzi przez nie i liże złocenia, których barwa potęguje blask.

Louis stoi pośrodku pokoju.

Nagi. Kruchy.

Czeka na mnie.

On również nabiera nowego kształtu w tej gasnącej poświacie. On również oddaje się po raz pierwszy, bez wybiegów i masek. Nawet bez swojej nieśmiertelnej laski. Tylko on, podporządkowany tej nowej historii, która właśnie się zaczyna. On w postawie nagłej bezbronności, otwarty jak białe kartki drugiego karnecika, do zapisania przez nas razem. Chociaż tym razem to ja go wezwałam, odtąd już żadne z nas nie będzie komenderować drugim. Będziemy już zawsze tak jak teraz, w oczekiwaniu, skłonni do akceptacji chwili, gotowi na to wszystko, co ma się zrodzić między nami. Niczego nie uprzedzając. Niczego nie programując.

Patrzy na mnie w milczeniu, gdy wchodzę do pokoju. Kładzie palec na ustach, sygnalizując mi, że wszelkie słowa są zbędne tego wieczoru. Zatrzymuję się kilka kroków od niego. Najpierw rozkoszuję się spektaklem. Chcę przemyć sobie oczy, zanim obmyją mnie całą jego soki. Chcę szorować się o jego skórę, skąpać w jego pożądaniu, obtoczyć farbą naszych potów, pokryć złotą warstewką jego miłości.

Światło rzeźbi go, posąg białej skóry i długich mięśni, cielesną doskonałość, którą tak pragnę objąć i posiąść. W istocie odkrywam go po raz pierwszy. W jego integralności. W jego gracji. Napawam się jego harmonią. Kto powiedział, że tylko ciało kobiety może być fascynującym spektaklem?

Mój apetyt na niego jest totalny, nienaruszony, pożerający mnie od wewnątrz. Gorąca kula pulsująca na zmianę w mojej piersi, brzuchu i łonie. Wkrótce nic mnie już nie powstrzyma. Wkrótce będziemy tylko dwoma ciałami, które szukają się, ściskają, a na koniec zlewają w jedno. Wkrótce będziemy się kochać.

Ale pośpiech niczemu nie służy. Mówią mi to jego oczy.

W miarę jak słońce kończy bieg za białym masywem Sacré Cœur, sylwetka Louisa pogrąża się w cieniu. Oświetlona pozostaje już tylko jego twarz z profilu i szczyt lewego barku. Dopiero teraz zauważam w tym miejscu niezwykły tatuaż: jego inicjały, arabeska w angielskim stylu, ukryte w krzewie pnących róż zarysowanych czarnym tuszem. Bez żadnych kolorów, nic tylko te linie i subtelne odcienie szarości. Kolczasta gałązka wyrasta z krzewu, biegnie przez wgłębienie obojczyka i dochodzi do podstawy szyi, gdzie otwiera się nieśmiały pączek. Musiał świeżo zrobić sobie ten tatuaż, w przeciwnym razie widziałabym go wcześniej, jak wynurza się spod kołnierzyka.

I oto stoi przede mną w całej okazałości: człowiek alfabet, zdecydowany pisać po mnie własnym językiem. Dobrać wreszcie właściwe słowa. Nie kpiące czy kłamliwe, tylko pełne wyrazu, smaku, uczucia.

Sama jego obecność wprawia atmosferę w wibracje, tak jak ta muzyka w tle, która zagęszcza pustą przestrzeń między nami i kołysze każdą drobinką zawieszoną w powietrzu: *Words like violence break the silence, come crashing in, into my little world.*

Fragmenty dekoracji wokół nas wydają się rozpływać i mieszać z tymi cząsteczkami. Jeszcze chwila i znika cała reszta; jest tylko on. I ja. I ta światłość.

Zbliża się wolnymi krokami. Nie spieszy się. Nic nas nie nagli, ani jego, ani mnie. Mamy całą noc na dopracowanie tego utworu, który pozostał między nami w stadium szkicu.

Jego wzrok tonie we mnie i przeszywa słodyczą. W moim brzuchu w jednej chwili zapalają się iskierki. Płoną i parzą mnie. *Painful to*

me, pierce right through me. Can't you understand, oh my little girl. Louis podkreśla intencję, dotykając swym anielskim palcem zagłębienia nad górną wargą w rytmie muzyki. Dobrze zrozumiałam moją lekcję: nasze ciała, tylko nasze ciała, będą miały dzisiaj prawo głosu. Tylko im przypadnie szalona misja wygojenia naszych ran, zasklepienia tych tysięcznych szczelin, jakie jeszcze oddalają nas od siebie.

Jego ręce biorą się do tego pierwsze, niczym zwiastuny przyszłych rozkoszy. Są bliżej mnie niż kiedykolwiek wcześniej. Są tak smukłe, a mimo to wydają mi się tak silne, tak potężne.

Kilkoma delikatnymi ruchami uwalniają mnie z płatków białego jedwabiu. Moja suknia miękko spływa na orientalny dywan. Teraz mam już na sobie tylko stanik i majtki, oba śnieżnobiałe, jakby przyzywały księżyc na nasz sabat. Drążce dłonie w naturalnym odruchu układają się we wcięciu mojej talii. Czuję, jak moje ciało promienieje pod jego rękami. Nasze skóry stapiają się ze sobą niczym jedna i ta sama materia. *All I ever wanted, all I ever needed is here, in my arms. Words are very unnecessary, they can only do harm.* Jestem wreszcie jego. On jest wreszcie mój. Pokonaliśmy, przezwyciężyliśmy wszystko. Znaleźliśmy się.

A jednak wstrząsający nim lekki dreszcz zdradza jego niepewność: jeszcze nie może uwierzyć w to do końca. Dlatego zacieśnia objęcia. Trzyma mnie, nie chce wypuścić. Kurczowo, jakby bał się, że odfrunę. Ale co najdziwniejsze, w tym uścisku czuję wyraźnie, że chce mieć mnie wolną. Że jego miłość nigdy nie będzie opresyjnym więzieniem, w przeciwieństwie do naszych początków na komendę.

Teraz ja nie mogę opanować drżenia. Jestem tak roztrzęsiona, że lada moment, jak mi się wydaje, osunę mu się do stóp. Stoję tylko dzięki jego wsparciu, a jednocześnie każdy nowy uścisk dodatkowo odbiera mi siły. On jest przyczyną i skutkiem. Chorobą... i lekiem na nią. Mam ochotę zapaść się w niego, poczuć jego siłę, oddać mu się całą sobą.

Ale to nie to, czego on chce. Podnosi mnie. Pragnie mnie wyprostowanej, naprężonej, dumnej. Boskiej. Nie będę bezwolną, szmacianą lalką w jego rękach. Nie po to kazał mi przejść wszystkie te etapy, odkryć w sobie wszystkie te pokłady, żeby na koniec żądać

tylko zwykłego oddania. Czy ktoś kiedyś kochał mnie aż tak? Czy ktoś kiedyś pragnął mnie do tego stopnia, żeby narzucić mi tysiąc udręk, tysiąc rozkoszy, jednakowo słodkich i palących, nie do odróżnienia jedne od drugich? Łzy wzbierają mi pod powiekami i po chwili toczą się po policzkach.

Ale nie mogę rozpłynąć się w czułości. Muszę działać. Ja również muszę zdobyć go z marszu. Muszę zająć go jak teren, wedrzeć się w jego szańce, przekraczać je krok po kroku. On już podbił mnie całą, ciało, serce i duszę. Teraz ja chcę go posiąść, tak jak mężczyzna posiada kobietę. Moja kolej, żeby obudzić w nim każdy organ i przyspieszyć przepływ świeżej krwi. Moja kolej, żeby wlać w niego życie.

Wybuch śmiechu gdzieś z zewnątrz, z nocnej ulicy, dociera do nas jak podmuch wiatru kołyszący płomykami dwóch świec. Ale nie zamierzamy gasnąć, wręcz przeciwnie. Płoniemy. Nasze ciała jeszcze się nie dotknęły, a już spalają się nawzajem. Nasze powłoki wydają się zrobione z gwiezdnej materii, naładowanej żarem i energią. Ich kontakt będzie musiał boleć.

Ze znaną mi wodą toaletową miesza się zapach jego ciała, który odkrywam po raz pierwszy. Jeszcze inną woń czuję nad jego udami, tam gdzie sterczy ku mnie już gotowy, wygłodniały penis. Pręży się na mojej skórze, znosząc ostatni dystans między nami. Mam wrażenie, że nasze genitalia połączą się z taką samą gracją jak zapachy. Że bukiet naszych wymieszanych skór i włosów będzie równie harmonijny i piękny. *Touch down*.

Tak, tym razem to ja inicjuję, ja zdobywam. Chwytam jego członek – na całej długości aksamitny w dotyku, co sprawia mi boską niespodziankę – i delikatnie wsuwam między moje mokre wargi sromowe. Muśnięcie łechtaczki jego końcem działa jak wyładowanie elektryczne. Jak ładunek podłożony pod moje wrota, nieoczekujące niczego innego, żeby otworzyć się na oścież.

Czuję nagły ścisk w gardle, gdy kula lawy spływa mi z piersi do brzucha, wywołując po drodze niepohamowane i rozkoszne reakcje.

Wyginam grzbiet, otwieram spragnione usta. Pożądanie wyrywa mi z piersi krótki jęk, natychmiast stłumiony nową falą, która zalewa całą dolną połowę mego ciała i sprawia, że chwieję się na nogach. Płonę i tryskam jednocześnie.

Lata pragnień zalewają mnie i unoszą jak rozbitka na pełnym morzu. Przez chwilę wstrząsa mną drżenie, ale odzyskuję równowagę, znów stoję prosto, zmuszam moje ciało do posłuszeństwa.

Od kilku tygodni marzyłam tylko o tym: o nim we mnie. On też żył tą nadzieją przez długie miesiące. Nieskończenie wyczekiwany, wyczekujący, gotowy dla mnie. Przeznaczony dla mnie.

Oczywiście jego penis nie może w kilku ruchach zatrzeć wszystkich zadanych mi cierpień, wszystkich kłamstw, wybiegów i burz, w jakie obfitowała nasza relacja. To byłoby zbyt proste. Muszę przeżyć wiele rozkoszy, żeby naprawić całe zło. Muszę kochać go jeszcze bardziej. Muszę zakosztować tysięcy pieszczot, czułych gestów, spojrzeń nasyconych pragnieniem i oddaniem.

Muszę wreszcie i ja odpłacić mu tą samą monetą, wystawić na próbę jego zmysły, okazać się równie bezlitosna, rozpustna, nienasycona. Tylko wtedy, po wyrównaniu rachunków, zapomnimy o fałszu naszych początków, zaplanowanych przez innego.

Nie wątpię jednak, że naszym zjednoczonym ciałom, stopionym w jeden i ten sam gęsty, lepki amalgamat orgazmu, uda się w końcu zaleczyć wzajemne urazy i odesłać w niebyt wszelkie złe słowa, którymi mogliśmy się ranić.

Jakby na potwierdzenie tych nadziei, wstrząsa nami nowa erupcja, zrodzona z naszych połączonych łon. Nowy przejaw wulkanicznej aktywności, która pcha nas ku sobie.

Jedną ręką masturbuję go delikatnie o moje udo. On, który przez cały ten czas igrał z moimi pragnieniami, rozciągając je w nieskończoną mękę, musi teraz doświadczyć podobnej frustracji do granic wytrzymałości. Chcę doprowadzić go do rozpaczy, do szaleństwa. Niech mnie błaga o litość. Niech ociera się o mnie jak

pies. Niech szczeka z głodu, niech mnie nawet gryzie. Kolej na niego, żeby być zabawką w moich rękach.

A więc bawię się nim, z troską i czułością, tak jak manipuluje się czymś, co ma się najcenniejszego. Moja ręka wydaje się maleńka wokół jego członka. Z trudem obejmuję go całego. To wspaniałe: czuć, że jest tak ogromny dla mnie. Pieszczę go czubkami palców, a każdy mój ruch wywołuje drżenie jego jedwabistej istoty – i zachwycone westchnienia. Momentami zamykam go w dłoni jak schwytanego ptaka i natychmiast wypuszczam na wolność, żeby rozpostarł skrzydła. W innej chwili delektuję się pulsowaniem wilgotnej, nabrzmiałej żołędzi w rytmie jego serca, które jakby przekroczyło granice i biło teraz w każdym organie.

Ale im dłużej go pieszczę, tym bardziej cierpi, czuję to wyraźnie. Krótkie, zdyszane oddechy ustępują miejsca długim jękom, niekończącej się skardze. Jest bliski szaleństwa, tak jak chciałam. I wreszcie błaga mnie niskim szeptem, dźwięczącym mi w uszach jak uparty owad:

– Weź mnie... Weź mnie teraz.

Że domaga się tego jak kobieta, przeszywa mi trzewia ostrzem noża. Że oddaje mi się w ten sposób, wstrząsa mną głęboko. Za oknem znikły już resztki dnia. Nasze ciała wynurzają się z cienia tylko za sprawą okruchów światła docierających do nas z latarni na placyku.

Czuję, jak sok jego pożądania sączy mi się na udzie i miesza się z moją własną rzeką. Nasze fluidy już zlały się w jedno. Zalewają mnie tą samą żądzą. Coraz trudniej mi się powstrzymać. Ale czy być panią naszej gry nie oznacza również i tego, by zakończyć ją z własnej inicjatywy? Oddać się, jeśli tego chcę?

Nasze brzuchy są teraz zespawane ze sobą. Nasze głębokie oddechy napełniają je, dociskają i dopasowują do siebie, w czułym i kojącym preludium do fuzji naszych genitaliów. Ale znów, nie ma pośpiechu. Jedna godzina, jedna noc, jedno życie dopiero otwierają się przed nami.

Próbuje włożyć we mnie palec, który usuwam i prowadzę na powolny spacer po obrzeżach pochwy, później po stokach moich obrzmiałych warg, przez gęstwę runa okrywającego je z zewnątrz, aż do czułego punktu wyłaniającego się poniżej. Mojego szczytu miłości. Dotyk jego palca w tym miejscu wyciska mi z oczu nową łzę. Nie jest już dewastującym mnie barbarzyńcą ani najemnikiem posłusznym rozkazom. Jest mężczyzną spragnionym mnie całej. Tym, którego przyjmuję jak zwycięzcę i którego wita mój mikroskopijny łuk triumfalny.

On to wie. Przedłuża ucisk, zatacza kółka wokół łechtaczki, co wprawia mnie w ekstazę, a jemu wilgotnieją oczy. Przymyka powieki, skupiony tylko na doznaniach rodzących się pod opuszkami jego palców. Rozkoszuje się, czując mnie bliską eksplozji. Kocha mnie za to, że tak dobrze umie mnie kochać. Moje biodra falują samoistnie, poza kontrolą. Moje ciało już nie należy do mnie. Słucha tylko jego wprawnych rąk. Płyniemy razem, giętcy, wiotcy, ledwie wstrząsani małymi drgnięciami, w tańcu, którego każda figura wymyśla nas i definiuje po swojemu.

Podnoszę na niego wzrok i rozpaczliwie szukam jego oczu. Niesie nas ta sama milcząca fala. Ta chwila nad brzegiem przepaści jest najcudowniejszą, jaką dotąd przeżyliśmy. I chociaż oboje wiemy, że czekają nas jeszcze piękniejsze, zatrzymujemy się w tym punkcie skamieniali, aby delektować się tym mgnieniem oka, ssać go jak karmelek wieczności. Sekunda szczęścia. Wstrzymuję w ściśniętym gardle tysiące czułości i jedyne „kocham cię”. Godzina wyznań przyjdzie w swoim czasie. Oprócz naszych ciał nie trzeba przyspieszać niczego.

Gdy pieści mi wargi z rozkosznym uporem, teraz ja zamykam oczy, czując orgazm wzbierający na horyzoncie mego brzucha, tsunami, które już dominuje na całej rozciągłości mojego pejzażu, od pępka do warg, gotowe porwać z sobą wszystko. Z penisem dociśniętym do mojego uda, Louis nie przestaje dyszeć. Czy będzie szczytować razem ze mną? Czy można dać sobie aż tyle rozkoszy, ledwie kilkoma muśnięciami?

A więc to ja gram pierwsze skrzypce, to ja jestem aniołem naszego słodkiego upadku. Biorę go za rękę, gestem młodej dziewczyny wobec jej pierwszego w życiu kochanka. Prowadzę go do łóżka. Mamy przed sobą bezmiar czasu na przeżywanie bezmiaru rozkoszy, ale wiem, czego chcę od niego teraz. Przypomina mi się ta maksyma Saint-Expuéry'ego, pasjami wypisywana w zeszytach licealistek: „Kochać to nie znaczy patrzeć na siebie nawzajem, lecz patrzeć razem w tym samym kierunku".

Dlatego dzisiaj, podczas naszego pierwszego razu, nie będziemy kochać się, patrząc sobie w oczy. Ale będziemy szczytować w tym samym kierunku. Nasze orgazmy będą wymierzone w ten sam punkt, daleki i niewidoczny. W firmament.

Wyciągam się na brzuchu. Lekko rozsuwam uda, żeby zrobić mu dość miejsca. Ponad wygiętym grzbietem moje pośladki sterczą dumnie, wydatne, hojne. Moja szpara lśniąca pożądaniem ledwie daje się dostrzec u zbiegu ud. A mimo to nigdy jeszcze nie wydała z siebie tak jasnego, tak przenikliwego apelu o wzięcie. On kładzie się na mnie bez przygniatania, jak nakrycie ze skóry i ciała, długie i ciepłe, miękkie, choć miejscami kanciaste, solidne. Jego ramiona, tors i brzuch, wszystkie niesłychanie zwarte, wpasowują się w każdą wklęsłość i wypukłość mojego reliefu.

Jedną ręką chwyta małe srebrzyste etui z szafki nocnej. Również jedną ręką udaje mu się rozerwać kopertę i pewnym gestem wydobyć jej zawartość. Nadal jedną ręką obleka kondomem swój członek, niecierpliwiący się między moimi pośladkami. Mógłby się bez tego obyć. Mogłabym mu to darować. Ale respektuje mój scenariusz: chce być takim, jakiego chciałam.

Wchodzi we mnie powoli, centymetr po centymetrze, doznanie po doznaniu. Ogarnia mnie uczucie błogostanu i wyzwolenia. Przyjmuję go w sobie po raz pierwszy, a mimo to moja pochwa rozpoznaje go od razu. Jest taki, jak już widziałam, a później poczułam w ustach. Długi i smukły. Precyzyjny, gdy chodzi o dotknięcie reaktywnych stref w głębi mnie. Delikatny, gdy należy ucisnąć je tam, gdzie są najwrażliwsze, na tej cienkiej granicy między ekstazą a bólem. Silny, gdy porusza się we mnie wahadłowo, a ściany mojej pochwy obejmują jego kształt, cofają się z zachwytem przed każdym

następnym atakiem, aż do wprowadzenia go w najrozkoszniejsze czeluście. Przyjmuję go, pochłaniam, zasysam. Robię się głębsza, żeby zawładnął mną w całości. Ślizga się wewnątrz mnie jeszcze i jeszcze. Penetruje mnie z czułością. Momentami cofa się, żeby lepiej poczuć doskonałe piękno chwili i dać nam obojgu radość spotkania, gdy wypełnia mnie i zaspokaja ponownie.

Drugi wstrząs rodzi się wkrótce, generując we mnie falę, później następną, i narastając aż do porażenia rozkoszą mojej szpary, która stale otwiera się na niego. Mam wrażenie, że rozkwitają we mnie dwa wielkie kwiaty, jeden na górze, drugi na dole, wyrosłe ze wspólnego korzenia, karmione tym samym sokiem.

Gdy spada na mnie pierwszy orgazm, wtulam twarz w poduszkę. Rzucam się na boki. Moja głowa buntuje się, moje łono poddaje. Jęczę przeciągle, przez półotwarte usta, przykryta wstydliwą zasłoną włosów, spod których wynurzają się moje wargi, wezbrane i pełne jak orchidea. Próbuje uchwycić je zębami. Uderza we mnie mocniej, napiera na moje pośladki. Przyspiesza rytm. Moja przepaść staje w ogniu. Nie daje mi chwili wytchnienia. Nie zadowoli się jednym orgazmem. Chce nas ogłuszyć rozkoszą. Wyczerpać miłością. Dywanowy nalot pocałunków. Hiroszima, moje A, moje E, moje L.

Podkłada mi prawą rękę pod brzuch. Jego dłoń obejmuje cały masyw mojego sromu. Władczy palec znów rozgniata mi łechtaczkę, która początkowo oporna, szybko akceptuje intruza, pęcznieje, wzbiera i żąda jeszcze więcej. Niemal bolesne wyładowanie rozlewa się we mnie falą zdążającą ku głuchym dudnieniom zrodzonym w głębi, wokół macicy. Obie wibracje wreszcie stapiają się w jedno. Łączą się w niekontrolowanym *pizzicato* moich krzyków, a te pobudzają lwie ryki towarzyszące jego ejakulacji wielkimi rzutami z szybkością błyskawicy.

Tam gdzie moi dawni kochankowie opadliby z sił, on nadal faluje na mnie, we mnie, twardo i zdecydowanie. Rozumiem, że to dopiero początek, i moje łono drży w radosnych spazmach, szczęśliwe, bynajmniej nie nasycone.

– Jeszcze...

Moja skarga nie domaga się odpowiedzi. Wiem, że będzie jeszcze, po całych nocach i dniach, z jednego pokoju na drugi. Że wyznaczymy sobie tysiące innych reguł i nie spoczniemy, póki nie złamiemy ich wszystkich.

Jego wytrwałość w tym oblężeniu udowadnia mi, jak bardzo jestem chciana, wyczekiwana, upragniona. Może nawet kochana. Nie, z całą pewnością kochana, natychmiast poprawia mnie moje szczęście. Wręcz bezgranicznie, totalnie. Dziwna światłość zdaje się dobywać z naszych ciał, magiczna aureola, obietnica przyszłych rozkoszy. Otacza nas szczelnie i unosi, zawiesza w powietrzu, drżących, kruchych jak dwa miłosne motyle.

Nie ma już pokoju wokół nas. Oto otwiera się niebo nad nami i wzywa nas do siebie. Świetlista kula powoli odrywa się od ziemi i zabiera nas ze sobą, w sobie, ku przestworzom. Na czas oddechu, podmuchu nocnego wiatru lewitujemy w przestrzeni, po orbicie, jak dwa zrośnięte z sobą płody. Kontemplujemy nową ziemię, która rodzi się w dole, pod nami. To może trwać jedną sekundę albo kilka miliardów lat. Czas i przestrzeń przestają istnieć. Nie śpimy, nie śnimy: żyjemy chwilą i stwarzamy nowy świat według naszej rozkoszy. Elle i Louis. *Elle et lui*, ona i on.

Nie przerywając nawet na moment ruchów tam i z powrotem we mnie, aczkolwiek już spokojniejszych, wyciąga rękę w kierunku małej szuflady w konsoli po naszej lewej stronie. Wyjmuje z niej płaski przedmiot, którego nie rozpoznaję od razu, chociaż lśni mi w półmroku w dziwnie znajomy sposób.

Mój karnecik *Dziesięć razy dziennie*! Teraz już widzę go wyraźnie, jedyny w swoim rodzaju dzięki srebrzystym okładkom, złożony na pościeli tuż obok mojej twarzy. Louis otwiera go na ostatniej stronie, zapisanej, jak zauważam od razu, nie moją ręką. Nie wnikam, jakim cudem go odzyskał.

Wszystko, co mnie obchodzi, co tańczy na papierze, to walc naszych pomieszanych wyznań, to *pas de deux* już złączone w jedno.

Uśmiecham się. Zrozumiałam. On to widzi i pokrywa mój kark lekkimi pocałunkami, deszczykiem słodyczy, który przyprawia mnie o dreszcze i budzi nowe pragnienia, tam, w zagłębieniu moich ud.

Mój apetyt na ciebie jest totalny,
choćby miał się okazać tragiczny. Chcę spędzić życie na odkrywaniu ciebie i co najważniejsze, nigdy nie odkryć do końca. Im bardziej będę cię posiadać, tym więcej będziesz miała tajemnic. Tym bardziej twoje łono będzie tym kontynentem nieznanym i niezdobytym, bogatym we wszelkie zasoby, zazdrosnym o swe przyjemności.
Przyrzeknij mi to.
(Odręczna notatka z 18.06.2009, autorstwa Louisa).

Jego ręka wyciąga się znowu i tym razem chwyta coś małego, coś, co zdaje się mieścić w jego dłoni. Kładzie to coś na okładce naszego wspólnego dzieła. To klucz. Nie magnetyczna karta – prawdziwy klucz, z ciężkiego, matowego metalu. Z doczepioną kartonową etykietką. Mimo ciemności udaje mi się odczytać jej odręcznie napisaną treść:

Witaj
w pokoju numer jeden

Pokoju numer jeden?

W pierwszym odruchu chcę przerwać naszą pieszczotliwą ciszę, żeby go zapytać. Ale powstrzymuję się. Po chwili wszystko jest już jasne. Jeśli pokoje w Charmes nie mają numerów, to dlatego, że każdy może nadać je po swojemu, stosownie do swoich własnych doświadczeń. Stosownie do miłości, która pocznie się tam i zrodzi za jego sprawą.

Józefina będzie więc dla mnie na zawsze pokojem numer jeden. Pokojem mojego pierwszego orgazmu kobiety spełnionej, kobiety, która wybrała kapitulację, aby zaznać rozkoszy. Pokojem naszej pierwszej nocy.

Otaczająca nas aura wcale nie opadła. Wręcz przeciwnie, jest jeszcze intensywniejsza. Dostrzegam ją wszędzie dookoła, dziwnie znajomą. Wiem, że teraz już nas nie opuści.

Nie zauważyłam za to, kiedy zmieniła się muzyka. Po pierwszej piosence, tak pełnej znaczeń, teraz rozbrzmiewa inna, spokojniejsza, bardziej hipnotyczna, której nie potrafię nazwać.

– *Home* – szepcze mi do ucha z uśmiechem.

Tytuł utworu. Ale i nowy status tego hotelu, skoro rozumie się samo przez się, że będzie odtąd siedzibą naszych uniesień. Naszą przystanią. Naszym domem.

Nigdy nie należałam do tej kategorii kobiet, według których pokoje hotelowe nie różnią się między sobą. Kobiet twierdzących, że wszystkie pokoje hotelowe nie są niczym więcej jak jedną i tą samą anonimową przestrzenią, bez właściwości i charakteru.

Teraz już wiem, dlaczego.

Podziękowania

W pierwszej kolejności dziękuję Annie Jarocie, mojej agentce.

Dziękuję również jej wspaniałej ekipie, czuwającej nad pomyślnymi narodzinami tego projektu, złożonej z takich ludzi, jak Ted, Gladys, Marc, Anne i wszystkich innych, o których nie wspomniałam, a którzy sami wiedzą, ile im zawdzięczam.

Dziękuję wydawcom z różnych stron świata za zaufanie do francuskiego pióra, jakim jestem, ze wszystkimi jego tikami, ozdobnikami i nieprzetłumaczalnymi galicyzmami!

Dziękuję mojemu ojcu za pokarm dla mojej dorosłej wyobraźni w postaci książek, które wypełniały nasz dom w czasach mojej młodości.

Dziękuję różnym specjalistom od tatuażu, którzy na swój sposób towarzyszyli mi przez długie miesiące pracy nad tą książką, a zwłaszcza wspaniałym dziewczynom z Dragon Tatoo.

Dziękuję Alphabetmanowi, mniej wirtualnemu, niż sam podejrzewa.

Dziękuję przyjaciołom za ich wsparcie, niezawodne, mimo że niektórzy z nich stawiali przede mną prawdziwe wyzwania. Na moją wdzięczność zasłużyli zwłaszcza: Valérie, Thomas & Miguel, Sophie, Éric, Florence, Virginie, Cécile, Ovidie i inni.

Dziękuję wreszcie Emmanuelle, która z pewnością nie omieszka wybaczyć mi (licznych) zapożyczeń. Albowiem jak sama kiedyś powiedziała w związku z moją literacką działalnością: *I'm a writer, everything you say or do may end up in my novel*.

Nie mogła ująć tego lepiej...

Przykładowa bibliografia

Miłośnikom lektury przy muzyce proponuję w charakterze akompaniamentu do czytania powyższych stron następujące utwory (kolejność przypadkowa):

Nokturn cis-moll nr 20, Fryderyk Chopin
More Than This, Roxy Music
Neighborhood #1 (Tunnels), Arcade Fire
69, année érotique, Jane Birkin & Serge Gainsbourg
Bolero, Maurice Ravel
Karmacoma, Massive Attack
Dancin, Chris Isaak
Forever Without End, Jocelyn Pookay
If You'll Be Mine, Babybird
Trio fortepianowe es-dur op. 100 (część druga), Franz Schubert
Bust Apart, The Antlers
If You Run, The Boxer Rebellion
Carolyn's Fingers, Cocteau Twins
L'amour, Dominique A
Party Day, Cosmo Vitelli
Shadow Magnet, Dead Can Dance
The Last Beat of My Heart, DeVotchKa
Something Good, Paul Haig
By This River, Brian Eno
Bela Lugosi's Dead, Bauhaus
Walker, Cascadeur
Willow Tree, Chad VanGaalen
Für Alina, Arvo Pärt
Hoppípolla, Sigur Rós
Gnossienne n°1, Erik Satie
The Persuaders Theme, John Barry
I Sold My Hands for Food So Please Feed Me, Get Well Soon
See My Eyes, DWNTWN
Breathe, Télépopmusik

Surface to Air, The Chemical Brothers
Consequence, The Notwist
Go with the Flow, Lacquer
A Pure Person, Lim Giong
Lady Sleep, Maximilian Hecker
A New Error, Moderat
Your Silent Face, New Order
Our Darkness, Ann Clark
Sehnsucht, Ellen Allien
All I Want, Kodaline
How It Ended, The Drums
Enjoy the Silence, Depeche Mode
Home, Wave Machines

Czytelnicy, którzy dopiero zaczynają tworzyć własną bibliotekę literatury erotycznej, mogą skorzystać z rekomendacji Louisa Barleta i z pożytkiem dla siebie przeczytać następujące dzieła (w porządku chronologicznym):

Do Afrodyty, Safona
Satyricon, Petroniusz
Sztuka kochania, Owidiusz
Dekameron, Boccaccio
Opowieści kanterberyjskie, Geoffrey Chaucer
Żywoty pań swawolnych, Brantôme
Contes interdits (Bajki zakazane), Jean de la Fontaine
Sonetti erotici (Sonety erotyczne), Giorgio Baffo
Historia mojego życia, Giacomo Casanova
Sofa, opowieść wschodnia, Claude Crébillon
Pamiętniki Fanny Hill, John Cleland
Erotika Biblion, Honoré-Gabriel de Mirabeau
Pornograf, Nicolas Edme Restif de la Bretonne
Filozofia w buduarze, markiz de Sade
Moje sekretne życie, anonim

L'Enfant du bordel (Dziecko burdelu), Charles-Antoine-Guillaume Pigault-Lebrun
Gamiani, Alfred de Musset
Wenus w futrze, Leopold Von Sacher-Masoch
Chansons pour elle (Pieśni dla niej), Paul Verlaine
Journal d'une enfant vicieuse (Dziennik zepsutej dziewczynki), Hugues Rebell
Jedenaście tysięcy pałek, Guillaume Apollinaire
Wyczyny młodego Don Juana, Guillaume Apollinaire
Manuel de civilité pour les petites filles à l'usage des maisons d'éducation (Podręcznik poprawnego zachowania dla młodych dziewcząt), Pierre Louÿs
Cipa Ireny, Louis Aragon
Historia oka, Georges Bataille
Kochanek Lady Chatterley, David Herbert Lawrence
Zwrotnik Raka, Henry Miller
Matka Boska Kwietna, Jean Genet
Sexus, Henry Miller
Historia O, Pauline Réage
Lolita, Vladimir Nabokov
Emmanuelle, Emmanuelle Arsan
Septentrion, Louis Calaferte
La Marge (Margines), André Pieyre de Mandiargues
Kompleks Portnoya, Philip Roth
Venus Erotica, Anaïs Nin
Tales of Ordinary Madness (Opowieści o zwyczajnym szaleństwie), Charles Bukowski
Ja i on, Alberto Moravia
Strach przed lataniem, Erica Jong
Les Mémoires d'une culotte (Pamiętnik pewnych majtek), Aymé Dubois-Jolly
Gorzkie gody, Pascal Bruckner
Kochanek, Marguerite Duras
L'Orage (Burza), Régine Deforges
Rzeźnik, Alina Reyes
La Femme de papier (Papierowa kobieta), Françoise Rey

La Mécanique des femmes („Mechanika kobiet), Louis Calaferte
Autoportrait en érection (Autoportret w erekcji), Guillaume Fabert
Baise-moi (Gwałt), Virginie Despentes
Sex Vox Dominam, Richard Morgiève
Eros mécanique (Eros mechaniczny), Pierre Bourgeade
Dans ma chambre (W mojej sypialni), Guillaume Dustan
La Foire aux cochons (Świński targ), Esparbec
Lulu, Almudena Grandes
W stronę niewinności, Philippe Djian
Życie seksualne Catherine M., Catherine Millet
The Surrender (Podporządkowanie), Toni Bentley
Femmes secrètes (Kobiety sekretne), Ania Oz

[1] Tłum. Joanna Józefowicz-Pacuła.

[2] W nawiasach polskie tłumaczenia dzieł, które nie doczekały się jeszcze przekładu. Tłum. Joanna Józefowicz-Pacuła.

[3] Tłumaczenia wszystkich fragmentów poetyckich dokonała Joanna Józefowicz-Pacuła.

[4] Tłum. Joanna Józefowicz-Pacuła.

Przekład: Joanna Józefowicz-Pacuła
Redakcja: Hanna Jagodzińska
Korekta: Magdalena Marciniak, Małgorzata Lach

Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Kimmo Metsaranta/Folio Images/Getty Images
Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2384-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o. i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.